



James Fenimore

Cooper

Tropiciel Śladów



COOPER JAMES

FENIMORE

Sokole Oko #3 Tropiciel

sladow

JAMES FENIMORE COOPER

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ołtarzem – zieleń pachnącej murawy,

Świątynią, Panie – twój przestwór

łaskawy,

Mą kadzielnicą – wonie, co z gór płyną,

A ciche myśli – modlitwą jedyną.

MOORE

Wzniosłość, która cechuje widok rozległych przestrzeni, dobrze jest znana każdemu. Najgłębsze, najbardziej dalekosiężne, a być może i najszlachetniejsze myśli przepełniają wyobraźnię poety, kiedy spogląda w otchłań bezkresnego pustkowia. Rzadko się zdarza, by nowicjusz patrzył obojętnie na przestwór oceanu, a umysł, nawet wśród mroku nocy, odnajduje w sobie odpowiednik owej wielkości nieodłącznej od obrazów, których zmysłami objąć nie sposób.

Z uczuciem pokrewnym podziwowi i grozie – dziecięciu wzniosłości – spoglądały osoby otwierające akcję niniejszego opowiadania na widok, który się przed nimi roztaczał. Było ich razem czworo – dwóch mężczyzn i dwie kobiety – a wspięli się ma stos pni drzewnych wyrwanych przez burzę, chcąc objąć wzrokiem okolicę.

Do dziś istnieje w naszym kraju zwyczaj nazywania takich miejsc pokosami. Wpuszczając światło dnia do ciemnych i wilgotnych ostępów, tworzą one coś na kształt oaz w uroczystym mroku dziewiczych lasów Ameryki. Pokos, o którym tu mowa, znajdował się na szczycie łagodnego wzniesienia i choć niewielki, otwierał rozległy widok – rzecz nader rzadką dla podróżnika w puszczy – tym, co zdołali wydostać się na jego górny skraj. Nauka nie określiła dotąd, czym jest siła, która tak często czyni podobne spustoszenia; jedni je przypisują trąbom powietrznym wzbijającym słupy wody na oceanie, inni znów – nagłym i gwałtownym strumieniom elektrycznego fluidu. Jednakże ich skutki w lasach są wszystkim dobrze znane.

Przy wyższym skraju owej przesieki niewidzialna moc spiętrzyła drzewo na drzewie w taki sposób, że dwaj mężczyźni nie tylko mogli wspiąć się na wysokość około trzydziestu stóp nad poziom ziemi, lecz także, przy odrobinie starania i zachęty, nakłonić mniej śmiałe towarzyszki, by poszły za ich przykładem. Olbrzymie pnie, złamane i uniesione potęgą wichru, leżały jeden na drugim niby słomiane kukły, a ich

gałęzie, wciąż jeszcze wydzielające woń zwiędłych liści, splątane były z sobą tak, iż stanowiły wystarczające oparcie. Jedno z drzew wyrwane zostało z korzeniami i jego dolny koniec, oblepiony ziemią, sterczał w górę, tworząc coś w rodzaju platformy dla czworga poszukiwaczy przygód.

W opisie wyglądu owej grupki czytelnik nie powinien spodziewać się żadnych znamion ludzi lepszej kondycji. Byli to wędrowcy po puszczy; choćby zaś nawet nimi nie byli, ani ich dawniejsze obyczaje, ani obecna pozycja społeczna nie mogłyby w nich wyrobić przyzwyczajenia do rozlicznych zbytków wyższego stanu. Dwie bowiem z owych osób, mężczyzna i kobieta, należały do naturalnych właścicieli tych ziem, będąc Indianami ze słynnego plemienia Tuskarorów, towarzyszyli im zaś: mężczyzna, którego cechowały osobliwości właściwe człowiekowi, co strawił życie na oceanie, a którego ranga nie przekraczała najprawdopodobniej stopnia prostego marynarza, oraz dziewczyna nie należąca do wiele wyższej sfery, aczkolwiek młodość, słodycz lica i skromny, choć bystry wyraz przydawały jej owej inteligencji i subtelności, tak pomnażającej urodę osób płci pięknej. W tej chwili duże, błękitne oczy dziewczęcia odzwierciedlały uczucie wzniosłości, jakie w śnieg budził widok, a miła twarz promieniała zadumą, którą wszelkie głębokie wzruszenia – choćby przynosiły najwyższą przyjemność – ocieniają oblicza istot niewinnych i myślących.

A zaprawdę widok mógł wyrzeć głębokie wrażenie na wyobraźni patrzącego. Ku zachodowi, w którym to kierunku zwrócone były twarze wszystkich czworga, wzrok obejmował ocean liści, przepyszny i bogaty różnorodną, żywą zielenią bujnej roślinności, mieniący się soczystymi barwami, spotykanymi pod czterdziestym drugim stopniem szerokości geograficznej. Wiązy o wdzięcznych płaczących koronach, przebogie odmiany klonów, rozliczne gatunki szlachetnych dębów amerykańskiej puszczy wraz z szerokolistnymi lipami spletały spodem górne konary, tworząc jeden ogromny, rzekłbyś nieskończony kobierzec listowia, który rozciągał się hen ku zachodzącemu słońcu, aż po horyzont, gdzie stapał się z obłokami, podobnie jak fale i niebo stykają się u podstaw sklepienia niebieskiego. Tu i ówdzie, na skutek działania burz czy też kaprysu natury, otwierała się pośród olbrzymów boru niewielka szczelina pozwalająca jakiemuś pomniejszemu drzewu wspiąć się ku światłu i wnieść swą skromną głowę niemal do równego poziomu z dookolną powierzchnią zieleni. Do tych należała brzoza, drzewo szacowne w mniej uprzywilejowanych stronach, drżąca osika, różnorodne 'bujne orzechy i wiele innych, a wszystkie przypominały hołysza i prostaka, którego okoliczności postawiły wobec osób dostojnych i wielkich. Gdzieniedzie wysoki, prosty pień sosny przebijał się wskroś tego olbrzymiego ładu, wystrzelając nadeń wysoko, niby jakiś wspaniały pomnik kunsztownie wzniesiony na równinie z liści.

Właśnie owa rozległość widoku, prawie nieprzerwana powierzchnia zieleni, zawierała w sobie cechę wielkości. Piękno można było wyśledzić w delikatnych barwach, podkreślonych stopniowaniem światła i cienia, natomiast uroczyisty spokój budził uczucie pokrewne grozie.

–Wuju – rzekła zdumiona, lecz zachwycona dziewczyna do swego towarzysza, którego ramienia lekko dotykała, ażeby utrzymać w równowadze swą drobną postać.
– To przypomina widok oceanu, który tak bardzo miłujesz.

–Cóż za głupstwo i imaginacja dziewczęca, Magnesku! – odparł marynarz zwracając się do niej czułym przezwiskiem, którego często używał jako aluzji do powabów swej siostrzenicy. – Jedyne dzieciakowi przyjść może do głowy, aby tę garść liści przyrównywać do prawdziwego Atlantyku. Można by przypiąć wszystkie te korony drzew do kurty Neptuna, a nie byłyby niczym więcej jak bukiecikiem na jego piersi.

–Sądzę, że więcej w tym fantazji niż prawdy, wujaszku. Spójrz tylko: to musi się ciągnąć całymi milami, a przecie nie widzimy nic prócz liści. Cóż więcej można by ujrzeć, gdyby się spoglądało na ocean?

–Co więcej? – odparował wuj czyniąc niecierpliwy ruch łokciem, którego dotykała dziewczyna, ręce miał bowiem skrzyżowane na piersiach, a dłonie wsunięte w zanadrze kamizeli z czerwonego sukna, jaką noszono w owych czasach. – Co więcej, Magnesku? Już raczej powiedz: co mniej. Gdzież masz grzywiaste bałwany, błękitną toń, bujowiska, kipiele, gdzie wieloryby i wodne bryzgi, gdzie nieskończony ruch na tym skrawku lasu, dziecino?

–A gdzież są na oceanie korony drzew, solenna 'Cisza, gdzie wonne liście i cudna zieleń, wujaszku?

–Ech, Magnesku! Gdybyś się rozumiała na rzeczy, wiedziałabyś, że zielona woda to zmora marynarzy. Niewiele mniej mu jest miły ten, kto ma zielono w głowie.

–Ależ zielone drzewa to coś zupełnie innego. Tss. Ten odgłos to wiatr wzdychający wśród liści...

–Trzeba ci słyszeć, jak dyszy północnozachodni wicher, dziewczyno, jeżeli lubisz wiatr. A gdzie masz sztormy i huragany, gdzie pasaty, wiatry lewantyńskie i tym podobne, nad tym (kawałkiem lasu? I jakież to ryby pływają pod ową potulną powierzchnią?

–Że bywały tu burze, na to wyraźnie wskazują oznaki, które widzimy dokoła, a jeśli nie ryby, to w każdym razie zwierzęta kryją się pod tymi liśćmi.

–O tym nic mi nie wiadomo – odparł wuj z istic marynarską pewnością siebie. – W Albany naopowiadali nam tyle historii o dzikich bestiach, na które się natkniemy, a przecie jeszcze nie widzieliśmy nic, co by mogło przestraszyć choćby fokę. Wątpię, czy któryś z lądowych zwierzaków może się równać z podzwrotnikowym rekinem.

–Patrz! – wykrzyknęła siostrzenica, bardziej zajęta wzniosłością i pięknem bezkresnego boru niż dowodzeniem wuja. – O, tam dym wije się nad szczytami

drzew; czy to możliwe, żeby dobywał się z jakiegoś domu?

–Aha, w tym dymie jest coś ludzkiego – odparł stary marynarz – co warte jest tysiąc drzew. Muszę go pokazać Grotowi Strzały, bo a nuż omija port nic o tym nie wiedząc. Gdzie dym, tam może być i kambuz.

To rzekłszy wuj dziewczyny wyciągnął rękę z za pazuchy i lekko [dotknąwszy ramienia stojącego obok Indianina wskazał mu cienką smugę dymu, która w odległości około mili wymykała się spomiędzy liściastego pustkowiec i rozsnuwała niemal niedostrzegalnymi nitkami oparu w lekko drgającym powietrzu.

Tuskarora należał do owych wojowników o szlachetnej postawie, których przed wiekiem częściej niż dzisiaj spotykało się pośród krajowców tego kontynentu, i chociaż tyle obcował z kolonistami, że poznał ich obyczaje, a nawet język, przecież niewiele utracił z dzikiej wyniosłości oraz pełnego prostoty dostojeństwa wodza. Jego stosunki ze starym żeglarzem ułożyły się dobrze, ale nie bez dystansu, gdyż Indianin nazbyt.przywykł do przestawiania z oficerami różnych placówek wojskowych, które nawiedzał, by nie zmiarkować, iż jego obecny towarzysz jest tylko podwładnym. Spokojna, pełna wyższości rezerwa Tuskarory była w samej rzeczy tak imponująca, że Charles Cap (to bowiem nazwisko nosił marynarz) (nawet w momentach największej pewności siebie czy żartobliwego nastroju nie pozwalał sobie na poufałość w obcowaniu z nim, które trwało już od tygodnia z górą. Jednakże widok wijącego się dymu zaskoczył marynarza niczym nagłe pojawienie się żagla na morzu, toteż po raz pierwszy, odkąd zawarli znajomość, poważił się, jak już wspomniano, dotknąć ramienia wojownika.

Bystre oko Tuskarory natychmiast dostrzegło dym; przez całą minutę stał, lekko się wspiął na palce, z rozszerzonymi nozdrzami niby kozioł wietrzący swąd w powietrzu, ze wzrokiem nieruchomym jak wyćwiczony wyżeł, który oczekuje strzału swojego pana. Potem znów opadł na pięty i wydał ledwie dosłyszalny, stłumiony okrzyk owym miękkim głosem, który u indiańskich wojowników stanowi tak osobliwy kontrast z chrapliwymi wrzaskami; poza tym nie pokazał po sobie żadnego wzruszenia. Oblicze jego było spokojne, a orle oczy, ciemne i przenikliwe, przesuwaly się po liściastej panoramie, jak gdyby jednym spojrzeniem chciały ogarnąć każdy szczegół mogący oświecić umysł. Zarówno wuj, jak i siostrzenica wiedzieli doskonale, że podjętej przez nich długiej wędrówce wskroś szerokiego pierścienia puszczy musi towarzyszyć niebezpieczeństwo; atoli żadne z nich nie mogło od razu rozstrzygnąć, czy znak, że w pobliżu znajdują się inni ludzie, jest zwiastunem dobra czy sta.

–Niedaleko muszą być Oneidowie albo Tuskarorowie, Grocie Strzały – rzekł Cap zwracając się do swego indiańskiego towarzysza nadanym mu przez Anglików imieniem. – Czy nie byłoby dobrze przyłączyć się do nich i dostać na noc wygodną koję w wigwamie?

–Tam nie ma wigwam – odrzekł nieporuszony Grot Strzały. – Za dużo drzew.

–Ależ muszą tam być Indianie; może jacy starzy twoi kompana, mości Grocie.

–Nie Tuskarora, nie Oneida, nie Mohawk – ogień bladych twarzy.

–Do diabła! No, Magnesku, to już przekracza granice mądrości marynarza; my, stare wilki morskie, potrafimy odróżnić barłóg prostego majtka od hamaka oficera, ale nie sadzę, żeby najstarszy admirał we flocie jego królewskiej mości umiał odróżnić dym króla od dymu węglarza.

Myśl, że pośród owego oceanu puszczy przebywają w pobliżu ludzkie istoty, pogłębiła rumieniec na kwitnących policzkach i rozjaśniła oko nadobnej dziewczyny, która obróciła się ku wujowi z wyrazem zaskoczenia i powiedziała niepewnie, jako że oboje nieraz już podziwiali mądrość, by nie rzec: instynkt Tuskarory.

–Ogień bladych twarzy! Chyba tego on wiedzieć nie może, wujaszku?

–Dziesięć dni temu gotów byłbym przysięgać, że nie, ale teraz sam nie wiem, czego się trzymać. Czy wolno mi spytać, Grocie, dlaczego sądzisz, że to dym bladych twarzy, a tnie czerwonoskórych?

–Mokre drzewo – odparł wojownik ze spokojem nauczyciela, który wyjaśnia zdziwionemu uczniowi matematyczne zadanie. – Dużo wilgoci – dużo dymu; dużo wody – czarny dym.

–Wybacz mi, Grocie, ale dym nie jest czarny, nie ma go też wiele. Dla mnie jest on równie zwiewny i kapryśny jak ten, który dobywa się z kapitańskiego czajnika, kiedy już nie ma czym podsycić ognia prócz (paru wiórów z dna statku.

–Za dużo wody – odrzekł Grot Strzały lekko kiwając głową. – Tuskarora za chytry, żeby robić ogień z wody. Błada twarz za dużo książek i palić byle co; dużo książek, mało wiedzieć.

–Co racja, to racja, przyznaję – powiedział Cap, który nie był zwolennikiem nauki. – Ma to być aluzja do twego czytania, Magnesku, bo wódz posiada na swój sposób (rozsądne poglądy. A powiedzże mi, Grocie, jak daleko, według twoich obliczeń, jesteśmy od tego kawałka sadzawki, który zowiecie Wielkim Jeziorem, a na który od tyłu już dni wzięliśmy kurs?

Tuskarora patrząc na marynarza ze spokojną wyższością odpowiedział:

–Ontario jak niebo; jedno słońce, a wielki podróżnik je pozna.

–No cóż, nie mogę zaprzeczyć, że byłem wielkim podróżnikiem, ale ze wszystkich

mych rejsów ten jest najdłuższy, najmniej korzystny i najdalej w głąb łądu. Jeśli owa kałuża słodkiej wody jest już tak blisko i taka wielka, można by mniemać, że dwoje dobrych oczu potrafi ją wypatrzeć, skoro z tego punktu obserwacyjnego podobno widzi się wszystko na trzydzieści mil wokoło.

–Patrz – rzekł Grot Strzały wyciągając ze spokojnym wdziękiem ramię przed siebie – Ontario.

–Wujku, przywykłeś do okrzyku: „ziemia”, ale nie „woda”, toteż nie widzisz jej zgoła! – zawołała siostrzenica śmiejąc się, jak zwykły się śmiać dziewczęta ze swoich własnych, płochych konceptów.

–Jakże to, Magnesku? Czy sądzisz, że nie rozpoznałbym omego rodzimego żywiołu, gdyby go było widać?

–Ależ Ontario nie jest twoim rodzimym żywiołem, wujaszku drogi, boć przede pochodzisz ze słonej wody, a ta jest słodka.

–To może sprawiać jakąś różnicę młodemu marynarzowi, ale nie staremu. Poznałbym wodę, dziecko, choćbym miał ujrzeć ją w Chinach.

–Ontario! – powtórzył z naciskiem Grot Strzały, ponownie wyciągając rękę ku północnemu zachodowi.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Cap popatrzył na Tuskarorę nieco pogardliwie, jakkolwiek nie omieszkał podążyć wzrokiem za jego spojrzeniem i ręką, które zwrócone były w stronę punktu znajdującego się na nieboskłonie, tuż ponad powierzchnią listowia.

–Tak, tak; tegom się właśnie spodziewałem, gdy opuszczałem wybrzeże w poszukiwaniu słodkowodnej sadzawki – zawyrokował Cap wruszając ramionami jak człowiek, który wyrobił już sobie zdanie i nie uważa, by należało coś dopowiedzieć. – Ontario może sobie być tam, a na 'dobrą sprawę może być także i w mojej kieszeni. Cóż, ufam, że znajdzie się na nim dość miejsca, abyśmy mogli manewrować czółnem, gdy tam dotrzemy. Ale, Grocie Strzały, jeżeli niedaleko są blade twarze, wyznaję, iż chętnie bym się do nich przybliżył.

Tuskarora spokojnie skinął głową i wszyscy w milczeniu zeszli z korzeni obalonego drzewa. Gdy już stanęli na ziemi, Grot Strzały oświadczył, że chciałby podejść do ogniska i przekonać się, kto je rozniecił; natomiast swej żonie i dwojgu pozostałym doradził, by wrócili do łodzi, którą pozostawiono na pobliskiej rzece, i tam oczekiwali jego powrotu.

–Ależ, wodzu, to byłoby dobre na płycznach albo na wodach przybrzeżnych, gdzie zna się kanały – odparł stary Cap – natomiast uważam, że w takich nie znanych

stronach jest rzeczą niebezpieczną pozwalać pilotowi, aby sam jeden zbyt oddalał się od statku. Przeto, za twoim pozwoleniem, nie rozstaniemy się ze sobą.

–Czego chcesz mój brat? – zapytał Indianin z powagą, choć bez urazy za ową dosyć wyraźną nieufność.

–Twojego towarzystwa, mości Grocie, niczego więcej. Pójdę z tobą i pogadam z tymi nieznanymi.

Tuskarora przystał na to bez trudności i ponownie kazał wrócić do czółna cierpliwej i uległej małżonce, w której dużych, czarnych oczach – ilekroć je nań zwracała – malował się wyraz zarówno uszanowania, jak obawy i miłości. Tu jednak zaprotestowała Mabel. Jakikolwiek dzielna i obdarzona niepospolitą energią w chwilach krytycznych, była tylko niewiastą, i myśl, że obaj opiekunowie mogą ją pozostawić samotną wśród puszczy, która, jak jej dopiero co powiedziały oczy, ciągnęła się rzekłobyś w nieskończoność – sprawiała dziewczynie tak dojmującą przykrość, że Mabel wyraziła chęć towarzyszenia wujowi.

–Odrobina ruchu będzie mi ulgą, wuju kochany, po tak długim siedzeniu w czólnie – dodała, a bujna krew z wolna zaczęła napływać do policzków pobladłych na przekór wysiłkom, jakie dziewczyna czyniła, aby zachować spokój. – Zresztą może wśród tych nieznanymi są także i kobiety.

–Chodź zatem, moje dziecię; nie dalej to niż o kabel, a wrócimy na godzinę przed zachodem słońca.

Uzyskawszy to zezwolenie, dziewczyna, której prawdziwe nazwisko brzmiało Mabel Dunham, jęła gotować się do odejścia, gdy tymczasem Czerwcową Rosa, jak zwała się małżonka Grota Strzały, biernie ruszyła w stronę czółna, zbyt bowiem przywykła do posłuszeństwa, samotności i leśnego mroku, aby odczuwać obawę.

Troje tych, co zostali na pokosie, zaczęło teraz torować sobie drogę poprzez jego zawikłany labirynt i dotarło do skraju boru. Kilka spojrzeń wystarczyło Grotowi Strzały, natomiast stary marynarz dokładnie nastawił kieszonkowy kompas na dym, po czym dopiero odważył się wejść w cień drzew.

–To sterowanie na węch, Magnesku, może być dobre dla Indianina, ale rasowy marynarz zna zalety igły – powiedział wlokąc się tuż za stąpającym lekko Tuskarorą. – Wierz mi na słowo, że Ameryka przenigdy nie zostałaby odkryta, gdyby Kolumb miał tylko nozdrza. Przyjacielu Grocie, widziałeś kiedy taką maszynę?

Indianin obrócił się, rzucił okiem na kompas, który Cap trzymał tak, by się według niego kierować, i odrzekł z powagą:

–Oko bladej twarzy. Tuskarora mieć swoje w głowie. Słona Woda – tak bowiem

nazywał Indianin swojego towarzysza – teraz całe oczy, nie język. – On chce przez to powiedzieć, wuju, że musimy być cicho; zdaje się, że nie ufa tym, z którymi mamy się spotkać.

–Tak, to indiańska moda podpływania. Uważ, że sprawdził proch na panewce swej strzelby; myślę, że dobrze będzie uczynić to samo z moimi pistoletami.

Mabel, nie zdradzając zaniepokojenia tymi przygotowaniami, do których przyzwyczaiła ją długa wędrówka przez puszcę, szła dalej krokiem równie elastycznym jak Indianin, trzymając się tuż za swoimi towarzyszami. Przez pierwsze pół mili nie zachowywali innych środków ostrożności prócz bezwzględnego milczenia, natomiast gdy poczuli się zbliżać do miejsca, gdzie powinno było płonąć ognisko, stała się niezbędną o.wiele większa czujność.

W lesie, jako zazwyczaj, nieomal nic nie przesłaniało widoku poniżej kanarów prócz śmigłych prostych pni drzew. Cała roślinność pięła się ku światłu, toteż pod baldachimem liści szło się niby pod olbrzymim naturalnym sklepieniem, podtrzymywanym przez milion drzewnych 'kolumn. Jednakże owe kolumny częstokroć służyły za ochronę awanturkowi, łowcy albo wrogowi, toteż w miarę jak Grot Strzały szybko się zbliżał do miejsca, gdzie – jak mu mówiły doświadczone i nieomyślne zmysły – powinni byli znajdować się obcy, jego krok stawał się coraz lżejszy, oko czujniejsze, a ciało staranniej szukało osłony.

–Patrz, Słona Wodo! – wyrzekł z tryumfem, wskazując poprzez lukę między drzewami. – Ogień bladych twarzy!

–Na Boga, chłop ma słuszość! – mruknął Cap. – Rzeczywiście siedzą tu i pałaszują strawę tak spokojnie, jak gdyby byli w kabinie trójpokładowca!

–Grot Strzały ma jeno na poły rację – szepnęła Mabel – boć jest tam dwóch Indian, a tylko jeden biały.

–Blade twarze – rzekł Tuskarora podnosząc dwa palce. – Czerwony człowiek – tu podniósł jeden.

–No – odparł Cap – trudno orzec, co słuszne, a co nie. Jeden jest całkiem biały, a i gładki chłop z niego, na porządnego człeka wygląda, drugi jest Indianinem, to widać jasno po jego skórze d farbie, którą się pomalował; natomiast trzeci ma nijaki takielunek, bo to ni bryg, ni szkuner.

–Blade twarze – powtórzył Grot Strzały, podnosząc znowu dwa palce. – Czerwony człowiek – podniósł jeden.

–On musi mieć rację, wujaszku, bo oko nigdy go nie zawodzi. Ale teraz trzeba się jak najprędzej wywiedzieć, czy napotkaliśmy przyjaciół, czy wrogów. Mogą to być

Francuzi.

–Jedno krzyknięcie rychło nas o tym przekona – odrzucił Cap. – Stań no za tym drzewem, Magnesku, na wypadek gdyby tym frantom przyszło do głowy dać salwę całą burtą bez żadnych wstępów. Ja zaś wprędce zmiarkuję, pod jaką flagą płyną.

Cap podniósł do ust obie dłonie złożone w trąbkę i już miał wydać zapowiedziany okrzyk, gdy szybki ruch ręki Grot Strzały udaremnił jego zamiar, psując ów instrument.

–Czerwony człowiek: Mohikanin – powiedział Tuskarora. – Dobry. Blade twarze: Jengizi.

–Cudowna wieść – szepnęła Mabel, którą niezbyt zachwycała perspektywa śmiertelnego starcia w owym zapadłym pustkowiu. – Podejźmy zaraz, drogi wujaszku, i obwieścimy, żeśmy przyjaciele.

–Dobrze – powiedział Tuskarora. – Czerwony człowiek spokojny i wiedzieć, blade twarze prędkie i strzelać. Niech idzie squaw.

–Co? – rzekł zdumiony Cap. – Posyłać na zwiady małego Magneska, gdy tymczasem dwa takie chłopy na schwał jak ty i ja zdryfują i patrzeć będą, czy jej się uda szczęśliwie podpłynąć do brzegu? Jeżeli na to pozwolę, niech mnie...

–Tak będzie najroztropniej, wuju – przerwała mu dzielna dziewczyna – a ja się nie obawiam. Żaden chrześcijanin widząc podchodzącą samotnie kobietę nie strzeli do niej, a moja obecność stanowi rękojmię pokoju. Pozwól mi iść naprzód, jak tego chce Grot Strzały, a wszystko będzie dobrze. Dotychczas nas nie widzą, toteż ta niespodzianka nie zaniepokoi ich zbyt.

–Dobrze – rzekł Grot Strzały, który nie ukrywał swego uznania dla dzielności Mabel.

–To jakoś nie po marynarsku – odpowiedział Cap – ale ponieważ jesteśmy w lesie, nikt się na tym nie pozna. Skoro przypuszczasz, Mabel...

–Wuju, ja wiem. Nie mam powodu do obaw, a zresztą przez cały czas będziesz blisko, by mnie obronić.

–Zatem weź jeden z pistoletów...

–Nie; wolę polegać na moim młodym wieku i słabości – odparła dziewczyna z uśmiechem, a jej rumieniec silniej rozgorzał pod wpływem wzruszenia. – Wśród mężczyzn-chrześcijan najlepszą obroną niewiasty jest odwołanie się do ich opieki. Nie znam się na broni i nadal nie chcę znać się na niej.

Wuj przestał się opierać, a Mabel, otrzymawszy kilka roztropnych wskazówek od Tuskarory, zebrała się na odwagę i ruszyła samotnie w stronę grupki mężczyzn siedzących przy ognisku. Jakkolwiek serce dziewczyny biło szybciej, to jednak krok jej był pewny, a ruchy nie zdradzały wahania. W lesie zalegała śmiertelna cisza, albowiem ci, do których zbliżała się Mabel, byli nazbyt zajęci zaspokajaniem głodu, by choć na chwilę oderwać wzrok od ważnej czynności, jaka ich zaprzętała. Gdy jednak Mabel znalazła się o sto stóp od ogniska, nadepnęła na suchą gałązkę, a cichy trzask spowodowany przez lekką nóżkę dziewczyny sprawił, że Mohikanin (Grot Strzały rzekł bowiem, iż nim był ów czerwonoskóry) oraz jego towarzysz, którego tak trudno było określić, zerwali się na równe nogi, szybcy jak myśli.

Obaj rzucili okiem na strzelby oparte o drzewo, lecz potem znieruchomieli nie wyciągając ręki, gdy oczom ich ukazała się postać dziewczyny. Indianin powiedział kilka słów do swego towarzysza, a następnie znów usiadł i zabrał się do jedzenia z takim spokojem, jakby mu zgoła nie przerywano. Biały człowiek natomiast wyszedł na spotkanie Mabel.

Gdy nieznajomy zbliżył się do niej, stwierdziła, że ma do czynienia z białym człowiekiem, aczkolwiek jego ubranie stanowiło taką mieszaninę strojów obu ras, że trzeba było dobrze się przyjrzeć, by nabrać co do tego pewności. Był to mężczyzna w średnim wieku, lecz w jego twarzy, której skądinąd nie można by uznać za piękną, malowała się taka szczerłość i uczciwość, tak całkowity brak wszelkiej chytryści, iż Mabel od razu upewniła się, że nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo. Mimo to przystanęła.

–Nie lękaj się niczego, panienko – rzekł myśliwiec, na to bowiem rzemiosło wskazywał jego strój. – Napotkałaś w puszczy chrześcijan, i to takich, co wiedzą, jak traktować wszystkich dobrych ludzi, którzy są za pokojem i sprawiedliwością. Jestem człowiekiem dobrze znanym w tych stronach; być może któreś z moich przezwisk dotarło już do twych uszu. Francuzi i czerwonoskórzy zza Wielkich Jezior nazywają mnie La Longue Carabine, Mohikanie, prawy i zacny szczep, choć już niewielu ich pozostało – Sokolim Okiem, żołnierze zaś i zwiadowcy z tej strony wody zwą mnie Tropicielem Śladów, ile że nikt nie słyszał, bym zgubił jeden koniec tropu, jeżeli na drugim znajdował się bądź Mingo, bądź też przyjaciel w potrzebie.

Me było to powiedziane chełpliwie, ale z uczciwą pewnością siebie człowieka, który wie dobrze, iż bez względu na imię, pod jakim mogli go znać inni, nie ma powodu rumienić się z racji tego, co im opowiadano. Słowa jego wywarły na Mabel efekt natychmiastowy. Zaledwie usłyszała ostatni przydomek, złożyła żarliwie ręce i powtórzyła: – Tropiciel Siadów!

–Tak mnie zowią, panienko, a niejeden wielmoża posiada tytuł, na który ani w połowie tak sobie nie zasłużył, chociaż aby rzec prawdę, raczej się chlubię odnajdywaniem drogi tam, gdzie nie ma żadnych śladów, niż tam, gdzie one istnieją.

Wszelako regularne oddziały nie są bynajmniej wymagające i najczęściej nie widzą różnicy pomiędzy ścieżką a śladem, choć jedno jest sprawą oka, drugie zaś niewiele więcej niż zapachem.

–A zatem pan jesteś tym przyjacielem, którego mój ojciec obiecał wysłać nam na spotkanie?

–Jeżeliś jest córką sierżanta Dunhama, tedy sam Wielki Prorok Delawarów nigdy nie wypowiedziałby rzetelniejszej prawdy.

–Jestem Mabel Dunham, a tam, ukryty za tymi drzewami, stoi mój wujaszek nazwiskiem Cap i pewien Tuskarora zwany Grotem Strzały. Nie spodziewaliśmy się spotkać pana przed dotarciem do brzegów jeziora.

–Wolałbym, żeby jakiś zacniejszy Indianin był waszym przewodnikiem – rzekł Tropiciel – albowiem nie miłuję Tuskarorów, którzy nazbyt się oddalili od grobów swych praojców, aby zawsze pamiętać o Wielkim Duchu. Grot Strzały zaś to wódz nader ambitny. Czy jest z nim Czerwcową Rosa?

–Jego żona nam towarzyszy, a wielce to pokorna i łagodna istota.

–Tak, i serce ma prawe, czego o Grocie Strzały nie powie nikt, kto go zna. No cóż, postępując po szlaku żywota musimy przyjmować to, co nam zsyła Opatrzność. Myślę, że można by znaleźć przewodników gorszych od tego Tuskarory, choć ma on w żyłach zbyt wiele krwi Mingów jak na gust człowieka, który obcuje wyłącznie z Delawarami.

–Wobec tego, może to szczęście, żeśmy się spotkali – rzekła Mabel.

–W każdym razie nie jest to nieszczęściem, przyobiecałem bowiem sierżantowi, że choćbym miał zginąć, doprowadzę bezpiecznie jego dziecię do fortu. Spodziewaliśmy się spotkać was, zanim dotrzecie do wodospadów, gdzie też pozostawiliśmy nasze czółna uważając, iż nie zaszkodzi wyjść wam parę mil naprzeciw, ażeby być na wasze usługi, gdyby zaszła potrzeba. Dobrze, żeśmy to uczynili, gdyż wątpię, czy Grot Strzały potrafiłby przeprowadzić się przez wodospady.

–Oto nadchodzi wuj i Tuskarora, możemy więc połączyć się z wami.

Gdy Mabel to mówiła, podeszli Cap i Grot Strzały, którzy widzieli, że rozmowa toczy się w sposób przyjazny; kilka słów wystarczyło, aby ich zapoznać z tym, czego dziewczyna dowiedziała się od nieznajomego. Gdy tylko to zrobiono, wszyscy ruszyli ku dwóm mężczyznom, którzy nadal siedzieli przy ognisku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Naturo, póki twych ołtarzy

Krwią ofiar splamić się nie waży

Twój synek, choć ubogi –

Poty go wielbić będzie ziemia,

A jego złoty tron w promieniach

Pod nieb urośnie progi.

WILSON

Mohikanin nie przerywał posiłku, natomiast drugi biały wstał i dwornie zdjął czapkę przed Mabel Dunhara. Był młody i męski, wyglądał zdrowo, a miał na sobie strój, który choć nie tak ściśle zawodowy jak ubiór wuja Capa, znamionował również człowieka otrząskanego z wodą. W owych czasach prawi żeglarze stanowili grupę całkowicie wyodrębnioną spośród reszty rodzaju ludzkiego, a ich poglądy, sposób mówienia i przydzwieków równie dobitnie wskazywały na rodzaj rzemiosła, jak zapatrywania, mowa i kostium Turka zdradzają muzułmanina. Aczkolwiek Tropiciel był mężczyzną w kwiecie wieku. Mabel podczas rozmowy z nim zachowała spokój, który mógł wynikać z faktu, iż poskromiła przedtem swoje nerwy; goły jednak oczy dziewczyny spotkały wzrok stojącego przy ogniu młodzieńca, spuściła je przed pełnym zachwytem spojrzeniem, którym – jak jej się wydało – ów ją powitał. Oboje odczuli owo wzajemne zainteresowanie, jakie w ludziach młodych i niewinnych zwykło budzić podobieństwo wieku i stanu, uroda oraz nowość sytuacji.

–Oto są przyjaciele – powiedział Tropiciel obdarzając Mabel swym szczerym uśmiechem – których twój czcigodny ojciec, panienko, wysłał ci na spotkanie. Tu widzisz wielkiego Delawara, człeka, który w swoim czasie zaznał niemało zaszczytów, jak również trosk. Nosi on indiańskie miano odpowiednie dla wodza, ale ponieważ ów język nie zawsze jest łatwy do wymówienia dla nowicjusza, więc tłumaczymy je na angielski i zwiemy go Wielkim Wężem. Nie powinnaś jednak sądzić, że tym imieniem chcemy wyrazić, iż to człek podstępny ponad miarę właściwą czerwonoskórym; chcemy tylko powiedzieć, że jest mądry i odznacza się przebiegłością, jaka przystoi wojownikowi. Tu obecny Grot Strzały wie, co mam na myśli.

–Podczas gdy Tropiciel wygłaszał to przemówienie, obaj Indianie uparcie wpatrywali się w siebie, po czym Tuskarora podszedł i zagadał do tamtego w sposób na pozór przyjazny.

–Przyjemnie to widzieć – ciągnął Tropiciel. – Powitanie dwóch Indian w lasach, mości Cap, przypomina pozdrowienia wymieniane na oceanie przez dwa zaprzyjaźnione okręty. Lecz skoro mowa o wodzie, przypomina mi to niego młodego przyjaciela, tu obecnego Gaspara Westerna, który ma prawo twierdzić, iż zna się na tych sprawach, gdyż życie swoje spędził na jeziorze Ontario.

–Miło mi pana poznać, przyjacielu – rzekł Cap ściskając serdecznie dłoń młodego słodkowodnego marynarza – aczkolwiek zapewne musisz się jeszcze coś niecoś nauczyć, zważywszy, do jakiej cię posłano szkoły. To jest moja siostrzenica, Mabel; zwę ją Magneskiem, dla przyczyn, o których jej się nie śni, choć pan zapewne posiadasz dostateczną edukację, by je odgadnąć, ile że masz chyba pretensje, by rozumieć się na kompasie.

–Przyczyny owe są zrozumiałe – odrzekł młodzieniec, zarazem mimowolnie zwracając swe przenikliwe, ciemne oczy na zapłonioną twarz dziewczyny – i pewien jestem, iż żeglarz, który steruje według pańskiego Magnesu, nigdy nie wejdzie na rafy.

–Ha! Widzę, że używasz zawodowych terminów, i to wcale właściwie, chociaż, ogółem biorąc, obawiam się, iż widziałeś więcej zielonej niżli błękitnej wody.

–Nic w tym dziwnego, że przejmujemy niektóre zdania z lądu, boć rzadko go tracimy z oczu na całe dwadzieścia cztery godziny.

–A szkoda, chłopcze, a szkoda! Odrobina lądu powinna na długo starczyć żeglarzowi. Otóż, aby rzec prawdę, mości Western, wydaje mi się; że wokół waszego jeziora jest prawie wszędzie ląd.

–A czyż dokoła oceanu nie ma prawie wszędzie lądu, wujaszku? – wtrąciła szybko Mabel, obawiała się bowiem, by stary marynarz nie zaczął przedwcześnie popisywać się osobliwą pewnością siebie, by nie -powiedzieć mędrkowaniem.

–Me, dziecko; prawie wszędzie dokoła lądu jest ocean. To właśnie mówię ludziom z wybrzeży, młodzieńcze. Żyją oni jak gdyby pośrodku morza, nic zgoła o tym nie wiedząc, z jego łaski, można powiedzieć, zważywszy, że woda o tyle jest potężniejsza i większa od lądu. Jednakże na tym świecie pycha nie zna granie, albowiem człowiek, który nigdy nie widział słonej wody, często wyobraża sobie, że więcej wie od tego, co opłynął Przylądek Horn. Nie, nie, lądy to właściwie wyspy oblane zewsząd wodami.

Młody Western miał głęboki respekt dla marynarzy z oceanu; często marzyło mu się, by sam mógł na nim popływać, jednakże żywił też i naturalny szacunek dla owej rozległej wodnej połaci, na której spędził życie i która w jego oczach nie była pozbawiona piękności.

–To, co pan mówisz – odrzekł skromnie – może być prawdą, jeżeli idzie o Atlantyck,

ale my tutaj, na Ontario, mamy poważanie dla lądu.

–A to z tej racji, żeście nim stale zewsząd otoczeni! – odparował Cap śmiejąc się serdecznie. – Ale tam widzę Tropiciele, jak go tu zowią, z dymiącą strawą; zaprasza nas do swej mesy, a przyznam, że na morzu człek nie dostaje dziczyzny. Mości Western, w twoim wieku grzeczność wobec dziewcząt przychodzi równie łatwo, jak wybranie luzu linki flagowej, jeśli więc -będziesz miał oko na dzban i misę mej siostrzenicy, gdy ja przyłączę się do Tropiciele i naszych indiańskich przyjaciół, Mabel na pewno ci tego nie zapomni.

Słowa imć Capa miały głębszy sens, niż naówczas sądził. Gaspar Western zajął się dostarczeniem Mabel wszystkiego, czego jej było potrzeba, a dziewczyna jeszcze długo potem pamiętała miłą, męską opiekę, jaką otoczył ją młody marynarz przy pierwszym ich spotkaniu. Urządził dla niej siedzenie na kłocu drzewa, wybrał pyszny kęsek pieczeni z jelenia, przyniósł czyściutkiej wody ze źródła, a kiedy zasiadł obok, wprędce pozyskał sobie dobre mniemanie dziewczyny miłym i szczerym sposobem okazywania swej troskliwości. Jest to bowiem hołd, który każda kobieta pragnie przyjmować, acz nigdy nie bywa on tak miły i pochlebny jak wówczas, gdy składa go ktoś młody osobie w takimże wieku, człowiek prawdziwie męski – istocie delikatnej.

Podobnie jak większość tych, co trawią życie z dala od osób płci słabej, młody Western był pełen powagi i szczerości, subtelny w okazywaniu swych względów, które – choć brak im było światowej ogłady, czego zapewne Mabel wcale nie żałowała – odznaczały się ujmującymi cechami, aż nadto dostatecznymi, by ją zastąpić. Pozwolimy teraz tym dwojgu młodym, tak prostym i szczerym, poznać się wzajemnie, bardziej za pośrednictwem uczuć niż wyrażanych myśli i zwrócimy się ku grupie mężczyzn, w której wuj Cap już stał się głównym aktorem.

Siedzieli oni wokół misy z jelenimi zrazami przeznaczonymi na wspólny użytek, w rozmowie zaś objawiały się charaktery poszczególnych osób grupę tę składających. Indianie byli milczący i pilnie zajęci jedzeniem, albowiem apetyt amerykańskich tubylców na dziczyznę jest według wszelkich pozorów nienasycony; natomiast dwaj biali rozprawiali z ożywieniem, gdyż każdy z nich był na swój sposób rozmowny, a przy tym nieustępliwy w poglądach. Ponieważ jednak ich rozmowa zapozna czytelnika z pewnymi faktami, które mogą uczynić dalsze opowiadanie przejrzystym, dobrze będzie ją tutaj przytoczyć.

–W tym waszym życiu można zapewne znaleźć zadowolenie, panie Tropiciele – ozwał się Cap, gdy podróżni na tyle już zaspokoili głód, że poczęli przebierać wśród smakowitych kąsków. – Ma ono coś z owych hazardów, które my, marynarze, lubimy; a o ile nasz żywot jest cały wodą, wasz wszystek jest lądem.

–O nie; i my mamy do czynienia z wodą w naszych wędrówkach i marszach – odparł jego biały towarzysz. – My, ludzie pogranicza, władamy niemal równie dobrze

wiosłem i ościeniem, jak strzelbą i kordelasem.

–No tak, ale czy umiecie manewrować brassem i buliną, kołem sterowym i sondą, ref-sejzingami i sztagiem? Wiosło to niewątpliwie dobra rzecz w czóźnie, ale cóż z niego za pożytek na okręcie?

–Owszem, szanuję powołanie każdego i wierzę, iż owe rzeczy, które pan wymieniłeś, mają swoje zastosowanie. Człek, który tak jak ja żył pośród wielu plemion, rozumie różnice w obyczajach. Farba, jaką maluje się Mingo, jest inna niż u Delawara, a ten, kto by spodziewał się ujrzeć wojownika w ubiorze sąaw, mógłby się rozczarować. Nie jestem jeszcze tak bardzo stary, lecz żyłem w lasach i posiadałem niejaką znajomość ludzkiej natury. Nigdy zbyt nie wierzyłem w wiedzę tych, co mieszkają po miastach, bo jak dotychczas jeszcze nie spotkał takiego, który by miał oko do strzelby albo do tropu.

–Co do joty mój sposób rozumowania, Tropiciele! Wałęsanie się po ulicach, chadźanie w niedzielę do kościoła i wysłuchiwanie kazań nigdy jeszcze nie zrobiło człowieka z ludzkiej istoty. Chłopaka trzeba posłać na szeroki ocean, jeżeli chce się otworzyć mu oczy; niech się przypatrzy obcym narodom lub temu, co zwę obliczem przyrody, jeśli ktoś pragnie, by pojął własną naturę. Weźmy na przykład mojego szwagra, sierżanta: na swój sposób najpocziwszy to z ludzi, jacy kiedykolwiek łamali się sucharem, ale czymże jest w końcu? Cóż, ledwie żołnierzem. Sierżantem, ma się rozumieć, lecz to, jak wiadomo, jest rodzaj żołnierza. Kiedy chciał pojąć za żonę biedną Bridget, moją siostrę, powiedziałem jej – bo tak mi nakazywało poczucie obowiązku – czym on jest i czego można się po takim mężu spodziewać, ale pan wiesz, jak to bywa z dziewczętami, gdy sobie kimś nabiją głowę. Co prawda, sierżant zaszedł wyżej w swoim rzemiośle i jak powiadają, jest ważną osobistością w forcie, lecz jego biedna małżonka nie dożyła już tego, ile że zmarła przed laty czternastu.

–Powołanie żołnierza jest zaszczytne, pod warunkiem, że walczy on tylko po stronie słuszności – odparł Tropiciel. – Ponieważ zaś Francuzi nigdy nie mają słuszności, a najjaśniejszy pan i kolonie zawsze ją mają, przeto sądzę, że sierżant posiada spokojne sumienie, a także zacny charakter. Nigdy nie sypiał tak słodko, jak wówczas, gdym bił się z Mingami, choć zawsze mam za zasadę walczyć jak biały człowiek, nigdy zaś jak Indianin. Tu. obecny -Wąż ma swoje sposoby, a ja mam swoje; mimo to jednak przez wiele lat walczyliśmy ramię w ramię i żaden z nas ni razu nie pomyślał źle o sposobach drugiego. Powiadam mu stale, że niezależnie od podań jego plemienia, istnieje tylko jedno niebo i jedno piekło, choć wiele jest ścieżek, które tam wiodą:

–Słusznie; i musisz pan w to wierzyć, chociaż sądzę, że większość dróg do piekła prowadzi po suchym łądzie. Moja biedna siostra Bridget zwykła była nazywać morze „miejszem oczyszczenia”, a i w istocie człek unika pokus, gdy traci łąd z oczu. Wątpię, czy można to samo powiedzieć o tutejszych waszych jeziorach.

–Zgoda, że miasta i osiedla doprowadzają do grzechu; natomiast nasze jeziora obrzeżone są borami i w takiej świątyni człek co dnia musi oddawać cześć Bogu. Przyznaję, że ludzie nie zawsze są jednakowi, nawet w puszczy, boć przecie różnica między Mingo a Delawarem jest tak wyraźnie widoczna jak między księżycem a słońcem. Rad jestem, przyjacielu Cap, żeśmy się spotkali, choćby tylko dlatego, byś mógł opowiedzieć Wielkiemu Wężowi, że istnieją jeziora, w których woda jest słona. Odkąd zaczęła się nasza znajomość, byliśmy niemal zawsze jednej myśli, i jeśli Mohikanin pokłada we mnie choćby połowę tej wiary, jaką ja w nim pokładam, musi wierzyć wszystkiemu, com mu powiadał o obyczajach białych ludzi i prawach natury. Ale zawsze zdawało mi się, że żaden z czerwonoskórych nie wierzył tak dalece, jakby tego mógł sobie życzyć człek uczciwy, w relacje o wielkich, słonych jeziorach i rzekach, co płyną pod prąd.

–To wynika z podchodzenia do rzeczy od niewłaściwej strony – odpowiedział Cap, wyrozumiale kiwając głową. – Myśleliście o swoich jeziorach i bystrzynach jak o okręcie, o oceanie zaś i przyływach jak o łodzi. Ani Grot Strzały, ani Wąż nie powinni wątpić w to, coś pan im o jednym i drugim powiadał, chociaż wyznaję, że i mnie ciężko przełknąć bajkę o istnieniu mórz w głębi lądu, a bardziej jeszcze o tym, jakoby było gdzieś morze słodkiej wody. Przeszedłem z tak daleka zarówno dlatego, by się na własne oczy przekonać o tych. rzeczach, jak i po to, by przysłużyć się sierżantowi i Magneskiemu, albowiem on był mężem mej siostry, ją zaś miłuję jak córkę.

–Błędzisz pan, przyjacielu, błędzisz ogromnie, jeśli nie ufasz w czymkolwiek mocy bożej – odparł z powagą Tropiciele. – Ci, którzy żyją w osiedlach i miastach, mają ciasne i mylne poglądy o sile ręki Boga, natomiast my, którzy spędzamy życie niejako w Jego obecności, inaczej patrzymy na rzeczy – to znaczy ci z nas, co posiadają naturę ludzi białych. Czerwonoskóry ma swoje zapatrywania, i tak powinno być, a nic w tym złego, że nie są one dokładnie takie same jak poglądy białych i chrześcijan. Jednakże istnieją rzeczy, które całkowicie należą do zrządzeń Opatrzności, i owe słone czy słodkie jeziora są ich przykładem. Nie usiłuję tych spraw tłumaczyć, lecz sądzę, że wszyscy mają obowiązek w nie uwierzyć.

–Czekaj pan, Tropicielu! – przerwał mu Cap nie bez gorącości. – Gdy idzie o rzetelną, męską wiarę, nie potępię za nią na morzu nikogo. Choć podczas huraganu raczej mam we zwyczaju sadowić się przytulnie na maszcie i wciągać odpowiedni żagiel niżli zanosić modły, przecie wiem, jako czasem jesteśmy tylko bezradnymi śmiertelnikami i ufam, że oddaję cześć tam, gdzie cześć się należy. Chcę jedynie powiedzieć, że przywykły do wielkich, słonych połaci wody, muszę tej pokosztować, zanim uwierzę, że może być słodka.

–Bóg dał jeleniowi słoną ziemię do lizania, człowiekowi zaś, czy to białemu, czy czerwonemu – przepyszne źródło, u którego może on gasić pragnienie. Nierozsądnie byłoby myśleć, że nie mógł dać zachodowi jezior z czystą wodą, wschodowi zaś – z

nieczystą.

Cap, mimo zarozumialstwa oraz pewności siebie, był pod wrażeniem pełnej powagi prostoty Tropicielea, aczkolwiek nie szła mu w smak myśl, że ma uwierzyć w fakt, o którym od lat wytrwale twierdził, że prawdą być nie może. Nie chcąc ustąpić, a jednocześnie nie mogąc obronić swego poglądu przed rozumowaniem, do którego nie był przyzwyczajony, a które cechowała na równi siła prawdy, wiary i prawdopodobieństwa, rad był uwolnić się od tego tematu udzielając wymijającej odpowiedzi.

–No, no, przyjacielu – rzekł. – Zostawmy tę dysputę; możemy pokosztować wody, kiedy już do niej dotrzemy. Zapamiętaj tylko moje słowa: nie twierdzą, by nie mogła być słodka na powierzchni, bowiem Atlantyk bywa czasami słodki z wierzchu, w pobliżu ujść wielkich rzek; atoli możesz mi ufać, że ci pokażę taki sposób próbowania wody z głębokości wielu sążni, o jakim ci się nie śniło, a wówczas więcej nam będzie w tej mierze wiadomo.

Przewodnik snadź był rad z porzucenia owego tematu, toteż rozmowa przyjęła inny obrót.

–Nie jesteśmy zbyt zarozumiali w rzeczy naszych umiejętności – ozwał się po krótkim milczeniu Tropiciel – i dobrze wiemy, że ludzie, którzy żyją w miastach i nad morzem...

–Na morzu – poprawił Cap.

–...na morzu, jeżeli tak sobie życzysz, przyjacielu, mają możliwości, których nam w puszczy brak. Jednakże znamy nasze powołanie, a jest ono moim zdaniem naturalne, nie wypaczone przez próżność i swawolę. Owóż tedy zdolności moje objawiają się przy strzelbie i na tropie, w śledzeniu zwierzyny i podczas zwiadu, bo chociaż umiem posługiwać się wiosłem i ościeniem, nie pysznię się biegłością ni w jednym, ni w drugim. Ten tam młodzik, Gaspar, co rozmawia z córką sierżanta, jest zgoła inną istotą, bo można o nim powiedzieć, że wodą oddycha niczym ryba. Indianie i Francuzi z północnego brzegu nazywają go Eau-douce z uwagi na jego przymioty w tym względzie. Lepszy jest do wiosła i liny niż do rozpalania ognisk na szlaku.

–Coś jednak musi tkwić w owych zdolnościach, o których pan mówisz – rzekł Cap. – Na przykład przyznać muszę, że to sprawa tego ogniska przekracza moją wiedzę żeglarską. Grot Strzały orzekł, iż dym pochodził z ognia bladych twarzy, a to jest mądrość, która moim zdaniem równa się sterowaniu ciemną nocą przy samym brzegu mielizny.

–Niewielka to tajemnica – odparł Tropiciel śmiejąc się z ogromnym wewnętrznym rozbawieniem, chociaż nawyk zachowania ostrożności nie pozwalał mu wydawać

żadnego odgłosu. – Dla nas, którzy spędzamy życie w wielkiej szkole Opatrzności, nie ma nic łatwiejszego od przyswajania sobie jej nauk. Na tropie, czy też przy przenoszeniu wiadomości przez puszcę, bylibyśmy również bezużyteczni jak wiewiórki, gdybyśmy szybko nie nabywali wiedzy o wszystkich tych tajnikach. Eau-douce, jak go zwiemy, tak się lubuje w wodzie, że na ogień uzbierał parę wilgotnych gałązek, a jak przypuszczam, nawet wy, zwolennicy morza, musicie wiedzieć, że wilgoć daje ciemny dym. Niewielki to sekret, acz wszystko jest tajemnicą dla tego, który nie bada Boga i Jego potężnych zrządeń z pokorą i wdzięcznością.

–Grot Strzały musi mieć bystre oko, by dostrzec tak drobną różnicę.

–Kiepski byłby z niego Indianin, gdyby jej nie dostrzegał. Nie, nie; mamy wojnę, a podczas niej czerwonoskóry posługuje się wszystkimi swoimi zmysłami. Każda odmiana skóry posiada własną naturę, a każda natura ma swoje prawa, jak również swój kolor skóry. Minęło wiele lat, zanim zdołałem opanować te wyższe dziedziny leśnego wykształcenia, albowiem wiedza czerwonoskórych nie przychodzi białoskórej naturze tak łatwo jak to, co ma się podobno zwać wiedzą białych, chociaż niewiele jej posiadam, bo większą część życia spędziłem w puszczy.

–Z tego, jak wybornie rozumiesz się na tych rzeczach, widać, że pojętnym byłeś uczniem, panie Tropicielu. Myślę, że dla człowieka wzyczajonego do morza nie byłoby wielką trudnością połapać się w owych drobiazgach, byleby tylko potrafił skupić na nich myśli.

–Tego nie wiem. Biały człowiek ma pewne trudności w przyswajaniu sobie obyczajów czerwonoskórych, równie jak Indianin w nabieraniu zwyczajów ludzi białych. Co zaś się tyczy prawdziwej natury, to moim zdaniem ani ten, ani tamten nie może w gruncie rzeczy przejąć natury drugiego.

–A jednak my, marynarze, którzy tyle się uganiamy dokoła świata, twierdzimy, że istnieje tylko jedna natura, czy będzie to Chińczyk, czy też Holender. Co do mnie, bardzo się przychyliam do tej opinii, gdyż w ogólności stwierdziłem, że wszystkie narody lubią srebro i złoto, a większość mężczyzn gustuje w tytoniu.

–W takim razie wy, ludzie morza, niewiele wiecie o czerwonoskórych! Znaliście kiedy Chińczyka, który potrafiłby śpiewać pieśń śmierci w chwili, gdy drą go drzazgami i bodą nożem, gdy ogień szaleje wokół jego nagiego ciała, a śmierć zagląda mu w oczy? Dopóki nie zdołacie mi znaleźć Chińczyka lub chrześcijanina, który by to wszystko potrafił, dopóty nie znajdziecie człowieka o naturze czerwonoskórego, choćby się zdawał nie wiedzieć jak dzielny lub umiał czytać we wszystkich księgach, jakie wydrukowano.

–Dzikusy płatają tylko sobie nawzajem takie piekielne figle – rzekł imć Cap rzucając niespokojne spojrzenie na bezkresne sklepienie boru. – Żaden biały nie bywa nigdy

skazany na takie męczarnie.

–A nie, w tym znowu pan się mylisz – odparł Tropiciele, spokojnie wybierając delikatny kęsek mięsiwa. – Znoszenie podobnych udręczeń, jak na dzielnego człowieka przystało, jest wprawdzie właściwością wyłącznie czerwonoskórych, ale i białych – co się już nieraz zdarzało – poddawano takim mękom.

–Na szczęście – rzekł Cap odchrząkując z wysiłkiem, ażeby oczyścić sobie krtań – żaden ze sprzymierzeńców jego królewskiej mości nie popróbuje chyba dopuścić się tak ohydnych okrucieństw na którymkolwiek z wiernych poddanych najjaśniejszego pana. Wprawdzie niedługo służyłem w królewskiej marynarce, alem w niej był, a to coś znaczy; jeśli zaś idzie o kaperowanie nieprzyjacielskich okrętów i ładunków oraz nękanie wroga – zrobiłem, co do mnie należało. Mam jednak nadzieję, że po tej stronie jeziora nie ma francuskich Indian, a zdaje się też, że jak pan wspomniałeś, Ontario to szeroki szmat wody.

–Ech, szeroki jest w naszych oczach – odparł Tropiciele nie starając się ukryć uśmiechu, który rozjaśnił mu twarz opaloną na kolor ceglasty – chociaż obawiam się, że niektórzy mogą uważać go za wąski. A i zaiste wąski jest, gdy idzie o niedopuszczanie nieprzyjaciela. Ontario ma dwa krańce, przeto wróg, który obawia się przeprowić przez jezioro, z całą pewnością obejdzie je dokoła.

–Ach, oto pożytek z tych waszych zatraconych słodkowodnych sadzawek! – burknął Cap i odchrząknął tak rozgłośnie, że zaraz pożałował swej nieostrożności. – Przecież nikt na świecie nie słyszał, żeby jakikolwiek pirat czy okręt okrążył koniec Atlantyku!

–Może ocean nie ma końca?

–Pewnie, że nie ma; a także ni boków, ni dna. Naród, który spokojnie przycumował u jednego z wybrzeży, nie powinien lękać się narodu, co zakotwiczył się po przeciwległej stronie, choćby tamten był nie wiedzieć jak dziki, chyba że posiada sztukę budowania okrętów. Nie, nie! Ludzie, którzy mieszkają na brzegach Atlantyku, nie potrzebują obawiać się o swą skórę czy skalpy. W owych stronach człek może położyć się wieczorem na spoczynek ufając, iż rano znajdzie swe włosy na głowie, jeżeli nie nosi peruki.

–Tutaj nie tak. Nie chcę straszyć tej młodej panienki, nie będę więc wchodził w szczegóły, choć ona jest teraz najwyraźniej zasłuchana w to, co jej prawi Eau-douce. Jednakże myślę, że bez owej edukacji, jaką otrzymałem, byłoby, w tej chwili i w obecnym stanie rzeczy na pograniczu, nader ryzykowne wędrować poprzez teren dzielący nas od fortu. Po naszej stronie Ontario znajduje się mniej więcej tyluż Irokezów, co po drugiej. Z tej właśnie przyczyny sierżant prosił nas, przyjacielu, byśmy przyszli i pokazali wam drogę.

–Co? Czyżby te lotry ważyły się krążyć tak blisko dział jednego z fortów króla jegomości?

–A czyliż kruki nie krążą dokoła padła jelenia, chociaż myśliwiec jest blisko? Wróg przechodzi na tę stronę ze zrozumiałych, przyczyn. Między fortami a osiedlami wędrują zawsze jacyś biali, więc tamci mają pewność, że trafią na ich trop. Wielki Wąż przyszedł tu jedną stroną rzeki, a ja drugą, ażeby wysledzić grasujących łajdaków. Gaspar zaś przyprowadził czółno, jak na takiego śmiałego marynarza przystało. Sierżant ze łzami w oczach tyle mu opowiadał o swoim dziecięciu, o tym, jak serce wyrwa mu się do córki, jaka ona łagodna i posłuszna, że wreszcie chłopak prędzej by rzucił się w pojedynkę w środek obozu Mingów, niż tutaj nie przyszedł z nami.

–Wdzięczni mu jesteśmy, a za jego gotowość mamy o nim tym lepsze mniemanie, choć mimo wszystko nie myślę, by narażał się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

–Tylko na to, że mogli go ustrzelić z ukrycia, kiedy przeprowiał się czółnem przez bystrzyny albo wypływał z za zakrętu rzeki, mając oczy utkwione w wir. Ze wszystkich ryzykownych wypraw najryzykowniejszą jest, moim zdaniem, podróż rzeką, na której urządzono zasadzkę – a na to właśnie naraził się Gaspar.

–Więc czemuż, u diabła, sierżant wzywał mnie, bym podróżował sto pięćdziesiąt mil w tak zakazanych warunkach? Dajcie mi szerokie wody i dobrze widocznego nieprzyjaciela, a poigram z nim, ile mu się tylko spodoba, z daleka czy burta w burtę; ale pozwolić się ustrzelić jak śpiący żółw, to mi nie w smak. Gdyby nie ten mój mały Magnesek, zaraz bym zmienił kurs, zawrócił do Jorku i machnął ręką na to Ontario, czy słoń ma wodę, czy słodką!

. – To by niewiele pomogło, przyjacielu marynarzu, bo droga powrotna jest znacznie dłuższa i niemal równie paskudna jak ta, którą masz przed sobą. Zaufaj nam, a przeprowadzimy was bezpiecznie albo stracimy skalpy.

Stary marynarz nosił włosy ciasno splecione w harcap owinięty skórą węgorza, natomiast czubek głowy miał prawie łysy; teraz bezwiednie przesunął ręką po jednym i drugim, jak gdyby chcąc się upewnić, że wszystko jest na, swoim miejscu.

–Nie wątpię, Tropicielu – odpowiedział, gdy owe myśli przeleciały mu przez głowę – że dotrzemy do przystani zdrowi i cali. Jak daleko może być stąd do fortu?

–Nieco ponad piętnaście mil, a i szybkie to mile, jeżeli Mingowie nas przepuszczą, ho rzeka wartko płynie.

–I pewnie po sterborcie i bakborcie ciągną się lasy, jak dotąd?

–Co, proszę?

–Mówię, że będziemy musieli przeciskać się między tymi drzewami.

–Nie, nie. Popłyniemy czołnem, bo wojsko usunęło z Oswego drzewa obalone przez powódź. Czołno przejdzie swobodnie, i to z bystrym prądem.

–A któż przeszkodzi tym minogom, o których pan mówisz, ustrzelić nas, gdy będziemy opływali jakiś przylądek albo też zajmiemy się wymijaniem skał?

–Najwyższy! Ten, który tak często dopomagał innym w jeszcze większych trudnościach. Wiele już, wiele razy odarto by mi czaszkę ze skóry i włosów, gdyby Pan Bóg nie walczył po mojej stronie. Nie ma wypadku, bym szedł do potyczki, przyjacielu marynarzu, nie myśląc o tym wielkim sprzymierzeńcu, który więcej może zdziałać w bitwie niż wszystkie bataliony sześćdziesiątego pułku, choćby je ustawiono razem w jednej linii.

–Tak, tak, wszystko to może być dobre dla jakiegoś zwiadowcy, ale my, marynarze, lubimy widzieć przed sobą otwarte morze i iść do akcji nie mając nic na głowie prócz roboty, która nas czeka: cała burta armat do obsługi, żadnych drzew ani skał, co by zaśmiecały wodę.

–Ani Boga, zapewne, gdyby tak prawdę powiedzieć. Wierz mi na słowo, mości Cap: żadna bitwa nie wypadła gorzej z tej racji, że miało się Boga po swojej stronie. Spójrz na głowę Wielkiego Węża; możesz tam dojrzeć długi ślad noża przy lewym uchu. Otóż owego dnia jedynie kula z tej mojej długiej strzelby uratowała mu skalp, bo już go zaczęto zdejmować i gdyby upłynęło jeszcze pół minuty, Wąż straciłby swój czub wojenny. Kiedy Mohikanin ściska mi rękę i napomyka, żem mu się w ten sposób przysłużył, zaprzeczam, gdyż to Bóg poprowadził mnie na jedyne miejsce, z którego mogłem to uczynić, czy też rozpoznać, w jakiej jest opresji. Pewnie, że kiedym znalazł się na właściwym stanowisku, dokończyłem sprawy już z własnej woli. Albowiem widok przyjaciela pod tomahawkim każe człowiekowi myśleć szybko i działać bez zwłoki, jak to było w owym przypadku; inaczej duch Węża przebywałby w tej chwili -na łowach w szczęśliwej krainie praojców.

–No, Tropicielu, ta gadanina jest gorsza niż obłupienie człeka ze skóry, od dzioba do rufy. Mamy przed sobą zaledwie kilka godzin słońca, więc lepiej będzie posterować, dopóki można, po owym potoku. Magnesku miły, gotowyś do wyruszenia w drogę?

Mabel drgnęła, zarumieniła się mocno i jęła czynić przygotowania do niezwłocznego odejścia. Z przytoczonej dopiero co rozmowy nie słyszała ani słowa, gdyż Eau-douce – jak najczęściej zwano młodego Gaspara – napełniał jej uszy opisami dalekich jeszcze stron, do których zmierzała, opowieściami o ojcu nie widzianym od dziecka, o życiu ludzi mieszkających w pogranicznych garnizonach. Mimowiednie zaciekawiała się tym głęboko, a myśli jej zbyt się skupiły na owych rzeczach, by mniej przyjemne

sprawy, omawiane przez dwóch siedzących obok mężczyzn,' mogły dotrzeć do jej świadomości. Krzątanka poprzedzająca odmarsz położyła kres rozmowie, a że zwiadowcy, czyli przewodnicy posiadali znikome bagaże, w kilka minut cała grupa gotowa była do drogi.

Jednakże gdy już mieli opuścić owo miejsce, Tropiciel, ku zdziwieniu nawet swych towarzyszy-przewodników, uzbierał pewną ilość gałęzi i rzucił je na żar ogniska; postarał się znaleźć kilka wilgotnych, ażeby dym był jak najgęstszy i najciemniejszy.

–Gdy da się ukryć własny trop, Gasparze – powiedział – dym z opuszczonego biwaku może przynieść korzyść miast szkody. Jeżeli w promieniu dziesięciu mil znajduje się choć tuzin Mingów, niektórzy z nich siedzą na wyniosłościach albo na drzewach i wypatrują dymów. Niechże więc zobaczą ten, a wiele na tym skorzystają. Będą mogli uraczyć się resztkami, które zostawimy po sobie.

–Ale czy potem nie ruszą naszym śladem? – zapytał młodzieniec, którego zainteresowanie grożącym niebezpieczeństwem poważnie wzrosło od czasu spotkania się z Mabel. – Pozostawimy szeroką ścieżkę wydeptaną ku rzece.

–Im szersza będzie, tym lepsza. Kiedy Mingowie już dojdą na miejsce, nawet ich spryt nie wystarczy, by orzec, w którą stronę popłynęło czółno: w dół czy też w górę rzeki. Woda jest w przyrodzie jedyną rzeczą, która całkowicie zaciera ślady, a nawet i ona nie zawsze to zdoła uczynić, jeżeli zapach jest mocny. Alboż nie pojmujesz, Eau-douce, że jeśli jacyś Mingowie znaleźli nasz trop poniżej wodospadów, podkradną się w stronę tego dymu i naturalnie wywnioskują, że ci, którzy zaczęli iść w górę rzeki, będą i nadal szli w tymże kierunku? Jeżeli się już o czymś zwiedzieli, to o tym, że z fortu wyruszyła grupka ludzi; a nawet Mingowie nie będą sobie wyobrażać, że ryzykując nasze skalpy przyszliśmy tu jedynie dla przyjemności powrotu, i to tego samego dnia.

Gaspar, który z Tropicielem rozmawiał na stronie, dorzucił, kiedy zbliżali się do pokosu:

–Z pewnością nie mogą nic wiedzieć o córce pana sierżanta, bo co do niej zachowało się największą tajemnicę.

–I niczego się tu nie dowiedzą – odparł Tropiciel pokazując swemu towarzyszowi, że stąpa z najwyższą starannością po śladach, jakie pozostawiła na liściach drobna nóżka Mabel – chyba że ta stara słonowodna ryba oprowadzała swą siostrzeniczkę po pokosie niczym jelonka, co baraszkuje u boku starej łani.

–Starego byka, chciałeś powiedzieć, Tropicielu.

–Cóż to za cudak! Przecież mogę obcować z takim marynarzem jak ty, Eau-douce, i nie znajduję w naszych umiejętnościach nic szczególnie sprzecznego, choć twoje

przejawiają się na jeziorach, a moje w lasach... Słuchaj no, Gaspar – ciągnął śmiejąc się bezgłośnie – a może by tak wypróbować jego hart i spłynąć z nim wodospadem?

–Ale co tymczasem zrobić z nadobną siostrzeniczką?

–Nie, nie, nic złego jej się nie stanie; tak czy owak musi obejść wodospad po suchym lądzie, natomiast my dwaj możemy wypróbować tego atlantyckiego oceanicyka, a wtedy wszyscy się lepiej poznają. Przekonamy się, czy kosa nie trafiła na kamień, a on dowie się coś niecoś o sztuczkach z pogranicza.

Młody Gaspar uśmiechnął się, nie był bowiem przeciwny zabawie, a i trochę dotknęła go wyniosłość Capa; jednakże śliczna twarz, lekka i zwiewna postać oraz zniewalające uśmiechy Mabel stały niby tarcza pomiędzy wujem dziewczyny a zamierzonym eksperymentem.

–Córka pana sierżanta może się przestraszyć – powiedział młodzieniec.

–Co to, to nie, jeżeli ma choć odrobinę ducha swojego ojca. Wcale mi nie wygląda na bojaźliwą. Zostaw to mnie, Eau-douce, a ja już dam sobie radę.

–Nie, Tropicielu; ty byś ich oboje utopił. Jeżeli czólno ma przejść przez wodospad, ja muszę płynąć na nim.

–Niech i tak będzie, wypalmy zatem fajkę pokoju na dowód, że sprawa załatwiona.

Gaspar roześmiał się, kiwnął głową na znak zgody, po czym nie mówili już więcej na ten temat, gdyż cała grupka dotarła do tak często wspomnianego czólna, a znacznie ważniejsze sprawy ustalone zostały między obu stronami za pomocą o wiele mniej licznych słów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dziś pług zaorał pola, które przedtem

Ku brzegom rzeki falowały łanem,

Melodia wody wypełniała szeptem

Szumiące bory, puszcze nieprzejrzane:

I strumyk pluskał, i strumień się pienił,

I źródła biły w cienistej zieleni.

BRYANT

Powszechnie to wiadomo, że wody spływające do jeziora Ontario od strony południowej są na ogół wąskie, leniwe i głębokie. Istnieją pewne wyjątki od tej reguły, gdyż wiele z owych rzek ma wartkie prądy, czyli „bystrzyny”, jak zowią je w tamtych stronach, kilka zaś i wodospady. Do takich należała rzeka, po której obecnie podróżowali nasi bohaterowie.

Oswego utworzona jest przez połączenie Oneidy i Onondaga, przy czym obie te rzeki wypływają z jezior; na długości ośmiu lub dziesięciu mil biegnie ona przez łagodnie pofalowaną okolicę, po czym dociera do krawędzi czegoś w rodzaju naturalnego tarasu, z którego spada jakieś piętnaście stóp w dół, na niższy poziom, i tam dalej spływa cichym, spokojnym nurtem właściwym głębokiej wodzie, aż wreszcie wlewa się do ogromnego zbiornika Ontario. Czółno, którym Cap oraz jego towarzysze podróżowali z Fort Stanwix, ostatniego wojskowego posterunku na Mohawku, wyciągnięte było na brzeg owej rzeki i w nim właśnie zajęli obecnie miejsca wszyscy z wyjątkiem Tropiciele, który pozostał, by zepchnąć lekką łódkę na wodę.

–Niech spłynie rufą w dół rzeki, Gasparze – powiedział mieszkaniec puszczy do młodego marynarza z jeziora, który odebrał wiosło z rąk Grota Strzały i zajął miejsce w tyle czółna jako sternik. – Trzeba się dać znieść prądowi. Jeżeli któryś z tych piekielników, Mingów, natknie się na nasz trop i dojdzie aż tutaj, nie omieszka poszukać śladów na błocie; a jeśli wówczas odkryje, że odbiliśmy od brzegu dziobem czółna w górę rzeki, przypuści całkiem naturalnie, żeśmy w tym właśnie kierunku popłynęli.

Zastosowano się do tej wskazówki, a Tropiciel, którego siły i energia były w pełnym rozkwicie, pchnął tęgo, podskoczył i wylądował lekko na dziobie czółna, nie

zakłócając jego równowagi. Gdy tylko dotarli do środka rzeki, czyli do miejsca, gdzie prąd był najsilniejszy obrócili czołno, które poczęło bezgłośnie sunąć z nurtem.

Łódź, którą Cap i jego siostrzenica wyprawili się w tę długą i pełną przygód podróż, była jednym z owych czołen z kory, jakie zwykli budować Indianie. Dzięki swojej niezwyklej lekkości i łatwości manewrowania nadają się one wybornie do żeglugi, w czasie której tak często spotyka się ławice, pnie drzew, wyrwanych, przez powódź, i inne podobne przeszkody. Dwaj mężczyźni, którzy początkowo stanowili załogę czołna, parokrotnie już przenosili je, opróżnione z bagażu, na odległość wieluset jardów, a podniesienie go z miejsca nie przekraczało sił jednego człowieka. Mimo to było ono długie i jak na czołno, szerokie, a w oczach ludzi nie wtajemniczonych główną jego wadą był brak stateczności. Jednakże kilkogodzinna praktyka w znacznej mierze zaradziła owemu złu, toteż zarówno Mabel, jak i wuj Cap tak dalece nauczyli się stosować do ruchów łódki, że teraz z całkowitym spokojem ducha siedzieli na swoich miejscach. Dodatkowy ciężar trzech przewodników nie wystawił też czołna na jakąś szczególniejszą próbę, albowiem szerokość zaokrąglonego dna pozwalała wyprzeć niezbędną ilość wody, nie przybliżając zbytnio krawędzi burt do powierzchni rzeki. Łódź wykonana była zgrabnie: wręgi miała małe i umocowane rzemieniami, a całość, chociaż na oko niewielka, mogłaby pomieścić jeszcze dwa razy więcej ludzi.

Cap siedział na niskiej ławeczce pośrodku czołna, obok zaś klęczał Wielki Wąż. Grot Strzały i jego żona zajmowali miejsca przed nimi, gdyż Tuskarora opuścił był swoje stanowisko na tyle. Mabel na wpół leżała za wujem, a Tropiciel oraz Eau-douce stali wyprostowani, pierwszy na dziobie, drugi na rufie, wiosłując długimi, równymi, bezgłośnymi ruchami. Rozmowę toczono zniżonym głosem, gdyż wszyscy zaczęli czuć, że ostrożność jest konieczna, w miarę jak się zbliżali do przedpoła fortu nie mając już osłony, którą im dawał las.

Oswego była w tym miejscu głęboką, ciemną rzeką niewielkiej szerokości, a jej spokojne, posępne nurty wiły się pośrodku zwisających gałęzi drzew, które tu i ówdzie nieledwie przesłaniały światło niebios. Gdzieniegdzie jakowyś wpół obalony olbrzym leśny spoczywał niemal na jej powierzchni, co wymagało uwagi przy wymijaniu jego konarów, a na prawie całej długości rzeki jej wody obmywały co niższe gałęzie i liście pomniejszych drzew. Umieszczony jako motto tego rozdziału piękny opis pióra naszego wspaniałego poety przybierał tutaj kształt rzeczywisty; ziemia tłusta od przegniłej, wielowiekowej roślinności i czarna od iltu rzeka, niemal wylewająca się z brzegów, oraz „Szumiące bory, puszcze nieprzejrzone” były widoczne dla oka równie żywo, jak ukazane zostały wyobraźni przez pióro Bryanta. Krótko mówiąc, cały ów widok przedstawiał bogatą a dobrotliwą naturę przed nagięciem jej do potrzeb i wymagań człowieka – bujną, dziką, pełną obietnic, nie pozbawioną uroku malowniczości nawet w swym najpierwotniejszym stanie.

Pamiętać należy, że działo się to w latach tysiąc siedemset pięćdziesiątych, czyli na

długo przedtem, nim spekulacja wciągnęła jakąkolwiek część kolonii Nowy Jork w obręb cywilizacji. W owych odległych czasach istniały dwa wielkie wojskowe szlaki komunikacyjne między zamieszkałą częścią kolonii Nowy Jork a pograniczem Kanady: jeden wiódł poprzez jeziora Champlain i George, drugi przez Mohawk, Wood Creek, Oneidę oraz te rzeki, któreśmy opisywali. Wzdłuż obu tych szlaków komunikacyjnych pozakładano wojskowe placówki, lecz między ostatnim fortem u źródła Mohawku a ujściem Oswego istniała stumilowa luka, obejmująca większą część przestrzeni, którą Cap i Mabel przebyli pod opieką Grota Strzały.

–Czasami pragnę już zawarcia pokoju – powiedział Tropiciel – aby człek mógł znowu przemierzać lasy nie wypatrując żadnego wroga oprócz zwierzyny i ryb. Mój Boże! Niejeden dzień przeżyliśmy z Wężem szczęśliwie wśród rzek, żywiąc się mięsem jelenia, łososiem i pstrągiem, nie myśląc ni razu o Mingach czy skalpach! Chwilami pragnę, by mogły powrócić owe dni błogostawione, bo w gruncie rzeczy nie mam skłonności do mordowania bliźnich. Przypuszczam, że córka pana sierżanta nie uważa mnie za nikczemnika lubującego się w żerowaniu na ludzkich istotach?

Wypowiedziawszy te słowa na poły pytającym tonem, Tropiciel obejrzał się i chociaż najbardziej stronniczy przyjaciel z trudnością uznałby tę ogorzałą i twardo ciosaną twarz za przystojną, przecie jego uśmiech wydawał się Mabel miły przez swą prostotę, szczerść i prawość, jakie promieniały z każdego rysu jego uczciwego oblicza.

–Nie sądzę, aby mój ojciec przysyłał kogoś takiego, jak pan opisujesz, dla przeprowadzenia córki przez puszcę – odpowiedziała odwzajemniając się Tropicielowi równie szczerem, lecz o wiele słodszy uśmiechem.

–Tego by nie uczynił; sierżant jest człekiem zacnym, a wieleśmy wspólnie odbyli pochodów i walk – bijąc się ramię w ramię, jak on by to powiedział – chociaż ja osobiście zawsze zachowuję swobodę ruchów, kiedy się znajdę blisko Francuza lub Minga.

–Pan zatem jesteś owym młodym przyjacielem, o którym ojciec tak często w swych listach wspominał?

–Młodym przyjacielem? Sierżant ma nade mną wyższość trzydziestu lat; tak, jest ode mnie o trzydzieści lat starszy, a zatem o tyleż lepszy.

–Chyba nie w oczach córki, przyjacielu – wtrącił Cap, który zaczynał odzyskiwać dobry humor, kiedy znów ujrzał wodę płynącą dokoła. – Trzydzieści lat, o których mówisz, nieczęsto jest zaletą w oczach dziewiętnastoletnich dziewcząt.

Mabel zarumieniła się, a odwracając twarz, aby uniknąć wzroku osób siedzących na dziobie czółna, napotkała pełne zachwyty spojrzenie młodzieńca, który stał na rufie.

Wobec tego jej bystre, lecz łagodne modre oczy poszukały ostatecznej ucieczki w wodzie. Właśnie w tej chwili głuchy, ciężki odgłos przeniknął wskroś utworzonej przez drzewa alei, niesiony lekkim powiewem, który zaledwie marszczył toń rzeki.

–To brzmi przyjemnie – rzekł Cap nadstawiając uszu niby pies, który słyszy dalekie ujadanie ogarów. – Pewnie to fale rozbijające się, o brzeg waszego jeziora?

–Bynajmniej, bynajmniej – odparł Tropiciel. – To tylko ta rzeka przelewa się przez skały o pół mili przed nami.

–Czy tam jest wodospad? – spytała Mabel, a jeszcze silniejszy rumieniec rozgorzał na jej policzkach.

–Do diaska! Mości Tropicielu, albo ty, panie Eau-douce – tak bowiem Cap zwracał się teraz do Gaspara. – Czy nie byłoby lepiej zboczyć z kursu i zbliżyć się do brzegu? Przed tymi wodospadami bywają zazwyczaj wartkie prądy, a człowiek może równie dobrze od razu wpłynąć w Maelstrom, jak dać im się wessać.

–Zaufaj nam, przyjacielu – odparł Tropiciel. – Jesteśmy wprowadzić tylko słodkowodnymi marynarzami, a ja nawet i tym nie bardzo się mogę poszczycić, lecz rozumiemy się na bystrzynach, prądach i kataraktach, a spływając po nich postaramy się nie przynieść wstydu naszym umiejętnościom.

–Spływając po nich? – wykrzyknął Cap. – Do diabła, człowieku! Chyba nie myślisz spływać po wodospadzie w tej łupinie z kory?

–Ależ oczywiście; droga wiedzie przez wodospad, a znacznie jest łatwiej przeskoczyć go, niż rozładowywać czołno i nieść je wraz z całą zawartością obejściem długim na milę.

Mabel zwróciła swoje pobladłe lico ku młodzieńcowi stojącemu na rufie czołna, albowiem właśnie w tej chwili nowy powiew przyniósł do jej uszu ryk wodospadu, który zaiste brzmiał teraz straszliwie, kiedy przyczyna była już znana.

–Myśleliśmy, że wysadziwszy na ląd kobiety i obu Indian – zauważył spokojnie Gaspar – my trzej biali, którzy wszyscy jesteśmy otrzaskani z wodą, zdołamy bezpiecznie spłynąć czołnem, albowiem często robimy to na tych wodospadach.

–I liczyliśmy na pana, przyjacielu marynarzu, jako na główną podporę – powiedział Tropiciel mrugając przez ramię do Gaspara – gdyż zwykła to rzecz dla ciebie widzieć kotłujące się wokół fale, a jeśli nie będzie kogoś, kto by przytrzymał ładunek, wszystkie cudeńka panny sierżantówny mogą być zmyte do rzeki i przepaść.

Cap był zbity z tropu. Pomysł przeprawy przez wodospad wydawał mu się rzeczą poważniejszą niż komuś całkowicie nie obeznanemu z łodziami, rozumiał bowiem

potęgą żywiołu i zupełną bezradność człowieka, wystawionego na jego furię. Mimo to jednak дума marynarza buntowała się na myśl o opuszczeniu łodzi w chwili, gdy inni nie tylko spokojnie, lecz nawet obojętnie postanowili w niej pozostać. Atoli na przekór owemu uczuciu oraz wrodzonemu i nabytemu opanowaniu w obliczu niebezpieczeństwa, byłby zapewne porzucił swój posterunek, gdyby nie fakt, że obrazy Indian odzierających ludzkie głowy ze skalpów tak przemożnie opanowały jego wyobraźnię, iż skłaniały go do uznania czółna za coś w rodzaju nietykalnego schronienia.

–A co zrobimy z Magneskiem? – zapytał, gdyż uczucie dla siostrzenicy zbudziło nowe skrupuły w jego sumieniu. – Nie możemy pozwolić jej wylądować, jeżeli w pobliżu są wrody Indianie!

–Nie, żaden z Mingów nie będzie przebywał koło wodospadu, bo jest to zbyt uczęszczane miejsce jak na ich ciemne sprawy – odparł z przekonaniem Tropiciel. – Natura robi swoje, a już leży w naturze Indian, że tam się ich znajduje, gdzie są najmniej spodziewani. Nie ma obawy, aby ich spotkać na utartej ścieżce, bo wolą spaść na człowieka, kiedy jest na to zgołą nie przygotowany, a owe piekielniki mają za punkt honoru zwodzić nas w ten czy inny sposób. Skręcaj, Eau-douce, wysadzimy pannę ma końcu tego pnia, po którym może suchą nogą dotrzeć do brzegu.

Gaspar usłuchał tego polecenia i w parę minut później wszyscy opuścili czółno z wyjątkiem Tropicieła i obu marynarzy. Mimo swej zawodowej dumy Cap chętnie uczyniłby to samo, lecz nie chciał okazywać tak niedwuznacznej słabości wobec słodkowodnego żeglarza.

–Wzywam wszystkich na świadków – powiedział, gdy ci, co wylądowali poczęli się oddalać – że nie uważam tego przedsięwzięcia za nic więcej, jak tylko pływanie czółnem po lasach. W przeszkakiwaniu wodospadu nie masz nic marynarskiego, jest to bowiem czyn, którego może dokonać zarówno najniezdarniejszy majtek, jak i najstarszy z żeglarzy.

–Nie, nie; nie powinieneś pan lekceważyć -wodospadów Oswego – wtrącił Tropiciel, – bo choć to może nie Niagara ani Genessee, ani Cahoos, ani Glenn czy owe kanadyjskie, (przecie są dość niespokojne jak dla początkującego. Niech córka sierżanta stanie na tamtej skale, a zobaczy, jak my, ciemni, leśni ludzie pokonujemy przeszkodę, której nie możemy wyminąć. A teraz, Eau-douee, miejże pewną rękę i bystre oko, boć wszystko spoczywa na tobie, skoro możemy uważać imć Capa jedynie za pasażera.

Kiedy domawiał tych słów, czółno odbiło od brzegu, a Mabel z drżeniem serca pośpieszyła na wskazaną skałę mówiąc swej towarzyszce coś na temat niebezpieczeństwa, na które wuj tak niepotrzebnie się naraża. Wzrok miała przykuty do zwinnej i krzepkiej postaci Gaspara, który, wyprostowany na rufie lekkiego

czółna, kierował jego ruchami. Jednakże zaledwie dotarła do miejsca, z którego mogła objąć wzrokiem cały wodospad, wyrwał jej się stłumiony okrzyk, po czym zakryła dłońmi oczy. W następnej chwili jednak odsłoniła je znowu i wówczas, urzeczona widokiem, stanęła nieruchomo jak posąg, z zapartym, tchem śledząc to, co się działo.

Obaj Indianie zasiedli obojętnie na pniu, prawie nie patrząc w stronę rzeki, natomiast żona Grota Strzały podeszła do Mabel i jęła przyglądać się czółnu z zaciekawieniem dziecka, obserwującego skoki pajaca.

Gdy tylko łódka znalazła się w nurcie, Tropiciel przyklęknął i dalej wiosłował, lecz czynił to powoli i tak, aby nie przeszkadzać wysiłkom swego towarzysza. Ów wciąż stał wyprostowany, a ponieważ nie odrywał oczu od jakiegoś punktu znajdującego się poza wodospadem, widoczne było, że starannie wypatruje miejsca stosownego do przeprawy.

–Bardziej na zachód, na zachód, chłopcze – szepnął Tropiciel. – Tam, gdzie widać spienioną wodę. Podprowadź łódź na wysokość tego suchego dębu i pnia zwałonego świerka.

Eau-douce nic nie odpowiedział, gdyż czółno znalazło się na środku rzeki, zwrócone dziobem ku wodospadowi, i już poczęło nabierać szybkości dzięki wzmożonej sile prądu. W tej chwili Cap byłby się chętnie wyrzekł wszelkiej chwały, jaką mógł zyskać owym czynem, byleby znaleźć się znowu bezpiecznie na lądzie. Słyszał ryk wody, grzmiący jakby spoza jakowejś zasłony, lecz coraz to wyraźniejszy, coraz głośniejszy – przed sobą zaś widział jej krawędź, która przecinała rosnący poniżej las, a wzdłuż której zielony, rozsierdzony żywioł rozlewał się i lśnił, jak gdyby jego cząsteczki miały utracić wszelką spoistość.

–Ster na burtę, w dół go, człowieku! – wykrzyknął, nie mogąc dłużej powściągnąć lęku, gdy czółno poczęło sunąć ku samej krawędzi wodospadu.

–Tak, tak; w dół, nie ma co gadać! – odparł Tropiciel oglądając się na moment ze swym cichym, wesołym śmiechem. – W dół walimy, jako żywo! Podnieś rufę czółna, chłopcze, wyżej rufę!

Teraz już wszystko przemknęło szybko jak wiatr. Eau-douce zagarnął wiosłem, tak jak tego żądano, czółno śmignęło w nurt i przez kilka sekund wydało się Capowi, że go podrzucają w kipiącym kotle. Uczuł, że dziób łódki przechyla się raptownie, dostrzegł rozszalałą, spienioną wodę gnającą wściekle mimo, przez chwilę miał świadomość, że lekka łupina, w której płynie, podskakuje niby skorupka jajka, a potem, ku swej radości i zdziwieniu, stwierdził, że czółno sunie przez połać spokojnej wody pod wodospadem, równomiernie popychane ruchami wiosła Gaspara.

Tropiciel śmiał się nadal, lecz teraz powstał z klęczek, odszukał cynowy dzbanek oraz łyżkę rogową i począł niespiesznie odmierzać ilość wody, która dostała się do łodzi podczas przeprawy.

–Czternaście łyżek, Eau-douce, czternaście uczciwie odmierzonych łyżek. Przyznać musisz, że jak mi wiadomo, spływałeś już zaledwie z dziesięcioma.

–Pan Cap tak silnie odchyłał się do tyłu – odparł Graspar – że miałem trudności z wyrównaniem czoła.

–Może to być, i pewnie było, skoro tak mówisz, ale pamiętam, żeś tego dokazywał tylko z dziesięcioma.

Cap odchrząknął teraz potężnie, pomacał swój harcap, jak gdyby chciał się upewnić, że jest w porządku, po czym obejrzał się, aby zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, przez które przeszedł. Łatwo wyjaśnić fakt, że był zdrów i cały. Większa część wód rzeki spadała pionowo dziesięć czy dwanaście stóp w dół, jednakże w pobliżu jej środka siła prądu tak dalece wyłobiła skałę, że woda mogła mknąć poprzez przesmyk pod kątem czterdziestu lub czterdziestu pięciu stopni. Tym właśnie karkołomnym przejściem prześliznęło się czoło pośród potrzaskanych złomów skalnych, wirów pian i wściekłego rozkołobania żywiołu, który – jak mógłby mniemać ktoś nieświadomy rzeczy – zagrażał nieuchronną zagładą tak wątlej łupinie. Jednakże właśnie lekkość czoła sprzyjała przedsięwzięciu, albowiem niesione na grzywach fal, a kierowane pewnym okiem i muskularnym ramieniem, przeskakiwało jak piórko z jednego kłębowiska pian na drugie, zaledwie muskając wodę swym lśniącym kadłubem. Trzeba było wyminąć parę skał, ściśle pilnować kierunku, reszty zaś dokonał zaciekły prąd*[\[1\]](#).

Powiedzieć, że Cap był zdumiony, znaczyłoby to określić nader połowicznie jego uczucia; był oniemiały, albowiem głęboka obawa przed skałami, jaką żywią wszyscy marynarze, przyszła w sukurs podziwowi dla śmiałości czynu. Mimo to nie chciał dać wyrazu swoim uczuciom, mogłoby to być bowiem zbyt wielkim ustępstwem na rzecz słodkiej wody i śródlądowej żeglugi; toteż zaledwie oczyścił sobie krtani wyżej wspomnianym chrząknięciem, rozpuścił znowu język w zwykłym swym tonie wyższości.

–Nie neguję ci znajomości kanału, Eau-douce, a było nie było, znać kanał w takim miejscu, to rzecz najważniejsza. Miewałem już sterników, którzy potrafiliby przemknąć się tędy, gdyby tylko znali kanał.

–Nie dosyć go znać – rzekł Tropiciel. – Trzeba mieć zimną krew i zręczność, aby utrzymać czoło w równowadze, a także wyminąć skały. Z całą pewnością poza Eau-douce'em nie ma w tych stronach drugiego marynarza, który potrafiłby tak się przepawić przez Oswego, chociaż od czasu do czasu ten i ów próbuje. Ja sam

mogę to uczynić jeno z pomocą Opatrzności, ale trzeba ręki i oka Gaspara, by przemknąć się na sucho. Bądź co bądź czternaście łyżek to niewiele, choć wolałbym, aby ich było tylko dziesięć, zważywszy, że przygląda się temu córka sierżanta.

–A jednak pan kierowałeś czółnem, mówiłeś, jaki brać kierunek i kiedy skręcać.

–Ludzka to słabość, mości marynarzu, odrobina białoskórej natury. Gdyby w tej łodzi był Wielki Wąż, nie wyrzekłby ani słowa, nie wypowiedziałby głośno ani jednej myśli. Indianin potrafi trzymać język za zębami, natomiast my, biali, wyobrażamy sobie zawsze, żeśmy mądrzejsi od naszych bliźnich. Leczę się pilnie ze swej słabości, lecz trzeba czasu, ażeby wykorzenić drzewo, co rosło od lat z górą trzydziestu.

–Niewysokie mam mniemanie o całej tej sprawie, mój dobrodzieju; właściwie żadne, żeby tak szczerze powiedzieć. To drobiazg w porównaniu z przepłynięciem pod Mostem Londyńskim, a przecie co dnia robi to setki osób, często najdelikatniejsze damy z całego kraju. Ba, nawet najjaśniejszy pan swoją królewską osobą tego dokonał.

–No, wolałbym nie widzieć dam delikatnych ani też królewskiego majestatu (oby mu Bóg błogosławił), przepływających się czółnem przez ten wodospad, albowiem zboczenie o szerokość łodzi może się skończyć utonięciem. Eau-douce, będziemy jeszcze musieli przeprowić krewniaka sierżanta przez Niagarę, ażeby mu pokazać, co można zdziałać na pograniczu.

–Diabła tam! Mości Tropicielu, chyba żartujesz! Przecie niepodobna, by czółno z kory mogło przepłynąć ową potężną kataraktę.

–W życiu się pan bardziej nie myliłeś. Nie ma nic łatwiejszego, i sam na własne oczy widziałem niejedno czółno, które tego dokazywało; jeżeli obaj dożyjemy, mam nadzieję przekonać cię jeszcze, że da się to uczynić. Co do mnie, sądzę, że nawet największy okręt, jaki kiedykolwiek pływał po oceanie, mógłby tamtędy przejść, gdyby zdołano wprowadzić go w prąd.

Cap nie zauważył mrugnięcia, jakie Tropiciel wymienił z Gasparem, i przez czas pewien zachowywał milczenie, bo nigdy nie podejrzewał, aby istniała możliwość spłynięcia w dół Niagarę, jakkolwiek po namyśle rzecz musi się wydawać łatwa każdemu, prawdziwa trudność bowiem polegała na przedostaniu się w górę.

Tymczasem dotarli już do miejsca, gdzie Gaspar pozostawił własne czółno ukryte w zaroślach, toteż wszyscy znów powiadali: Gaspar i Cap z siostrzenicą do jednej łódki, a Tropiciel, Grot Strzały i jego żona do drugiej. Mohikanin już przeszedł brzegiem w dół rzeki, rozglądając się z właściwą swemu plemieniu bystrością za śladami nieprzyjaciela.

Policzki Mabel nie odzyskały pełnego rumieńca aż do chwili, gdy czołno znalazło się znowu w prądzie, z którym pomknęło chyżo, od czasu do czasu popędzane wiosłem Gaspara. Dziewczyna śledziła była przeprawę przez wodospad z przerażeniem, które odjęło jej mowę; wszelako lęk nie był dość wielki, aby w owo przelotne uczucie grozy nie wkraść się podziw dla dzielności młodzieńca, który kierował łodzią. Po prawdzie, kogoś nawet znacznie mniej wrażliwego musiałby poruszyć spokój i odwaga, z jaką Gaspar dokonał owego trudnego czynu. Stał prosto i pewnie, chociaż łódź nurkowała w dół, a dla przyglądających się z brzegu było oczywiste, że dzięki użytej przezeń w porę zręczności i sile, czołno otrzymało pchnięcie, pozwalające mu wyminąć skałę, przez którą przewalała się fontannami kipiel – to ukazując oczom brunatny zrąb kamienny, to znów przesłaniając go zbeltaną płachtą wody, jak gdyby żywiol wprowadzony był w ruch przez jakąś maszynę.

Język nie zawsze może wyrazić to, co oglądają oczy, lecz Mabel dość widziała, nawet w owym momencie przestachu, by w jej umyśle wyrył się na zawsze obraz nurkującej łodzi i jej nieustraszonego sternika. Pozwoliła owładnąć sobą owemu, uczuciu, które tak niepostrzeżenie wiąże niewiastę z mężczyzną, budząc świadomość bezpieczeństwa, jakie znajduje ona pod jego opieką. Jakoż po raz pierwszy od czasu opuszczenia Fort Stanwix poczuła się zupełnie rażno w wątlej łódeczce, którą podróżowała. Ponieważ jednak drugie czołno trzymało się blisko, a Tropiciel, płynąc obok dziewczyny, najbardziej nasuwał jej się na oczy, więc głównie z nim prowadziła rozmowę. Gaspar rzadko odzywał się nie pytany i ustawicznie objawiał przy manewrowaniu łodzią ostrożność, którą musiał zauważyć każdy, kto był przyzwyczajony do zwykłej mu, ufnej beztroski.

–Zbyt dobrze wiemy, jak słabe są niewiasty, by myśleć o przeprowianiu wodospadem córki pana sierżanta – mówił Tropiciel spoglądając na Mabel, choć zwracał się do jej wuja – aczkolwiek znam kilka osób jej płci, które nie zawahały się tego uczynić.

–Mabel jest wątego ducha, podobnie jak jej matka – odparł Cap – toteż dobrze zrobiłeś, przyjacielu, żeś wziął pod uwagę jej słabość. Pamiętać musisz, że to dziecię nie było jeszcze na morzu.

–Nie, niełatwo to dostrzec; po pańskiej nieustraszonej minie każdy mógł poznać, że niewiele sobie zrobiłeś z tej sprawy. Raz przepływałem wodospad z nowicjuszem i ten mi wyskoczył z czołna właśnie w chwili, gdy się pochylało; możesz pan sobie wyobrazić, jak użył!

–Cóż stało się z tym nieborakiem? – zapytał Cap nie bardzo wiedząc, jak ma przyjmować słowa tamtego, wypowiedane tak sucho, a zarazem z taką prostotą, że bystrzejszy osobnik musiałby powątpiewać o ich szczerości. – Kto tędy przepłynął, domyśla się, co czuć musiał.

–Był to istotnie nieborak, jak pan powiadasz, i to nieborak z pogranicza, choć chciał popisać się swą biegłością przed nami, ciemnymi ludźmi. Co się z nim stało? No cóż, przekoziołkował się przez wodospad, boć to samo by było z każdym gmachem czy fortem.

–Gdyby wyskoczył z czołna – dokończył Gaspar z uśmiechem, choć widać bardziej był skłonny od swego przyjaciela do puszczenia w niepamięć przeprawy przez wodospad.

–Chłopak ma słuszość – dorzucił Tropiciel śmiejąc się do Mabel, gdyż czołna znalazły się teraz tak blisko siebie, że niemal się stykały. – Ma słuszość, to pewne. Ale nie powiedziałaś nam jeszcze, panienko, co sądzisz o naszym skoku?

–Był on niebezpieczny i zuchwały – odrzekła Mabel. – Póki patrzyłam, pragnęłam, żebyście go nie próbowali, lecz teraz, gdy już po wszystkim, podziwiam waszą śmiałość i odwagę.

–Nie pomyśl tylko, żeśmy to uczynili, by się popisać w oczach niewiasty. Dla młodych może być rzeczą miłą zyskiwać sobie szacunek przez dokonywanie czynów, które mogą się wydać chwalebne i zuchwałe, ale ani Eau-douce, ani ja nie należymy do takich. Natura moja niezbyt jest zawila; prosta to natura, toteż w czasie pełnienia obowiązków nie mogłaby mnie przywieść do podobnej próżności. Co zaś się tyczy Gaspara, to prędzej by się przeprawił przez Wodospad Oswego bez widzów niż pod spojrzeniem stu par oczu. Znam tego chłopca, bo wiele z nim obcowałem, i wiem z pewnością, że nie jest chełpliwy ni pusty.

Mabel wynagrodziła zwiadowcę uśmiechem, który miał ten skutek, że oba czołna trzymały się razem jeszcze przez pewien czas, albowiem młodość i piękno były na owym odległym pograniczu widokiem tak rzadkim, że nawet samotnicze i pełne umartwienia uczucia leśnego wędrowca ożywiła kwitnąca uroda dziewczyny.

–Dobrze się stało, żeśmy to uczynili, bardzo dobrze – ciągnął Tropiciel. – Gdybyśmy byli czekali, aż się przeniesie czołno obejściem dokoła wodospadu, stracilibyśmy czas, a nie masz odeń nic cenniejszego, kiedy człek obawia się spotkania z Mingami.

–Lecz przecie teraz nie mamy się czego lękać. Czołna płyną szybko, a dwie godziny, jak pan mówiłeś, wystarczą, by dotrzeć do fortu, – Zmyślny to będzie Irokez, który tknie choćby włos z twojej głowy, śliczna panienko, bo wszyscy tutaj zobowiązaliśmy się wobec sierżanta, a myślę, że najbardziej wobec ciebie, iż ustrzeżemy cię od krzywdy. Ha, Eau-douce! Co to tam jest na rzece, przy dalszym zakręcie, o, pod tymi krzakami? Widzisz? Ktoś stoi na skale.

–To Wielki Wąż, Tropicielu. Daje nam jakieś znaki, których nie rozumiem.

–Tak, to Wielki Wąż, jakem biały człowiek! Widać chce, żebyśmy podpłynęli bliżej do

brzegu. Gotuje się coś niedobrego, bo inaczej człek o jego spokoju i roztropności nie zadawałby sobie takiego trudu. Odwagi! Jesteśmy mężczyznami i winniśmy wyjść na spotkanie niebezpieczeństwu, jak przystało na ludzi naszej rasy i rzemiosła. Ach, nigdy nie widział, by coś dobrego wynikło z samochwalstwa! I oto właśnie, kiedym wychwalał naszą bezpieczeńność, nadciąga groźba, by kłam mi zadać!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sztuka w sporze z naturą rzekła: nie
dopuszczę, By drzewa rosnać miały swej gwoli
naturze – I wkoło pni owija girlandami
bluszcze – Rozsypując wśród girland wonne,
dzikie róże.

SPENSER

Poniżej wodospadów Oswego jest bystrzejszą i bardziej niespokojną rzeką niż ponad nimi. Są miejsca, gdzie płynie z cichym spokojem właściwym głębokiej wodzie, ale zdarzają się też liczne ławice i bystre prądy, a w owych odległych czasach, gdy wszystko jeszcze trwało w stanie naturalnym, przeprawa przez niektóre przesmyki nie była pozbawiona niebezpieczeństwa. Niewiele trudu musieli zadać sobie ci, którzy kierowali czółnami, z wyjątkiem miejsc, gdzie szybkość prądu oraz obecność skał wymagała uwagi; wówczas zaiste potrzeba było nie tylko czujności, ale i ogromnego opanowania, gotowości i siły ramienia, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę Mohikanin, toteż roztropnie wybrał miejsce, gdzie rzeka płynęła spokojnie, i |tam czekał na czółna, aby przekazać, co miał do doniesienia, nie narażając tych, z którymi pragnął mówić.

Zaledwie Tropiciele rozpoznał postać swego czerwonoskórego przyjaciela, a już jednym tęgim zagarnięciem wiosła skierował dziób czółna w stronę brzegu, dając znak Gasparowi, by poszedł za jego przykładem. W minutę później obie łodzie cicho spływały rzeką tuż pod krzakami zwisającymi nad wodą. Wszyscy zachowywali głębokie milczenie – jedni z niepokoju, inni z przyzwyczajenia do ostrożności. Gdy podróżnicy zbliżyli się do Indianina, ów dał im znak, by zatrzymali łodzie, po czym przeprowadził z Tropicielem krótką, ale poważną rozmowę.

–Wódz nie jest skłonny dopatrywać się wroga w lada suchej kłodzie – powiedział biały do swego czerwonoskórego sprzymierzeńca. – Czemu więc każe nam się zatrzymać?

–Mingowie są w lasach.

–Takeśmy przypuszczali już od dwóch dni; czy teraz wódz wie to na pewno?

Mohikanin spokojnie podniósł czarkę fajki sporządzoną z kamienia.

–Leżała na świeżym tropie wiodącym do garnizonu – powiedział, tak bowiem było we zwyczaju na owym pograniczu nazywać wojskowe forty, czy to obsadzone czy puste.

–Może to być fajka jakiegoś żołnierza. Wielu z nich używa fajek indiańskich.

–Patrz – powiedział Wielki Wąż, ponownie ukazując swemu przyjacielowi znaleziony przedmiot.

Czarka wykonana była ze steatytu i wyrzeźbiona z ogromną starannością oraz wcale znaczną wprawą; w środku widniał niewielki krzyż, ozdobiony z precyzją, która nie pozostawiała wątpliwości co do jego znaczenia.

–To rzeczywiście zapowiada diabelstwa i nikczemności – rzekł Tropiciele, czuł bowiem przed owym świętym symbolem lęk, który właściwy był mieszkańcom kolonii, a który naówczas ogarnął cały kraj i tak się zróił z jego zabobonami, że pozostawił w moralnych poglądach tamecznej społeczności wyraźne ślady, które po dziś dzień przetrwały. – Żadnemu Indianinowi, którego by nie znieprawili chytry kanadyjscy księża, nie śniłoby się nawet wyrzeźbić czegoś podobnego na swojej fajce. Ręczę, że ów lajdak modlił się do tego znaku, ilekroć chciał podejść niewinnych i dopełnić swojego potwornego łotrostwa. A i wygląda to świeżo, prawda, Chingachgook?

–Tytoń jeszcze się tlił, kiedy to znalazłem.

–Dobra robota, wodzu. Gdzie był trop?

Mohikanin wskazał miejsce odległe o niespełna sto jardów.

Sprawa zaczynała wyglądać bardzo poważnie, toteż dwaj główni przewodnicy porozmawiali na stronie przez kilka minut, po czym weszli na zbocze brzegu, zbliżyli się do wskazanego miejsca i jęli e najwyższą uwagą badać trop. Po tych oględzinach, które trwały kwadrans, biały mężczyzna powrócił sam, a jego czerwonoskóry przyjaciel zniknął w lesie.

Zwykle na obliczu Tropicielea malowała się prostota, prawość i szczerść stopiona z wyrazem ufności we własne siły, który zawsze napawał ogromną otuchą tych, co znajdowali się pod opieką myśliwca; teraz jednak troska rzuciła na jego uczciwą twarz cień, który zwrócił uwagę wszystkich.

–Co słyhać, panie Tropicieleu? – zapytał Cap, a jego głos, zazwyczaj głęboki, donośny i dufny, opadł w ostrożny szept, bardziej stosowny z uwagi na niebezpieczeństwa zagrażające w puszczy. – Czyżby wróg wkradł się między nas a port?

–Co takiego?

–Czy te wymalowane błazny zakotwiczyły się przed portem, do którego płyniemy, i chcą nam odciąć drogę?

–Może to być tak, jak pan mówisz, przyjacielu, lecz niewiele wymiarkowałem z twoich słów; im człowiek jaśniej się wyraża w trudnym momencie, tym łatwiej go rozumieją. Nic mi nie wiadomo o portach i kotwicach, ale sto jardów od tego miejsca jest trop owych okrutników, Mingów, i to świeżutki, jak nie solone mięso jelenia. Jeśli zaś przeszedł tędy jeden z tych wściekłych szatanów, to przeszło ich tuzin; co gorsza, udali się w stronę garnizonu, a żywa dusza nie przemknie się przez otaczającą go polanę, tak by jej nie wykryły ich przenikliwe ślepie; wtedy zaś niechybnie nadlecą kule.

–Czyż rzeczony fort nie może dać salwy całą burtą i oczyścić wszystkiego, co się znajduje w jego zasięgu?

–Nie, forty w tych stronach nie są podobne do fortów w osiedlach; przy ujściu rzeki mają tam wszystkiego dwie czy trzy lekkie armaty. Prócz tego salwy do tuzina Mingów zaczajonych w lesie i leżących za drzewami byłyby marnowaniem prochu. Mamy jedyne wyjście, i to wcale zręczne. Umieściliśmy się tu bardzo zmyślnie, gdyż oba czoła zasłonięte są przez wysoki brzeg i zarośla przed oczyma wszystkich z wyjątkiem tego, kto by czatował wprost naprzeciw. Tu więc możemy na razie pozostać bez większych obaw, ale jak ściągnąć tych krwiożerczych diabłów z powrotem w górę rzeki? Ha, mam już, mam! Jeżeli to nie pomoże, w każdym razie nie zaszkodzi. Gasparze, widzisz ten orzech z rozłożystą koroną, o tam, przy ostatnim zakręcie, po naszej stronie rzeki?

–Ten obok obalonej sosny?

–Właśnie. Weź hubkę i krzesiwo, podpełnij tam wzdłuż brzegu i roznieć ognisko; może dym zwabi ich w to miejsce. Tymczasem my ostrożnie spłyniemy za ten cypel przed nami i poszukamy sobie innego schronienia. Zarośli tu w bród i łatwo znaleźć kryjówkę, jak o tym świadczą liczne zasadzki.

–Zrobią to, Tropicielu – rzekł Gaspar wyskakując na brzeg. – Za dziesięć minut ognisko będzie gotowe.

–A weź tym razem dużo wilgotnego drzewa – wyszeptał Tropiciel śmiejąc się serdecznie w swój osobliwy sposób. – Kiedy potrzeba dymu, wilgoć jest bardzo pomocna.

Młodzieniec zaraz się oddalił zmierzając szybko ku wskazanemu punktowi. Nie dano baczenia na Mabel, która nieśmiało spróbowała zwrócić uwagę na towarzyszące temu ryzyko, i wszyscy jęli natychmiast gotować się do zmiany stanowiska, gdyż byli widoczni z miejsca, gdzie Gaspar zamierzał rozniecić ogień. Pośpiech nie był

niezbędny, toteż posuwano się z wolna i ostrożnie. Wyprowadzono czółna spomiędzy zarośli, po czym pozwolono im spłynąć z prądem aż do punktu, skąd ów orzech, u którego stóp Gaspar miał rozpalić ognisko, był prawie niewidoczny. Wtedy wszystkie oczy zwróciły się w stronę śmiałka.

–Ot i podnosi się dym! – zawołał Tropiciel, gdy powiew wiatru porwał mały słup dymu, który wzbiwszy się z ładu jął wić się spiralami ponad łożyskiem rzeki. – Dobry krzemień, kawałek stali i garść wyschniętych liści szybko dają ogień. Mam nadzieję, że Eau-douce nie zapomni o mokrym drzewie teraz, kiedy może ono tak bardzo nam się przydać.

–Za dużo dymu, za dużo chytrości – oświadczył sentencjonalnie Grot Strzały.

–Święta byłaby to prawda, Grocie, gdyby Mingowie nie wiedzieli, że w pobliżu są żołnierze; a żołnierze na postoju zazwyczaj pamiętają raczej o posiłku niż o roztropności czy niebezpieczeństwie. Nie, nie, niechże chłopiec składa swoje drwa na stos i dobrze niech nadymi; wszystko to pójdzie na karb głupoty jakiegoś szkockiego czy irlandzkiego gamonia, który więcej myśli o swej owsiance albo ziemniakach niż o indiańskich fortelach czy strzelbach.

–A jednak – powiedziała Mabel – po tym wszystkim, co słyszeliśmy w miastach, wyobrażałam sobie, że żołnierze na pograniczu przywykają do podstępów swych wrogów i stają się niemal równie przebiegli jak sami czerwonoskórzy.

–Nie oni! Doświadczenie niewiele ich uczy: tu, w lesie, robią te same zwroty i musztry w szyku plutonów czy batalionów, co na swych placach w kraju, o których tak lubią rozpowiadać. Jeden czerwonoskóry ma w swej naturze więcej chytrości niż cały regiment zza wielkiej wody – to znaczy tego, co ja zowie chytrością leśną. No, ale już idzie dość dymu; trzeba nam przypaść w innej kryjówce. Chłopak wwał chyba całą rzekę do swego ogniska i Mingowie mogą pomyśleć, że wszystek pułk wyruszył w pochód.

To mówiąc Tropiciel pozwolił, by czółno spłynęło spod krzaka, przy którym się zatrzymało, i w parę minut później zakręcił rzeźki skrył przed ich wzrokiem dym oraz drzewo. Na szczęście w odległości kilku jardów od cypla, który właśnie minęli, ukazało się niewielkie zagłębienie w brzegu i tam wpłynęły oba czółna popychane wiosłami.

Nie sposób byłoby znaleźć zakątka odpowiedniejszego do tego celu; Zarośla, gęste i nadwieszane nad wodą, tworzyły istny baldachim z liści. W głębi małej zatoczki znajdował się wąski, piaszczysty brzeg, na którym wylądowali, aby mieć więcej swobody ruchów, jedynym zaś punktem, z którego dałoby się wypatrzeć ukrytych tu ludzi, było miejsce położone na wprost po przeciwnym brzegu rzeki. Jednakże niebezpieczeństwo wykrycia stamtąd było niewielkie/ponieważ gęstwina rosła tam

jeszcze zwarciej niż gdzie indziej, a brzeg za nią był tak wilgotny i bagnisty, że niemal niedostępny.

–To jest bezpieczna kryjówka – zawyrokował Tropiciel dokonawszy szczegółowych oględzin swojej pozycji – ale przydałoby się uczynić ją jeszcze bezpieczniejszą. Mości Cap, o nic pana nie proszę i wyjątkiem zachowania ciszy i przytłumienia głosu, z którego tak dobry robisz użytek na morzu. Tymczasem ja i Tuskarora poczynimy przygotowania na złą godzinę.

Następnie wraz z Indianinem wszedł nieco głębiej w zarośla, gdzie ścięli większe gałęzie z kilku olszyn i innych krzaków, zachowując najwyższą ostrożność, aby nie czynić hałasu. Końce owych drzewek wetknęli w błoto przed czołnami, gdzie woda była bardzo płytka, toteż po upływie dziesięciu minut między nimi a miejscem, z którego zagrażało główne niebezpieczeństwo, powstała bardzo dobra zasłona. Obaj wykazali wiele pomysłowości i starania przy tej prostej robocie, której głównie sprzyjało naturalne ukształtowanie brzegu, który był zakłębnięty w tym miejscu, płytkość wody oraz fakt, iż splątana gęstwa zwisała aż do samej rzeki. Tropiciel miał tyle przemyślności, że wyszukał krzaki o zagiętych gałęziach, rzecz nietrudną do znalezienia w tym miejscu, a ponieważ ściął je dobrze poniżej krzywizny i umieścił tak, by dotykały wody, owa mała sztuczna gęstwina nie sprawiała wrażenia, że wyrasta z rzeki, co musiałoby wydać się podejrzanym. Ktoś przechodzący мимо mógł pomyśleć, że gałęzie krzaków wyrastają poziomo z brzegu, a dopiero potem zaginają się w górę ku światłu. Krótko mówiąc, tylko niezwykle nieufne oko mogłoby choćby na chwilę zwrócić się ku owemu miejscu w poszukiwaniu kryjówki.

–To najlepsze schronienie, w jakim kiedykolwiek przebywałem – oświadczył ze swym spokojnym śmiechem Tropiciel, który wyszedł był na zewnątrz, by stamtąd dokonać oględzin. – Liście naszych nowych drzewek stykają się z gałęziami krzaków rosnących nam nad głowami. Tss! Oto idzie Eau-douce; brodzi rzeką, jak na takiego rozsądnego chłopaka przystało, ażeby trop swój pozostawić w wodzie. Zaraz się przekonamy, czy nasza kryjówka jest coś warta, czy nie.

Gaspar istotnie powracał po wykonaniu swojego zadania, a nie znalazłszy czołen na dawnym miejscu, od razu wywnioskował, że popłynęły za następny zakręt rzeki, ażeby nie dojrzano ich od ogniska. Nawyk zachowania ostrożności natychmiast podsunął mu myśl, że winien wejść do wody, ażeby nie pozostawić żadnych widocznych śladów łączności między tropami swych towarzyszy na brzegu a miejscem w dole rzeki, gdzie jak przypuszczał, musieli się byli schronić. Gdyby kanadyjscy Indianie zawróciwszy swym własnym tropem odkryli ślady, jakie pozostawił Tropiciel i Wielki Wąż, odchodząc i powracając do rzeki, musieliby zgubić je przy brzegu, gdyż woda zaciera odcisk ludzkiej stopy. Dlatego też młodzieniec aż do cypla brodził po kolana, teraz zaś ujrano, jak z wolna posuwał się dalej przy brzegu rzeki, wypatrując z zaciekawieniem miejsca, gdzie skryły się łodzie.

Ci, co znajdowali się za krzakami, mogli, przybliżywszy oko do samych liści, wyrzeć przez liczne szczeliny, natomiast przechodzący nie opodal, nie miał tej możliwości. Kiedy więc siedząc w czólnach śledzili z ukrycia ruchy Gaspara, stało się dla nich oczywiste, że młodzian, nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie schronił się Tropiciel.

Gdy Gaspar obszedł już zakręt i stracił z oczu ognisko, które był rozpałił, zatrzymał się i jął powoli, bardzo starannie badać wzrokiem brzeg. Od czasu do czasu postępował naprzód osiem czy dziesięć kroków, przystawał i wznawiał poszukiwania. Ponieważ woda była o wiele płytsza niż zazwyczaj, zboczył więc, aby móc iść swobodniej i podszedł tak blisko do owej sztucznej plantacji, że mógłby jej dotknąć ręką. Mimo to nadal nic nie wykrył i już przechodził dalej, kiedy Tropiciel rozchylił u spodu gałęzie i przywołał go ściszym głosem.

–No, nie jest najgorzej – rzekł śmiejąc się Tropiciel – aczkolwiek oczy bladych twarzy tak się różnią od oczu czerwonoskórych jak od lunety. Założyłbym się z panną Mabel o różek prochu przeciwko indiańskiej przepasce wampum, którą mogłaby nosić miast szarfy, że regiment jej ojca przemaszerowałby obok tej pozycji i nigdy nie wykrył podstępu! Jeżeli jednak Mingowie wejdą do rzeki wzorem Gaspara, będę drżał o tę naszą plantację. Ale przeszło ni nas ona przed ich oczami, jeśli popatrzą z drugiego brzegu, toteż nie będzie całkiem bezużyteczna.

–Nie myślisz, mości Tropicielu, że mimo wszystko byłoby najmądrzej od razu ruszyć w drogę i co sił pożeglować w dół rzeki, gdy tylko się upewnimy, że te hultaje zostały za nami. My, marynarze, nazywamy pogoń za rufą długą pogonią.

–Mając ze sobą nadobną córkę sierżanta, nie ruszę się z tego miejsca za cały proch z magazynów fortu, dopóki nie otrzymam wieści od Węża. Skutkiem byłyby niechybnie śmierć albo niewola. Gdyby taka wąż sarenka, jak panna, którą 'mamy pod opieką, mogła przebiegać las wzorem starego jelenia, może by się opłaciło opuścić czółno, bo idąc okrężną drogą zdołalibyśmy przed ranem dotrzeć do garnizonu.

–Więc zrobmy tak! – zawołała Mabel zrywając się w nagłym przypiływie rozbudzonej energii. – Jestem młoda, silna, przywykłam do ruchu i mogłabym z łatwością przetrzymać w marszu mego drogiego wujaszka. Niechże mnie nikt nie uważa za zawadę. Nie mogę znieść myśli, że życie was wszystkich -wystawione jest na szwank z mojej przyczyny!

–Nie, nie, śliczna panienko; nie uważamy cię bynajmniej za zawadę ani za nic, co by było niemiłe, i z ochotą narazilibyśmy się na jeszcze dwakroć większe ryzyko, ażeby przysłużyć się tobie i zacnemu panu sierżantowi. Czy nie wyrażam twych myśli, Eau-douce?

–Jej się przysłużyć! – powiedział z zapalem Gaspar. – Nic mnie nie skłoni do

opuszczenia panny Mabel, póki nie znajdzie się zdrowa i cała w ramionach swego ojca!

–Dobrze powiedziane, chłopcze; dzielnie i uczciwie powiedziane, a ja duszą i 'ciałem przyłączam się do tych słów. Nie, nie! Me jesteś pierwszą niewiastą, jaką przeprowadziłem przez puszcę, a nigdy z wyjątkiem jednego, jedyne go razu, nie przytrafiło im się nic złego. Smutny to był dzień, nie ma co mówić, ale podobny już chyba więcej nie przyjdzie.

Mabel przeniosła wzrok z jednego ze swych opiekunów na drugiego, a piękne jej oczy zaszklily się łzami. Z prostotą podała dłonie obu mężczyznom i odrzekła głosem, który był zrazu zdławiony:

–Nie mam prawa żądać, byście narażali się dla mnie. Mój drogi ojciec podziękuje wam; ja już teraz dziękuję, a Bóg wam wynagrodzi; jednakże nie wystawiamy się na niepotrzebne ryzyko. Mogę przejść duży szmat drogi; nieraz wiedziona dziewczęcym kaprysem wędrowałam całe mile, czemuż nie miałabym teraz uczynić wysiłku, skoro idzie o moje – nie, o wasze tak cenne życie.

–To prawdziwa gołąbka, Gasparze – powiedział Tropiciel, który nie puszczał ręki dziewczyny, dopóki ta, wiedziona przyrodzoną skromnością, nie uznała za stosowne jej cofnąć. – I jakaż urocza! W lasach stajemy się szorstcy, a nawet czasem twardego serca, panno Mabel, wszelako widok takiej jak ty istoty przywraca nam uczucia z czasów młodości i pokrzepia na resztę naszych dni. Myślę, że Gaspar powie ci ta samo, bo jak ja w lesie, tak on na Ontario widuje niewiele 'tobie podobnych osób, które mogłyby zmiękczyć jego serce i przypomnieć o miłowaniu bliźnich. Przemówże, Gasparze, i powiedz, czy, tak nie jest.

–Wątpię, czy gdziekolwiek można znaleźć wiele niewiast takich jak panna Mabel – odparł dwornie młody marynarz, a jego twarz wyrażała uczciwość i szczerłość wymowniejszą od słów. – Nie w lasach i na jeziorach należy szukać jej równych, ja poszedłbym raczej do miast i osad.

–Lepiej wysiądźmy z łódek – -pośpiesznie dorzuciła Mabel – bo czuję, że nie jest już bezpiecznie tu pozostawać.

–Nigdy byś temu nie podołała, panienko, nigdy. Byłby to marsz przeszło dwudziestomilowy, i to poprzez gąszcze,

korzenie i trzęsawiska, a wszystko w ciemnościach. Taki pochód zostawiłby szeroki ślad i w końcu trzeba by nam może wywalczyć sobie drogę do garnizonu. Zaczekamy na Mohikanina.

Ponieważ łąka snadz była decyzja człowieka, na którego zwrócone były oczy wszystkich, nie mówiono tedy więcej na ów temat. Cały oddziałek rozbił się teraz na

grupki: Grot Strzały z żoną zasiadł na stronie w zaroślach, rozmawiając zniżonym głosem, przy czym mężczyzna mówił tonem surowym, kobieta zaś odpowiadała z pokorną łagodnością cechującą stan poniżenia, w jakim pozostaje małżonka dzikiego. Tropiciel i Cap usadowili się w jednym z czólen, gwarząc o swych przeróżnych przygodach na lądzie i na morzu, a Gaspar wraz z Mabel zajęli miejsca w drugim i w ciągu jednej godziny poczynili większe postępy we wzajemnym zbliżeniu, niżby się to stało przez rok w innych okolicznościach. Mimo groźby spotkania z nieprzyjacielem czas płynął wartko, a zwłaszcza dwoje młodych zdumiało się, kiedy Cap powiadomił ich, jak długo trwała rozmowa.

–Gdyby można było zakurzyć, panie Tropicielu – zauważył stary marynarz – ta koja byłaby wcale przytulna, bo trzeba ci oddać tę sprawiedliwość, pięknie pan zasłoniłeś czółna, a i przycumowałeś tak, że można się nie bać nawet monsunu. Jedyna przykreść to, że nie wolno zapalić fajki.

–Zdradziłby nas zapach tytoniu, a na cóż by się zdały wszystkie te ostrożności, mające nas osłonić przed okiem Mingów, gdybyśmy im pokazali, jak znaleźć naszą kryjówkę za pomocą nosa? Nie, nie; poskrom pan swoje zachcianki i naucz się tej cnoty od czerwonoskórych, którzy potrafią nie jeść przez cały tydzień, by zdobyć jeden skalp. Nic nie słyszysz, Gasparze?

–Waż idzie.

–A zatem przekonajmy się, czy mohikańskie oczy są lepsze od oczu młodzieńca trudniącego się wodnym rzemiosłem.

Mohikanin istotnie ukazał się w tej samej stronie, z której Gaspar powrócił do swych przyjaciół. Jednakże nie szedł prosto przed siebie; minawszy zakręt – gdzie skryty był przed wzrokiem każdego, kto mógłby się znajdować w górze rzeki – podsunął się tuż pod sam brzeg i zachowując najwyższą ostrożność wybrał miejsce, z którego mógł się obejrzeć za siebie, przy czym krzaki osłaniały go na tyle, że niepodobna go było dojrzeć z owego kierunku.

–Waż widzi tych szelmów! – wyszeptał Tropiciel. – Jakem chrześcijanin i biały człowiek, chwycili przynętę i urządzili zasadzkę na dym!

Tu serdeczny, lecz cichy śmiech przerwał jego słowa; Tropiciel trącił łokciem Capa, a wszyscy w głębokim milczeniu nadal obserwowali Chingachgoaka.

Mohikanin przez pełne dziesięć minut trwał nieruchomy jak skała, na której przystanął; potem snadź dojrzał coś interesującego, bo cofnął się spiesznie, popatrzył bystro i niespokojnie wzdłuż brzegu rzeki i począł szybko iść dalej, bacząc, by gubić swój trop w płytkiej wodzie. Najwyraźniej śpieszyło mu się i był czymś przejęty; to oglądał się wstecz, to przenikliwym spojrzeniem obrzucał wszystkie

miejsca wzdłuż brzegu, w których, jak sądził, mogło być ukryte czółno.

–Zawołaj go tutaj! – szepnął Gaspar nie mogąc pohamować niecierpliwości. – Zawołaj go, bo będzie za późno! Patrz! Już nas mija.

–Ależ nie, ależ nie, chłopcze; wierz mi, że nie ma żadnego pośpiechu – odparował jego towarzysz – bo inaczej Wąż zaczęłby się już czołgać. Boże, dopomóż i oświeć nas! Wydaje mi się, zaiste, że Chingachgook, którego wzrok jest równie niezawodny jak węch gończego psa, nie dostrzega nas i nie odkryje naszej zasadzki!

Triumf ten okazał się niewczesny, gdyż ledwie Tropiciel wymówił owe słowa, Indianin, który już uszedł kilka stóp poniżej sztucznej zasłony, nagle przystanął, utkwiał przenikliwy wzrok w nowo posadzonych krzakach, zawrócił spiesznie parę kroków, pochylił się, rozsunał ostrożnie gałęzie i ukazał między nimi.

–Przeklęci Mingowie – powiedział Tropiciel, gdy tylko jego przyjaciel znalazł się dosyć blisko, by można doń było przemówić bez popełnienia nieostrożności.

–Irokezi – odparł małomówny Indianin.

–To obojętne; Irokezi, diabły, Mingowie, Mingwe czy więdźmy – wszyscy są siebie warcami! Wszystkich łajdaków nazywam Mingami. Pójdź, wodzu, i pogadajmy rozsądnie.

Kiedy skończyli rozmawiać na osobności, Tropiciel powrócił do reszty swych towarzyszy i zapoznał ich z tym, czego się dowiedział.

Mohikanin przez czas jakiś szedł był w stronę fortu tropem nieprzyjaciół, dopóki ci nie spostrzegli dymu z ogniska roznieconego przez Gaspara, wtedy bowiem natychmiast zawrócili. Dla Chingachgooka, który był w najwyższym stopniu narażony na niebezpieczeństwo wyśledzenia, stało się nieodzowne poszukać kryjówki, gdzie mógłby się przytulić do chwili, gdy wrogowie go miną. Szczęściem dla niego dzicy byli tak zaprzątnięci swoim najświeższym odkryciem, że nie zwracali tyle uwagi co zwykle na widoczne w lesie tropy. Tak czy owak minęli go spiesznie; było ich piętnastu, a karły stąpał lekko w ślady poprzednika. Mohikanin mógł wówczas dostać się na ich tyły.

Doszedłszy do miejsca, gdzie ślady Tropicielea i Wielkiego Węża łączyły się z głównym tropem Irokezi ruszyli ku rzece i dotarli tam właśnie w chwili, gdy Gaspar zniknął za dolnym zakrętem. Ponieważ dym widać było teraz doskonale, dzicy dali nurka w las i popróbowali niepostrzeżenie zbliżyć się do ogniska. Chingachgook skorzystał z tej sposobności, szedł do wody i również dotarł do zakrętu, co, jak sądził, nie zostało zauważone. Tu, jak już wspomniano, zatrzymał się do chwili, gdy ujrzał nieprzyjaciół przy ognisku, gdzie jednak pozostali bardzo krótko.

O pobudkach postępowania Irokezów Mohikanin mógł wnosić jedynie z ich czynów. Przypuszczał, że odkryli fortel z ogniskiem i uświadomili sobie, iż rozniecono je po to, aby ich wywieść w pole, albowiem po śpiesznych oględzinach owego miejsca rozdzielili się, przy czym część ich znów zapadła w lasy, a sześciu czy ośmiu ruszyło wzdłuż brzegu śladem Gaspara, idąc w dół rzeki ku miejscu, gdzie wylądowały czółna. Można było jedynie domniemywać, co poczną osiągnąwszy ten punkt, albowiem Wielki Wąż uznał sytuację za nazbyt palącą, by dłużej odwlekać poszukiwanie przyjaciół. Z pewnych gestów Indian wnioskował jednak, iż nieprzyjaciel najprawdopodobniej pójdzie dalej skrajem rzeki, lecz tego nie mógł być pewny.

Kiedy Tropiciel zdawał swym towarzyszom relację o tych faktach, u dwóch pozostałych białych wzięły górę ich zawodowe skłonności i obaj szukając sposobów ucieczki, obrócili naturalnie myśli ku swym przyzwyczajeniom.

–Wyprowadźmy od razu czółna na rzekę! – powiedział z zapalem Gaspar. – Prąd jest silny, a wiosłując tęgo, szybko wymkniemy się tym obwiesiom!

–A ten biedny kwiatek, który rozkwitnął na polanach, czyliż ma zwiędnąć w lesie? – (zaprotestował jego przyjaciel z poetycznością, którą nieświadomie wchłonął obcując długo z Delawarami.

–Prędzej my wszyscy zginiemy! – odparł młody człowiek, a szlachetny rumieniec wystąpił mu na policzki. – Mabel i żona Grota Strzały mogą położyć się w czólnach, podczas gdy my spełnimy nasz obowiązek stojąc, jak na mężczyzn przystało!

–Tak, przyznaję, że jesteś dobry do wiosła, Eau-douce, ale przeklęty Mingo jest jeszcze lepszy do bezceństw; czółna są szybkie, lecz kula ze strzelby szybsza.

–Jest obowiązkiem mężczyzn, którym, tak jak nam, poruczył zadanie ufny rodzic, narażać się na szwank...

–Ale nie jest ich obowiązkiem zaniedbać ostrożności.

–Ostrożności! Można posunąć ostrożność tak daleko, że zapomina się o odwadze.

Stali na wąskim brzegu; Tropiciel wsparty na swojej strzelbie, której kolba spoczywała na żwirze, obejmował oburącz lufę na wysokości ramion. Gdy Gaspar wyrzucił z siebie owo surowe, a niezasłużone oskarżenie, ciemna, ogorzała twarz jego towarzysza wprawdzie nie zmieniła barwy, lecz młody człowiek spostrzegł, że palce zacisnęły się na żelazie broni z mocą imadła. Na tym jednakże kończyły się wszelkie oznaki wzruszenia.

–Młodyś jeszcze i w gorącej wodzie kąpany – odrzekł Tropiciel z godnością, w której słuchacze dobitnie odczuwali jego moralną wyższość – lecz ja strawiłem życie

wśród takich właśnie niebezpieczeństw i nad mým doświadczeniem i charakterem nie weźmie góry niecierpliwość młodzika. Co się tyczy odwagi, Gasparze, to nie poślę gniewnego i nedorzecznego słowa na spotkanie gniewnemu i nedorzecznemu słowu, bo wiem, że jesteś rzetelny, tak jak ci twoja wiedza dyktuje. Jednakże usłuchaj rady człowieka, który stawał Mingom do oczu, gdy byłeś jeszcze dzieciuchem, i wiedz, że ich przebiegłość snadniej przechytrzyć można ostrożnością, niżli pokonać głupotą.

–Wybacz mi, Tropicielu – powiedział skruszony Gaspar, gorliwie chwytając dłoń, którą tamten pozwolił mu ująć. – Proszę cię o przebaczenie, (pokornie i szczerze. Postąpiłem głupio i źle, czyniąc przymówki człowiekowi, o którym wiadomo, że w dobrej sprawie serce ma niezłomne jak skała na brzegu jeziora.

Po raz pierwszy twarz Tropicielea okryła się mocniejszym rumieńcem, a wyraz uroczystej godności, jaki był przyjął pod wpływem naturalnego odruchu, ustąpił miejsca pełnej powagi prostocie, właściwej wszystkim jego uczuciom. Na uścisk swego młodego przyjaciela odpowiedział uściskiem tak serdecznym, jak gdyby nigdy nie było między nimi zgrzytu, a odcień surowości, widoczny w jego wejrzeniu, zniknął wśród przyrodzonej dobroci.

–W porządku, Gasparze – odparł ze śmiechem. – Me czuję do ciebie żalu i niech go nikt za mnie nie czuje. Mam naturę człeka białego, a do niej należy nie chować urazy. Natomiast byłoby rzeczą dosyć drażliwą powiedzieć choćby połowę tego Wielkiemu Wężowi, chociaż jest Delawarem, bo rasa ma swoje prawa...

Dotknięcie jego ramienia sprawiło, że mówiący przerwał. Mabel stała wyprostowana w czólnie, jej lekka, lecz krągła postać pochyłona była do przodu w postawie pełnej wdzięcznej powagi; palec położyła na ustach, przechyliła główkę, a utkwivszy bystre oczy w szczelinie między krzakami, wyciągnęła trzymaną w dłoni wędkę i końcem jej dotknęła ramienia Tropicielea. Ten pochylił się do otworu, w pobliżu którego rozmyślnie pozostawał, po czym szepnął do Gaspara:

–To ci przekłęci Mingowie! Chwytajcie za broń, ale leżcie cicho niczym pnie suchych drzew!

Gaspar podszedł szybko, lecz bezszelestnie do łódki i łagodną przemocą zmusił Mabel, aby przyjęła taką pozycję, w której całe jej ciało było ukryte, chociaż skłonienie dziewczyny, by pochyliła głowę i oderwała wzrok od nieprzyjaciół, przekraczałoby zapewne jego możliwości. Następnie sam zajął stanowisko opodal, dzierżąc w gotowości strzelbę z odwiedzionym kurkiem.

Grot Strzały i Chingachgook wpełzli do kryjówki i legli w oczekiwaniu jak węże, z przygotowaną bronią, natomiast żona Indianina zwiesiła głowę między kolana, przykryła ją perkalową suknią i tak pozostała, bierna i nieporuszona. Cap sprawdził,

czy oba pistolety łatwo wychodzą z pasa, lecz najwyraźniej zupełnie nie wiedział, co począć.

Tropiciel nie ruszył się z miejsca. Od początku zajął stanowisko, z którego mógł poprzez liście mierzyć z morderczą skutecznością, a wraz i obserwować ruchy nieprzyjaciela, był zaś zbyt opanowany, by zmieszać się w tak krytycznej chwili.

Był to zaiste niepokojący moment. Właśnie gdy Mabel dotknęła ramienia przewodnika, na zakręcie Oswego, w odległości stu jardów od kryjówki ukazali się w wodzie trzech Irokezi, którzy przystanęli badając wzrokiem rzekę. Wszyscy byli półnaczy, uzbrojeni na wyprawę przeciw nieprzyjaciółom i pomalowani farbą wojenną. Widać było, że są niezdecydowani, co przedsięwziąć, aby odnaleźć zbiegów. Jeden wskazywał w dół rzeki, drugi w górę, a trzeci zaś ku przeciwległemu brzegowi. Najwyraźniej mieli jakieś wątpliwości.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Śmierć jest tutaj, śmierć jest tam,

Śmierć u wszystkich czyha bram.

SHELLEY

Była to chwila zapierająca dech w piersiach. Zamiarów nieprzyjaciół można było domyślić się jedynie z ich gestów i odruchów, jakie wymykały im się pod wpływem furii wywołanej doznanym zawodem. Nie ulegało już wątpliwości, że część nieprzyjaciół zawróciła lądem po własnych tropach, toteż korzyść, jakiej spodziewano się po fortelu z ogniem, była oczywiście stracona. Jednakże w tym momencie wzgląd ów niewielką miał wagę, gdyż uciekającym zagrażało natychmiastowe wykrycie ze strony 'tych Indian, którzy szli wzdłuż rzeki. Wszystkie te fakty objawiły się jasno, rzecz można intuicyjnie, Tropicielowi, który pojął, że trzeba natychmiast powziąć decyzję i być w gotowości do wspólnego działania. Toteż bezgłośnie dał znak, by podsunęli się doń obaj Indianie i Gaspar, a wówczas szeptem wszczął z nimi rozmowę.

–Musimy być gotowi, gotowi na wszystko – powiedział. – Tych skalpujących szatanów jest ledwie trzech, a nas pięciu, z czego czterech można uważać za rzetelnych wojowników w takiej potyczce. Eau-douce, bierz tego Indianina, który pomalowany jest jak śmierć; Chingachgook, tobie daję wodza, a Grot Strzały niechaj ma oko na tego młodego. Nie może być pomyłki, boć dwie kule w to samo ciało byłyby grzesznym marnotrawstwem, skoro ktoś taki jak córka sierżanta znajduje się w niebezpieczeństwie. Sam będę w odwodzie, na wypadek gdyby pojawił się czwarty gad lub ręka którego z was okazała się niepewna. W żadnym razie nie otwierajcie ognia, dopóki nie dam hasła; tylko w ostateczności możemy pozwolić, by usłyszano huk strzału, bo reszta tych łajdaków jest wciąż w zasięgu głosu. Gasparze, mój chłopcze, polegam na tobie, że w razie gdyby coś się ruszyło na brzegu za nami, zabierzesz czólnem córkę sierżanta i z bożą pomocą dostaniesz się do garnizonu.

Zaledwie Tropiciel wydał owe rozkazy, stało się konieczne głębokie milczenie, gdyż nieprzyjaciół podszedł zupełnie blisko. Irokezi idący rzeką z wolna posuwali się dalej, z konieczności trzymając się w pobliżu zwisających nad wodą krzaków; natomiast szelest liści i trzaskanie gałązek wrychle zaświadczały o przerażającym fakcie, że równoległe do nich, krokiem tak samo odmierzonym, postępuje brzegiem drugi oddziałek.

Ponieważ od właściwego brzegu krzaki, posadzone przez naszych bohaterów, dzieliła pewna odległość, obie te grupy ukazały się sobie nawzajem, doszedłszy na wysokość tego właśnie miejsca. Obie przystanęły i wywiązała się rozmowa

prowadzona, rzecz można, wprost ponad głowami ukrytych wędrowców. W samej rzeczy nic ich nie osłaniało oprócz gałęzi i liści tak giętkich, że uchylały się pod lada powiewem; nieco silniejszy podmuch wiatru rozsunałby je od razu. Szczęściem dzicy – zarówno stojący w wodzie, jak i ci, którzy byli na brzegu – spoglądali ponad krzakami, liście zaś ułożone były w sposób nie budzący podejrzeń. Być może, właśnie sama śmiałość owego przedsięwzięcia zapobiegała natychmiastowemu wykryciu. Rozmowa toczyła się poważnie, ale zniżonym głosem, jak gdyby mówiący pragnęli udaremnić zakusy każdego, kto mógłby ich podsłuchiwać. Prowadzono ją w dialekcie zrozumiałym zarówno dla obu ukrytych w dole indiańskich wojowników, jak i dla Tropicielea. Nawet Gaspar pojmował część tego, co mówiono.

–Woda zmyła ślady – mówił jeden z Indian stojących tak blisko sztucznej zasłony z liści, że można go było sięgnąć ościeniem na łososie, który leżał na dnie czołna Gaspara. – Zmyła je tak dokładnie, że nawet pies jengizki nie zdołałby pójść tropem.

–Blade twarze odpłynęły od brzegu czołnami – odparł drugi, stojący na lądzie.

–Nie może to być. Strzelby naszych wojowników w dole rzeki są niechybne.

Tropiciel rzucił znaczące spojrzenie Gasparowi i zacisnął zęby, by stłumić odgłos własnego oddechu.

–Niech moi młodzi wojownicy wypatrują tak, jakby mieli orle oczy – powiedział najstarszy spośród tych, co brodzili w wodzie. – Już cały miesiąc jesteśmy na ścieżce wojennej, a zdobyliśmy tylko jeden skalp. Między tamtymi jest dziewczka, a niektórym naszym junakom brak żon.

Mabel na szczęście nie zrozumiała tych słów, natomiast zmarszczka na czole Gaspara pogłębiła się, a jego twarz oblał płomienny rumieniec.

Dzicy przerwali teraz rozmowę, a ukryci wędrowcy usłyszeli, jak Indianie, którzy byli na brzegu, powoli i ostrożnie rozchylają krzaki postępując czujnie naprzód. Wkrótce stało się oczywiste, że minęli kryjówkę, natomiast ci trzej, którzy byli w wodzie, nadal tkwili na miejscu, bacznie śledząc brzeg oczyma, które gorzały poprzez wojenną farbę niczym węgle płonące żywym płomieniem. Po kilku minutach i oni poczęli iść dalej w dół rzeki, jednakże postępowali krok za krokiem niby ludzie szukający jakiegoś zgubionego przedmiotu. W ten sposób minęli sztuczną zasłonę, a Tropiciel rozchylił usta w owym serdecznym, ale bezgłośnym śmiechu, który natura oraz przyzwyczajenie uczyniły jedną z osobliwości tego człowieka.

Jednakże tryumf jego był przedwczesny, gdyż właśnie w tej chwili ostatni z przechodzących rzucił za siebie spojrzenie i nagle się zatrzymał, a jego nieruchoma postawa i skupiony wzrok od razu zdradziły przerażający fakt, że jakiś mniej starannie osadzony krzak obudził jego podejrzeń.

Było zapewne pomyślnie dla ukrytych, że wojownik, który objawił owe niepokojące oznaki nieufności, był młody i musiał jeszcze zdobyć sobie reputację. Rozumiał całą wagę umiarkowania i skromności u młodzieńca w jego wieku, a nade wszystko lękał się ośmieszenia i wzgardy, których z pewnością by nie uniknął w razie fałszywego alarmu. Toteż nie odwołując żadnego ze swych towarzyszy zawrócił i podczas gdy tamci szli dalej rzeką, podsunął się ostrożnie ku krzakom, do których wzrok jego był wciąż przykuty jak gdyby mocą zaklęcia. Niektóre liście wystawione na słońce trochę obwisły, i to drobne odchylenie od zwykłych praw natury przyciągnęło bystry wzrok Indianina. Tak bowiem wyćwiczone i wyostrzone stają się zmysły dzikiego, osobliwie kiedy jest na ścieżce wojennej, że pozornie najbliższy drobiazg często okazuje się tropem wiodącym do celu.

Znikomość zmiany, która wzbudziła podejrzenia indiańskiego młodzieńca, była dodatkową przyczyną, dla której nie zapoznawał towarzyszy ze swoim odkryciem. Gdyby istotnie coś wypatrzył, chwała jego byłaby tym większa, że niepodzielna; w przeciwnym zaś razie mógł żywić nadzieję, że uniknie pośmiewiska – postrachu każdego młodego Indianina. Poza tym niebezpieczeństwo zasadzki i zaskoczenia, którego tak dojmująco świadom jest każdy leśny wojownik, sprawiało, iż podchodził z wolna i ostrożnie. Na skutek zwłoki wynikającej z obu tych przyczyn, jeden i drugi oddziałek odszedł już jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów, nim młody dziki znalazł się znowu dość blisko krzaków Tropiciela, by móc je dotknąć ręką.

Mimo tak krytycznej sytuacji wszyscy znajdujący się w kryjówce mieli wzrok utkwiony w ruchliwą twarz młodego Irokeza, którym miotały sprzeczne uczucia. Naprzód odmalowała się na niej żarliwa nadzieja zdobycia sukcesu tam, gdzie zawiedli najdoświadczeńsi z jego szczepu, a wraz i chwały, jaka rzadko przypada w udziale młodzieńcom w jego latach czy junakowi, co po raz pierwszy wstąpił na ścieżkę wojenną; potem przyszły wątpliwości, kiedy obwisłe liście zdały się znowu podnosić i odżywać pod wpływem powiewu; wreszcie nieufność wobec ukrytej groźby wzmogła jeszcze wzruszenie odzwierciedlone w wyrazie wymownej twarzy wojownika. Jednakże zmiany spowodowane przez gorąco w wyglądzie gałęzi, których końce tkwiły w wodzie, były tak bardzo nieznaczne, że kiedy Irokez dotknął nareszcie liści, pomyślał, że uległ złudzeniu. Ponieważ jednak nikt, kto żywi silne podejrzenia, nie omieszka przedsięwziąć wszelkich dostępnych środków dla rozstrzygnięcia swych wątpliwości, więc młody wojownik ostrożnie rozsunał gałęzie i postąpił krok do wnętrza kryjówki, gdzie postacie przyczajonych ludzi objawiły się jego oczom na kształt nieruchomych posągów.

Zaledwie usłyszano jego cichy okrzyk oraz ujrzano płonące oczy i lekkie drgnięcie ciała, a już ramię Chiingachgooka podniosło się i tomahawk Delawara spadł na ogoloną czaszkę wroga. Irokez wyrzucił w górę ręce jak szalony, odskoczył do tyłu i runął w wodę. Prąd zniósł ciało, którego członki skręcały się i wiły w przedśmiertnej męce. Delawar uczynił potężny, lecz daremny wysiłek, by go pochwycić za rękę w nadziei zdobycia skalpu, ale skrwawione wody powirowały z prądem, unosząc swoje

drgające brzemie.

Wszystko to nie trwało nawet minuty, a wydarzenia nastąpiły tak nagle i niespodziewanie, że ludzie mniej od Tropicielea i jego towarzyszy przyzwyczajeni do leśnej wojaczki, nie wiedzieliby zgoła, co począć.

–Nie ma chwili do stracenia – rzekł z powagą, ale stłumionym głosem Gaspar rozrywając zarazem gałęzie. – Czyń to, co ja, mości Cap, jeśli chcesz uratować swoją siostrzenicę, a ty, panno Mabel, wyciągnij się jak długa na dnie czółna.

Zaledwie wyrzekł te słowa, pochwycił dziób lekkiej łodzi i brodząc począł ciągnąć ją wzdłuż brzegu, gdy tymczasem Cap popychał z tyłu. Gaspar trzymał się blisko lądu, aby ich nie dojrzeli dzicy znajdujący się w dole rzeki, i usiłował dotrzeć do zakrętu, który skryłby wszystkich przed wzrokiem nieprzyjaciela.

Czólno Tropicielea stało bliżej brzegu i dlatego wyruszyło później. Delawar wyskoczył na wąskie pasmo piasku i zapadł w las, miał bowiem za zadanie śledzić wroga z tej strony. Grot Strzały dał znak swemu białemu towarzyszowi, by chwycił dziób czółna i podążył za Gasparem. Wszystko to było dziełem jednej chwili, lecz kiedy Tropiciel dotarł do prądu rwącego wokół zakrętu, uczuł nagłą zmianę ciężaru ciągniętego czółna i obejrawszy się stwierdził, że Tuskarora i jego żona zniknęli.

Przez mózg przeleciała mu błyskawicą myśl o zdradzie, ale nie było czasu przystawać, bo żałosny okrzyk wydany przez grupkę Indian w dole rzeki oznajmił, że ciało młodego Irokeza spłynęło aż do miejsca, do którego doszli jego przyjaciele. Następnie rozległ się huk wystrzału, a Tropiciel spostrzegł, że Gaspar, minawszy zakręt, przeprawia się przez rzekę stojąc na rufie czółna, Cap zaś siedzi na dziobie i razem z nim popycha lekką łódkę energicznymi uderzeniami wiosła.

Rzut oka, myśl i działanie nastąpiły szybko po sobie u człowieka tak zaprawionego do zmiennych kolei wojny na pograniczu. Tropiciel wskoczył na rufę swego czółna i pchnąwszy je potężnie w prąd, jął sam przeprawiać się przez rzekę w miejscu położonym o tyle niżej od tego, gdzie byli jego towarzysze, iż wystawiał własną osobę na strzały wrogów, wiedząc dobrze, że ich zaciekle pragnienie zdobycia skalpu weźmie górę nad wszelkimi innymi uczuciami.

–Trzymaj się prądu, Gasparze! – krzyknął dzielny przewodnik zagarniając wodę długimi, równymi, tęgimi ruchami wiosła. – Trzymaj się dobrze prądu i wiosłuj do tych olszyn naprzeciw! Przede wszystkim ratuj córkę sierżanta, a tych hultajów, Mingów, pozostaw mnie i Wężowi.

Gaspar zamachał wiosłem na znak, że zrozumiał, a tymczasem strzały padały szybko jeden po drugim, wszystkie zaś wymierzone były teraz w samotnego mężczyznę płynącego bliższym czółnem.

–Tak, opróżniajcie swoje strzelby, jak na takich kpów przystało! – rzekł Tropiciel, który spędzając tyle czasu w samotności boru, przyzwyczał się mówić do siebie. – Opróżniajcie strzelby do niepewnego celu i dajcie mi czas odsądzać się od was jard za jardem. Nie będę was lżył wzorem Delawara czy Mohikanina, bo mam naturę człeka białego, nie Indianina, a chełpienie się w bitwie nie przystoi chrześcijańskiemu wojownikowi. Wszelako mogę tu powiedzieć będąc sam jeden, żeście niewiele lepsi od tych mieszczuchów, co to po sadach grzeją do gili... To było nienajgorsze! – dodał odrzucając w tył głowę, gdy kula ucięła mu pasmo włosów znad skroni. – Ale ołów, który mija o cal, jest również bezużyteczny jak ten, co wcale nie opuścił lufy. Dzielnie sobie poczynasz, Gaspar! Trzeba ocalić słodkie dziecię sierżanta, choćbyśmy mieli wrócić bez skalpów.

W tej chwili Tropiciel był na środku rzeki, nieledwie na wprost nieprzyjaciół, a drugie czołno, popychane krzepkimi rękami Capa i Gaspara, już docierało do przeciwległego brzegu, dokładnie w oznaczonym miejscu. Stary marynarz mężnie się teraz spisywał, znajdował się bowiem w swoim żywiole, szczerze miłował siostrzenicę, miał własną osobę w należnym zachowaniu i wachał już proch, choć doświadczenie, jakie posiadał, z pewnością dotyczyło zgoła odmiennego rodzaju wojaczki. Jeszcze kilka uderzeń wiosła i czołno wtargnęło między zarośla; Gaspar spiesznie powiódł Mabel na ląd i chwilowo troje zbiegów znalazło się poza niebezpieczeństwem.

Inaczej było z Tropicielem; przez swą zuchwałą ofiarność popadł w nad wyraz niebezpieczne położenie, którego groźbę zwiększał znacznie fakt, że właśnie gdy płynął najbliżej nieprzyjaciela, Indianie, którzy byli na brzegu, rzucili się do rzeki i połączyli ze swymi przyjaciółmi wciąż jeszcze stojącymi w wodzie. W tym miejscu Oswego miała około kabla szerokości, a ponieważ czołno znajdowało się na środku, cel był oddalony od strzelb, z których doń ustawicznie palono, zaledwie o sto jardów, czyli na zwykłą donośność owej broni.

W takich opałach spokój i zręczność Tropicielela oddały mu wielkie usługi. Wiedział, że jego bezpieczeństwo zawisło wyłącznie od tego, czy będzie w ciągłym ruchu, bo cel nieruchomy musiałby z tej odległości być trafiony nieledwie każdym strzałem. Jednakże ruch sam w sobie jeszcze nie wystarczał, gdyż nieprzyjaciele, przyzwyczajeni do ubijania pędzącego jelenia, potrafili zapewne przesuwając linię celu tak, by go razić, gdyby posuwał się w jednym tylko kierunku. Toteż zmuszony był zmieniać kurs czołna – to mknąc z prądem szybko jak strzała, to znowu powstrzymywać łódź i sunąć w poprzek rzeki. Szczęściem Irokezi nie mogli ładować strzelb stojąc w wodzie, krzaki zaś obrzeżające rzekę utrudniały śledzenie go z lądu. Wspomagany przez te 'okoliczności, ściągając ogień wszystkich nieprzyjaciół, Tropiciel szybko posuwał się naprzód, zarazem z prądem i w poprzek niego, gdy wtem nowe niebezpieczeństwo, wprawdzie nagłe, lecz nie niespodziewane, objawiło się w postaci Indian, którzy pozostali na brzegu w zasadzce, ażeby obserwować rzekę!

Byli to dzicy, o których współplemieńcy wspominali w przytoczonej przez nas krótkiej rozmowie. Grupka ta liczyła nie mniej niż dziesięciu ludzi, którzy rozumiejąc się dobrze na wszystkim, co mogło sprzyjać ich krwawemu rzemiosłu, zajęli stanowisko w miejscu, gdzie woda rwała między skałami i ponad płycznami, tworząc wartki prąd, w języku miejscowym zwany bystrzyną. Tropiciel widział, że jeśli wpłynie w ową bystrzynę, zmuszony będzie przybliżyć się do cypla, na którym siedzieli Irokezi, prądowi bowiem niepodobna było się oprzeć, a skały nie pozostawiały żadnego innego bezpiecznego przejścia, toteż śmierć albo niewola byłyby najpewniej wynikiem podobnej próby.

Wszystkie wysiłki Tropicielea zmierzały tedy do osiągnięcia zachodniego brzegu, gdyż wrogowie znajdowali się po wschodniej stronie rzeki; jednakże był to czyn przekraczający ludzkie siły, a próba płynięcia pod prąd tak by od razu zmniejszyła szybkość czółna, że cel stałby się zupełnie pewny. W owej krytycznej sytuacji Tropiciel powziął decyzję ze zwykłą sobie szybkością i zimną krwią i poczynił odpowiednie przygotowania. Nie usiłował wpłynąć w nurt, lecz skierował się ku najpłytszej części rzeki, a gdy tam dotarł, porwał strzelbę i worek, wskoczył do wody i jął brnąć od skały do skały, zmierzając ku zachodniemu brzegowi. Czółno poczęło wirować we wściekłym prądzie; to przetaczało się przez jakiś oślizły kamień, to napełniało się wodą, to znowu opróżniało – aż wreszcie osiadło na brzegu, o kilka kroków od miejsca, w którym usadowili się Irokezi.

Tymczasem Tropiciel bynajmniej nie był poza niebezpieczeństwem; w pierwszej chwili podziw dla jego odwagi oraz szybkości decyzji – cnót tak wybitnych w oczach Indian – przykuł ich do miejsca; jednakże pragnienie zemsty i żądza zdobycia cennego trofeum wkrótce wzięły górę nad owym przelotnym uczuciem i obudziły ich z odrętwienia. Ogień jął błyskać z jednej strzelby za drugą, a pośród ryku wód kule gwizdały wokół głowy uciekającego. Mimo to wciąż szedł dalej, jakby go się kule nie imały, bo choć jego grubą, myśliwską odzież w niejednym miejscu rozdarły pociski, przecież ciało nie było nawet draśnięte.

Ponieważ Tropiciel musiał parokrotnie brnąć w wodzie sięgającej mu niemal do pach, podnosząc strzelbę i amunicję nad rozszalały nurt, wysiłek ten wrychle go wyczerpał, toteż z zadowoleniem przystanął obok dużego kamienia, a raczej niewielkiej skały, która sterczała tak wysoko ponad powierzchnią rzeki, że górna jej część była sucha. Na tej skale położył swój rożek z prochem, sam zaś stanął za nią, aby skorzystać choćby z częściowej osłony. Zachodni brzeg odległy był ledwie o pięćdziesiąt stóp, lecz równy, ciemny, szybki nurt przemykający tędy świadczył w dostatecznej mierze, iż dalej Tropiciel musiałby przeprować się wplaw.

Indianie na krótko przerwali ogień i obstąpili czółno, a znalazłszy w nim wiosła zaczęli gotować się do przeprawy przez rzekę.

–Tropicielu – zawołał jakiś głos z zarośli rosnących najbliżej na zachodnim brzegu.

–Czego sobie życzysz, Gasparze?

–Bądź dobrej myśli: przyjaciele są przy tobie i ani jeden Mingo nie przejdzie bez kary za swe zuchwalstwo. Może lepiej zostaw strzelbę na skale i przepłynij do nas, zanim te łotry spuszczą czołno na wodę.

–Prawdziwy leśny człowiek nigdy nie porzuca swej strzelby, póki ma proch w rożku i kule w worku. Jeszczem dziś nie pociągnął za cyngiel, Eau-douce, i nie w smak mi myśl, że mógłbym rozstać się z tymi gadami nie udzieliwszy im takiej nauczki, ażeby popamiętali moje imię. Odrobina wody nie zaszkodzi mym nogom, a widzę też między szelmami tego łajdaka, Grota Strzały, i chciałbym mu posłać zapłatę za jego wierną służbę. Mani nadzieję, Gasparze, żeś tam nie wystawił na kule córki sierżanta.

–Jest przynajmniej chwilowo bezpieczna, choć wszystko zależy od tego, czy zdołamy utrzymać nieprzyjaciół za rzeką. Muszą już teraz wiedzieć, jak bardzo jesteśmy słabi, toteż gdyby się przeprawiali, część ich niewątpliwie zostałaby po tamtej stronie.

–Manewrowanie czołnem należy raczej do twoich niż moich umiejętności, chłopcze, acz potrafię robić wiosłem nie gorzej od najlepszego Minga, jaki kiedykolwiek trafił łososa. Jeżeli przeprowią się poniżej bystrzyny, to czemuż my nie mielibyśmy przepłynąć po spokojnej wodzie powyżej i dalej bawić się w ciuciubabkę z tymi wilkami?

–Bo jakem już powiedział, zostawią część swoich na tamtym brzegu, a wtedy, Tropiciele, chciałżebyś narażać Mabel na strzały Irokezów?

–Córkę sierżanta musimy uratować – odparł Tropiciel ze spokojną stanowczością. – Masz słusność, Gasparze; nie może ona wystawiać swej słodkiej twarzyczki i wątego ciała na strzelby Mingów. Cóż zatem można uczynić? Trzeba ich przez jakieś dwie godziny powstrzymać od przeprawy, jeżeli to możliwe, a wtedy pod osłoną ciemności zrobimy, co się da.

–Zgoda, Tropiciele, jeżeli rzecz jest wykonalna; ale czy aby jesteśmy na to dość silni?

–Bóg jest z nami, chłopcze; nierozsądnie byłoby mniemać, że kogoś takiego jak córkę sierżanta Opatrzność może ze szczerem opuścić w potrzebie. Wiem z całą pewnością, że oprócz tych dwóch czołen nie ma żadnej łodzi między wodospadami a garnizonem, myślę zaś, iż przeprowa pod dwiema takimi strzelbami jak twoja i moja będzie przekraczała zdolności czerwonoskórych. Nie chcę się chwalić, Gasparze, lecz na całym tym pograniczu dobrze wiadomo, że Postrach Zwierząt rzadko chybia.

–Wytrawność twoja, Tropiciele, jest uznana przez wszystkich jak ten kraj długi i szeroki, ale trzeba czasu na ładowanie strzelby, a oprócz tego nie stoisz na lądzie,

nie dopomaga ci żadna dobra osłona, zza której mógłbyś sobie poczynać tak skutecznie, jak przywykłeś. Gdybyś miał nasze czółno, potrafiłbyś zapewne dotrzeć do brzegu z nie zamoczoną strzelbą?

–A czy orzeł potrafi latać, Gasparze? – odparł tamten śmiejąc się w zwykły sobie sposób i oglądając wstecz. – Ale byłoby nieroztropnie z twej strony pokazywać się na wodzie, bo te hultaje zaczynają znów przypominać sobie o prochu i kulach.

–Można to zrobić bez takiego ryzyka. Pan Cap poszedł już do czółna i rzucił gałąź do rzeki, ażeby wypróbować prąd, który płynie od cypla w stronę twojej skały. O, patrz! Już się zbliża; jeżeli dobrze podpłynie, podnieś rękę, a wtedy za gałęzią przyjdzie i czółno. Tak czy owak, nawet gdyby cię wyminęło, trafi poniżej w wir i zdołam je wyłowić.

Gdy Gaspar mówił te słowa, ukazała się płynąca gałąź, a nabierając szybkości w miarę jak wzrastała siła prądu, migiem dotarła do Tropicieła, który pochwycił ją w przelocie i podniósł do góry na znak powodzenia. Cap zrozumiał ten sygnał i niebawem czółno zostało spuszczone na wodę z ostrożnością i wyczuciem, których nauczył starego marynarza doświadczenie. Łódka spłynęła z wodą w tym samym kierunku co gałąź, toteż w minutę później zatrzymał ją Tropicieł.

–Zrobiłeś to z roztropnością mieszkańca pogranicza, Gasparze! – rzekł śmiejąc się Tropicieł. – Posiadasz zdolności, które skłaniają się raczej ku wodzie, podobnie jak moje ku lasom. A teraz niechaj ci Mingowie odwodzą kurki swych strzelb i celują z podparcia, bo oto mają ostatnią sposobność strzelania do nie osłoniętego człowieka!

–Nie, pchnij czółno ku brzegowi w poprzek prądu i wskocz doń, gdy ruszy z miejsca! – powiedział z przejęciem Gaspar. – Nie warto się narażać!

–Lubię stać twarzą w twarz z nieprzyjacielem jak mężczyzna, skoro on sam daje mi przykład – odparł dumnie Tropicieł. – Nie urodziłem się czerwonoskórym, a biały człowiek zwykł jest raczej walczyć otwarcie niż leżeć w zasadzce.

–A Mabel?

–Prawda, prawda, chłopcze. Córkę sierżanta musimy ocalić, a jak mówisz, lekkomyślne narażanie się na szwank przystoi tylko wyrostkom. Myślisz, że tam, gdzie jesteś, zdołasz pochwycić czółno?

–Bez wątpienia, jeżeli pchniesz je tęgo.

Tropicieł uczynił niezbędny wysiłek, lekka łódka skoczyła poprzez dzielącą go od brzegu przestrzeń, a Gaspar pochwycił ją, kiedy dotarła do lądu. Umocowanie łodzi oraz zajęcie odpowiednich stanowisk w ukryciu zabrało przyjacielom zaledwie chwile., po czym serdecznie uścisnęli sobie dłonie, jak ludzie, którzy spotykają się

po długim rozstaniu.

–A teraz, Gasparze, zobaczymy, czy chociaż jeden Mingo ośmieli się przepłynąć Oswego, gdy Postrach Zwierząt wyszczerzy kły. Możesz i lepszy do wiosła czy żagla niżli do strzelby, ale masz dzielne serce i pewną dłoń, to zaś są rzeczy, które się liczą w walce.

–Mabel znajdzie mnie między sobą a swymi wrogami – powiedział ze spokojem Gaspar.

–Tak, tak; trzeba osłaniać córkę sierżanta. Lubię cię, chłopcze, dla ciebie samego, lecz lubię cię jeszcze bardziej za to, że myślisz o słabej istocie w chwili, która wymaga całego twego męstwa. Patrz! Już trzech tych łotrów wsiada do czółna! Muszą przypuszczać, żeśmy uciekli, bo inaczej pewnie nie mieliby tyle śmiałości w obliczu Postrachu Zwierząt.

W samej rzeczy Irokezi najwyraźniej zamierzali przeprowić się przez rzekę; Tropiciel i jego przyjaciele byli teraz starannie ukryci, wrogowie doszli więc do wniosku, iż musieli oni umknąć. Większość białych postąpiłaby tak właśnie, lecz Mabel znajdowała się pod opieką ludzi zbyt biegłych w leśnej walce, by mieli zaniedbać obrony jedyne go przejścia, dającą możliwość ratunku.

Jak powiedział Tropiciel, trzech wojownicy wsiedli do czółna, przy czym dwóch trzymało strzelby, klęcząc w gotowości do użycia tej śmiercionośnej broni, trzeci zaś stał na rufie wiosłując. Tak odbili od brzegu; mieli tyle roztropności, że nim zajęli miejsca w czółnie, odciągnęli je dość daleko w górę rzeki, by dotrzeć do stosunkowo spokojnej wody powyżej bystrzyny. Widać było od pierwszego rzutu oka, że dziki, który kieruje łodzią, jest biegły w owej sztuce, gdyż długie, równe ruchy jego wiosła popychały lekkie czółno po lśniącej powierzchni spokojnej rzeki, niczym piórko lecące w powietrzu.

–Dać ognia? – zapytał szeptem Gaspar drżąc z ochoty do walki.

–Jeszcze nie, chłopcze, jeszcze nie. Jest ich zaledwie trzech, więc jeśli imć Cap umie posługiwać się tymi pukawkami, które nosi za pasem, możemy im nawet pozwolić wylądować, bo wówczas odzyskamy czółno.

–A Mabel?

–Nie bój się o nią. Powiadasz, że jest bezpieczna w wydrążonym pniu, którego otwór roztropnie zakryłeś jeżynami. Jeżeli to, co mi mówisz o sposobie zatarcia śladu, jest prawdą, słodka dziewczeczka może tam sobie leżeć choćby i miesiąc i śmiać się z Mingów.

–Nigdy nie można być pewnym. Szkoda, żeśmy jej nie ściągnęli bliżej naszego

stanowiska!

–Po co, Eau-douce? Żeby jej śliczna główka i roztrzepotane serce znalazły się wśród lecących kul? Nie, nie; lepiej jej tam, gdzie jest, bo bezpieczniej.

–Nigdy nie wiadomo. Myśleliśmy, żeśmy bezpieczni za tamtymi krzakami, a przecież widziałeś, że nas wykryto.

–I ów mingowski diabeł zapłacił za swoją ciekawość, podobnie jak zapłacą te gałgany.

Tropiciel przerwał, bo właśnie w tej chwili usłyszał ostry huk strzału, a Indianin stojący na rufie czółna wyskoczył wysoko w powietrze i runął do wody trzymając wiosło w garści. Mały obłoczek dymu wzniósł się z zarośli na wschodnim brzegu i rychło rozpląnął się w powietrzu.

–To Wielki Wąż zasyczał! – wykrzyknął z triumfem Tropiciel. – Nigdy śmielsze ani wierniejsze serce nie biło w piersiach żadnego Delawara. Szkoda, że się wtrącił, lecz nie mógł znać naszego położenia.

Zaledwie czółno straciło swego przewodnika, pomknęło z prądem i szybko wessane zostało w wir bystrzyny. Dwaj pozostali Indianie, zupełnie bezradni, toczyli wokół dzikim wzrokiem, nie mogli jednak stawić żadnego oporu potędze żywiołu. Złożyło się zapewne szczęśliwie dla Chingachgooka, że uwaga większości Irokezów skupiła się na tych, co byli w łodzi, gdyż inaczej jego ucieczka byłaby w najwyższym stopniu utrudniona, jeżeli niezupełnie niemożliwa.

Jednakże ani jeden z wrogów nie poruszył się z miejsca, tyle tylko, że ukryli się, gdzie mogli, a oczy ich utkwione były w dwóch pozostałych towarzyszy.

W czas krótszy, niż tego wymaga opis owych wypadków, czółnem jęła okręcać i podrzucać bystrzyna, a obaj dzicy legli plackiem na jego dnie, tylko tak bowiem mogli zachować równowagę. Ten naturalny sposób wkrótce ich zawiódł, gdy lekka łódka uderzywszy o skałę wywróciła się, a obaj wojownicy wpadli do rzeki. Woda rzadko bywa głęboka w bystrzynie, z wyjątkiem miejsc, gdzie wyżłobiła sobie kanały, toteż Indianie nie potrzebowali obawiać się utonięcia i tylko stracili swą broń. Obaj chcąc nie chcąc musieli torować sobie jak mogli drogę ku zbawczemu brzegowi, płynąc i brodząc na przemian. Czółno osiadło na skale pośrodku, rzeki i w ten sposób stało się chwilowo bezużyteczne dla obu stron.

–Teraz pora na nas, Tropicielu! – zawołał Gaspar, gdy obaj Irokezi ukazali się niemal w całej postaci, brodząc przez płytką część rzeki. – Ten wyżej jest mój, ty zaś bierz niższego.

Młodzieńca tak podnieciły wszystkie owe przejmujące wydarzenia, że kula pomknęła

z jego strzelby, jeszcze gdy mówił, widocznie jednak na próżno, gdyż obaj uciekający wzgardliwie zamachali rękoma. Tropiciel nie strzelił.

–Nie, nie, Eau-douce – odrzekł. – Bez przyczyny nie szukam krwi; kula moja jest dobrze opatrzona i starannie przybita na chwilę potrzeby. Nie kocham ja Mingów, co i słusznie, jeżeli zważyć, jak wiele obcowałem z Delawarami, którzy są ich śmiertelnymi i naturalnymi wrogami, ale nigdy nie pociągam za cyngiel do któregoś z tych bezecników, póki nie jest oczywiste, że jego śmierć posłuży jakiemuś dobremu celowi. Jeszcze nie biegał taki jelen, który by padł z mej ręki dla kaprysu. Przestając wiele sam na sam z Bogiem w puszczy, człek uczy się odczuwać słuszność takiego poglądu. Na razie wystarczy nam jedno życie, a może nadarzy się jeszcze okazja użyć Postrachu Zwierząt dla ochrony Węża, który postąpił nieustraszenie, pokazując tak wyraźnie tym wściekłym diabłom, że przebywa w ich sąsiedztwie. Jakem nędzny grzesznik! Jeden z nich właśnie skrada się wzdłuż brzegu, niczym jakowyś chłopak z garnizonu czający się za wykrotem, aby dać ognia do wiewiórki!

Gdy Tropiciel mówiąc to wskazał palcem kierunek, bystre oko Gaspara wprędce dostrzegło tego, o którym była mowa. Jeden z młodych nieprzyjacielskich wojowników, gorejąc pragnieniem wyróżnienia się, podpełznął ku miejscu, gdzie był ukryty Chingachgook. Ponieważ zaś ten dał się zwieść pozornej bierności wrogów, a przy tym był snadź zajęty jakimiś własnymi przygotowaniami, młody Indianin najwyraźniej dotarł do miejsca, z którego mógł widzieć Delawara. Świadczył o tym fakt, że Irokez gotował się do strzału, sam Chingachgook bowiem nie był widoczny z zachodniego brzegu rzeki. Bystrzyna znajdowała się na zakręcie Oswego, a wschodni brzeg zakreślał zakos tak szeroki, że w linii prostej Chingachgook był bardzo blisko swych wrogów, choć oddzielony od nich kilkuset stopami łądu, na skutek czego obie strony znajdowały się w niemal równej odległości od Tropicielea i Gaspara. Ponieważ szerokość rzeki wynosiła nieco powyżej dwustu jardów, także mniej więcej był dystans pomiędzy dwoma obserwatorami a czającym się Irokezem.

–Waż musi gdzieś tam być – zauważył Tropiciel, który ani na chwilę nie odrywał oczu od młodego wojownika – a jednak dziwnie się nie pilnuje, skoro dopuszcza tak blisko tego diabła, który zdradza najwyraźniej, że z głębi serca łaknie rozlewu krwi.

–Patrz! – przerwał mu Gaspar. – O, tam widać ciało Indianina, którego ustrzelił Delawar! Prąd rzucił je o skałę i wypchnął nad wodę głowę i twarz trupa.

–Bardzo możebne, mój chłopcze, bardzo możebne. Ludzkie ciało niewiele jest lepsze od kloca drzewnego, gdy życie, które mu tchnięto w nozdrza, uleci. Ten Irokez już nigdy nikomu nie uczyni krzywdy, ale tamten przyczajony dzikus chce zdjąć skalp memu najlepszemu, najbardziej wypróbowanemu przyjacielowi.

Tropiciel nagle przerwał, podniósł z podziwu godną precyzją swą broń – strzelbę niewyczałnej długości – i dał ognia, w chwili gdy ta zrównała się z celem. Irokez na

przeciwnym brzegu właśnie się składał do strzału, kiedy nadleciał śmiertelny posłannik Postrachu Zwierząt. Strzelba dzikiego co prawda wypaliła, lecz lufą zwróconą w powietrze, a on sam zwał się w zarośla najwyraźniej trafiony, jeżeli nie zabity.

–Sam sobie winien ten pełzający gad – mruknął ponuro Tropiciel, gdy opuściwszy kolbę wziął się starannie do nabijania strzelby. – Chingachgook i ja od małego przestawaliśmy z sobą i razem walczyliśmy na Horicanie, Mohawku, Ontario i na wszystkich innych krwawych szlakach między krajem Francuzów a naszym. Czyż więc ten głupi gamoń sądził, że będę się przyglądał, jak mój najlepszy przyjaciel wpada w zasadzkę?

–Odplaciliśmy Wężowi usługą za usługę. Łotry są zastraszone, Tropicielu, i chowają się znowu, bo widzą, że możemy ich osiągnąć przez rzekę.

–Ten strzał to nic wielkiego, Gasparze, nic wielkiego! Spytaj któregośkolwiek żołnierza z sześćdziesiątki, a ten ci powie, co może zdziać i co już zdziać Postrach Zwierząt, i to wówczas, gdy kule latały nam koło głowy niczym grad. Nie, nie! To nic wielkiego, a ten bezmyślny chłystek sam sobie winien.

–Czy to pies, czy jeleń płynie tu do brzegu?

Tropiciel drgnął, gdyż istotnie jakiś przedmiot przepływał rzekę powyżej bystrzyny, ku której jednakże znosiła, go stopniowo siła prądu. Następny rzut oka przekonał obu patrzących, że jest to człowiek i Indianin, choć tak trudno było, go rozpoznać, iż zrazu rzecz wydawała się wątpliwa. Nasuwała się obawa jakiegoś podstępu, toteż obaj z największą uwagą śledzili poruszenia nieznanego.,

–Coś popycha przed sobą płynąc, a głowa jego przypomina krzak unoszący się na wodzie – rzekł Gaspar.

–To jakieś indiańskie diabelstwo, chłopcze, ale chrześcijańska uczciwość udaremni te sztuczki.

Gdy człowiek ów zbliżał się z wolna, patrzący zaczęli wątpić w ścisłość pierwszego wrażenia, lecz dopiero kiedy przebył dwie trzecie rzeki, objawiła się cała prawda.,

–Wielki Wąż, jak mi Bóg miły! – krzyknął Tropiciel spoglądając na swego towarzysza i śmiejąc się tak, że radość z udanego podstępu wycisnęła mu łzy z oczu. – Przywiązał sobie gałęzie do głowy, aby ją ukryć, na wierzch położył rozek z prochem, przytroczył strzelbę do tego kawałka kłody, który popycha przed sobą, i przybył połączyć się z przyjaciółmi. Ach! Ileż to razy płataliśmy razem takie figle pod samym nosem Mingów wściekle łaknących naszej krwi na wielkim szlaku wokół twierdzy Ty!

–Może to jednak nie Wąż, Tropicielu? Nie mogę poznać rysów jego twarzy!

–Rysów! Któż szuka rysów u Indianina? Nie, nie, mój chłopcze; tu mówi farba, a nikt prócz Delawara nie byłby tak pomalowany. To jego barwy, Gasparze, tak samo jak twój statek na jeziorze nosi krzyż Św. Jerzego, a Francuzi rozwijają na wietrze swoje serwety razem z wszystkimi plamami po rybich ościach i befsztykach jelenich! Przecież widzisz jego oczy, a są to oczy wodza. Lecz, Eau-douce, choć takie ogniste w bitwie, a błyszczące pomiędzy liśćmi – tu Tropiciel położył lekko, ale wymownie palec na rękę swego towarzysza – przecież widziałem już, jak ronily łyzy niczym deszcz. Wierz mi: jest dusza i serce pod tą czerwoną skórą, chociaż to dusza i serce zgoła odmienne od naszych.

–Nikt, kto zna wodza, nigdy w to nie wątpił.

–Ja natomiast wiem o tym – odparł tamten dumnie – bom z nim obcował w smutku i radości. W jednym okazał się mężczyzną bez względu na to, jak był zgnębiony; w drugim – wodzem, który wie, że kobiety jego plemienia najmiłsze są, gdy się weselą. Lecz tss! Szeptanie sobie w ucho słodkich słów nazbyt przypomina ludzi z osiedli, a Wąż ma wyostrzone zmysły. Wie, że go miłuję i mówię o nim dobrze za jego plecami, lecz w głębi natury Delawara tkwi skromność, choć będzie się chełpił jak ostatni grzesznik, gdy go przywiążą do pala.

Wielki Wąż dotarł właśnie do lądu tuż na wprost swych dwóch towarzyszy, których stanowisko musiał dokładnie znać, nim opuścił wschodni brzeg rzeki. Wychynął z wody, otrząsnął się jak pies i wydał zwykły okrzyk: – Ugh!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W swoich przemianach, wszechpotężny

Ojczy, Twych tylko różność ukazują lic.

THOMSON

Gdy Wąż wy dostał się już na ląd, Tropiciele powitał wodza językiem jego plemienia.

–Czyś dobrze uczynił – powiedział z wyrzutem – zaczajając się sam jeden na tuzin Mingów? Prawda, że Postrach Zwierząt rzadko mnie zawodzi, ale poprzez Oswego strzał jest daleki, a ten nikczemnik ledwie pokazał głowę i ramiona z krzaków, toteż nie wyćwiczona ręka i oko mogły chybić. Powinieneś być pomyśleć o tym, wodzu!

–Wielki Wąż jest mohikańskim wojownikiem i widzi tylko swych wrogów, kiedy jest na ścieżce wojennej, a jego praojcowie razili z tyłu Mingów, odkąd wody zaczęły się toczyć.

–Znam twoje zalety, znam je i szanuję cię za nie. Nikt nie usłyszy ode mnie narzekań z tej racji, że czerwonoskóry postąpił zgodnie ze swą naturą. Wszelako ostrożność równie przystoi wojownikowi, jak odwaga i gdyby irokeskie diabły nie oglądały się za swoimi kamratami, którzy siedzieli w wodzie, gorący byłby twój trop.

–Cóż on zamierza uczynić? – wykrzyknął Gaspar, zauważywszy w tej chwili, że Delawar odszedł od Tropicielea i zbliżył się do wody z wyraźnym zamiarem ponownego wskoczenia do rzeki. – Chyba nie będzie tak szalony, by wracać na tamten brzeg po jakiś zapomniany drobiazg?

–Nie, nie! Jest na ogół równie roztropny, jak dzielny, chociaż nie myślał o sobie przy tej ostatniej zasadzce. Posłuchaj mnie, Gasparze – tu Tropiciele odprowadził młodzieńca nieco na bok i właśnie w tej chwili usłyszeli, że Indianin skoczył w wodę. – Chingachgook nie jest chrześcijaninem i białym jak my, lecz mohikańskim wodzem, który ma swoje przymioty i zwyczaje mówiące mu, co winien robić. Człowiek, który przestaje z takimi, co nie we wszystkim są ściśle doń podobni, lepiej uczyni pozwalając, aby powodowała nimi natura oraz obyczaj. Żołnierz królewski będzie klął i pił, i nie na wiele zda się próbować snu w tym przeszkodzić; szlachetnie urodzony pan lubi przysmaki, a dama – piórka, i nie warto z tym walczyć. Natomiast natura i cechy Indianina o wiele są silniejsze od takich spraw i bez wątpienia nadane mu zostały przez Boga dla jakichś mądrych celów, choć ani ty, ani ja nie potrafimy wyśledzić wszystkich ich zawiłości.

–Co to ma znaczyć? Patrz, Delawar płynie w stronę ciała, które osiadło na skale. Po

cóż się tak naraża?

–Dla honoru, chwały i rozgłosu, podobnie jak wielcy panowie porzucają swoje spokojne siedziby za morzami – gdzie, jak słyszałem, mają wszystko, czego dusza zapagnie, to znaczy taka dusza, która może być szczęśliwa na otwartych równinach – i przybywają tutaj, by żywić się zwierzyną i walczyć z Francuzami.

–Rozumiem cię: przyjaciel twój poszedł po skalp.

–Taka jest jego natura; niechże więc się tym raduje. My jesteśmy biali i nie potrafimy kaleczyć martwego wroga, natomiast w oczach czerwonoskórych jest to zgodne z honorem. Rzecz może ci się wydać osobliwa, Eau-douce, ale znalazłem białych ludzi, o wielkim nazwisku i przymiotach, którzy objawiali równie dziwaczne wyobrażenia na temat honoru.

–Dzikus zawsze będzie dzikusem, Tropicielu, choćby przestawał w nie wiedzieć jakim towarzystwie.

–Łatwo nam to mówić, chłopcze, ale jakem już wspomniał, także i honor białych nie zawsze da się pogodzić z rozsądkiem czy wolą boską. Wśród cichych borów strawiłem wiele dni na rozmyślaniach o tych sprawach i doszedłem do wniosku, że skoro wszystkim rządzi Opatrzność, żadna cecha nie jest nikomu nadana bez mądrej i rozumnej przyczyny.

–Wąż zbyt pokazuje się nieprzyjacielowi, chcąc zdobyć ten skalp! Za to możemy zapłacić klęską!

–Nie w jego mniemaniu, Gasparze. Zgodnie z poglądami Węża na sprawy wojny ten jeden skalp jest bardziej zaszczytny niż całe pole usłane zabitymi, co zachowali włosy na głowie. Przecież był w sześćdziesiątym pułku jeden młody kapitan, który w ostatniej naszej bitwie poświęcił życie, chcąc wydrzeć Francuzom trzyfuntowe działo i uważał, że w ten sposób służy honorowi; a znałem też pewnego młodego chorążego, który owinął się swym sztandarem i zasnął we własnej krwi, wyobrażając sobie, że spoczywa na czymś miększym od skór bawolich!

–No pewnie; wszak każdy rozumie, że jest zasługą nie odstępować sztandaru.

–To zaś jest sztandar Chingachgooka; zachowa go i pokazywać będzie dzieciom swoich dzieci... – Tu Tropiciel przerwał, smętnie pokiwał głową i dodał z wolna: – Ach, nie pozostała już żadna odrośl starego mohikańskiego pnia! Wódz nie ma dzieci, które by uradował swoimi trofeami, nie ma plemienia, któremu mógłby czynami przysporzyć zaszczytu; samotny jest na tym świecie, a jednak pozostaje wierny swym obyczajom i cnotom! Musisz przyznać, Gasparze, że jest w tym coś zacnego i godnego poszanowania.

W tej chwili Irokezi krzyknęli wielkim głosem, po czym huknęły szybkie strzały z ich strzelb. Nieprzyjaciel tak zajadle pragnął odpędzić Delawara od jego ofiary, że z tuzin Indian rzuciło się do rzeki, a niektórzy z nich nawet posunęli się prawie sto stóp w spienione nurty, jak gdyby rzeczywiście zamierzali dokonać poważniejszego wypadu. Chingachgook jednak niewzruszenie robił dalej swoje; pociski nie tykały go, toteż dokonywał dzieła ze zręcznością będącą wynikiem długiej praktyki. Potrząsnął krwawym trofeum i wzniósł najstraszliwszym głosem okrzyk bojowy. Sklepienie milczącego boru oraz głęboka przesieka utworzona w lasach przez łożysko rzeki rozbrzmiewały chwilę krzykami tak okropnymi, że Mabel skłoniła głowę pod wpływem nieodpartego lęku, a jej wuj przez moment zastanawiał się, czy nie uciekać.

–To przechodzi wszystko, com słyszał o tych nędznikach! – zawołał Gaspar zatykając sobie uszy zarówno ze zgrozy, jak obrzydzenia.

–To ich muzyka, chłopcze, ich bębny i piszczałki, ich trąbki i surmy. Bez wątpienia lubią te dźwięki, gdyż budzą one w nich płomienne uczucia i żądzę krwi – odparł zgoła nieporuszony Tropiciel. – Kiedym był jeszcze chłopakiem, wydawały mi się przerażające, lecz dzisiaj są dla mego ucha jak kwilenie lelka lub śpiew drozda. Teraz już wszystkie wrzeszczące łotry, jakie mogłyby stanąć między wodospadami a garnizonem, nie wywarłyby na moich nerwach żadnego wrażenia. Nie mówię tego, żeby się chwalić, bo mężczyzna, który wpuszcza strach przez uszy, musi być w najlepszym razie wątpłego serca, jako że krzyki oraz odgłosy bardziej są zdolne niepokoić kobiety i dzieci, niż tych, co przetrzäsają lasy i stają oko w oko z wrogiem. Mam nadzieję, że Wąż jest teraz kontent, bo oto wraca ze skalpem u pasa.

Gdy Delawar wychodził z wody, Gaspar odwrócił ze wstrętem głowę na widok jego najświeższej zdobyczy, natomiast Tropiciel popatrzył na swego przyjaciela z filozoficzną obojętnością człowieka zdecydowanego nie przejmować się rzeczami, które uważa za nieistotne. Delawar, wchodząc głębiej w zarośla, ażeby wyżyć swój skąpy perkalowy ubiór oraz przysposobić strzelbę do użytku, rzucił towarzyszom jedno spojrzenie tryumfu, i na tym skończyły się wszelkie oznaki wzruszenia wywołanego owym czynem.

–Gasparze – podjął przewodnik – idź do pana Capa i poproś, by do nas przyszedł. Niewiele mamy czasu na narady, a przecie musimy szybko ułożyć plan działania, bo rychło już Mingowie poczną coś knuć na naszą zgubę.

Młody człowiek usłuchał i w kilka minut później wszyscy czterej zebrali się w pobliżu brzegu, aby omówić swe przyszłe poczynania. Byli dobrze ukryci przed wzrokiem nieprzyjaciela, a zarazem sami czujnie śledzili jego ruchy.

Pora była już tak późna, że ledwie parę minut dzieliło uchodzące światło dnia od ciemności, która zapowiadała się na głębszą niż zazwyczaj. Słońce już zaszło i zmierzch właściwy tej szerokości geograficznej miał wkrótce przejść w głęboki mrok

nocy. Nadzieje wędrowców opierały się głównie na tej pomyślnej okoliczności, która jednak także nie była pozbawiona niebezpieczeństw, gdyż ciemność mająca sprzyjać ucieczce, z równym prawdopodobieństwem mogła przesłonić ruchy podstępnych wrogów.

–Nadeszła chwila, panowie – zaczął Tropiciel – kiedy musimy z zimną krwią ułożyć sobie plany, ażeby działać wspólnie, z właściwym zrozumieniem naszego celu i możliwości. Za godzinę te lasy będą równie mroczne jak o północy, jeżeli tedy mamy w ogóle dotrzeć do garnizonu, musimy wykorzystać tę sprzyjającą okoliczność. Cóż na to powiesz, mości Cap? Choć bowiem nie należysz do ludzi najbardziej doświadczonych w walkach i odwrotach leśnych, lata twoje dają ci tytuł, byś w takiej sprawie i na naradzie przemawiał jako pierwszy.

–No cóż, moim zdaniem, jedyne, co winniśmy uczynić, to wsiąść do czółna, i gdy na tyle się ściemni, by wrogie czaty nie mogły nas wypatrzeć – gnać do portu, o ile tylko wiatr i przyptyw pozwolą.

–Łatwo to rzec, lecz nie tak łatwo wykonać – odparł przewodnik. – Bardziej będziemy narażeni na rzece niż idąc lasami, a poza tym niżej jest bystrzyna Oswego, daleki zaś jestem od pewności, czy sam Gaspar potrafi bezpiecznie przeprowadzić przez nią łódź po ciemku. No, chłopcze, cóż ci dyktuje rozsądek i umiejętności?

–Jestem tego, samego zdania, co pan Cap, w sprawie użycia czółna. Mabel jest nazbyt delikatna, by iść przez mokradła i korzenie drzew w taką noc, na jaką się zanosi. A wreszcie czuję, że serce mam mężniejsze, oko zaś bardziej pewne na wodzie niż na lądzie.

–Zawsze masz mężne serce, chłopcze, a myślę, że i dość pewne oko, jak na kogoś, kto tyle przebywa w pełnym słońcu, a tak niewiele w lasach. Ach, gdyby Ontario miało drzewa, dopieroż byłoby równiną mogącą uradować serce myśliwca! Co się tyczy waszego zdania, przyjaciele, to wiele przemawia za nim i wiele przeciw niemu. Bo z jednej strony można powiedzieć, że woda nie zostawia śladów...

–A czymże jest kilwater? – zapytał uparty i pewny siebie Cap.

–Co, proszę?

–Nic, nic – rzekł Gaspar. – Pan Cap myśli, że jest na oceanie. Więc, jak mówiłeś, woda nie zostawia śladów...

–Tu nie zostawia żadnych, Eau-douce, chociaż nie twierdzę, że wiem, co może zostawić na oceanie. Czółno jest zarówno szybkie, jak wygodne, gdy płynie z prądem, przeto delikatne ciało córki sierżanta dobrze zniesie jego ruch. Tylko że rzeka nie ma innej osłony prócz chmur na niebie, przeprawa przez bystrzynę jest ryzykowna dla łodzi nawet przy dziennym świetle, a wreszcie stąd do garnizonu

będzie jeszcze dobre sześć mil wodą. Prócz tego na lądzie niełatwo odnaleźć trop po ciemku. Jestem w rozterce, Gasparze, i nie wiem, którą drogę winniśmy doradzać i zalecać.

–Gdybym mógł wraz z Wężem przepłynąć rzekę i przyprowadzić drugie czółno – odparł młody marynarz – wydaje mi się, że najpewniejszą drogą byłaby woda.

–Ba, gdyby! Przecież można to łatwo uczynić, jak tylko trochę się ściemni. No, no, nie wiem, czy to nie będzie najlepsze. Chociaż gdybyśmy tu byli sami mężczyźni, zabawa w chowanego z tymi bezecnikami z drugiego brzegu byłaby dla ludzi odważnych i chwackich nie gorsza od polowania. Gasparze – ciągnął Tropiciel, którego charakter nie miał żadnej przymieszki czczej chełpliwości czy zamięłowania do teatralnych efektów – podejmiesz się sprowadzić tutaj czółno?

–Podejmę się wszystkiego, co może przysłużyć się panie Mabel i ochronić ją, Tropicielu.

–Zacne to uczucie i myślę, że taka jest twoja natura. Wąż, który zresztą jest już prawie nagi, może ci pomóc, i w ten sposób pozbawimy tych diabłów jednego ze środków czynienia nam szkody.

Powziąwszy tę ważną decyzję, wszyscy poczęli się gotować do wprowadzenia planu w czyn. Cienie wieczoru szybko się słały po lesie i kiedy wszystko przysposobiono do akcji, nie można już było rozróżnić przedmiotów na przeciwległym brzegu. Czas teraz naglił, gdyż chytróść Indian mogła wynaleźć tyle sposobów przeprawy przez taką wąską rzekę, że Tropiciel zaczynał się niecierpliwić, chciał już bowiem opuścić to miejsce. Podczas gdy Gaspar i jego towarzysz, zachowując największą ostrożność, by się nie zdradzić, weszli do rzeki uzbrojeni jedynie w noże i tomahawk Delaiwara, Tropiciel wywiódł Mabel z kryjówki i polecivszy dziewczynie oraz Capowi, by posuwali się brzegiem aż do bystrzyny, wsiadł do pozostałego czółna, chcąc doprowadzić je w to samo miejsce.

Dokonał tego z łatwością. Czółno przybiło do brzegu, Mabel i jej wuj zajęli w nim swe zwykłe miejsce, a Tropiciel stanął na rafie trzymając się krzaka, ażeby nie dać się znieść wartkiemu prądowi. Minęło kilka minut w napiętym oczekiwaniu; wszyscy z zapartym tchem wyglądali rezultatu zuchwałego czynu swoich przyjaciół.

Należy wiedzieć, że obaj śmiałkowie musieli przebyć wpływ głęboki i wartki kanał przed dotarciem do takiego miejsca bystrzyny, gdzie można było brodzić. Tej części przedsięwzięcia wprędce dokonali: Gaspar i Wielki Wąż zgruntowali równocześnie obok siebie. Stanąwszy pewnie na nogach, ujęli się za ręce i z najwyższą ostrożnością poczęli z wolna brnąć przez wodę w kierunku, w którym czółno winno się być znajdować. Atoli mrok zgęstniał. już tak dalece, iż rychło przekonali się, że zmysł wzroku niezbyt im będzie pomocny, a poszukiwaniami kierować musi ów

rodzaj instynktu, który pozwala leśnemu człowiekowi odnaleźć drogę, kiedy słońce się skryło, gwiazd nie widać, wszystko zaś może się zdawać chaosem komuś mniej przywykłemu do labiryntów boru. W tej sytuacji Gaspar pozwolił prowadzić się Delawarowi, który dzięki swoim przymiotom był odpowiedniejszy do objęcia kierownictwa.

Mimo to nie było' rzeczą łatwą brodzić o takiej godzinie wśród rozhukanego żywiołu i jednocześnie zachować jasno w pamięci rozmieszczenie wszystkiego dokoła. Kiedy znaleźli się, jak mniemali, na środku rzeki, można było rozeznąć oba brzegi jedynie po masie mroku gęstszego niż gdzie indziej, a ich zarysy na tle chmur zaledwie majaczyły postrzępionymi wierzchołkami drzew. Kilkakrotnie wędrowcy zmieniali kierunek, gdy dostali się niespodzianie na głęboką wodę, wiedzieli bowiem, że łódź utknęła w najpłytszym miejscu bystrzyny. Krótco rzekłszy, Gaspar i jego towarzysz, tym się kierując, prawie przez kwadrans błakali się w wodzie, a po upływie tego czasu, który młodzień

cowi zaczął wydawać się nieskończony, stwierdzili, że najwyraźniej nie zbliżyli się wcale do przedmiotu swych poszukiwań.

Właśnie kiedy Delawar miał się zatrzymać, aby oświadczyć swemu towarzyszowi, że byłoby dobrze wrócić na ląd i zacząć od nowa, dostrzegł kształt ludzki poruszający się w wodzie nieledwie na odległość ramienia. Gaspara miał u swego boku, toteż pojął natychmiast, że Irokezi musieli się przepawić w tym samym celu co oni.

–Mingo! – szepnął Gasparowi do ucha. – Wąż pokaże swojemu bratu, jak być przebiegłym.

W tejże chwili młody marynarz spostrzegł ową postać i groźna prawda objawiła mu się błyskawicznie. Rozumiejąc konieczność zdania się na wodza Delawarów pozostał w tyle, gdy tymczasem jego przyjaciel podsunął się ostrożnie w kierunku, w którym zniknął Irokez. W następnej chwili ukazał się znowu, najwyraźniej zmierzając ku nim. Woda huczała tak, że można się było nie obawiać zwyczajnych odgłosów, toteż Chingachgook obrócił głowę i rzekł spiesznie:

–Pozostaw to chytróści Wielkiego Węża.

–Ugh! – krzyknął obcy Indianin i dorzucił w swoim języku: – Znalazłem czółno, ale nie było nikogo, kto by mi pomógł. Chodź, podniesiemy je ze skały.

–Chętnie – odrzekł Chingachgook, który rozumiał ów dialekt. – Prowadź; pójdziemy za tobą.

Tamten, nie mogąc rozpoznać głosu ani akcentu wśród ryku wody, powiódł ich w odpowiednim kierunku, a ponieważ trzymali się tuż za nim, wszyscy trzej szybko dotarli do czółna. Irokez pochwycił je za jeden koniec. Chingachgook stanął

pośrodku, a Gaspar poszedł na drugi, jako że było rzeczą ważną, by obcy Indianin nie wykrył obecności białego, mógłby go bowiem rozpoznać po częściach ubioru, które młodzieniec miał na sobie, jak również po ogólnym zarysie jego głowy.

–Podnieś! – powiedział Irokez z lakonicznością właściwą swojej rasie. Niewielkim wysiłkiem unieśli czółno ze sikaly, przytrzymali chwilę w powietrzu, by je opróżnić, po czym ostrożnie opuścili na wodę we właściwej pozycji. Wszyscy trzej dzierżyli je krzepko, by nie wymknęło im się z rąk pod naporem gwałtownego prądu, a Irokez, który prowadził idąc przy dziobie łodzi, skierował się ku wschodniemu brzegowi, czyli ku miejscu, gdzie czekali nań jego kamraci.

Ponieważ Delawar i Gaspar zdawali sobie dobrze sprawę, że przy bystrzynie musi znajdować się jeszcze kilku Irokezów, skoro ich własne pojawienie się wcale nie zaskoczyło napotkanego Indianina, obaj zrozumieli, że niezbędną jest największa ostrożność. Ludzie mniej śmiali i zdeterminowani uznaliby, że wystawiają się na zbyt wielkie ryzyko zapuszczając się tak między wrogów; jednak ci dwaj zuchwali mieszkańcy pogranicza nie znali strachu, przyzwyczajeni byli do ryzyka, a rozumiejąc dobrze, iż nie wolno dopuścić, by nieprzyjaciel dostał łódź, chętnie naraziliby się jeszcze bardziej, byleby cel swój osiągnąć. Gaspar uważał posiadanie albo zniszczenie czółna za rzecz tak niesłychanie doniosłą dla bezpieczeństwa Mabel, że dobył noża i stał w gotowości, by rozpruć korę i choć chwilowo uczynić łódź niezdatną do użytku, gdyby zdarzyło się coś, co zmusiłoby Delawara i jego samego do porzucenia zdobyczy.

Tymczasem Irokez, który ich prowadził, posuwał się z wolna w kierunku towarzyszy, nie wypuszczając z rąk czółna i ciągnął za sobą swoich nieskorych pomocników. Raz Chingachgook już podniósł tomahawk i byłby go zatopił w mózgu ufnego i nie mającego żadnych podejrzeń sąsiada, ale prawdopodobieństwo, że krzyk śmiertelny lub unoszące się na wodzie ciało może zaalarmować innych, skłoniło roztropnego wodza do zmiany zamiaru. W następnej chwili pożałował tego niezdecydowania, gdyż wszyscy trzej ciągnąc łódź znaleźli się nagle wśród grupy złożonej ni mniej, ni więcej tylko z czterech innych Irokezów, którzy również poszukiwali czółna.

Po zwykłych, charakterystycznych, krótkich okrzykach zadowolenia dzicy skwapliwie chwycili czółno, wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę z konieczności zdobycia tej tak ważnej łodzi: jedna strona, by napaść na nieprzyjaciół, druga zaś, żeby zapewnić sobie odwrót. Atoli powiększenie liczby przeciwników było tak nieprzewidziane i dawało im tak całkowitą przewagę, że na chwilę nawet pomysłowość i zręczność Delawara zawiodła. Pięciu Irokezów, dobrze rozumiejąc własne zadanie, parło naprzód w stronę swojego brzegu nie zatrzymując się dla rozmowy, celem ich bowiem było zabranie wiosł, już przedtem wyłowionych, i kilku wojowników wraz ze wszystkimi strzelbami i rożkami prochu, których brak powstrzymał ich od przebycia wplaw rzeki, gdy tylko się ściemniło.

W ten sposób połączona grupa przyjaciół i wrogów dotarła do skraju wschodniego kanału, gdzie – równie jak w zachodnim – woda była nazbyt głęboka, by mogli brodzić. Tu przystanęli na chwilę, należało bowiem ustalić, w jaki sposób przeniesie się dalej czółno. Jeden z czterech, którzy podeszli do łodzi, był wodzem, a szacunek, jaki amerykański Indianin zwykł jest okazywać zasługom, doświadczeniu oraz godności, sprawiał, że pozostali milczeli czekając, aż tamten przemówi.

Postój znacznie wzmógł niebezpieczeństwo wykrycia, zwłaszcza Gaspara, który jednakże był na tyle roztropny, że rzucił swoją czapkę na dno czółna. Ponieważ nie miał na sobie kurty ani koszuli, sylwetka jego mniej zwracała uwagę w ciemnościach. Fakt, że stał u rufy czółna, również temu sprzyjał, gdyż Irokezi, rzecz naturalna, mieli wzrok zwrócony w przeciwnym kierunku.

Inaczej było z Chingachgookiem. Wojownik ów znajdował się dosłownie wśród swoich śmiertelnych wrogów i nie mógł się poruszyć, nie dotykając któregoś z nich. Mimo to był najwyraźniej zupełnie spokojny, choć wszystkie zmysły miał napięte w gotowości do ucieczki albo zadania ciosu, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Pilnie starając się nie odwracać głowy ku tym, którzy stali za nim, zmniejszał możliwość wykrycia i z niepożytą cierpliwością Indianina czekał na moment, kiedy będzie zmuszony działać.

–Niech wszyscy moi młodzi wojownicy idą po broń, z wyjątkiem dwóch, którzy pozostaną przy obu końcach czółna – powiedział wódz Irokezów. – Ci dwaj niech je pchają dalej.

Indianie spokojnie usłuchali rozkazu pozostawiając Gaspara u rufy, a Irokeza, który znalazł czółno, u dzioba; Chingachgook tak głęboko zanurzył się w rzekę, że nie zauważywszy go przeszli mimo. Plusk wody, ruch ramion i nawoływanie niebawem oznajmiły, że ci czterej, którzy przyłączyli się ostatni, już płyną. Gdy tylko stało się to pewne, Delawar podniósł się i stanął na dawnym miejscu, uznawszy, że nadchodzi pora działania.

Człowiek mniej nawykły do powściągliwości byłby teraz zapewne zadał obmyślony cios, lecz Chingachgook wiedział, że przy bystrzynie jest za nim więcej Irokezów, był zaś nazbyt wytrawnym i doświadczonym wojownikiem, by ryzykować bez potrzeby. Pozwolił Indianinowi, trzymającemu dziób czółna, zepchnąć je na głęboką wodę i wszyscy trzej jęli płynąć w kierunku wschodniego brzegu. Miast jednak popychać łódź w poprzek wartkiego prądu, Delawar i Gaspar, znalazłszy się pod jego najsilniejszym naporem, natychmiast poczęli płynąć w ten sposób, że powstrzymywali czółno w jego dalszym posuwaniu się przez rzekę. Nie uczynili tego bynajmniej nagle czy nieostroźnie, jakby to pewnie zrobił człowiek cywilizowany, próbując podobnego fortelu, ale przemyślnie i tak stopniowo, że Irokez u dzioba wyobraził sobie zrazu, iż zмага się po prostu z mocą prądu. Czółno, wystawione na działanie tych dwóch przeciwnych sił, spłynęło oczywiście w dół rzeki i w niecałą

minutę później unosiło się na jeszcze większej głębini u krańca bystrzyny. Tutaj jednak Irokez rychło wykrył, że coś niezwykłego opóźnia posuwanie się naprzód, i obróciwszy po raz pierwszy głowę stwierdził, że przeciwstawiają mu się wysiłki towarzyszy.

Owa druga natura, którą wytwarza przyzwyczajenie, natychmiast podszeptała młodemu Irokezowi, że znajduje się sam na sam z wrogami. Rozbryzgując wodę rzucił się do gardła Chingachgookowi i obaj Indianie puściwszy czołno szczepili się jak tygrysy. Wśród mroku posępnej nocy unoszeni przez żywioł tak groźny dla człowieka wiodącego śmiertelną walkę, zdawali się zapominać o wszystkim prócz swej zacieklej nienawiści i obopólnej żądzы zwycięstwa.

Gaspar panował teraz niepodzielnie nad łodzią, która odepchnięta falą wywołaną przez szamotanie się zapaśników, pomknęła jak piórko uniesione podmuchem. Pierwszym impulsem młodzieńca było biec na pomoc Delawarowi, ale konieczność zdobycia łodzi objawiła mu się z dziesięciokrotną mocą, gdy usłyszał ciężkie dyszenie obu dławiących się wzajem wojowników. Popłynął tedy jak najszybciej ku zachodniemu brzegowi.

Wprędce tam dotarł i po krótkich poszukiwaniach udało mu się odnaleźć resztę towarzyszy oraz własne ubranie. Kilka słów wystarczyło, aby wyjaśnić sytuację, w jakiej pozostawił Delawara, i sposób zdobycia czołna.

Kiedy ci, co pozostali na brzegu, wysłuchali relacji Gaspara, zapanowała wśród nich głęboka cisza, gdyż każdy usilnie nadstawiał ucha w próżnej nadziei, że ułowi jakiś odgłos, który powie mu o wyniku straszliwej walki stoczonej właśnie lub jeszcze toczącej się w wodzie. Nie było jednak nic słychać oprócz nieprzerwanego huku pędzącej rzeki, albowiem do taktyki nieprzyjaciela na przeciwległym brzegu należało zachowywanie grobowego milczenia.

–Weź to wiosło, Gasparze – powiedział Tropiciel spokojnie, choć słuchającym wydało się, że jego głos brzmiał smutniej niż zazwyczaj – i płyn za nami swoim czołnem. Niebezpiecznie byłoby zostawać tu dłużej.

–A co będzie z Wężem?

–Wielki Wąż jest w rękach swojego bóstwa i będzie żył albo umrze, zależnie od zamiarów Opatrzności. Nie możemy nic dla niego uczynić, a zbyt wiele ryzykowałibyśmy pozostając tutaj bezczynnie, niczym kobiety biadające nad swymi strapieniami. Ta ciemność jest bardzo cenna.

Tropicielowi przerwało donośne, długie, przenikliwe wycie, które dobiegło z drugiego brzegu. –

–Cóż znaczy ten ryk? – zapytał Cap. – Przypomina bardziej wrzaski szatanów niż

jakikolwiek głos pochodzący z gardła chrześcijan i ludzi.

–Nie są oni chrześcijanami, nie uważają się za takich ani też nie chcą nimi być, a nazywając ich szatanami niewiele się pan pomyliłeś. To wycie jest wyciem radości, wydali je zaś jako zwycięzcy. Niezawodnie Wąż, żyw czy martwy, znajduje się w ich mocy.

–A cóż my? – wykrzyknął Gaspar zdjęty szlachetnym żalem na myśl, że mógł odwrócić nieszczęście, gdyby nie odstąpił swojego towarzysza.

–Nie możemy nic zrobić dla wodza, chłopcze, i musimy opuścić to miejsce jak najszybciej.

–Bez jednej choćby próby ocalenia go? Nie wiedząc nawet, czy zginął, czy też żyje?

–Gaspar ma rację – rzekła Mabel, która zdołała przemówić, chociaż głos jej był ochrypły i zdławiony. – Nie lękam się, wuju, i pozostanę tutaj, dopóki się nie dowiemy, co stało się z naszym przyjacielem.

–To chyba jest rozsądne, Tropicielu – wtrącił Cap. – Rzetelny marynarz nie potrafi opuścić kolegi, ja zaś rad jestem, że tak godne uczucia spotyka się wśród ludzi ze słodkich wód.

–Ech tam! – odpowiedział zniecierpliwiony przewodnik, jednocześnie spychając łódź na wodę. – Nic nie rozumiecie, więc niczego się nie lękacie. Jeśli wam życie miłe, myślcie o tym, jak dotrzeć do garnizonu, a Delawara zostawcie w rękach Opatrzności. Ach, jelen, który zbyt często biega do lizawki, spotyka w końcu myśliwca.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ku Yarrow – ten uroczy brzeg?

Ku tobie w śnie, w marzeniu

Mój duch na rącznych skrzydłach biegł –

Dzieciństwa mego cieniu!

O, gdyby jakiś harfiarz wplótł

W swą pieśń radości nutkę

I spłoszył ciszę, co jak lód

Przepaja serce smutkiem.

WORDSWORTH

Scena owa nie była pozbawiona wzniosłości, toteż gorąca, szlachetna Mabel uczuła, jak krew pulsuje jej w żyłach, a twarz powleka się rumieńcem, gdy czółno, odbiwszy od lądu, śmignęło w sam środek nurtu. Ciemności mocne zrzedły gdyż chmury rozpięzchły się, lecz drzewa zwisające nad wodą tak ocieniały brzeg, że unoszone prądem łodzie sunęły pasem mroku, który skutecznie zabezpieczał je od wykrycia. Mimo to wszystkich płynących opanowało, rzecz jasna, silne uczucie niepewności i nawet Gaspar, który obecnie ze względu na Mabel drżał na każdy niezwykle odgłos dochodzący z lasu, ustawicznie rzucał dokoła niespokojne spojrzenia. Wiosłowali lekko i z ogromną ostrożnością, albowiem najmniejszy hałas wśród ciszy owej godziny i miejsca mógł wskazać nasłuchującym czujnie Irokezom, gdzie się znajdują zbiegowie.

Wszystko to wzmagало jeszcze uroczystą powagę sytuacji

i sprawiało, że chwila ta należała do najbardziej przejmujących w całym krótkim dotychczasowym życiu Mabel Dunham. Dziewczyna była odważna i przyzwyczajona do samodzielności, a podtrzymywała ją na duchu duma z faktu, że uważała się za córkę żołnierza, toteż trudno byłoby twierdzić, że strach ją obleciał; jednakże serce jej często uderzało teraz szybciej niż zwykle, w pięknych błękitnych oczach płonęła stanowczość, którą przesłaniał mrok, a żywe wzruszenia wzmagala jeszcze prawdziwa podniosłość cechująca tę scenę oraz wszystkie wydarzenia owej nocy.

–Mabel! – odezwał się stłumiony głos Gaspara, gdy oba czółna zbliżyły się na tyle, że młodzieniec mógł przytrzymać je razem. – Nie lękasz się? Ufasz w naszą opiekę i

chęć ochronienia ciebie?

–Jestem córką żołnierza, jak pan wiesz, Gasparze, i wstydziłabym się przyznać do strachu.

–Polegaj na mnie, na nas wszystkich. Twój wuj, Tropiciel, Delawar – gdyby biedak był tutaj -ja sam – zaryzykujemy wszystko, byleby nie stała ci się żadna krzywda.

–Wierzę, Gasparze – odparła dziewczyna, igrając mimowiednie dłonią zanurzoną w wodzie. – Wiem, że wuj mnie kocha, i nigdy nie będzie myślał o sobie, póki wprzód nie pomyśli o mnie, wierzę też, że wy wszyscy jesteście przyjaciółmi mojego ojca i chętnie dopomóżecie jego dziecku. Ale nie takam słaba ani płochliwa, jak mógłbyś sądzić, bo chociaż jestem tylko miejską dziewczyną i – jak ich większość – odrobinę skłoną dopatrywać się niebezpieczeństwa tam, gdzie go wcale nie ma, przecie obiecuję, że żadne moje niemądre obawy nie będą wam zawadą w pełnieniu obowiązków.

–Córka sierżanta ma słusność i godna jest być dziecięciem zacnego Tomasza Dunhama! – wtrącił Tropiciel. – Ach, śliczna panienko, nieraz z twym ojcem szliśmy na zwiady i maszerowaliśmy na flance czy tyłach nieprzyjaciela w noce ciemniejsze niż ta, nie wiedząc, czy lada chwila nie wpadniemy w jakąś krwawą zasadzkę! Byłem przy nim, kiedy zraniono go w ramię; zacny chłop opowie ci, gdy się spotkacie, jak nam się udało przebyć rzekę odcinającą odwrót i tiratować skalp sierżanta.

–Już mi o tym opowiadał! – rzekła Mabel z większą może energią, niż na to pozwalała ostrożność w jej położeniu. – Mam jego listy, w których o tym wszystkim wspomina, więc z głębi serca dziękuję ci za tę przysługę. Bóg ci to zapamięta, Tropicielu, a każdy dowód wdzięczności, jakiego zażadasz od córki, złoży ona z radością w zamian za życie ojca.

–Ach, tak to jest ze wszystkimi delikatnymi istotami o czystym sercu! Widywałem już niektóre z was, a słyszałem o innych. Sam sierżant prawił mi o swej młodości i o twej matce, o tym, jak chodził do niej w konkury, o wszystkich przeciwnościach i rozczarowaniach, których doświadczył, zanim ją wreszcie zdobył.

–Matka moja nie żyła dość długo, aby mu wynagrodzić to, co uczynił, chcąc ją sobie pozyskać – rzekła Mabel, a wargi jej zadrgały.

–Tak mi też mówił. Zacny sierżant niczego nie taił, bo będąc o wiele starszy uważał mnie w czasie naszych rozlicznych wspólnych wypraw nieomal za syna.

–Może, Tropicielu – ozwał się Gaspar nieco ochryłym głosem, który zadawał kłam pozornej żartobliwość – rad by cię nim widzieć naprawdę?

–A gdyby tak istotnie myślał, Eau-douce, czyż byłoby to grzechem? Wie on, jaki

jestem na tropie lub na zwiadach i często mnie widywał oko w oko z Francuzami. Niekiedy przychodziło mi do głowy, chłopcze, że wszyscy winniśmy rozejrzeć się za żonami, bo człek, który żyje w lasach i za towarzystwo ma wrogów albo ubitą zwierzynę, zatracca wreszcie nieco ludzkich uczuć. Nie sposób przebywać stale w obecności Boga i nie odczuwać potęgi Jego dobroci. Bywałem na nabożeństwach w garnizonach i usilnie próbowałem przyłączyć się do modlitw, jak na rzetelnego żołnierza przystało, bo choć nie jestem wpisany na służbę króla, walczę za niego i służę jego sprawie, starałem się więc oddawać cześć religijną na modłę garnizonową. Nigdy jednakże nie udało mi się obudzić w sobie owych wzniosłych uczuć i prawdziwej miłości, jakiej doświadczam, gdy jestem w puszczy sam na sam z Bogiem. Tam wydaje mi się, że stoję oko w oko z mym Panem, wszystko dokoła jest świeże i piękne, takie, jak wyszło spod Jego ręki; nie masz tam nijakich ludzkich wymyślności, mogących ostudzić uczucia. Nie, nie; lasy to jednak prawdziwa świątynia, tam bowiem myśli mogą wzlatywać wyżej nawet niżli obłoki.

–Prawdę powiadasz, Tropicielu – rzekł Cap. – I to prawdę, którą zna każdy, kto wiele przebywa w samotności. Bo jakaż, na przykład, może być inna przyczyna, że ludzie morza tak są na ogół religijni i sumienni we wszystkim, co robią – jeśli nie fakt, że tak często przebywają sam na sam z Opatrznością i tak mało mają do czynienia z nikczemnością lądu. Wiele, wiele razy stałem na wachcie bądź pod równikiem, bądź na Południowym Oceanie, kiedy to noce rozświetlone są ogniami z niebios, i wtedy właśnie, zapewniam was, moi mili, człek może się połapać we własnych grzechach. Ja wówczas obracałem w myśli swoje winy wciąż od mowa, aż wanty i linki sumienia trzeszczały z napięcia. Dlatego też zgadzam się z panem, Tropicielu, że jeśli chce się znaleźć prawdziwie religijnego człowieka, trzeba go szukać na morzu albo też w lasach.

–Wuju, myślałam, że marynarze na ogół niewielkim się cieszą uznaniem za swój szacunek dla religii?

–Wszystko to zatracone oszczerstwa, dziewczyno, bo we wszelkich zasadach chrześcijaństwa żeglarz bije na głowę szczura lądowego.

–Me ręczę za to, mości Cap – odrzekł Tropiciel – ale przyznaję, że jest w tym trochę prawdy. Nie trzeba mi gromu ani błyskawic, bym sobie przypomniał o moim Bogu; a pośród nieszczęść i zgryzot nie bardziej jestem skłonny pamiętać o całej Jego dobroci, niżli w spokojny, uroczysty, cichy dzień leśny, kiedy to głos Jego słyszeć się daje w skrzypieniu suchego konaru czy w śpiewie ptaka równie wyraźnie – dla mnie przynajmniej – jak w ryku nawałnic. A ty, Eau-douce? Umiesz nie gorzej od pana Capa stawiać czoło burzom i powinienesz wiedzieć, co czuje się w czasie sztormu?

–Obawiam się, że jestem zbyt młody i niedoświadczony, bym wiele mógł powiedzieć na ten temat – odrzekł skromnie Gaspar.

–Lecz przecie masz pan serce! – rzuciła szybko Mabel. – Nie możesz, ba, nikt nie może żyć pośród takiego otoczenia nie czując, jak bardzo powinien ufać Bogu!

–Nie zadam tak dalece kłamu naukom, jakie pobrałem, aby nie przyznać, że czasem myślę o tych rzeczach, chociaż zapewne ani tak często, ani tyle, ilem powinien.

–Słodka woda! – zakonkludował Cap. – Nie można za wiele spodziewać się po tym młodzieńcu, Mabel. Zdaje się, że pana nazywają czasem imieniem, które by na to wskazywało: „Eau-douce”, nieprawdaż?

–Eau-douce – odparł spokojnie Gaspar, który żeglując po jeziorze posiadał był znajomość francuszczyzny, jak również kilku indiańskich dialektów. – Jest to przezwisko, które nadali mi Irokezi, ażeby mnie odróżnić od paru mych towarzyszy, co niegdyś pływali po morzu i lubią trąbić tubylcom w uszy o swoich wielkich słonych jeziorach.

–A czemuż nie mieliby tego czynić? Myślę, że dzikim nie robią w ten sposób krzywdy. Tak, tak, Eau-dusiu; to słowo musi oznaczać czystą gorzałkę, którą snadnie można by tak nazwać, ile że dusi człowieka.

–Eau-douce oznacza wodę słodką, przez co Francuzi rozumieją tę, która nie pochodzi z morza – odparł Gaspar, nieco dotknięty.

–A jakże, u diabła, robią wodę z owej eau-dusi, skoro w „eau-de-vie” oznacza ona gorzałkę? Zresztą wśród marynarzy „eau” zawsze znaczy wódka, a „eau-de-vie” – wódka wysokiej próby. Nie mam ci za złe twej nieświadomości, młodzieńcze, bo to rzecz naturalna w twej sytuacji i nie można na nią zaradzić. Jeżeli będziesz chciał wrócić ze mną i odbyć jeden czy drugi rejs po Atlantyku, dobrze ci to zrobi na resztę twoich dni, a tu obecna Mabel i wszystkie inne młode panny z wybrzeża będą miały o tobie tym lepsze mniemanie, choćbyś dożył równie sędziwego wieku jak któreś z drzew tego boru.

–Nie, nie – przerwał prostoduszny i szlachetny Tropiciel. – Mogę pana upewnić, że Gasparowi nie brak przyjaciół w tych stronach, i chociaż obejrzenie świata zrobiłoby mu prawdopodobnie równie dobrze jak każdemu innemu, nie będziemy mieć o nim gorszej opinii, jeżeli nas nigdy nie opuści. Czy jest on Eau-douce, czy Eau-de-vie – dość, że to dzielny i zacny młodzieniec, kiedy zaś stoi na warcie, zawsze śpię równie spokojnie, jak gdybym sam czuwał, a na dobrą sprawę nawet spokojniej. Panna Mabel nie uważa, by chłopak musiał koniecznie pływać po morzu, ażeby wyjść na ludzi i zostać kimś godnym szacunku i poważania.

Mabel nic na to nie odpowiedziała, obróciła się nawet ku zachodniemu brzegowi, chociaż mrok sprawiał, że aby ukryć twarz nie trzeba było owego naturalnego odruchu. Jednakże Gaspar uczuł, że musi coś powiedzieć, gdyż jego młodzieńcza,

męska duma buntowała się na myśl, że mógłby nie budzić szacunku w swych towarzyszach bądź też miłego uśmiechu u płci pięknej. Mimo to nie chciał rzecz czegokolwiek, co można by uznać za szorstkość wobec wuja Mabel, toteż jego opanowanie było może jeszcze bardziej godne pochwały niż skromność i dzielność.

–Nie roszczę sobie pretensji do tego, czego nie posiadam – powiedział – ani też do jakiegokolwiek znajomości oceanu czy nawigacji. Na tych jeziorach sterujemy według gwiazd i kompasu, płynąc od przyłodka do przyłodka; a że niezbyt nam są potrzebne cyfry i obliczenia, nie używamy ich wcale. Jednakże posiadamy pewne umiejętności, jakem to często słyszał od tych, co spędzili całe lata na oceanie. Po pierwsze, mamy zawsze ład blisko burty, często też po zawietrznej, a nieraz słyszałem, że to właśnie dodaje ducha żeglarzom. Wichry u nas są nagle a ostre i każdej godziny możemy być zmuszeni zawinąć do portu.

–Macie przecież sondy ołowiane – przerwał mu Cap. – Nie na wiele się zdadzą i rzadko je rzucamy.

–Sondy głębinowe...

–Słyszałem o takich rzeczach, ale wyznaję, że nigdy ich nie widział.

–O, do diaska! Pływa na statkach, a nie ma sondy głębinowej! Ależ, mój chłopcze, nie możesz się zgoła uważać za marynarza! Któż, u pioruna, słyszał kiedykolwiek o żeglarzu bez sondy głębinowej?

–Nie roszczę sobie pretensji do jakiegokolwiek szczególnej biegłości, proszę pana.

–Wyjawszy przeprawy przez wodospady, Gasparze – przyszedł mu z pomocą Tropiciel. – Wyjawszy przeprawy przez wodospady i bystrzyny, w którym to rzemiośle, nawet pan musisz przyznać, mości Cap, odznacza się on niejaką zręcznością. Uważam, że każdego człeka należy szanować albo potępiać zależnie od jego umiejętności. Choć tedy imć Cap jest nieużyteczny, gdy przyjdzie przeprować się przez wodospady, ja usiłuję zawsze pamiętać, że jest coś wart, kiedy nie widać lądu; natomiast chociaż Gaspar jest nieużyteczny tam, gdzie nie widać lądu, nie zapominam, że ma dobre oko i pewną dłoń, gdy się przeprowia przez wodospady.

–Ależ pan Gaspar nie jest... nie byłby nieużyteczny tam, gdzie nie widać lądu! – powiedziała Mabel z zapalem i energią, które sprawiły, że jej czysty, słodki głos nagle zabrzmiał zbyt donośnie wśród uroczystej ciszy owego niezwykłego miejsca. – Chcę powiedzieć, że nikt, kto tyle potrafi działać tutaj, nie może być nieużyteczny tam, choćby nie znał się na okrętach tak dobrze jak wujaszek.

–Aha, podtrzymujecie się wzajem w swojej nieznajomości rzeczy – odparł z drwiącym uśmiechem Cap. – My, marynarze, jesteśmy na łądzie w takiej mniejszości, że rzadko przyznają nam to, co się nam należy; natomiast kiedy wam trzeba obrony

albo gdy przyjdzie prowadzić handel – wtedy dopiero dalejże wołać o nas!

–Ależ wuju, ludzie z lądu nie przybywają, by atakować nasze wybrzeża, toteż marynarze spotykają się tylko z marynarzami.

–Cóż za ciemnota! A pozwól mi spytać, siostrzeniczko, gdzie są ci wszyscy nieprzyjaciele, Francuzi Anglicy, którzy wylądowali w tym kraju?

–Otóż właśnie: gdzie oni są? – wykrzyknął Tropiciel. – Nikt nie może na to lepiej odpowiedzieć niż my, którzy żyjemy w lasach, panie Cap. Często szlak ich marszów wytyczały mi kości bielejące na deszczu, a trop ich odnajdowałem po mogiłach, choć lata minęły od czasu, gdy oni sami ze swą dumą zniknęli bez śladu. Generałowie i szeregowcy leżeli rozrzućeni po całym kraju na dowód, czym są ludzie, gdy powoduje nimi żądza sławy i chęć wywyższenia się nad innymi.

–Muszę powiedzieć, panie Tropicielu, że czasem wygłaszasz poglądy nieco osobliwe jak na człowieka, co żyje ze strzelby, rzadko wacha powietrze, w którym nie byłoby zapachu prochu, a wstaje z koi po to, by skoczyć na nieprzyjaciela.

–Jeżeli pan myślisz, że trawię swoje dni na wojnie przeciwko własnym bliźnim, to nie znasz ani mnie, ani mych dziejów. Człowiek żyjący w puszczy i na pograniczu musi się godzić z tym, pośród czego przebywa. Za to nie jestem odpowiedzialny będąc zaledwie skromnym myśliwym, zwiadowcą i przewodnikiem. Moim właściwym rzemiosłem jest polować dla wojska w trakcie jego marszów i w czas pokoju, jakkolwiek pozostaję też w służbie pewnego oficera, który obecnie przebywa w osiedlach, gdzie nigdy za nim nie podążam. O, nie; nie rozlew krwi i wojna są mym prawdziwym powołaniem, ale pokój i miłosierdzie. Mimo to muszę jak każdy inny potykać się z nieprzyjacielem, jeśli zaś idzie o Mingów, to odnoszę się do nich tak, jak człowiek do węża – stworzenia, które należy rozdeptać obcasem, ilekroć nadarzy się po temu sposobność.

–No, no, zatem pomyliłem się co do pańskiego rzemiosła, którym uważałem za równie wojenne jak pracę artylerzysty okrętowego. Ale weźmy mojego szwagra: jest on żołnierzem od szesnastego roku życia i uważa swój zawód za równie szanowany pod każdym względem jak zawód żeglarza, co do czego, moim zdaniem, nawet nie warto się z nim spierać.

–Ojca mojego uczono, że noszenie broni jest rzeczą zaszczytną – rzekła Mabel – bo jego ojciec też był żołnierzem.

–Tak, tak – podjął przewodnik. – Umiejętności sierżanta są wojennej natury, a na większość spraw tego świata patrzy on spod lufy swojego muszkietu. Między innymi przenosi wojskową broń nad porządną strzelbę o długiej lufie i podwójnej muszce. Takie przesady nawiedzają ludzi wskutek długiego przyzwyczajenia, a przesąd jest

może najpospolitszą ułomnością ludzkiej natury.

Podczas przytoczonej 'tu rozmowy na różne tematy, czółna powoli sunęły z prądem, spowite głębokim cieniem zachodniego brzegu. Wioseł używano jedynie dla zachowania równowagi oraz kierunku. Siła prądu zmieniła się bardzo wyraźnie; w niektórych miejscach woda była na pozór spokojna, w innych płynęła z szybkością przekraczającą dwie, a nawet trzy mile na godzinę, na bystrzynach zaś rwała z chyżością przerażającą dla nienawykłego oka. Gaspar był zdania, że w dwie godziny od chwili, gdy opuścili brzeg, mogą dotrzeć z prądem aż do ujścia rzeki, i uzgodnił z Tropicielem, że należy pozwolić, by czółna przez pewien czas płynęły same, przynajmniej do momentu, gdy minie pierwsze niebezpieczeństwo.

Rozmowę prowadzono ostrożnym, zniżonym głosem, bo chociaż w owym olbrzymim, nieledwie bezkresnym borze panował spokój głębokiego pustkowania, natura przemawiała na tysiąc sposobów wymownym językiem leśnej nocy. Wiatr wzdychał pośród dziesiątków tysięcy drzew, woda szumiała, miejscami nawet huczała wzdłuż brzegów, a od czasu do czasu dawało się słyszeć skrzypienie konaru czy pnia, kiedy ocierał się o drugi pod wpływem ruchu ptaka czy zwierza, który przycupnął na nim w doskonałej równowadze.

Wszystkie żywe odgłosy umilkły. Raz, co prawda, Tropicielowi wydało się, że słyszy dalekie wycie wilków, których parę grasowało w tych ostępach, był to jednakże przelotny, niepewny głos i można go było przypisać złudzeniu. Kiedy natomiast myśliwy poprosił swych towarzyszy, aby przerwali rozmowę, uczynił to dlatego, że jego czujne ucho pochwyciło ów szczególny dźwięk, wywołany przez trzaśnięcie suchej gałązki, który – jeżeli nie myliły Tropiciela zmysły – doleciał z zachodniego brzegu. Każdy, kto dobrze zna ten osobliwy trzask, zrozumie, jak łatwo trafia on do ucha i jak nietrudno odróżnić stąpnięcie, które złamało gałązkę, od wszelkich innych odgłosów lasu.

–Ktoś idzie po brzegu – powiedział Tropiciel do Gaspara wprawdzie nie szeptem, ale dość cicho, by go nie dosłyszano z dala. – Czyżby ci przekłęci Irokezi zdążyli bez czółna przepawić się z bronią przez rzekę?

–Może to Delawar? Powinien by oczywiście iść brzegiem za nami, a wiedziałby, gdzie nas szukać. Pozwól mi bliżej podpłynąć do brzegu, aby to zbadać.

–Płyn, chłopcze, ale wiosłuj ostrożnie i w żadnym razie nie wsiadaj na ląd, póki się nie upewnisz, że to on.

–Czy to aby roztropne? – spytała Mabel tak popędliwie, że zapomniała o ostrożności i nieco podniosła swój słodki głos.

–Bardzo nieroztropnie jest mówić tak głośno, śliczna panienko. Lubię twój głos, jest

bowiem miękki i przyjemny dla kogoś, kto tak długo słuchał jedynie mężczyzn; ale w tej chwili nie można pozwolić, by dawał się słyszeć zbyt często i zbyt swobodnie. Ojciec twój, zacny sierżant, powie ci, kiedy się spotkacie, że milczenie jest podwójną cnotą na szlaku. Płyn, Gaspanze, i pokaż, że umiesz zachować ostrożność.

Dziesięć minut pełnych niepokoju minęło po zniknięciu łodzi Gaspara, która tak bezgłośnie odsunęła się od czółna Tropicieła, że pochłonął ją mrok, jeszcze zanim Mabel zdołała uwierzyć, że młody człowiek doprawdy ośmielił się samotnie podjąć zadania, które wydawało jej się szczególnie niebezpieczne. Przez ten czas płynęli dalej z prądem, a nikt się nie odzywał, można niemal rzec: nikt nie oddychał, tak silne było ogólne pragnienie pochwylenia najdrobniejszego odgłosu, jaki dolecieć mógł z brzegu. Jednakże wciąż panowała ta sama co przedtem uroczysta, powiedzielibyśmy: wzniosła cisza; milczenie drzemiącej kniei przerywał jedynie chłust wody, która piętrzyła się na jakiejś pomniejszej przeszkodzie, oraz westchnienia drzew. Po pewnym czasie znów rozległ się niewyraźny trzask suchych gałązek, a Tropicielowi wydało się, że stłumione głosy dobiegły do jego uszu.

–Może się mylę – rzekł – bo myślom często nasuwa się to, czego serce pragnie; ale to przypomina niski głos Delawara.

–Czyżby zabici Indianie kiedykolwiek chodzili? – zapytał Cap.

–Owszem, nawet biegają w swojej szczęśliwej krainie łowów, lecz nigdzie indziej. Czerwonoskóry zrywa z ziemią, gdy dech ulatuje mu z ciała. Nie należy do jego właściwości krążyć wokoło wigwamu, kiedy już wybiła godzina.

–Widzę coś na wodzie – szepnęła Mabel, której oczy, od chwili gdy Gaspar zniknął, nie przestawały z niezwykłym napięciem śledzić gęstego mroku.

–To czółno – odparł z ogromną ulgą przewodnik. – Wszystko musi być dobrze, gdyż inaczej mielibyśmy już jakiś znak od chłopaka.

W chwilę później oba czółna, które stały się widzialne dla załóg, dopiero gdy zbliżyły się tuż do siebie, popłynęły burta w burtę, przy czym można było poznać sylwetkę Gaspara na rufie jego łodzi. U dzioba siedziała postać drugiego mężczyzny, a kiedy młody marynarz zagarnął wiosłem tak, że twarz jego towarzysza znalazła się blisko oczu Tropicieła i Mabel, oboje rozpoznali w nim Delawara.

–Chingachgook, mój brat! – zawołał Tropiciel w dialekcie Wielkiego Węża, a głos jego wstrząsało drżenie, które zdradzało, jak silnie był wzruszony. – Wódz Mohikanów! Serce moje wielce się raduje. Często przechodziliśmy razem przez bój i krew, ale się lękał, że to już nigdy nie wróci.

–Ugh! Mingowie to kobiety! Trzy ich skalpy wiszą, u mego pasa. Nie potrafią porazić Wielkiego Węża Delawarów. Ich serca nie mają krwi, a myśli lecą ścieżką

powrotną po drugiej stronie wody Wielkiego Jeziora.

–Byłeś wśród nich, wodzu? Co się stało z tamtym wojownikiem, z którym walczyłeś w rzece?

–Przemienił się w rybę i leży na dnie wraz z węgorzami. Niech jego bracia zatykają przynętę na haczyk, by go wyłowić. Tropicielu, policzyłem nieprzyjaciół i dotykałem ich strzelb.

–Ach, takem i myślał, że poważy się na wszystko! – wykrzyknął przewodnik po angielsku. – Ten zuchwalec przebywał wśród nich i przynosi nam wszelkie wiadomości o wrogu. Mów, Chingachgook, a ja powtórzę naszym przyjaciołom, co od ciebie usłyszę.

Delawar opowiedział teraz cichym, pełnym powagi głosem, czego się dowiedział, od chwili gdy go po raz ostatni widziano zmagającego się z wrogiem w rzece. O losie swego przeciwnika nie mówił więcej, wojownik nie ma bowiem zwyczaju przechwalać się w toku bezpośrednich i ważnych relacji. Gdy tylko osiągnął zwycięstwo w owych straszliwych zapasach, popłynął do wschodniego brzegu, wyszedł ostrożnie na ląd i pod osłoną ciemności dostał się między Irokezów, którzy niczego nie wykryli i nawet nie podejrzewali. Raz tylko zadano mu pytanie, gdy jednak odpowiedział, że jest Grotem Strzały, nie nagabywano go więcej. Z rzucanych mimochodem słów rychło wywnioskował, że Irokezi wyprawili się umyślnie w tym celu, aby pochwycić Mabel i jej wuja, co do którego rangi byli jednak najwyraźniej w błędzie. To, czego się dowiedział, wystarczyło również, by uzasadnić podejrzenie, że Grot Strzały przeszedł do wrogów dla jakiejś przyczyny, którą niełatwo było na razie ustalić, zważywszy, że Tuskarora nie otrzymał jeszcze wynagrodzenia za swoje usługi.

Z owych wiadomości Tropiciel przekazał swym towarzyszom tylko to, co jego zdaniem mogło rozproszyć ich obawy, i napomknął zarazem, że właśnie jest pora uczynić wysiłek, ponieważ Irokezi jeszcze niezupełnie ochłonęli po zamieszaniu wywołanym poniesionymi stratami.

–Nie ma najmniejszej wątpliwości, że znajdziemy ich u bystrzyny – ciągnął – i tam przyjdzie nam wyminąć ich albo wpaść im w ręce. Z owego miejsca odległość od garnizonu jest już tak niewielka, że przychodziło mi do głowy, abym sam wylądował z Mabel i doprowadził ją bocznymi ścieżkami, pozostawiwszy u bystrzyny czołna na łaskę losu.

–To nigdy się nie powiedzie, Tropicielu – przerwał mu skwapliwie Gaspar. – Mabel nie jest dość silna, by iść lasami w taką noc. Niech wsiada do mego czołna, a choćbym miał stracić życie, przeprowadzę ją zdrową i całą przez bystrzynę, mimo że jest tak ciemno.

–Niezawodnie, mój chłopcze; nikt nie wątpi o tym, że chętnie uczynisz wszystko, by się przysłużyć córce sierżanta; wszelako trzeba by oka Opatrzności, nie twego własnego, ażeby w podobną noc przeprowić się bezpiecznie przez bystrzyny Oswego.

–A któż by ją doprowadził cało do garnizonu, gdyby wylądowała? Czyliż noc nie jest równie ciemna na brzegu jak na wodzie? A może sądzisz, że mniej się znam na moim rzemiośle niż ty na swoim?

–Celnie powiedziane, chłopcze; lecz gdybym zmylił drogę w ciemnościach – a jak sądzę, nikt nie może powiedzieć, że kiedykolwiek zdarzyło mi się coś podobnego – gdybym jednakże zmylił drogę mimo wszystko, nie wynikłoby stąd nic gorszego nad przepędzenie nocy w lesie. Natomiast wystarczy jeden fałszywy ruch wiosła, jedno większe zboczenie czołna, byście oboje znaleźli się w rzece, z której najprawdopodobniej córka sierżanta nie wyszłaby żywa.

–Zostawię decyzję samej Mabel; pewien jestem, że będzie czuć się bezpieczniej w czołnie.

–Mam do was obu wielkie zaufanie – odparła dziewczyna – i nie wątpię, że jeden i drugi uczyni wszystko, co w jego mocy, ażeby dowieść mojemu ojcu, jak wysoko go ceni, wyznam jednak, że wolałabym nie opuszczać czołna, skoro mamy pewność, że w lesie przebywają tacy wrogowie, jakich już widzieliśmy. Ale wuj może decydować za mnie w tej mierze.

–Nie mam upodobania do lasów – rzekł Cap – jeśli można płynąć prosto rzeką. Prócz tego, Tropicielu, nie mówiąc już o dzikich, zapominasz pan o rekinach.

–O rekinach? Któż słyszał o rekinach w puszczy?

–No tak, rekiny, niedźwiedzie czy tam wilki – obojętne, jak się coś zwie, skoro ma ochotę i potrafi gryźć.

–Boże mój, czyżbyś się pan obawiał jakiegokolwiek stworzenia, które można spotkać w amerykańskim lesie? Przyznaję, że puma to straszny zwierz, lecz przecie jest niczym w rękach doświadczonego łowcy. Mów pan, jeżeli chcesz, o Mingach i ich diabelstwach, ale nie strasz nas po próżnicy niedźwiedziami i wilkami!

–Tak, tak, panie Tropicielu, to dobre dla ciebie, który zapewne znasz nazwę każdego stworzenia, jakie możesz napotkać. Przyzwyczajenie jest wszystkim, bo czyni człeka zuchwałym tam, gdzie skądinąd mógłby być onieśmielony. Znałem marynarzy, co pod równikiem całymi godzinami pływali pośród rekinów długości piętnastu albo dwudziestu stóp.

–To niesłychane! – wykrzyknął Gaspar, który nie posiadał jeszcze tak istotnej

umiejętności swojego zawodu, jaką jest opowiadanie niestworzonych historii. – Zawsze słyszałem, że puszczanie się na wodę między rekiny to pewna śmierć.

–Zapomniałem powiedzieć, że tamci brali ze sobą hanzpaki od kabestanu, lewary od dział albo też łomy, ażeby grzmocić bestie po nosach, jeżeli się zaczynały naprzykrzać. Nie, nie mam upodobania do wilków i niedźwiedzi, choć w moich oczach wieloryb jest taką samą rybą jak śledź, gdy go się wysuszy i nasoli. Oboje z Mabel lepiej zrobimy trzymając się czółna.

–Warto, żeby panna przesiadła się do mego czółna – dodał Gaspar. – Jest wolne, a nawet Tropiciel przyzna, że na wodzie mam (pewniejsze oko od niego).

–Z radością to uczynię, chłopcze. Woda to twoja dziedzina, a nikt nie zaprzeczy, że swe umiejętności udoskonaliłeś do najwyższego stopnia. Masz rację, sądząc, że córka sierżanta będzie bezpieczniejsza w twym czółnie, i chociaż chętnie bym ją zatrzymał przy sobie, przecie dobro dziewczyny zbyt leży mi na sercu, bym nie miał jej udzielić uczciwej rady. Podprowadź swoje czółno do burty mojego, a przekażę ci tę, którą winienes uważać za skarb prawdziwy.

–Za to ją właśnie uważam – odparł młodzieniec, który nie stracił ani chwili, by zastosować się do polecenia Tropicielea. Mabel przesiadła się do jego czółna i zajęła miejsce na tobołkach, które dotychczas stanowiły jedyny ładunek łodzi.

Zaledwie tego dokonano, czółna rozdzieliły się nieco, po czym wzięto się do wiosł, lecz z wielką ostrożnością, aby nie czynić hałasu. Rozmowa stopniowo ucichła i w miarę jak zbliżała się groźna bystrzyna, wszystkich ogarnęło poczucie powagi chwili. Było nieomal pewne, że nieprzyjaciel spróbuje dotrzeć przed nimi do tego punktu; natomiast wydawało się mało prawdopodobne, aby ktokolwiek usiłował (przeprawić się przez bystrzynę w tak głębokich ciemnościach. Tropiciel był więc przekonany, iż na obu brzegach rzeki czekają Indianie w nadziei, że pochwyć zbiegów, kiedy ci wylądują. Toteż nie byłby uczynił tej propozycji, gdyby nie przeświadczenie, że właśnie dzięki temu potrafi udaremnić plany Irokezów. Jednakże w tym stanie rzeczy wszystko zależało od zręczności ludzi kierujących czółnami, bo gdyby któreś z nich wpadło na skałę – albo by się rozbiło, albo co najmniej wyróciło, wówczas groziłoby płynącym utonięcie lub – zwłaszcza. Mabel – dostanie się w ręce prześladowców. Dlatego też stała się nieodzowna najwyższa rozważa, a wszyscy zbyt byli pochłonięci własnymi myślami, by mówić więcej, niż tego wymagały okoliczności.

W miarę jak czółna sunęły cicho naprzód, ryk bystrzyny dawał się słyszeć coraz wyraźniej, i trzeba było Capowi całego hartu ducha, aby usiedzieć na miejscu, gdy ów złowieszczy odgłos zbliżał się pośród mroku, w którym marynarz z trudnością rozróżniał kontury zalesionego brzegu oraz posępne sklepienie nieba nad głową. Zachował był w pamięci żywe wspomnienie przeprawy przez wodospady, a (jego wyobraźnia nie próżnowała rozdymając niebezpieczeństwo grożące na bystrzynie do

rozmiarów owego skoku na łeb, na szyję, którego tegoż dnia dokonał, a nawet, pod wpływem zwątpienia i niepewności, zwiększając je jeszcze bardziej. W tym jednak mylił się stary marynarz, albowiem bystrzyny Oswego bardzo się różnią swym charakterem i gwałtownością od wodospadów. Pierwsze są niczym więcej jak tylko ostrym prądem, który rwie między skałami i płyciznami, gdy tymczasem drugie rzetelnie zasługują na swoje miano, jak to już ukazane zostało.

Mabel bez wątpienia odczuwała niepewność i obawę, atoli cała ta sytuacja była dla niej czymś tak nowym, a ufność w przewodnika tak wielka, że dziewczyna zachowywała zimną krew, na którą może by się i nie zdobyła, gdyby jaśniej zdawała sobie sprawę z prawdziwego położenia i bezradności ludzi stających do walki z potęgą i majestatem natury.

–Czy to jest miejsce, o którym pan wspominałeś? – zapytała Gaspara, gdy grzmot bystrzyny po raz pierwszy wyraźnie doleciał jej uszu.

–Owszem, i proszę, panienko, byś miała do mnie zaufanie. Nie od dawna się znamy, lecz w puszczy przeżywa się wiele dni w ciągu jednego. Już mi się zdaje, że znam cię od lat.

–I mnie się pan nie wydajesz kimś obcym, Gasparze. Polegam całkowicie na twojej zręczności i na chęci wyświadczenia mi przysługi.

–Zobaczymy, zobaczymy. Tropiciel wchodzi w prąd za blisko środka rzeki, bo łożysko jest dalej ku wschodniemu brzegowi. Teraz jednak już mnie nie usłyszysz. Trzymaj się mocno czółna, Mabel, i nie obawiaj się niczego.

W następnej chwili wartki prąd wessał ich w bystrzynę i przez kilka minut Mabel, bardziej oniemiała niż przerażona, nie widziała dokoła siebie nic prócz płacht śmigającej piany, tnie słyszała nic prócz ryku wody. Ze dwadzieścia razy zdawało się już, że czółno zderzy się z jakąś zakłęśłą, lśniąca falą, widoczną nawet wśród mroku, i tyleż razy spływało dalej nienaruszone, popychane krzepkim ramieniem wioślarza. Raz, oraz jedyny wydało się, że Gaspar traci panowanie nad swoją wątłą łodzią, która w tej krótkiej chwili okręciła się niemal całkowicie – lecz rozpaczliwym wysiłkiem odzyskał je znowu, odnalazł zgubiony kanał i rychło dostąpił nagrody za swoje obawy, gdy czółno spłynęło spokojnie po głębokiej toni poniżej bystrzyny, wolne od niebezpieczeństwa, nie nabrawszy nawet tyle wody, by jej starczyło na porządny haust.

–Już po wszystkim, Mabel! – zawołał radośnie młodzieniec. – Niebezpieczeństwo minęło i możesz teraz doprawdy mieć nadzieję, że jeszcze tej nocy spotkasz się ze swym ojcem.

–Bogu niech będzie chwała! To wielkie szczęście zawdzięczać będziemy panu,

Gasparze!

–Tropiciel może rościć sobie prawo do pełnego udziału w zasłudze. Cóż jednak stało się z tamtym czółnem?

–Widzę coś niedaleko na wodzie; czy to nie łódź naszych przyjaciół?

Kilkoma uderzeniami wiosła Gaspar zbliżył się do owego przedmiotu. Było to drugie czółno, puste i wywrócone dnem do góry. Kiedy młody człowiek przekonał się o tym fakcie, jął poszukiwać płynących, i wkrótce ku swojej wielkiej radości wypatrzył Capa unoszącego się z prądem, stary marynarz bowiem wolał narazić się na utonięcie niż wylądować wśród dzikich. Nie bez trudności wciągnięto go do czółna i na tym skończyły się poszukiwania, Gaspar był bowiem przekonany, że ze względu na płytkość wody Tropiciel dobrnął do brzegu, przenosząc to nad porzucenie swej ukochanej strzelby.

Pozostała część podróży trwała niedługo, chociaż odbyła się wśród mroku i niepewności. Po krótkiej przerwie usłyszeli głuchy szum, który chwilami przypominał pomruk dalekich grzmotów, to znów przechodził w pochlust wody. Gaspar oznajmił swym towarzyszom, że oto słyszą fale załamujące się na brzegu jeziora. Przed sobą ujrzeli teraz płaskie, zagięte cyple; czółno wśliznęło się w zatoczkę, utworzoną przez jeden z nich, po czym bezgłośnie osiadło na żwirze brzegu.

Zmiana, jaka obecnie nastąpiła, była tak wielka i nagła, że Mabel nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się działo. W kilka minut minęli posterunki, rozwarło jakąś bramę i wzruszona dziewczyna znalazła się w ramionach rodzica, który był jej nieledwie obcy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kraju miłości, twój dzień wciąż

promienny

Bez słońca, Inny, i nocy bezsennej,

Gdzie żywa fala potrąca brzeg płaski

A z niebios płyną roziskrzone blaski!

Kraju fantazji – ach, teraz już wiem,

Jesteś czarownym, wiecznotrwałym

snem.

Przebudzenie królowej

Spoczynek, który następuje po trudzie, a któremu towarzyszy na nawo obudzone poczucie bezpieczeństwa, bywa zazwyczaj słodki i głęboki. Tak było i z Mabel, która podniosła się ze swego skromnego posłania – takiego, jakie przypaść może w udziale córce sierżanta na odległej, pogranicznej placówce – dopiero w długi czas po tym, gdy garnizon usłuchał zwykłego wezwania bębnow i zebrał się na poranny apel. Sierżant Dunham, na którego barkach spoczywał obowiązek dopilnowania owych zwykłych i codziennych zajęć, ukończył wszystkie swoje czynności i zaczynał już myśleć o śniadaniu, gdy jego córka wyszła z izby ma świeże powietrze na równi zadziwiona, zachwycona i uradowana nowością i bezpieczeństwem swojej obecnej sytuacji.

W czasach, o których piszemy, Oswego było jedną z najbardziej wysuniętych pogranicznych placówek posiadłości brytyjskich na kontynencie amerykańskim. Obsadzono ją od niedawna, a jej załogę stanowił batalion regimentu, który pierwotnie był szkocki, do którego jednak przyjęto wielu Amerykanów, odkąd przybył do tego kraju. Ta innowacja utorowała ojcu Mabel drogę do skromnego, ale odpowiedzialnego stanowiska najstarszego sierżanta. W oddziale znalazło się także i kilku młodych oficerów rodem z kolonii. Sam fort, jak większość umocnień tego rodzaju, był raczej przystosowany do odpierania ataków dzikich niż do obrony przed regularnym oblężeniem; jednakże prawdopodobieństwo oblężenia tak dalece zmniejszały ogromne (trudności, jakie nastroczał przewóz ciężkiej artylerii oraz innego sprzętu, że nie wchodziło ono właściwie w rachuby inżynierów, którzy zaprojektowali urządzenia obronne.

Były tam bastiony z ziemi i kłoców, sucha fosa, palisada, dosyć rozległy plac ćwiczeń i baraki z belek spełniające podwójną rolę pomieszczeń mieszkalnych oraz fortyfikacji. Na terenie fortu stało kilka lekkich armat polowych, które w każdej chwili można było przerzucić tam, gdzie okazałyby się potrzebne, a dwa ciężkie żelazne działa wyglądały że szczytów wysuniętych skrzydeł niby przestroga dla śmiałka, że winien mieć respekt przed ich (potęgą).

Gdy Mabel opuściła wygodny, ale stojący raczej na uboczu domek, gdzie sierżantowi zezwolono umieścić córkę, i wyszła na czyste, poranne powietrze, stwierdziła, że stoi u stóp bastionu, który wznosił się przed nią obiecując widok na to wszystko, co przesłaniały ciemności ubiegłej nocy. Z lekkim sercem i lekką stopą 'dziewczyna wspięła się na jego trawiaste zbocze i znalazła się od razu w miejscu, z którego kilkoma spojrzeniami mogła objąć wszystkie zewnętrzne oznaki swej nowej sytuacji.

W stronie południowej rozciągały się lasy, którymi wędrowała przez tyle znojných dni, a które okazały się tak pełne niebezpieczeństw. Od palisady oddzielał je pas otwartej przestrzeni, którą oczyszczono z drzew głównie po to, by wybudować dookolne wojskowe umocnienia. Ów stok fortyfikacyjny – takie bowiem było faktyczne jego wojenne przeznaczenie – zajmował jakieś sto akrów, ale wraz z nim kończyły się wszelkie oznaki cywilizacji. Dalej był już tylko bór – ów gęsty, nie kończący się bór, który Mabel mogła sobie obecnie odmalować we wspomnieniu wraz z jego utajonymi, szklistymi jeziorami, ciemną, rwącą rzeką i całym światem przyrody.

Odwróciwszy się, od tego widoku nasza bohaterka poczuła na policzku wiew rzeźwej, przyjemnej bryzy, jakiej nie zaznała od czasu opuszczenia dalekiego wybrzeża. Tutaj ukazała się nowa panorama i chociaż nie była ona niespodzianką, przecie dziewczyna drgnęła i wydawszy cichy okrzyk zachwytu poczęła chciwymi oczyma chłonać jej piękno. Na północ, wschód i zachód, krótko mówiąc, niemal na wszystkie strony, połowę nowego widoku zajmowała równina falujących wód. Nie miały one tej martwej, zielonej barwy, jaką na ogół odznaczają się wody amerykańskie, ani głębokiego błękitu oceanu; były odcienia lekko bursztynowego, co wcale nie umniejszało ich przezroczystości. Nigdzie nie było widać lądu z wyjątkiem przyległego brzegu, który w prawo i lewo rozciągał się nieprzerwaną linią lasów, przestronnych zatok, płaskich cyplów albo przylądków. Spore połacie wybrzeża były skaliste i tam w pieczary wtaczały się co chwila leniwe wody, wydając głuchy łoskot podobny do dalekiego grzmotu dział. Żaden żagiel nie biał na powierzchni, wieloryb ani inna ryba nie igrały w łonie jeziora – najdłuższe i najpilniejsze [przypatrywania się owemu bezkresnemu przestworowi nie byłoby wynagrodzone widokiem jakiegokolwiek śladu ludzkich poczynań. W jednej stronie widniał nieskończony las, w drugiej zaś rozciągało się pustkowie na pozór niezmiernych wód. Natura najwyraźniej lubowała się tutaj w osiągnięciu wspaniałego efektu, zestawiając w śmiałym kontraście dwa swoje główne elementy z pominięciem wszelkich

pomniejszych szczegółów; zachwycone i zdumione oko przenosiło się z szerokiego kobierca liści na jeszcze rozleglejszą równinę wody i z nieskończonych, ale łagodnych falowań jeziora na uświęcony spokój i poetyczne pustkowie boru.

Mabel Dunham, wzorem większości swoich rodaczek z owej epoki, nie odznaczała się bynajmniej wyrafinowaniem; cechowała ją prostota i szczerść, jaka może być właściwa tylko serdecznej, otwartej dziewczynie. Mimo to jednak nie była całkowicie niewrażliwa na poetyczność naszej pięknej ziemi. Aczkolwiek trudno byłoby powiedzieć, że w ogóle otrzymała jakąś edukację – ile że w owych czasach i w tym kraju niewiele osób jej płci studiowało cośkolwiek poza podstawowymi wiadomościami z angielskiego – przecie nauczono ją o wiele więcej niż inne młode niewiasty jej stanu i przynajmniej pod jednym względem Mabel z pewnością przynosiła zaszczyt pobranym naukom. "Wdowa po pewnym wyższym oficerze, który dawniej służył w tym samym pułku, co ojciec dziewczyny, zajęła się dzieckiem po śmierci matki i pod opieką tej damy Mabel przyswoiła sobie upodobania i wiele wiadomości, które inaczej na zawsze pozostałyby jej obce. W owej rodzinie zajmowała raczej pozycję skromnej panny do towarzystwa niżli służebnej, co objawiało się wyraźnie w stroju dziewczyny, jej mowie, zamiłowaniach, a nawet uczuciach, choć żadne z nich, być może, nie wznosiły się do poziomu, który mógłby charakteryzować prawdziwą damę. Zatraciła mało wytworne obyczaje i maniery osoby jej stanu, a nie osiągnęła w pełni punktu, który czyniłby ją niezdatną do tej pozycji życiowej, jaką przypadek urodzenia oraz fortuny (miał jej prawdopodobnie przeznaczyć. Poza tym wszystko, co ją różniło od innych, należało już do przyrodzonego charakteru.

Z uwagi na taką jej przeszłość czytelnik nie będzie zaskoczony, kiedy się dowie, że Mabel spoglądała na roztoczoną przed nią panoramę z przyjemnością znacznie przekraczającą tę, jaką wywołuje prostackie zadziwienie. Odczuwała właściwe jej piękno tak, jak większość ludzi by je odczuła, ale była również świadoma jej wzniosłości – owego łagodnego spokoju, godnego majestatu i wymownego bezruchu, jakie zawsze cechuje rozległy widok natury, nie fikniętej jeszcze trudem i zmaganiem człowieka.

–Jakże to piękne! – wykrzyknęła nieświadomie, kiedy tak stała na samotnym bastionie, poddając się podmuchowi z jeziora i doświadczając ożywczego wpływu jego świeżości, która przenikała na wskroś ciało i umysł. – Jakież to przepiękne! I jakie niezwykle!

Słowa oraz tok myśli dziewczyny przerwało dotknięcie czyjś palca, który spoczął na jej ramieniu. Mabel obróciła się mniemając, że to ojciec, i ujrzała stojącego obok Tropicielea. Oparty spokojnie na swej długiej strzelbie, zaśmiał się cicho i wyciągniętą ręką powiódł po całej panoramie lądu i wody.

–Masz tutaj obie nasze dziedziny – powiedział. – Gaspara i moją. Jezioro jest jego, a

lasy do mnie należą. Chłopak czasami się chełpi obszarem swych posiadłości, ale mu wtedy powiadam, że moje drzewa zajmują na powierzchni ziemi tyle miejsca co wszystka jego woda. No, panno Mabel, nadajesz się do jednego i drugiego, bo widzę, że ani strach przed Mingami, ani nocne marsze nie mogą przyćmić twojej urody.

–Nowa to rola dla Tropiciele, prawić komplementy niemądrej dziewczynie.

–Wcale nie niemądrej, Mabel, skądże znowu! Córka sierżanta przyniosłaby ujme swemu zacnemu ojcu, gdyby uczyniła, czy powiedziała cokolwiek, co można by nazwać niemądrym.

–W takim razie musi baczyć, by nie pokładać nadmiernej wiary w zdradzieckich, pochlebnych słowach. Ale, Tropicielu, rada jestem widząc cię znowu wśród nas, bo chociaż Gaspar, nie zdawał się zbyt niepokoić, ja miałam obawy, czy na tej okropnej bystrzynie nie przydarzył się jaki wypadek tobie i twemu przyjacielowi.

–Chłopak zna nas obu i pewien był, że się nie potopimy, mnie to bowiem przytrafić się nie powinno. Nie ma co mówić, ciężko byłoby płynąć z tak długą strzelbą w rękę, ale zbyt wiele przeszliśmy razem z Postrachem Zwierząt wśród dzikich bestii, Indian i Francuzów, by się tak łatwo rozstawać. Nie, nie, pobrodziliśmy do brzegu, bo bystrzyna była na ogół dość płytka, i wylądowaliśmy z bronią w rękę. Nie mogliśmy wprawdzie spieszyć się ze względu na Irokezów, ale gdy tylko te przyczajone hultaje spostrzegły światła, które sierżant wysłał ma spotkanie waszego czółna, od razu wiedzieliśmy, że wezmą nogi za pas, mogli się bowiem spodziewać odwiedzin kogoś z garnizonu. Trzeba więc było tylko przesiedzieć cierpliwie godzinę na kamieniach i już było po niebezpieczeństwie. Cierpliwość to największa z cnót leśnego człowieka.

–Cieszę się, że to słyszę, bo nawet zmęczenie tnie mogło mnie uśpić, gdyż ciągle myślałam, co mogło się stać z wami.

–Niech Bóg 'błogosławi twe czułe serduszko, Mabel! Ale tak to już jest z wami wszystkimi, delikatnymi istotami. Co do mnie, to wyznać muszę, że bardzo byłem rad widząc niesione nad wodą latarnie, bom wiedział, że to pierwszy znak twojego bezpieczeństwa. My, łowcy i przewodnicy, jesteśmy nieokrzesani, ale mamy swoje uczucia i myśli równie jak każdy generał w armii. I ja, i Gaspar prędzej byśmy zginęli, niż pozwolili, by ci się stała jakaś krzywda!

–Dzięki ci za wszystko, coś dla mnie uczynił, Tropicielu, dzięki z całego serca. Zapewniam cię, że ojciec mój będzie o tym wiedział. Wiele mu już mówiłam, ale w tej mierze muszę jeszcze dopełnić swego obowiązku.

–Ech, Mabel! Sierżant wie, czym są lasy i czym są czerwonoskórzy. Nie potrzeba mu o tym mówić. No, a teraz, kiedy spotkałaś się z ojcem, czy uważasz, że ten zacny, stary żołnierz jest taki, jak się spodziewałaś?

–Jest przecie mym rodzonym, kochanym ojcem i przyjął mnie, jak winien przyjąć swe dziecię żołnierz i rodzic. Dawno go znasz, Tropicielu?

–Owszem, jeżeli liczyć czas tak jak wszyscy. Miałem zaledwie dwanaście lat, gdy sierżant zabrał mnie na pierwsze zwiady, a to już jest przeszło dwadzieścia lat temu. Wiele się wtedy włóczyliśmy, że zaś to było jeszcze przed twoim urodzeniem,,nie miałybyś ojca, gdyby nie moja przyrodzona zdolność do strzelby.

–Wytłumacz się jaśniej.

–Za prosta ta sprawa na wiele słów. Wpadliśmy w zasadzkę, ojciec twój został ciężko ranny i byłby stracił skalp, gdyby nie moja wrodzona zręczność do broni. Zabraliśmy jednak sierżanta i jak na swój wiek, ma po dziś dzień najpiękniejszą czuprynę w całym pułku.

–Uratowałeś życie mojemu ojcu, Tropicielu! – wykrzyknęła Mabel, bezwiednie choć gorąco ujmując w obie dłonie jego twardą, muskularną rękę. – Niech ci Bóg błogosławi i za to, prócz innych.twych dobrych uczynków.

–Tego nie powiedziałem, choć sądzę, że uratowałem mu skalp. Człek może żyć bez skalpu, nie mogę tedy twierdzić, że uratowałem życie sierżantowi. Gaspar może to samo powiedzieć o tobie, bo gdyby nie jego oko i ręka, czólno nigdy nie przeszłoby bezpiecznie bystrzyny w taką noc jak ostatnia. Chłopak ma zdolności do wody, ja zaś do łowów i tropienia. Jest on tam teraz w zatoczce zajęty czólnami i oka nie spuszcza ze swego umiłowanego statku. Moim zdaniem nie ma w tych stronach milszego młodzieńca nad Gaspara Westerna.

Po raz pierwszy, odkąd opuściła izbę, Mabel zwróciła teraz oczy w dół i ujrzała to, co można by nazwać pierwszym planem niezwykłego obrazu, który obserwowiała z tak wielką przyjemnością. Oswego wlewała do jeziora swe ciemne wody między dość wysokimi brzegami, przy czym wschodni,był bardziej stromy i wybiegał dalej na północ. Fort znajdował się na zachodnim, a tuż poniżej niego stało kilka chat z kłoców; ponieważ nie mogły one zawadzać przy obronie, zostały więc wybudowane wzdłuż brzegu w celu przyjmowania i przechowywania nadchodzących towarów albo łych, które miały być wysłane wodą do różnych przystani na brzegach Ontario. Dwa płaskie, zgięte, żwirowate cyple uformowane zostały ze zdumiewającą regularnością przez przeciwstawne siły północnych wiatrów oraz wartkiego prądu, a będąc osłoną od burz szalejących na jeziorze, tworzyły wewnątrz rzeki dwie zatoczki. Ta, która była przy brzegu zachodnim, wrzynała się głębiej w ląd, a mając więcej wody, stanowiła rodzaj małego, malowniczego portu (placówki. Grubo ciosane budynki, o których wspomnieliśmy wyżej, wzniesiono wzdłuż wąskiego nadbrzeżnego pasma, rozciągającego (się między niewielką wyniosłością fortu a wodą zatoczki.

Kilka czólen, pontonów i łódek wyciągnięto na brzeg, a w samej (zatoczce stał mały

stateczek, który dawał Gasparowi prawo do uważania się za marynarza. Miał on takielunek kutra, mógł zabrać około czterdziestu ton ładunku, był tak zgrabnie zbudowany i pomalowany, że przypominał jednostkę wojenną, choć brakowało mu mostka kapitańskiego. Omasztowanie i olinowanie tak skrupulatnie uwzględniało proporcje i piękno oraz celowość i użyteczność, że nadawało statkowi wygląd, który nawet Mabel od razu wydał się doskonały i zręczny. Kształt miał prześliczny, bo plany statku przysłał był z Anglii wielce wytrawny konstruktor na specjalne życzenie oficera, który kazał statek zbudować; farba, jaką pomalowano kadłub, była ciemna, jednolita i przydawała im wojennego charakteru, a długa, wąska bandera od razu oznajmiała, że kuter jest własnością króla. Nazywał się „Chwist”.

–Więc to jest statek Gaspara! – zawołała Mabel, która zupełnie naturalnie kojarzyła osobę dowódcy z samym kutrem. – Czy wiele jest takich na tym jeziorze?

–Francuzi mają ich trzy: jeden, jak słyszałem, jest prawdziwym okrętem, takim, jakich używa się na oceanie, drugi – brygiem, trzeci zaś to kuter podobny do tego „Chwista”, a zowie go „Wiewiórką” w swym własnym języku, rzecz jasna. Żywi on jakby naturalną nienawiść do tego naszego ślicznego stateczku, bo rzadko się zdarza, by Gaspar wypłynął, a „Wiewiórka” nie deptała mu po piętach.

–A czy Gaspar jest kimś takim, kto by uciekał przed Francuzem, choćby ów (przybrał postać (wiewiórki, i to jeszcze na wodzie?

–Na cóż zdałaby się waleczność, gdyby nie było sposobu obrócić jej na własną korzyść? Gaspar to dzielny chłopak, o czym wiadomo wszystkim na pograniczu, ale nie ma on dział prócz małej haubicy, a jego załoga składa się ledwie z dwóch ludzi i chłopca okrętowego. Byliśmy razem na jednej z wypraw i chłopak dość ryzykownie sobie poczynał, bo podprowadził nas tak blisko wroga, że zagadały strzelby. Jednakże Francuzi mają armaty, a nigdy nie wytykają nosa z Frontenac bez dwudziestu ludzi na kutrze, nie mówiąc już o „Wiewiórce”. Nie, nie; ten „Chwast” przeznaczony jest do latania i major powiada, że nie chce go wprawić w wojowniczy nastrój przydając mu ludzi i broń, bo statek mógłby wziąć go za słowo i przyciąć sobie skrzydła. Nie bardzo się znam na tych rzeczach, bo moje umiejętności nie do tej należą dziedziny, ale rozumiem powody, choć Gaspar ich nie pojmuje.

–Ach, oto idzie wujaszek! Wczorajsza kąpiel widać mu nie zaszkodziła, a teraz chce popatrzeć na to śródlądowe morze.

W samej rzeczy Cap, oznajmiwszy o swym przybyciu kilkoma energicznymi chrząknięciami, ukazał się na bastionie. Skinął głową siostrzenicy oraz jej towarzyszowi i wziął się do szczegółowego oglądania rozpostartej przed nim połaci wód. Ażeby dokonać tego jak najwygodniej, marynarz wdrapał się na jedną ze starych żelaznych armat, skrzyżował ręce na piersiach i stanął w równowadze, jak gdyby ciałem wyczuwał kołysanie okrętu. Dla dopełnienia obrazu trzymał w zębach

krótką fajeczkę.

–No cóż, mości Cap – zaczął naiwnie Tropiciel, który nie zauważył wyrazu pogardy, w jaki układały się rysy twarzy tamtego. – Nie jestże to piękny szmat wody i godny miana morza?

–Więc to nazywacie swoim jeziorem? – zapytał Cap przesuwając fajkę wzdłuż północnego horyzontu. – I to ma być naprawdę wasze jezioro? – Pewnie; i jeśli wziąć pod uwagę sąd kogoś, kto żył na brzegach wielu innych jezior, jest ono wcale niegorsze.

–Takem się i spodziewałem. Sadszawka, jeśli idzie o rozmiar, a każda z wodą do picia, jeżeli chodzi o smak. Daremna to rzecz podróżować w głąb lądu z nadzieją ujrzienia czegokolwiek naprawdę dużego czy użytecznego. Wiedziałem z góry, że tak to będzie wyglądało.

–A cóż brakuje jezioru Ontario? Jest wielkie, miłe dla oka, wodę zaś ma dosyć przyjemną do picia dla tych, co nie 'mogą dotrzeć do źródeł.

–I to pan nazywasz wielkim! – rzekł Cap, znów zamiatając fajką w powietrzu. – Zapytam pana tylko, co w tym wielkiego? Alboż sam Gaspar nie wyznał, że od brzegu do brzegu jest tutaj zaledwie sześćdziesiąt mil?

–Ależ wuju – wtrąciła Mabel. – Przecież nie widać tu lądu, z wyjątkiem brzegu, na którym stoimy. Mnie to najzupełniej przypomina ocean.

–Ten kawałek sadszawki miałby przypominać ocean? No, Magnesku, coś podobnego w ustach dziewczyny, która miała w rodzinie prawdziwych marynarzy, to już doprawdy nedorzeczność! Powiedźże mi, proszę, co w tym ma choćby pozory morza?

–No przecie jest tu woda, woda i woda – nic tylko całymi milami, jak okiem sięgnąć.

–A czyż nie ma wody i wody, niczego prócz wody w owych rzekach, któreś przepłynęła czólnem, i to „jak okiem sięgnąć”?

–Owszem wujaszku, ale rzeki mają swoje brzegi, rosną wzdłuż nich drzewa, a prócz tego są wąskie.

–A tu, gdzie stoimy, to nie brzeg? Czy ci żołnierze nie nazywają 'tego brzegiem jeziora? I czyż nie ma tu drzew całymi tysiącami? Alboż sześćdziesiąt mil, to nie ciasnota, mówiąc z ręką na sercu?

–Ale, wujku, nie możemy dojrzeć drugiego brzegu jeziora tak, jak widzimy drugi brzeg rzeki.

–Tu cię mam, Magnesku! Czyż Amazonka, Orinoko i La Plata to nie rzeki? A przecie nie sposób dojrzeć drugiego ich brzegu. Słuchaj no pan, Tropicielu: bardzo wątpię, czy ten spłachetek wody jest choćby jeziorem, bo mnie się zdaje, że to po prostu rzeka. Widzę, że wy tu w lasach nie jesteście zbyt biegli w geografii.

–A tu ja pana złapałem, mości Cap. Po obu końcach jeziora są rzeki, i to bardzo szlachetne, atoli przed sobą widzisz stare Ontario i chociaż nie jest moim rzemiosłem życie na jeziorze, sądzę, że niewiele znajdzie się lepszych.

–Wujka, a gdybyśmy tak stali na plaży w Rockaway, cóż więcej moglibyśmy zobaczyć? Jest tam po jednej stronie brzeg i drzewa – równie jak tutaj.

–To już przewrotność, Magnesku, a młode dziewczęta powinny wystrzegać się wszystkiego, co pachnie uporem. Po pierwsze, ocean nie ma brzegów, ale wybrzeża, których jak już powiedziałem, nie dojrzyś gołym okiem: a chyba nie będziesz utrzymywała, że ten tu brzeg nie jest widoczny?

Ponieważ Mabel nie mogła w sposób rozsądny odeprzeć tego cudacznego argumentu, Cap ciągnął dalej, a na jego twarzy zaczął się malować tryumf zwycięskiego dysputanta:

–Po wtóre zaś tamtych drzew nie da się porównać do tutejszych. Na wybrzeżach oceanu są ферmy i miasta, i dwory, w niektórych zaś częściach świata – zamki, klasztory i latarnie morskie – tak, zwłaszcza latarnie morskie: a żadnej z owych rzeczy nie zobaczysz tutaj. Nie, nie, Tropicielu; jeszcze nie słyszał o takim oceanie, na którym nie byłoby mniej albo więcej latarni, podczas gdy tu nie ma nawet boi.

–Jest coś lepszego, jest coś lepszego: las i szlachetne drzewa, prawdziwa świątynia boża.

–Owszem, te twoje lasy mogą być w sam raz dla jeziora, ale na co zdałby się ocean, gdyby ziemia wszędzie dokoła niego pokryta była lasem? Okręty stałyby się zbyteczne, bo drzewo można by spławiać tratwami, więc skończyłby się handel, a czymże byłby świat bez handlu? Zgadza się z owym filozofem, który powiedział, że ludzką naturę wymyślono dla handlu. Magnesku, nie mogę się nadziwić, iż przyszło ci do głowy, że ta woda przypomina choćby z pozoru wodę morską! No, a przypuszczam, że na całym tym waszym jeziorze nie ma takiej rzeczy jak wieloryb, Tropicielu?

–Wyznaję, że nigdy o tym nie słyszał, lecz nie znam się na wodnych zwierzętach, o ile nie są rybami z rzek czy strumieni.

–Nie ma więc ani narwala, ani delfina? Nawet marnego rekina?

–Nie mogę się podjąć odpowiedzi, czy są, czy ich nie ma. Nie znam się na tych

rzeczach, jakem już panu wspominał.

–Ni śledzia, ni albatrosa, ni latającej ryby? – ciągnął Cap nie odrywając oczu od Tropicielea, by się przekonać, jak daleko może się jeszcze posunąć. – Może nie ma takiej rzeczy jak ryba, która potrafi latać?

–Ryba, która potrafi latać? Mości Cap, nie sądź, że ponieważ jesteśmy skromnymi mieszkańcami pogranicza, to już nie mamy pojęcia o naturze i o tym, co jej się spodobało stworzyć. Wiem wprawdzie, że są latające wiewiórki...

–Latające wiewiórki? Do diabła, panie Tropicielu! Czyż myślisz, że masz przed sobą wyrostka, co wypłynął w pierwszy rejs?

–Nic nie wiem o pańskich rejsach, chociaż przypuszczam, że było ich wiele, lecz co się tyczy leśnej przyrody, mogę opowiedzieć, com widział, i nie bać się spojrzeć ludziom w oczy.

–I chcesz mi pan wmówić, żeś widział wiewiórkę, która latała?

–Jeżeli pragniesz pojąć moc Boga, dobrze uczynisz wierząc w to i w wiele podobnych rzeczy, bo możesz być zupełnie pewny, że są one prawdziwe.

–A jednak, Tropicielu, pan, który z taką czcią mówisz o mocy bożej, zdajesz się wątpić, że ryba może latać – powiedziała Mabel, wyglądała zaś tak ślicznie i słodko czyniąc ową aluzję do niewiedzy przewodnika, że ten jej z serca wybaczył.

–Tegom nie powiedział, tegom nie powiedział zgoła i jeśli pan Cap gotów jest zaświadczyć o prawdziwości owego faktu, choć tak na pozór nieprawdopodobnego, chętnie spróbuję uwierzyć. Myślę, że jest obowiązkiem każdego wierzyć w moc bożą, choćby to było nie wiedzieć jak trudne.

–A czemuż moja ryba nie ma posiadać skrzydeł tak samo jak pańska wiewiórka? – zapytał Cap logiczniej, niż to miał we zwyczaju. – Że ryby mogą latać i latają, to równie prawdziwe, jak rozsądne? '

–A nie; w to właśnie trudno uwierzyć- odparł przewodnik. – Wydaje się bowiem nierozsądne, by zwierzę żyjące w wodzie obdarzać skrzydłami, które chyba nie mogą mu być na nic potrzebne.

–Myślisz pan, że ryby są takimi osłami, by latać pod wodą, skoro już dano im skrzydła jak się patrzy?

–Nie; nic mi o tym nie wiadomo, ale żeby ryba miała latać w powietrzu, to się wydaje jeszcze bardziej przeciwne naturze, niż gdyby latała w swym żywiole, w którym można powiedzieć, urodziła się i wychowała.

–Otóż to ciasny pogląd, Magnesku! Ryba wylatuje z wody, by uciec od swych wrogów, którzy właśnie w wodzie przebywają: i tutaj widzi się nie tylko fakt, ale i jego przyczynę.

–W takim razie przypuszczam, że to prawda – powiedział spokojnie Tropiciel. – Jak długie bywają te ich loty?

–Może nie takie długie jak gołębi, wystarczą jednak, by się kawałek odsądzić. Co zaś się tyczy pańskich wiewiórek, nie będziemy o nich więcej mówili, przyjacielu, bo sądzę, żeś o tym wspomniał tylko dlatego, aby dać przeciw wagę owej rybie na korzyść lasów. A co to jest tam zakotwiczone pod wzgórzem?

–To statek Gaspara, wuju – odrzekła pośpiesznie Mabel. – Wydaje mi się bardzo ładny; nazywa się „Chwist”. – Owszem, pewnie się nadaje na jezioro, ale to nic wielkiego. Ma skośny bukszpryt, a kto kiedy widział kuter ze skośnym bukszprytem?

–Czy jednak na takim jeziorze nie może być po temu jakiejś przyczyny, wujaszku?

–Słusznie, muszę pamiętać, że to nie. ocean, choć bardzo podobnie wygląda.

–Aha, wujaszku! Więc jednak Ontario wygląda podobnie do oceanu?

–To znaczy w twoich oczach i w oczach Tropiciela, bynajmniej nie w moich, Magnesku. Moglibyście posadzić mnie na samym środku tego kawałka sadzawki, i to w najciemniejszą noc, jaka kiedykolwiek zstąpiła z niebios, i w najmniejszej łódce, a zaraz bym poznał, że to tylko jezioro. Nawiasem mówiąc, mój bryg „Dorota” równie by szybko się na tym wyznał jak ja. Myślę, że starczyłoby mu zrobić co najwyżej kilka krótkich zakosów, by zauważyć różnicę między Ontario a naszym starym Atlantykiem. Raz wprowadziłem moją „Dorotę” do jednej z tych dużych zatok w Ameryce Południowej i zachowała się nieporadnie niczym jakaś ciemięga w kościele, kiedy wiernym śpieszy się do wyjścia. Więc Gaspar żegluj tym statkiem? Muszę kiedyś popływać z chłopakiem, nim was opuszczę, Magnesku, po prostu dla samej zasady. Nie wypadaloby powiedzieć, że dotarł do tej sadzawki i wrócił nie wybrawszy się na przejażdżkę.

–No, nie musisz pan długo na to czekać – odrzekł Tropiciel – bo sierżant ma właśnie wyruszyć z oddziałem, aby zluzować placówkę na jednej z Tysiąca Wysp, a jak słyszałem, umyślił zabrać ze sobą pannę Mabel, możesz więc także przyłączyć się do kompanii.

–Czy to prawda, Magnesku?

–Zdaje się, że tak – odparła dziewczyna, a na jej policzkach, wykwił rumieniec tak niedostrzegalny, że uszedł uwadze jej towarzyszy – choć miałam niewiele okazji mówić z mym drogim ojcem i nie jestem tego całkiem pewna. Ale oto idzie on sam,

możecie tedy go spytać.

Mimo swej skromnej rangi sierżant Dunham miał coś w postawie i charakterze, co nakazywało szacunek. Był wysokiego, okazałego wzrostu, poważny i surowy, akuratywny i ścisły w swych poczynaniach oraz sposobie myślenia; nawet Cap, zazwyczaj tak pewny siebie i pełen wyższości w stosunku do ludzi z lądu, nie śmiał pozwalać sobie ze starym żołnierzem na tę samą poufałość co z innymi przyjaciółmi. Często mawiano, że sierżant Dunham cieszy się większym, niż ogół podwładnych, respektem Duncana of Lundie, szkockiego lairda, który dowodził fortem, albowiem doświadczenie oraz wypróbowana wierność w służbie miały w oczach starego majora cenę równą urodzeniu i fortunie. Jakkolwiek sierżant nie żywił nadziei na dalszy awans, przecie tak bardzo szanował samego, siebie i swój obecny stopień, że zawsze postępował w sposób nakazujący posłuch. Zwyczaj częstego przestawiania z podwładnymi, których słabostki i zachcianki uznawał za właściwe powściągać przez zachowanie dystansu oraz godności, tak dalece wpłynął na całe obejście Dunhama, że tylko niewielu było takich, którzy nie odczuwali jego autorytetu. Kapitanowie traktowali go uprzejmie jak starego kolegę, natomiast porucznicy rzadko mieli odwagę sprzeciwiać się jego opiniom, w sprawach wojskowych, a chorążowie, jak zauważono, darzyli go szacunkiem bardzo zbliżonym do czci. Mc więc dziwnego, że słowa Mabel położyły nagle kres osobliwej rozmowie, jaką tu przytoczyliśmy, aczkolwiek często podkreślano, że Tropiciele był na tym pograniczu jedynym człowiekiem nie należącym do stanu szlacheckiego, który pozwalał sobie traktować sierżanta jak równego, a nawet objawiać w stosunkach z nim serdeczną, przyjacielską poufałość.

–Dzień dobry szwagrowi – powiedział sierżant, który zasalutował krocząc poważnie i godnie po bastionie. – Przez swe poranne obowiązki zaniedbałem ciebie i Mabel, ale teraz mamy parę wolnych godzin i możemy się lepiej poznać. Czy nie widzisz w dziewczynie dużego podobieństwa do tej, którą już tak dawno utraciliśmy?

–Zawsze mówiłem, że Mabel to wykapana matka, z tym, że ma w budowie trochę twojej tężyzny, choć jeśli o to idzie, Capom nigdy nie brakowało rzeźkości ani energii.

Mabel rzuciła nieśmiało spojrzenie na twardą, surową twarz ojca, o którym zawsze myślała tak, jak czułe istoty zwykle są myśleć o nieobecnych rodzicach. Widząc, że mimo całej sztywności i opanowania oblicze jego zdradza wzruszenie, w głębi duszy zapragnęła rzucić mu się na piersi i wyplakać do woli. Jednakże sierżant był o tyle chłodniejszy zewnętrznie, o tyle bardziej oficjalny i daleki, niż się spodziewała, że nie ośmieliłaby się na taką swobodę, gdyby nawet byli tylko we dwoje.

–Przedsięwzięłeś dla mnie długą i kłopotliwą podróż, szwagrze, postaramy się więc dogodzić ci we wszystkim, póki będziesz wśród nas przebywał.

–Słyszę, że masz podobno otrzymać rozkaz wciągnięcia kotwicy i przeniesienia swej koi w strony, gdzie jakoby, jest tysiąc wysp?

–Tropicielu, czyżbyś to ty się zapomniał?

–Nie, nie, sierżancie; nie zapomniałem się wcale, lecz nie uważam za potrzebne taić ściśle twoich zamiarów przed własnymi krewnymi.

–Wszelkim wojskowym poczynaniom winno towarzyszyć możliwie jak najmniej rozmów – odparł sierżant poklepując go po ramieniu przyjaźnie, ale z wyrzutem. – Zbyt wielką część swego życia spędziłem w obliczu Francuzów, by nie znać wartości milczenia. Ale mniejsza z tym; rzecz wkrótce musi zostać podana do wiadomości, więc już nie warto jej zatajać. Niebawem wyprawimy oddział na zluzowanie jednej z placówek na jeziorze, chociaż nie mówię, że ma to być na Tysiącu Wysp. Możliwe, że i ja też pojedę, a w takim razie zamierzam wziąć ze sobą Mabel, ażeby mi gotowała. Mam nadzieję, że szwagier przez jakiś miesiąc nie pogardzi żołnierską strawą?

–To zależy od sposobu podróżowania. Nie uśmiechają mi się lasy i bagna.

–Pożeglujemy „Chwistem”, a cała ta służba, która zresztą i nam nie jest obca, może spodobać się komuś zwyczajonemu do wody.

–Owszem, ale do słonej, jeśli łaska, nie zaś do tej z jeziora. Mimo to nie mam nic przeciwko zaokrętowaniu się na ów rejs, jeżeli brak ci człeka, który by pokierował kuterkiem, aczkolwiek będę uważał tę całą sprawę za stratę czasu, bo sądzę, że to gruba przesada, nazywać żeglowaniem pływanie po tej sadzawce.

–Gaspar jest ze wszech miar zdolny do kierowania „Chwistem”, przeto nie mogę powiedzieć, byśmy potrzebowali twych usług, choć radzi będziemy towarzystwu. Nie możesz wracać do osiedli, póki nie pójdzie tam oddział, a to prawdopodobnie nie nastąpi przed moim powrotem. No, Tropicielu, po raz pierwszy widzę, żeby ludzie ruszyli śladem Mingów nie mając ciebie na czele.

–Mówiąc uczciwie, sierżancie – odrzekł Tropiciel nie bez lekkiego zakłopotania, przy czym twarz jego, jednolicie ogorzała od słońca, wyraźnie zmieniła barwę – nie uważałem, abym musiał to dziś uczynić. Przede wszystkim wiem doskonale, że żołnierze z pięćdziesiątego piątego nie dopędzą w lesie Irokezów, a te łajdaki nie czekały, aby ich otoczono, gdy zmiarkowały, że Gaspar dotarł już do garnizonu. Prócz tego człowiek ma prawo bez ujmy dla swojej dobrej woli odpocząć nieco po całym lecie ciężkiej roboty. A wreszcie wyruszył z nimi Wielki Wąż, jeżeli tedy w ogóle znajdą owych łajdaków, możesz polegać na jego nienawiści i dobrym oku, bo pierwsza jest silniejsza, drugie zaś chyba równie dobre jak moje. Nie więcej on miłuje tych nędzników drapichrustów niżli ja sam, a skoro o tym mowa, mogę powiedzieć, że mój własny stosunek do Mingów nie jest niczym innym, jak uczuciem Delawara

zaszczepionym na chrześcijańskim pniu. Nie, nie, pomyślałem, że tym razem pozostawię cały zaszczyt – o ile będzie w tym zaszczyt – młodemu chorążemu, który dowodzi. Jeżeli nie postrada skalpu, będzie mógł po powrocie chlubić się swą kampanią w listach do matki. Postanowiłem chociaż raz w życiu zabawić się w leniucha.

–I nikt nie ma po temu lepszego prawa, jeżeli długa i wierna służba może dać tytuł do urlopu – odrzekł uprzejmie sierżant. – Mabel nie będzie miała o tobie gorszej opinii za to, żeś przeniósł jej towarzystwo nad tropienie dzikich, a myślę też, że z radością odstąpi ci część swego śniadania, jeżeli masz ochotę coś zjeść. Nie powinnaś jednak sądzić, moja droga, że Tropicielek pozwala grasantom wycofać się spod fortu, zanim usłyszą huk jego strzelby.

–Gdybym myślał, że panna Mabel może tak mniemać, to choć nie mam zamiłowania do popisów i występów, zarzuciłbym Postrach Zwierząt na ramię i ruszył z garnizonu, zanim jej piękne brwi zdążyłyby się zmarszczyć. Nie, nie, Mabel zna mnie zbyt dobrze, choć poznaliśmy się tak niedawno; nie brakło bowiem Mingów dla ożywienia krótkiego marszu, któryśmy razem odbyli.

–Trzeba by bardzo wielu dowodów, Tropicieleku, ażebym mogła źle o tobie pomyśleć pod jakimkolwiek względem, a zwłaszcza pod tym, o którym mowa – rzekła Mabel rumieniąc się ze szczerego przejęcia, z jakim usiłowała rozproszyć w umyśle łowcy wszelkie wątpliwości. – Zarówno ojciec, jak córka zawdzięczają ci życie i wierz mi, że oboje przenigdy o tym nie zapomną.

–Dzięki ci, Mabel, dzięki z całego serca. Nie chcę jednak wykorzystywać twej nieświadomości, więc powiem, że nie przypuszczam, aby Mingowie byli tknęli włos z twojej głowy, gdyby dzięki swoim diabelstwom i podstępom zdołali dostać cię w ręce. Mój skalp zarówno jak skalp Gaspara i pana Capa, i Wielkiego Węża z pewnością suszyłyby się nad ogniem, lecz co się tyczy twojej córki, sierżancie, nie sądzę, by spadł jej włos z głowy.

–Ale dlaczego miałabym mniemać, że wrogowie, którzy, jak wiadomo, nie oszczędzają niewiast ni dzieci, okażą mi więcej litości niż komukolwiek innemu? Uważam, Tropicieleku, że zawdzięczam ci życie.

–A ja temu przeczę, Mabel. Nie mieliby serca cię skrzywdzić. Nie, nawet taki piekielny diabeł, jak Mingo, nie miałby serca uczynić ci coś złego. Choć wiem, jak podle są te wampiry, przecie nie podejrzewam ich o podobną nikczemność. Mogliby chcieć, ba, nawet zmusić cię," byś została żoną któregoś z ich wodzów, co byłoby już i tak wystarczającą udręką dla młodej chrześcijańskiej niewiasty, ale nie sądzę, by nawet Mingowie posunęli się dalej.

–A zatem zawdzięczam ci ocalenie od tego strasznego nieszczęścia – rzekła Mabel

ujmując serdecznie i szczerze jego twardą dłoń, co najwyraźniej uradowało zacnego przewodnika. – Dla mnie byłoby mniejszym złem zginać, niż zostać żoną Indianina.

–Taka jest jej natura, sierżancie! – wykrzyknął Tropicielek zwracając się do swego starego kamrata z radością wypisaną na uczciwym obliczu. – I musi domagać się swoich praw! Zawsze powiadam Wielkiemu Wężowi, że żaden chrzest nie uczyni białego człowieka z Delawara, podobnie jak żadne wycia i ryki nie przemienia bladej twarzy w ezerwonoskórego. Taka jest natura młodej dziewczyny zrodzonej z chrześcijańskich rodziców i trzeba ją zachować nienaruszoną.

–Masz słuszość, Tropiciele, i w wypadku Mabel natura ta będzie uszanowana. Czas jednak na śniadanie, jeśli więc zechcesz pójść ze mną, szwagrze, pokażę ci, jak my, biedni żołnierze, żyjemy tu na dalekim pograniczu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cóż, towarzysze i bracia wygnańcy,

Czyliż ten żywot nie jest bardziej miły

Niż dworska pompa, a cień tego boru

Bardziej swobodny niż królewski dwór?

Tu odczuwamy tylko grzech Adama:

Zmienność pór roku.

Jak wam się podoba

Sierżant Dunham nie chełpił się po próżnicy, obiecując to, co zawarte było w ostatnich słowach poprzedniego rozdziału. Mimo tak odległego nadgranicznego położenia fortu, mieszkańcy jego korzystali ze stołu, który pod wieloma względami mógł być przedmiotem zazdrości królów i książąt. W czasach, w których rozgrywa się nasza opowieść, a nawet jeszcze przez pół wieku potem, owe rozległe obszary, zwane po wojnie o niepodległość – Zachodem albo Nowym Krajem, były właściwie głuchą puszcza rojącą się od wszelkich żywych tworów natury, właściwych tamecznemu klimatowi, z wyjątkiem ludzi i zwierząt domowych. Nieliczni Indianie, krążący podówczas po lasach, nie mogli wywrzeć widomego wpływu na mnogość zwierzyny, a rozproszone garnizony czy przypadkowi myśliwcy, których spotykało się tu i ówdzie na owych wielkich przestrzeniach, nie mieli większego znaczenia niż pszczoła na łanie hreczki czy też koliber na kwiatach.

Cuda, jakie tradycja przekazała naszym czasom na temat ilości zwierz, ptactwa i ryb, spotykanych wtedy zwłaszcza u brzegów wielkich jezior, potwierdza jak wiadomo doświadczenie ludzi jeszcze żyjących, inaczej bowiem wahałoby się czy mamy je tu przytoczyć. Ponieważ jednak sami byliśmy naocznymi świadkami niektórych z owych fenomenów, dokonamy naszego zadania z ufnością, jaką natchnąć może przeświadczenie.

Zwłaszcza Oswego nadawała się wybornie po temu, by suto zaopatrzyć spiżarnię smakosza. Rzeka obfitowała w ryby najprzeróżniejszych gatunków i wystarczyło zarzucić wędkę, aby wyciągnąć okonia bądź innego członka upłetwionego plemienia, które podówczas zaludniało wody, podobnie jak powietrze nad mokradłami owej bujnej krainy roi się od owadów. Między innymi żył tam łosoś z jezior, odmiana owego dobrze znanego gatunku, w niczym nie ustępująca wyśmienitemu łososiowi z północnej Europy. Najrozmaitszego wędrownego ptactwa, które nawiedza lasy i rzeki, była tam równa obfitość i często w wielkich zatokach, wrzynających się w

brzegi jeziora, widywano setki akrów wody pokryte gęśmi i kaczkami. Jelenie, niedźwiedzie, króliki, wiewiórki i różne inne czworonogi, wśród których czasem pojawiał się łoś, przyczyniały się do uzupełnienia naturalnych zasobów, stanowiących dla wszystkich garnizonów niejaką ulgę w nieuniknionych prywatacjach właściwych odległym nadgranicznym placówkom.

W okolicy tak bogatej w mięsiwa, które gdzie indziej uznano by za wielki zbytek, nikt nie był wykluczony od korzystania z nich. Najlichszy z mieszkańców Oswego raczył się stale zwierzyną, która stanowiłaby chlubę paryskiego stołu, a było też ciekawym przyczynkiem do kapryśności gustów oraz zmienności ludzkich zachcianek, że to samo pożywienie, które gdzie indziej uważano by za przedmiot zazdrości i pożądania, tutaj stępiało w końcu apetyt. Prosty i pospolity prowiant wojskowy, którym trzeba było gospodarować oszczędnie z uwagi na trudność transportu, nabierał ceny w oczach zwykłego żołnierza; ów każdej chwili chętnie wyrzekłby się dziczyzny, kaczek, gołębi i łososi, byleby się nasycić takimi przysmakami, jak peklowana wieprzowina, włóknista rzepa czy nie dogotowana kapusta.

Stół sierżanta Dunhama cechowały ma się rozumieć zarówno obfitość i zbytek właściwe pograniczu, jak jego niedostatki. Wyborny przypiekany łosoś dymił na półmisku, gorące befsztyki jelenie wydawały woń apetyczną, a kilka mis zimnej dziczyzny ustawiono przed biesiadnikami dla uczczenia nowo przybyłych i w dowód gościnności starego żołnierza.

–Widać, że nie przymierasz głodem w tych stronach – rzekł do sierżanta Cap, gdy już się należycie zapoznał z tajnikami poszczególnych potraw. – Ten twój łosoś mógłby zadowolić Szkota.

–A jednak tak nie jest, bracie, bo spośród dwustu czy trzystu żołnierzy, których mamy w tym garnizonie, nie znajdziesz i pół tuzina takich, co by nie przysięgali, że niepodobna wziąć do ust tej ryby. Ba, nawet ci, którzy nigdy nie kosztowali dziczyzny – chyba wówczas, gdy byli w kraju kłusownikami – teraz kręcą nosem na najtłustsze udźce, jakie tu dostajemy.

–Tak, taka jest chrześcijańska natura – wtrącił Tropiciel – i muszę powiedzieć, że nie przynosi jej to zaszczytu. Czerwonoskóry nigdy nie narzeka" i zawsze jest wdzięczny za wszystko, co dostanie, czy będzie to tłuste, czy chude, jeleni czy niedźwiedzi, pierś dzikiego indora czy skrzydło dzikiej gęsi. Ku wstydomi nas, białych ludzi, trzeba powiedzieć, że dobrodziejstwa przyjmujemy bez zadowolenia, a drobne przykrości uważamy za rzeczy wielce doniosłe.

–Tak jest w pięćdziesiątym piątym regimencie, mogę to stwierdzić, acz niewiele potrafię powiedzieć o jego chrześcijańskich uczuciach – odrzekł sierżant. – Nawet sam major, nasz stary Duncan of Lunde, czasami klnie się, że placek owsiany lepszy jest od okonia z Oswego, i wzdycha do łyka wody z gór szkockich, choć gdyby mu

przyszła ochota, ma całe Ontario, aby ugasić pragnienie.

–Czy major Duncan ma żonę i dzieci? – spytała Mabel, której myśli naturalnym biegiem rzeczy zwracały się w tej nowej sytuacji ku osobom jej płci.

–Nie, córko, ale mówią, że w kraju ma narzeczoną. Dama owa podobno woli mań czekać niż cierpieć trudy służby w tych dzikich stronach. To wszystko, szwagrze, nie odpowiada moim pojęciom o obowiązkach kobiety. Twoja siostra myślała inaczej.

–Mam nadzieję, że nie zamierzasz wydać Mabel za żołnierza – odparł poważnie Cap. – Rodzina nasza zrobiła już swoje w tym względzie i wielki czas przypomnieć sobie znowu o morzu.

–Nie myślę szukać dla niej małżonka w pięćdziesiątym piątym czy w jakimkolwiek innym pułku, to mogę ci obiecać szwagrze. Uważam jednak, że pora już, by dziewczyna znalazła sobie przyzwoitego męża.

–Ojczy!

–Nie zwyczajne one, sierżancie, mówić tak bez ogródek o tych sprawach – rzekł Tropiciel – bo doświadczenie potwierdza, że ten, kto chce iść tropem dobrej woli dziewczycy, nie powinien za nią w głos wykrzykiwać swych myśli. Jeżeli tedy pozwolisz, pomówimy o czym innym.

–A zatem, szwagrze, mam nadzieję, że ten kawałek zimnej pieczonej wieprzowiny przypadł ci do gustu, bo widać, że ze smakiem bierzesz się do jedzenia.

–I owszem! Jeśli mam jeść, trzeba mi cywilizowanej stawy – odrzekł uparty marynarz. – Dziczyzna może być w sam raz dla tych śródlądowych żeglarzy, ale my, z oceanu, lubimy coś, na czym się rozumiemy.

W tym miejscu Tropiciel odłożył nóż i widelec i roześmiał się serdecznie, chociaż jak zwykle po cichu, po czym spytał z odcieniem ciekawości w głosie:

–Ale czy nie brak panu skórki, mości Cap? Nie żałujesz, że nie ma skórki?

–I owszem, sędzę, że lepiej by smakowało ze skórką, ale przypuszczam, że tutaj w lasach jest zwyczaj tak podawać prosiaka.

–No, no, więc człowiek może objechać świat, a jednak nie zna się na wszystkim! Gdybyś miał ściągnąć skórę z tego prosięcia, pokaleczyłbyś sobie ręce, bo to jest jeź.

–Niech mnie diabli, jeżeli myślał, że to porządne, prawdziwe prosię! – odrzucił Cap. – Sądziłem tylko, że nawet wieprzak może utracić nieco ze swoich zalet tu, w

lasach!

–Wolałbym tylko nie zdejmować zeń skóry, szwagrze – powiedział sierżant. – Tropicielu, mam nadzieję, że Mabel nie była ci nieposłuszną w drodze?

–Ależ bynajmniej! Jeżeli Mabel jest choć w połowie tak zadowolona z Tropicielea i Gaspara, jak Tropiciel i Gas-pax są z niej zadowoleni, to zostaniemy przyjaciółmi do końca życia.

Mówiąc to przewodnik obrócił wzrok na zapłonioną dziewczynę, wiedziony niewinnym pragnieniem poznania jej opinii, lecz zaraz potem z wrodzoną delikatnością, która świadczyła, że wyższy jest nad prostacką chęć naruszenia świętości uczuć niewieścich, zapatrzył się, w swój talerz, jakby żałując własnego zuchwalstwa.

–No, musimy pamiętać, że kobiety to nie mężczyźni, przyjacielu – zawyrokował sierżant – oraz wziąć pod uwagę naturę i edukację. Rekrut to nie weteran. Każdy wie, że potrzeba więcej czasu, ażeby zostać dobrym żołnierzem niżli czymkolwiek innym.

–A to nowa teoria, sierżancie! – rzeki Cap nie bez żywości. – My, starzy żeglarze, skłonni jesteśmy uważać, że można wyćwiczyć sześciu żołnierzy, ba, i to wybornych żołnierzy, nim się wychowa jednego marynarza.

–Tak, wiem ja coś niecoś o tym, jaką opinię mają o sobie ludzie morza – odparł sierżant z uśmiechem tak łagodnym, jak na, to pozwalały surowe 'rysy jego twarzy – bo wiele lat spędziłem w pewnym portowym garnizonie. Rozmawialiśmy już z sobą na ten temat i mam wrażenie, że się nie dogadamy. Jeżeli jednak chcesz wiedzieć, na czym polega różnica między prawdziwym żołnierzem a człowiekiem, że tak się wyrażę, w stanie naturalnym, tedy wystarczy, byś popatrzył ma dzisiejszy popołudniowy przegląd batalionu pięćdziesiątki piątki, a potem, gdy już wrócisz do Jorku, przyjrzał się, jak któryś z pułków milicji czyni swoje największe wysiłki.

–Cóż, ja tu widzę bardzo niewielką różnicę, nie większą od tej, jaką ty byś dostrzegł między brygiem a brygantyną. Mnie oni się wydają jednacy; ot, jeno szkarłat, pióra, puder i wyglansowane lederwerki.

–Otóż i pogład marynarza! – odparował z godnością sierżant. – Ale może nie zdajesz sobie sprawy z tego, że trzeba roku, by prawdziwego żołnierza nauczyć jeść?

–Tym gorzej dla niego. Milicja od początku potrafi jeść, bo często słyszałem, że w czasie marszów wyżera wszystko, co popadnie, choćby nawet nie robiła nic innego.

–Mają oni zapewne swoje właściwości jak wszyscy inni ludzie – zauważył Tropiciel, pragnąc utrzymać pokój, który najwyraźniej znajdował się w niebezpieczeństwie z

racji rozmiłowania obu dyskutantów we własnych zawodach. – A kiedy Opatrzność obdarzy człowieka jakąś cechą, zwykle jest rzeczą daremną z tym walczyć. Pięćdziesiąty piąty, sierżancie, jest regimentem skorym do jedzenia, jak mi wiadomo z dłuższego z nim obcowania, choć myślę, że znalazłoby się oddziały milicji, które potrafiłyby go przewyższyć na tym polu.

–Wuju – rzekła Mabel – jeżeli już zjadłeś, byłabym ci wdzięczna, gdybyś znów ze mną wyszedł na bastion. Żadne z nas nie napatrzyło się jeszcze na jezioro, a niezbyt przystoi młodej niewieście spacerować samotnie po forcie w pierwszy dzień po przybyciu.

Cap zrozumiał pobudki Mabel, a że w głębi duszy żywił dla szwagra serdeczną przyjaźń, chętnie się zgodził odłożyć dysputę do momentu, gdy już spędzą z sobą czas dłuższy, albowiem nie przeszło przez myśl owemu upartemu i pewnemu siebie człowiekowi, aby poniechać sporu, Jakoż wyszedł wraz z siostrzenicą, pozostawiając sierżanta Dunhama sam na sam z Tropicielem. Gdy tylko przeciwnik się wycofał, sierżant, który nie rozumiał tak dobrze manewru córki, powiedział do swego towarzysza z nie pozbawionym tryumfu uśmiechem:

–Armia, Tropicielu, jeszcze dotychczas nie upomniała się dostatecznie o swoje prawa i chociaż skromność przystoi człowiekowi, czy nosi on kurtę czerwoną, czy czarną, czy nawet jest w koszuli, nie lubię przepuszczać okazji, gdy mogę wtrącić słówko w jej obronie. No, przyjacielu – tu położył dłoń na rękę Tropicieła i ścisnął serdecznie. – Jakże ci się podoba dziewczyna?

–Masz powody, by z niej być dumny. Widziałem wiele osób jej płci, a niektóre z nich wspaniałe były i piękne, ale nigdy dotąd nie spotkał takiej, którą Opatrzność równie wybornie obdarzyłaby najprzeróżniejszymi przymiotami.

–A mogę ci powiedzieć, Tropicielu, że to dobre mniemanie jest obopólne. Wczoraj wieczorem opowiadała mi o twym spokoju, męstwie i łagodności – a osobliwie o tej ostatniej, łagodność bowiem najwięcej się liczy u kobiet. Toteż pierwsze oględziny wydają się być zadowalające dla obu. stron. Wyszczotkuj swój przydzwiek, zważaj nieco więcej na wygląd zewnętrzny, a zdobędziesz serce i rękę dziewczyny.

–Nie, sierżancie, nie zapomniałem nic z tego, coś mi powiadał i w miarę rozsądku nie szczędziłem trudu, aby się w oczach Mabel wydać równie przyjemnym, jak ona w moich. Dziś rano, za ledwie słońce wzeszło, wyczyściłem i wypucowałem Postrach Zwierząt i moim zdaniem strzelba nigdy nie wyglądała lepiej niż w tej chwili.

–To jest zgodne z twoimi myśliwskimi wyobrażeniami. Tropicielu, ale broń palna winna zawsze lśnić i błyszczeć w słońcu; nigdy nie mogłem dopatrzeć się piękna w matowej lufie.

–Lord Howe sądził inaczej, a jednak uważano go za przedniego żołnierza.

–W samej rzeczy; lord Howe kazał przyciemnić lufy całego swego regimentu, ale cóż dobrego z tego wynikło? Możesz oglądać jego tarczę herbową zawieszoną w anglikańskim zborze w Albany. Nie, nie, mój zacny przyjacielu, żołnierz powinien być żołnierzem i nigdy się nie wstydzić ani nie obawiać noszenia oznak oraz symboli swojego zaszczytnego rzemiosła. A czy dużo rozmawiałeś z Mabel, gdyście płynęli czółnem?

–Niewiele mieliśmy okazji, sierżancie, a zresztą uznałem, iż tak jej nie dorównuję umysłem, że bałem się rozwodzić o czymś, co przekraczało moje wiadomości.

–W tym częścią masz słuszność, a częścią błędzisz, przyjacielu. Kobiety lubią błądą rozmowę, choć wolą prowadzić ją same. Jak wiesz, jestem człowiekiem, który nie rozpuszcza języka za lada płochą myślą, a jednak bywały dni, kiedy widziałem, że matka Mabel wcale nie miała o mnie gorszego mniemania przez to, że nieco pofolgował swojej powadze. Co prawda, miałem wtedy o dwadzieścia dwa lata mniej niż dzisiaj, a na dobitkę byłem nie najstarszym sierżantem w pułku, ale najmłodszym. Godność to rzecz pożyteczna, nakazująca szacunek i niepodobna dać sobie bez niej rady, gdy się ma do czynienia z mężczyznami; atoli jeśli chcesz być w pełni szanowany przez niewiastę, musisz niekiedy być pobłażliwym.

–Ach, sierżancie, chwilami obawiam się, że nic z tego nie będzie.

–Czemuż to myślisz z takim zwątpieniem o sprawie, w której, jak sądziłem, obaj powzięliśmy już decyzję?

–Istotnie, uzgodniliśmy, że jeśli Mabel okaże się taką, jaką mi ją opisywałeś, a z drugiej strony, jeżeli dziewczyna zdoła upodobać sobie prostego myśliwca i przewodnika, ja wówczas porzucę swoje wędrówki i postaram się przystosować do zwykłego ludzkiego życia z żoną i dziećmi. Ale przyznaję, że odkąd ujrzałem tę dziewczynę, nawiedziły mnie liczne wątpliwości.

–Jakże to? – (przerwał mu sierżant surowo. – Alboż nie słyszałem, (jak mówiłeś, że ci się podobała? Czyż Mabel jest panną, która może wzbudzić rozczarowanie?

–Ach, sierżancie, nie Mabel nie ufam, ale sobie samemu. Jestem tylko biednym, ciemnym człowiekiem leśnym, a kto wie, może wcale nie takim dobrym jak ty i ja sądzimy.

–Jeżeli już wątpisz w swój własny sąd o sobie, tedy proszę, byś przynajmniej w mój nie wątpił. Czyż nie (nauczyłem cię oceniać ludzi? Czy często się myłę? Spytaj majora Duncana, jeśli chcesz się o tym upewnić.

–Ależ, sierżancie, od dawna jesteśmy przyjaciółmi, z dziesięć razy walczyliśmy

ramię przy ramieniu i wiele przysług wyświadczyliśmy sobie wzajemnie. A w takich okolicznościach ludzie są skłonni myśleć nazbyt życzliwie jeden o drugim i lękam się, że córka może nie spoglądać z równą jak ojciec przychylnością na prostego, ciemnego myśliwca.

–No, no, Tropicielu! Sam siebie nie znasz, człowieku, więc możesz (pokładać całkowitą wiarę w mój sąd. Po pierwsze, masz doświadczenie, a jako że wszystkim dziewczętom go brakuje, żadna roztropna panna nie będzie ślepa na podobną zaletę. Po wtóre, nie jesteś jednym z owych fircyków, co puszą się, ledwie wstąpią do pułku, ale człowiekiem, który (już służbę poznał i nosi tego ślady na swoim ciele i twarzy. Myślę, że byłeś w ogniu już ze trzydzieści albo czterdzieści razy, licząc wszelkie potyczki oraz zasadzki, w jakich brałeś udział.

–Wszystko to prawda, sierżancie; wszystko prawda, lecz jakąż to ma wagę, gdy trzeba pozyskać przychylność młodej dziewczyny o czułym sercu?

–To właśnie przyniesie ci zwycięstwo. Doświadczenie równie jest cenne w miłości, jak na wojnie. Ty zaś jesteś najzaciejszym i najwierniejszym z poddanych, jakimi król jegomość poszczycić się może – oby mu Bóg błogosławił!

–Możliwe, ale boję się, żem zbyt nieokrzesany, za stary i za dziki, ażeby się podobać tak młodziutkiej i delikatnej pannie jak Mabel, która nie przywykła do naszego leśnego życia i może uważać, że osiedla lepiej odpowiadają jej przyrodzonym skłonnościom.

–Nowe to u ciebie skrupuły, przyjacielu, i dziwię się, żeś się z nimi nigdy dotychczas nie meldował.

–Może dlatego, żem nigdy nie uświadamiał sobie własnej nicości, dopóki nie poznałem Mabel. Wędrowałem już z niewiastami równie gładkimi, przeprowadzałem je przez puszcę i oglądałem je w radości i niebezpieczeństwie, ale zawsze stały o tyle wyżej ode mnie, żem myślał o nich jedynie jako o słabych istotach, które winienem osłaniać i chronić. Teraz to co innego. Mabel i ja jesteśmy sobie podobni, toteż uginam się pod nieznośnym brzemieniem myśli, iż zarazem tak jesteśmy różni. Jakże bym chciał być o dziesięć lat młodszy, miłszy dla oka i taki, aby móc przypaść do gustu przystojnej, młodej pannie.

–Uszy do góry, mój dzielny przyjacielu; zaufaj ojcowskiej znajomości rodu niewieściego. Mabel już cię na poły miłuje, a dwa tygodnie przyjemnego pobytu wśród wysp sprawią, że doszłusze i druga połowa. Dziewczyna sama prawie mi to wyznała wczorajszego wieczora.

–Czy być może, sierżancie? – zawołał przewodnik, którego łagodna i skromna natura wzdragała się przed oglądaniem samego siebie w tak korzystnym świetle. –

Czyż to naprawdę być może? Jam tylko biedny myśliwy, a przecież widzę, że Mabel godna jest zostać żoną oficera. Myślisz, że dziewczyna zgodzi się porzucić wszystkie swe ulubione miejskie obyczaje, wizyty i chadzanie do kościoła, aby zamieszkać z prostym przewodnikiem i łowcą tu, w lasach? Czyż w końcu nie zatęskni za swoim dawnym życiem i lepszym mężem?

–Lepszego trudno by znaleźć, Tropicielu – odparł ojciec. – Co zaś się tyczy miejskich obyczajów, to pośród leśnej swobody rychło się o nich zapomina, a Mabel dość jest dzielna, by żyć na pograniczu. Nie planowałem sobie owego zameścia, przyjacielu, bez przemyślenia sprawy, podobnie jak generał obmyśla kampanię. Z początku przychodziło mi do głowy, by wciągnąć cię do regimentu, ażebyś mógł zająć moje miejsce, gdy się wycofam ze służby, co wcześniej czy później musi nastąpić. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że nie nadajesz się do tego. Ale chociaż nie jesteś żołnierzem w pełnym znaczeniu tego słowa, jesteś nim w znaczeniu najlepszym i wiem, że zaskarbiłeś sobie życzliwość wszystkich oficerów w oddziale. Dopóki żyję, Mabel może mieszkać u mnie, a ty zawsze będziesz miał dom po powrocie ze swoich zwiadów i marszów.

–Bardzo miło będzie o tym myśleć, jeżeli dziewczyna okaże dobrą wolę wobec naszych zamierzeń. Ale niestety! Me jest chyba prawdopodobne, by taki jak ja znalazł kiedykolwiek łaskę w jej ślicznych oczach. Gdybym był młodszy, przystojniejszy – ot, jak Gaspar Western na przykład, wtedy może miałbym jakieś szansę.

–Ach, co tam Gaspar Eau-douce czy inny młodzik z fortu! – wykrzyknął sierżant strzepując palcami. – Jeżeliś nawet nie młodszy, to młodziej wyglądasz, a jakże, i lepiej niż ów dowódca „Chwistu”.

–Co takiego? – powiedział Tropiciel patrząc na swego towarzysza z powątpiewaniem, jak gdyby nie zrozumiał jego słów.

–Powiadam, że chociaż nie jesteś młodszy latami, wyglądasz bardziej dziarsko i chwacko niż Gaspar czy którykolwiek z nich, a za trzydzieści lat będziesz więcej wart niż oni wszyscy razem wzięci. Taki jak ty pozostanie przez całe życie chłopcem dzięki czystemu sumieniu.

–Gaspar ma najczystsze sumienie ze wszystkich znanych mi młodych ludzi i może się trzymać nie gorzej niż inni młodzieńcy w koloniach.

–Poza tym jesteś moim przyjacielem – tu sierżant ścisnął mu rękę. – Moim wypróbowanym, niezawodnym i wiernym przyjacielem.

–Tak, zawarliśmy przyjaźń prawie dwadzieścia lat przed urodzeniem Mabel.

–Otóż to; byliśmy wypróbowanymi druhami, nim Mabel na świat przyszła, a zatem

pannicy nie śniłoby się nawet odmówić swej ręki człowiekowi, który był przyjacielem ojca, zanim się urodziła.

–Nie wiadomo, sierżancie, nie wiadomo. Swój ciągnie do swego. Młodzi wolą zadawać się z młodymi, tak jak starzy ze starymi.

–Nie wtedy, gdy idzie o żonę, Tropicielu. Jeszczem nie widział starszego mężczyzny, który by kręcił nosem na młodą żonę. Prócz tego, jakem już mówił, szanuje cię i poważa każdy oficer w torcie, a Mabel miło będzie poślubić człowieka, którego wszyscy lubią.

–Ufam, że nie mam żadnych wrogów, prócz Mingów – odparł łagodnie przewodnik przyglądając w zamyśleniu włosy. – Usiłowałem czynić dobrze, co powinno zjednywać człowiekowi przyjaciół, chociaż czasami i to zawodzi.

–A można też powiedzieć, że przebywasz w najprzedniejszym towarzystwie, boć nawet Duncan of Lundie chętnie się z (tobą widuje i całe godziny z nim spędzasz. Ze wszystkich przewodników największe zaufanie ma do ciebie.

–Ba, nawet więksi od niego.przez wiele dni maszerowali u mego boku i gadali ze mną, jak gdybym był im bratem, ale ich towarzystwo nigdy nie wbiło mnie w pychę, bo wiem, że las często zbliża ludzi, którzy w miastach byłiby sobie obcy i dalecy.

–Co więcej, wiadomo, że jesteś najlepszym strzelcem, jaki (kiedykolwiek pociągnął za cyngiel w tym kraju.

–Gdyby Mabel mogła za to upodobać sobie mężczyznę, nie miałbym wielkich powodów do zmartwienia, ale czasami myślę sobie, że jestem strzelcem w równej mierze dzięki Postrachowi Zwierząt, co i mej własnej zręczności.

To niewątpliwie cudowna broń i mogłaby się tak samo dobrze sprawować w rękach innego.

–To jest twoja skromna opinia o sobie, Tropicielu, ale widzieliśmy zbyt wielu takich, którym nie szło z tą strzelbą, tobie zaś nazbyt często powodzi się z cudzą bronią, ażebym mógł się z tobą zgodzić. Za parę dni urządzimy tutaj zawody strzeleckie, a wówczas będziesz mógł pokazać, co umiesz, Mabel zaś wyrobi sobie zdanie o tym, jaki naprawdę jesteś.

–Czy to będzie uczciwe, sierżancie? Każdemu wiadomo, że Postrach Zwierząt rzadko chybia; czyż zatem powinniśmy urządzać taką próbę, skoro wszyscy wiemy, jaki musi być wynik?

–No, no, człowieku! Widzę, że połowę tych konkurów będę musiał odrobić za ciebie. Jak na takiego, co w bitwie zawsze przebywa wśród dymu, tyś jest najpłochliwszym

załotnikiem, jakiego spotkałem. Pamiętaj, że Mabel pochodzi z dzielnej krwi, toteż najpewniej będzie 'równie podziwiała prawdziwego mężczyznę jak niegdyś jej matka.

Tu sierżant wstał i nie przepaszając odszedł do swych nigdy nie ustających zajęć, albowiem Tropicielea łączyły z całym garnizonem takie stosunki, że podobna swoboda była rzeczą samą przez się zrozumiałą.

Z przytoczonej tutaj rozmowy czytelnik wywnioskuje, jaki był jeden z projektów, który sierżant Dunham miał na widoku, sprowadzając swą córkę na pogranicze. Jakkolwiek musiał bardzo odwyknąć od pieśczoć i czułości, które w pierwszych paru latach po stracie żony uczyniły mu jego dziecię tak drogie, przecie zachował nadal silne, choć jakby utajone uczucie do córki. Przyzwyczajony do wydawania oraz słuchania rozkazów, nie pytając, czy są słuszne, może nazbyt pochopnie przypuszczał, że córka poślubi mężczyznę, którego on wybierze, chociaż bynajmniej nie myślał zadawać jej w czymkolwiek gwałtu.

Fakt faktem, że niewielu było takich, którzy znając bliżej Tropicielea nie uważaliby w głębi duszy, że jest to człowiek niepospolitych zalet. Zawsze taki sam, prostolinijny, rzetelny, nie znający uczucia strachu, a jednak ostrożny, pierwszy w każdym sprawiedliwym przedsięwzięciu – czy takim, jakie w ówczesnym mniemaniu za podobne uchodziło – nigdy nie wdawał się w nic, co mogłoby wywołać rumieniec na jego obliczu bądź potępienie jego uczynków. Nie sposób było dłużej przestawać z owym człowiekiem i nie czuć szacunku oraz podziwu zgołą, nieproporcjonalnego do jego pozycji życiowej. Najbardziej zdumiewającą osobliwością jego charakteru była całkowita obojętność, z jaką odnosił się do wszelkich wyróżnień nie opartych na osobistej zasłudze. Z nawyku okazywał szacunek przełożonym, ale wiadomo było, że często wytykał im błędy i ganił wady z odwagą świadczącą, jak doniosłe są dlań rzeczy prawdziwie istotne, a także z wrodzoną zdolnością oceny zjawisk, której pozornie przeczyłby brak edukacji.

Krótko rzekłszy, ktoś nie wierzący w ludzką zdolność odróżniania dobra od zła bez pomocy wykształcenia, musiałby zachwiać się w swej pewności poznawszy tego niepospolitego mieszkańca pogranicza.

Uczucia jego posiadały świeżość i naturę boru, w którym spędził tyle czasu, a żaden kazuista nie umiałby jaśniej rozstrzygnąć zagadnień dobra i zła; mimo to nie był pozbawiony przesądów, które – chociaż nieliczne i związane z jego charakterem i obyczajami – były głęboko zakorzenione, bez mała stanowiące część jego natury. Jednakże najbardziej uderzającym rysem moralnego oblicza Tropicielea było jego piękne i nieomyślne poczucie sprawiedliwości. Owa szlachetna cecha – bez której żaden człowiek nie może osiągnąć prawdziwej wielkości, każdy zaś, kto ją posiada, jest zawsze godzien szacunku – wywierała niepostrzeżony wpływ na wszystkich, którzy z nim obcowali. Albowiem znano przypadki, kiedy pospolity, pozbawiony skrupułów zabijaka obozowy powracał z wyprawy przedsięwziętej wspólnie z

Tropicielem, znajdując się pod całkowitym wpływem jego poglądów, ułagodzony słowami a poprawiony przykładem.

Jak można było spodziewać się po człowieku obdarzonym podobnie wysokimi przymiotami, wierność jego była niewzruszona niby skała, nierzetelność całkowicie mu obca, a ponieważ rzadko cofał się przed wrogami, nie słyszano więc, by porzucił przyjaciela, jeżeli tylko istniało jakiegokolwiek inne wyjście. Ci, z którymi żył (blisko taki człowiek, byli doń rzecz jasna podobni. Towarzysze i zaufani przyjaciele Tropiciela, choć w mniejszej lub większej mierze zawdzięczał ich przypadkowi, byli na ogół ludźmi najwyższej próby, jeżeli idzie o poziom moralny; posiadał on bowiem rodzaj instynktownego daru oceniania i to sprawiało, że. zapewne nieświadomie trzymał się blisko z tymi, których charakter najlepiej mógł wynagrodzić mu jego przyjaźń. Krótko rzekłszy, ludzie przyzwyczajeni do obserwacji swych bliźnich mówili o Tropicielu, że jest on wybornym przykładem tego, czym może być prawy i czysty człowiek, który nie ulega nieokiełznanym, ambitnym zachciankom, ale kieruje się swymi uczuciami pośród samotnej wielkości i uszlachetniającego wpływu wzniosłej przyrody. Nie sprowadza go bowiem na manowce to, co nakłania ludzi do zła wśród podnieć, jakich dostarcza cywilizacja, a nie zapomina też o istnieniu Wszechmocnego, którego duch przenika zarówno puszcze, jak miasta.

Takim; był człowiek, którego sierżant Dunham wybrał na męża dla Mabel. Dokonując tego wyboru kierował się może nie tyle wyraźną i bezstronną oceną jego zalet, co własnym upodobaniem; mimo to jednak nie było nikogo, kto znając Tropiciela równie blisko jak sierżant nie darzyłby zacnego przewodnika wysokim szacunkiem z racji tych właśnie cnót. Stary żołnierz nie obawiał się zgoła, by jego córka mogła mieć jakieś poważniejsze zastrzeżenia co do tego związku, z drugiej zaś strony widział w nim niejasne perspektywy rozlicznych korzyści dla siebie samego, związanych ze zmierzchem własnego życia, które w ten sposób mógłby spędzić wśród wnuków drogich mu z racji jego uczuć do obojga rodziców. Uczynił był więc ową propozycję swojemu przyjacielowi, a ten wysłuchał jej przychylnie; teraz sierżant widział z zadowoleniem, że Tropiciel zdradza chęć zastosowania się do jego życzeń, nie mniejszą od wątpliwości oraz skrupułów wynikających ze skromnego mniemania o sobie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie chcę go kochać, choć o niego

proszę:

Chłopak mrukliwy – jednak mówi

pięknie.

Lecz cóż mi słowa?

Przemiął tydzień na zwykłych zajęciach garnizonowych. Mabel zaczynała przywykać do sytuacji, która zrazu wydawała jej się nie.tylko nowa, ale i nieco uciążliwa. Oficerowie oraz żołnierze stopniowo oswajali się z obecnością młodej, kwitnącej dziewczyny, której strój i obejście cechowała skromna wytworność, jakiej Mabel nabrała w rodzinie swej opiekunki. Toteż mniej już naprzykrzali się jej swym nie ukrywanym podziwem, natomiast darzyli szacunkiem, który, jak skłonna była mniemać, okazywali przez wygląd na jej ojca; w rzeczywistości jednak należało je raczej przypisać skromnemu, lecz pełnemu urokowi zachowaniu dziewczyny niż czci dla zacnego sierżanta.

Znajomości zawarte w lasach albo w warunkach niezwykłego podniecenia rychło osiągają swoje granice. Tydzień pobytu w Oswego wystarczył, by Mabel określiła sobie, z kim może się zbliżyć, a kogo powinna unikać. Swego rodzaju neutralne stanowisko, jakie zajmował jej ojciec, nie należąc do grona oficerów, a jednocześnie stojąc wyżej od prostych żołnierzy, pozwalało jej trzymać się z dala od tych dwóch wielkich klas wojskowej społeczności i przez to zmniejszało ilość ludzi, z którymi musiała się poznać, oraz w pewnej mierze ułatwiało wybór. Mimo to wkrótce stwierdziła, że nawet wśród tych, co mogli kandydować do miejsca przy stole dowódcy fortu, było kilku takich, którzy chętnie zaniedbaliby szponton w zamian za nowość, jaką stanowiła zgrabna figurka i gładkie, powabne liczko.

Jakoż po pierwszych paru dniach Mabel miała już wielbicieli nawet pośród szlachetnie urodzonych. Zwłaszcza kwatermistrz, oficer w średnim wieku, który nieraz już kosztował dobrodziejstw małżeńskiego stanu, a teraz właśnie 'był wdowcem, najwyraźniej zdradzał skłonność do zawarcia bliższej znajomości z sierżantem, choć i tak dosyć często stykali się przy pełnieniu swych obowiązków. Jego młodszy koledzy nie omieszkali zauważyć, że ów pedantyczny jegomość, Szkot nazwiskiem Muir, znacznie częściej, niż to dawniej miał w zwyczaju, zachodził w odwiedziny na kwaterę swojego podwładnego. Atoli ich docinki ograniczały się do prześmiewek czy żartów na temat córki sierżanta, choć „Zdrowie Mabel Dunham!” stało się rychło toastem, którego nie wzdragał się wznosić nawet chorąży czy porucznik.

Pod koniec tygodnia Duncan of Lundie wezwał po apelu wieczornym sierżanta Dunhama w sprawie, która snadź wymagała osobistej rozmowy. Stary wojak mieszkał w przenośnej chacie na kołach, którą mógł kazać do woli przetaczać z miejsca na miejsce, przeto raz przebywał w jednej części fortu, to znowu w innej. Obecnie umieścił się był w pobliżu środka i tam go znalazł podwładny, którego wpuszczono przed oblicze majora bez żadnej zwłoki czy wyczekiwania w przedpokoju. Należy tu stwierdzić, że istniała bardzo niewielka różnica między kwaterami przydzielanymi oficerom a tymi, które były przeznaczone dla żołnierzy; tyle tylko, że pierwszym zapewniano więcej przestrzeni.

–Wejdz, sierżancie, wejdzże, mój przyjacielu! – powiedział serdecznie Lundie, gdy jego podwładny przystanął w postawie pełnej szacunku u drzwi czegoś w rodzaju biblioteki, a zarazem sypialni, do (której go wprowadzono. – Wejdz i siadaj na tym zydłu. Wezwałem cię dzisiaj nie po to, by dyskutować o rozkładzie służby czy listach żołdu. Wiele lat już ze sobą kolegujemy i dobre stare czasy winny się za coś liczyć nawet między majorem a jego podwładnym, między Szkotem i Jankesem. Siadajże i rozgość się, sierżancie. Piękny mieliśmy dziś dzień.

–W samej rzeczy, panie majorze – odparł sierżant, który chociaż pozwolił sobie zająć miejsce, nazbyt był doświadczony, by zapominać o stopniu uszanowania, jaki należało zachować w obejściu. – Bardzo piękny był dzień i możemy spodziewać się więcej takich w tej porze roku.

–Z całego serca ufam, że tak będzie. Zbiory przedstawiają się nieźle i zobaczysz, że chłopcy z pięćdziesiątego piątego są prawie równie dobrymi rolnikami jak żołnierzami. W Szkocji nie widziałem nigdy lepszych ziemniaków niż te, które powinniśmy zebrać z tego naszego nowego poletka.

–Zanosi się na dobry zbiór, panie majorze, a co za tym idzie na lepszą zimę od ostatniej.

–Życie postępuje naprzód, sierżancie, zarówno w swoich udogodnieniach, jak i w ich potrzebie. Starzejemy się i zaczynam myśleć, że pora już wycofać się ze służby i spędzić resztę życia w spokoju. Czuję, że okres mojej pracy dobiega końca.

–Najjaśniejszy pan, oby mu Bóg błogosławił, ma jeszcze w waszej miłości wielce zdatnego sługę.

–Może to być, sierżancie, zwłaszcza gdyby mu się zdarzył jakowyś wakans na podpułkownika.

–Pięćdziesiąty piąty pułk będzie czuł się zaszczycony w dniu, gdy ów stopień nadany zostanie Duncanowi of Lundie.

–A Duncan of Lundie będzie się czuł zaszczycony w dniu, kiedy go otrzyma. Ale,

sierzancie, chociażżeś nigdy nie dostąpił stopnia podpułkownika, miałeś przynajmniej dobrą żonę, to zaś jest następna z kolei rzecz, która czyni człowieka szczęśliwym.

–Byłem żonaty, panie majorze, ale już ad dawna nic nie uszczupla afektu, jaki żywię dla króla jegomości i swojej służby.

–Co takiego, człowieku? Nawet miłość do tej twojej małej, krągłej, rumianej córki, którą od kilku dni widuję w forcie? Dajże spokój, sierzancie! Choć jestem stary, sam mógłbym się rozkochać w tej dziewczynie i posłać pułkownikostwo do diabła!

–Wszystkim nam wiadomo, gdzie jest serce majora Duncana: a mianowicie w Szkocji, tam bowiem pewna piękna dama gotowa jest go uszczęśliwić, gdy tylko zezwoli mu na to jego poczucie obowiązku.

–Tak, tak, nadzieja to zawsze rzecz daleka – odparł przełożony, po którego twardych, szkockich rysach przemknął cień melancholii – a nasza piękna Szkocja to kraj daleki. No cóż, choć w tych stronach nie mamy wrzosów ani owsianej mąki, nie brak nam przecie dziczyzny, a i łososi jest w bród niczym w Berwick. Czy to prawda, sierzancie, iż ludzie się skarżą, że ich ostatnio przekarmiono jelenią i gołębiami?

–Od kilku tygodni już nie, panie majorze, bo o tej porze roku nie trafia się tyle jeleni i ptaków co przedtem. Ludzie zaczynają już zrzedzić na łososie, ale myślę, że przebrniemy przez lato bez poważniejszych kłopotów z wyżywieniem. Szkoci z batalionu rzeczywiście gadają trochę nieroztropnie o braku mąki owsianej, sarkając od czasu do czasu na nasz pszeniczny chleb.

–Ach, to jest ludzka natura, sierzancie! Czysta, nieskażona, szkocka natura. Prawdę mówiąc, placek owsiany to smakowita rzecz i często się łapię na tym, że sam za nim tęsknię.

–Jeżeli to zaczniesz nazbyt doskwierać, panie majorze – oczywiście żołnierzom, bo nie przyszłoby mi do głowy odzywać się z takim brakiem poszanowania do waszej miłości – jeżeli tedy ludzie zaczną naprawdę tęsknić za swą przyrodzoną strawą, to zalecałbym pokornie, żeby sprowadzić nieco owsianej mąki albo ją przysposobić na miejscu, a myślę, że więcej nie będzie o tym mowy. Niewielka ilość wystarczy, żeby ich z tego uleczyć.

–Kpiarz, z ciebie, sierzancie, ale niech mnie diabli porwą, jeżeli nie masz racji. A jednak są chyba na tym świecie rzeczy słodsze od mąki owsianej. Słodką masz córkę, na przykład.

–Dziewczyna podobna jest do matki, panie majorze, a ujdzie przy inspekcji – odparł z dumą sierżant. – Ani jedna, ani druga nie wychowały się na niczym innym prócz dobrej, amerykańskiej mąki. Tak jest: dziewczyna ujdzie przy inspekcji, panie majorze.

–Za to ręczę. No, może teraz przejdę już do rzeczy i wysunę rezerwy na linię. Owóż pan kwatermistrz Davy Muir chętnie by pojął twą córkę za żonę i prosił mnie, bym rzecz ci wyjawiał, lęka się bowiem uchybienie swojej godności. Mogę też dodać, że połowa młodzików z fortu wznosi toasty za zdrowie dziewczyny i rozprawia o niej od rana do wieczora.

–Moja córka wielce jest tym zaszczycona, panie majorze – odparł sztywno sierżant – ale tuszą, że ci panowie niebawem znajdą sobie jakiś godniejszy temat do rozmów. Mam nadzieję, że zanim minie kilka tygodni, dziewczyna będzie żoną zacnego człowieka.

–Owszem, Davy to człek zacny, a myślę, że nie można by tyleż powiedzieć o wszystkich z kwatermistrzostwa – odrzekł Lundie z lekkim uśmiechem. – Gzy zatem mogę oświadczyć owemu młodzianowi przesytemu strzałą Kupida, że sprawa jest właściwie załatwiona?

–Dziękuję waszej miłości, ale Mabel jest zaręczona z kim innym.

–Może być z tego tumult w forcie, choć bez przykrości to słyszę, ile że mówiąc szczerze, nie jestem wielkim zwolennikiem nierównych związków.

–Mam to samo przekonanie co wasza miłość i wcale nie pragnę widzieć mej córki żoną oficera. Jeżeli zdoła zająć równie wysoko jak jej matka, wystarczy to, by zadowolić każdą rozsądną kobietę.

–A czy wolno spytać, sierżancie, kto jest owym szczęśliwcem, którego umyśliłeś nazwać swoim zięciem?

–Tropiciel, wasza miłość.

–Tropiciel?

–Nie inaczej, a wymieniając panu jego imię, zarazem mówię o nim wszystko. Na tym pograniczu nikt nie jest bardziej znany niż ten mój zacny, dzielny i wierny przyjaciel.

–To wszystko prawda, ale czy jest on człowiekiem, który może dać szczęście dwudziestoletniej dziewczynie?

–Czemuż by nie, wasza miłość? Osiągnął szczyty w swoim zawodzie. Nie znajdzie się drugiego przewodnika ani zwiadowcy współdziałającego z wojskiem, który by miał choć w połowie taką reputację jak Tropiciel, albo który by na nią chociaż w połowie zasłużył.

–Zgoda, sierżancie, ale czy reputacja zwiadowcy jest właśnie tym rodzajem sławy, który może zjednać afekt dziewczyny?

–Mówić o dziewczynskich afektach to moim skromnym zdaniem tyle, co mówić o doświadczeniu rekruta. Gdybyś my mieli kierować się ruchami tak nieporadnego oddziału, nigdy byśmy nie ustawili batalionu w porządnym szyku, panie majorze.

–Ależ twoja córka nie ma w sobie nic nieporadnego; bardziej ogładzonej dziewczyny jej stanu nie znaleźć nawet w starym Albionie. Czy w owej sprawie podziela ona twe zdanie? Myślę, że chyba tak, skoro jak mówisz, jest zaręczona.

–Jeszcześmy nie rozmawiali na ten temat, wasza miłość, ale wnosząc z kilku pomniejszych oznak, które tu mógłbym wymienić, uważam, że już się właściwie zdecydowała.

–A jakież to są oznaki, sierżancie? – zapytał major, który zaczynał odczuwać coraz większe zainteresowanie tą sprawą. – Wyznaję, że chętnie dowiedziałbym się czegoś o sposobie myślenia kobiety, ponieważ, jak wiesz, sam jestem kawalerem.

–No cóż, wasza miłość; ilekroć rozmawiam z nią o Tropicielu, zawsze mi patrzy w oczy, wtóruje wszystkiemu, co powiem na jego korzyść, a jest w niej przy tym jakaś szczerść i otwartość, która mi mówi, że właściwie na poły uważa go już za swego męża.

–Hm, i sądzisz, Dunham, że to są niezawodne oznaki uczuć twojej córki?

–Tak jest, panie majorze, bo wyczuwam w nich naturalność. Kiedy spotkam żołnierza, który md patrzy prosto w oczy wychwalając oficera – bo z przeproszeniem waszej miłości zdarza się, że ludzie czasami krytykują swych przełożonych – kiedy więc widzę, że żołnierz patrzy mi w oczy chwając swojego kapitana, zawsze przyjmuję, że gada uczciwie i wierzy w to, co mówi.

–A czy nie ma istotnej różnicy wieku między przyszłym oblubieńcem a jego nadobną narzeczoną, sierżancie?

–Słusznie, panie majorze, Tropiciel jest już bliski czterdziestki, Mabel ma więc wszelkie perspektywy szczęścia, jakie młoda, niewiasta może wysnuwać z posiadania doświadczonego małżonka. Ja sam miałem już bite czterdzieści, wasza miłość, kiedym poślubił jej matkę.

–A czy twoja córka będzie się równie zachwycała zieloną myśliwską koszulą i lisią czapą, którą nosi nasz zacny przewodnik, jak wykwinnym mundurem pięćdziesiątego piątego pułku?

–Może i nie, panie majorze, i dlatego właśnie będzie mogła policzyć sobie za zasługę takowe wyrzeczenie, to bowiem zawsze czyni młodą kobietę mądrzejszą i lepszą.

–A nie obawiasz się, że może zostać wdową w kwiecie wieku? Można przecie

powiedzieć, że życie Tropicielea, który przebywa wśród dzikich bestii i jeszcze dzikszych Indian, stale niejako wisi na włosku?

–Każda kula ma swój cel, Lundie – powiedział sierżant, gdyż major w chwilach łaskawości lubił, by go tak nazywano, kiedy nie był na służbie. – A żaden żołnierz pięćdziesiątego piątego pułku nie może powiedzieć o sobie, że mu nie grozi nagła śmierć. Pod tym względem Mabel nic by nie zyskała na zmianie. Prócz tego, jeśli mi wolno mówić swobodnie na taki temat, bardzo wątpię, żeby Tropiciel zginął kiedykolwiek w bitwie czy też na skutek jakiegoś wypadku w puszczy.

–A czemuż to, sierżancie? – zapytał major. – Jest przecie żołnierzem, jeśli idzie o grożące mu niebezpieczeństwo, i to żołnierzem wiele bardziej niż inni narażonym; a chociaż zachowuje swobodę, czemuż by miał się spodziewać, że ujdzie cało tam, gdzie innym to się nie udaje?

–Nie sędzę, wasza miłość, żeby Tropiciel uważał, iż ma większe szansę niż ktokolwiek, ale ten człek nie zginie od kuli. Zbyt często widywałem go posługującego się bronią z takim spokojem, jakby to był kij (pastuszy, i to pośród najgęstszych gradów pocisków i w najbardziej niezwykłych okolicznościach, toteż nie myślę, aby zamiarem Opatrzności było, by zginął w ten sposób. A przecie, jeżeli w posiadłościach najjaśniejszego pana znajduje się człowiek, który doprawdy zasłużył sobie na taką śmierć, to jest nim właśnie Tropiciel.

–Nigdy nie wiadomo, sierżancie – odparł w zamyśleniu Lundie, którego twarz spoważniała. – Toteż im mniej o tym mówimy, tym może i lepiej. Ale czy twoja córka – zdaje się, że zowiesz ją Mabel – czy zatem Mabel, miał poślubić regularnego żołnierza, zgodzi się wyjść za człowieka, który bądź co bądź jest tylko zaczepiony przy armii? Dla Tropicielea nie ma nadziei na awans, sierżancie.

–On jest już teraz na czele swoich oddziałów, wasza miłość. Krótko mówiąc, Mabel już się zdecydowała, skoro tedy pan major miał tyle łaskawości, by mówić ze mną o panu Muirze, ufam, że będzie tak dobry i powie mu, że dziewczyna jest już właściwie zakwaterowana do końca życia.

–No cóż, to twoja sprawa. A teraz... sierżancie Dunham!

–Na rozkaz, wasza miłość! – odrzucił tamten wstając i salutując.

–Wiesz, że mam zamiar wysłać cię w przyszłym miesiącu na Tysiąc Wysp. Wszyscy starzy podkomendni pełnili tam już służbę – przynajmniej ci wszyscy, którym mogę zaufać. Wreszcie nadeszła kolej na ciebie. Co prawda, porucznik Muir dopomina się o swoje prawa, ale ponieważ jest kwatermistrzem, nie chcę więc zakłócać ustalonego porządku służby. Ludzi masz wyznaczonych?

–Wszystko gotowe, wasza miłość. Ludzie wyznaczeni, a jak słyszałem, łódź, która

przyszła wczoraj wieczorem, przywiozła wiadomość, że oddział, który jest tam na miejscu, wyczekuje już zluzowania.

–Istotnie; toteż musisz ruszać pojutrze, jeśli nie jutro wieczorem. Może byłoby roztropne wypłynąć po ciemku?

–Tak uważa Gaspar, panie majorze, a nie znam nikogo, na kim można by równie polegać w podobnej sprawie jak na młodym Gasparze Westernie.

–Młody Gaspar Eau-douce! – powiedział Lundie, a lekki uśmiech pojawił się na jego zazwyczaj surowym obliczu. – Czy ten chłopak udaje się z tobą?

–Wasza miłość raczy pamiętać, że „Chwist” nigdy nie opuszcza portu bez niego.

–Prawda; ale wszystkie ogólne reguły mają swoje wyjątki. Alboż nie widziałem w ciągu ostatnich paru dni jakiegoś marynarza chodzącego po forcie?

–Niewątpliwie, wasza miłość. Jest to imć Cap, mój szwagier, Mory przyprowadził tutaj moją córkę.

–Dlaczego by nie dać mu „Chwistu” na tę wyprawę, sierżancie, a nie zostawić Gaspara? Dla twego szwagra przejażdżka po słodkich wodach byłaby przyjemnym urozmaiceniem, a ty mógłbyś się dłużej nacieszyć jego towarzystwem.

–Chciałem prosić waszą miłość o zezwolenie, aby go zabrać ze sobą, ale musi popłynąć jako ochotnik. Gaspar jest zbyt dzielnym chłopcem, by go pozbawiać dowództwa bez przyczyny, a lękam się też, że szwagier Cap nadto pogardza słodką wodą, by na niej pełnić służbę.

–W porządku, sierżancie; pozostawiam to zatem do twego uznania. Po namyśle widzę, że Eau-douce powinien zachować komendę. Chcesz pewnie zabrać z sobą i Tropiciela?

–Jeżeli wasza miłość się zgodzi. Będzie dosyć roboty dla obu przewodników: Indianina i białego.

–Myślę, że masz słuszość. No, sierżancie, życzę ci powodzenia w tym przedsięwzięciu. Pamiętaj, że placówkę należy zniszczyć po wycofaniu twojego oddziału. O tym czasie spełni już ona zadanie albo okaże się, żeśmy całkowicie pokpili sprawę, a jest to nazbyt trudna pozycja, aby ją bez potrzeby trzymać. Możesz odmaszerować.

Sierżant Dunham zasalutował, obrócił się na pięcie niczym na zawiasach i już zamykał za sobą drzwi, kiedy nagle go odwołano.

–Zapomniałem, że młodsi oficerowie prosili, aby urządzić zawody strzeleckie, i że wyznaczono na to jutrzejszy dzień. Wszyscy zawodnicy zostaną dopuszczeni, a nagrodami będą – tu major odczytał z kartki: – „oprawny w srebro rożek do prochu, takąż skórzana flaszka”, jak widzę z tego zawodowego żargonu, oraz „jedwabny damski kaptur”. Ten ostatni ma pozwolić zwycięzcy okazać swą dworność przez ofiarowanie podarku umiłowanej.

–Wszystko to będzie ogromnie przyjemne, wasza miłość, zwłaszcza dla zwycięzcy. Czy Tropicielowi wolno wziąć udział w zawodach?

–Nie bardzo widzę, jak by go można wykluczyć, jeżeli zechce do nich stanąć. Zauważyłem, że ostatnio nie bierze udziału w takich rzeczach, zapewne z przeświadczenia

o swej nieporównanej zręczności.

–Otóż to, panie majorze; ten porządny chłop wie, że na pograniczu nie ma takiego, który by mu dorównał, więc nie chce psuć innym zabawy. Myślę, że zawsze możemy zaufać jego delikatności. Czy nie najlepiej zostawić to do jego uznania?

–W tym wypadku trzeba tale zrobić, sierżancie. Zobaczymy, czy równie mu się powiedzie we wszystkim innym. Życzę ci dobrej nocy, Dunham.

Sierżant wyszedł pozostawiając Duncana of Lundie jego myślom, a że nie były one zbyt nieprzyjemne, o tym świadczyły uśmieшки, jakie od czasu do czasu przebiegały po twarzy zazwyczaj szorstkiej i żołnierskiej w wyrazie, choć były też chwile, gdy brała w niej górę surowa powaga.

Minęło może pół godziny, gdy dało się słyszeć pukanie do drzwi, na co major odpowiedział zezwoleniem wejścia. Mężczyzna w średnim wieku, mający na sobie mundur oficerski, któremu brakowało jednak elegancji właściwej owemu zawodowi, wszedł i powitany został jako „pan Muir”.

–Przyszedłem, majorze, na twoje życzenie, aby dowiedzieć się o swoim losie – rzekł silnym szkockim akcentem kwatermistrz, zajmwszy wskazane mu miejsce. – Żeby tak prawdę powiedzieć, dziewczyna robi w garnizonie podobne spustoszenie jak Francuzi pod Ty; nigdy jeszcze nie widział tak generalnego pogromu w równie krótkim czasie!

–Chyba nie chcesz mi wmówić, Davy, że twoje młodzieńcze i niewinne serduszko rozgorzało w ciągu tygodnia takim płomieniem? Ależ, człowieku, to jeszcze gorzej niż tamtym razem w Szkocji, kiedy utrzymywano, iż twe wewnętrzne ognie były tak potężne, że wypaliły w tym cennym ciełe otwór, przez który mogły zaglądać wszystkie dziewczęta, by się przekonać, co wart jest ów łatwopalny materiał.

–Mów, co chcesz, majorze, boć przecie twój ojciec i matka także robili, co chcieli, choćby wróg był w obozie.

Nie widzę znowu nic nadzwyczajnego w tym, że młodzi ludzie kierują się swymi pragnieniami i skłonnościami.

–Ale ty tak często kierowałeś się swoimi, Davy, że jak sądzą, musiały już postradać urok nowości. Włącznie z tamtą nieoficjalną historią w Szkocji, kiedy byłeś jeszcze młodzikem, miałeś już cztery żony.

–Tylko trzy, majorze, jak pragnę czwartej! Jaszczem nie osiągnął swojej liczby; nie, nie – było ich tylko trzy.

–Myślę, Davy, że nie wliczasz w to tamtej pierwszej przygody, o której wspomniałem; tej, co to obyla się bez księdza.

–A czemuż miałbym ją wliczać, majorze? Sądy orzekły, że nie było to małżeństwo; czegoż zaś więcej może chcieć mężczyzna? Tamta kobieta wykorzystwała niejaką skłonność do amorów, która może i jest moją słabą stroną, i uwikłała mnie w umowę małżeńską, która okazała się nielegalna.

–Jeżeli dobrze pomnę, mości Muir, w owym czasie uważano, że sprawa ta miała dwie strony.

–Błaha to musiałyby być sprawa, która nie miałaby dwóch stron, mój drogi majorze, bo znałem wiele takich, co miały ich trzy. Ale tamtej mojej biedaczce zmarło się, nie było więc rady i nic z tego nie wyszło. Poza tym byłem najbardziej nieszczęśliwy z drugą żoną, mówię: drugą, majorze, tylko przez uszanowanie dla ciebie, zakładając, że ta pierwsza historia była w ogóle małżeństwem. Ale czy pierwsza, czy druga, dość żem był najbardziej nieszczęśliwy z Jeannie Graham, która umarła bezpotomnie po pierwszym pięcioleciu. Sądzę, że gdyby Jeannie wyżyła, nigdy nie byłbym obrócił myśli ku nowemu małżeństwu.

–Ale ponieważ tak się nie stało, żeniłeś się jeszcze dwa razy po jej śmierci, a teraz chcesz to uczynić po raz trzeci.

–Prawdzie nigdy nie sposób zaprzeczyć, majorze, ja zaś jestem zawsze gotów ją potwierdzić. Widzę, Lundie, żeś melancholijny tego wieczora.

–Nie, Muir, bynajmniej nie melancholijny, tylko trochę zamyślony, to przyznaję. Wspominałem sobie nasze chłopięce lata, kiedy to ja, syn lairda, i ty, syn plebana, wędrowaliśmy po naszych ojczystych wzgórzach; szczęśliwi i beztroscy, nie dbając o przyszłość; a później nasunęły mi się inne myśli, może nieco bolesne, o tym, jaką okazała się owa przyszłość.

–Chyba, Lundie, nie możesz się uskarżać na swój los. Doszedłeś do stopnia imaj ora, wkrótce zostaniesz podpułkownikiem, jeżeli listy mówią prawdę; ja natomiast jestem ledwie o stopień wyżej niż wtedy, gdy twój czcigodny ojciec dał mi mój pierwszy patent oficerski, i pozostaję tylko skromnym kwatermistrzem.

–A te cztery żony?

–Trzy, Lundie, tylko trzy legalne w myśl naszych liberalnych i uświęconych praw.

–No, niechże będą trzy. Wiesz, Davy – ciągnął major Duncan – żem już z dawna dokonał wyboru, wiesz także z jakim niepokojem i nadzieją czekałem na tę szczęśliwą godzinę, gdy będę mógł nazwać żoną kobietę, którą tak długo kochałem. A oto ty, bez fortuny, nazwiska, urodzenia czy zasług... to znaczy.bez szczególniejszych zasług...

–No, no, tego nie mów, Lundie. Muirowie pochodzą z zacnej krwi.

–A zatem mając tylko dobrą krew, żeniłeś się cztery razy...

–Mówiłem już, że tylko trzy, Lundie. Nadwątlisz starą przyjaźń, jeśli będziesz mówił, że cztery.

–Niechże ci będzie, ile chcesz, Davy; i tak to więcej, niż ci się należy. Nasze życie potoczyło się różnymi torami, przynajmniej co się tyczy małżeństwa; to musisz przyznać, mój stary przyjacielu.

–A mówiąc między nami, tak szczerze jak wówczas, gdyśmy byli chłopcami, kto wygrał twoim zdaniem?

–Nie mam nic do ukrywania. Moje dni mijały na odkładaniu nadziei, twoje natomiast na...

–Nie na spełnianiu nadziei, daję ci słowo honoru, majorze – przerwał kwatermistrz. – Myślałem, że każdy nowy eksperyment okaże się korzystny, ale widać rozczarowanie jest losem człowieka. Ach, przyznać trzeba, że ten nasz świat jest marnością, a nie masz nic marniejszego nad małżeństwo!

–Mimo to jednak gotów jesteś po raz piąty założyć sobie stryczek na szyję?

–Chciałbym podkreślić, że będzie to dopiero po raz czwarty, majorze! – powiedział stanowczo kwatermistrz, po czym natychmiast twarz jego przybrała wyraz iście chłopięcego zachwytu, i dodał: – Ale ta Mabel Dunham to rara avis! Nasze szkockie dziewczęta są gładkie i miłe, lecz przyznać trzeba, że te z kolonii odznaczają się najświetniejszą urodą.

–Dobrze uczynisz pomnąc na swój stopień i pochodzenie, Davy. Zdaje się, że wszystkie cztery twoje żony...

–Wolałbym, mój drogi Lundie, żebyś był dokładniejszy w swojej arytmetyce. Trzy razy jeden czyni trzy

–A zatem, że wszystkie trzy można by nazwać szlachciankami?

–Nie inaczej. Wszystkie trzy były szlachciankami, jak mówisz, i związki te były dla mnie odpowiednie.

–Czwarta zaś była córką ogrodnika mojego ojca, więc związek ów odpowiedni nie był. Czy przeto nie obawiasz się, że poślubienie córki podoficera służącego w tym samym pułku co ty, będzie miało taki skutek, że obniży twój autorytet?

–To była właśnie moja słabość przez całe życie, majorze, że zawsze żenił się nie zważając na skutki. Każdy człek ma swój natrętny grzeszek i lękam się, że moim jest małżeństwo. A teraz, kiedyśmy już obgadali, żeby tak rzec, zasady związku, chciałbym zapytać, czy byłeś łaskaw pomówić o tym drobiazgu z sierżantem?

–Owszem, Davy, i z przykrością muszę powiedzieć, że nie widzę wielkich nadziei, by ci się udało dopiąć swego.

–Nie uda mi się? Oficerowi, i to kwatermistrzowi na dobitkę, nie uda się z córką sierżanta?

–Otóż to właśnie, Davy.

–A czemuż by nie, Lundie? Może będziesz tak dobry, by mi na to odpowiedzieć?

–Dziewczyna jest zaręczona. Słowo się rzekło, rękę obiecało, mdłość oddało; ach, niech mnie diabli, jeżeli w to wierzę, ale jest zaręczona.

–Cóż, trzeba przyznać, że to przeszkoda, acz niezbyt wielkiej wagi, jeżeli serce pozostało wolne.

–Zupełnie słusznie, a myślę, że w tym wypadku serce jest wolne, bo jak się zdaje, przyszły małżonek jest raczej wybranym ojca niżeli córki.

–A któż to może być, majorze? – zapytał kwatermistrz, który do całej sprawy odniósł się z filozoficznym spokojem, nabytym dzięki długiej praktyce. – Nie przypominam sobie żadnego godnego zalotnika, który 'mógłby mi wejść w paradę.

–Nie, Davy; ty jesteś na pograniczu jedynym godnym zalotnikiem. Szczęśliwym wybranym zaś jest Tropiciel.

–Tropiciel, majorze?

–Ni mniej, ni więcej, Davy. Jest nim Tropiciel, ale może będzie to niejaką ulgą w twojej zazdrości, jeśli się dowiesz, że moim zdaniem raczej ojciec niż córka dąży do tego związku.

–Takem i myślał! – wykrzyknął kwatermistrz nabierając głęboko tchu, jak człowiek, któremu kamień spadł z serca. – Jest całkiem niemożliwe, jak na moją znajomość ludzkiej natury...

–Zwłaszcza kobiecej natury, Dawidzie.

–Dworujesz sobie, Lundie, nie bacząc, kto na tym cierpi. Alem nie myślał, bym mógł się mylić co do skłonności tej młodej niewiasty, które – śmiało mogę to twierdzić – sięgają znacznie wyżej niż pozycja Tropiciela. Co zaś się tyczy jego samego, no, to czas pokaże.

–Ale powiedz mi szczerze, Muir – rzekł Lundie przystając nagle i patrząc tamtemu serio w twarz z komicznym zdumieniem, które obliczu starego wojaka nadało wyraz zabawnej powagi – czy ty naprawdę myślisz, że taka dziewczyna jak córka sierżanta Dunhama może się rzeczywiście zadurzyć w człowieku twoich lat, wyglądu i – jeśli wolno dodać – doświadczeniu?

–A idźże, Lundie! Nie znasz płci pięknej i z tej przyczyny w czterdziestym piątym roku życia jeszcze nie jesteś żonaty! Okropnie długo pozostajesz w kawalerskim stanie, majorze!

–A w jakimże ty jesteś wieku, poruczniku Muir, jeżeli pozwolisz zadać tak delikatne pytanie?

–Czterdzieści siedem lat, temu nie przeczę, Lundie, i jeśli dostanę Mabel, wypadnie, żem miał nową żonę akurat co dwa pięciolecia. Alem nie myślał, że sierżant Duncan jest tak mało wymagający, by mu się przyśniło oddawać tę słodką dziewczynę takiemu Tropicielowi!

–Nie ma w tym żadnych snów, Davy; chłop jest równie poważny jak żołnierz przed chłostą.

–No, no, majorze, starzy z nas przyjaciele i powinniśmy wiedzieć, jak się żartuje i jak przyjmuje żarty poza służbą. Możliwe, że tamten pocziwiec nie zrozumiał moich aluzji, bo inaczej nawet by mu do głowy nie przyszło coś podobnego. Różnica między małżonką oficera a kobietą przewodnika jest równie wielka, jak między starożytnością Szkocji a starożytnością Ameryki. Prócz tego ze starej jestem krwi, Lundie.

–Wierz mi na słowo, Davy, że w tej materii twoja starożytność niewiele ci pomoże, co zaś się tyczy twej krwi, to nie starsza ona od twoich kości. No, chłopie, znasz już odpowiedź sierżanta i widzisz, że mój wpływ, na który tak liczyłeś, nic dla ciebie działać nie może. Wypijmy więc za naszą starą znajomość, a potem dobrze uczynisz, jeśli przypomnisz sobie o oddziale, który wyrusza jutro, i postarasz się jak najszybciej zapomnieć o Mabel Dunham.

–Ach, majorze! Zawsze mi łatwiej było zapomnieć o żonie niż o kochance. Kiedy dwoje ludzi już się pobierze, wszystko jest ustalone prócz śmierci, można powiedzieć, która musi nas w końcu rozłączyć, a mnie się wydaje okropnym brakiem szacunku niepokojenie nieboszczyków. Natomiast gdy idzie o dziewczynę, tyle jest niepokoju, nadziei i szczęścia, że to ożywia umysł!

–Tak właśnie wyobrażam sobie twoją sytuację, Davy, bom nigdy nie myślał, byś oczekiwał więcej szczęścia od którejkolwiek z twoich żon. Ba, słyszałem o ludziach, co byli na tyle głupi, że spodziewali się szczęścia z żoną nawet za grobem. Piję za twoje powodzenie albo za rychłe ochłonięcie po tym ataku, poruczniku, i upominam cię, abyś na przyszłość był ostrożniejszy, bo któryś z owych gwałtownych przypadków może cię o śmierć przyprawić.

–Stokrotne dzięki, drogi majorze; życzę ci jak najrychlejszego zakończenia długich konkurów, o których mi coś niecoś wiadomo. Ach, ten trunek to istna górską rosa, Lundie, a rozgrzewa serce niczym promyk z naszej pięknej Szkocji! Co się tyczy ludzi, o których wspominasz, to musieli mieć tylko po jednej żonie, bo gdzie jest ich kilka, tam postęпки samych kobiet muszą wybić podobne myśli z głowy. Uważam, że na tym świecie rozsądny mąż powinien się kontestować spędzaniem przeznaczonego mu czasu z jedną żoną miast się uganiać za tym, co nieosiągalne. Jestem ci nieskończenie wdzięczny, majorze, za ten i inne dowody przyjaźni, gdybyś jednak mógł do nich dodać jeszcze jeden, uważałbym, że nie zapomniałeś ze szczętem o towarzyszu zabaw dziecięcych.

–No, Davy, jeżeli prośba twoja jest rozsądna i taka, jakiej może zadośćuczynić zwierzchnik, wypowiedz ją, proszę.

–Gdybyś mi mógł wynaleźć na dwa tygodnie jakąś drobną służbę tam, wśród Tysiąca Wysp, myślę, że sprawy ułożyłyby się ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Pamiętaj, Lundie, że ta dziewczyna jest na całym pograniczu jedyną białą kobietą nadającą się do małżeństwa.

–Dla kogoś takiego jak ty zawsze się znajdzie służba na placówce, choćby najmniejszej, ale tym razem zadanie może wykonać sierżant równie dobrze jak generalny kwatermistrz albo i lepiej.

–Nie lepiej wszakże niż oficer pułkowy. Wśród (niższych szarż) pospolicie bywa wiele

marnotrawstwa.

–Zastanowię się nad tym – rzekł śmiejąc się major – i dam ci rano odpowiedź. Jutro będziesz miał wyśmienitą okazję popisać się przed swoją damą; jesteś wytrawnym strzelcem, a można będzie zdobyć nagrody. Zdecyduj się pokazać swą zręczność, a kto wie, co jeszcze stać się może, nim „Chwist” wyruszy w drogę.

–Myślę, że większość młodych popróbuje swej ręki w tych zawodach, majorze.

–To na pewno, a także niektórzy ze starych, jeżeli i ty staniesz. Ażeby ci dodać kontenansu, Davy, sam strzelę ze dwa razy, a wiesz, że mam w tej mierze niejaką reputację.

–Może to rzeczywiście przyniesie dobre wyniki. Serce niewieście, majorze, da się poruszyć wieloma różnymi sposobami, czasem zaś i takim, który może nie odpowiadać regułom filozoficznym. Pewnym kobietom trzeba fatyganta, który by prowadził, można powiedzieć, regularne oblężenie, a kapitulują one tylko wtedy, gdy twierdza dłużej zdzierżyć nie może; inne znów lubią być brane szturmem, a są też i dziewczki, które można pojmać jedynie wciągając je w zasadzkę. Pierwszy sposób jest może najbardziej chwalebny i godny oficera, ale muszę powiedzieć, że ostatni uważam za przyjemniejszy.

–Oto niewątpliwie opinia oparta na doświadczeniu! A cóż powiesz o oddziałach szturmowych?

–To dobre dla młodszych, Lundie – odparł kwatermistrz podnosząc się z miejsca i przymrużając oko, na którą to swobodę często pozwalał sobie wobec dowódcy z racji długiej, poufalej przyjaźni. – Każdy wiek ma swoje prawa, a w czterdziestym siódmym roku życia dobrze jest zaufać trochę mózgowicy. Życzę ci jak najlepszej nocy, majorze, oby cię nie nękała podagra, a sen odświeżył.

–Nawzajem, Muir, i stokrotne dzięki. Pamiętaj o jutrzejszej batalii.

Kwatermistrz wyszedł, Lundie zaś pozostał sam w swojej bibliotece i począł rozważać to, co się wydarzyło. Major Duncan, z dawna już przywykł do sposobu bycia porucznika Muira, toteż jego fantazje nie były dlań tak zaskakujące, jak się zapewne wydały czytelnikowi. Po prawdzie bowiem, choć wszyscy ludzie postępują w myśl jednego powszechnego prawa zwanego naturą, różnorodność ich usposobień, osądów, uczuć i samolubstwa jest nieskończona.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zmusić orła, by wolał żyć w klatce, spętany,

Albo psy pokojowe wypuścić na łowy,

Okuć człeka wolnego przemocą w kajdany,

Lub żartem śmiech wyłudzić z ust płaczącej wdowy

–Próżny trud – i wysiłek zaiste jałowy!

Podobnie też miłości nie przymusisz gwałtem.

Temu służy, kto sercem jej miły i kształtem.

Zwierciadło dla tych, co rządzą

Nieczęsto nadzieje bywają uwieńczone tak pełnym powodzeniem jak następnego rana, gdy piękna pogoda zadośćuczyniła pragnieniom młodych ludzi z garnizonu. W okresie, o którym piszemy, nie odczuwało się zbyt w Oswego letnich upałów, albowiem cień leśny oraz ożywczy powiew od jeziora tak dalece łagodziły słoneczny żar, że noce zawsze były chłodne, a dni rzadko kiedy uciążliwe.

Był wrzesień, miesiąc, w którym silne wiatry, nadlatujące od wybrzeży oceanu, często przedzierają się aż do wielkich jezior, gdzie śródlądowy żeglarz czuje, jak ów ożywczy wpływ, właściwy wichrom morskim, pokrzepia mu ciało, rozwesela umysł i pobudza siłę moralną.

Takiego właśnie dnia garnizon Oswego zebrał się, ażeby być świadkiem tego, co dowódca żartobliwie nazwał „batalią”. Lundie był człowiekiem wykształconym, przynajmniej w materiach wojskowych, i jednym ze źródeł jego szlachetnej dumy było kierowanie lektury oraz myśli swych młodych podkomendnych ku intelektualnym stronom ich zawodu. Jak na człowieka znajdującego się w tym położeniu, biblioteka jego była zarówno dobra, jak obszerna, a książki łatwo dostępne dla wszystkich, co chcieli z nich korzystać. Między innymi zamiłowaniem, jakie w ten sposób przeniknęły do garnizonu, był i ten rodzaj rozrywki, której miano się właśnie oddawać. Pod wpływem kronik rycerskich otoczono ją blaskiem i romantycznością, pozostającą w zgodzie z charakterem i obyczajami żołnierzy, a także z odosobnieniem dzikiego miejsca, w jakim znajdował się garnizon.

Jednakże choć tak ochoczo zabierano się do rozrywki, ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo fortu nie zaniedbali swych obowiązków. Ktoś, kto by stanął na wałach i popatrzył na pustkowie polśniewających wód, które zamykało widok od

strony północnej, a potem na drzemiący, bezkresny las, co wypełniał drugą połowę panoramy, mógłby mniemać, że miejsce to jest przybytkiem spokoju i bezpieczeństwa, ale Duncan of Lundie zbyt dobrze wiedział, że z borów mogą każdej chwili wychynąć wraże hordy, pałające chęcią zniszczenia fortu oraz tego wszystkiego, co w nim się mieściło, i że zdradzieckie jezioro daje łatwy dostęp innym, bardziej cywilizowanym, lecz nie mniej przebiegłym wrogom, Francuzom, którzy mogą tędy przybyć w momencie nieuwagi. Toteż posłano w las patrole pod wodzą starych i czujnych oficerów, którzy mniej się interesowali dzisiejszymi zawodami, a cała kompania pod bronią obsadziła fort, otrzymawszy rozkaz zachowywania takiej czujności, jak gdyby wiadano, że w pobliżu znajdują się przeważające siły nieprzyjaciela. Po przedsięwzięciu tych środków ostrożności, reszta oficerów i żołnierzy mogła spokojnie oddać się porannym zajęciom.

Miejsce wybrane dla zawodów było rodzajem placu znajdującego się nieco na zachód od fortu, tuż przy brzegu jeziora. Oczyszczono je niegdyś z drzew i pniaków, by móc tu urządzać parady, a miało ono tę korzyść, że tyły osłaniało jezioro, jeden zaś z boków – fort. Jakoż żołnierzy ćwiczących tutaj można było zaatakować jedynie z dwóch stron, a ponieważ otwarta przestrzeń, położona dalej w kierunku zachodnim i południowym, była rozległa, napastnik musiałby wyjść z leśnego ukrycia, nimby się podsunął na tyle, by stać się niebezpiecznym.

Jakkolwiek zwykłą bronią regimentu były muszkiety, dnia tego przyniesiono około pięćdziesięciu strzelb. Każdy oficer pośród swych osobistych rzeczy miał strzelbę dla rozrywki; wiele strzelb należało do zwiadowców i zaprzyjaźnionych Indian, których pewna liczba zawsze przebywała w pobliżu fortu, a istniał też publiczny zapas owej broni na użytek ludzi, którzy polowali specjalnie po to, by fort zaopatrzyć w dziczyznę. Wśród tych, co używali strzelb, pięciu czy sześciu miało reputację szczególnie biegłych w posługiwaniu się tą bronią – tak biegłych, że pozyskali sobie sławę na pograniczu – dwakroć więcej zaś takich, co podobno wyrastali znacznie ponad przeciętność, wreszcie wielu innych, których uznano by za wytrawnych strzelców nieledwie w każdej sytuacji z wyjątkiem tej właśnie, w jakiej mieli się obecnie znaleźć.

Dystans wynosił sto jardów, strzelać miano bez podpórki, celem była tarcza z kołami wymalowanymi jak zwykle białą farbą i małym czarnym polem z białym punktem w środku. Pierwsze próby zręczności rozpoczęły się między pośledniejszymi zawodnikami, którzy pragnęli popisać się swoją celnością. Jedynie prości żołnierze brali udział w owej rozgrywce niezbyt interesującej dla widzów, wśród których nie ukazał się jeszcze żaden oficer.

Większość żołnierzy stanowili Szkoci, gdyż regiment uformowano przed niewielu laty w Stirling i okolicach, aczkolwiek – jak to było w wypadku sierżanta Dunhama – po przybyciu do kolonii zaciągnęli się doń liczni Amerykanie. Samo się przez się rozumie, że ludzie miejscowi byli na ogół najprzedniejszymi strzelcami, toteż po

półgodzinnych dorywczych próbach uznano, że ze wszystkich, którzy popisywali się swą zręcznością, najlepsze wyniki osiągnął młodzieniec pochodzenia holenderskiego, urodzony w kolonii Nowy Jork.

Właśnie gdy przeważało to zdanie, na placu ukazał się najstarszy kapitan w otoczeniu większości oficerów i dam z fortu. Za nim postępował orszak złożony z dwudziestu kobiet skromniejszej kondycji, wśród których zauważono zgrabną sylwetkę, bystre, kwitnące i ożywione lico oraz schludny, twarzowy strój Mabel Dunham.

W forcie przebywały zaledwie trzy niewiasty, które oficjalnie uznawano za damy, i wszystkie były żonami oficerów, toteż jak stwierdził kwatermistrz, Mabel była jedną jedyną kandydatką do stanu małżeńskiego.

Pewne przygotowania poczyniono na przyjęcie kobiet, które ulokowano na niskim podniesieniu z desek, wybudowanym tuż przy brzegu jeziora. Obok zawieszono na drążku nagrody. Postarano się też zarezerwować pierwsze miejsce dla trzech dam oraz ich dzieci, Mabel zaś i małżonki podoficerów pułku zajęły dalsze rzędy. Żony i córki szeregowców skupiły się w tyle, przy czym niektóre stały, a inne siedziały, w miarę jak na to pozwalało miejsce. Mabel, która została już przyjęta do grona żon oficerów jako skromna ich towarzyszka, zwracała na siebie uwagę siedzących na przedzie dam, które należycie oceniały jej skromną godność i łagodne, pełne oglądy obejście, aczkolwiek były w pełni świadome całej wagi, jaką ma ranga, zwłaszcza w garnizonie.

Gdy owa najważniejsza część widzów zajęła miejsce, Lundie polecił rozpocząć zawody w sposób określony jego rozkazami. Około dziesięciu najlepszych strzelców z garnizonu zajęło stanowiska i poczęło kolejno dawać ognia. Byli wśród nich bez różnicy rangi zarówno oficerowie, jak żołnierze, nie wykluczono też i osób przypadkowo goszczących w forcie. Jak można się było spodziewać po ludziach, których rozrywki i wyżywienie na równi zależały od biegłości w posługiwaniu się bronią, stwierdzono wkrótce, że wszyscy byli dostatecznie wyćwiczeni, by trafiać w biały punkt pośrodku tarczy. Inni, którzy po nich wystąpili, mieli natomiast mniej pewne oko, a kule ich nie tykając środkowego pola uderzały w rozmaite koła zakreślone wokół niego.

Zgodnie z obowiązującymi tego dnia przepisami, żaden ze strzelców, którzy nie wypełnili warunków pierwszej próby, nie mógł przystąpić do następnej. Adiutant dowódcy, pełniący funkcję mistrza ceremonii, czyli kierownika dzisiejszych zapasów, wywołał po nazwisku zwycięzców, by gotowali się do dalszych prób, i obwieścił, że ci, co nie trafili w czarne pole, zostają wyłączeni z zawodów. Właśnie w tej chwili przy stanowiskach ukazali się: Lundie, kwatermistrz oraz Gaspar Eau-douce, a Tropiciel wszedł niespiesznie na plac bez swojej ukochanej strzelby, co było tak niezwykłe, iż obecni wywnioskowali, że nie zamierza ubiegać się tego dnia o palmę zwycięstwa.

Wszyscy zrobili miejsce dla majora Duncana, który podszedł rażno do stanowiska, stanął w pozycji, zmierzył niedbale ze strzelby i dał ognia. Kula chybiła pole o kilka cali.

–Major Duncan zostaje wykluczony z dalszych zawodów! – obwieścił adiutant głosem tak donośnym i pewnym, że wszyscy starsi oficerowie i sierżanci w lot zrozumieli, iż to niepowodzenie było z góry ukartowane, a młodszy porucznicy i szeregowcy uczuli nową podniecie, widząc, z jak oczywistą bezstronnością stosuje się tu przepisy.

–No, teraz twoja kolej, Eau-douce – powiedział Muir. – Jeżeli nie pobijesz majora, powiem, że lepszą masz rękę do wiosła niżli do strzelby.

Przystojna twarz Gaspara okryła się rumieńcem; stanął na stanowisku, rzucił szybkie spojrzenie na Mabel – której nadobna postać pochylała się skwapliwie do przodu, snadź po to, by lepiej dojrzeć rezultat – opuścił lufę w lewą dłoń na pozór dosyć niedbale, uniósł na moment strzelbę z niezwykłą pewnością i wypalił. Kula przeszła przez sam środek czarnego pola; był to bezwzględnie najlepszy strzał tego rana, inne bowiem zaledwie dotknęły farby.

–Dobra robota, mości Gasparze – powiedział Muir, gdy tylko ogłoszono wynik. – Taki strzał mógłby przynieść zaszczyt człokowi starszemu i o bardziej doświadczonym oku. Myślę jednak, że było w tym trochę młodzieńczego szczęścia, boś nie celował nazbyt starannie. Może i szybkie masz ruchy, Eau-douce, ale nie umiesz posługiwać się bronią naukowo i filozoficznie. A teraz, sierżancie Dunham, będę ci wdzięczny, jeżeli zechcesz poprosić damy, ażeby przyglądały się uważniej niż kiedykolwiek, albowiem zrobię obecnie z broni użytek, który można by nazwać wyrozumowanym. Przyznaję, że Gaspar by zabił, ale jednak w otrzymaniu takiego strzału nie byłoby ani połowy tej satysfakcji, jaką się ma dostając strzał wymierzony naukowo.

Mówiąc to kwatermistrz przez cały czas szykował się do owego naukowego eksperymentu, jednakże zwlekał, dopóki nie zauważył, iż oczy Mabel i jej towarzyszek są nań ciekawie zwrócone. Jako że inni przez uszanowanie dla jego stopnia pozostawili mu wolne miejsce, nikt nie stał obok zawodnika prócz jego dowódcy, do którego ozwał się z kolei swym pufałym tonem:

–Widzisz, Lundie, że można coś zyskać podniecając niewieścią ciekawość. Jest to bowiem nader żywe uczucie, a wykorzystane właściwie, można w końcu doprowadzić do przyjemnych skutków.

–Prawda, Davy, ale każesz nam wszystkim czekać czyniąc swoje przygotowania, a oto zbliża się Tropiciel, aby wyciągnąć dla siebie lekcję z twego większego doświadczenia.

–No, Tropicielu, więc także tu przyszedłeś, ażeby dowiedzieć się czegoś o filozofii strzelania? Nie myślę chować swej wiedzy pod korcem i chętnie ci służę nauką. Może chciałbyś też poprobować?

–A po co, mości kwatermistrzu, po co? Nie chcę tych nagród, co zaś się tyczy zaszczytów, to miałem ich dosyć, jeśli w ogóle może być zaszczytem strzelać lepiej 'od pana. Nie jestem też kobietą, ażeby nosić kapturek.

–To prawda, ale mógłbyś sobie znaleźć jakąś lubą, która by go nosiła, jako że...

–Chodź, Davy – przerwał mu major. – Albo strzelasz, albo się wycofujesz. Adiutant się niecierpliwi.

–Kwatermistrzostwo i adiutantura rzadko zgadzają się z sobą, Lundie, alem już gotów. Odstąp pan trochę na bok, Tropicielu, i odsłoń widok damom.

Porucznik Muir stanął w pozycji z wielce wystudiowaną elegancją, podniósł wolno strzelbę, opuścił ją, podniósł znowu, powtórzył kilkakrotnie ów manewr i strzelił.

–Tarcza chybiona całkowicie! – zawołał żołnierz, którego obowiązkiem było zaznaczać trafienia, a który niezbyt gustował w nudnych wywodach naukowych kwatermistrza. – Tarcza chybiona!

–Nie może to być! – zawołał Muir, zaczerwieniony na równi ze wstydu i z oburzenia. – Nie może to być, adiutancie, bom nigdy w życiu nie popełnił podobnej niezręczności. Odwołuję się do dam o sprawiedliwy sąd.

–Damy poprzymykały oczy, kiedyś pan strzelał – wołali pułkowi żartownisie. – Strwożyły]e pańskie przygotowania.

–Nie uwierzę w takie oczernianie dam ani w podobną ujmę dla mojej biegłości! – dorzucił kwatermistrz w podnieceniu. – To spisek, ukartowany po to, by wyzuć zasłużonego człeka z tego, co mu się słusznie należy!

–Fatalne pudło, Muir – powiedział ze śmiechem Lundie. – Siadaj spokojnie i przeżuwaj swój wstyd.

–Nie, nie, panie majorze – odezwał się wreszcie Tropiciel. – Kwatermistrz dobrze strzela, gdy może to uczynić powoli i dystans ma odmierzony, choć nie zdziałałby nic nadzwyczajnego w prawdziwej potrzebie. Trafił w kulę Gaspara, jak to można stwierdzić, jeżeli ktoś zada sobie trud obejrzenia tarczy.

Szacunek dla wytrawności Tropicielea oraz bystrość jego oka był tak powszechny i głęboki, że gdy myśliwiec złożył to oświadczenie, widzowie poczęli wątpić w swe własne zdanie i z tuzin ludzi poskoczyło do tarczy, by się przekonać, czy miał rację.

Jakoż w istocie stwierdzono, że pocisk kwatermistrza przeszedł przez otwór, który pozostawiła kula Gaspara, i to tak dokładnie, że trzeba było skrupulatnego badania, aby się o tym upewnić. Wprędce jednak rzecz ustalono niezbitcie, gdyż odkryto jedną kulę na drugiej w pniu drzewa, na którym wisiała tarcza.

–Mówiłem wam, moje panie, że będziecie mogły naocznie stwierdzić wpływ nauki na strzelectwo – powiedział kwatermistrz podchodząc do podniesienia, na którym siedziały kobiety. – Major Duncan natrzęsa się z teorii, że matematyka ma coś wspólnego ze strzelaniem do tarczy, ale ja mu powiadam, że filozofia zabarwia, rozszerza, udoskonala, rozwija, tudzież wyjaśnia wszystko, co składa się na życie człowieka, czy będą to zawody strzeleckie czy też kazanie. Jednym słowem, filozofia jest filozofią, a to wystarczy, aby rzec wszystko, czego ów temat wymaga.

–Ufam, że pan wyłączasz miłość z tej listy – zauważyła żona jednego z kapitanów, która знаła dzieje 'mażeńskich związków kwatermistrza i pałała kobiecą złośliwością w stosunku do człowieka, który uważał jej płeć za swoją wyłączną własność. – Wydaje się, że filozofia niewiele ma wspólnego z miłowaniem.

–Nie powiedziałaś tego, parni, gdyby twe serce wystawione było na wiele prób. Jedyne mężczyzna – lub niewiasta – który miał więcej okazji udoskonalać swe afekty, może coś wiedzieć o takich sprawach; a wierz mi, pani, że ze wszystkich odmian miłości – filozoficzna jest najtrwalsza i najrozumniejsza.

–Zalecałbyś pan tedy doświadczenie jako udoskonalenie miłości?

–Bystry umysł pani w lot moją myśl pochwycił. Najszczęśliwymi małżeństwami są te, w których młodość, uroda i zaufanie jednej ze stron znajdują oparcie w wiedzy, umiarkowaniu i ostrożności, jakie drugiej dają lata – średni wiek, oczywiście, albowiem nie zaprzeczam, że istnieje taka rzecz jak za stary mąż. Tu obecna, urocza córka sierżanta Dunhama z pewnością mi przyświadczy, a opinia o jej roztropności jest już ugruntowana w garnizonie, choć parana przebywa pośród nas od tak niedawna.

–Córka sierżanta Dunhama niezbyt jest odpowiednią osobą, ażeby brać udział w konwersacji toczącej się między panem a mną, poruczniku – odparła kapitanowa, wiedzona skrupulatnym poszanowaniem swojej godności. – Żeby zaś zmienić temat rozmowy, powiem, że oto staje do próby Tropiciel.

–Protestuję, panie majorze, protestuję! – wykrzyknął Muir, który pośpieszył ku stanowisku wznosząc obie ręce, ażeby tym mocniej podkreślić swoje słowa. – Protestuję jak najusilniej, panowie, przeciwko dopuszczeniu do tych zawodów Tropiciele z Postrachem Zwierząt, która to strzelba, nie mówiąc już o długim przyzwyczajeniu, jest zgoła nieodpowiednia do próby zręczności, w której inni posługują się bronią rządową.

–Postrach Zwierząt drzemie, panie kwatermistrzu! – ozwał się Tropiciel – i nikt tu nie myśli zakłócać mu spoczynku. Nie miałem zamiaru dzisiaj pociągać za cyngiel, ale sierżant Dunham wyperswadował mi, że nie okażę należnej czci jego nadobnej córce, która przybyła tu pod moją opieką, jeżeli będę się wzdragał wystąpić przy takiej okazji. Mam strzelać z broni Gaspara, co pan sam możesz stwierdzić, a nie jest ona lepsza od twojej.

Wobec tego porucznik Muir zmuszony był wyrazić zgodę, a wówczas wszystkie oczy zwróciły się na Tropicieła, kiedy ów stawał w pozycji.

Oblicze oraz postać słynnego przewodnika i myśliwca przedstawiały wspaniały widok, kiedy wyprostował się na całą wysokość i zmierzył ze strzelby, wykazując doskonale opanowanie, jak również całkowitą znajomość ciała ludzkiego i broni. Tropiciel nie był mężczyzną, którego zazwyczaj mieni się przystojnym, aczkolwiek jego wygląd wzbudzał tyle ufności i nakazywał szacunek. Był rosły, a nawet muskularny, jego budowę zaś można by niemal uznać za doskonałą, gdyby nie całkowity brak miękkości kształtów. Ręce i nogi miał twarde jak rzemień, a w razie potrzeby nie mniej giętkie, atoli kształty jego postaci były nazbyt kanciaste, ażeby sprawiać najprzyjemniejsze dla oka wrażenie. Natomiast ruchy miał naturalne, a przez to pełne wdzięku, że zaś były spokojne i odmierzone, nadawały mu godność odpowiadającą powszechnej opinii o jego męstwie i szczególnych zasługach. Uczciwa, otwarta twarz, ogorzała na kolor ceglasty, nasuwała na myśl ciężkie znoje i długie przebywanie na słońcu i wietrze, a muskularne ręce znamionowały siłę oraz ten rodzaj trudu, który nie wywołuje sztywności i zniekształceń. Chociaż nikt nie mógł się w nim dopatrzeć owych ujmujących łagodnych cech, jakie mogą zjednać uczucie kobiety, przecież gdy podniósł strzelbę, nie było niewieściego oka, które nie przywarłoby do myśliwca z milczącym uznaniem dla swobody jego ruchów i męskości postawy.

Złożył się szybko jak myśl, a kiedy dym po strzale uniósł mu się nad głową, zauważono, że kolba broni Tropicieła oparta już jest na ziemi, jego ręka spoczywa na lufie, a uczciwą twarz rozjaśnia zwykły serdeczny uśmiech.

–Gdyby można ośmielić się na coś podobnego – zawołał major Duncan – powiedziałbym, że Tropiciel także chybił!

–Nie, nie, majorze – rzekł e przekonaniem przewodnik. – To zaiste byłoby ryzykowne oświadczenie. Nie jam ładował broń i przeto nie umiem powiedzieć, co w niej było; jeżeli jednak ołów, to stwierdzisz pan, że pocisk wtłoczył kulę kwatermistrza i Gaspara – albo nie nazywam się Tropiciel.

Okrzyk, jaki doleciał od tarczy, potwierdził prawdziwość tych słów.

–To jeszcze nie wszystko, chłopcy, to jeszcze nie wszystko? – zawołał przewodnik

pochodząc z wolna do miejsca, gdzie siedziały kobiety. – Jeżeli stwierdzicie, że tarcza jest tknięta, przyznam się do chybienia. Kwatermistrz naruszył deskę, ale po tej ostatniej kuli nie znajdziecie na niej śladów.

–Prawda to, prawda, Tropicielu – odrzekł Muir, który kręcił się koło Mabel, nie śmiąc jednakże zwrócić się do niej, zwłaszcza w obecności żon oficerów. – Istotnie przebiłem deskę i tym sposobem otworzyłem przejście dla twojej kuli, która przemknęła przez ów otwór.

–No, panie kwatermistrzu, teraz będziemy strzelać do gwoźdźca i zobaczymy, kto go lepiej wbije – pan czy ja. Bo chociaż nie miałem dziś zamiaru pokazać, czego może dokonać strzelba, przecie skoro już wziąłem się do rzeczy, nie ustąpię żadnemu oficerowi króla Jerzego. Gdyby Chingachgook nie wyruszył z fortu, pewnie zmusiłby mnie do pokazania niektórych wymyślności owej sztuki, lecz co się tyczy pana, to jeśli gwóźdź cię nie powstrzyma, uczyni to próba kartofla.

–Nadto dziś jesteś chełpliwy, Tropicielu, ale zobaczysz, że nie będziesz miał do czynienia z żadnym żółtodziobem, świeżo przybyłym z miasta, o tym cię upewniam!

–Wiem to dobrze, panie kwatermistrzu, wiem dobrze i nie myślę odmawiać ci doświadczenia. Wiele lat przeżyłeś pan na pograniczu i słyszałem o tobie w koloniach i pośród Indian już cały wiek męski temu.

–No, no – przerwał mu Muir. – To niesprawiedliwe, człowieku. Nie urodziłem się znowu tak dawno.

–Oddam panu sprawiedliwość, choćbyś miał nawet zwyciężyć w próbie kartofla. Mówię, że jako żołnierz, spędziłeś wiek męski tam, gdzie broń co dzień jest w użyciu, i wiem, żeś dzielny i zmyślny strzelcem, a jednak strzelba nie jest twoim prawdziwym rzemiosłem. Co zaś się tyczy chełpliwości, to ufam, że nie gadam po próżnicy o swoich czynach, bo ludzkie przymioty są przymiotami i byłoby zuchwalstwem wobec Opatrzności wypierać się ich. Tu obecna córka sierżanta rozsądzi między nami, jeżeli będziesz miał odwagę stanąć przed tak nadobnym sędzią.

Tropiciel wymienił Mabel jako arbitra, ponieważ był nią zachwycony, a w jego oczach ranga niewielką miała wagę; natomiast porucznik Muir stropił się na te słowa, wypowiedziane w obecności żon oficerów. Chętnie by narzucił się ustawicznie spojrzeniom i wyobraźni przedmiotu swoich pragnień, ale znajdował się jeszcze pod zbyt wielkim wpływem dawnych przesądów, a może też był nadto ostrożny, by występować otwarcie jako kandydat do ręki dziewczyny, póki nie miał pewności sukcesu. Polegał w pełni na dyskrekcji majora Duncana i nie obawiał się ujawnienia z tej strony, świadom był jednak, że gdyby rozeszła się wieść, iż odpaliła go córka podoficera, mógłby natrafić na znaczne trudności przy zabieganiu o łaski każdej z

dam wyższego stanu, do którego mógł słusznie aspirować. Na przekór tym wątpliwościom i skrupułom dziewczyna wyglądała tak ślicznie, rumieniła się tak uroczo, uśmiechała tak słodko, i w ogóle przedstawiała tak urzekający obraz młodości, ożywienia, skromności i urody, że kwatermistrz uczuł niezmierną pokusę, by wydać się jak najlepiej w jej oczach i móc z nią swobodnie rozmawiać.

–Niechże tak będzie, Tropicielu – odparł, gdy tylko jego wątpliwości zamieniły się w decyzję. – Niech córka sierżanta – powiedziałbym: czarująca córka sierżanta, będzie arbitrem; jej każdy z nas ofiaruje nagrodę, którą jeden czy drugi z pewnością zdobędzie. Jak widać, Tropicielowi trzeba ustąpić, moje urocze panie; gdyby nie to, mielibyśmy niewątpliwie zaszczyt poddać się osądowi jednej z was.

Wezwanie zawodników na stanowiska zaprzątnęło teraz kwatermistrza oraz jego przeciwnika i w kilka minut później rozpoczęła się druga próba. Zwykły, kuty gwóźdź wbito leciutko w tarczę, a jego główkę uprzednio dotknięto farbą; strzelec powinien weń być trafić, inaczej bowiem tracił prawo stawania do następnych prób. Żaden z tych, którym nie powiodło się umieścić kuli w czarnym polu tarczy, nie był tym razem dopuszczony. Zebrałoby się może z pół tuzina kandydatów do zwycięstwa w tym zawodzie, ale dwaj, którym poprzednio udało się musnąć czarne pole, woleli poprzestać na zdobytej w ten sposób sławie, mając pewność, że nie powiedzie im się w owej trudniejszej próbie. Pierwsi trzej zawodnicy chybili; trafili wprawdzie bardzo blisko gwoździa, ale go nie dotknęli. Czwarty stanął kwatermistrz, który odprawivszy swe zwykłe ceremonie, zdołał odstrzelić kawałek główki gwoździa, lokując kulę tuż obok niego. Nie uznano tego za nadzwyczajny strzał, aczkolwiek zawodnik spełnił w ten sposób wymagane warunki.

–Uratowałeś swoje sadelko, mości kwatermistrzu, jak mówią w osiedlach ludzie do domowych stworzeń – zawołał ze śmiechem Tropiciel – ale trzeba by długiego czasu, ażeby wybudować dom mając młotek nie lepszy od twego. Gaspar pokaże panu, jak wbijać gwóźdź, chyba że chłopak utracił pewność ręki i bystrość oka. Lepiej byś pan uczynił nie próbując tak usilnie nadać wojackiego wyglądu swojej postaci. Strzelanie to naturalny dar i trzeba się do niego brać w naturalny sposób.

–Zobaczymy, Tropicielu; uważam, że to wcale ładne uderzenie w gwóźdź i wątpię, czy w pięćdziesiątym piątym pułku znajduje się inny młotek, jak to nazywasz, który potrafi tyleż dokazać.

–Gaspar nie jest w pięćdziesiątym piątym, ale zaraz przybije.

Kiedy Tropiciel wymawiał owe słowa, kula Gaspara trafiła prosto w gwóźdź i wbiła go w tarczę tak, że główka wystawała tylko o cal.

–Szykujcie się do zaklepania gwoździa, chłopcy! – wykrzyknął Tropiciel wstępując na miejsce swego przyjaciela, gdy tylko ten je zwolnił. – Nie potrzeba nowego; widzę

go dobrze, acz farbę starło, a co widzę, to mogę i trafić na sto jardów, choćby to było oko komara! Szykujcie się do zaklepania!

Strzał huknął, kula pomknęła, a główka gwoźdźcia wbita została w deskę, przykryta rozplaszczonym kawałkiem ołowiu.

–No, Gasparze, mój chłopcze – ciągnął Tropicieł opuszczając kolbę na ziemię i podejmując rozmowę jak gdyby nigdy nic. – Co dzień się poprawiasz. Jeszcze kilka wędrówek w moim towarzystwie, a najlepszy strzelec na pograniczu dobrze się zastanowi, zanim- ci stanie na mecie. Kwatermistrz jest nie najgorszy, ale już nigdy dalej nie zajdzie, natomiast ty masz dar i pewnego dnia będziesz mógł wyzwąć każdego, kto pociąga za cyngiel.

–Hola, hola! – zawołał Muir. – Nazywasz pan za ledwie nie najgorszym trafienie główki gwoźdźcia, lubo to jest sama doskonałość w tej sztuce? Każdy, nawet najmniej ogładzony i rozgarnięty wie, że delikatność dotknięcia znamionuje mistrza, podczas gdy grzmocenie obuchem to cecha prostaków i ludzi nieukształconych. Skoro się mówi, że „wszystko jedno, czyś chybił o włos, czy o milę”, tedy trafienie powinno być uznane za dobre, Tropiciele, czy rani, czy też zabija.

–Najpewniejszy sposób rozstrzygnięcia tego współzawodnictwa to dokonanie jeszcze jednej próby – zauważył Lundie – a będzie nią próba kartofla. Jesteś Szkotem, Muir, i wolałbyś zapewne placek owsiany lub oset, ale pograniczne prawo wypowiedziało się na rzecz amerykańskiego owocu, będzie to więc kartofel.

Ponieważ major Duncan objawiał niejaki zniecierpliwienie, Muir miał zbyt wiele taktu, by dłużej odwlekać zawody przez swoją gadatliwość, toteż jął się starannie gotować do następnej próby. Prawdę mówiąc, kwatermistrz niezbyt wierzył, by mu się w niej powiodło, i w ogóle nie zgłosiłby swego udziału, gdyby się spodziewał, że doprawdy zostanie podjęta. Jednakże major Duncan, który poniekąd był żartowniszem na swój spokojny, szkocki sposób, potajemnie nakazał urządzić ją umyślnie w tym celu, ażeby upokorzyć Muira, sam bowiem będąc lairdem, z niechęcią myślał o tym, że człowiek, który może sobie rościć prawo do szlachectwa, chce przynieść ujmę swej kaście wstępując w nierówny związek.

Gdy tylko wszystko przygotowano, Muir wezwany został na metę, a żołnierz trzymający kartofel naszykował się do wyrzucenia go w górę. Ponieważ jednak ten rodzaj zawodów, o którym mamy opowiedzieć czytelnikowi, może mu być nie znany, słówko wyjaśnienia uczyni rzecz przejrzystsza. Otóż wybiera się duży kartofel i daje się go człowiekowi, który staje w odległości dwudziestu jardów od stanowiska. Na okrzyk strzelca: „Rzuć!” wyrzuca się lekko kartofel w powietrze, a zadaniem zawodnika jest przeszyć go kulą, nim spadnie na ziemię.

Kwatermistrz sto razy próbując, raz tylko zdołał dokonać owego trudnego czynu;

teraz jednakże stanął znowu do próby, wiedziony jakąś ślepą nadzieją, z góry skazaną na niepowodzenie. Kartofel został ciśnięty w górę, strzał padł, atoli lecący cel pozostał nienaruszony.

–W prawo zwrot, odmaszerować, kwatermistrzu! – powiedział Lundie uśmiechając się z udanego fortelu. – O zaszczyt zdobycia jedwabnego.kaptura ubiegać się będą Gaspar Eau-douce i Tropiciel.

–A jakże ma się skończyć, próba, panie majorze? – zapytał ten ostatni. – Czy będziemy rzucali dwa kartofle, czy też rozstrzygniemy „środkiem albo łupiną”?

–„Środkiem albo łupiną”, jeżeli będzie jakaś widoma różnica; w przeciwnym razie musi się zrobić próbę dwóch kartofli.

–To straszna chwila dla mnie, Tropicielu – powiedział podchodząc do stanowiska Gaspar, którego twarz pod wpływem wzburzenia mocno przybladła.

Tropiciel popatrzał z powagą na młodzieńca, a potem poprosiwszy majora Duncana o chwilę cierpliwości, odprowadził swego przyjaciela na stronę, gdzie nikt ich nie mógł słyszeć.

–Zdaje się, że bierzesz sobie tę sprawę bardzo do serca, Gasparze? – powiedział myśliwiec, utkwivszy wzrok w oczach młodzieńca.

–Muszę się przyznać, że nigdy jeszcze nie zależało mi tak bardzo na wygranej.

–Więc tak usilnie pragniesz pokonać mnie, twego starego wypróbowanego przyjaciela, i to jeszcze w mojej własnej dziedzinie? Strzelectwo to mój dar, chłopcze, i żadna zwykła ręka nie może dorównać mojej.

–Wiem o tym... wiem, Tropicielu, a jednak...

–A jednak, co, chłopcze? Mów szczerze; rozmawiasz z przyjacielem.

Młody człowiek zacisnął wargi, przesunął dłonią po oczach, zarumienił się i pobladł znowu, niczym dziewczyna, która wyznaje miłość. Potem, ściskając myśliwego za rękę, powiedział spokojnie, jak człowiek, w którym decyzja wzięła górę nad wszelkimi innymi uczuciami:

–Dałbym sobie odrąbać rękę, Tropicielu, żeby móc ofiarować Mabel Dunham ten kaptur.

Myśliwiec spuścił wzrok i wracając z wolna ku stanowisku zdawał się medytować głęboko nad tym, co właśnie usłyszał.

–Nie może ci się udać w podwójnej próbie, Gasparze! – powiedział nagle.

–Tegom pewny i to mnie właśnie trapi.

–Jakimże dziwnym stworzeniem jest człowiek śmiertelny! Pożąda tego, co nie jest mu dane, a lekce sobie waży dobrodziejstwa Opatrzności. No, mniejsza z tym. Stawaj, Gasparze, bo major czeka, i słuchaj mnie, chłopcze: muszę dotknąć łupiny, bo gdybym i tego nie zrobił, nie mógłbym pokazać się w garnizonie.

–Widać trzeba poddać się losowi – odparł Gaspar czerwieniąc się i blednąc jak przedtem. – Ale choćbym miał skonać, uczynię ten wysiłek!

–Jakiż dziwny jest człowiek! – powtórzył Tropiciel robiąc miejsce przyjacielowi, ażeby ten mógł wymierzyć ze strzelby. – Nie dba o własne przymioty, a pożąda cudzych!

Rzucono kartofel, Gaspar strzelił, rozległ się okrzyk i zaraz potem oznajmiono, że kula przeszła przez środek albo tak blisko, że można było uznać, iż strzelec spełnił warunek.

–Otóż i godny ciebie zawodnik, Tropicielu! – zawołał z zachwytem major Duncan, kiedy myśliwy stawał na stanowisku. – Możemy się spodziewać pięknych strzałów w podwójnej próbie.

–Jakiż dziwny jest człowiek! – powtórzył raz jeszcze Tropiciel tak zatopiony w myślach, że ledwo uświadamiał sobie, co się dokoła dzieje. – Rzuć.

Kartofel wyleciał w powietrze, strzelba huknęła – jak zauważono, w chwili gdy mała czarna kulka, rzekłbyś, zatrzymała się na moment w powietrzu, gdyż strzelec najwyraźniej mierzył z niezwykłą uwagą – a potem na twarzach tych, co podjęli spadający cel, odmalowało się zdumienie i rozczarowanie.

–Dwie dziury w jednym? – zawołał major.

–Łupina! Łupina! – brzmiała odpowiedź. – Tylko łupina.

–Jakże to, Tropicielu? Alboż Gaspar Eau-douce ma dzisiaj odnieść zwycięstwo?

–Kaptur należy do niego! – odparł Tropiciel kiwając głową i schodząc spokojnie ze stanowiska. – Jakaż istotą jest człowiek! Nigdy niekontent z własnych uzdolnień, wciąż pożąda tych, których Opatrzność mu odmawia.

Ponieważ Tropiciel nie przestrzelił kartofla, a tylko zdarł zeń łupinę, nagrodę przyznano natychmiast Gasparowi. Młodzieniec trzymał już w ręku kaptur, gdy podszedł kwatermistrz i z uprzejmą serdecznością powinszował rywalowi

zwycięstwa.

–Masz wprawdzie kaptur, młody człowieku, ale na nic ci się on nie przyda – dorzucił. – Nie zrobisz zeń żagla ani nawet bandery. Zastanawiam się, czy nie zechciałbyś odstąpić go w zamian za równowartość w dobrym królewskim srebrze?

–Pieniądze go nie oplacą, panie poruczniku – odrzekł Gaspar, którego oczy zapłonęły ogniem radości z odniesionego sukcesu. – Wolałbym zdobyć ten kaptur, niż dostać pięćdziesiąt nowych kompletów żagli dla „Chwistu”!

–Powoli, powoli, młodzieńcze! Oszalałeś chyba do reszty! Zaryzykowałbym nawet pół gwinei za ten drobiazg, bo wolę to, niż żeby się walał w kabinie twego kutra, a w końcu został ozdobą głowy jakiejś indiańskiej squaw.

Jakkolwiek Gaspar nie wiedział, że to, co roztropny kwatermistrz zaofiarował, nie było nawet połową właściwej wartości nagrody, wysłuchał obojętnie tej propozycji. Potrząsnął odmownie głową i podszedł do podium, co wywołało niejaki poruszenie wśród dam, które były co do jednej zdecydowane przyjąć podarek, gdyby dworność młodego marynarza nakazała mu ofiarować go którejś z nich. Atoli zarówno nieufność Gaspara, jak uwielbienie dla zgoła innej kobiety, nie pozwalały mu ubiegać się o honor obdarowania którejkolwiek z osób, które uważał za stojące o tyle wyżej od niego.

–Panno Mabel – powiedział. – Nagroda należy się pani, chyba że...

–Chyba że co, panie Gasparze! – odrzekła dziewczyna zapominając o własnej wstydlivosti pod wpływem naturalnego a szlachetnego odruchu, który jej nakazywał ulżyć konfuzji młodzieńca, aczkolwiek oboje pokraśnili w sposób zdradzający silne wzruszenie.

–Chyba że jej nie zechcesz, bo ofiarowana ci jest przez kogoś, kto może nie mieć prawa przypuszczać, że jego podarunek będzie przyjęty.

–Przyjmuję go, panie Gasparze; będzie mi pamiątką niebezpieczeństw, przez jakie razem przeszliśmy, oraz wdzięczności za twą opiekę – twoją i Tropicielea.

–Mniejsza o mnie! – wykrzyknął ten ostatni. – To jest szczęście Gaspara i jego podarunek; należy mu się uznanie za jedno i drugie. Moja kolej może jeszcze nadejdzie, moja i kwatermistrza, który najwyraźniej zazdrości chłopakowi kaptura, choć nie pojmuje, co sam by mógł z nim uczynić, zważywszy, że nie ma żony.

–A czy Gaspar Eau-douce ma żonę? A czy pan sam masz żonę, Tropicielu? Może chciałbym mieć ten kaptur, ażeby mi pomógł zdobyć sobie żonę, albo też na pamiątkę, że niegdyś żonę miałem, może na dowód, jak bardzo podziwiam płęć piękną, może dlatego, że jest to strój niewieści, a może dla jakiejś innej, równie

szacownej przyczyny? Osoby myślące nie najwyższą ceną ludzi pozbawionych zastanowienia, a pozwól też sobie oświadczyć, iż nie ma pewniejszej oznaki, że mężczyzna był dobrym mężem dla swojej pierwszej połowicy, niż fakt, że spieszenie rozgląda się za godną jej następczynią. Uczucie jest dobrym darem Opatrzności i ci, którzy już raz wiernie miłowali, składają dowód, że szczerze zostali obdarowani, skoro chcą jak najrychlej pokochać kogoś innego.

–Może to być, może to być. Nie jestem praktykiem w takich rzeczach i nie mogę zaprzeczyć. Ale panna Mabel zapewne okaże pełne uznanie dla pańskich słów. Pójdź, Gasparze, chociaż już zrobiliśmy swoje, przyjrzyjmy się, czego inni potrafią dokazać strzelbą.

Tropiciel odszedł ze swym towarzyszem, ponieważ miał nastąpić ciąg dalszy zawodów. Damy natomiast nie były na tyle pochłonięte strzelaniem, aby zaniedbać kapturę. Przechodził on z ręki do ręki; dotykano jedwabiu, krytykowano fason, badano robotę, a po cichu dawano wyraz najprzeróżniejszym opiniom na temat faktu, że tak śliczna rzecz dostaje się w ręce córki podoficera.

–Może zechcesz sprzedać ten kaptur, gdy już się nim nacieszysz? – spytała żona kapitana. – Myślę, że chyba nigdy nie będziesz mogła go nosić.

–Może nie będę go nosiła, pani – odparła skromnie nasza bohaterka – ale nie chciałabym też rozstać się z nim.

–Zapewne sierżant Dunham dba o to, byś nie musiała sprzedawać swoich rzeczy, moje dziecko, ale jednak zatrzymywanie części stroju, których nie można nosić, jest marnotrawieniem- pieniędzy.

–Nie chciałabym się pozbyć podarku od przyjaciela.

–Przecież sam ów młody człowiek tym lepszą będzie miał o tobie opinię za twój rozsądek, kiedy dzisiejszy tryumf zostanie już zapomniany. Bardzo to ładny i twarzowy kaptur, nie należy go więc marnować.

–Nie mam zamiaru marnować go, pani, i jeśli można, wolałabym go zatrzymać.

–Jak chcesz, moje dziecię; dziewczęta w tym wieku często nie widzą prawdziwych dla siebie korzyści. Pamiętaj jednak, że zamawiam ten kaptur, jeśli zdecydujesz się go pozbyć, ale nie wezmę go, jeżeli choć raz włożysz tę rzecz na głowę.

–Dobrze, pani – powiedziała Mabel najpotulniejszym w świecie głosem, chociaż jej oczy przypominały dwa diamenty, a policzki pokraśniały niczym róże, gdy nakładała ów zakazany strój na swoje zgrabne ramiona. Pottrzymała go tak chwilę, jak gdyby chcąc przymierzyć, po czym spokojnie zdjęła znowu.

Pozostałe zawody nie przyniosły nic ciekawego. Strzelano dosyć dobrze, ale wszystkie próby były na niższym poziomie niż te, o których opowiedzieliśmy, toteż współzawodnicy rychło pozostali sami na placu. Damy odeszły wraz z większością oficerów; wkrótce podążyły za ich przykładem pozostałe kobiety.

Mabel, bawiąc się swoim ślicznym kapturkiem zawieszonym na jeszcze ładniejszym paluszku, wracała wzdłuż niskich, płaskich skał obrzeżających jezioro, gdy podszedł do niej Tropiciel. Niósł broń, z której strzelał tego dnia, ale w jego zachowaniu było mniej niż zazwyczaj niewymuszonej swobody myśliwego, a rozbiegane oko zdradzało niepokój. Rzucił kilka błahych słów na temat wspaniałej połaci wód, która rozciągała się przed nimi, po czym z wyrazem napiętego skupienia zwrócił się do swej towarzyszki i powiedział:

–Gaspar zdobył dla ciebie ten kaptur kosztem niezbyt wielkiego trudu, Mabel.

–Pięknie to zrobił, Tropicielu.

–Niewątpliwie, niewątpliwie. Kula przeszła przez środek kartofla i nikt nie uczyniłby więcej, choć inni potrafiliby zdziałać tyleż samo.

–A jednak nikt tego nie zdziałał! – wykrzyknęła Mabel z ożywieniem, którego natychmiast pożałowała, widząc bowiem smutny wyraz twarzy Tropicieła, zrozumiała, że dotknęły go zarówno te słowa, jak i uczucie, z jakim zostały wypowiedziane.

–Prawda to, prawda, Mabel; nikt tego nie zdziałał, ale... nie, nie ma powodu, bym się zapierał własnych talentów, które są darem Opatrzności. Tak: tam nikt tego nie zdziałał, lecz dowiesz się, co można zdziałać tutaj. Czy widzisz te rybitwy, co krążą nad nami?

–Oczywiście, Tropicielu; jest ich za wiele, by mogły ująć uwadze.

–O, tam, gdzie mają się minąć w locie! – dorzucił odwodząc kurek i podnosząc strzelbę do oka. – Te dwie, o, te dwie... Patrz teraz!

Złożył się szybko jak myśl, właśnie w chwili gdy oba ptaki znalazły się na jednej linii, chociaż odległe od siebie o wiele jardów; huknął strzał, a kula przeszła ciała obydwu ofiar. Gdy ptaki spadły do jeziora, Tropiciel opuścił kolbę i zaśmiał się w swój osobliwy sposób, a wszelki cień niezadowolenia i urażonej dumy zniknął z jego uczciwej twarzy.

–To jest coś, Mabel, to jest coś, choć nie mam kaptura, który mógłbym ci ofiarować! Ale zapytaj samego Gaspara; zostawiam to jemu, bo uczciwszego serca i języka nie znaleźć w całej Ameryce.

–Więc nie było zasługą Gaspara, że zdobył nagrodę?

–Nie o to idzie. Zrobił co mógł, i zrobił dobrze. Jak na człowieka, który ma talenty raczej wodne niżli lądowe, Gaspar jest nadzwyczajnie zręczny i nie można sobie życzyć lepszego towarzysza na łądzie czy wodzie. Ale to moja wina, Mabel, że zdobył ten kaptur, chociaż właściwie to wszystko jedno, tak, wszystko jedno, skoro rzecz dostała się właściwej osobie.

–Zdaje mi się, że cię rozumiem, Tropicielu – rzekła Mabel rumieniąc się mimo woli – i będę uważała kaptur za wspólny dar twój i Gaspara.

–To także nie byłoby sprawiedliwe wobec chłopca. Zdobył go i miał prawo darować. Możesz mi co najwyżej wierzyć, że gdybym ja go zdobył, przypadłby tejże samej osobie.

–Będę o tym pamiętała, Tropicielu, i postaram się, aby inni poznali twoją zręczność, tak jak ją przy mnie udowodniłeś na tych dwóch biednych rybitwach.

–Boże drogi! Na tym pograniczu nie bardziej trzeba wychwalać moje strzelanie, niż mówić, że w jeziorze jest woda, na niebie zaś słońce. Każdy wie, co potrafię, i słowa twoje byłyby wypowiedziane na próżno, tak samo jak próżno byłoby gadać po francusku do amerykańskiego niedźwiedzia.

–A zatem myślisz, że Gaspar wiedział, iż dajesz mu tę przewagę, z której tak nieładnie skorzystał? – spytała Mabel, a ożywienie, przydające tyle blasku jej oczom, poczęło stopniowo znikać z twarzy, która stała się poważna i zamyślona.

–Tegom nie powiedział, bynajmniej! Żarliwie czegoś pragnąc zapominamy o tym, co wiemy. Gaspar jest świadom, że umiem jedną kulą przestrzelić dwa kartofle, tak jak to zrobiłem z rybitwami, i wie, że żaden inny człowiek na pograniczu tego nie potrafi. Ale mając przed oczyma kaptur oraz nadzieję, że ci go ofiaruje, skłonny był właśnie wtedy mieć o sobie lepsze mniemanie, niż powinien. Nie, nie ma nic marnego czy niegodnego ufności w Gasparze Eau-douce, chociaż u młodych ludzi jest rzeczą naturalną, że pragną się jak najlepiej wydać w oczach nadobnych panien.

–Spróbuję zapomnieć o wszystkim z wyjątkiem dobroci, jaką obaj okazaliście biednej sierocie – rzekła Mabel usiłując stłumić wzruszenie, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. – Wierzaj, Tropicielu, że nigdy nie zatrze mi się w pamięci to wszystko, coś już dla mnie uczynił – ty i Gaspar – a ten nowy dowód twej życzliwości nie poszedł na marne. Oto jest srebrna broszka, którą ci ofiaruję na znak, że winna ci życie albo wolność.

–Cóż ja z tym pocznę, Mabel? – zapytał zdumiony myśliwiec trzymając w dłoni tę skromną błyskotkę. – Nie noszę ni klamer, ni guzów, bo używam tylko skórzanych rzemyków, i to z dobrej jeleniej skóry. Ładne to dla oka, ale o wiele ładniejsze na swoim dawnym miejscu niż na mnie.

–Nie, wepnij ją w swoją myśliwską koszulę, będzie do niej dobrze pasowała. Pamiętaj, Tropicielu, że jest to rękojmia przyjaźni między nami i znak, że nigdy nie zapomnę o tobie ani o tym, co dla mnie uczyniłeś.

Mabel uśmiechnęła się na pożegnanie i wskoczywszy na wał nadbrzeżny, wkrótce zniknęła za nasypem fortu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Patrz – tam, na brzegu, czarniawym konturem

Jakaś się masa posuwa pod murem

Tuż obok tamy – a zza chmur opończy

Przez mgłę gwiazd światło bladawe się sący.

BYRON

W kilka godzin później Mabel Dunham stała głęboko zamyślona na bastionie wychodzącym na rzekę i jezioro. Wieczór był spokojny i cichy, toteż powstało pytanie, czy z uwagi na całkowity brak wiatru oddział, mający odpłynąć na Tysiąc Wysp, zdoła wyruszyć tegoż dnia. Zapasy, broń i amunicja, a nawet rzeczy Mabel, znajdowały się już na pokładzie, natomiast niewielki oddziałek żołnierzy pozostawał jeszcze na brzegu, nie było bowiem wyraźnych widoków, by kuter mógł podnieść kotwicę. Gaspar wyholował „Chwist” z zatoki tak daleko w górę rzeki, by każdej chwili móc wypłynąć z jej ujściem, lecz nadal stał tam na pojedynczej kotwicy. Ludzie wyznaczeni na wyprawę wałęsali się po brzegu, nie wiedząc, czy wsiadać do łodzi.

Poranne zawody pozostawiły po sobie spokój harmonizujący z całością pięknego widoku i Mabel odczuwała wpływ owej ciszy, jakkolwiek zapewne nie dość była przyzwyczajona zastanawiać się nad podobnymi wrażeniami, by sobie uświadomić ich przyczynę. Wszystko dokoła wydawało się piękne i kojące, a uroczyste dostojęństwo milczącego lasu i spokojny przestwór jeziora nadawały widokowi wzniosłość nieczęsto spotykaną.

Mabel uczyła po raz pierwszy, że wpływ, jaki na nią wywarły miasta oraz cywilizacja, słabnie wyraźnie; wrażliwe dziewczę poczęło myśleć, że życie spędzone w takim otoczeniu może dać szczęście. W tym wczesnym stadium naszej opowieści możemy raczej przypuszczać niż twierdzić z pewnością, jak dalece przeżycia ostatnich dziesięciu dni przysły tu w sukurs owemu cichemu, błogiemu przedwiecznerzu, przyczyniając się do wzbudzenia podobnych myśli.

–Piękny zachód, Mabel! – ozwał się ciepły głos wuja, tak blisko ucha naszej bohaterki, że aż drgnęła. – Piękny zachód jak na słodką wodę, bo na morzu nie byłoby to nic nadzwyczajnego.

–Alboż natura nie jest taka sama na lądzie czy na morzu, na takim jeziorze czy też na oceanie? Czyż słońce nie świeci wszędzie jednako, drogi wuju, i czy nie możemy odczuwać wdzięczności za dobrodziejstwa losu równie mocno tu, na tej dalekiej

granicy, jak u nas na Manhattanie?

–Ot, dziewczyna nafaszerowała się książkami matki! „Czy natura nie jest ta sama” – dobre sobie! Chyba nie przychodzi ci do głowy, że natura żołnierza jest taka sama jak marynarza? Masz krewnych w obu zawodach i powinnaś umieć na to odpowiedzieć.

–Ależ, wuju, ja mam na myśli przyrodzone cechy ludzkie.

–Ja także, dziewczyno, przyrodzone cechy marynarza i przyrodzone cechy któregoś z tych żołnierzy z pięćdziesiątego piątego, nie wyłączając nawet twojego ojca. Ot, choćby dziś urządzili te zawody w strzelaniu do tarczy – i jakaż to różnica ze strzelaniem do celu na morzu! Tam wygarnęlibyśmy całą burtą dział naładowanych okrągłymi kulami do jakiegoś przedmiotu odległego co najmniej o pół mili; a gdyby na pokładzie znalazły się kartofle, co mało jest prawdopodobne, zostałyby w garnku kucharza. Żołnierka może sobie być uczciwym rzemiosłem, Mabel, ale człek doświadczony widzi w takim forcie wiele głupstw i słabostek. Co się zaś tyczy tego jeziora, to znasz już moją opinię, więc nie chcę go obmawiać. Prawdziwy marynarz nie obmawia nikogo, ale uważam że Ontario, jak je tu zowią, nie jest niczym więcej jak wodą z kadzi okrętowej. Bo posłuchaj, Mabel: jeżeli chcesz zrozumieć różnicę między oceanem a jeziorem, to dzięki mnie pojmiesz ją za jednym spojrzeniem. To, co tu jest, można by nazwać ciszą, jako że nie ma wiatru, chociaż po prawdzie nie sądzę, żeby cisze były tu takie ciche jak u nas, na morzu...

–Wuju, przecież powietrze ani drgnie. Nie przypuszczam, żeby liście mogły być bardziej nieruchome niż teraz w tym całym lesie.

–Liście! Cóż to są liście, moje dziecię? Na morzu nie ma liści. Jeżeli chcesz wiedzieć, czy jest zupełna cisza, popróbuj świecy woskowej – bo łojówki za silnie się palą – a wtedy możesz się upewnić, czy jest wiatr, czy go nie ma. Gdybyś się znalazła w takich stronach, gdzie powietrze jest do tego stopnia spokojne, że z trudnością możesz je poruszyć, by nabrać tchu – wówczas dopiero mogłabyś mówić o ciszy. Ludzie często dostają za mało powietrza w bezwietrznych strefach. No, spójrz raz jeszcze na tą wodę! Zupełnie mleko w rondlu; nie ma tu więcej ruchu niż w pełnej beczce, zanim się wyjmie szpunt. Na oceanie woda nigdy nie jest nieruchoma, choćby powietrze było nie wiedzieć jak spokojne.

–Woda na oceanie nigdy nie jest nieruchoma, wuju? Nawet podczas ciszy morskiej?

–Niech cię Bóg kocha! Nie, moje dziecko! Ocean oddycha niczym żywa istota, a jego łono zawsze faluje, jak mówią wierszokleci, choćby nie było tam więcej powietrza niż w pompie. Nikt jeszcze nie widział oceanu tak spokojnego jak to jezioro; stale się wzdyma i opada, jak gdyby miał płuca.

–To jezioro też nie jest zupełnie spokojne, boć przecie przy brzegu widać drobne zmarszczki, a można nawet dosłyszeć szum fal uderzających chwilami o skały.

–Wszystko to głupia poezja! Ontario nie bardziej jest Atlantykiem niż zwykła piroga – fregatą! Wszelako ten Gaspar to udany chłop i trzeba mu tylko nauki, żeby wyszedł na ludzi.

–Uważasz go za nieuka, wuju? – spytała Mabel, poprawiając z wdziękiem włosy, w którym to celu musiała, a może tak jej się tylko wydało, odwrócić twarz. – Ja mam wrażenie, że Gaspar Eau-douce umie więcej niżli którykolwiek z podobnych mu młodzieńców. Niewiele czytał, bo w tych stronach nie ma zbyt dużo książek; ale zdaje się, że sporo myślał jak na tak młodego człowieka.

–Jest nieukiem, bo musi być nim każdy, kto żegluje po takich śródlądowych wodach. Nie, nie, Mabel; oboje zawdzięczamy coś niecoś Gasparowi i Tropicielowi, toteż myślałem, jak by im się najlepiej przysłużyć, albowiem uważam niewdzięczność za wadę godną świni. Bo zaprosz takie bydlę na obiad, a ono cię pożre przy deserze.

–Prawda, drogi wujaszku! Rzeczywiście powinniśmy uczynić wszystko, co w naszej mocy, ażeby dać należyty wyraz wdzięczności za usługi obu tych dzielnych ludzi.

–Mówisz jak na córkę twej matki przystało, dziewczyno, i to w sposób, który przynosi zaszczyt rodzinie Capów. Otóż wpadłem na pewien pomysł, który będzie odpowiadał wszystkim zainteresowanym; gdy tylko przyjedziemy z owej wycieczki po jeziorze na te tam Tysiąc Wysp, a ja przygotuję się do drogi powrotnej, zaraz wystąpię z propozycją.

–Najdroższy wuju! To będzie tak ładnie z twojej strony i tak sprawiedliwie! Czy mogę spytać, jakie masz zamiary?

–Nie widzę powodu, żeby je taić przed tobą, chociaż nie trzeba nic mówić ojcu, bo ma on swoje przesady i mógłby robić trudności. Owóż ani Gaspar, ani jego druh, Tropiciel, nic nigdy nie zdziałają w tym stronach, zaproponuję tedy, że ich zabiorę na wybrzeże i puszczę na morze. Gaspar w dwa tygodnie poczułby się marynarzem, a dwunastomiesięczny rejs uczyniłby z niego człowieka. Aczkolwiek Tropicielowi trzeba by więcej czasu i może nigdy nie doszedłby do pełnej sprawności, przecie i z niego można by coś zrobić, a osobliwie nadałby się jako obserwator na maszcie, bo ma niezwykle dobre oczy.

–I myślisz, wuju, że zgodziliby się na to? – spytała Mabel z uśmiechem.

–Alboż przypuszczasz, że mam ich za prostaków? Któraż rozsądna istota zlekceważyłaby możliwość wyniesienia się w życiu! Pozwólmy Gasparowi iść dalej o własnych siłach, a może jeszcze umrzeć jako dowódca okrętu rejoyego!

–I przez to byłby szczęśliwszy, wujaszku? Czyż lepiej jest być dowódcą okrętu rejonowego niż kutra?

–Pfe, pfe, Magnesku! W sam raz się nadajesz do wygłaszania pogadank o okrętach w jakimś towarzystwie historycznym. Nie wiesz, o czym mówisz; zostaw to mnie, a ja już dam sobie radę. Otóż i Tropiciel; mogę mu szepnąć słówko o moich życzliwych zamiarach co do jego osoby. Nadzieja ogromnie zachęca do wysiłku!

Tu Cap kiwnął głową i zamilkł, a myśliwy podszedł do nich nie ze zwykłą sobie, szczerą i swobodną miną, ale z widocznym zakłopotaniem, a nawet niepewnością, jak zostanie przyjęty.

–Kiedy wuj i siostrzenica rozmawiają z sobą – powiedział stanąwszy przy nich – człowiek obcy może nie być mile widzianym towarzyszem.

–Nie jesteś pan obcy, Tropicielu – odparł Cap – i nikt nie może być milej widziany od ciebie. Właśnie przed chwilą rozmawialiśmy o tobie, a kiedy przyjaciele gwarzą o nieobecny, można odgadnąć, co mówią.

–Nie dopytuję się o żadne tajemnice. Każdy człowiek ma wrogów, mam więc i ja swoich, lecz nie zaliczam do nich ani pana, ani też pięknej Mabel. O Mingach nie wspominam, chociaż i oni nie mają uzasadnionych powodów, aby mnie nienawidzić.

–Za to ręczę, Tropicielu, bo mam cię za człowieka prawego i poczciwego. Istnieje jednak sposób uniknięcia wrogości nawet Mingów i jeśli się nań zdecydujesz, nikt nie wskaże ci go chętniej ode mnie, i to bez żadnej zapłaty za radę.

–Nie pragnę mieć nieprzyjaciół, Słona Wodo – odrzekł Tropiciel, który tak zaczął zwać Capa, przejąwszy mimowiednie tę nazwę nadaną marynarzowi przez Indian z fortu. – Nie pragnę mieć nieprzyjaciół. Gotów jestem zakopać topór wojenny z Mingami, równie jak z Francuzami, choć wiesz, że jeno Ktoś większy od nas może tak zmienić serca, by człek pozostał bez wrogów.

–Znajdziesz się poza zasięgiem wojennego wycia oraz indiańskich kul, przyjacielu, jeżeli podniesiesz kotwicę i udasz się ze mną na wybrzeże oceanu, kiedy wrócimy z tej krótkiej przejażdżki, na jaką się wybieramy.

–A cóż ja bym robił nad słoną wodą? Polował w waszych miastach? Tropił ludzi idących na targ i z powrotem? Zastawiał pułapki na psy i kury? Nie życzysz mi szczęścia, panie Cap, chcesz wyprowadzić mnie z leśnego cienia na słońce otwartych przestrzeni.

–Nie zamierzałem zostawiać ciebie w osiedlach, Tropicielu, ale wyprawić na morze, tylko tam bowiem można oddychać swobodnie. Mabel powie ci; że takie były moje zamiary, nim padło tu choćby słowo na ten temat.

–A cóż, zdaniem Mabel, wyszłoby z takiej odmiany? Wie przecież, że każdy człowiek ma swoje uzdolnienia i że jest równie daremne pożądać innych, jak opierać się tym, które pochodzą od Opatrzności. Jestem myśliwym, zwiadowcą czy przewodnikiem i nie potrafiłbym tak jawnie sprzeciwić się Niebiosom, aby próbować zostać kimś innym. Czy mam słuszność, Mabel, czy też jesteś na tyle kobietą, by pragnąć zmiany czyjejs natury?

–Nie chciałabym widzieć w tobie żadnych zmian, Tropicielu – odrzekła Mabel z serdeczną szczerością i otwartością, które przemówiły prosto do serca myśliwego – i bez względu na to, jak bardzo wuj wielbi morze i jak wiele dobrego może ono zdziałać jego zdaniem, nie pragnęłabym wcale oglądać najlepszego i najszlachetniejszego myśliwca z puszczy przemienionego choćby w admirała. Pozostań, czym jesteś, mój dzielny przyjacielu, a nie będziesz musiał niczego się lękać krom gniewu Boga.

–Słyszysz, Słona Wodo? Słyszysz, co mówi córka sierżanta? Jest przecie nadto prawa, uczciwa i piękna, aby nie wierzyć w swe słowa. Dopóki zadowolona jest ze mnie takiego, jakim jestem, nie będę na tyle nieposłuszny nakazom Opatrzności, bym usiłował stać się czymkolwiek innym. Mogę wydać się bezużyteczny tu, w garnizonie, ale kiedy znajdziemy się wśród Tysiąca Wysp, nadarzy mi się pewnie sposobność wykazać, że niezawodna strzelba czasem jest darem niebios.

–Jedziesz więc z nami, Tropicielu? – spytała Mabel uśmiechając się do przewodnika tak szczerze i słodko, iż ten pomyślał, że chętnie poszedłby za nią na koniec świata.
– Mam być tam jedyną kobietą prócz żony któregoś z żołnierzy i będę się czuła bezpieczniej, jeżeli znajdziesz się pośród naszych obrońców.

–Wystarczyłby sierżant, choćby nawet nie był twym ojcem, Mabel. Nikt z nas nie zapomni o tobie. Myślę, że wujowi w smak ta wyprawa, bo udamy się na nią pod żaglami i przypatrzemy śródlądowemu morzu.

–Wasze śródlądowe morze to nic wielkiego, Tropicielu, i niczego się po nim nie spodziewam. Wyznani jednak, że chciałbym poznać cel owej wyprawy, bo człowiek lubi na coś się przydać, a mój szwagier, sierżant, pary z gęby nie puszcza niczym jakiś wolnomularz. Czy ty wiesz, Mabe, co to wszystko ma znaczyć?

–Bynajmniej, wuju. Nie śmiem zadawać ojcu pytań na temat jego służby, uważa bowiem, iż nie jest to rzeczą kobiety; wszystko, co mogę powiedzieć, to tyle, że mamy wypłynąć, gdy tylko wiatr pozwoli, a wrócić za miesiąc.

–Może Tropiciel będzie mógł mi dać jakąś pożyteczną wskazówkę, bo rejs bez celu nigdy nie bywa przyjemny staremu marynarzowi.

–Nie ma wielkiej tajemnicy, Słona Wodo, co się tyczy naszego portu oraz zadania, acz zabroniono wiele mówić o jednym i drugim w garnizonie. Ale jam nie żołnierz i

wolno mi gadać, co zechcę, choć mam nadzieję, że nie jestem aż innych skłonniejszy do czczej paplaniny. Ponieważ jednak mamy odpłynąć tak rychło, a wy oboje wyruszacie z nami, można wam tedy powiedzieć, dokąd nas wiozą. Chyba pan wiesz, że istnieje coś takiego jak Tysiąc Wysp?

–Owszem, wiem, że tak je tu nazywają, choć z góry przyjmuję za pewnik, iż nie są to prawdziwe wyspy, takie jakie napotykamy na oceanie, i że ów tysiąc oznacza pewnie ze dwie albo trzy.

–Oczy mam dobre, a przecież nie mogłem dać rady, kiedym chciał zliczyć te wyspy.

–Tak, tak, znałem ludzi, którzy umieli rachować tylko do pewnej liczby. Rzetelny szczur lądowy nigdy nie potrafi wypatrzeć swych własnych pieleszy, gdy zoczy ląd po morskiej podróży. Ileż to razy widziałem już plażę, domy i kościoły, kiedy pasażerowie nie mogli dojrzeć niczego prócz wody! Nie wyobrażam sobie, żeby człek mógł doprawdy stracić ląd z oczu na słodkiej wodzie. Wydaje mi się to sprzeczne z rozsądkiem i niemożliwe.

–Nie znasz pan jezior, bo inaczej nie mówiłbyś w ten sposób. Zanim dotrzemy na Tysiąc Wysp, będziesz miał inne pojęcie o tym, co natura uczyniła wśród puszczy.

–Mam wątpliwości, czy na całym tym obszarze posiadacie coś takiego jak prawdziwą wyspę.

–Pokażemy ich panu setki; może nie ściśle tysiąc, ale tyle, że oko wszystkich ogarnąć, a, język przeliczyć nie może.

–Założyłbym się, że kiedy przyjdzie co do czego, okażą się one po prostu półwypcami, cyplami czy lądem; lecz sądzę, że niewiele się na tych sprawach rozumiecie. Ale wyspy czy nie wyspy, powiedz mi, Tropicielu, jaki jest cel wyprawy?

–Nie może być w tym nic złego, że powiem panu coś niecoś o naszym zadaniu. Będąc starym żeglarzem słyszałeś niezawodnie o takim porcie jak Frontenac?

–A któż nie słyszał? Nie mówię, że do niego zawijał, ale często przepływałem obok.

–W takim razie masz się pan udać na znane ci tereny. Trzeba ci wiedzieć, że te wielkie jeziora tworzą łańcuch, woda zaś przepływa z jednego do drugiego, aż wreszcie dociera do Erie, które jest jeziorem równym Ontario, a leży na zachodzie. Owóż tedy woda wypłynąwszy z Erie natrafia na rodzaj niskiego wzgórza przez którego krawędź przechodzi.

–Chciałbym wiedzieć, jak może to uczynić?

–No cóż, dość prosto – odparł ze śmiechem Tropiciel – bo musi tylko spaść w dół. Gdybym powiedział, że woda idzie pod górę, byłoby to wbrew naturze, lecz dla nas nie dziwota, by woda spadała w dół – to znaczy słodka woda...

–Dobrze, dobrze, ale pan mi powiadasz, że jezioro spływa po zboczu góry, a to jest tak, jakby ktoś śmiał się w nos rozsądkowi, o ile rozsądek ma nos.

–No, nie będziemy się o to spierali, ale com widział, tom widział. Wpłynąwszy tedy do Ontario, cała woda ze wszystkich jezior wlewa się rzeką do morza; w najważniejszym zaś miejscu, gdzie jest ni to rzeką, ni jeziorem, znajdują się te wyspy. Owóż Frontenac jest francuską placówką położoną powyżej tych wysp; a że Francuzi trzymają port poniżej, przeto wyprawiają rzeką zapasy i amunicję do Frontenac, aby je dalej przesyłać wzdłuż brzegów tego oraz innych jezior i w ten sposób dopełniać swych diabelstw wśród dzikich i zdzierać chrześcijańskie skalpy.

–A czyż nasza obecność zapobiegnie owym straszliwym czynom? – spytała z zaciekawieniem Mabel.

–Może tak, a może nie, jak Bóg da. Lundie, jak go tu zowią, dowódca fortu, wysłał żołnierzy na placówkę wśród wysp, aby odcięli francuskie łodzie, my zaś zluźjemy ich już po raz drugi. Jak dotąd, niewiele działali, choć pochwycili dwie barki załadowane towarem dla Indian; ale w zeszłym tygodniu przybył goniec i przyniósł takie wieści, że major chce raz jeszcze zrobić próbę zaskoczenia tych łajdaków. Gaspar zna drogę, a będziemy w dobrych rękach, bo sierżant jest roztropny i doskonały do zasadzki; tak – jest równie roztropny jak czujny.

–I to już wszystko? – zapytał pogardliwie Cap. – Sądząc po przygotowaniach i wyposażeniu, myślałem, że wisi w powietrzu jakaś grubsza wyprawa i że będzie można zarobić uczciwie kawał grosza na łupach. Ale wy tu pewnie nie dzielicie waszych słodkowodnych pieniędzy zdobycznych?

–Nie rozumiem.

–Zapewne w tych wypadach czy zasadzkach, jak to nazywacie, wszystko zabiera król?

–Nic mi o tym nie wiadomo. Biorę, co na mnie przypada, gdy dostaniemy w ręce kule i proch, i nic nie mówię królowi. Jeżeli przez to wiedzie się komuś lepiej, to w każdym razie nie mnie, choć pora mi już myśleć o własnym domu.

Jakkolwiek Tropiciel nie śmiał spojrzeć na Mabel, czyniąc tę bezpośrednią aluzję do zamierzonej odmiany życia, byłby dał wszystko, by wiedzieć, czy dziewczyna go słucha i jaki ma wyraz twarzy. Mabel jednakże zgoła nie podejrzewała, co kryje się za tymi słowami, toteż bez śladu zmieszania zwróciła oczy na rzekę, gdzie można było dostrzec jakiś ruch na pokładzie „Chwistu”.

–Gaspar wyprowadza kuter – zauważył przewodnik, którego spojrzenie przyciągnął w tym samym kierunku łoskot wywołany upadkiem jakiegoś ciężkiego przedmiotu na pokładzie. – Chłopak widzi oznaki zbliżającego się wiatru i chce być w pogotowiu.

–Tak, i teraz będziemy mieli sposobność nauczyć się żeglarstwa – dorzucił Cap z drwiącym uśmiechem. – W stawianiu żagli są pewne subtelności, które najlepiej zdradzają rasowego marynarza. To jest tak, jak z żołnierzem zapinającym płaszcz: od razu się widzi, czy zaczyna od góry, czy od dołu.

–Nie powiem, że Gaspar dorównuje morskim żeglarzom – zauważył Tropiciel, przez którego szlachetny umysł nigdy nie przemknął cień zazdrości czy zawiści – ale to śmiały chłopak i manewruje kutrem tak zręcznie, jak tylko można sobie życzyć – na tym jeziorze przynajmniej. Widziałeś pan, że się nie wzdragał na wodospadach Oswego, gdzie słodka woda potrafi walić w dół bez większych trudności.

Cap odpowiedział tylko jakimś wykrzyknikiem niezadowolenia, po czym wszyscy zamilkli i jęli śledzić "z bastionu ruchy kutra objawiając zaciekawienie zupełnie naturalne, jeżeli zważyć, że w (przyszłości ich losy miały być związane z owym stateczkiem. Wciąż panowała zupełna cisza, a powierzchnia jeziora dosłownie mieniła się w ostatnich promieniach słońca. „Chwist" podciągnięto na długiej linie do małej kotwicy zarzuconej o sto jardów powyżej obu cyplów ujścia, tam bowiem mógł mieć dość miejsca, by manewrować na rzece, która podówczas tworzyła port Oswego. Atoli całkowity brak wiatru udaremniał wszelkie podobne próby i wkrótce stało się oczywiste, że lekki stateczek trzeba będzie wyprowadzić z przesmyku za pomocą wiosł. Nie rozwinięto ani jednego żagla, natomiast gdy tylko została obluźwana kotwica, dał się słyszeć ciężki plusk wiosł, i kuter, dziobem zwrócony w górę rzeki, jął zbaczać ku środkowi prądu. Kiedy tam dotarł, wiosłarze przerwali pracę, a statek począł sunąć w stronę ujścia.

W wąskim przesmyku „Chwist" nabrał szybkości, toteż po upływie niecałych pięciu minut unosił się już na wodzie poza dwoma niskimi, żwirowatymi cyplami, na których zatrzymywały się fale jeziora. Nie rzucono kotwicy i statek dalej odsuwał się od lądu, aż wreszcie ujrzano jego ciemny kadłub na lśniącej powierzchni jeziora, ćwierć mili za niskim przylądkiem, który stanowił wschodni skraj tego, co można by nazwać zewnętrznym basenem portowym lub redą. Tu ustawał wszelki wpływ prądu i kuter zatrzymał się.

–Ten statek wydaje się bardzo piękny, wujku – powiedziała Mabel, która ani na chwilę nie odrywała wzroku od kutra, gdy zmieniał pozycję. – Ty zapewne potrafisz znaleźć jakieś braki w jego wyglądzie i sposobie manewrowania, ale ja w swojej nieznajomości rzeczy uważam jedno i drugie za doskonałe.

–I owszem, nie najgorzej s pływa z prądem, ale to samo potrafi byle wiór. Natomiast gdy przyjdzie do różnych drobiazgów, taki stary marynarz jak ja nie będzie

potrzebował okularów, by wykryć błędy.

–No, panie Cap – przerwał Tropiciel, który zawsze był gotów wtrącić swoje, ilekroć mówiono coś przeciw Gasparowi. – Słyszałem już, jak starzy i doświadczeni morscy żeglarze przyznawali, że „Chwist” jest prześlicznym statkiem. Sam nie znam się na tych rzeczach, ale człekowi wolno mieć własne, choćby i mylne, poglądy na okręty, a trzeba by więcej niżli jednego świadectwa, by mnie przekonać, że Gaspar nie utrzymuje swojego statku w porządku.

–Nie powiedziałem, że ten kuter to ostatnia łajba, Tropicielu, ale ma on felery, i to wielkie.

–A jakież one są, wuju? Gaspar chętnie by je usunął, gdyby wiedział, o co idzie.

–Jakie? Ano, jest ich z pięćdziesiąt, a nawet sto, na dobrą sprawę. Bardzo to istotne i oczywiste felery.

–Wymień je tedy, a Tropiciel powtórzy to swemu przyjacielowi.

–Ba, wymień! Niełatwo wymienić gwiazdy, choćby z tej prostej przyczyny, że jest ich tak wiele. Wymienić je, dobre sobie! No, moja piękna siostrzeniczko, panno Magnesku, a cóż na przykład sądzisz o tym kliwerbomie? Na mój skromny rozum podniesiony jest przynajmniej o stopę za wysoko. Poza tym flaga się splątała i... o... no tak, przecież jeden refsejzing od topsła jest rozwiązany, a wcale bym się nie zdziwił, gdyby przy spuszczeniu kotwicy okazało się, że na tej linie holowniczej jest okrągły węzeł. Felery, dobre sobie! Żaden żeglarz, przyjrząwszy się chwilę temu statkowi, nie mógłby nie dostrzec, że pełen jest felerów niczym sługa, który poprosił o zwolnienie!

–Może to być prawda, wujaszku, choć bardzo wątpię, czy Gaspar o nich nie wie. Nie przypuszczam, żeby je tolerował, Tropicielu, gdyby mu raz je wskazano.

–Niech Gaspar sam daje sobie radę ze swoim statkiem, Mabel. Ma on zdolności w tym kierunku i ręczę, że nikt go nie zdoła pouczyć, jak nie dopuszczać do „Chwistu” tych z Frontenac czy ich diabelnych Mingów. Kto tam dba o okrągłe węzły na kotwicach czy liny holownicze za wysoko podniesione, panie Cap, skoro statek dobrze pływa i umie umknąć Francuzom? Zaufałbym prędzej Gasparowi niż wszystkim żeglarzom znad jezior, chociaż nie twierdzę, że ona talenty do oceanu, bo tam go jeszcze nikt nie wypróbował.

Cap uśmiechnął się pobłaźliwie, ale nie uważał już za konieczne posuwać dalej krytyki. Tymczasem kuter począł dryfować zdany na łaskę prądów jeziora, a jego dziób zwracał się kolejno we wszystkie strony, choć działało się to powoli i niemal niepostrzeżenie. Właśnie w tej chwili rozwinięto i wciągnięto kliwer, a płótno natychmiast wyduło się w stronę lądu, acz na powierzchni wody nie sposób było

jeszcze dostrzec żadnych oznak wiatru. Jednakże chociaż podmuch był słaby, lekki kadłub poddał mu się i w następnym momencie ujrzano, że „Chwist” ustawia się w poprzek.prądu rzecznoego ruchem tak swobodnym i nieznacznym, że trudno było go zauważyć. Kiedy statek wydostał się z nurtu, natrafił na wir, podsunął się szybko w stronę lądu, ponad wyniosłość, na której stał fort, i tam Gaspar rzucił kotwicę.

–Nieźle! – mruknął Cap na wpół do siebie. – Wcale nie najgorzej, chociaż trzeba mu było położyć ster na prawą burtę zamiast na lewą, bo statek zawsze powinien podpływać dziobem od lądu, czy jest odeń na milę czy ledwie na kabel, w ten sposób bowiem lepiej wygląda, a wygląd coś znaczy na tym świecie.

–Gaspar to zręczny chłopak – ozwał się nagle nad uchem Capa głos sierżanta Dunhama – i na wyprawach pokładamy w nim wielkie zaufanie. Ale chodźcie już wszyscy, bo mamy jeszcze zaledwie pół godziny dziennego światła na załadunek, a łodzie będą gotowe, zanim my sami zdążymy się przygotować.

Na te słowa wszyscy rozeszli się, by pozbierać drobiazgi jeszcze nie przeniesione na statek. Kilka uderzeń bębna dało sygnał żołnierzom i po upływie minuty wszystko już było w ruchu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Chochlik z błazna robi głupca,
Starych jędz się zbiera grupka,
Zmora gna na osie w skok –
W trawie elfów szuści krok.

COTTON

Zaokrętowanie tak szczupłej liczby ludzi nie było rzeczą nazbyt przewlekłą ni kłopotliwą. Siły oddane pod rozkazy sierżanta Dunhama składały się ledwie z dziesięciu szeregowców i dwóch podoficerów, aczkolwiek wkrótce stało się wiadome, że pan Muir weźmie udział w wyprawie. Kwatermistrz jednak udawał się na nią w charakterze ochotnika, przy czym jako uzasadnienie podano pewne obowiązki związane z jego funkcjami, co zostało z góry ułożone między nim samym a dowódcą. Do wymienionych należy jeszcze dodać Tropicielea i Capa wraz z Gasparem i jego podkomendnymi, z których jeden był chłopcem okrętowym. Toteż całość składała się z niespełna dwudziestu mężczyzn i czternastoletniego chłopca; Mabel i żona jednego z szeregowców były jedynymi kobietami na statku.

Sierżant Dunham odstawił swój oddział na pokład sporą szalupą, za czym powrócił, aby otrzymać ostateczne rozkazy i dopilnować, by zajęto się należycie jego szwagrem i córką. Wskazawszy Capowi łódź, którą ten miał odpłynąć do kutra wraz z Mabel, sierżant wszedł na wzgórze, aby po raz ostatni rozmówić się z Lundiem.

Było już prawie ciemno, gdy Mabel znalazła się w łodzi, która miała ją przewieźć na pokład kutra. Powierzchnia jeziora była tak gładka, że nie uznano za konieczne wprowadzać szalup w rzekę dla załadunku; ponieważ u brzegu jeziora nie było najmniejszej fali, woda zaś swym spokojem przypominała sadzawkę, wszyscy więc posiadali w owym miejscu do łodzi. Kiedy odbito od brzegu, Mabel pomyślała, iż żaden ruch, zwykły w podobnych okolicznościach, nie zdradza, że znajdują się na tak rozległych wodach. Zdążono zagarnąć wiosłami ledwie ze dwanaście razy, a już łódź zatrzymała się przy burcie kutra.

Gaspar był gotów na przyjęcie swych pasażerów, a ponieważ pokład „Chwistu” znajdował się co najwyżej trzy stopy nad wodą, dostali się nań bez trudności. Młodzieniec zaraz wskazał Mabel i jej towarzyszowi przygotowane dla nich pomieszczenia.

Mały stateczek miał pod pokładem cztery kabiny, specjalnie zbudowane dla

przewożenia oficerów oraz żołnierzy z żonami i rodzinami. Najlepsza, zwana kabiną rufową, była izdebką o czterech kojach, mającą tę zaletę, że posiadała niewielkie okienka wpuszczające powietrze i światło. Z zasady przeznaczano ją dla kobiet, jeżeli znajdowały się na pokładzie, ponieważ zaś tym razem Mabel i jej towarzyszka były same, miały więc miejsca w bród. Główna kabina była większa i oświetlona od góry. W tej ulokowali się kwatermistrz, sierżant, Cap oraz Gaspar; Tropiciel miał wolny dostęp do wszystkich części kutra z wyjątkiem pomieszczenia dla kobiet. Kaprale i żołnierze zajmowali miejsce pod głównym lukiem, gdzie był przeznaczony na ten cel pokład, a załoga kwaterowała jak zwykle na forkaszteku. Aczkolwiek kuter liczył niespełna pięćdziesiąt ton wyporności, oddział był tak niewielki, że wszyscy mieli dosyć przestrzeni, w razie potrzeby bowiem starczyłoby miejsca na pomieszczenie trzykroć większej liczby ludzi.

Gdy tylko Mabel objęła w posiadanie swoją doprawdy wygodną kabinę – przy czym nie mogła się powstrzymać od przyjemnej myśli, że Gaspar okazał jej szczególne względy – wróciła na pokład.

Tu wszystko było jeszcze w ruchu: ludzie biegali tam i sam, przenosząc swoje tornistry i inne manatki, ale wnet przyzwyczajenie i dyscyplina przywróciły porządek, a wówczas zapanowała na pokładzie cisza wywierająca nawet pewne wrażenie, jako że łączyła się z myślą o przyszłych przygodach i wiele wróżących przygotowaniach.

Mrok zaczynał już zacierać kontury przedmiotów znajdujących się na brzegu, a ląd był bezkształtnym czarnym zarysem wierzchołków drzew, który odcinał się od nawisłych chmur jedynie dzięki większej jasności nieba. Jednakże wkrótce jedna po drugiej zaczęły ukazywać się na firmamencie gwiazdy z właściwym sobie łagodnym, niezmaconym blaskiem, przynosząc poczucie spokoju, które zazwyczaj towarzyszy nocy. Było coś kojącego, a zarazem przejmującego w owym widoku, a Mabel, która siedziała na rufie, doznawała wyraźnie owego dwojakiego uczucia. Tropiciel stał przy niej, oparty jak zwykle na swojej długiej strzelbie, i wydało się dziewczynie, że poprzez gęstniejący mrok wieczornej godziny dostrzega jeszcze głębszą zadumę na jego twardo ciosanym obliczu.

–Dla ciebie, Tropicielu, takie wyprawy nie są zapewne nowością – powiedziała – choć ze zdumieniem widzę, jak milczący i zamyśleni są teraz ludzie.

–Uczymy się tego prowadząc wojnę z Indianami. Milicja na ogół dużo gada, a mało robi, ale żołnierz, który często spotykał się z Mingami, poznaje wartość powściągliwego języka. W lasach cicha armia jest podwójnie silna, a hałaśliwa – podwójnie słaba. Gdyby gadatliwość była cechą dobrych żołnierzy, kobiety obozowe miałyby zapewnione zwycięstwo.

–Ale przecież myśmy nie armia, a nie jesteśmy też w lasach. Na „Chwiście” nie może nam grozić niebezpieczeństwo od Mingów.

–Nikt nie jest od nich bezpieczny, jeżeli nie zna właściwej ich natury, a i wtedy musi działać jak najrozsądniej. Zapytaj Gaspara, w jaki sposób otrzymał dowództwo tego kutra.

–Jakże tedy je otrzymał? – spytała Mabel ze skwapliwością i zainteresowaniem, co uradowało jej prostodusznego i zacnego towarzysza, któremu nic nie było miłsze nad sposobność pochwalenia przyjaciela. – Bardzo to zaszczytne, że doszedł do tych funkcji w tak młodym wieku.

–Nie inaczej, ale zasłużył sobie na to, i na więcej jeszcze. Aby opłacić tyle dzielności i zimnej krwi, nie byłoby za wiele i fregaty, gdyby coś podobnego znajdowało się na Ontario: nie ma ich tu wszakże i nie jest prawdopodobne, by kiedykolwiek były.

–Ale Gaspar... nie powiedziałaś mi jeszcze, jak został dowódcą tego szkunera.

–Długa to historia, Mabel, i ojciec twój może ci ją opowiedzieć o wiele lepiej ode mnie, bo był na miejscu, podczas gdy ja przebywałem na dalekim zwiadzie. Gaspar nie umie opowiadać, to trzeba przyznać; słyszałem, jak go wypytywano o tę sprawę i zawsze relacja szła mu nieskładnie, choć wszystkim wiadomo, że pięknie sobie poczynał. Otóż „Chwist” byłby już wpadł w ręce Francuzów i Mingów, gdyby nie ocalił go Gaspar, i to w sposób, na który ośmielić się może tylko prędki umysł i śmiałe serce. Sierżant opowie ci rzecz całą lepiej ode mnie, toteż chciałbym, abyś go któregoś dnia spytała, kiedy nie będzie miał nic lepszego do roboty.

Mabel postanowiła poprosić ojca, by jej powtórzył przebieg wypadków jeszcze tegoż wieczora, albowiem dla jej młodej wyobraźni nie było nic miłszego nad słuchanie pochwał o kimś, kto lichym jest kronikarzem swych własnych czynów.

–A „Chwist” zostanie z nami, gdy dopłyniemy do wyspy? – ozwała się niepewna, czy wypada zadać podobne pytanie. – Czy też będziemy zdani tylko na siebie?

–To zależy. Gaspar nieczęsto daje próżnować kutrowi, jeżeli jest coś do roboty; a można się po nim spodziewać, że nie będzie tracił czasu. Wszelako moje umiejętności tak niewiele mają wspólnego z wodą i statkami w ogóle – chyba że idzie o bystrzyny, wodospady i czółna – iż nie twierdzą, że się na tym rozumiem. Nie wątpię, że będzie nam się dobrze działo pod rozkazami Gaspara, bo umie on równie wybornie odnaleźć trap na Ontario, jak Delawar na ziemi.

–A nasz własny Delawar, Wielki Wąż, dlaczego nie jest dziś z nami Tropicieleu?

–Pytanie twoje byłoby naturalniejsze, gdybyś spytała: „Dlaczego to ty jesteś z nami, Tropicieleu?” Wąż- jest na swoim miejscu, natomiast ja – nie. Wyruszył z paroma ludźmi, by zbadać brzegi jeziora i połączyć się z nami wśród wysp, przynosząc wiadomości, jakie mu się uda zebrać. Sierżant zbyt dobrym jest żołnierzem, by zapominać o tyłach, gdy z frontu ma nieprzyjaciela. Po stokroć szkoda, Mabel, że

ojciec twój nie urodził się generałem jak poniektórzy z Anglików, co przebywają wśród nas, bo pewien jestem, że za tydzień nie byłoby ani jednego Francuza w Kanadzie, gdyby mógł wziąć się do nich po swojemu.

–A czy my będziemy mieli nieprzyjaciela z frontu? – . spytała z uśmiechem Mabel czując po raz pierwszy lekką obawę przed niebezpieczeństwami wyprawy. – Czy może nam się zdarzyć potyczka?

–Jeżeli się zdarzy, będzie dość mężczyzn chętnych, aby zasłonić cię od złego. Lecz przecie jesteś córką żołnierza i wiemy, że masz żołnierskiego ducha. Niechże twoga przed bitwą nie spędza snu z twych ślicznych oczu.

–Tu w lasach, Tropicielu, czuję się odważniejsza niż kiedykolwiek dotąd wśród pokus życia miejskiego, choć zawsze usiłowałam pamiętać, co winna jestem mojemu drogiemu ojcu.

–Tak, taka sama była twoja matka. Jeszcze nim moje oczy spoczęły na twojej słodkiej twarzączce, sierżant mawiał do mnie: „Przekonasz się, że Mabel, podobnie jak matka, nie jest strachliwa ni mdłego serca i w potrzebie nie będzie zawadzać mężczyźnie. To dziewczyna, która pokrzepi swojego towarzysza i podtrzyma go na duchu, gdy mu zagrozi największe niebezpieczeństwo”.

–A czemu ojciec mówił ci to, Tropicielu? – spytała poważnie dziewczyna. – Może myślał, że zyskam w twych oczach, jeżeli nie będziesz mnie miał za głupio płochliwą, taką, jaką lubią wydawać się inne niewiasty.

Dwulicowość – wyjąwszy walkę z nieprzyjacielem – ba, nawet -ukrywanie myśli było tak bardzo niezgodne z naturą Tropicielea, że niepomalu zmieszało go to proste pytanie. W tej trudnej sytuacji mimowolnie uciekł się do pośredniego wyjścia: nie wyjawiając rzeczy, o których jego zdaniem nie należało mówić, nie zataił ich też całkowicie.

–Trzeba ci wiedzieć, Mabel – powiedział – że sierżant i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi i że w niejednej ciężkiej i krwawej potrzebie biliśmy się ramię przy ramieniu, a jeśli nieściśle tak, to dlatego, że ja byłem nieco w przodzie, ja/k na zwiadowcę przystało, ojciec zaś twój przy swoich ludziach, co jest właściwsze dla żołnierza króla jegomości. My, zwiadowcy, mamy zwyczaj nie myśleć o walce, gdy strzelby zamilkną, a nocą dokoła ognisk czy w czasie marszów gwarzymy o rzeczach nam miłych, podobnie jak wy, młode niewiasty, lubicie rozmawiać o swoich rojeniach, gdy się zbierzecie, by pośmiać się społem. Owóż tedy jest rzeczą naturalną, że sierżant mając taką jak ty córkę (kochają ją nad wszystko i mówi o niej częściej niż o czym innym. Ja zaś nie mając córki, siostry ni matki czy jakichkolwiek krewnych, których mógłbym miłować, z wyjątkiem Delawarów, wtórowałem mu oczywiście i pokochałem ciebie, jeszcze nim cię ujrzałem, po prostu przez to, że tyleśmy o tobie

mówili.

–A teraz, kiedy minie już ujrzałeś – odparła ze śmiechem dziewczyna, której spokojny i naturalny sposób bycia świadczył, że ani jej w głowie cokolwiek innego niż rodzicielskie albo braterskie uczucie – zaczynasz pojmować, jak lekkomyślnie jest darzyć przyjaźnią osoby, które się zna tylko ze słyszenia.

–Nie była to przyjaźń... nie przyjaźń czuję dla ciebie, Mabel. Przyjacielem jestem Delawarom i byłem nim od małego, ale moje uczucia dla najlepszych spośród nich nie są tym samym, czym natchnął mnie sierżant dla ciebie – a zwłaszcza teraz, kiedy zaczynam poznawać cię bliżej. Czasami lękam się, że dla człeka, który się trudni męskim rzemiosłem, jak przewodnik albo zwiadowca, niezdrowo jest zawierać przyjaźń z kobietami, osobliwie młodymi, bo w ten sposób słabnie w nim zamiłowanie do przygód, uczucia zaś odwracają się od właściwych spraw i zajęć.

–Chyba nie chcesz powiedzieć, Tropicielu, że przyjaźń dla takiej dziewczyny jak ja może uczynić cię mniej niż dotychczas śmiałym czy ochotnym do spotkania z Francuzami.

–O nie! Obawiam się nawet, że gdybyś była w niebezpieczeństwie, mógłbym się stać zuchwały. Ale zanim, że tak powiem, zbliżyliśmy się do siebie, lubiłem rozmyślać o swoich zwiadach i marszach, biwakach, walkach i innych przygodach; natomiast teraz mniej o to dbam i więcej myślę o koszarach, o wieczorach spędzanych na rozmowach, o uczuciach, w których nie ma zmagania ani krwi rozlewu, o młodych niewiastach, ich śmiechach, ich wesołych miękkih głosach, miłej powierzchowności i ujmującym obejściu. Czasami mówię sierżantowi, że on i jego córka zepsują jednego z najlepszych i najbardziej doświadczonych zwiadowców.

–Bynajmniej, Tropicielu, najwyżej postaramy się uczynić samą doskonałością 'to, co już i tak jest wspaniałe. Nie znasz nas, jeżeli myślisz, że moglibyśmy pragnąć choćby najmniejszej w tobie zmiany. Pozostań takim jak teraz: tym samym uczciwym, prawym i sumiennym, nieustraszonym, mądrym i rzetelnym przewodnikiem, jakim jesteś, a ani mój ojciec, ani ja sama nigdy nie będziemy myśleli o tobie inaczej niż w tej chwili.

Za ciemno było, by Mabel mogła dostrzec grę twarzy swego słuchacza; jej własne lico natomiast zwrócone było do niego, kiedy przemawiała otwarcie i energicznie, co świadczyło, jak dalece jej myśli wolne są od zakłopotania, a słowa szczerze. Co prawda, nieco się zarumieniła, ale było to wynikiem siły i rzetelności uczuć, natomiast nerwy Mabel były nieporuszone, ręce nie drżały, a tętno nie biło szybciej. Krótko mówiąc, jej wygląd i sposób bycia były takie, jak u szczerzej i uczciwej dziewczyny, składającej mężczyźnie zapewnienie życzliwości oraz szacunku, na które sobie zasłużył swoimi czynami i zaletami; natomiast nie doznawała owego wzruszenia, jakie niezmiennie towarzyszy skłonności, mogącej prowadzić do

tkliwszych wynurzeń.

Atoli Tropiciel był nazbyt niedoświadczony, by wdawać się w tego rodzaju rozróżnienia, a jego skromna natura znalazła bodziec w bezpośredniości i mocy słów, które właśnie usłyszał. Nie chcąc, a może nie mogąc mówić więcej, odszedł i przez pełne dziesięć minut stał wsparty na strzelbie w głębokim milczeniu, zapatrzony w gwiazdy.

Tymczasem na bastionie toczyła się wspomniana już przez nas rozmowa między Lundiem i sierżantem Dunhamem.

–Czy tornistry ludzi sprawdzone? – zapytał major Duncan rzuciwszy okiem na raport podany mu przez sierżanta, choć było już za ciemno, by czytać.

–Wszystko, wasza miłość. I wszystko jest, jak należy.

–Amunicja? Broń?

–W porządku, panie majorze; zdatne do służby.

–Masz tych ludzi, których wymieniłem na swojej liście?

–Bez wyjątku, panie majorze. Lepszych nie znaleźć w całym regimencie.

–Potrzeba ci najlepszych, sierżancie. Po trzykroć próbowaliśmy tego eksperymentu i zawsze pod komendą chorążych, którzy łudzili mnie nadzieją powodzenia, ale za każdym razem zawiedli. Po tylu przygotowaniach i kosztach nie chcę ze szczętem porzucać tego projektu, ale to będzie ostatnia próba, a wynik jej zależy głównie od ciebie i Tropicieła.

–Pan major może liczyć na nas obojdwóch. Zadanie, które otrzymaliśmy, nie przerasta naszych umiejętności i doświadczenia, toteż sądzę, że będzie wykonane. Wiem, że Tropiciel nie zawiedzie.

–Na nim zaiste można polegać. To człek niezwykły; długo był dla mnie zagadką, lecz teraz, gdy już go zrozumiałem, żywię dlań taki sam respekt, jak dla każdego generała w służbie najjaśniejszego pana.

–Miałem nadzieję, iż pan.major dojdzie do przekonania, że zamierzone małżeństwo Tropicieła z Mabel jest rzeczą, którą winienein uważać za pożądaną i godną poparcia.

–Czas to pokaże, sierżancie – odparł z uśmiechem Lundie, choć i tu mrok przesłaniał łagodny wyraz jego oblicza. – Niekiedy trudniej jest pokierować jedną niewiastą niż całym regimentem mężczyzn. Ale, ale: wiesz chyba, że twój niedoszły zięć, kwatermistrz, udaje się tak-

że z wami; ufam, iż przynajmniej dasz mu równe szansę w ubieganiu się o uśmiechy twojej córki.

–Gdyby nie nakazywał mi tego szacunek dla jego rangi, życzenie waszej miłości byłoby wystarczające.

–Dziękuję ci, sierżancie. Długo służyliśmy razem i winniśmy cenić się nawzajem. Zrozum mnie jednak dobrze: nie proszę dla Muira o żadne przywileje, jedynie o wolne pole. W miłości równie jak na wojnie każdy musi sam wywalczyć sobie zwycięstwo. Pewny jesteś, że racje żywnościowe zostały obliczone właściwie?

–Za to ręczę,.panie majorze, ale gdyby nawet tak nie było, niczego nam nie zbraknie, skoro mamy dwóch takich myśliwych jak Tropiciel i Wielki Wąż.

–To na nic, Dunham! – przerwał mu ostro Lundie. – Takie poglądy wynikają u ciebie z amerykańskiego pochodzenia i wychowania. Prawdziwy żołnierz nie ogląda się na nikogo prócz swego prowiantowego, gdy idzie o wyżywienie, i proszę, by żaden oddział mojego pułku nie był pierwszym, który da przeciwny przykład.

–Wystarczy, by pan major wydał rozkaz, a będzie wykonamy, chociaż gdyby mi było wolno powiedzieć...

–Mów śmiało, sierżancie; rozmawiasz z przyjacielem.

–Chciałem tylko nadmienić, że jak mi wiadomo, nawet żołnierze szkoccy lubią dziczyznę i ptactwo nie gorzej od wieprzowiny, jeżeli o nią trudno.

–Może to być prawda, wszelako lubienie czy nielubienie nie ma nic wspólnego z systemem. Armia może polegać wyłącznie na swych prowiantowych. Zamiłowanie do nieporządku, właściwe żołnierzom z kolonii, zbyt często mieszało szyki służbie królewskiej, by dłużej patrzeć na to przez palce.

–Pułkownik Waszyngton był doradcą generała Braddocka, wasza miłość.

–Co mi tam twój Waszyngton! Wszyscy razem jesteście koloniałami, człowieku, i podtrzymujecie się wzajem, jak gdybyście należeli do zaprzysiężonego spisku!

–Sądzę, że najjaśniejszy pan nie ma wierniej szych poddanych niż Amerykanie, wasza miłość.

–Pewnie w tym nie błędzisz, Dunham, i może zbyt się zgorączkowałem. Ciebie jednakże nie uważam za kolo-niała, bo choć rodziłeś się w Ameryce, lepszy żołnierz nigdy nie nosił muszkietu.

–A pułkownik Waszyngton, wasza miłość?

–No... i pułkownik Waszyngton też może być pożytecznym poddanym. Jest waszym amerykańskim ósmym cudem świata i myślę, że mogę go darzyć całym uznaniem, jakiego się domagasz. Czy nie wątpisz w zdatność tego Gaspara Eau-douce?

–Chłopak jest wypróbowany i wiadomo, że spełni wszystko, czego odeń żądać.

–Nosi francuskie miano i spędził wiek chłopięcy we francuskich koloniach; czy nie ma aby i francuskiej krwi w żyłach, sierżancie?

–Ani kropelki, wasza miłość. Ojciec Gaspara był moim starym kamratem, a matka pochodzi z zacnej, lojalnej rodziny osiadłej w tej prowincji.

–Czemuż więc tyle przebywał pośród Francuzów i skąd to jego przezwisko? Wiem też, że mówi językiem Kanadyjczyków.

–Łatwo to wytłumaczyć, panie majorze. Czasu tamtej wojny chłopaka oddano pod opiekę jednemu z naszych marynarzy i rozmiłował się w wodzie niczym kaczką. Jak waszej miłości wiadomo, nie mamy na Ontario portów godnych tego miana, toteż, rzecz naturalna, spędzał on większość czasu po drugiej stronie jeziora, gdzie Francuzi od pięćdziesięciu lat trzymają parę statków. Nauczył się oczywiście języka, a przezwisko nadali mu Indianie i Kanadyjczycy, którzy lubią nazywać ludzi od ich przymiotów.

–Mimo wszystko Francuz kiepskim jest nauczycielem dla brytyjskiego żeglarza.

–Za pozwoleniem waszej miłości. Gaspara Eau-douce wychował prawdziwy angielski marynarz, taki, co pływał pod królewską banderą i godzien jest nazwy rzetelnego wilka morskiego. Wprawdzie urodził się w koloniach, ale przez to nie gorszy jest w swoim rzemiośle.

–Może i nie, sierżancie, ale też i nie lepszy. Ten Gaspar nieźle się sprawia, odkąd mu zleciłem dowodzenie „Chwistem”; nikt nie mógłby postępować lojalniej czy lepiej.

–Ani też dzielniej, panie majorze. Przykro mi, że pan wątpi w wierność Gaspara.

–Obowiązkiem żołnierza, któremu powierzono tak odległą i ważną placówkę, jest nigdy nie folgować w czujności. Mamy do czynienia z dwoma najprzebieglejszymi wrogami, jakich zna świat – Indianami i Francuzami – toteż nie wolno zamykać oczu na nic, co może wyrządzić szkodę.

–Mam nadzieję, że skoro wasza miłość uważał za stosowne zlecić mi dowodzenie, musi także uznawać, iż jestem godzien, by mi wyjawić jakieś szczególne przyczyny, dla których jakoby należy nie ufać Gasparowi.

–Nie dlatego waham się, czy ujawnić to, co mi wiadomo, iżbym tobie nie ufał,

Dunham, ale z tej racji, że myślę z wielką odrazą o puszczaniu w obieg uwłaczających wieści

o człowieku, o którym dotąd tak dobre miałem mniemanie. Musisz bardzo cenić Tropiciele, bo inaczej nie chciałbyś mu dać swojej córki?

–Za uczciwość Tropicielea odpowiadam mym własnym życiem, panie majorze! – odrzekł stanowczo sierżant, z godnością, która uderzyła jego przełożonego. – Taki człowiek nie umie być fałszywy.

–Myślę, że masz słuszną, Dunham, a jednak ta niedawna informacja obaliła wszystkie moje dawne opinie. Otrzymałem anonimową wiadomość, sierżancie, żebym się miał na baczności przed Gasparem Westernem albo Gasparem Eau-douce, jak go zowią, który rzekomo przekupiony jest przez nieprzyjaciela. Zapowiedziano też, że mogę oczekiwać rychłego nadesłania dalszych i ściślejszych informacji.

–Na wojnie nie warto przywiązywać zbytnej wagi do listów bez podpisu, panie majorze.

–Raczej w czasie pokoju, Dunham. W zwykłych sprawach nikt nie ma gorszego ode mnie zdania o autorze anonimowego listu; sam taki uczynek znamionuje tchórzliwość

i podłość, i jest zazwyczaj oznaką fałszu jak również innych przywar. Wszelako w sprawach wojny nie jest dokładnie tak samo. Prócz tego zwrócono mi uwagę na kilka podejrzanych okoliczności.

–Takich, które może znać podkomendny, wasza miłość?

–Z pewnością, zwłaszcza ten, któremu ufam tak bardzo jak tobie, Dunham. Powiedziano na przykład, że twojej córce i jej towarzyskom pozwolono wymknąć się z rąk Irokezów jedynie dlatego, by wzmocnić moje zaufanie do Gaspara. Dowiedziałem się, że panom z Frontenac bardziej zależy na pochwyceniu „Chwistu” z sierżantem Dunhamem i oddziałem żołnierzy oraz na udaremnieniu naszego wymarzonego planu niżli na takiej zdobyczy, jak dziewczyna i skalp jej wuja.

–Rozumiem, o co chodzi, ale nie wierzę. Gaspar nie może być nierzetelny, a Tropiciel fałszywy, co zaś się tyczy naszego przewodnika, to równie dobrze mógłbym nie ufać waszej miłości jak jemu.

–Tak by się wydawało, sierżancie, tak by się rzeczywiście wydawało. Ale bądź co bądź Gaspar to nie Tropiciel i wyznaję, że pokładałbym większą wiarę w tym chłopcu, gdyby nie gadał po francusku.

–Zapewniam pana majora, że i w moich oczach nie jest to rekomendacją, ale

chłopak nauczył się języka niejako pod przymusem i, za pozwoleniem waszej miłości, nie trzeba go za to zbyt pochopnie potępiać.

–Lichy to język i nikomu nic z niego nie przyszło, przynajmniej poddanym brytyjskim, boć pewnie sami Francuzi muszą z sobą gadać takim czy innym językiem. O wiele bardziej bym dowierzał temu Gasparowi, gdyby nie znał ich mowy. Ten list mnie zalterował i gdybym miał kogoś, komu bym mógł powierzyć kuter, znalazłbym sposób, aby Gaspara tutaj zatrzymać. Mówiliśmy już o twym szwagrze, który z tobą jedzie i jest marynarzem.

–Rzetelny to żeglarz morski, wasza miłość, i nieco uprzedzony do słodkiej wody. Wątpię, czy dałby się nakłonić, aby narazić na szwank swą sławę żeglując po jeziorze, a pewien też jestem, że nigdy nie trafiłby do placówki.

–To jest zapewne prawda, a poza tym nie może on wystarczająco znać tego zdradzieckiego jeziora, aby być zdatnym do takiej służby. Będziesz więc musiał być podwójnie czujny. Daję ci całkowicie wolną rękę: gdybyś zdybał tego Gaspara na jakiegokolwiek zdradzie, złóż go natychmiast w ofierze na ołtarzu sprawiedliwości.

–Będąc w służbie króla, Gaspar podlega sądowi wojennemu, wasza miłość.

–Prawda, tedy zakuj go od stóp do głów w żelaza i odeślij tutaj jego własnym kutrem. Ten twój szwagier chyba odnajdzie drogę z powrotem, kiedy ją raz przeplynie w tamtą stronę.

–Ani chybi, panie majorze, zrobimy wszystko, co będzie konieczne, jeżeli Gaspar postąpi tak, jak pan się tego spodziewa; wszelako życiem bym ręczył za jego poczciwość.

–Podoba mi się twoja ufność, bo dobrze świadczy o chłopcu, ale ten piekielny list! Ma takie pozory prawdy – nie; tyle jest w nim prawdy, jeżeli idzie o inne rzeczy.

–Wydaje mi się, iż wasza miłość wspominał, że nie ma on podpisu, a wielki to brak, jeżeli uczciwy człowiek go wysłał.

–Zupełnie słusznie, Dunham; jedynie łajdak, i to tchórzliwy łajdak na dobitkę, mógłby napisać anonimowy list w sprawie prywatnej. Na wojnie jednak bywa inaczej: podrabia się meldunki, a w powszechnym mniemaniu podstęp jest dopuszczalny.

–Owszem, podstęp wojenny, męski, panie majorze; taki jak zasadzki, zaskoczenie, fortele, pozorowane ataki, a nawet szpiedzy. Ale jeszcze nie słyszał, by prawy żołnierz chciał podobnymi środkami podkopać reputację uczciwego młodzieńca.

–W swoim życiu spotykałem się z wieloma osobliwymi wydarzeniami i jeszcze osobliwszymi ludźmi. No, ale wszystkiego dobrego, sierzancie, nie powinienem dłużej

cię zatrzymywać. Jesteś teraz uprzedzony i zalecam ci nieustanną czujność. Podobno Muir myśli niedługo wycofać się ze służby, jeśli więc w pełni powiedzie ci się to przedsięwzięcie, użyję swego wpływu, abys mógł po nim dostać awans, do którego masz wiele danych.

–Pokornie dziękuję waszej miłości – odparł chłodno sierżant, którego w ten sposób ustawicznie zachęcano przez lat dwadzieścia' – ufam, że nigdy nie zhańbię swojego stopnia, jakimkolwiek on będzie. Jestem taki, jakim mnie uczyniła natura i Opatrzność, i nic mi nie brakuje.

–Nie zapomniałeś o haubicy?

–Dziś rano Gaspar wziął ją na pokład.

–Bądź ostrożny i nie ufaj zbyt wiele temu człowiekowi. Musisz natychmiast zwierzyć się Tropicielowi; może on być przydatny przy wykrywaniu wszelkiej podłości, jaka by się kroila. Jego prostota i uczciwość będą sprzyjały obserwacji przez to, że ją zamaskują. Ten przynajmniej musi być wierny.

–Za niego odpowiadam głową, panie majorze, a nawet swoim stopniem w pułku. Zbyt często widziałem go wystawionego na próbę, aby wątpić o jego uczciwości.

–Ze wszystkich przykrych uczuć najboleśniej jest nieufność tam, gdzie należałoby ufać. Pamiętałeś o zapasowych skałkach do muszkietów?

–Można być pewnym, że sierżant jako dowódca nie zapomni o żadnych takich szczegółach.

–A zatem daj że mi rękę, Dunham. Niech cię Bóg prowadzi. Oby ci się powiodło. Muir chce się wycofać ze służby – daj mu równe szansę u córki, bo to może ułatwić przyszłe starania o awans. Człowiek weselej odchodzi, kiedy ma taką towarzyszkę jak Mabel, niżli wówczas, gdy czeka go posępna samotność, gdy nie ma nikogo do kochania prócz siebie samego – i to takiego jak Davy.

–Ufam, panie majorze, że moja córka dokona roztropnego wyboru, a myślę też, że jest już prawie zdecydowana na korzyść Tropicielea. W każdym razie będzie miała wolną rękę, aczkolwiek nieposłuszeństwo jest największym przestępstwem po buncie.

–Gdy tylko przybędziecie na miejsce, każ starannie przejrzeć i wysuszyć amunicję; wilgoć na jeziorze może ją uszkodzić. No, raz jeszcze do widzenia, sierżancie. Strzeż się tego Gaspara i naradzaj z Muirem we wszelkich trudnościach. Będę oczekiwał twojego tryumfalnego powrotu od dziś za miesiąc.

–Niech Bóg ma pana majora w swojej opiece. Gdyby mi się coś przytrafiło, polegam

na waszej miłości, że nie zapomni o starym żołnierzu.

–Polegaj na mnie, Dunham, bo wtedy polegać będziesz na swoim przyjacielu. Bądź czujny; pamiętaj, że znajdziesz się w paszczy lwa – ba, nie lwa nawet, a zdradzieckiego tygrysa – i będziesz w tej puszczy sam, bez pomocy. Jutro rano przejrzyj i przelicz skałki... No, żegnaj, Dunhamie, żegnaj.

Sierżant z należnym respektem ujął wyciągniętą dłoń swego przełożonego, po czym nareszcie się rozstali; Lundie pośpieszył do swej ruchomej siedziby, Dunham zaś opuścił fort, zszedł na brzeg i wszedł do łodzi.

Nie należy przypuszczać, by sierżant, rozstawszy się ze swym dowódcą, był skłonny zapomnieć o otrzymanych przestrożkach. Ogółem biorąc miał bardzo dobrą opinię o Gasparze, ale między jego dawne zaufanie a poczucie obowiązku zakradła się podejrzliwość, a ponieważ czuł teraz, że wszystko zależy od jego czujności, więc kiedy łódź dotarła do burty „Chwistu”, gotów był nie przeoczyć żadnej podejrzanego oznaki i bacznie śledzić wszelkie niezwykle poczynania młodego marynarza. Ma się rozumieć, widział wszystko w świetle odpowiadającym swojemu uprzedzeniu, a na jego ostrożność i nieufność wpływały nawyki, poglądy i wykształcenie.

„Chwist” podniósł kotwicę, gdy tylko zauważono, że od brzegu odbija łódź wioząca sierżanta – ostatnią osobę, jakiej oczekiwano. Kuter zwrócono dziobem w kierunku wschodnim za pomocą wiosł. Kilka energicznych ruchów – w czym dopomogli żołnierze – pchnęło lekki stateczek w prąd, który wypływał z rzeki, i wtedy „Chwist” jął się ponownie oddalać od brzegu. Wciąż jeszcze nie było wiatru; delikatny, zaledwie wyczuwalny powiew od jeziora, który dawał się zauważyć przed zachodem słońca, ustał całkowicie.

Przez cały ten czas na kutrze panowała niezwykła cisza. Rzekłbyś, znajdujący się tam ludzie czuli, że w mroku nocy ruszają na niepewną wyprawę; czekające ich zadanie, pora i okoliczności odjazdu nadawały ich poczynaniom uroczyste piętno. W sukurs owym uczuciom przyszła też dyscyplina. Większość zachowywała milczenie, a ci, co rozmawiali, odzywali się z rzadka i zniżonym głosem.

W ten sposób kuter wypłynął powoli na jezioro tak daleko, jak mógł go ponieść prąd rzeczny, następnie zatrzymał się i czekał na podmuch od lądu. Minęło pół godziny; przez cały ten czas „Chwist” leżał na wodzie nieruchomy jak kłoda. Kiedy następowały opisane powyżej, drobne zmiany w położeniu statku, na jego pokładzie mimo powszechnego milczenia nie wszędzie ustały rozmowy, albowiem sierżant Dunham, stwierdziwszy, że córka wraz ze swą towarzyszką przebywa na pomoście, powiódł Tropiciela do kabiny rufowej, zamknął starannie drzwi i upewniwszy się, że nikt go nie może podsłuchać, ozwał się tymi słowami:

–Wiele już lat minęło, przyjacielu, odkąd wraz ze mną zacząłeś poznawać trudy i

niebezpieczeństwa puszczy.

–Tak jest, sierżancie. Niekiedy lękam się, że już za stary dla Mabel, której jeszcze nie było na świecie, gdy ty i ja biliśmy się z Francuzami ramię przy ramieniu.

–O to niech cię głowa nie boli, Tropicielu. Byłem mniej więcej w twoim wieku, gdy pozyskałem sobie jej matkę; a Mabel to zrównoważona, myśląca dziewczyna, która ceni charakter bardziej niż cokolwiek innego. Na przykład taki chłopak jak Gaspar Eau-douce nie miałby u niej powodzenia, chociaż jest i młody, i przystojny.

–Alboż Gaspar myśli o ożenku? – zapytał przewodnik z prostotą i powagą.

–Mam nadzieję, że nie; przynajmniej dopóki nie przekona wszystkich, że już nadaje się do tego, aby wziąć sobie żonę.

–Gaspar to dzielny chłopak i bardzo zdolny żeglarz; mógłby chcieć się ożenić równie jak każdy inny.

–Mówiąc szczerze, Tropicielu, przyprowadziłem cię tutaj właśnie po to, aby pogadać o tym młodzieńcu. Major Duncan otrzymał informacje, które każą mu podejrzewać, że Eau-douce jest zdrajcą na żołdzie nieprzyjaciela. Chciałbym usłyszeć twoje zdanie na ten temat.

–Co takiego?

–Powtarzam, że major podejrzewa, iż Gaspar jest zdrajcą, francuskim szpiegiem albo, co gorsza, że został przekupiony, aby nas zdradzić. Major otrzymał list, w którym mu o tym donoszą, i przykazał, abym miał oko na chłopaka, obawia się bowiem, że za jego sprawą spotkamy się z nieprzyjacielem w najmniej spodziewanej chwili.

–I to ci powiedział Duncan of Lundie?

–Tak jest, Tropicielu, i chociaż wzdragam się dać wiarę czemukolwiek, co przynosi ujmę Gasparowi, czuję, że nie powinienem mu ufać. Wierzysz w przeczucia, przyjacielu?

–W co, sierżancie?

–W przeczucia, rodzaj tajemnej wiedzy o przyszłych wydarzeniach. Szkoci z naszego pułku są tego wielkimi zwolennikami, a moja opinia o Gasparze zmienia się tak szybko, że zaczynam się lękać, iż jest coś z prawdy w tej ich teorii.

–Ależ przecież rozmawiałeś o Gasparze z Duncanem of Lundie, i to właśnie jego słowa obudziły w tobie podejrzenia.

–Wcale tak nie było, bynajmniej. Kiedy gadałem z majorem, myślałem wręcz odwrotnie i robiłem, co mogłem, ażeby go przekonać, że chłopcu wyrządza krzywdę. Ale widzę, że nie ma co opierać się przeczuciom, i boję się, że jednak coś tkwi w tym podejrzeniu.

–Nic mi nie wiadomo o przeczuciach, sierżancie, natomiast Gaspara Eau-douce znam od małego i równie wierzę w jego uczciwość, jak w swoją własną czy nawet samego Węża.

–Ależ Wąż, Tropicielu, stosuje na wojnie podstępny i zasadzki, równie jak każdy inny.

–Owszem, lecz to są jego przyrodzone cechy, właściwe jego plemieniu. Ani czerwonoskóry, ani biały nie może oprzeć się swej naturze, wszelako Chingachgook nie jest człkiem, co do którego można by mieć owe przeczucia.

–W to wierzę, a i o Gasparze nie myślałem źle jeszcze tego rana. Odkąd mam to przeczucie, wydaje mi się, że chłopak nie krząta się jak zwykle po pokładzie w sposób naturalny, ale jest milczący, markotny i zamyślony jak człowiek, któremu coś ciąży na sumieniu.

–Gaspar nie jest nigdy hałaśliwy, mówi, że hałaśliwe statki są na ogół źle prowadzone. Imć Cap też się z tym zgadza. Nie, nie uwierzę w nic, co świadczy przeciwko Gasparowi, dopóki nie przekonam się na własne oczy. Poślij po swego szwagra, sierżancie, wy pytajmy go o tę sprawę, bo zasnąć, mając na sercu podejrzenie na przyjaciela, to jest tak, jakby się miało tam ołów. Nie wierzę w twoje przeczucia.

Sierżant zgodził się, chociaż nie bardzo wiedział, po co to czyni, i Capa zawezwano na radę. Ponieważ Tropiciel był bardziej opanowany niż jego towarzysz i żywił niezłomne przeświadczenie o dobrej wierze oskarżonego, podjął się więc wyłuszczenia sprawy.

–Prosiliśmy pana tu na dół – zaczął – ażeby spytać, czy dzisiejszego wieczora zauważyłeś coś niezwykłego w poczynaniach Gaspara.

–Uważam, iż poczynania sobie dosyć zwyczajnie jak na słodką wodę, chociaż na morzu uznalibyśmy większość jego poczynania za nieodpowiednie.

–Tak, tak; wiemy, że pan się nigdy z nim nie zgodzisz co do sposobu kierowania kutrem, ale chcielibyśmy usłyszeć pańskie zdanie o innej sprawie.

Tropiciel przedstawił Capowi, jakie podejrzenie żywi sierżant tudzież przyczyny, które je obudziły, tak jak mu je podał do wiadomości major Duncan.

–Chłopak mówi po francusku? – zapytał Cap.

–Podobno mówi niezwykle dobrze – odparł poważnie sierżant. – Tropiciel wie o tym.

–Nie zaprzeczę – odpowiedział przewodnik. – Tak mi przynajmniej powiadano. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi, zwłaszcza w przypadku Gaspara. Ja sam mówię dialektem Mingów, bom go się nauczył, gdy byłem jeńcem tych gadów; a któż powie, że jestem ich przyjacielem? Nie żebym był ich wrogiem w rozumieniu indiańskim, ale nim jestem, przyznaję, tak jak mi na to pozwala chrześcijaństwo.

–Tak, Tropicielu, ale Gaspar nie nauczył się francuskiego jako jeńiec; przyswoił sobie ów język w latach chłopięcych, kiedy umysł łatwo chłonie wszystko i nabie

ra trwałych poglądów, kiedy natura, że tak powiem, ma przeczucie, w którą stronę skłaniać się będzie charakter.

–Bardzo słuszna uwaga – dodał Cap. – Boć w owej dobie życia uczymy się katechizmu i innych umoralniających rzeczy. Słowa sierżanta pokazują, że rozumie on ludzką naturę, toteż zgadzam się z nim całkowicie; paskudna to rzecz, żeby młodzik na tym tu skrawku słodkiej wody gadał po francusku. Gdyby to było na Atlantyku, gdzie żeglarz ma czasem sposobność rozmawiać w tym języku z pilotem lub tłumaczem, nie zwracałbym na to takiej uwagi – choć nawet tam patrzymy nieufnie na marynarza zbyt dobrze znającego tę mowę; ale tu na Ontario uważam, że to jest w najwyższym stopniu podejrzane.

–Ale Gaspar musi rozmawiać po francusku z ludźmi z drugiego brzegu – rzekł Tropiciel – albo też trzymać język za zębami, bo tam można porozumieć się tylko francuszczyzną.

–Nie chcesz chyba powiedzieć, Tropicielu, że Francja leży tutaj na przeciwległym brzegu! – wykrzyknął Cap wskazując przez ramię dużym palcem w stronę Kanady. – Że po jednej stronie tego kawałka słodkiej wody jest Jork, a po drugiej Francja!

–Chcę powiedzieć, że tutaj jest Jork, a tam Górna Kanada, że tu mówi się po angielsku, holendersku i indiańsku, a tam po indiańsku i francusku. Nawet Mingowie przejęli wiele francuskich słów do swego dialektu, przez co bynajmniej go nie ulepszyli.

–Prawda, ale jakiż to rodzaj ludzi, ci Mingowie, mój przyjacielu? – zapytał sierżant dotykając ramienia tamtego, jak gdyby chciał podkreślić swoje słowa, których oczywista prawdziwość przydawała im ceny w oczach mówiącego. – Nikt nie zna ich lepiej od ciebie, a ja pytam, co to za rodzaj plemienia?

–Gaspar nie jest Mingiem, sierżancie.

–Mówi po francusku, więc pod tym względem niczym się od niego nie różni. Szwagrze, czy nie przypominasz sobie, by ów nieszczęśnik zrobił coś z dziedziny

waszego zawodu, co mogłoby wskazywać na zdradzieckie zamiary?

–Nic wyraźnego, sierżancie, choć na ogół brał się do roboty od niewłaściwej strony. Co prawda, jeden z jego ludzi związał linę z prawa w lewo, a kiedy spytałem, co robi, nazwał to „skręcaniem”, ale nie jestem pewien, czy to ma jakieś znaczenie, chociaż Francuzi połową swoich lin związają w odwrotną stronę i na dobrą sprawę mogą to także zwać „skręcaniem”. Poza tym sam Gaspar zamocował hals od kliwra do olinowania zamiast do masztu, gdzie jest jego miejsce, przynajmniej u marynarzy brytyjskich.

–Przypuszczam, że Gaspar przebywając tyle po tamtej stronie mógł nabrać pewnych kanadyjskich pojęć o kierowaniu statkiem – wtrącił Tropiciel – ale przyswojenie sobie pomysłu czy słowa nie jest jeszcze zdradą lub złą wiarą. Ja sam czasem przejmuję jakiś pomysł od Mingów, ale serce moje jest zawsze z Delawarami. Nie, nie, Gaspar jest wierny i król mógłby równie spokojnie powierzyć koronę, jemu, jak swemu najstarszemu synowi, który ma ją kiedyś nosić, i przeto niepodobna przypuszczać, by chciał ją ukraść.

–Piękne słowa! – rzekł Cap. – Piękne słowa, Tropicielu, ale logiki w nich mało. Po pierwsze: miłościwy pan nie może wypożyczać swojej korony, jako że byłoby to sprzeczne z prawami obowiązującymi w królestwie, które nakazują mu nosić ją w każdej dobie, ażeby można było poznać jego świętą osobę, podobnie jak srebrne wiosło niezbędne jest przedstawicielowi szeryfa, gdy znajdzie się na wodzie. Po wtóre: w myśl prawa byłoby zdradą stanu, gdyby najstarszy syn jego królewskiej mości pożądał korony albo miał dziecko z nieprawego łoża, jedno i drugie bowiem naruszyłoby porządek sukcesji. Widzisz więc, przyjacielu, że aby prawidłowo rozumować, trzeba, że tak się wyrażę, ruszyć z miejsca właściwym halsem. Prawo to rozum, rozum to filozofia, a filozofia to niezawodna kotwica; z czego wynika, że sprawy korony reguluje prawo, rozum i filozofia.

–Niewiele się na tym wszystkim rozumiem, ale tylko naocznie i namacalnie dam się przekonać, że Gaspar Western jest zdrajcą.

–W tym znów się mylisz, Tropicielu, albowiem istnieje sposób udowodnienia jakiejś rzeczy o wiele bardziej przekonująco niż za pomocą wzroku, dotyku, czy obu naraz. A jest to mianowicie poszlaka.

–Może tak bywa w osiedlach, ale nie tu, w puszczy.

–Tak bywa w naturze, która nad wszystkim króluje. Dzisiejszego wieczora, zaraz po naszym przybyciu na pokład, zdarzyła się pewna okoliczność, która jest niezwykle podejrzana i może od razu bardzo obciążyć chłopaka. Gaspar własnoręcznie wciągnął na maszt banderę królewską, a udając, że patrzy na Mabel i żonę żołnierza oraz udziela wskazówek, gdzie je poprowadzić pod pokład, wywiesił flagę do góry nogami.

–To mógł być przypadek – odparł sierżant – bo coś podobnego zdarzyło się i mnie; prócz tego linka biegnie przez krążek i flaga mogła podnieść się prawidłowo albo nie, w zależności od tego, jak ją wciągał.

–Krażek! – wykrzyknął Cap z ogromnym niesmakiem. – Bardzo bym chciał, sierżancie, byś dał się nakłonić do używania właściwych terminów. Blok do wciągania bandery równie przypomina krążek jak halabarda bosak. Prawda, że kiedy ciągnąć za jedną część linki, druga idzie w górę, ale odkąd wspomnieliście mi o swych podejrzaniach, uważam tę historię za poszlakę i zanotuję ją sobie. Wszelako mam nadzieję, że nie zapomni się o kolacji, choćbyśmy nawet mieli pełną ładownię zdrajców.

–Kolacją zajmiemy się we właściwej porze, jednakże liczę na ciebie, szwagrze, że pomożesz kierować „Chwistem”, gdyby zdarzyło się coś, co by mnie zmusiło do aresztowania Gaspara.

–Nie zrobię ci zawodu, sierżancie, a w takim wypadku dowiesz się zapewne, czego ten kuter może naprawdę dokazać, bo zdaje mi się, że jak dotychczas, polega to głównie na zgadywaniu.

–No, co do mnie – powiedział Tropiciel wzdychając głęboko – nie porzucę nadziei, że Gaspar jest niewinny, i zalecam otwarte postępowanie. Należy bez dalszej zwłoki zapytać samego chłopca, czy jest zdrajcą, czy nie. Stawiam na Gaspara Westerna przeciwko wszystkim przeczuciom i poszlakom w całej tej kolonii.

–Nic z tego – odparował sierżant. – Odpowiedzialność za tę sprawę spoczywa na mnie, ja zaś żądam i nakazuję, by z nikim o tym nie mówić bez mojej wiedzy. My trzej będziemy mieli baczne oko na wszystko i nie prześlepiemy żadnej okoliczności.

–Tak, tak; poszlaki to mimo wszystko rzecz najważniejsza – odrzekł Cap. – Jedna poszlaka warta jest tyle co pięćdziesiąt faktów. Wiem, że tak przewidują prawa królestwa. Niejednego już powieszono na podstawie poszlak.

Na tym skończyła się rozmowa, niebawem zaś wszyscy trzej wrócili na pokład, a każdy z nich skłonny był oceniać postępowanie podejrzanego Gaspara tak, jak mu dyktowały własne nawyki oraz charakter.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I właśnie człek tak słaby i bezduszny,

Płaczliwy, tępy, z przerażeniem w oku

Rzekł do Priama tej straszliwej nocy.

Oto pół Troi spłonęło pożarem.

SZEKSPIR

Przez cały ten czas na kutrze wszystko szło swoim zwykłym trybem. Gaspar, podobnie jak sam statek oraz pogoda, wyczekiwał bryzy od lądu, żołnierze zaś, przyzwyczajeni do wczesnego wstawania, ułożyli się na siennikach w głównej ładowni. Na pokładzie pozostała jedynie załoga kutra, pan Muir i obie kobiety. Kwatermistrz usiłował przypodobać się Mabel, natomiast bohaterka nasza, niezbyt przejęta jego nadskakiwaniem – które częściowo przypisywała zwykłej żołnierzom galanterii, częściowo zaś może i swojej ładnej twarzyczce – radowała się osobliwościami widoku i sytuacji, która była dla niej pełna uroku nowości.

Żagle wciągnięto, ale jak dotąd nie nadleciało ani jedno tchnienie wiatru; jezioro było tak ciche i spokojne, że niepodobna było dostrzec najmniejszego poruszenia kutra. Prąd rzeczny poniósł go na odległość nieco powyżej ćwierć mili od lądu i tam statek spoczywał na wodzie, piękny w swojej symetrii i kształcie, ale zupełnie nieruchomy. Gaspar przebywał na pokładzie, dość blisko, by słyszeć urywki rozmowy, był jednak za mało pewny siebie, a także nazbyt zajęty -własnymi obowiązkami, aby się do niej mieszać. Piękne, błękitne oczy Mabel z dziwnym wyrazem oczekiwania śledziły jego ruchy i kwatermistrz niejednokrotnie musiał powtarzać swe komplementy, zanim je usłyszała, tak była pochłonięta wszelkimi drobiazgami, jakie się działy na kutrze, oraz – możemy tu dodać – tak obojętna na elokwencję swego towarzysza.

Wreszcie nawet pan Muir zamilkł i na wodzie zapanowała głęboka cisza. Po chwili rozległ się odgłos wiosła, rzuconego do łodzi pod fortem, i dźwięk ów doleciał do kutra z taką wyrazistością, jak gdyby wydarzyło się to na jego pokładzie. A potem usłyszano szmer niby westchnienie nocy, dalej zaś trzepot płótna, skrzypienie bomu i plaśnięcie kliwra. Po owych dobrze znanych odgłosach kuter przechylił się lekko, a żagle wydęły.

–Idzie wiatr, Anderson! – zawołał Gaspar do najstarszego ze swoich majtków. –
Stawaj przy sterze!

Krótki rozkaz został wykonany; ster przełożono, dziób kutra przesunął się nieco w bok i w kilka minut później dosłyszano szmer wody, gdy „Chwist” jął sunąć po jeziorze z szybkością pięciu mil na godzinę. Wszystko to działo się pośród głębokiej ciszy. Wtem Gaspar dał rozkaz poluzowania szkotów i płynięcia wzdłuż brzegu. W tej właśnie chwili trzech mężczyzn, którzy naradzali się w kabinie rufowej, wyszli na pokład.

–Nie masz pan widać ochoty, Gasparze, zapuszczać się za blisko naszych sąsiadów Francuzów – zauważył Muir, który skorzystał z okazji, aby znów podjąć rozmowę. – No cóż, nie przyganiam twej ostrożności, bo i ja nie więcej od ciebie miłuję Kanadę.

–Płynę wzdłuż brzegu, mości Muir, ze względu na wiatr. Bryza od lądu jest zawsze najsilniejsza tuż przy nim, byleby nie zbliżyć się zanadto, bo wówczas drzewa zasłaniają od wiatru. Musimy teraz przejść przez zatokę, a przy obecnym kursie odsądźmy się w ten sposób dosyć daleko od lądu.

–Szczepnie rad jestem, że to nie Zatoka Meksykańska – wtrącił Cap – bo wolałbym nie odwiedzać owych stron na takim śródlądowym stateczku. Czy twój kuter łatwo wchodzi w wiatr, mości Eau-douce?

–Słucha on steru, mości Cap, ale gdy żywo idzie, lubi zaglądać w bryzę nie gorzej od innego.

–Myślę, że masz takie rzeczy jak refy, choć pewnie rzadko ci się nadarza sposobność ich użycia?

Bystre oko Mabel wykryło uśmieszek, który na moment zajaśniał na przystojnej twarzy Gaspara, ale nikt poza nią nie zauważył tej przelotnej oznaki zdziwienia i wyższości.

–Mamy refy i często nam się zdarza ich tutaj używać – odparł spokojnie młody człowiek. – Nim dopłyniemy na miejsce, może nastroczy się sposobność pokazać panu, jak to czynimy, bo szykuje się wschodnia wieją, a nawet na' samym oceanie wiatr nie potrafi hulać żwawiej niż po jeziorze Ontario.

–Co pan tam wiesz! Widywałem na Atlantyku wiatry, które kręciły się niczym koła karety, aż żagle przez godzinę dygotały, okręt zaś stał bez ruchu, nie wiedząc, w którą stronę się obrócić.

–Nie mamy tu, oczywiście, tak nagłych zmian – odparł łagodnie Gaspar – chociaż zdarzają się niespodziewane przeskoky wiatru. Wszelako mam nadzieję dopłynąć z tą bryzą od lądu do pierwszych wysp, a potem zmniejszy się już niebezpieczeństwo wykrycia i pościgu przez łodzie czatownicze z Frontenac.

–Myślisz, że Francuzi wysyłają swych szpiegów na pełne jezioro? – zapytał

Tropiciel.

–Wiadomo, że tak jest; w nocy na zeszły wtorek jeden z nich podpłynął aż pod Oswego. Do wschodniego cypla przybiło czółno z kory i jakiś Indianin oraz oficer wysiedli na ląd. Gdybyś tej nocy był jak zwykle na zwiadzie, pochwycilibyśmy któregoś z nich albo i obydwóch.

Było zbyt ciemno, by dojrzeć rumieniec, który oblał ogorzałą twarz przewodnika; Tropiciel czuł się winny, że tego wieczora pozostał w forcie słuchając słodkiego głosu Ma-bel, która śpiewała ojcu ballady, i wpatrując się w jej twarz promieniejącą urokiem. Prawość myśli oraz postępów stanowiła naczelną rys charakteru owego niezwykłego człowieka, więc chociaż czuł, że jego beczynność wspomnianego wieczora miała w sobie coś hańbiącego, był jak najdalszy od tego, aby umniejszać czy też wypierać się własnego zaniedbania.

–Przyznaję się, Gasparze, przyznaję – powiedział pokornie. – Gdybym był wyszedł z fortu owej nocy – a nie przypominam sobie w tej chwili dostatecznych przyczyn, dla których tego nie uczyniłem – mogło się w rzeczy samej stać tak, jak powiadasz.

–To był ten wieczór, który spędziłeś z nami, Tropicielu – zauważyła niewinnie Mabel. – Chyba człowiekowi, który tyle czasu trawi w lesie w obliczu nieprzyjaciela, można wybaczyć, że poświęcił kilka godzin staremu przyjacielowi i jego córce.

–Nie, nie; odkąd dotarliśmy do garnizonu, właściwie tylko próżnuję – odparł tamten z westchnieniem. – Chłopak dobrze zrobił, że mi to -wypomniął, bo leniwemu potrzeba nagany, tak, tak, potrzeba.

–Nagany, Tropicielu? Ani mi się śniło powiedzieć ci cokolwiek niemilego, a cóż dopiero udzielać nagany dlatego, że wymknął się nam jeden czy drugi szpieg albo Indianin. Teraz, kiedy już wiem, gdzie przebywałeś, uważam twą nieobecność za najnaturalniejszą rzecz na świecie.

–Nie mam ci wcale za złe twych słów, Gasparze, bom sobie na nie zasłużył. Wszyscy jesteśmy ludźmi i błądzimy.

–Niemilo to powiedziałaś, Tropicielu.

–Daj mi rękę, chłopcze, daj rękę. To nie ty dałeś mi nauczki, ale sumienie.

–No – przerwał Cap – skoro sprawa została załatwiona ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych, może nam powiesz, skąd to wiadomo, że tak niedawno byli w pobliżu nas szpiedzy? To mi zadziwiająco wygląda na poszlakę.

Marynarz wypowiadając ostatnie zdanie, nadepnął przebiegle sierżantowi na nogę, trącił łokciem Tropiciela i mrugnął doń jednocześnie choć znak ów był

niedostrzegalny w ciemnościach.

–Wiadomo to stąd, że nazajutrz Wąż odnalazł ich trop i że były to ślady wojskowego buta i mokasynu. Co więcej, jeden z naszych myśliwych widział następnego rana czółno płynące w stronę Frontenac.

–Czy ten ślad prowadził w pobliżu fortu, Gasparze? – zapytał Tropiciel cicho i pokornie niczym połajany sztubak. – Czy ślad prowadził w pobliże fortu, chłopcze?

–Zdawało nam się, że nie; oczywiście nie przeszedł on na drugą stronę rzeki. Docierał do wschodniego cypla przy ujściu, tam skąd można widzieć, co dzieje się w porcie, natomiast, o ile mogliśmy to zbadać, nie przechodził na drugą stronę,

–A czemuż to nie puściłeś się za nimi w pogoń, mości Gasparze? – zapytał Cap. – We wtorek rano dmuchała porządna bryza, taka, że ten kuter mógł iść z szybkością dziewięciu węzłów.

–Można to zrobić na oceanie – wtrącił Tropiciel – ale nie tutaj. Woda nie zostawia śladów, a Mingo i Francuz diabłu dadzą radę, jak przyjdzie do pościgu.

–A po co komu ślad, skoro można widzieć ściganego z pokładu, jak to sam Gaspar powiedział o tym czólnie? Nawet dwudziestu tych waszych Mingów i Francuzów nic by nie zauważyło, gdyby ich kilwaterem puścił się porządny brytyjski statek. Założyłbym się, mości Eau-douce, że gdybyś mnie zawołał owego wtorkowego rana, bylibyśmy dognali psubratów!

–Ma się rozumieć, że rady tak wytrawnego żeglarza jak pan nie zaszkodziłyby mnie, młodemu marynarzowi, ale gdy trzeba ścigać czółno z kory, pogoń jest długa i beznadziejna.

–Wystarczyłoby tylko dobrze je przycisnąć i wpędzić na brzeg.,

–Na brzeg, mości Cap! Nie rozumiesz się zgoła na naszej jeziorowej żegludze, jeżeli sądzisz, że jest tak łatwo wpędzić czółno na brzeg. Gdy tylko te łapserdaki zobaczą, że się na nich napiera, wiosłują prosto pod wiatr i nim się człek obejrzy, już zostaje o parę mil w tyle.

–Nie chcesz mi chyba wmówić, panie Gasparze, iż znajdzie się ktokolwiek tak niebaczny na niebezpieczeństwo, aby wyruszać na jezioro w owej skorupce jajka, kiedy wiatr wieje?

–Sam często przepływałem Ontario czólnem z kory, nawet wówczas, gdy była porządna fala. Te łódki należą do najsuchszych, jakie znamy, jeżeli dobrze nimi kierować.

Cap odwiódł teraz swojego szwagra wraz z Tropicielem na stronę i zapewnił ich, że wyznanie Gaspara na temat szpiega jest „poszlaką” i to „wyraźną poszlaką”, która jako taka zasługuje na baczną rozagę, opowieści zaś o czólnach są tak nieprawdopodobne, że wyglądają na drwiny ze słuchaczy. Gaspar z zupełną pewnością określił, kim byli owi dwaj osobnicy, którzy wylądowali, to zaś Cap uważał za oczywisty dowód, że młodzieniec wie o nich więcej, niż można wymiarkować z tropu. Co się tyczy mokasynów, twierdził, że w tej stronie świata noszą je zarówno biali, jak Indianie, sam bowiem nabył sobie parę; a znowu buty, jak wiadomo, nie stanowią jeszcze o tym, czy ktoś jest żołnierzem.

Aczkolwiek owe wywody niezbyt przekonały sierżanta, przecie wywarły one pewne wrażenie. Dunham sam uznał za rzecz osobliwą, że wykryto szpiegów tak blisko fortu, a on nic o tym nie wiedział; nie uważał też by zbieranie takich wiadomości było specjalnością Gaspara. Wprawdzie parokrotnie posyłano „Chwist” na drugą stronę jeziora, ażeby wysadzić na ląd ludzi, obarczonych podobnym zadaniem., lecz sierżant wiedział z pewnością, że rola, jaką wówczas odgrywał Gaspar, była drugorzędna, albowiem dowódca kutra, podobnie jak wszyscy inni, nie miał pojęcia o celu wyprawy osób, które przewoził tam i z powrotem. Sierżant nie widział również powodu, aby ze wszystkich obecnych jednemu Gaspar owi tylko wiadomo było cokolwiek o tych ostatnich odwiedzinach.

Tropiciel miał inny pogląd na sprawę. Wiedziony przyrodzoną skromnością, wyrzucał sobie zaniedbanie obowiązków, toteż owa informacja, której nieznajomość poczytywał sobie na winę – gdyż jego rzeczą było ją znać – wydawała mu się zasługą młodzieńca. Nie dostrzegł nic nadzwyczajnego w fakcie, że Gaspar wiedział o tym zdarzeniu, natomiast uważał za coś niezwykłego, by nie powiedzieć haniebnego, że on sam dopiero teraz o tym usłyszał.

–Co się tyczy mokasynów, panie Cap – ozwał się, gdy krótka przerwa w rozmowie dała mu po temu sposobność – to wprawdzie mogą je nosić zarówno biali, jak czerwonoskórzy, ale nigdy nie pozostawiają oni takich samych śladów. Każdy, kto zna puszcę, potrafi odróżnić trop Indianina od tropu białego, bez względu na to, czy pozostawił go but czy mokasyn. Trzeba by lepszych dowodów, by mnie przekonać, że Gaspar nas oszukuje.

–Zgodzisz się, Tropicielu, że jest na świecie coś takiego jak zdrajca? – wtrącił logicznie Cap.

–Jeszcze nie widział uczciwego Minga, takiego, w którym można by pokładać wiarę, gdyby miał chętkę człowieka podejść. Oszustwo jest snadź ich naturą i czasem myślę, że godni są raczej współczucia niżli prześladowania.

–W takim razie dlaczego ten Gaspar nie mógłby mieć podobnej słabości? Człowiek jest człowiekiem, a ludzka natura bywa nędzna, jak o tym wiem z doświadczenia.

Stało się to początkiem długiej i bezładnej dyskusji, w której toku wypowiedziano się za i przeciw prawdopodobieństwu winy czy niewinności Gaspara. Wreszcie zarówno sierżant, jak jego szwagier niemal ostatecznie doszli do przeświadczenia, że Gaspar jest winien, natomiast ich towarzysz coraz uparciej bronił oskarżonego oraz umacniał się w opinii, że go niesłusznie obciążają zarzutem zdrady. Nie było w tym nic, co wykraczałoby poza zwykły bieg rzeczy, albowiem nie ma pewniejszego sposobu utwierdzenia się w danym mniemaniu niż podjęcie jego obrony, a do naszych najbardziej upartych poglądów zaliczyć można te, co rodzą się z dyskusji, w której rzekomo poszukujemy prawdy, w rzeczywistości zaś tylko umacniamy powzięte z góry mniemanie.

O tym czasie sierżant doszedł już do takiego stanu umysłu, który skłaniał go, aby każdy postępek młodego marynarza przyjmować z nieufnością. Wprędce też zgodził się ze swym szwagrem, że owe szczególne wiadomości Gaspara na temat szpiegów – bezwzględnie nie należące do zakresu jego zwyczajnych obowiązków – uznać należy za „okoliczność”.

Podczas gdy owe sprawy omawiano przy nadburciu rufowym, Mabel siedziała w milczeniu opodal zejścia kajutowego, pan Muir bowiem udał się już pod pokład, by zażyć wczasu. Gaspar stał nieco na uboczu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a oczy jego wędrowały z żagli na obłoki, z obłoków na mroczny zarys brzegu, z brzegu na jezioro, z jeziora zaś znowu na żagle. Nasza bohaterka także zatopiła się we własnych myślach. Podniecenie niedawnej podróży, wypadki, które towarzyszyły przybyciu do fortu, spotkanie z ojcem nieledwie dla niej obcym, nowość jej sytuacji w garnizonie oraz obecna wyprawa – stanowiły dla oczu duszy panoramę, która zdawała się rozciągać na całe miesiące. Mabel trudno było uwierzyć, że tak niedawno opuściła miasto i wszystkie obyczaje cywilizowanego życia; dziwiła się zwłaszcza, że wydarzenia towarzyszące przeprawie przez Oswego wywarły na niej tak niewielkie wrażenie. Nazbyt niedoświadczona, by wiedzieć, że obficie nagromadzone wypadki stwarzają złudzenie upływu znacznego czasu oraz że nowe przeżycia, szybko następujące po sobie w podróży, podnoszą w pewnej mierze drobiazgi do godności wydarzeń – szukała w pamięci dat i nazw dni, ażeby się upewnić, że zna Gaspara i Tropicieła, a także własnego ojca zaledwie od dwóch tygodni. Mabel była dziewczyną obdarzoną raczej sercem niż wyobraźnią, choć i tej zgoła jej nie brakowało, toteż nie mogła zbyt łatwo wytłumaczyć sobie siły uczuć, jakie zbudzili w niej ludzie tak niedawno jej obcy. Nie przywykła bowiem w dostatecznej mierze do analizowania swych przeżyć tak, aby zrozumieć naturę owych wpływów, o których wyżej mowa. Jak dotąd jednak, czysty umysł dziewczyny wolny był od skazy nieufności, nie podejrzewała przeto obu swych zalotników, a już ostatnią rzeczą, jaka mogłaby zakłócić jej zaufanie, byłaby myśl, że któryś z nich jest zdrajcą króla i ojczyzny.

W czasach, o których piszemy, Ameryka wyróżniała się wiernością dla niemieckiej dynastii, która podówczas zasiadała na brytyjskim tronie, albowiem, jak to zwykle dzieje się z prowincjami, cnoty oraz zalety, których głoszenie uznawane bywa bliżej

ośrodka władzy za pochlebstwo i politykę, stają się częstką poetycznej wiary u ludzi łatwowiernych i nieoświeconych, żyjących w oddaleniu. Prawda ta jest dzisiaj równie widoma w ustroju republikańskim, jak wówczas w stosunku do owych dalekich władców, których przymioty zawsze było bezpieczniej chwalać, podczas gdy ujawnienie wad równało się zdradzie. Wynikiem tej umysłowej zależności jest fakt, że opinia publiczna tak bardzo bywa zdana na łaskę i niełaskę intrygantów, a wszelkie prawdy dotyczące się interesów ludzi możnych i rządzących muszą być przyjmowane przez ogół – wbrew jego czczym przechwałkom na temat wiedzy i postępu – jedynie i wyłącznie w takiej formie, która jest korzystna dla tych, co poruszają sprężyny.

Trudno byłoby orzec, czy Amerykanie – napieram zewsząd przez Francuzów, którzy podówczas otoczyli kolonie brytyjskie pasem fortów i osiedli zapewniających im całkowicie przymierze z dzikimi – czy więc Amerykanie bardziej kochali Anglików, niż nienawidzili Francuzów. Ci, co wtedy żyli, uważaliby zapewne, że ów sojusz, który w dwadzieścia lat później zawarli zaatlantyccy poddam z odwiecznymi wrogami Korony Brytyjskiej, całkowicie przekracza granice prawdopodobieństwa.

Nielojalność była rzadkim występkiem, a już zdrada na rzecz Francji czy też Francuzów byłaby ohydą w czasach mieszkańców owej prowincji.

Ostatnią przeto rzeczą, o jaką Mabel mogłaby posądzić Gaspara, była ta właśnie zbrodnia, którą mu potajemnie zarzucano, i podczas gdy innym dokoła doskwierały podejrzenia, Mabel pełna była szlachetnego zaufania właściwego niewiastom. Jak dotąd nie wszeptano jej w ucho nic, co zakłóciłoby uczucie ufności, którym darzyła młodego marynarza, a w jej głowie nie mogła się samorzutnie zrodzić podobna myśl. Toteż na obrazy przeszłości i terażniejszości, jawiące się w jej wrażliwej wyobraźni, nie padał żaden cień uwłaczający komukolwiek z bliskich jej ludzi; i gdy tak pograżyła się na dłuższy czas w zadumie, dookolny widok budził w niej uczucie niczym nie zamąconej przyjemności.

Pora roku i noc – aby je wiernie odmalować – miały w sobie coś, co pobudza uczucia, jakie młodość, zdrowie i zadowolenie zwykły łączyć z nowością. Było ciepło, co nie zawsze zdarza się w owych stronach nawet pośród lata, a powiew, który tchnieniami dolatywał od lądu, niósł z sobą świeżość i aromat lasów. Wiatr nie był zbyt silny, chociaż wystarczający, by „Chwist” mógł żwawo posuwać się naprzód, utrzymując uwagę załogi w napięciu, jako że zawsze coś nieprzewidzianego może się zdarzyć w ciemnościach. Gaspar jednakże zdawał się być dobrej myśli, jak to wynikło z krótkiej rozmowy, która właśnie wywiązała się między nim a Mabel.

–Płynąc z taką szybkością, Eau-douce – powiedziała Mabel, która już nauczyła się nazywać w ten sposób młodego marynarza – zapewne niedługo dotrzemy na miejsce?

–Więc ojciec powiedział ci już, dokąd płyniemy?

–Nic mi nie powiedział. Ojciec jest nazbyt żołnierzem i nazbyt odwykł do przebywania w rodzinnym gronie, aby rozprawiać o takich rzeczach. A czy nie wolno mówić

o celu naszej wyprawy?

–Nie jest on pewnie zbyt odległy, skoro płyniemy w tym kierunku, bo sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt mil dalej znaleźlibyśmy się na Rzece Św. Wawrzyńca, gdzie Francuzi zgotowaliby nam gorące przyjęcie... Zresztą żaden rejs po tym jeziorze nie może być bardzo, długi.

–Tak mówi wujaszek, ale dla mnie, Gasparze, Ontario niewiele różni się od oceanu.

–A więc już byłeś na oceanie, gdy tymczasem ja, który uważam się za marynarza, jeszcze nie oglądał słonej wody. Musisz mieć w głębi serca wielką pogardę dla takiego jak ja żeglarza.

–Nie ma nic podobnego w moim sercu, Eau-douce. Jakież prawo miałabym ja, dziewczyna bez doświadczenia

i wiedzy, pogardzać kimkolwiek, a zwłaszcza tobą, który cieszysz się zaufaniem majora i dowodzisz takim statkiem? Nigdy nie byłam na oceanie, ale widziałam go, i powtarzam, że nie dostrzegam różnicy pomiędzy tym jeziorem a Atlantykiem.

–Ani też między tymi, co żeglują po jednym i drugim? Obawiałem się, Mabel, iż twój wujaszek tyle już naurągał nam, słodkowodnym marynarzom, że zaczęłaś nas uważać po trosze za ludzi strojących się w cudze piórka.

–Bądź o to spokojny, Gasparze, znam mego wuja i wiem, że w Jorku równie pomstuje na ludzi żyjących na lądzie, jak tutaj na tych, którzy żeglują po słodkiej wodzie. Nie, nie; ja i mój ojciec niewiele sobie robimy z podobnych opinii. Gdyby wuj Cap mógł mówić otwarcie, okazałoby się, że ma jeszcze gorsze zdanie o żołnierzu niżli o marynarzu, co nigdy nie widział morza.

–Ale twój ojciec, Mabel, ma jeszcze lepsze mniemanie o żołnierzach niż o kimkolwiek innym. Chciałby, żebyś została żoną żołnierza, prawda?

–Gasparze! Ja żoną żołnierza! Mój ojciec chciałby tego? Czemuż miałby chcieć czegoś podobnego? Któregoż żołnierza z garnizonu mogłabym poślubić? Któregoż on mógłby pragnąć mi przeznaczyć na małżonka?

–Człowiek może tak bardzo kochać swoje rzemiosło, iż sądzi, że przesłoni ono tysiąc niedoskonałości.

–Ale nie może go kochać na tyle, aby poza nim niczego nie widzieć. Powiadasz, że

mój ojciec chce, abym poślubiła żołnierza, a jednak nie ma w Oswego takiego, któremu by mnie oddał. Jestem w kłopotliwym położeniu, bo choć brak mi odpowiednich przymiotów, by zostać małżonką któregoś z oficerów, przecie chyba sam przyznasz, że jestem za wiele warta na żonę prostego szeregowca.

Mabel mówiąc te szczerze słowa zarumieniła się nie wiedzieć czemu, aczkolwiek ciemność nie pozwoliła tego dostrzec jej towarzyszowi, i roześmiała się cicho, jak ktoś, kto uważa, że chociaż temat jest krępujący, przecie zasługuje na szczerą omówienie. Gaspar jednakże miał inne zdanie o jej sytuacji.

–Prawda, Mabel – powiedział – że nie jesteś tym, co nazywają damą w zwykłym znaczeniu tego słowa.

–W żadnym znaczeniu, Gasparze – przerwała skwapliwie zacna dziewczyna. – Ufam, że pod tym względem nie mam przewrócone w głowie. Opatrzność uczyniła mnie córką sierżanta i zadowolam się stanem, w którym się urodziłam.

–Ale nie wszyscy pozostają w tym stanie, w jakim się urodzili, bo niektórzy wynoszą się nadeń, inni zaś spadają niżej. Wielu sierżantów zostało oficerami, ba, nawet generałami; czemuż więc córki sierżantów nie mogłyby zostać żonami oficerów?

–W wypadku córki sierżanta Dunhama wystarczy fakt, że żaden z oficerów nie myśli pojąć jej za żonę – odparła śmiejąc się Mabel.

–Może ty tak sądzisz; ale są tacy w pięćdziesiątym piątym, którzy mają odmienne zdanie. Jest w pułku z pewnością jeden oficer, który właśnie pragnie pojąć cię za żonę, Mabel.

Myśli Mabel Dunham szybko jak błyskawica pomknęły ku pięciu czy sześciu młodszym oficerom pułku, którzy z uwagi na wiek oraz skłonności mogli byli powziąć podobne pragnienie. Wyrządziłibyśmy może niesprawiedliwość naturze dziewczyny, gdybyśmy nie powiedzieli, że przez moment pierś Mabel przepęłniło uczucie żywej satysfakcji na myśl, że mogłaby wynieść się ponad swój stan, albowiem wbrew wszelkim zapewnieniom czuła, że jest zbyt wykształcona, by jej pozycja mogła dać pełne zadowolenie. Jednakże to uczucie było równie przelotne jak nagłe, gdyż Mabel Dunham posiadała zbyt czyste i kobiece serce, aby oceniać węzeł małżeński z tak światowego punktu widzenia jak przywileje stanu. Przejściowa emocja była dreszczykiem wynikłym ze sztucznych przyzwyczajień, natomiast stateczniejszy pogląd, jaki po niej pozostał, zrodziła sama natura i zasady, które dziewczyna wyznawała.

–Ani w pięćdziesiątym piątym, ani też w innym regimencie nie znam oficera, który mógłby popełnić podobne głupstwo; nie sądzę też, bym i ja popełniła głupstwo i wyszła za oficera.

–Głupstwo, Mabel?

–Oczywiście głupstwo, Gasparze. Wiesz równie dobrze jak ja, co świat by o tym pomyślał. Byłoby mi przykro, ogromnie przykro, gdybym spostrzegła, że mąż mój żałuje, iż tak dalece uległ upodobaniu do twarzy czy figury, by pojąć za żonę-córkę sierżanta, człowieka stojącego odeń o tyle niżej.

–Twój mąż, Mabel, będzie myślał nie tyle o ojcu, ile o córce.

Dziewczyna mówiła wesoło, choć słowa jej nie były pozbawione uczucia, ale i zamilkła niemal a całą minutę, gdy Gaspar wypowiedział to zdanie, i dopiero potem ozwała się znowu. Powiedziała teraz tonem mniej żartobliwym, w którym ktoś uważniejszy mógłby doszukać się lekkiej melancholii:

–Ojciec i dziecko winni tak żyć, by nie mieć dwóch serc, ani dwóch sposobów czucia czy myślenia. Uważam, że wspólnota we wszystkim jest równie niezbędna dla szczęścia męża i żony, jak dla innych członków tej samej rodziny. Nade wszystko zaś ani mężczyzna, ani kobieta nie powinni mieć żadnych niezwykłych przyczyn, by czuć się nieszczęśliwymi, bo świat sam przez się dość ich dostarcza.

–Czy mam więc przez to rozumieć, Mabel, iż odmówiłabyś swej ręki oficerowi tylko dlatego, że jest oficerem?

–A czy masz prawo zadawać podobne pytanie, Gasparze? – spytała Mabel z uśmiechem.

–Tylko dlatego mam prawo, że choć to bardzo niewiele, gorąco pragnę widzieć cię szczęśliwą. Niepokój, który czuję, wzmógł się znacznie, odkąd się dowiedziałem, że ojciec twój zamierza cię nakłonić, byś wyszła za porucznika Muira.

–Mój kochany, drogi ojciec nie może mieć zamiarów tak śmiesznych – tak okrutnych!

–Alboż byłoby okrucieństwem pragnąć, byś została żoną kwatermistrza?

–Mówiłam już, co o tym myślę, i nie mogę wyrazić się dobitniej. Skoro odpowiedziałam ci tak szczerze, mam prawo zapytać, skąd wiesz, że ojciec żywi podobne zamiary?

–O tym, że wybrał dla ciebie męża, słyszałem z jego własnych ust, bo sam mi to mówił podczas naszych częstych rozmów, kiedy doglądał załadunku zapasów. Że zaś pan Muir ma się oświadczyć o twoją rękę, o tym wiem od niego samego. Łącząc jedno z drugim doszedłem więc do takiego wniosku.

–A czy mój ojciec, Gasparze – zaczęła Mabel, której twarz rozgorzała jak płomień,

choć słowa padały niespiesznie, rzekłbyś mimo jej woli – a czy mój ojciec nie myślał aby o kim innym? Z tego, co mówisz, wcale nie wynika, iżby chodziło o pana Muira.

–Czyż nie jest to prawdopodobne, sądząc po tym wszystkim, co się dzieje? Cóż tu sprowadza kwatermistrza? Nigdy dotychczas nie uważał za konieczne towarzyszyć oddziałom, które się udawały w tę drogę. Chce cię pojąć za żonę, a ojciec twój postanowił, że tak się stanie. Musisz chyba wiedzieć, Mabel, że pan Muir zabiega o twoje względy?

Mabel nic nie odrzekła. Instynkt kobiecy powiedział jej istotnie, że kwatermistrz jest nią zachwycony, nie przypuszczała jednak, iż do tego stopnia, jak mniemał Gaspar. Również i ze słów ojca wymiarkowała, że sierżant myśli poważnie o wydaniu jej za mąż, ale żadne rozumowanie nie mogło doprowadzić jej do wniosku, że tym wybranym miał być pan Muir. Nie wierzyła w to i teraz, chociaż bynajmniej nie domyślała się prawdy. Jej zdaniem te przypadkowe uwagi ojca, które ją uderzyły, wynikały raczej z ogólnego pragnienia, by sobie urządziła życie, niż z chęci połączenia jej z jakimś określonym człowiekiem. Myśli te jednak zachowała w sekrecie, gdyż szacunek dla samej siebie oraz niewieścia powściągliwość mówiły jej, że byłoby rzeczą niewłaściwą dyskutować na taki temat z obecnym rozmówcą. Toteż gdy milczenie trwało już dość długo, by stać się kłopotliwym dla obojga, Mabel chcąc nadać rozmowie inny kierunek, powiedziała:

–Jednego możesz być pewny, Gasparze, i to jest wszystko, co chciałabym rzec na ten temat: że porucznik Muir, choćby był pułkownikiem, nigdy nie zostanie mężem Mabel Dunham. A teraz powiedz mi coś o naszej podróży; kiedy się ona skończy?

–Tego nie wiadomo. Skoro już znaleźliśmy się na wodzie, jesteśmy zdani na łaskę wiatrów i fal. Tropiciele powie ci, że ten, kto rankiem zaczyna ścigać jelenia, nie wie, gdzie się wieczorem do snu ułoży.

–Ale my nie ścigamy jelenia, nie jest też rano, więc morał Tropicielea nie zda się na nic.

–Choć nie ścigamy jelenia, przecie gonimy za czymś, co może być równie trudne do schwytania. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, bo naszym obowiązkiem jest trzymać język za zębami bez względu na to, czy coś od tego zależy czy nie. Obawiam się wszakże, iż nie pozostaniesz na „Chwiście” dość długo, abym ci mógł pokazać, co on potrafi w potrzebie.

–Myślę, że nieroztropna jest ta kobieta, która wychodzi za marynarza – powiedziała Mabel nagle i niemal mimowolnie.

–Dziwne to zdanie; dlaczego tak sądzisz?

–Bo żona marynarza ma zawsze rywalkę w jego statku. Wuj Cap także powiada, że

marynarz nie powinien nigdy się żenić.

–Ma on na myśli słonowodnych marynarzy – odparł ze śmiechem Gaspar. – Skoro zaś uważa, że żony nie są godne żeglarzy z oceanu, musi uznawać, że są w sam raz dla tych, co żeglują po jeziorach. Mam nadzieję, Mabel, że opinii o nas, marynarzach ze słodkich wód, nie urabiasz sobie na podstawie tego wszystkiego, co mówi imć Cap.

–Żagiel przed nami! – wykrzyknął ten, o którym była mowa. – A raczej prawdziwiej byłoby powiedzieć: łódka przed nami!

Gaspar pobiegł na przód; w samej rzeczy, o jakieś sto jardów przed kutrem, nieco po zawietrznej, można było dojrzeć na wodzie jakiś niewielki przedmiot. Młodzieniec od pierwszego wejrzenia poznał, że jest to czółno z kory, bo choć z powodu ciemności nie sposób było rozróżnić barw, oko przywykłe do mroku mogło z niewielkiej odległości rozeznaczyć kształty, a Gaspar, od tak dawna oswojony z żeglarstwem, bez trudu wyciągnął ten wniosek.

–Może to był nieprzyjaciel – powiedział – i warto by go doścignąć.

–Wiosłuje co sił, chłopcze – zauważył Tropiciel. – Chce przeciąć ci drogę i dostać się na nawietrzną, bo wtedy mógłbyś równie dobrze ścigać po śniegu rosnącego jelenia.

–Ostrzej do wiatru! – krzyknął Gaspar do sternika. – Ostrzej do wiatru, aż się cały statek zatrząsie! Tak trzymać!

Sternik usłuchał rozkazu i „Chwist” jął rażno rozbryzgiwać wodę, wystarczyło parę minut, by czółno znalazło się tak daleko po zawietrznej, że ucieczka stała się niemożliwa. Teraz Gaspar sam poskoczył do steru i manewrując nim roztropnie a starannie, tak się przybliżył do ściganego czółna, że pochwycono je za pomocą bosaka. Na dany rozkaz dwie znajdujące się w nim osoby poczęły wchodzić na statek, a w chwili gdy stanęły na pokładzie, rozpoznano w nich Grota Strzały i jego małżonkę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mów – jakiej perły nie kupisz za złoto,

Albo – uczonego – nie podniesiesz z ziemi?

(Choć jej nie szuka, znajduje ją często

Na swojej drodze pospolity nędzarz) –

A ja ci wtedy powiem, co to prawda.

COWPER

Spotkanie z Indianinem i jego żoną nie zaskoczyło większości świadków tej sceny, natomiast Mabel i wszyscy ci, co znali okoliczności, w jakich wódz rozstał się z Capem i jego towarzyszami, żywili podejrzenia, które łatwiej było odczuwać, niż uzasadnić w jakiś przekonujący sposób. Tropiciel, będąc jedynym, który mógł swobodnie dogadać się z więźniami – za takich bowiem należało ich teraz uważać – odwiódł Grota Strzały na stronę i przeprowadził z nim długą rozmowę na temat przyczyn, jakie skłoniły Indianina do porzucenia obowiązków, oraz wypytywał go, czym się od owej pory zajmował.

Tuskarora wysłuchał tych pytań i udzielił na nie odpowiedzi ze stoicyzmem Indianina. Co się tyczy rozstania, jego tłumaczenie było bardzo proste i dosyć wiarogodne. Gdy mianowicie stwierdził wtedy, że cała ich grupka wykryta została w miejscu schronienia, pomyślał oczywiście o własnym bezpieczeństwie i czmychnął w las. Jednym słowem, uciekł, aby ratować życie.

–Bardzo to dobrze – odparł Tropiciel udając, że wierzy w owe wyjaśnienia. – Brat mój postąpił wielce roztropnie; ale jego kobieta też poszła za nim.

–Czyż białe kobiety nie idą za swymi mężami? A Tropiciel nie obejrzałby się, aby zobaczyć, czy ta, którą kocha, idzie za nim?

To odwołanie się do przewodnika nastąpiło w bardzo odpowiedniej chwili, gdyż Mabel, jej powaby i stateczność nie schodziły teraz z myśli Tropicielea. Tuskarora, choć nie mógł wykryć przyczyny, spostrzegł, że jego usprawiedliwienie zostało przyjęte, toteż stał ze spokojną godnością czekając na następne pytanie.

–To jest rozsądne i naturalne – powiedział Tropiciel. – Jest naturalne i mogło tak być. Należy spodziewać się, że kobieta pójdzie za mężczyzną, któremu poprzysięgła wierność, albowiem mąż i żona stanowią jedno ciało. Słowa twoje są uczciwe, Truskaroro – tu przeszedł na narzecze tamtego. – Słowa twoje są uczciwe,

przyjemne i słuszne. Ale dlaczego mój brat tak długo przebywał z dala od fortu? Jego przyjaciele często myśleli o nim, lecz nie widzieli go ani razu.

–Jeżeli łania podążyła za bykiem, to czyż byk nie powinien podążać za łanią? – zapytał z uśmiechem Tuskarora i dotknął znacząco palcem ramienia myśliwego. – Żona Grota Strzały poszła za Grotem Strzały, było więc słuszne, by i Grot Strzały poszedł za swoją żoną. Zabłądziła i kazali jej gotować strawę w obcym wigwamie.

–Rozumiem cię. Kobieta wpadła w ręce Mingów, a tyś ruszył ich tropem.

–Tropiciel umie dojrzeć przyczynę równie łatwo jak mech na drzewach; tak było.

–A czy dawno odzyskałeś żonę i jak do tego doszło?

–Dwa słońca temu. Czerwcową Rosa niedługo zwlekała, kiedy mąż szepnął jej słowo.

–No cóż, to wszystko wydaje się naturalne i zgodne z zasadami małżeństwa. Ale skąd Tuskarora wziął to czółno i czemu wiosłuje w stronę Św. Wawrzyńca zamiast do garnizonu?

–Grot Strzały umie odróżnić swoją łódź od cudzej. Ta jest moja; znalazłem ją na brzegu, niedaleko fortu.

„To brzmi dosyć rozsądnie, bo czółno do niego należy – pomyślał Tropiciel – a Indianin nie rozwodziłby się wiele nad tym, gdyby je zabrał. Jednak to nadzwyczajne, żeśmy nie widzieli jego żony, boć przecie czółno musiało wypłynąć z rzeki jeszcze przed nami”.

Myśl ową, która szybko przeleciała mu przez głowę, Tropiciel przekazał Indianinowi w formie pytania.

–Tropiciel wie, że wojownik może się wstydzić. Ojciec mógł mnie zapytać o córkę, a ja nie mógłbym mu jej oddać. Posłałem Czerwcową Rosę po czółno i nikt do niej nie zagadał. Kobieta z plemienia Tuskarorów niechętnie rozmawiała z obcymi.

To wszystko też było możliwe i zgodne z charakterem oraz obyczajami Indian. Grot Strzały, jak to było przyjęte, otrzymał połowę zapłaty przed opuszczeniem Mohawku, a fakt, że nie domagał się reszty, był dowodem owego skrupulatnego poszanowania wzajemnych praw, które równie często charakteryzuje moralność dzikich jak chrześcijan. Zdaniem człowieka tak prawego jak Tropiciel, Grot Strzały zachował się delikatnie i właściwie, choć szczerzej naturze przewodnika bardziej by odpowiadało, gdyby Tuskarora poszedł był do sierżanta i wyznał mu szczerą prawdę. Mimo to, przyzwyczajony do sposobu postępowania Indian, nie widział nic nadzwyczajnego w wyjściu, jakie Grot Strzały obrał.

–To, co mówisz, płynie jak woda po zboczach, Grocie Strzały – odpowiedział po chwili zastanowienia – i prawda zmusza mnie, by to przyznać. Tak musiał postąpić czerwonoskóry, chociaż nie myślę, by tak postąpił biały. Nie chciałeś patrzeć na ból ojca dziewczyny?

Grot Strzały spokojnie skłonił się, jakby na znak potwierdzenia.

–Brat mój powie mi jeszcze jedno – ciągnął Tropiciel, a wtedy nie będzie już chmur między jego wigwamem a twierdzą Jengizów. Jeżeli potrafi zdmuchnąć tę mgłę swoim tchnieniem, przyjaciele jego będą nań spoglądali, kiedy zasiądzie przy swoim ogniu, on zaś będzie mógł patrzeć, jak odkładają broń, i zapomnieć, że są wojownikami. Dlaczego czóno Grota Strzały spoglądało w stronę Św. Wawrzyńca, gdzie można znaleźć tylko wrogów?

–A dlaczego Tropiciel i jego przyjaciele spoglądają w tę samą stronę? – zapytał spokojnie Indianin. – Tuskarora może patrzeć w tymże kierunku co Jengiz.

–No cóż, żeby rzec prawdę, Grocie, jesteśmy tu poniekąd na zwiadach... czyli płyniemy... innymi słowy przebywamy tu w sprawach króla i mamy prawo tu być, chociaż może nie mamy prawa mówić, po co tu jesteśmy.

–Grot Strzały zobaczył wasze wielkie czóno, a lubi patrzeć w twarz Eau-douce'a. Z wieczora kierował się ku słońcu, ażeby poszukać swojego wigwamu, ale kiedy ujrzał, że młody żeglarz płynie w innym kierunku, zawrócił, by patrzeć w tę samą stronę co on. Eau-douce i Grot Strzały byli razem na ostatniej wyprawie, – Wszystko to może być prawdą, Tuskaroro, i jesteś tu mile widziany. Zjesz naszej jeleniny, a potem trzeba nam będzie się rozstać. Słońce zostało za nami, a ono i my poruszamy się szybko, przeto jeśli mój brat nie zawróci, może się zbyt oddalić od tego, czego szuka.

Tropiciel odszedł teraz do towarzyszy i przedstawił im wyniki swych badań. Sam skłonny był wierzyć, że relacja Grota Strzały jest prawdziwa, aczkolwiek przyznawał, iż trzeba zachować ostrożność w stosunku do człowieka, którego nie lubił. Natomiast słuchacze z wyjątkiem Gaspara byli mniej skłonni dać wiarę wyjaśnieniom Indianina.

–Zaraz mi skuć tego franta, szwagrze – ozwał się Cap, gdy tylko Tropiciel zakończył swe sprawozdanie. – Trzeba go oddać w ręce profosa, jeżeli taka funkcja istnieje na słodkiej wodzie, a jak staniemy w porcie, należy od razu zwołać sąd wojenny.

–Myślę, że najmądrzej będzie go zatrzymać – odparł sierżant – ale żelaza nie są konieczne, póki przebywa na kutrze. Jutro rano rozpatrzemy tę sprawę.

Wezwano Grota Strzały i oznajmiono mu o decyzji. Indianin wysłuchał jej z powagą i nie wysunął żadnych zastrzeżeń. Wprost przeciwnie, poddał się losowi z ową

spokojną a powściągliwą godnością, z jaką mu ulegają krajowcy.amerykańscy, i odszedł na bok, obserwując uważnie, lecz obojętnie, to, co się działo. Gaspar pochwycił wiatr w żagle i „Chwist” znów ruszył w drogę.

Bliska już była pora zaciągnięcia wachty i udania się na nocny spoczynek. Większość ludzi zeszła na dół, a na pokładzie zostali tylko Cap, sierżant, Gaspar oraz dwóch, członków załogi. Grot Strzały i jego żona byli tu również, przy czym on stał na uboczu z dumną rezerwą, ona zaś całą swoją postawą i biernością przejawiała łagodną pokorę, która cechuje indiańską kobietę.

–Znajdziesz dla żony miejsce na dole, Grocie, a tam już zajmie się nią moja córka – powiedział uprzejmie sierżant, gotując się do zejścia z pokładu. – Tu masz żagiel, na którym możesz się przespać.

–Dziękuję mojemu ojcu. Tuskarorowie niebiedni. Żona przyniesie mi koce z czółna.

–Jak chcesz, przyjacielu. Uważamy za konieczne zatrzymać cię, ale nie 'zamykać czy maltretować. Poślij swoją squaw do czółna po koce, a sam możesz pójść za nią i podać nam tu wiosła. Ponieważ na „Chwiście” mogą być śpiochy, Eau-douce – dorzucił ciszej sierżant – lepiej więc będzie zabezpieczyć wiosła.

Gaspar przystał na to, a Grot Strzały i jego żona, najwidoczniej nie myśląc o oporze, w milczeniu zastosowali się do wskazówek. Kiedy oboje szperali w czółnie, Indianin rzucił swej żonie kilka słów ostrej nagany, które przyjęła z potulnym spokojem, i natychmiast naprawiła swój błąd, odkładając wyjęty koc i szukając innego, który spodobałby się bardziej jej tyranowi.

–No, pomóż jej tam, Grocie – rzekł sierżant, który stał przy nadburciu obserwując ruchy obojga, wystawiające swą powolnością na próbę cierpliwość sennego człowieka. – Robi się późno, a my, żołnierze, mamy taką rzecz jak pobudka. „Kto rano wstaje...”

–Grot Strzały idzie – zabrzmiała odpowiedź i Tuskarora postąpił w stronę dzioba swojego czółna.

Jeden cios ostrego noża Indianina przeciął linkę przytrzymującą łódź, a kuter pomknął naprzód pozostawiając za sobą lekką łupinę z kory, która natychmiast straciła szybkość i niemal zatrzymała się w miejscu. Indianin dokonał tego tak nagle i zręcznie, że czółno znalazło się po zawietrznej „Chwistu”, nim sierżant zdołał uświadomić sobie podstęp – a daleko w kilwaterze statku, nim zdążył zwołać swych towarzyszy.

–Ster na zawietrzną prosto z wiatrem! – krzyknął Gaspar, własnoręcznie zrzucając szkot kliwru. Kuter szybko pochwycił bryzę w żagle, które zatrzepotały, i pomknął w oko wiatru, jak mówią marynarze, d sto stóp na nawietrzną od swego poprzedniego

kursu.

Choć dokonano tego szybko i zręcznie, Tuskarora był jeszcze szybszy i zręczniejszy. Z biegłością, która świadczyła, że manewrowanie łodzią nie jest mu obce, pochwycił wiosło i wspomagany przez żonę pomknął po wodzie. Zmierzał w kierunku południowo-zachodnim, czyli zarówno pod wiatr, jak i ku brzegowi, to zaś sprawiło, że trzymał się w dostatecznej odległości od kutra, aby umknąć, gdyby statek poszedł drugim halsem. Chociaż „Chwist” bystro szedł w linię wiatru i znacznie posunął się naprzód, Gaspar wiedział, że trzeba zrobić zwrot przez sztag zanim utracą szybkość; toteż nie minęło dwie minuty od chwili przełożenia rumpla na zawietrzną, a już chyży stateczek dostał wiatr z przodu i począł szybko odchodzić od wiatru, by żagle mogły się znowu wypełnić drugim halsem.

–Ucieknie – wykrzyknął Gaspar, oceniwszy wzajemne położenie kutra i czółna. – Ten łotr kuty na cztery nogi wiosłuje prosto pod wiatr i „Chwist” go nigdy nie dogna!

–Masz przecie łódź! – zawołał sierżant, który z zapalczywością młodzika rwał się do pościgu. – Spuścimy ją i dalej za nim!

–To nie zda się na nic. Gdyby Tropiciel był w pierwszej chwili na pokładzie, mielibyśmy jakąś szansę; teraz już nie ma żadnej. Spuszczenie łodzi zabierze ze cztery minuty, a taka strata czasu wystarczy Grotowi Strzały.

Zarówno Cap, jak i sierżant wiedzieli, że to prawda, co było zresztą samo przez się oczywiste nawet dla człowieka nie obeznanego ze statkami. Brzeg był odległy o niecałe pół mili, a czółno już wpadło w jego cień z szybkością, która wskazywała, że dotrze do lądu, nim pogoń zdoła przebyć połowę tej drogi. Niechętnie przełożono na powrót ster „Chwistu”, a kuter obrócił się w miejscu i jakby instynktem wiedziony – położył się na kurs drugim halsem. Wszystko to uczynił Gaspar w głębokim milczeniu, gdyż jego pomocnicy rozumieli, co trzeba robić, i wykonywali swą pracę naśladując go jakby mechanicznie. Podczas gdy dokonywano tych manewrów, Cap pochwycił sierżanta za guzik, odwiódł go w stronę zejścia kajutowego, gdzie nikt ich nie mógł dosłyszeć, i jął mu otwierać skarbnicę swoich myśli.

–Posłuchaj, szwagrze – powiedział ze złowróżbną miną. – Jest to sprawa wymagająca dojrzałego namysłu i wielkiej roztropności.

–Życie żołnierza stale wymaga namysłu i roztropności. Gdybyśmy na tym pograniczu zaniedbali jednego czy drugiego, moglibyśmy postradać skalpy w czasie pierwszej drzemki.

–Ale ja uważam pojmanie tego Grota Strzały za poszlakę, a jego ucieczkę dodać tu mogę jako drugą. Ten Gaspar Słodka Woda maczał w tym palce.

–Istotnie, są to dwie okoliczności, szwagrze, ale każda z nich dowodzi czegoś

przeciwnego. O ile poszlaką przemawiającą przeciwko chłopakowi jest fakt, że Indianin zemknął, o tyle okolicznością przemawiającą za nim jest to, że go wprzód pojmiano.

–Tak, tak, ale dwie okoliczności nie wyłączają się wzajemnie jak dwa przeczenia. Jeśli chcesz usłuchać rady starego żeglarza, sierżancie, trzeba nie tracąc chwili podjąć kroki niezbędne dla bezpieczeństwa statku i wszystkich, co są na jego pokładzie. Kuter idzie teraz z szybkością sześciu węzłów, a na tej sadzawce odległości są tak niewielkie, iż możemy wszyscy znaleźć się we francuskim porcie przed wieczorem.

–Może to i prawda, cóż byś mi doradzał, szwagrze?

–Moim zdaniem winieneś z miejsca aresztować tego pana Słodką Wodę, Wsadź go pod pokład, postaw przy nim wartownika, a dowództwo kutra mnie przekaz. Masz władzę uczynić to, bo statek należy do armii, ty zaś dowodzisz tu żołnierzami.

Sierżant Dunham przez godzinę z górami deliberował nad właściwością owej propozycji, bo choć był dostatecznie szybki w działaniu, kiedy już powziął decyzję, przecie przyzwyczajenie uczyniło go ostrożnym i rozważnym. Wykonywanie nadzoru nad żołnierzami z garnizonu nauczyło go poznawać charaktery, toteż od dawna miał dobre mniemanie o Gasparze. Jednak owa zdradziecka trucizna, jaką jest podejrzenie, wsączyła się już do jego duszy, a podstępny oraz intrygi Francuzów budziły takie obawy, że trudno się dziwić, iż pamięć o całych latach dobrego sprawowania młodzieńca rozwiewała się pod wpływem dojmującej i na pozór uzasadnionej nieufności – zwłaszcza że sierżant otrzymał był wiadomą przestrożę od swego dowódcy.

W tej rozterce Dunham zasięgnął rady kwatermistrza, którego zdanie, jako przełożonego, czuł się w obowiązku szanować, chociaż chwilowo mu nie podlegał. Jest rzeczą niepomyślną dla kogoś, kto ma powziąć trudną decyzję, prosić o radę człowieka, który pragnie wkraść się w jego łaski, albowiem wówczas doradca niemal z pewnością będzie usiłował rozumować tak, by się przypodobać temu, kto o radę pyta. W obecnym, przypadku równie niepomyślne dla bezstronnego zbadania sprawy było to, iż rzecz wyłuszczył Cap, a nie sam sierżant, albowiem zajadły stary marynarz nie omieszkał dać kwatermistrzowi do zrozumienia, w którą stronę powinien się nakłonić.

Choćby porucznik Muir istotnie uważał, że mogą tu zachodzić jakieś wątpliwości, był i tak zbyt dobrym politykiem, aby urazić wuja oraz ojca kobiety, którą pragnął i miał nadzieję zdobyć. Atoli tak jak mu przedstawiono fakty, skłonny był serio mniemać, że warto by przekazać czasowo komendę nad „Chwistem” Capowi, aby w ten sposób zabezpieczyć się przeciw zdradzie. Opinia ta przesądziła o decyzji sierżanta, który niezwłocznie poczynił odpowiednie kroki.

Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, sierżant Dunham po prostu oznajmił Gasparowi, że uważa za swój obowiązek pozbawić go chwilowo dowództwa nad kutrem i przekazać je swojemu szwagrowi. Naturalny i mimowolny odruch zdumienia, który wymknął się młodzieńcowi, spotkał się ze spokojną odpowiedzią, przypominającą, że służba wojskowa często wymaga zachowania tajemnicy, a obecnie zadanie ma taki charakter, iż ten właśnie środek stał się nieodzowny.

Aczkolwiek zdumienie Gaspara bynajmniej nie osłabło – gdyż sierżant przezornie powstrzymał się od wszelkich aluzji do swoich podejrzeń – młodzieniec przyzwyczajony był do wojskowego posłuszeństwa, toteż uległ bez szemrania i osobiście polecił małej załodze, by odtąd wykonywała rozkazy Capa, dopóki nie nastąpią dalsze zmiany. Kiedy jednak oznajmiono mu, że sprawa wymaga, by nie tylko on sam, ale i jego główny pomocnik – którego z racji dawnej znajomości jeziora zazwyczaj nazywano pilotem – pozostali pod pokładem, twarz i zachowanie młodzieńca zmieniły się w sposób znamionujący silne wzruszenie, acz panował nad nim tak dobrze, że nawet nieufny Cap miał wątpliwości co do natury owego uczucia. Ale jak to zawsze bywa wówczas, kiedy istnieją posądzenia, wprędce zbudowano na tym najgorsze domysły. Zaledwie Gaspar i pilot znaleźli się na dole, posterunek przy luku otrzymał poufny rozkaz, aby miał na nich baczne oko, nie pozwolił żadnemu pokazać się na pokładzie bez natychmiastowego powiadomienia osoby dowodzącej w danej chwili kutrem oraz zmusił ich do jak najszybszego powrotu. Ten środek ostrożności okazał się jednak zbędny, gdyż Gaspar wraz ze swym pomocnikiem w milczeniu rzucili się na posłanie, którego żaden z nich tej nocy nie opuścił.

–A teraz, sierżancie – powiedział Cap, gdy tylko stwierdził, że jest panem na pokładzie – będziesz tak dobry i podasz mi kurs oraz odległość, chcę bowiem dopilnować, by statek szedł we właściwym kierunku.

–Nie mam pojęcia ani o jednym, ani o drugim – odparł Dunham niepomąłu zakłopotany. – Musimy jak najrychlej dopłynąć do placówki na Tysiącu Wysp, gdzie mamy „wylądować, zluzować przebywający tam oddział tudzież zebrać informacje potrzebne dla naszych przyszłych poczynań”. Tak niemal słowo w słowo brzmi pisemny rozkaz.

–Ale przecież możesz chyba wy dostać jakąś mapę... coś, gdzie jest zaznaczona odległość i pozycja, ażebym zdołał rozeznać się w kursie.

–Nie wydaje mi się, by Gaspar miał coś takiego.

–Jak to? Nie ma mapy?

–Ani nawet kawałka. Nasi marynarze żeglują po tym jeziorze nie posługując się mapą.

–Toż to muszą być prawdziwe Jahusy! Alboż wyobrażasz sobie, sierżancie, że mogę odnaleźć jedną wyspę spośród tysiąca nie znając jej nazwy i położenia, nie mając nawet kursu czy odległości?

–Co się tyczy nazwy, szwagrze, to nie powinieneś. przykładać do niej zbytnej wagi, bo z całego tysiąca wysp ani jedna nie posiada nazwy, nie sposób więc popełnić omyłki. Jeśli zaś idzie o położenie, to ponieważ sam nigdy tam nie byłem, nie mogę ci nic o nim powiedzieć, nie sądzę też, aby miało to szczególne znaczenie, bylebyśmy tylko trafili na miejsce. Może któryś z majtków potrafi nam wskazać drogę.

–Chwileczkę, sierżancie, chwileczkę, jeśli łaska. Skoro mam dowodzić tym statkiem, muszę za pozwoleniem, czynić to nie zwołując na radę wojenną kucharza czy chłopca okrętowego. Dowódca statku jest dowódcą i winien mieć własne zdanie, choćby i mylne. Przypuszczam, że na tyle znasz służbę, aby rozumieć, że lepiej, by komendant poszedł w złą stronę, niż żeby nie szedł nigdzie. W każdym razie lord Wielki Admirał nie mógłby godnie komenderować jolem, gdyby się radził sternika, ilekroć przysłaby mu ochota zejść na ląd. Nie, mój panie! Jeżeli mam utonąć – utonę, ale pójdę na dno jak się patrzy i z godnością.

–Ależ, szwagrze, ja nie mam ochoty iść na dno, tylko na tę placówkę pośród Tysiąca Wysp, do której zmierzamy.

–No, sierżancie, miał prosić o radę – to znaczy bezpośrednio i bez obsłonek – prostego majtką czy też kogokolwiek poza oficerem, wolałbym raczej opłynąć cały tysiąc wysp i zbadać jedną po drugiej, dopóki byśmy nie znaleźli właściwej przystani. Jednakże można dojść do jakiegoś wniosku nie zdradzając się e własną nieświadomością, a ja już potrafię wycisnąć, co się da, z tych marynarzy tak, aby przez cały czas myśleli, że ich przewyższam doświadczeniem! Czasami trzeba nam na morzu uciec się do lunety, choć nic nie widać, lub rzucić sondę na długo przed dotarciem do płycizn. Za młodu zrobiłem dwa rejsy z pewnym jegomościem, który niezgorzej żeglował swoim statkiem opierając się na takich właśnie informacjach, dających czasem dobre wyniki.

–Wiem, że obecnie sterujemy we właściwym kierunku – odparł sierżant – ale za kilka godzin dopłyniemy na wysokość pewnego przyładka, tam zaś trzeba już będzie ostrożniej wybierać drogę.

–Pociągnę za język tego, co steruje, bracie, a zobaczysz, że po paru minutach wszystko wyśpiewa.

Cap i sierżant przeszli na rufę i zatrzymali się obok marynarza, który stał przy sterze. Cap przybrał pewną siebie i spokojną minę, jak człowiek, który całkowicie ufa we własne siły.

–Rzeźwy mamy wietrzyk, mój chłopcze – powiedział tonem, jakiego raczy niekiedy używać przełożony na okręcie w rozmowie z ulubionym podwładnym. – Oczywiście, co noc tak u was wieje od lądu?

–W tej porze roku tak, proszę pana – odrzekł marynarz dotykając kapelusza przez szacunek dla swojego nowego dowódcy, a zarazem powinowatego sierżanta Dunhama.

–To samo jest pewnie pośród Tysiąca Wysp? Wiatr się, rzecz jasna, utrzyma, choć wtedy będziemy mieli ląd ze wszystkich stron?

–Kiedy dotrzemy dalej na wschód, wiatr pewnie się zmieni, bo wtedy nie może wiać bryza od lądu.

–Proszę, proszę... Tak to jest z tą waszą słodką wodą! Zawsze robi kawały przeciwne naturze. Pośród wysp zachodnioindyjskich człowiek stale jest pewien, że będzie miał zarówno bryzę od lądu, jak i od morza. Pod tym względem nie ma tam różnicy, choć jest całkiem zrozumiale, że tu, na słodkiej wodzie, rzecz się przedstawia inaczej. Oczywiście, mój chłopcze, znasz dobrze owe pomienione Tysiąc Wysp?

–Boże broń, proszę pana; nikt nie zna ich. ani dobrze, ani w ogóle. Są one zagadką nawet dla najstarszego żeglarza z jeziora, my zaś nie znamy nawet ich nazw. Bo i po prawdzie większość tych wysp równie nie ma nazwy jak dzieciak, który umiera, zanim go ochrzczono.

–Tyś rzymski katolik? – zapytał ostro sierżant.

–Nie, proszę pana, ani też żaden inny. Jestem generalizatorem w rzeczach religii i nigdy nie naprzykrzam się temu, co mnie się nie naprzykrza.

–Hm, generalizator... Ani chybi to jedna z tych nowych sekt, będących utrapieniem kraju – mruknął Dunham, którego dziadek był kwakrem z New Jersey, ojciec prezbiterianinem, on sam zaś został anglikaninem po zaciągnięciu się do wojska.

–A zatem, Johnie – ciągnął Cap -...tak masz zdaje się na imię?

–Nie, panie. Robert.

–Właśnie: Robert. Jedno podobne do drugiego; Jack czy Bob. Używamy obu po równi. Więc, Bobie, dobre tam dno przy owej placówce, do której płyniemy?

–Ależ, proszę pana, ja nie więcej wiem o nim niż o Mohawku.

–Nigdyś tam nie rzucać kotwicy?

–Nigdy, panie. Eau-douce zawsze przycumowuje do brzegu.

–Ale podpływając do miasta musielibyście niezawodnie rzucać sondę z łojem, jak zwykle?

–Łój? I do tego miasto? Dalibóg, panie Cap! Przecie tam nie ma śladu miasta, a łoju jeszcze mniej!

Sierżant uśmiechnął się kwaśno, lecz jego szwagier nie zauważył owej oznaki złego humoru.

–Ani dzwonnicy, ani latarni morskiej czy fortu, co? Jest przynajmniej garnizon, jak wy to tutaj nazywacie?

–Skoro pan życzy to sobie wiedzieć, proszę zapytać sierżanta Dunhama. Cały garnizon jest na pokładzie „Chwistu”.

–Ale kiedy wchodzisz do portu, Bobie, który kanał uważasz za najlepszy? Ten, którym wpływaliście ostatnio, czy też... czy też... czy... no, ten drugi?

–Nie umiem powiedzieć, proszę pana; nie znam ani jednego, ani drugiego.

–Chybaś nie spał przy kole sterowym, co, chłopie?

–Przy kole nie, proszę pana, tylko na dole w forpiku na koi. Eau-douce zawsze posyła pod pokład nas wszystkich i żołnierzy z wyjątkiem jednego pilota, więc tyle wiemy o drodze, co gdybyśmy tam wcale nie byli. Stale tak robi wpływając i wypływając; choćbyś mnie pan zabił, nie umiałbym nic powiedzieć o kanale czy kursie w pobliżu wysp. Nikt ich nie zna oprócz Gaspara i pilota.

–Ot i masz poszlakę, sierżancie! – rzekł Cap odprowadziwszy szwagra na stronę. – Nie sposób nic wypompować z kogokolwiek na pokładzie, bo ze wszystkich od razu leje się ciemnota. Jakże mam odnaleźć drogę do tej placówki, do której płyniemy?

–Nie ma co, szwagrze, łatwiej jest zadać takie pytanie niż na nie odpowiedzieć. A czy nie dałoby się tego obliczyć nawigacyjnie? Myślałem, że wy, słonowodni marynarze, potraficie zdobyć się na taki drobiazg. Przecie często czytałem, że odkrywacie wyspy.

–Oczywiście, oczywiście, szwagrze; a to odkrycie byłoby ze wszystkich największe, bo tu chodzi nie tylko o odnalezienie jednej wyspy, ale jednej spośród tysięcy.

–A jednak marynarze z jezior mają sposoby odnajdywania miejsc, do których chcą dopłynąć.

–O ile cię zrozumiałem, ów posterunek czy tam blokhauz jest szczególnie dobrze ukryty?

–I owszem; przedsięwzięto najusilniejsze starania, aby wiadomość o jego położeniu nie przedostała się do nieprzyjaciela.

–I ty chcesz, żebym ja, obcy na waszym jeziorze, odnalazł to miejsce bez mapy, kursu, odległości, szerokości i długości geograficznej, bez sondowania – czy nawet łoju? Pozwól zapytać, czy mniemasz, że marynarz kieruje się nosem niczym któryś z psów Tropicieła?

–No, może przecie dowiesz się czegoś od tego młodzika przy sterze; nie chce mi się wierzyć, żeby był taki ciemny, jak się wydaje.

–Hm, to mi wygląda na jeszcze jedną poszlakę. Jeżeli o to idzie, sprawa tak się zaczyna roić od poszlak, że człowiek nie może się w nich połapać. Ale zaraz się przekonamy, co ten chłopak wie.

Cap i sierżant wrócili na swoje miejsce opodal steru, pierwszy zaś ponowił pytania.

–A czy przypadkiem nie wiesz, jaka może być długość i szerokość geograficzna rzeczonyj wyspy, mój chłopcze?

–Że co, proszę pana?

–No, szerokość czy długość geograficzna; jedna albo obydwie. Obojętne mi która, bo pytam tylko po to, ażeby się przekonać, jak tutaj wychowują młodzież, na tym kawałku słodkiej wody.

–Mnie także obie są obojętne, proszę pana, i nie mam pojęcia, o co panu idzie.

–Nie masz pojęcia, o co mi idzie? Chyba wiesz, co to jest szerokość geograficzna?

–Ależ skąd, proszę pana – odparł tamten z wahaniem. – Choć myślę, że „geograficzna” – to pewnie jakieś francuskie słowo.

–Fiuuu! – gwizdnął Cap, wydechając powietrze niczym pęknięta puszczalka organów. – „Geograficzna” to jakieś francuskie słowo! Słuchaj no, młodzieńcze, a wiesz ty, co to długość?

–Chyba tak, proszę pana. Na przykład pięć stóp i sześć cali to jest przepisowa długość, czyli też wzrost żołnierza w służbie króla jegomości.

–Ot i masz długość geograficzną, sierżancie! A wiesz chyba coś niecoś, chłopcze, o stopniach, minutach i sekundach?

–Tak jest, proszę pana: „stopień” oznacza moich przełożonych, a minutami i sekundami nazywa się długie albo krótkie linki od logu. My wszyscy tutaj znamy te rzeczy równie dobrze jak morscy marynarze.

–Niech mnie licho, szwagier ku, jeżeli wiara potrafiłaby coś zdziałać na tym jeziorze, chociaż, jak mówią, może przenosić góry. No, mój chłopcze, a rozumiesz się na azymucie, obliczaniu odległości i odczytywaniu kompasu?

–Co do pierwszego to nie mogę powiedzieć, żebym się na nim rozumiał, proszę pana. Odległości za to znamy wszyscy, bo je mierzymy od cypla do cypla, a co się tyczy kompasu, tom nie gorszy od admirała z floty jego królewskiej mości. Nord, nord do ostu, nord-nord-ost, nord-ost do nordu, nord ost; nord-ost do ostu, ost-nord-ost, ost do nord-ostu...

–Dosyć! Dosyć! Jeszcze wiatr się zmieni, jeżeli będziesz dalej tak gadał! Widzę zupełnie jasno, sierżancie – ciągnął zniżonym głosem Cap odszedłszy znów na stronę – że nie ma się czego spodziewać po tym chłopie. Jeszcze ze dwie godziny pójdę tym samym halsem, a potem się zatrzymamy i zbadamy dno sondą, dalej zaś będziemy się kierowali według okoliczności.

Przeciwko temu sierżant nie wysuwał już żadnych zastrzeżeń, a ponieważ wiatr osłabł jak zwykle w miarę zapadania nocy i nie było żadnych bezpośrednich przeszkód w żegludze, więc przygotował sobie na pokładzie legowisko z żagla i wkrótce zapadł w twardy sen żołnierza. Cap dalej kroczył po pokładzie, albowiem był człowiekiem, którego żelazne siły urągały zmęczeniu, toteż owej nocy nawet nie zmrużył oka.

Był już jasny dzień, kiedy sierżant Dunham obudził się. Okrzyk zdumienia, który mu się wyrwał, gdy wstał i jął się rozglądać dokoła, był niezwykle donośny nawet jak na człowieka przywykłego do podnoszenia głosu. Sierżant stwierdził, że pogoda zmieniła się całkowicie, wszystko przesłaniają tumany mgły, która ogranicza widoczność do kręgu o średnicy mniej więcej mili, że jezioro sroży się i okryte jest pianą, a „Chwist” nieledwie stoi w miejscu.

Krótką rozmowa ze Szwagrem wtajemniczyła Dunhama we wszystkie te nagłe przemiany.

Jak wynikało z relacji Capa, wiatr ucichł około północy i nastąpiła cisza, właśnie wtedy, gdy Cap przemyślał o zatrzymaniu statku w celu rzucenia sondy, bo wyspy już były widoczne. O pierwszej w nocy nadleciał od północowschodu wiatr z drobnym deszczem, Cap począł więc płynąć na przemian ku północy i zachodowi, wiedząc, że brzegi kolonii Nowy Jork znajdują się w przeciwnym kierunku. O wpół do drugiej zwinął bomkliwer, zrefował żagiel główny i zdjął dodatkowy bryt płótna z kliwra.

o drugiej musiał zrefować drugi żagiel na tylnym maszcie, a o wpół do trzeciej założył ref przekątny i zaczął sztormować.

–Muszę powiedzieć, że kuter zachowuje się dobrze – ciągnął stary marynarz – ale tu dmie jak sto diabłów. Nie miałem pojęcia, że na tym kawałku słodkiej wody mogą być takie prądy powietrzne, ale nie trapię się tym ani krztyny, boć teraz dopiero wasze jezioro wygląda jak Bóg przykazał, i gdyby ta woda miała smak soli, człek mógłby tu czuć się nieźle.

–Od jak dawna płyniesz w tym kierunku, szwagrze? – zapytał roztropny żołnierz. – Iż jaką szybkością się posuwamy?

–No cóż; może ze dwie albo trzy godziny, a statek zrazu rwał niczym koń. O, teraz porządnie odsądziłem się od brzegu, bo prawdę powiedziawszy, nie w smak mi było sąsiedztwo owych tam wysp, chociaż są po nawietrznej. Sam więc stanąłem przy sterze i odwiódłem kuter o kilka mil. Ręczę, że teraz jesteśmy dobrze po zawietrznej – tak, po zawietrznej, bo chociaż można podpływać z wiatrem do jednej czy nawet do pół tuzina wysp, przecie gdy ma się do czynienia z tysiącem, najlepiej od razu dać za wygraną i jak najszybciej schować się przed wieją. No, otóż i widać je tam w oddali i jeśli o mnie idzie, mogą tam sobie zostać.

–Ponieważ północny brzeg jest ledwie o jakieś piętnaście mil stąd, a wiem, że znajduje się tam spora zatoka, czy nie byłoby więc dobrze zapytać kogoś z załogi o nasze położenie albo wręcz wezwać tu Gaspara Eau-douce i kazać mu, by nas poprowadził z powrotem do Oswego? Boć przecie jest zupełnym niepodobieństwem, abyśmy dotarli do placówki mając wiatr prosto w twarz.

–Istnieje kilka poważnych zawodowych racji przemawiających przeciwko twym propozycjom, sierżancie. Przede wszystkim przyznanie się do niewiedzy ze strony dowódcy zniweczyłoby dyscyplinę. Nie, nie, szwagrze, rozumiem, dlaczego kiwasz głową, ale nic tak nie szkodzi dyscyplinie jak przyznanie się do niewiedzy. Znałem jednego szypra, który raz płynął przez tydzień złym kursem, bo nie chciał się przyznać, że popełnił omyłkę, i zadziwiająca rzecz, jak urósł w oczach ludzi dlatego tylko, że go nie mogli zrozumieć.

–Tak można robić na słonej wodzie, ale nie na słodkiej. Jeżeli mam się rozbić z moimi ludźmi u brzegów Kanady, to uważam za swój obowiązek raczej zwolnić Gaspara z aresztu.

–I wylądować w Frontenac. Nie, sierżancie; „Chwist” jest w dobrych rękach i teraz nauczy się trochę żeglarstwa. Wypłynęliśmy na szerokie wody i tylko wariatowi mogłoby strzelić do głowy, by zbliżyć się do lądu w podobną wieję. Będę czuwał przez wszystkie wachty, więc nie zagrozi nam żadne niebezpieczeństwo z wyjątkiem dryfu, który przy tak lekkim i niskim statku bez górnego ożaglowania, będzie

nieznaczny. Zostaw to mnie, sierżancie, a jakem Charles Cap, wszystko pójdzie jak z płatka!

Sierżant Dunham chcąc nie chcąc musiał ustąpić. Pokładał wielkie zaufanie w zawodowych umiejętnościach swojego krewniaka i miał nadzieję, że pokieruje on kutrem w sposób, który aż nadto usprawiedliwi ową opinię. Ponieważ jednak nieufność, podobnie jak troska, rośnie w miarę otrzymywania pożywki, sierżant więc tak bardzo lękał się zdrady, że wolał, aby ktokolwiek, byle nie Gaspar miał w ręku los całej wyprawy. Co więcej, prawda zmusza nas do wyjawienia jeszcze innej pobudki. Zadanie, którym obarczono sierżanta, należało się z prawa oficerowi, toteż major Duncan poruszając je człowiekowi tak skromnego stopnia, obudził niemałe niezadowolenie wśród swych podwładnych z garnizonu. Sierżant czuł przeto, że gdyby wrócił nie dotarłszy nawet do miejsca przeznaczenia, byłaby to klęska, po której nieprędko by się pozbierał, a na jego miejsce wyznaczono by natychmiast kogoś wyższego rangą.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pyszne zwierciadło, które w sobie wtórzysz

Kształt Wszechmocnego w morskiej ciszy porze,

W wietrze, wichurze, huraganie, burzy –

Co mrozisz biegun i chłodzisz przedproże

Piasków Sahary! – Bezgraniczne morze,

Lico wieczności... w twej otchłani ciemnej

Bóg tron zbudował. Dna twojego łoża

Rodzi potwory. Twej Władzy tajemnej

Słucha glob, a ty huczysz, straszne i bezdenne.

BYRON

W miarę jak robił się dzień, ci spośród płynących na statku, którym to dozwolono uczynić, ukazywali się na pokładzie. Dotychczas wody nie były zbyt wzburzone, z czego wnioskowano, że wyspy nadal osłaniają kuter od wiatru; jednakże ci, którzy znali jezioro, widzieli jasno, że czeka ich jedna z ciężkich jesiennych zawieruch, częstych w owych stronach. Nigdzie nie było widać lądu; we wszystkich kierunkach widnokrąg był ową zamgloną pustką, która widokowi wielkich połaci wód nadaje zawsze podniosłość tajemnicy. Fale – albo jak to nazywają ludzie lądu, bałwany – gnały, krótkie i rozwichrzone, załamywały się prędzej niż długie wały oceanu,' a sam żywiół, zamiast mienić się ową przepiękną barwą, która współzawodniczy z głębokim błękitem południowego nieba, był zielony i gniewny, pozbawiony lśnienia zapalanych przez promienie słońca.

Żołnierze rychło napatrzyli się do syta widokowi i poznikali jeden po drugim, aż wreszcie na pokładzie nie został nikt oprócz załogi, sierżanta, Capa, Tropicieła, kwatermistrza i Mabel. Chmura osiadła na czole dziewczyny, którą zaznajomiono właśnie z prawdziwym stanem rzeczy i która bezowocnie usiłowała wstawić się za Gasparem, aby mu przywrócono dowództwo. Spoczynek nocny i dłuższy namysł utwierdził snadź Tropicieła w przekonaniu o niewinności młodzieńca, bo i on wstawił się za swym przyjacielem gorąco, lecz równie bezskutecznie.

Minęło kilka godzin; wiatr wzmagął się ustawicznie, a fale wzdymały, aż wreszcie kołysanie statku zmusiło do zejścia z pokładu także Mabel i kwatermistrza. Cap

parokrotnie robił zwroty kutrem; wreszcie stało się oczywiste, że „Chwist” dryfuje na szersze i głębsze połacie jeziora. Fale waliły się nań z wściekłością, którą jedynie statek wybornego kształtu i budowy mógł dłużej wytrzymać bezkarnie. To wszystko jednak nie napawało Capa niepokojem; podobnie jak myśliwy, który nadstawia uszu na odgłos rogu, lub rumak bojowy, co uderza kopytem i parska z radością słysząc warkot bębna, tak i on czuł, że widok ów budzi w nim całe przyrodzone męstwo. Miał podchwytilwego, dufnego, zarozumiałego krytycyzmu, który kazał mu spierać się o drobnostki i wyolbrzymiać rzeczy błahe, jał teraz przejawiać zalety śmiałego i doświadczonego żeglarza, jakim był rzeczywiście. Majtkowie wprędce nabrali respektu dla jego biegłości i choć dziwili się zniknięciu dawnego dowódcy oraz pilota – nie podano bowiem do wiadomości ogółu żadnej po temu przyczyny – rychło poczęli wykonywać o chotnie i bez szemrania rozkazy nowego komendanta.

–Widzę, że ten spłachetek słodkiej wody ma jednak trochę ducha, szwagierku! – wykrzyknął około południa Cap zacierając ręce z czystej uciechy, że oto znów zмага się z żywiołem. – Wiatr wydaje mi się być uczciwym, staroświeckim sztormem, a fale jakby przypominają bałwany Golsztromu. Podoba mi się to, sierżancie, podoba mi się, i nabiorę szacunku dla waszego jeziora, jeżeli przez dwadzieścia cztery godziny wytrzyma to tak, jak się zaczęło.

–Ziemia! – krzyknął marynarz stojący na forkasztelu. Cap pośpieszył na dziób; istotnie poprzez gęsty deszcz widać było ląd w odległości około pół mili, a kuter mknął wprost w jego kierunku. Pierwszym odruchem starego żeglarza było dać rozkaz: „na stanowiska manewrowe, ląd od zawietrznej”, ale powstrzymał go opanowany żołnierz.

–Jeżeli podpłyniemy nieco bliżej – powiedział sierżant – niektórzy z nas mogą rozeznąć się, gdzie jesteśmy. Większość zna amerykański brzeg w tej stronie jeziora, a dobrze będzie dowiedzieć się o własnym położeniu.

–Bardzo słusznie, bardzo słusznie, o ile istnieje możliwość, byśmy się utrzymali na kursie. Co to tam jest po nawietrznej od dzioba? Wygląda mi na jakiś niski przylądek.

–Garnizon, jak mi Bóg miły! – wykrzyknął sierżant, którego wyćwiczone oko rozpoznało wojskowe zarysy fortu szybciej niż mniej wytrawny wzrok szwagra.

Sierżant nie mylił się. Był to istotnie fort, choć poprzez gęsty deszcz majaczył jak gdyby przesłonięty wieczornym zmierzchem czy też porannym oparem. Niebawem dojrzano niskie, ociekające wodą zielone stoki, ciemne palisady – teraz ciemniejsze jeszcze, bo zmoczone deszczem – dechy paru domów, wyniosły, samotny maszt flagowy, którego linki wiatr wygiął w luk, rzekłbyś wykreślony nieruchomą linią w powietrzu; nie można było tylko dostrzec żadnego znaku życia. Nawet posterunek poszukał schronienia, toteż zrazu wydało się, że żadne oko z fortu nie wykryje własnego statku. Atoli niestrudzenie czujny garnizon pograniczny nie spał: któraś z

czat zapewne wypatrzyła kuter, na kilku wieżach wartowniczych pojawili się ludzie, a potem zaroili się od nich nadwodne wały.

W scenie tej wzniosłość osobliwie uwydatniona była przez malowniczość. Furia burzy wskazywała na to, że nawałnica nie jest przelotna, i łatwo było wyobrazić sobie, iż stanowi trwały rys owego widoku. Wycie wichru nie ustawało, a rozszalałe wody odpowiadały na jego głuche, potężne uderzenia sykiem pian, groźnym szumem i ponurymi pochłustami. Siekący drobno deszcz był dla oka niby rzadka mgła, bo zacierał kontury i przydawał tajemniczości obrazowi, podczas gdy rzeźwe uczucie, które często towarzyszy wichurze na wodzie, przyczyniało się do złagodzenia tak groźnych wrażeń. Ciemny, nieskończony las wynurzał się z półmroku, potężny, posępny, wspaniały, a pojedyncze, osobliwe i malownicze oznaki życia w formie były ulgą dla wzroku przytłoczonego majestatem natury.

–Widzą nas – powiedział sierżant. – Myślą, żeśmy zawrócili przez tę wieję i że podpływamy do portu. O, jest sam major Duncan na północno-wschodnim bastionie; poznaję go po wzroście i grupie oficerów, którzy skupili się dokoła.

–Sierżancie, warto by ścierpieć parę docinków, gdyby się dało wpłynąć w rzekę i bezpiecznie stanąć na kotwicy. W takim wypadku moglibyśmy też wysadzić na ląd tego pana Eau-douce.

–Owszem, ale choć lichym jestem marynarzem, wiem dobrze, że to niemożliwe. Żaden statek na jeziorze nie mógłby pójść pod wiatr przy tej wiei, a w taką pogodę nie można stanąć na redzie.

–Wiem, widzę to, sierżancie, i choć ten widok miły jest wam ludziom lądu, musimy go przecież porzucić. Co do mnie, to w złą pogodę nigdy nie czuję się tak dobrze jak wówczas, gdy jestem pewny, że ląd pozostał za mną.

„Chwist” podsunął się już tak blisko brzegu, że stało się nieodzowne odwrócić go znowu dziobem od lądu. Padły odpowiednie rozkazy. Wciągnięto sztaksel sztormowy, opuszczono gafel, przełożono ster na nawietrzną, a lekki stateczek, który, rzekłbyś, igrał z żywiołem jak kaczka, odpadł od wiatru, obrócił się szybko i usłuchawszy rudla wprędce popędził po grzywach fal, umykając przed nawałnicą. W czasie tej chyżej ucieczki ląd wprawdzie był ciągle widoczny z lewej burty, natomiast fort i grupki zaniepokojonych widzów pochłonęła mgła. Teraz poczyniono manewry, niezbędne, ażeby kuter wszedł w linię wiatru, po czym „Chwist” jął znowu pruć wodę w kierunku północnego brzegu.

Minęły godziny, nim nastąpiły dalsze zmiany; wicher przybierał na sile, aż wreszcie nawet uparty Cap przyznał uczciwie, że jest to rzetelny sztorm. Pod zachód „Chwist” znów zrobił zwrot, ażeby w ciemności trzymać się z dala od brzegu, o północy zaś tymczasowy dowódca, który wypytawszy w sposób okrężny załogę, zebrał był pewne

ogólne wiadomości o rozmiarze i kształcie jeziora, uznał, że musi znajdować się gdzieś w środku między dwoma brzegami. Wysokość i długość fal potwierdzała to domniemanie, a trzeba też dodać, że o tym czasie Cap zaczął już odczuwać dla słodkiej wody respekt, który dwadzieścia cztery godziny temu wyśmiałby jako niepodobieństwo.

Po północy furia wichru stała się wręcz straszliwa, toteż Cap stwierdził, iż niepodobna stawiać mu oporu, gdyż woda waliła się na pokład stateczku takimi masami, że „Chwist” dygotał na wskroś, a chociaż był niezwykle zwrotny, bałwany groziły mu pogrzebaniem pod swym ciężarem. Załoga, kutra oświadczyła, że nigdy jeszcze nie była w takiej burzy, co nie mijalo się z prawdą, albowiem Gaspar znając wybornie wszystkie rzeki, przylądki i przystanie, byłby z pewnością już dawno doprowadził kuter do brzegu i zatrzymał go na jakimś bezpiecznym kotwicowisku. Cap jednak nie raczył prosić o radę młodzieńca, który nadal tkwił pod pokładem; postanowił poczynić sobie tak, jak marynarz na szerokim oceanie.

Była pierwsza nad ranem, kiedy na „Chwście” wciągnięto znowu sztaksel sztormowy, opuszczono główny żagiel i kuter poszedł pełnym wiatrem. Aczkolwiek rozwinięty teraz żagiel był ledwie skrawkiem płótna, stateczek wspaniale usprawiedliwiał swoje miano. Przez osiem godzin gnał zaiste jak chwist, nieomal z szybkością mew, które wśród burzy zataczały nad nim szalone koła, snadź lękając się opuszczenia na wrzący kocioł jeziora. Brzask nie przyniósł większych zmian; widoczny horyzont był wciąż owym, już opisanym, niewielkim kręgiem zasnutego deszczem nieba i wody, w którym żywioły zmagaly się iz sobą w jakimś chaotycznym skłębieniu.

Przez ten czas załoga i pasażerowie kutra zmuszeni byli zachowywać się biernie. Gaspar i pilot pozostali na dole, ponieważ jednak kołysanie zmniejszyło się, niemal cała reszta wyległa na pokład. Śniadanie spożyto w ciszy, a oczy wszystkich spotykały się, jak gdyby zadawali sobie milcząco pytanie, czym skończy się ta walka żywiołów. Natomiast Cap był całkowicie spokojny: twarz mu jaśniała, krok stawał się coraz śmielszy, a całe wejrzenie pewniejsze, w miarę jak sztorm przybierał na sile, wymagając odeń coraz większej zawodowej biegłości i osobistej odwagi. Stał na forkasztelu skrzyżowawszy ręce na piersiach i z instynktem marynarza utrzymywał swe ciało w równowadze, śledząc czapy fal, które łamały się i mknęły obok rozkolebanego, gnającego kutra niczym chmury miecione po niebie. W owej podniosłej chwili jeden z majtków zawołał niespodziewanie: – Żagiel!

Ontario cechował taki ogrom i pustka właściwa dzikim obszarom, że trudno było spodziewać się spotkania ze statkiem na jego wodach. Sam „Chwist” nasuwał swym pasażerom myśl o człowieku przemierzającym w pojedynkę bory, toteż ów moment przypominał spotkanie dwóch samotnych myśliwców pod ogromnym baldachimem listowia, naówczas okrywającym, tyle milionów akrów amerykańskiego kontynentu. Stan pogody potęgował jeszcze romantyczne, nieomal nadnaturalne wrażenie. Jeden

Cap patrzył na to wszystko okiem starego praktyka, lecz nawet jego żelazne nerwy drżały pod wpływem wzruszeń, wywołanych przez ów niesamowity widok.

Obcy statek znajdował się o jakieś dwa kable na wprost dzioba „Chwistu” i płynął takim kursem, że kuter powinien był minąć go z odległości kilku jardów. Był to statek rejowy, a poprzez tuman zawieruchy nawet najwytrawniejsze oko nie zdołałoby wykryć jakichkolwiek usterek w jego osprzęcie czy budowie. Jedynym żaglem, jaki na nim wciągnięto, był zrefowany grot-marsel oraz dwa małe sztaksle sztormowe, jeden na przodzie, drugi na tyle. Mimo to napór wiatru był tak potężny, że statek nieledwie kładł się na burtę, jeżeli jakaś nieposkromiona fala nie wyprostowała jego kadłuba. Wszystkie reje miał na miejscach, a wnosząc z jego posuwania się po wodzie z szybkością około czterech, węzłów, szedł pełniejszym wiatrem.

–Ten musi dobrze znać swoje położenie – rzekł Cap, gdy „Chwist” mknął ku statkowi z chyżością nieledwie równą wiei – bo wali śmiało na południe, gdzie pewnie spodziewa się znaleźć kotwicowisko lub przystań. Żaden człek przy zdrowych zmysłach nie pędziłby w ten sposób, gdyby nie wiedział doskonale, dokąd zmierza – chyba żeby go gnał wichur tak jak nas.

–Aleśmy wpadli, kapitanie! – odparł marynarz, do którego skierowane były owe słowa. – To jest okręt króla francuskiego, „Lemakalm” („Le Montcalm”), a idzie na Niagarę, gdzie Francuz ma garnizon i port. Aleśmy wpadli!

–Niech go kaci! Jak na Francuza przystało, zmyka do portu, gdy tylko zobaczy angielski statek.

–Bodaj byśmy mogli za nim popłynąć! – odparł tamten potrząsając głową z przygnębieniem. – Bo tu wchodzimy w zatokę i nie jest wcale pewne, czy się z niej wydostaniemy.

–No, no, człowieku! Mamy w bród miejsca i dobry, angielski kadłub pod nogami. Nie jesteście jakimiś żabojadami, aby się chować za przylądek czy fort dlatego, że trochę dmucha. Uwaga na ster!

Rozkaz ten został wydany ze względu na grożące statkowi niebezpieczeństwo. „Chwist” szedł teraz prosto na stewę przednią Francuza, a ponieważ odległość między obu statkami zmalała do stu jardów, wątpliwe było przez chwilę, czy da się go wyminąć.

–Bakbort! – krzyknął Cap. – Ster na bakbort! Przejdź mu za rufą!

Widać było, że załoga francuskiego statku zbiera się przy burcie od nawietrznej, skąd wycelowała kilka muszkietów, jak gdyby chcąc nakazać ludziom z „Chwistu”, by się trzymali z dala. Zauważono, że Francuzi gestykują, ale bałwany były zbyt rozszalałe i groźne, aby pozwolić na użycie zwyczajnych środków wojennych. Woda

wyciekała z luf kilku działek okrętu, toteż nikomu nie przyszło do głowy posłużyć się nimi w podobną burzę. Czarne burty wynurzając się z fal lśniły posępnie; wiatr wył w olinowaniu, wydzwaniając w nim pieśń okrętu, a okrzyki i nawoływania tak łąco wymykające się Francuzom były niedosłyszalne.

–A niech zrywa gardło! – warknął Cap. – To nie pogoda na szeptanie sobie sekretów. Ster na bakbort, na bakbort!

Sternik usłuchał, a ponowne chluśnięcie fali pchnęło „Chwist” ku środkowi statku, który znalazł się tak blisko, że nawet stary marynarz cofnął się o krok w niejasnej obawie, iż za następną falą kuter grzmotnie dziobem w deski burty Francuza. To się jednak nie stało; „Chwist” przysiadłszy niczym pantera, która gotuje się do skoku, wybił się w górę i rzucił naprzód, a w następnej chwili przemknął za rufą wroga, ledwie musnąwszy koniec jego bezanbomu swym własnym drzewcem dziobowym.

Młody Francuz, który dowodził „Montcalmem”, wskoczył na nadburcie i z ową górnolotną kurtuazją, która cechuje nawet najgorsze postęпки jego rodaków zdjął czapkę i z uśmiechem pozdrowił przepływający „Chwist”. Była jakaś bonhomie – i dobry smak w owym akcie uprzejmości, uczynionym w chwili, gdy sytuacja nie pozwalała na żadne inne porozumienie, ale poszło to na marne, jeżeli idzie

o Capa, ten bowiem z instynktem właściwym swojej rasie potrzęsnał groźnie pięścią i mruknął do siebie:

–Twoje szczęście, że nie mam uzbrojenia na pokładzie, bobyś musiał sobie powprawiać nowe okienka w kabinie. Sierżancie, to farmazon!

–Postąpił uprzejmie, szwagrze – odparł Dunham opuszczając rękę po oddaniu wojskowego ukłonu, który nakazała mu odwajemnić jego żołnierska duma. – Postąpił uprzejmie, a nie można się więcej spodziewać po Francuzie. Nikt nie potrafi powiedzieć, co w gruncie rzeczy chciał przez to dać do zrozumienia.

–Nie płynie on w tę stronę bez celu. No, ale niech sobie idzie, jeżeli zdoła dotrzeć tam, gdzie chce; my będziemy się trzymali jeziora, jak na rzetelnych angielskich marynarzy przystało.

Brzmiało to dumnie, lecz Cap z zazdrością zerkał za lśniącą czarną maską kadłuba „Montcalma”, za jego roztrzepotanym mars-żaglem i misterną pajęczyną olinowania, gdy statek stawał się coraz to mniej i mniej widoczny wśród deszczu, aż wreszcie zniknął niby jakieś nierzeczywiste zjawisko. Cap chętnie popłynąłby jego wartem, gdyby śmiał, bo mówiąc prawdę, perspektywa jeszcze jednej burzliwej nocy pośród tych dzikich wód, które szalały dokoła, nie była zbyt pokrzepiająca. Jednakże miał za wiele dumy zawodowej, ażeby zdradzić się ze swą obawą, a ci, którzy znajdowali się pod jego opieką, polegali na wiedzy i pomysłowości starego marynarza z

bezwzględny i ślepy zaufaniem, jakie zwykli odczuwać ludzie nieświadomi rzeczy.

Minęło kilka godzin i znowu zapadł zmrok, wzmagając niebezpieczeństwo zagrażające „Chwistowi”. Chwilowe przycichnięcie wichury skłoniło Capa do ponownego pójścia bejdewindem i przez noc kuter sztormował jak przedtem, stając w dryf i wystrzegając się zbliżenia do lądu.

Nie warto się rozwodzić nad wydarzeniami owej nocy, które podobne były do tych, jakie rozgrywają się zawsze wśród sztormu. Było tam i rozkolebanie statku, syk wody, bryzgi pian, uderzenia fal, które nurkującemu w nie stateczkowi groziły unicestwieniem, było nieustanne wycie wichru i straszny dryf. Ten ostatni stanowił najpoważniejsze niebezpieczeństwo, bo chociaż „Chwist” wybornie trzymał się wiatru i płynął bez górnego ożaglowania, przecie był tak lekki, że przetaczające się fale chwilami spychały go ku zawietrznej z szybkością równą ich własnej.

Nocy tej Cap spał twardo przez kilka godzin. Dzień właśnie świtał, kiedy marynarz poczuł, iż ktoś go potrząsa za ramię, a ocknąwszy się spostrzegł stojącego obok Tropicielea. Podczas wiei przewodnik mało pokazywał się na pokładzie, gdyż przyrodzona skromność mówiła mu, że tylko żeglarze winni się brać do kierowania statkiem, a chciał też okazać także zaufanie ludziom kierującym „Chwistem”, jakiego sam oczekiwał od tych, którzy z nim wędrowali przez lasy. Teraz jednakże uznał, że wolno mu się wtrącić, co uczynił w zwykły sobie, pełen prostoty sposób.

–Sen to rzecz miła, panie Cap – powiedział, gdy tamten rozwarł oczy na dobre i dostatecznie oprzytomniał. – Sen to rzecz miła, jak sam wiem z doświadczenia, lecz życie jest jeszcze miłsze. Rozejrzyj się pan i powiedz, czy to nie pora, aby dowódca był na nogach.

–Co tam takiego? Co tam takiego, Tropicielu? – burknął w pierwszej chwili Cap na wpół przebudzony. – Czyżbyś i ty przystał do malkontentów? Na lądzie podziwiałem twą umiejętność wymijania bez kompasu najgorszych mielizn, a odkąd jesteśmy na wodzie, twoja łagodność i uległość są równie przyjemne, jak pewność siebie na własnym gruncie. Nie spodziewałem się takich napomnień od ciebie.

–Co do mnie, mości Cap, to mam swoje umiejętności i sądzę, że nie wejdą one w paradę nikomu, natomiast z Mabel Dunham rzecz może się mieć inaczej. I ona wprawdzie ma swoje umiejętności, wszelako nie szorstkie jak nasze, ale łagodne i niewieście, takie jak być” powinny. Mówię to przez wzgląd na nią, a nie na siebie.

–Aha, zaczynam rozumieć. Dobra to dziewczyna, mój zacny przyjacielu; córka żołnierza i siostrzenica marynarza, toteż nie powinna być nazbyt zalękniona w czas burzy. Czy iznać po niej strach?

–Ależ nie, nie! Mabel to wprawdzie kobieta, lecz jest rozsądna i milczy. Me

słyszałem od niej ani słowa na temat naszych poczynań, choć myślę, iż wolałaby, ażeby Gaspar Eau-douce wrócił na swoje miejsce i wszystko znów było po dawnemu. Taka jest ludzka natura.

–Jasne; dziewczęca i Dunhamowska natura. Wszystko lepsze niż stary wuj, a każdy więcej wie od doświadczonego marynarza. Taka jest ludzka natura, mości Tropiciele, ja zaś nie dałbym złamanego szeląga za całą ludzką naturę, jaką można znaleźć u dwudziestoletniej dzierlatki, czy też – tu nieco zniżył głos – u wszystkich żołnierzy pięćdziesiątego piątego regimentu piechoty jego królewskiej mości. Me po to czterdzieści lat pływam po morzu, by na tym skrawku słodkiej wody pouczano mnie o ludzkiej naturze. Ależ ta wieją się trzyma! Dmie w tej chwili tak, jakby sam Boreasz wziął się własnoręcznie do miecha. A co to jest tam po zawietrznej? – przetarł oczy. – Łąd, jakem Cap, i to wysoki łąd!

Tropiciel nie od razu odpowiedział, ale potrząsając głową obserwował z silnym niepokojem wyraz twarzy swojego towarzysza.

–Łąd, równie pewnie jak to, że ten kuter nazywa się „Chwist” – powtórzył Cap. – Łąd po zawietrznej, i to o parę mil od nas, a pod nim taka piękna linia przybrzeż-nej kipieli, jaką można zobaczyć na plaży Long Island!

–A czy to rzecz radosna, czy smutna? – zapytał Tropiciel.

–Ha! Radosna! Smutna! Ani jedno, ani drugie! Nie, nie ma w tym nic radosnego, a jeśli idzie o smutki, to nic nie powinno smucić marynarza. Chyba nigdy nie czujesz się zasmucony czy przestraszony w lasach, mój przyjacielu?

–Tego istotnie bym nie powiedział. Kiedy niebezpieczeństwo jest znaczne, umiem je dojrzeć, rozpoznać i ominąć, inaczej bowiem skalp mój od dawna suszyłby się w wigwamie Mingów. Jednakże na tym jeziorze nie widzę tropu i uważam uległość za swój obowiązek; natomiast, jak sądzę, winniśmy pamiętać, że na pokładzie jest ktoś taki jak Mabel Dunham. Ale oto idzie jej ojciec, który będzie najlepiej wiedział, co czuje córka.

–Z tego, co wiem od obu majtków, wnoszę, że położenie jest poważne – rzekł sierżant stanąwszy przy nich. – Mówią mi, że niepodobna rozwinąć więcej żagli, a kuter tak dryfuje, iż za parę godzin wjedziemy na brzeg. Mam nadzieję, że strach tych chłopców ma wielkie oczy?

Cap nie odpowiedział; spojrział żałośnie na łąd, a potem ku nawietrznej z wyrazem takiej zaciekłości, jak gdyby chciał wziąć się za bary z pogodą.

–Może dobrze byłoby, szwagrze – ciągnął sierżant – posłać po Gaspara i naradzić się z nim, co robić? Tutaj można się nie obawiać Francuzów, a chłopak w każdych okolicznościach uratuje nas od zatonięcia, jeżeli to będzie możliwe.

–Otóż właśnie; to te przekłete okoliczności narobiły tyle złego. Ale niech chłop przyjdzie; kilka zręcznych pytań wyciągnie z niego prawdę, to ci gwarantuję.

Zaledwie uzyskano zgodę upartego Capa, natychmiast posłano po Gaspara. Młody człowiek ukazał się zaraz, a cała jego postawa, twarz i obejście znamionowały żal, upokorzenie oraz, jak się wydało patrzącemu, zgnębienie. Stanąwszy na pokładzie, Gaspar rozejrzał się szybko niespokojnym wzrokiem, jak gdyby chcąc wybadać sytuację kutra, a ten rzut oka snadź wystarczył, by wtajemniczyć go we wszelkie grożące statkowi niebezpieczeństwa. Zrazu popatrzył ku nawietrznej, jak zawsze każdy marynarz, potem przesunął wzrokiem po horyzoncie, aż wreszcie ujrzał wysoki brzeg po zawietrznej, a wówczas cała prawda objawiła mu się natychmiast.

–Posłałem po pana – zaczął Cap krzyżując ręce na piersiach i balansując ciałem z marynarską godnością – ażeby dowiedzieć się, czy jest tu jakaś przystań po zawietrznej. Zakładamy, że nie jesteś aż tak złośliwie do nas usposobiony, byś chciał potopić tu wszystkich, a osobliwie kobiety; przypuszczam też, że będziesz na tyle męczyzną, by pomóc nam wprowadzić kuter w jakieś, bezpieczne miejsce, dopóki ten wiaterek dmucha..

–Wolałbym sam umrzeć, niż żeby Mabel Dunham stała się krzywdą – odrzekł gorąco młodzieniec.

–Wiedziałem, wiedziałem! – zawołał Tropiciel klepiąc serdecznie Gaspara po ramieniu. – Chłopak jest równie rzetelny jak najprzedniejszy kompas, który kiedykolwiek wyznaczył kierunek, czy też sprowadził człowieka z fałszywego tropu. Śmiertelnym grzechem jest mniemać inaczej.

–Hm – mruknął Cap. – „Osobliwie kobiety”. Jak gdyby one były w jakimś szczególnym niebezpieczeństwie. Mniejsza z tym, młodzieńcze; porozumiemy się gadając z sobą jak dwaj prości marynarze. Znasz tu jakąś przystań po zawietrznej?

–Żadnej. W tym końcu jeziora jest spora zatoka, ale nikt z nas jej nie zna, a wejść do niej niełatwo.

–A ten brzeg? Nie zaleca się pewnie niczym szczególnym?

–Tam jest puszcza aż do ujścia Niagary w jedną stronę, a po Frontenac w drugą. Słyszałem, że na północ i zachód nie ma tam nic prócz lasów i prerii na przestrzeni tysiąca mil.

–Bogu dzięki. W takim razie nie może być i Francuzów. A dużo tu dzikich na lądzie?

–Indian znajdzie się w każdej stronie, choć nigdzie nie są zbyt liczni. Przypadkiem można ich napotkać tu i ówdzie na wybrzeżu, ale zdarza się też, że miesiącami nie widzi się ani jednego.

–A zatem, jeżeli idzie o tych łajdaków, musimy ryzykować, ale mówiąc szczerze, mości Western, gdyby nie zdarzyła się ta drobna nieprzyjemność z Francuzami, co byś teraz uczynił z kutrem?

–Jestem o wiele młodszym marynarzem od pana – odparł skromnie Gaspar – i przeto niezbyt się nadaję do udzielania ci rad.

–Tak, tak, o tym wszyscy wiemy. W zwykłym przypadku może i nie. Ale to jest przypadek niezwykły i okoliczność szczególna, zaś na tym kawałku słodkiej wody ma ona, można powiedzieć, swoje osobliwości, toteż jeżeli wziąć to wszystko pod uwagę, możesz udzielać rad nawet własnemu ojcu. W każdym razie wolno ci mówić, a ja osądzę twoje zdanie zgodnie z moim własnym doświadczeniem.

–Myślę, proszę pana, że zanim miną dwie godziny kuter będzie zmuszony rzucić kotwicę.

–Rzucić kotwicę? Chyba nie tu, na jeziorze?

–Nie, panie; tam, bliżej brzegu.

–Nie chcesz przecie powiedzieć, panie Eau-douce, że rzuciłbyś kotwicę mając brzeg po zawietrznej w taką wieją?

–Gdybym chciał ratować statek, uczyniłbym to właśnie.

–Fiuuuu! To ci słodka woda nie na żarty. Słuchaj no, młodzieńcze, przeżyłem na morzu od małego lat czterdzieści i jeden, i jeszcze nie słyszał o czymś podobnym. Prędzej wyrzuciłbym za burtę cały mój sprzęt kotwiczny, niż palnął takie głupstwo.

–Tak robimy na tym jeziorze – odparł skromnie Gaspar – kiedy (znajdziemy się w ciężkim położeniu. Zapewne robilibyśmy coś lepszego, gdyby nas lepiej uczono.

–Słusznie. Nie, nikt mnie nie namówi, ażebym dopuścił się podobnego grzechu przeciwko całemu memu wykształceniu. Nie śmiałbym pokazać się na Sandy Hook, gdybym popełnił takie głupstwo. Ba, tu obecny Tropicielek lepiej rozumie się na żeglarstwie. Możesz powrócić na dół, panie Eau-douce.

Gaspar skłonił się spokojnie i odszedł, ale gdy opuszczał się po drabince, zauważono, że rzucił smętne, niespokojne spojrzenie na horyzont po nawietrznej, potem na ląd w stronie przeciwnej, za czym zniknął z wyrazem troski dobitnie odmalowanym na obliczu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Stare, raz już wyśmiane wciąż powtarzał żarty,

Nowe ciosy odpierał, ślepy i uparty –

Aż w słowach się pogrążył jak

w bagnie – i sczeźł!

Kładąc ostrej dyspucie nieuchronny kres.

COWPER

Ponieważ żona żołnierza cierpiąc na chorobę morską nie opuszczała swej koi, Mabel Dunham siedziała samotnie w zewnętrznej kabinie, gdy Gaspar tam powrócił. Dzięki bowiem aktowi łaski sierżanta, dozwolono młodzieńcowi zająć właściwe miejsce w tej części kutra. Przypisywalibyśmy zbyt wielką prostoduszność naszej bohaterce, gdybyśmy powiedzieli, że mimo aresztowania Gaspara nie odczuwała doń żadnej nieufności, ale wyrządzilibyśmy też krzywdę jej gorącym uczuciom i szlachetnemu usposobieniu, gdybyśmy nie dodali, że ta nieufność była nieznaczną i przelotną. Kiedy Gaspar usiadł teraz obok z twarzą zachmurzoną pod wpływem niepokoju o losy kutra, wszelkie podejrzenia uleciały z myśli Mabel i dziewczyna ujrzała w nim jedynie pokrzywdzonego człowieka.

–Zbyttno się przejmujesz tą sprawą Gasparze – powiedziała skwapliwie, z owym wzruszeniem, które młode niewiasty zwykle są zdradzać pod wpływem silnych a szlachetnych uczuć. – Nikt, kto cię zna, nie może wierzyć i nie wierzy w twą winę. Tropiciel mówi, że życiem za ciebie ręczy.

–Więc ty, Mabel – odparł młodzieniec, w którego oczach rozbłysnął ogień – nie uważasz mnie za zdrajcę tak jak twój ojciec?

–Ojciec mój jest żołnierzem i musi postępować jak żołnierz. Natomiast córka mojego ojca żołnierzem nie jest i będzie myślała o tobie tak, jak winna myśleć o człowieku, który już tyle dla niej uczynił.

–Mabel, nie przywykłem rozmawiać z kobietami i wyjawiać im, co myślę i czuję. Nigdy nie miałem siostry, a matka odumarła mnie, gdy jeszcze byłem dzieckiem, toteż nie bardzo wiem, co najlepiej lubią słyszeć niewiasty...

Mabel wszystko by dała, ażeby się dowiedzieć, co kryją owe brzemienne słowa, przed którymi zawahał się Gaspar, lecz nieuchwytnie, a przemożne uczucie kobiecej płochliwości kazało jej opanować ciekawość. Czekwała w milczeniu, by wytłumaczył

się jaśniej.

–Chciałem rzec – ciągnął młodzieniec po przerwie, która wydała mu się dość kłopotliwa – że nie znam zapatrywań i sposobu postępowania osób tobie podobnych, musisz więc wyobrazić sobie to, co pragnąłbym powiedzieć.

Mabel miała dostateczną imaginację, by wyobrazić sobie wszystko, co trzeba, jednakże istnieją takie myśli i uczucia, które płeć piękna woli usłyszeć, zanim obdarzy je całą sympatią, a dziewczyna uświadomiła sobie niejasno, że właśnie uczucia Gaspara można by wymienić w tej liczbie. Z właściwą kobietom zręcznością postanowiła tedy raczej odmienić przedmiot rozmowy, niż ciągnąć ją dalej w sposób podobnie niezręczny i mglisty.

–Powiedz mi jedną rzecz, Gasparze, to mi wystarczy – rzekła ze stanowczością znamionującą ufność nie tylko w samą siebie ale i w towarzysza. – Nie zasłużyłeś na to okrutne posądzenie, które na tobie ciąży?

–Nie, Mabel! – zawołał Gaspar patrząc w jej błękitne oczy ze szczerością i prostotą, która mogłaby rozproszyc silniejsze podejrzenia. – Jak pragnę zbawienia duszy, nie zasłużyłem.

–Wiedziałam... mogłabym przysiąc! – zawołała gorąco dziewczyna. – A przecież ojciec mój ma dobre intencje... Ale nie przejmuj się tym, Gasparze.

–Tyle mam teraz zagraża skądinąd, że prawie o tym nie myślą.

–Gaparze!

Nie chcę cię niepokoić, Mabel, ale gdyby można namówić twego wuja, by zmienił swój sposób kierowania „Chwistem”.,, Lecz przecie jest o tyle bardziej doświadczony ode mnie, że może winien polegać raczej na własnym zdaniu niżli na moim.

–Myślisz, że kuter jest w niebezpieczeństwie? – spytała błyskawicznie Mabel.

–Obawiam się, że tak; przynajmniej my, z jeziora, uważalibyśmy, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Ale może stary marynarz z oceanu ma jakieś własne sposoby kierowania statkiem.

–Gasparze, wszyscy zgodnie uznają twoje umiejętności w tej mierze. Znasz to jezioro, znasz kuter, musisz więc być najlepszym sędzią naszego położenia.

–Moja troska o ciebie, Mabel sprawia, że jestem mniej odważny niż zazwyczaj ale mówiąc szczerze, widzę tylko jeden sposób uratowania kutra od rozbicia się w ciągu kilku najbliższych godzin, a tego sposobu twój wuj nie chce się jąć. Jednakże może to być moja nieznamość rzeczy, bo przecie, jak on sam powiada, Ontario to tylko

słodka woda.

–Chyba nie wierzysz, że może to czynić jakąś różnicę. Pomyśl o moim ojcu, Gasparze. Pomyśl o sobie, o tym, ile istnień ludzkich zawisło od jednego twojego słowa.

–Myślę o tobie, Mabel, a to jest ważniejsze, znacznie ważniejsze niż wszystko inne razem wzięte! – odparł młody człowiek z siłą wyrazu i żarliwością spojrzenia mówiącą nieskończenie więcej niż same słowa.

Serce Mabel zabiło szybko, a promień radości i zadowolenia przemknął po jej zarumienionej twarzyczce; jednakże groźba była zbyt dojmująca i poważna, by radośniejsze myśli mogły przynieść ulgę. Nie próbowała jednak powściągnąć spojrzenia pełnego wdzięczności, za czym powróciła do spraw, które z natury rzeczy były ważniejsze.

–Nie wolno pozwolić, by upór wuja stał się przyczyną takiej katastrofy. Idź jeszcze raz na pokład, Gasparze, i poproś tu mego ojca.

Kiedy młodzieniec zastosował się do tego życzenia, Mabel jęła się przysłuchiwać wyciu sztormu i łomotaniu fal o kadłub kutra, zdjęta przerażeniem dotychczas jej obcym. Z natury była – jak to określają podróżni – wybornym marynarzem, nie zastanawiała się więc dotąd nad niebezpieczeństwem, trawiąc czas na początku burzy na takich niewieścich zatrudnieniach, na jakie pozwalało położenie. Teraz jednak, kiedy obudzono w niej poważne obawy, uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie była na wodzie w podobną nawałnicę.

Parę minut, jakie upłynęło do chwili nadejścia sierżanta, wydało jej się godziną, a gdy ujrzała ojca schodzącego z Gasparem po drabinie, uczuła, że oddech zamiera jej w piersiach. Tak szybko, jak na to pozwalały słowa, zaznajomiła sierżanta z poglądem Gaspara na sytuację i jęła go zaklinać, aby przez miłość do córki, przez wzgląd na własne życie i życie swoich ludzi pomógł z Capem i skłonił go, by dowództwo nad kutrem przekazał z powrotem właściwemu komendantowi.

–Gaspar jest rzetelny, ojczy – dodała z powagą. – A gdyby nawet był fałszywy, nie może mieć żadnych powodów, by dążyć do rozbicia statku w tej odległej stronie jeziora kosztem życia nas wszystkich z jego własnym włącznie. Głową ręką za jego uczciwość.

–Owszem, dobre to u wystraszonej dziewczyny – odpowiedział bardziej flegmatyczny ojciec – ale nie byłoby do wybaczenia u dowodzącego wyprawą. Gaspar może uważać, że choć naraża się na ryzyko utonięcia przy wjechaniu na brzeg, opłaci mu to w pełni szansę ucieczki, gdy tylko stanie na lądzie.

–Panie sierżancie!

–Ojcie!

Owe okrzyki padły jednocześnie, ale wydane były tonem wyrażającym odmienne uczucia. U Gaspara najdobitniejszym było zdumienie, u Mabel zaś – wyrzut. Jednakże stary żołnierz był zbyt przyzwyczajony do otwartego postępowania z podwładnymi, by zważać na jedno i drugie, toteż po chwili namysłu ciągnął dalej, jak gdyby nigdy nic.

–A szwagier mój nie jest człowiekiem, który by ścierpiał, aby go pouczano o obowiązkach na statku.

–Ależ, ojcie, życie nasze jest w najwyższym niebezpieczeństwie.

–Tym gorzej. Niewielka to sztuka dowodzić w dobrą pogodę; dopiero jak zacznie dziać się źle, najlepszy oficer pokazuje się w prawdziwym świetle. Charles Cap nie zechce odejść od steru z tej racji, że statek jest w niebezpieczeństwie. Prócz tego, Gasparze, mówi on, że propozycja twoja wydaje się podejrzana i raczej pachnie podstępem niżli rozsądkiem.

–Może sobie tak myśleć, ale niech pośle po pilota i wysłucha jego zdania. Wiadomo dobrze, że tego człowieka nie widział od wczorajszego wieczora.

–To brzmi rozsądnie więc uczynimy tę; próbę. Chodź zatem ze mną na pokład, ażeby wszystko odbyło się uczciwie i jawnie.

Gaspar usłuchał, a zaciekawienie Mabel było tak wielkie, że i ona odważyła się podsunąć aż do zejścia kajutowego, gdzie suknie jej były dostatecznie osłonięte od gwałtowności wichru i bryzgów pian. Dziewczęca skromność nakazywała jej tam pozostać, ale Mabel z napięciem śledziła to, co się działo.

Po chwili ukazał się pilot i niepodobna było omylić się co do znaczenia zatroskanego wzroku, jakim obrzucił widok, który ujrzał, gdy tylko znalazł się na otwartym powietrzu. Co prawda, pewne pogłoski o sytuacji „Chwistu” przemknęły już pod pokład, jednakże w tym wypadku raczej pomniejszyły, niż wyolbrzymiły niebezpieczeństwo. Pilotowi pozwolono rozglądać się przez kilka minut, po czym padło pytanie, co uważałby za roztropne uczynić.

–Nie widzę innego sposobu uratowania kutra, jak tylko rzucić kotwicę – odrzekł prosto i bez wahania.

–Co? Tu na jeziorze? – zapytał go Cap, podobnie jak przedtem Gaspara.

–Nie, bliżej lądu, na zewnętrznej linii przybrzeżnej kipieli.

Skutkiem tych słów był fakt, że w umyśle Capa nie pozostały już żadne wątpliwości,

iz między dowódcą „Chwistu” a jego pilotem istnieje potajemne porozumienie, by rozbić kuter, najprawdopodobniej w nadziei, że uda im się zbiec. Toteż odniósł się do opinii pilota z obojętnością równą tej, jaką objawił wobec zdania Gaspara.

–Mówię ci, szwagrze – odpowiedział sierżantowi, który wyrzucał mu, że jest głuchy na owe propozycje – iż żaden marynarz nie wydałby takiej opinii z uczciwych pobudek. Póki można wciągnąć na maszt chociaż jeden łachman, zakotwiczenie statku w czas wiei, gdy ma się brzeg po zawietrznej – to czyn szalony, z którego nie potrafił bym nigdy wytłumaczyć się armatorom. Ale rzucać kotwicę tuż przy kipieli, to już byłby czysty obłąd.

–Armatorem „Chwistu” jest najjaśniejszy pan, ja zaś ponoszę odpowiedzialność za życie mych podkomendnych. Ci dwaj ludzie są lepiej od nas obeznani z jeziorem Ontario i moim zdaniem fakt, że mówią to samo, pozwala darzyć ich zaufaniem.

–Wuju – zaczęła z powagą Mabel, ale gest uczyniony przez Gaspara skłonił ją do opanowania swych uczuć.

–Dryfujemy ku falom przybrzeżnym tak szybko – powiedział młody człowiek – że zbędne jest rozwodzić się na ten temat. Pół godziny musi rozstrzygnąć sprawę tak czy owak, ale przestrzegam pana Capa, że nawet ten, kto ma najsilniejsze nogi, nie zdoła ustać ni chwili na pokładzie tak niskiego statku, gdy już dotrzemy do kipieli. Doprawdy nie mam wątpliwości, że kuter nabierze wody i zatonie, nim miniemy drugą linię fal.

–A cóż może na to zaradzić rzucenie kotwicy? – zapytał Cap z taką pasją jakby uważał, że Gaspar jest odpowiedzialny za skutki burzy, równie jak za swą własną opinię.

–To by przynajmniej nie zaszkodziło – odparł Eau-douce łagodnie. – Ustawiając kuter dziobem do fal powinniśmy zmniejszyć dryf, a nawet gdyby nas przeciągnęło na kotwicy przez kipieli, odbyłoby się to z możliwie najmniejszym niebezpieczeństwem. Ufam, że pan zezwolisz mnie i pilotowi przygotować się do zakotwiczenia, bo ten środek ostrożności może być pożyteczny, a nie wyniknie zeń nic złego.

–Proszę bardzo, sprawdźcie sobie liny, jeśli wola, i przygotujcie kotwice. Jesteśmy obecnie w takim -położeniu, że to niewiele może zaszkodzić. Sierżancie, proszę cię na słówko.

Cap odprowadził szwagra na bok, aby nikt nie usłyszał, i jął wywnętrzać się na temat rzeczywistego -położenia z większą niżli zazwyczaj dozą ludzkiego uczucia w tonie i obejściu.

–Smutna to sprawa dla biednej Mabel – powiedział wycierając nos i mówiąc z lekkim

drżeniem w głosie. – Ty i ja jesteśmy już stare chłopy i przywykliśmy patrzeć śmierci w oczy, ba, nawet umierać, bo nasze rzemiosła uodporniły nas na podobne sceny; natomiast ta biedulka jest czułą, dobrą dziewczyną i miałem nadzieję, że nim wybije moja godzina, ujrzę ją żoną i matką. No cóż, na każdym rejsie trzeba przyjmować złe razem z dobrym, i jedynym poważnym zastrzeżeniem, jakie może mieć w tym wypadku stary morski żeglarz, jest, że do tego doszło na takim skrawku słodkiej wody.

Sierżant Dunham był dzielnym człowiekiem i wykazał odwagę w sytuacjach o wiele bardziej przerażających; jednakże wówczas zawsze mógł odegrać swą rolę w walce z nieprzyjaciółmi, tu zaś nacierał nań wróg, któremu nie miał sposobu się oprzeć. O siebie troszczył się bez porównania mniej niż o córkę, odczuwał bowiem ową ufność we własne siły, która rzadko opuszcza człeka twardego, o krzepkim zdrowiu, przywykłego do osobistych wysiłków w chwili niebezpieczeństwa. Natomiast co się tyczy Mabel, nie widział sposobu ocalenia jej, toteż wiedziony rodzicielską miłością postanowił od razu, że jeśli skazani będą na zagładę, on sam zginie wraz z córką.

–Myślisz, że musi do tego dojść? – zapytał Capa z mocą, ale wyraźnie wzruszony.

–Za dwadzieścia minut będziemy na kipieli, no, a sam spójrz: jakie szansę może mieć choćby najtęższy z nas siłacz w owym wrącym kotle po zawietrznej?

Widok istotnie nie sprzyjał podsyceniu nadziei. W tym momencie „Chwist” znajdował się o milę od brzegu, ku któremu wiatr dał pod kątem prostym z gwałtownością, która nie pozwalała wciągnąć jakiegokolwiek dodatkowego płótna w celu obrócenia się pod wiatr. Niewielka część grot-żagla, którą rozwinięto jedynie po to, aby utrzymać dziób „Chwistu” na tyle blisko linii wiatru, by fale nie przewalały się przez kuter, dygotała, jak gdyby mocne włókna, utrzymujące płótno w całości, miały lada chwila trzasnąć. Deszcz ustał, ale na sto stóp ponad powierzchnią jeziora powietrze nasycone było migoczącą kurzawą pian, która przypominała połyskliwy tuman mgły, w górze zaś słońce świeciło wspaniale na bezchmurnym niebie, Gaspar to zauważył i przepowiedział rychły koniec wiei, ale następna godzina miała przesądzić o ich losie.

Między kutrem a lądem widok był jeszcze dzikszy i bardziej przerażający. Przybrzeżna kipiela rozlewała się prawie na pół mili, a woda była tam biała od pian, powietrze zaś tak przepelnione oparem i wodnym pyłem, że ląd w głębi majaczył niewyraźnie. Mimo to można było dostrzec, że wznosi się on wysoko – rzecz niezwykajna na brzegach Ontario – i że okrywa go zielony płaszcz bezkresnego lasu.

Podczas gdy sierżant i Cap w milczeniu spoglądali na ten widok, Gaspar ze swymi ludźmi krzątał się po forkasztelu. Zaledwie zezwolono młodzieńcowi podjąć jego dawne czynności, skrzyknął żołnierzy i dobrawszy sobie pięciu czy sześciu,

pomocników, wziął się ostro do wykonywania tego, co nazbyt długo odwlekano. Na owych wodach nigdy nie składa się kotwic na pokładzie, a lin nie zwija, toteż Gaspar miał zaoszczędzoną znaczną część pracy, która byłaby niezbędna na morzu. Obie główne kotwice wkrótce gotowe były do rzucenia, liny przysposobione, po czym wszyscy przerwali pracę, by się rozejrzeć w położeniu. Me zaszły żadne zmiany na lepsze; kuter z wolna zbliżał się do lądu i z każdą chwilą stawało się bardziej pewne, że nie drgnie ani o cal na nawietrzną.

Przyjrząwszy się długo, uważnie jezioru, Gaspar wydał nowe rozkazy, które dowodziły, że jego zdaniem czas bardzo nagli. Dwie małe kotewki ułożono na pokładzie i przytwierdzono do nich liny, końce tych lin zamocowano z kolei do dużych kotwic i przygotowano się do rzucenia ich we właściwej chwili. Po ukończeniu tych przygotowań Gaspara opuściło podniecenie wysiłku ustępując miejsca wyrazowi spokojnej powagi. Zszedł z forkasztelu – gdzie fale wwały się na pokład za każdym, zapadnięciem się statku, a załoga wykonywała opisaną pracę częstokroć zalana wodą – i postąpił ku rufie, gdzie było suszej. Tu wyszedł mu na spotkanie Tropiciel, który stał obok Mabel i kwatermistrza.

Większość znajdujących się na kutrze ludzi – z wyjątkiem osób już wymienionych – przebywała pad pokładem; jedni na swych posłaniach szukali ulgi od cierpień fizycznych, inni zbyt późno przypominali sobie własne grzechy. Zapewne po raz pierwszy, od chwili gdy kil „Chwistu” zanurzył się w przezrocyste wody Ontario, na pokładzie kutra usłyszano modlitwę.

–Gasparze – zaczął przewodnik. – Na nic się nie przydałem dzisiaj, bo jak wiesz, umiejętności moje niewiele znaczą na takim statku, lecz gdyby spodobało się Bogu, by córka sierżanta dotarła cało do brzegu, moja znajomość lasu mogłaby zapewnić jej bezpieczny powrót do garnizonu.

–Okrutnie to daleko, Tropicielu – odparła Mabel, gdyż stali tak blisko siebie, że każde słowo słyszane było przez wszystkich. – Boję się, że nikt z nas nie dotarłby żywy do fortu.

–Kręta i ryzykowna byłaby to droga, jakkolwiek znałem już takie kobiety, które w tej puszczy przeszły przez coś jeszcze gorszego. Ale, Gasparze, ty albo ja, albo my obaj, musimy popłynąć tym czołnem z kory; jedyna szansa dla Mabel, to przedostać się nim przez kipieli

–Chętnie popłynąłbym czymkolwiek, byleby uratować Mabel – odrzekł Gaspar z melancholijnym uśmiechem – ale żadna ludzka ręka, Tropicielu, nie przeprowadzi czołna przez kipieli w podobną wieję. Mimo wszystko wiązę pewne nadzieje z rzuceniem kotwicy, już kiedyś bowiem uratowaliśmy „Chwist” z opałów niemal tak strasznych jak te.

–Jeżeli mamy rzucić kotwicę – powiedział sierżant – to czemu nie zrobić tego zaraz? Każda stopa stracona na dryfowaniu powiększa odległość, przez którą będziemy zmuszeni wlec po dnie kotwice, kiedy je rzucimy.

Gaspar zbliżył się do sierżanta i uściskał mu rękę z powagą, w sposób znamionujący silne, nieomal niepohamowane uczucie.

–Panie sierżancie – powiedział uroczyście. – Jesteś człowiekiem zacnym, choć źle mnie potraktowałeś w tej sprawie. Miłujesz swoją córkę?

–O tym nie możesz wątpić, Eau-douce – odparł sierżant ochryplym głosem.

–Czy zechcesz dać jej, nam wszystkim, jedyną możliwość uratowania życia, jaka została?

–Czego żądasz ode mnie, chłopcze? Dotychczas postępowałem tak, jak mi nakazywał rozum. Czegóż jeszcze ode mnie żądasz?

–Wesprzyj mnie przez pięć minut przeciw panu Capowi, a dokonane zostanie wszystko, co w ludzkiej mocy, aby ocalić „Chwist”.

Sierżant zawahał się, był bowiem nazbyt zdyscyplinowanym, ażeby jawnie sprzeciwiać się rozkazom. Prócz tego nie znosił pozorów chwiejności, a wreszcie miał głęboki szacunek dla wiedzy żeglarskiej swojego powinowatego. Kiedy się zastanawiał, Cap odszedł od sternika, przy którym stał czas jakiś, i zbliżył się do nich.

–Panie Eau-douce – powiedział, gdy znalazł się dość blisko, aby go usłyszano. – Przychodzę zapytać, czy nie znasz tu jakiegoś miejsca, gdzie można by osadzić kuter na mieliźnie. Nadeszła pora, w której jesteście zmuszeni do tej ostateczności.

Ta chwila niezdecydowania Capa przyniosła tryumf Gasparowi. Kiedy młodzieniec spojrział na sierżanta, otrzymał w odpowiedzi kiwnięcie głową, które go upewniło, że wszystko będzie tak, jak chciał, toteż nie tracił ani jednej z owych chwil, które stawały się tak cenne.

–Czy mogę stanąć przy sterze – zapytał Capa – i zobaczyć, czy zdołamy dostać się do zatoczki, która tu jest po zawietrznej?

–Ależ tak, tak – rzekł tamten odchrząkując, aby oczyścić sobie gardło, albowiem czuł się przytłoczony odpowiedzialnością ciążącą na jego barkach tym silniej, że sam nie wiedział, co począć. Uczynił tak, Eau-douce, bo mówiąc szczerze, nie widzę nic lepszego do zrobienia. Musimy osadzić statek na mieliźnie albo też iść na dno.

Gasparowi nie trzeba było nic więcej; poskoczył ku rufie i już trzymał rudel w

garści. Pilot przygotowany był na to, co miało nastąpić, toteż na znak swego młodego dowódcy zwinął strzęp żagla, który od tak dawna pozostawał na maszcie. W tej chwili Gaspar, wypatrywszy odpowiedni moment, przełożył rumpel na nawietrzną: spuszczone sztaksel, a lekki kuter, jak gdyby świadom, że teraz kierują nim swojskie, ręce, wyszedł z wiatru i wrychle znalazł się w bruździe fali. Ta groźna chwila minęła bez szwanku i w następnym momencie stateczek pomknął ku kipieli z szybkością, która zagrażała mu natychmiastowym rozbitiem. Odległość była już tak niewielka, że Gasparowi wystarczyło pięciu minut, aby osiągnąć wszystko, czego pragnął, toteż znowu przełożył ster na zawietrzną, a „Chwist” mimo kotłowaniny wód wskoczył w wiatr tak wdzięcznie, jak kaczka zmieniająca kierunek na lśniącej tafli sadzawki.

Znak dany przez Gaspara wprowadził wszystko w ruch na forkasztelu i z obu stron dzioba rzucono kotewki. Okrutna siła dryfu stała się teraz widoczna nawet dla Mabel, gdyż obie linki błyskawicznie wylatywały z pokładu. Gdy tylko napięły się lekko, rzucono obie kotwice z silnymi linami. Nietrudno było zatrzymać ten lekki statek za pomocą sprzętu kotwicznego tak wybornej jakości, toteż w niespełna dziesięć minut, od chwili gdy Gaspar stanął u steru, „Chwist” obrócił się dziobem do fali, a obie liny napięły się niczym żelazne sztaby.

–Źle pan zrobiłeś, Gasparze! – wykrzyknął gniewnie Cap, gdy tylko spostrzegł, jaki mu figiel splełano. – Źle! Rozkazuję ci przeciąć liny i posadzić kuter na mieliźnie bez chwili zwłoki!

Jednakże nikt nie zdradzał zamiaru spełnienia tego rozkazu, bo póki Eau-douce uważał za stosowne dowodzić, jego ludzie słuchali go chętnie. Widząc, że stoją beczynnienie, Cap, który uważał, że statkowi grozi największe niebezpieczeństwo, obrócił się zajadle do Gaspara i ponowił swoje protesty.

–Nie popłynąłeś do tej rzekomej zatoczki – dorzucił po kilku łajaniach, których nie uważamy za konieczne przytaczać – ale posterowałeś na tę skałę, gdzie każda żywa dusza na statku byłaby utonęła, gdybyśmy wpadli na brzeg.

–A pan chciałeś ciąć liny i rozbić wszystkich na brzegu w tym samym miejscu! – odparował dość oschle Gaspar.

–Rzucić sondę za burtę i sprawdzić dryf! – ryknął Cap do ludzi zebranych na dziobie. Znak Gaspara, potwierdzający ten rozkaz, sprawił, że go natychmiast wykonano. Wszyscy śledzili z zapartym tchem wynik próby. Zaledwie ołów dosięgnął dna, lina napięła się do przodu i po dwóch minutach stwierdzono, że kuter zdryfował wprost ku skale o całą swoją długość. Gaspar miał minę poważną, gdyż wiedział dobrze, iż nic nie powstrzyma kutra, gdy ten dostanie się w wir kipieli, której pierwsza linia zjawiała się i zniknęła w odległości kabla od rufy.

–Zdrajco! – krzyknął Cap wygrażając pięścią młodemu dowódcy, lecz pasja zdławiła dalsze jego słowa. Dopiero po chwili dodał: – Odpowiesz za to głową! Gdybym stał na czele tej wyprawy, sierżancie, powiesiłbym go na głównym bomie, jeżeliby przedtem nie utonął.

–Pohamuj się, bracie, proszę cię, bądź powściągliwszy! Widać, że Gaspar uczynił, co mógł najlepszego, i może położenie nie jest tak złe, jak sądzisz.

–A czemu nie popłynął do tej zatoczki, o której mówił? Dlaczego doprowadził nas tutaj, wprost na nawietrzną od tego cypla, w miejscu gdzie nawet kipieli jest o połowę węższa? Widać mu spieszo wszystkich potopić.

–Podpłynąłem do skały właśnie z tej racji, że kipieli jest tu tak wąska – odrzekł łagodnie Gaspar, aczkolwiek zdjęło go oburzenie na słowa tamtego. – Chcesz wmówić takiemu staremu żeglarzowi jak ja, że ten kuter wytrzyma w kipieli?

–Bynajmniej. Sądzę, że nabrałby wody i zatonął na pierwszej linii fal; pewien jestem, że gdyby się w nie dostał, nigdy nie dotarłby do brzegu szorując po dnie. Mam nadzieję nie dopuścić go tam w ogóle.

–Chociaż co minuta dryfuje o własną długość?

–Nie można jeszcze nic wnosić z oporu kotwic, a nie mam też nadziei, by one nas zatrzymały.

–Więc czego się spodziewasz? Że przycumujesz statek dziobem i rufą za pomocą wiary, nadziei i miłości?

–Nie, panie; polegam na prądzie dennym. Skierowałem kuter ku cyplowi, bom wiedział, że prąd jest w owym punkcie silniejszy niż gdzie indziej i że można tam bardziej zbliżyć się do brzegu nie wchodząc w kipieli.

Powiedziane to było z żywnością, choć bez szczególnej urazy. Słowa Gaspara wywarły widomy skutek, przy czym głównym uczuciem starego marynarza było najwyraźniej zdziwienie.

–Denny prąd! – powtórzył. – Kto u diabła słyszał kiedykolwiek, żeby ocalić statek od rozbicia za pomocą dennego prądu?

–Może tak się nie zdarza na oceanie – odrzekł skromnie Gaspar – lecz wiemy, że zdarzało się tutaj.

–Chłopak ma słuszość, szwagrze – wtrącił sierżant – bo choć nie bardzo się na tym rozumiem, często słyszałem, jak marynarze z jeziora mówili o czymś takim. Dobrze zrobimy, jeżeli w tej opresji zaufamy Gasparowi.

Cap burknął coś i zaklął, ale ponieważ nie było innej rady, musiał się zgodzić. Gaspar, którego wezwano, aby wyjaśnił, co rozumie przez prąd dennny, opowiedział teraz wszystko. Woda, którą wicher gnał na brzegi, z konieczności musiała odzyskiwać normalny poziom, wracając na powrót do jeziora jakimiś ukrytymi kanałami. Nie mogło to się dziać na powierzchni, gdzie wiatr i fala pędziły ją ustawicznie ku lądowi, toteż zmuszona była tworzyć coś w rodzaju podwodnego wiru, którym spływała na swoje dawne miejsce. Ten właśnie spływ wody otrzymał miano dennego prądu, a ponieważ musiał niechybnie podziałać na dno statku o takiej wyporności jak „Chwist”, Gaspar miał więc nadzieję, że zapobiegnie to zerwaniu lin. Krótko mówiąc, górne i dolne prądy miały tu w pewnym sensie przeciwdziałać sobie wzajemnie.

Jakkolwiek teoria ta wydawała się prosta i pomysłowa, nie było widać praktycznych jej skutków. Dryfowanie wciąż trwało, chociaż wyraźnie osłabło, ponieważ kotewki i liny, którymi wzmocnione były kotwice, powstrzymywały statek. Nareszcie człowiek stojący przy sondzie oznajmił radosną wieść, że kotwice przestały pełznąć po dnie, a kuter stanął! W tej chwili pierwsza linia kipieli była o jakieś sto stóp od rufy „Chwistu”, lecz wydawała się znacznie bliższa, gdyż piana rozwiewała się i wytryskiwała na przemian na rozszalałych falach. Gaspar poskoczył na przód i rzuciwszy okiem na dziób, uśmiechnął się tryumfalnie, wskazując z rozradowaniem liny. Miast przypominać sztywnością żelazne sztaby, wygięły się teraz w dół, a dla każdego marynarza było oczywiste, że kuter wznosi się i opada, w miarę napływania fal, ze swobodą okrętu stojącego na kanale w czas przyływu, kiedy to siłę wiatru równoważy przeciwny napór wody.

–Prąd dennny! – wykrzyknął z uniesieniem Gaspar przebiegając skokami pokład, aby unieruchomić ster i pozwolić kutrowi swobodnie unosić się na wodzie. – Opatrzność umieściła nas w samym jego nurcie i nie ma już niebezpieczeństwa.

–Tak, tak, Opatrzność to dobry żeglarz – mruknął Cap – i często pomaga niezdarom wykaraskać się z trudności... Obojętne, czy ten prąd jest dennny czy wierzchni, dość że wieją ucichła, a szczęściem dla nas kotwice natrafiły na dobry grunt. Mimo wszystko ta słodka woda ma w sobie coś przeciwnego naturze.

Ludzie rzadko są skłonni sarkać, gdy im się szczęści; dopiero w biedzie stają się jazgotliwi i zrzędni. Większość płynących na „Chwście” uznała, że od rozbicia uratowała ich. zręczność i wiedza Gaspara, bez względu na zdanie Capa, na którego uwagi nie dawano już baczenia. Wprawdzie jeszcze pół godziny trwała niepewność i wątpliwości, przez który to czas śledzono niespokojnie sondę, lecz potem wszystkich ogarnęło poczucie bezpieczeństwa, a ci, co byli znużeni, zapadli w sen wolny od majaczeń o rychłej śmierci.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ukształtowana jeno z łez i westchnień,

Z czulej wierności w parze

z posłuszeństwem,

Uformowana z gry imaginacji

I z namiętności, i słodkich pożądań,

Z oddania, kornych służb i obowiązku,

Niecierpliwości w parze z cierpliwością,

Z czystości serca, czci i uwielbienia.

SZEKSPIR

Było blisko południa, kiedy nawałnica się przesiliła, wówczas gwałtowność jej osłabła równie nagle, jak wybuchła. W niecałe dwie godziny później wiatr ustał, a powierzchnia jeziora, chociaż wciąż jeszcze wzburzona, nie bieliła się już pianami; po dalszych dwóch godzinach Ontario przedstawiało zwyczajny widok rozkołysanych wód, nie miotanych już gwałtowną siłą burzy. Mimo to bałwany toczyły się nieprzerwanie ku brzegom, a linia kipieli nie znikwała, choć piany przestały się wzbijać; ruch fal był już spokojniejszy i wywołany tylko przez napór wiatru, który obecnie osłabł.

Ponieważ było niepodobieństwem płynąć pod fale wciąż jeszcze zbełtane lekkim, przeciwnym wiatrem wiejącym od wschodu, porzucono więc wszelką myśl o wyruszeniu w drogę tego popołudnia. Gaspar, który z całym spokojem objął znowu dowództwo nad „Chwistem”, wziął się do kolejnego podnoszenia kotwic; podciągnięto również wzmacniające kotewki i przysposobiono wszystko do niezwłocznego wyruszenia w drogę, gdy tylko pozwoli na to stan pogody. Tymczasem zaś ci, którzy nie musieli tym się trudnić, szukali sobie takich rozrywek, jakie były dostępne w ich sytuacji.

Jak to zwykle bywa z osobami nie nawykłymi do nieuniknionego na statku ograniczenia swobody ruchów, Mabel rzucała tęskne spojrzenia w stronę lądu, niebawem zaś wyraziła pragnienie; ażeby tam się udać. Tropiciel stał przy niej w tym momencie i zapewnił, że nie ma nic łatwiejszego, gdyż posiadają na pokładzie czółno z kory, którym najlepiej przepłynąć przez fale przybrzeżne. Po zwykłych wątpliwościach i skrupułach odwołano się do sierżanta, a kiedy wyraził zgodę,

poczyniono niezwłocznie przygotowania, by zamiar w czyn wprowadzić.

Grupka mająca wylądować składała się z sierżanta Dunhama, jego córki i Tropicielea. Mabel, przyzwyczajona do czółna, zasiadła odważnie pośrodku, ojciec jej zajął miejsce na dziobie, Tropiciel zaś, wzięwszy na siebie rolę sternika, ulokował się na rufie. Niezbyt było potrzeba popychać czółno wiosłem, albowiem fale rzucały je naprzód, chwilami tak gwałtownie, że wszelkie próby opanowania jego ruchów były daremne. Nieraz, zanim przybili do brzegu, Mabel żałowała swojej śmiałości, ale Tropiciel dodawał jej otuchy a i sam okazywał tyle opanowania, spokoju i siły ramienia, że nawet niewiasta wzdragałaby się wyjawić swoje obawy. Nasza bohaterka nie była tchórzliwa, toteż choć lądowanie przez fale przybrzeżne stanowiło dla niej nowe przeżycie, doświadczała jednak w pewnej mierze związanej z tym upojnej przyjemności. Chwilami serce podchodziło jej do gardła, kiedy wąż łądeczka zawisła na grzywie spienionego bałwana, muskając wodę niczym jaskółka, lecz zaraz potem dziewczyna rumieniła się i śmiała, gdy roziskrzona fala pomknęła dalej, oni zaś pozostali w tyle, jak gdyby zawstydzeni, że przegoniono ich w owym karkołomnym wyścigu. Podniecenie to trwało krótko, bo choć odległość między kutrem a lądem znacznie przekraczała ćwierć mili, przebyto ją w kilka minut.

Kiedy wylądowali, sierżant serdecznie ucałował Mabel, był bowiem na tyle żołnierzem, że zawsze czuł się pewniej na łądzie niż na wodzie; następnie wziął strzelbę i oznajmił, że zamierzę spędzić godzinkę na poszukiwaniu zwierzyny.

–Tropiciel zostanie z tobą, córko, i zapewne opowie ci coś niecoś o dziejach tej krainy albo o swoich własnych doświadczeniach z Mingami.

Przewodnik roześmiał się, obiecał, że zaopiekuje się Mabel, a w kilka minut później ojciec dziewczyny, wspiąwszy się na strome zbocze, zniknął w lesie. Pozostałych dwoje udało się w innym kierunku i po kilku minutach równie stromego podchodzenia dotarło do niewielkiego, nagiego miejsca, na cyplu, skąd można było objąć wzrokiem rozległą i nader niezwykłą panoramę. Tu Mabel usiadła na złomie skalnym, ażeby nabrać tchu i sił, towarzysz jej zaś, na którego mięśniach żaden wysiłek fizyczny snadź nie zostawił śladów, przystanął obok, wsparty na długiej strzelbie we właściwy sobie, nie pozbawiony wdzięku sposób. Minęło kilka minut, a żadne z nich nie przemówiło; szczególnie Mabel zapamiętała się w podziwie dla widoku.

Miejsce, do którego dotarli, znajdowało się dość wysoko, by można było ogarnąć wzrokiem szeroką połąć jeziora, które rozciągało się ku północnemu wschodowi bezkresną powierzchnią wód, migocących w promieniach południowego słońca, a jednak zdradzających resztki rozkołobania, jakie wywołała niedawna burza. Łąd obejmował jezioro olbrzymim półksiężycem, niknąc w oddali ku południowemu wschodowi i północy. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko las; żaden ślad cywilizacji nie zamącał jednolitego i potężnego majestatu natury. Wieją zagnała „Chwist” poza

linię fortów, którymi Francuzi usiłowali podówczas opasać angielskie posiadłości w Ameryce Północnej; placówki ich, rozmieszczone wzdłuż szlaków komunikacyjnych między wielkimi jeziorami, znajdowały się na brzegach Niagary, nasi śmiałkowie zaś dotarli do punktu położonego wiele mil na zachód od owej sławnej cieśniny.

Kuter stał na pojedynczej kotwicy poza kipiela, przypominając jakąś dobrze pomyślaną i dokładnie wykonaną zabawkę, przeznaczoną raczej do gablotki niż do tej walki z żywiołem, którą niedawno stoczył. Czółno wciągnięte było na wąską plażę, poza zasięg fal, które z szumem niosły się ku lądowi, i wyglądało stąd jak punkcik na nadbrzeżnych kamieniach.

–Daleko tu jesteście od ludzkich siedzib! – zawołała Mabel, kiedy po dłuższym oglądaniu owego widoku jego główne osobliwości narzuciły się żywej i bujnej wyobraźni dziewczyny. – Tutaj doprawdy czuję, że jestem na pograniczu.

–Czy bliżej morza i wokół wielkich miast mają takie piękne widoki? – zapytał Tropiciel z zaciekawieniem, którym napawał go ten temat.

–Tego nie powiem; tam więcej jest rzeczy, które przypominają człowiekowi o istnieniu bliźnich, może zaś mniej takich, co przypominają mu o Bogu.

–Tak, Mabel; to właśnie mówią mi moje uczucia. Wiesz, że ze mnie prosty myśliwiec, nieoświecony i nieuczony, ale tutaj, w tym moim domu, jestem równie blisko Boga, jak król w swoim pałacu.

–Któż by w to wątpił? – odparła Mabel przenosząc wzrok z jeziora na szorstkie, ale uczciwe oblicze swojego towarzysza, po trosze zdziwiona mocą, z jaką wyrzekł te słowa. – Sądzę, że w takim miejscu człowiek jest bliższy Boga niż w miastach, gdzie tyle rzeczy rozprasza myśli.

–Mówisz to, co ja sam pragnąłem wypowiedzieć, ale wyrażasz się w sposób o tyle przejrzystszy, że wstyd mi, iż chciałem innym objaśniać, co czuję. Jeszcze przed wojną opłynąłem to jezioro w poszukiwaniu skór i byłem już tutaj, ale nie w tym samym miejscu, bo wtedy wylądowałem o, tam, gdzie widać rozdarty piorunem dąb rosnący nad kępą jodeł...

–Jakim sposobem, Tropicielu, możesz pamiętać tak dokładnie wszystkie podobne drobiazgi?

–Toż to są nasze ulice i domy, nasze kościoły i pałace! Czy je pamiętam! Kiedyś umówiłem się z Wielkim Wężem, że za sześć miesięcy spotkamy się o dwunastej w południe u stóp pewnej sosny, od którego to miejsca każdy z nas znajdował się o trzysta mil. Drzewo to rosło – i jeszcze rośnie, jeżeli go nie dosięgną! wyrok Opatrzności – wśród puszczy, o pięćdziesiąt mil od wszelkich osiedli, natomiast w okolicy niezwykle odpowiedniej dla bobrów.

–I spotkaliście się w oznaczonym miejscu i czasie?

–A czy słońce wstaje i zachodzi? Gdym dotarł do owego drzewa, nastąłem tam opartego o pień Węża w porwanych skórzniach i zabłoconych mokasynach. Delawar wpadł w trzęsawisko i ciężko mu przyszło wydostać się zeń, ale podobnie jak słońce, które rankiem wynurza się zza -wzgórz na wschodzie, wieczorem zaś kryje za zachodnimi, tak i on w czas przybył na miejsce. Chingachgook to człek pewny, gdy wchodzi w rachubę wróg czy przyjaciel; równie jest niezawodny z jednym, jak z drugim.

–A gdzie teraz przebywa Delawar? Dlaczego nie ma go dziś z nami?

–Jest na tropie Mingów, gdzie i ja powinienem się znajdować, gdyby nie wielka ludzka ułomność.

–Chyba jesteś wyższy ponad to, daleki od wszelkich ułomności, Tropicielu; jeszcze nie spotkała człowieka, który wydawałby się tak mało podatny na przyrodzone słabości.

–Jeżeli masz na myśli zdrowie i siły, Mabel, to istotnie ppatrzność była dla mnie łaskawa, aczkolwiek moim zdaniem świeże powietrze, długie łowy, zwiady, leśny pokarm i sen, który zawdzięczamy czystemu sumieniu, zawsze trzymają lekarzy z dala od człowieka. Lecz mimo wszystko jestem istotą ludzką; tak, widzę, że bardzo ludzki w niektórych swoich uczuciach.

Mabel zdziwiła się, a będzie z naszej strony jedynie podkreśleniem cech właściwych jej płci, jeżeli dodamy, iż słodka twarz dziewczyny wyrażała również znaczne zaniepokojenie, aczkolwiek język był bardziej powściągliwy.

–Jest coś urzekającego w tym twoim dzikim życiu! – zawołała, a rumieniec zachwytu okrył jej policzki. – Czuję, że szybko staję się dziewczyną z pogranicza i zaczynam kochać tę wielką ciszę borów. Miasta wydają mi się nudne, a ponieważ ojciec zapewne spędzi resztę swych dni tutaj, gdzie żyje już od tak dawna, zaczynam tedy myśleć, że byłabym szczęśliwa, gdybym mogła przy nim pozostać i nie powracać na wybrzeże.

–Bory nigdy nie są ciche dla tego, kto je rozumie. Całymi dniami wędrowałem po nich samotnie, nie czując braku ludzkiego towarzystwa; co zaś się tyczy gawędy, to człowiekowi, który pojmuje ich język, nie zbraknie rozumnych i pouczających rozmów.

–Przypuszczam, Tropicielu, że czujesz się szczęśliwszy w samotności niż wówczas, gdy obcujesz ze swymi bliźnimi.

–Tego nie powiem. Był czas, kiedy mniemałem, że w lasach wystarcza mi Bóg, i

kiedy tęskniłem jedynie do Jego dobroci i opieki. Ale wzięły we mnie górę inne uczucia i myślę, że natura musi pójść swoim trybem. Wszelkie stworzenia kojarzą się z sobą, Mabel, i było już przeznaczone, by człowiek czynił to również.

–A nigdy nie pomyślałeś, aby poszukać sobie żony, która podzieliłaby twoje losy? – spytała dziewczyna z bezpośredniością i prostotą, cechującą ludzi szczerych i czyste go serca, i a tym uczuciem, które wrodzone jest kobietom. – Mnie się wydaje, że do pełnego szczęścia potrzeba ci tylko domu, do którego mógłbyś powracać ze swoich wędrówek. Gdybym była mężczyzną, znajdowałabym wielką radość w przemierzaniu do woli tych lasów lub żeglowaniu po tym pięknym jeziorze.

–Rozumiem cię, Mabel; niech Bóg ci błogosławi za to, że myślisz o losie tak skromnych ludzi jak my. Mamy, co prawda, swoje przyjemności równie jak swoje talenty, ale moglibyśmy być szczęśliwsi; tak, myślę, że moglibyśmy być szczęśliwsi!

–Szczęśliwsi? Pod jakim względem, Tropicielu? W tym kryształowym powietrzu, mogąc wędrować po chłodnych, cienistych lasach, wpatrywać się w to śliczne jezioro i pływać po nim, ludzie, którzy mają czyste sumienie i obficie zaspokojone wszelkie istotne potrzeby, powinni być szczęśliwi, w miarę jak na to pozwalają ich ułomności.

–Każde stworzenie ma swoją naturę i ludzie też ją mają – odrzekł przewodnik spoglądając ukradkiem na swą śliczną towarzyszkę, której policzki oblały się rumieńcem a oczy rozbliły pod wpływem gorących uczuć wywołanych nowością jej niezwykle położenia. – I wszyscy muszą jej słuchać. Widzisz tego dzikiego gołębia, co siada na brzegu, o tan, nie opodal tego obalonego orzecha?

–Oczywiście; w tej pustce to jest jedyna żywa, poruszająca się istota oprócz nas.

–Nie, Mabel, nie. Opatrzność nie stwarza żadnej żywej istoty po to, by żyła w pojedynkę. O, jest tam i samiczka; właśnie wzbija się w górę. Szukała pokarmu na plaży, ale niedługo pozostanie z dala od swego towarzysza.

–Rozumiem cię, Tropicielu – odparła Mabel uśmiechając się słodko, lecz tak spokojnie, jak gdyby toczyła rozmowę z własnym ojcem. – Ale myśliwiec może sobie znaleźć towarzyszkę nawet w dzikich stronach. Wiem, że dziewczyny indiańskie są czule i wierne, bo taka była żona Grace Strzały wobec swojego męża, który częściej marszczył brwi niż się uśmiechał.

–To na nic, Mabel; nie dałoby to nic dobrego. Gdy chce się znaleźć szczęście, swój musi ciągnąć do swego, a rodak do rodaka. Ba, gdybym mógł spotkać kogoś takiego jak ty, kto zgodziłby się zostać żoną myśliwca i nie wzgardziłby moją ciemnotą i prostactwem, wówczas zaprawdę cały znój przeszłości wydałby mi się igraszką jelonka, a cała przyszłość – słoneczną światłością.

–Kogoś takiego jak ja? Dziewczyna moich lat i płochoci nie byłaby odpowiednią towarzyszką dla najśmielszego zwiadowcy i najlepszego myśliwca aa szlaku.

–Ach, Mabel! Lękam się, czy nie próbowałem okrasić indiańskich przymiotów cechami bladej twarzy. Taki człek powinien szukać sobie żony w indiańskiej wiosce.

–Ależ, Tropiciele, chyba nie myślałbyś o wybraniu na żonę kogoś tak niemądrego, płochego, próżnego i niedoświadczonego jak ja? – Mabel chciała tu jeszcze dodać: „i tak młodego”, lecz powstrzymało ją instynktowne poczucie delikatności.

–A czemuż nie, Mabel? Choć nie rozumiesz się na sprawach pogranicza, przecież znasz więcej od nas miłych powiastek i obyczajów miejskich; co zaś się tyczy płochoci, nie wiem, co ona oznacza, jeżeli jednak urok, to ach! – obawiam się, że nie jest wadą w mych oczach. Próżną nie jesteś, co widać po twoim miłym sposobie słuchania wszystkich mych bają o zwiadach i tropieniach, a jeśli idzie o doświadczenie, to przyjdzie ono z latami. Prócz tego sądzę, że mężczyźni nie bardzo myślą o takich rzeczach, gdy mają wziąć sobie żonę.

–Tropiciele, twoje słowa... twoje spojrzenia... chyba to wszystko jest żartem... mówisz ot, tak, dla zabawy?

–Zawsze mi jest miło przebywać blisko ciebie, Mabel, i dzisiejszej nocy zasnąłbym spokojniej niż od tygodnia, gdybym mógł wiedzieć, że taka rozmowa jest tobie równie przyjemna jak mnie.

Nie powiemy, że Mabel Dunham nie uważała się za ulubienicę Tropiciele. Jej bystrość niewieścia dawno już fakt ten odkryła i może chwilami przychodziło Mabel do głowy, że szacunek i życzliwość, jaką ją darzył myśliwy, ma w sobie przymieszkę owej męskiej czułości, którą niekiedy przedstawiciele płci brzydkiej okazują kobietom, o ile nie są do cna brutalni. Jednakże nie przeszło nigdy przez myśl dzielnej, prostodusznej dziewczynie, że Tropiciel mógłby poważnie pragnąć jej za żonę. Teraz atoli zaświtał jej jakby promyk prawdy, nie tyle może na skutek słów łowcy, co jego zachowania. Spojrzała poważnie na poorane bruzdami oblicze Tropiciele, a własne jej rysy przybrały wyraz troski i skupienia; kiedy zaś przemówiła znowu, uczyniła to w sposób łagodny, który przyciągnął do niej myśliwca ze znacznie większą siłą niż ta, z jaką miały odepchnąć go same słowa.

–Powinniśmy rozumieć się wzajem, Tropiciele – rzekła poważnie i szczerze. – Nie trzeba, by między nas zakradła się jakakolwiek chmurka. Jesteś zbyt prawy i szczerzy, by cię nie darzyć w zamian szczerością. Chyba to wszystko, co mówiłeś, nie ma żadnego znaczenia... chyba nie ma w twoich uczuciach nic oprócz przyjaźni, którą człowiek twego rozumu i charakteru może zupełnie naturalnie żywić dla takiej jak ja dziewczyny.

–Przypuszczam, że jest to naturalne, Mabel; tak sądzę. Sierżant wspominał mi, że takie uczucia żywił dla twojej matki, a i ja sam napatrzyłem się czegoś podobnego u młodych, których od czasu do czasu przeprowadzałem przez puszcę. Tak, tak, uważam, że jest to naturalne i dlatego przychodzi tak łatwo, bardzo mnie pokrzepiając na duchu.

–Tropicielu, twoje słowa wprawiają mnie w zmieszanie. Mów jaśniej albo na zawsze porzuć ten temat. Chyba nie... nie chcesz powiedzieć, że... nie chcesz mi dać do zrozumienia... – tu język jej się poplątał, wiedzona bowiem dziewczęcym wstydem wzdragając się dodać to, co tak gorąco pragnęła wyrzec. Zebrała się jednak na odwagę i postanowiwszy 'dowiedzieć się wszystkiego możliwie jak najrychlej i bez obsłonek, podjęła po chwili wahania: – Chcę powiedzieć, Tropicielu, że chyba nie pragniesz dać mi do zrozumienia, jakobyś poważnie myślał o poślubieniu mnie?

–Owszem, Mabel; tak jest, tak właśnie jest, i wyraziłaś to o wiele lepiej, niż ja z całą moją leśną mądrością i nieokrzesanym obejściem zdołałbym uczynić. Sierżant i ja doszliśmy do porozumienia w tej sprawie, pod warunkiem, że rzecz wyda ci się możliwa do przyjęcia, co jego zdaniem jest pewne. Ja wszakże powątpiewam, czy będzie w mojej mocy podobać się tej, która zasługuje na najlepszego męża w całej Ameryce.

Wyraz twarzy Mabel zmienił się z zakłopotania w zdumienie, potem zaś jeszcze szybciej przeszedł ze zdumienia w ból.

–Mój ojciec? – wykrzyknęła. – Mój ojciec kochany uważa, że winnam zostać twoją żoną, Tropicielu?

–Tak, Mabel, tak zaiste. Uważa nawet, że może ci to być miłe, i zachęcał mnie, abym uwierzył, że to prawda.

–Ale ty sam... przecie z pewnością nie dbasz o to, czy owe projekty spełnią się kiedykolwiek?

–Co to znaczy?

–Chcę powiedzieć, że omawiałeś ten związek raczej po to, by zobligować sobie mojego ojca; że jest ci obojętne, jak wypadnie moja odpowiedź?

Zwiadowca z powagą popatrzył na piękną twarz Mabel zarumienioną pod wpływem gorącego i tak nowego wzruszenia, a w całym jego szczerym obliczu niepodobna było nie dostrzec najwyższego zachwyty.

–Częstom uważałem się za szczęśliwego, gdy przemierzałem lasy uganiając się za zwierzyną, kiedy wdychałem czyste górskie powietrze chłonąc siłę i zdrowie; lecz teraz wiem, że to była próżność i marność w porównaniu z rozkoszą, jaką dałoby mi

poczucie, iż cenisz mnie więcej niż innych.

–Cenić cię więcej! Zaiste, Tropicielu, cenię cię więcej niż większość innych ludzi, może nawet więcej niż wszystkich, bo twojej rzetelności, uczciwości, prostocie, prawości i odwadze mało kto może dorównać.

–Ach, Mabel, słodkie i zachęcające są twoje słowa! A zatem sierżant nie mylił się tak dalece, jakem się tego lękał!

–Nie, Tropicielu, w imię wszystkiego, co święte i sprawiedliwe, nie rozumiemy się źle w tak ważnej sprawie!

Jakkolwiek poważam cię, szanuję, nie: czcuję nieledwie jak własnego ojca, przecie jest niemożliwe, ażebym kiedykolwiek została twoją żoną, ażebym...

Zmiana, która zaszła w obliczu Tropicieła, była tak nagła i tak wielka, że w chwili gdy efekt tych słów objawił się na jego twarzy, dziewczyna urwała wbrew usilnemu pragnieniu, by sprawę wyłuszczyć jasno; niechęć bowiem do zadawania bólu, jaką zawsze żywiła, była dość silna, aby ją skłoniła do zamilknięcia. Oboje przez jakiś czas nic nie mówili, a wyraz zawodu, który odmalował się na twardym obliczu myśliwca, tak bardzo był bliski udręki, że dziewczyna struchlała. Tropiciel natomiast doznał uczucia silnego dławienia w gardle i chwycił się za krtań, niby człowiek, który szuka ucieczki od fizycznego bólu. Palce jego zacisnęły się tak kurczowo, że spłoszoną dziewczynę zdjęło przerażenie.

–Tropicielu – dorzuciła żarliwie, gdy tylko odzyskała głos. – Może powiedziałam więcej, niż chciałam, bo to się zdarza, a podobno kobiety nigdy nie są pewne swych własnych myśli. Pragnęłam tylko, żebyś zrozumiał, że nie jest prawdopodobne, abyśmy mogli o sobie myśleć jako o mężu i żonie.

**–Nie myślę, nigdy więcej nie będę myślał w ten sposób – wykrztusił Tropiciel wymawiając owe słowa jak człowiek właśnie oswobodzony od dławiącego go ciężaru.
– Nie, nigdy więcej nie będę tak myślał o tobie ani o kimkolwiek innym.**

–Tropicielu, drogi Tropicielu, zrozum mnie; nie przypisuj mym słowom większego znaczenia niżli ja sama. Taki związek byłby nieroztropny, a może i nienaturalny.

–Tak, nienaturalny, przeciwny naturze... To właśnie mówiłem sierżantowi, ale on się upierał...

–Tropicielu! Ach, to gorsze, niż mogłam sobie wyobrazić! Weź mnie za rękę, przezacny Tropicielu, i pokaż, że nie czujesz do mnie nienawiści! Na miłość boską, uśmiechnij się znowu.

–Nienawiści, Mabel? Uśmiechnąć się do ciebie? Ach, Boże!

–Daj mi rękę, swą śmiałą, wierną i męską rękę – obie twe ręce, Tropicielu! Nie uspokoję się, póki nie będę miała pewności, że znowu jesteśmy przyjaciółmi i że to wszystko było pomyłką.

–Mabel – powiedział przewodnik patrząc tęsknie w twarz szlachetnej, wzburzonej dziewczyny, która chwyciła obie jego twarde i ogorzone dłonie swymi ślicznymi, delikatnymi palcami. Zaśmiał się cicho, we właściwy sobie sposób, a męka odmalowała się na twarzy niezdolnej do ukrywania wzruszeń tak sprzecznych, jak te, które nim teraz miały. – Mabel! Sierżant omylił się.

Tropiciel nie mógł się dłużej opanować i łzy jak grad popłynęły po policzkach zwiadowcy. Chwycił się konwulsyjnie za gardło, a jego pierś poczęła się unosić i opadać, jak gdyby rozpaczliwie usiłowała zrzucić gniotące ją brzemię.

–Tropicielu! Tropicielu – krzyknęła Mabel. – Wszystko, byle nie to! Wszystko, byle nie to! Przemów do mnie, uśmiechnij się znowu, powiedz choć jedno dobre słowo, cokolwiek, co dowiedzie, że możesz mi przebaczyć.

–Sierżant omylił się! – zawołał przewodnik śmiejąc się wśród swej udręki, a jego towarzyszka przeraziła się tego nienaturalnego połączenia bólu i wesołości. – Wiedziałem, wiedziałem i mówiłem to; tak, sierżant omylił się jednak!

–Możemy być przyjaciółmi, choć nie możemy być mężem i żoną – ciągnęła Mabel sama nie wiedząc, co mówi, nieomal również wstrząśnięta jak jej towarzysz. – Zawsze możemy być i zawsze będziemy przyjaciółmi.

–Takem i myślał, że sierżant się myli -podjął Tropiciel opanowawszy się z wielkim wysiłkiem – bo nie sądziłem, bym mógł się podobać miejskiej pannie. Lepiej by się stało, gdyby mi nie wmówił czegoś wręcz przeciwnego; lepiej też by się stało, gdybyś nie była tak miła i ufna.

–Gdyby mi przyszło do głowy, że jakiś błąd z mojej strony może choćby nieumyślnie obudzić w tobie złudne nadzieje, nigdy bym sobie nie darowała, bo wierząc, że wolałabym zadać hol sobie samej, niż żebyś ty cierpiał.

–Otóż to, Mabel, otóż to właśnie. Takie słowa i zdania wypowiedane tak miękkim głosem i w sposób, do którego nie przywykłem w lasach, były przyczyną wszystkiego złego. Teraz jednakże widzę jasno i zaczynam lepiej rozumieć różnicę między nami, toteż postaram się poskromić swoje myśli i pójdę w świat jak dawniej, w poszukiwaniu zwierzyny i wroga. Ach, Mabel, odkąd się spotkaliśmy, byłem zaiste na fałszywym tropie!

–Rychło zapomnisz o tym wszystkim i będziesz o mnie myślał jak o przyjaciółce, która zawdzięcza ci życie.

–Może tak się dzieje w miastach, ale wątpię, czy byłoby to naturalne w lasach. U nas, gdy człek ogląda piękny widok, zachowuje na długo w pamięci jego obraz, a kiedy w sercu zrodzi się prawe i rzetelne uczucie, trudno jest z nim się rozstać.

–Zapomnisz o tym, gdy uświadomisz sobie poważnie, żeś całkiem nieodpowiednia na żonę dla siebie.

–Takem i mówił sierżantowi, ale on uparł się, że jest inaczej. Wiedziałem, żeś za młoda i za piękna dla człowieka w średnim wieku, który nigdy – nawet w młodości – nie był przystojny. Prócz tego inne masz obyczaje; chata myśliwca nie byłaby miejscem odpowiednim dla kogoś, kto wychował się, żeby tak rzec, wśród wodzów. Gdybym był młodszy i gładszy, taki jak Gaspar Eau-douce...

–Mniejsza o niego – przerwała niecierpliwie Mabel. – Możemy mówić o czym innym.

–Gaspar to zacy młodzienc, Mabel, a i przystojny – odparł prostoduszny przewodnik spoglądając poważnie na dziewczynę, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie zgadza się z podobnym lekceważeniem swojego przyjaciela. – Gdybym chociaż w połowie był tak przystojny jak Gaspar Western, nie miałbym w tej sprawie tak wielkich czy słusznych skrupułów.

–Nie będziemy mówili o Gasparze Westernie – powtórzyła Mabel, a rumieniec wystąpił na jej policzki. – Może on być doskonały w czas burzy czy na jeziorze, lecz tutaj o nim mówić nie warto.

–Obawiam się, że jest lepszy od człeka, który ma zostać twym mężem, choć sierżant powiada, że nigdy do tego nie dojdzie. Ale sierżant już raz się omylił, może więc omylić się powtórnie.

–A któż to ma być moim mężem, Tropicielu? To nie mniej osobliwe niż wszystko, co się tu siało między nami.

–Rozumiem, że jest rzeczą naturalną, aby swój ciągnął do swego, aby kobieta, która wiele obcowiała z żonami oficerów, sama pragnęła zostać małżonką oficera. Ale wiem, że mogę z tobą mówić szczerze, i ufam, że moje słowa nie sprawią ci bólu. Teraz, kiedy pojąłem, co znaczy rozczarowanie w takich uczuciach, nie chciałbym wyrządzić podobnego strapienia nawet Mingowi. Jednakże nie zawsze można znaleźć większe szczęście w ozdobnym namiocie niż w zwykłym szałasie i chociaż kwatera oficerska może się wydawać powabniejsza od zwykłych koszar, przecie częstokroć za jej drzwiami zdarzają się wielkie niesnaski pomiędzy mężem a żoną.

–Nie wątpię w to ani na chwilę i gdyby do mnie należała decyzja, raczej bym poszła za tobą do jakiejś chatki w lasach i podzieliła los twój, zły czy też dobry, niż przestąpiła próg domu któregośkolwiek z oficerów, by tam pozostać jako małżonka.

–Lundie myśli inaczej i czego innego się spodziewa.

–A cóż mnie obchodzi Lundie? Jest majorem pięćdziesiątego piątego pułku i może sobie komenderować do woli swymi ludźmi, ale nie zdoła przymusić mnie, bym poślubiła najznamienitszego czy najpośledniejszego z jego oficerów. A wreszcie, cóż możesz wiedzieć o jego życzeniach w lej mierze?

–Wiem to z własnych ust Lundiego. Sierżant wspominał mu, że upatrzył sobie mnie na zięcia, a major, mój stary i wierny przyjaciel, rozmawiał ze mną na ten temat. Zapytał otwarcie, czy nie byłoby szlachetniej, gdybym ustąpił miejsca oficerowi, miast kazać ci dzielić los łowcy. Przyznałem mu rację, lecz kiedy mi powiedział, że wybór jego padł na kwatermistrza, nie chciałem na to przystać. Nie, nie, Mabel, znam dobrze Davy'ego Muira i wiem, że choć może uczynić cię damą, nigdy nie uczyni cię kobietą szczęśliwą, tak jak sam nie zostanie dżentelmenem.

–Ojciec mój bardzo pobłędził, jeżeli powiedział czy zrobił coś, co mogło sprawić ci (przykrość, Tropicielu, a szacunek mój dla ciebie jest tak wielki, życzliwość zaś tak szczerą, że raczej wolałabym być do śmierci tym, czym teraz jestem, niż zostać damą za cenę poślubienia porucznika Muira, którego wpływu na mnie nikt lękać się nie powinien.

–Nie sądzę, abyś mówiła to, czego nie czujesz – odrzekł poważnie Tropiciel.

–Nie w takiej chwili ani ma taki temat, a już zwłaszcza do ciebie. Me, porucznik Muir może szukać sobie żony, gdzie zechce – moje imię nie znajdzie się nigdy na jego liście.

–Dzięki ci, dzięki za to, Mabel, bo chociaż nie ma już dla mnie nadziei, nigdy nie uspokoiłbym się, gdybyś miała powziąć upodobanie do kwatermistrza. Lękałem się, że zaważy tu jego ranga, a iznam ja tego człowieka! Nie zazdrość każe mi tak mówić, lecz prawda, albowiem znam go dobrze. Bo gdyby ci się spodobał jakiś młodzieniec, który na to zasługuje, ktoś taki jak Gaspar Western na przykład...

–Czemu wciąż mówisz o Gasparze Eau-douce, Tropicielu? Nie może on mieć nic wspólnego z naszą przyjaźnią; porozmawiajmy tedy o tobie i o tym, jak myślisz spędzić zimę.

–Ach, niewielem wart, Mabel, chyba na tropie albo ze strzelbą w dłoni; a jeszcze mniej jestem wart teraz, kiedy odkryłem pomyłkę sierżanta. Dlatego nie trzeba mówić o mnie. Miło mi było tak długo przebywać blisko ciebie, a nawet wyobrażać sobie, że sierżant miał rację, ale teraz jest już po wszystkim. Odpłynę na jezioro z Gasparem, tam zaś będzie dość do roboty, aby odegnać od siebie niepotrzebne myśli.

–I zapomnisz, Tropicielu... zapomnisz o mnie... nie, może nie zapomnisz... ale podejmiesz znowu swe dawne wędrówki i przestaniesz mniemać, że dziewczyna jest

dosyć ważna, aby zakłócić twój spokój.

–Nigdy dotychczas o tym nie wiedziałem, ale w życiu dziewczęta są ważniejsze, niżbym przypuszczał. Nim cię spotkałem, nowo narodzone dziecko nie spało smaczniej ode mnie; ledwie złożyłem, głowę na byle korzeniu, głazie czy skórze, a już wszystko zapadało się w nicość, chyba że nocą we śnie przeżywałem na nowo zdarzenia dnia. I spoczywałem, póki nie nadeszła pora wstawać, a wówczas niczym jaskółki, które co dnia wzlatają o brzasku, zrywałem się na nogi w oznaczonej chwili. Było to moim darem i mogłem na to liczyć nawet pośrodku obozu Mingów, boć w swoim czasie przebywałem w wioskach tych łotrów.

–I wszystko to wróci, Tropicielu, bo człowiek tak prawy i szczery nie zmarnuje własnego szczęścia z powodu kaprysu. Znów będziesz śnił o swoich łowach, o ubitych jeleniach, o bobrach, które schwytałeś.

–Ach, Mabel, obym już nigdy nie śnił! Zanim się spotkaliśmy, lubiłem w wyobraźni gonić za ogarami, tropić Irokezów, ba, nawet w myśli brać udział w potyczkach i zasadzkach, i znajdowałem w tym przyjemność – ale to wszystko straciło dla mnie urok, odkąd cię poznałem. A teraz już nie śnię o niczym, co brutalne; ot, choćby ostatniej nocy w garnizonie zwidziało mi się, że mam chatynkę w jaworowym gaju, a pod każdym z drzew siedzi Mabel, w gałęziach ptaki śpiewają ballady zamiast wydawać głosy, którymi je obdarzyła natura, a nawet rogacz przystaje, aby posłuchać ich śpiewu. Chciałem zastrzelić jelenka, lecz Postrach Zwierząt chybił, a jelen uśmiechnął się do mnie tak miło jak radosna dziewczyna, po czym odbiegł w Skok, oglądając się na mnie, jak gdyby chciał, bym za nim pogonił.

–Dość, Tropicielu; nie będziemy więcej o tym mówili – rzekła Mabel a z oczu trysnęły jej łzy, bowiem szlachętne serce dziewczyny poruszyła do głębi prostota i powaga, z którą ów twardy mieszkaniec puszczy objawił, jak dalece zawładnęła jego uczuciami. – Poszukamy teraz ojca; nie może być daleko, bo słyszałam strzały gdzieś w pobliżu.

–Sierżant się mylił tak, mylił się; nie można połączyć gołąbki z wilkiem.

–Idzie ojciec – przerwała Mabel. – Musimy przybrać Wesoły, pogodny wyraz twarzy, jak się godzi między dobrymi przyjaciółmi, i zachować przy sobie naszą tajemnicę. Zapadło milczenie; usłyszeli krok sierżanta, pod którego stopami trzaskały suche gałązki, po czym ukazał się on sam, rozchylając pobliską gęstwinię. Wynurzywszy się na otwartą przestrzeń stary żołnierz przyjrzał się córce i jej towarzyszowi i powiedział dobrotliwie:

–Mabel, dziecko drogie, młoda jesteś i dobre masz nogi; poszukaj ptaka, którego ustrzeliłem i który spadł za tę kępę młodych jodełek nad brzegiem. A ponieważ Gaspar najwyraźniej chce już ruszać w drogę, nie musisz więc drapać się z,

powrotem na to wzgórze; spotkamy się za parę minut nad jeziorem.

Mabel usłuchała go i zbiegła ze wzgórza w sprężystych podskokach znamionujących młodość i zdrowie. Atoli mimo owej lekkości kroku ciężko było dziewczynie na duszy, toteż zaledwie gąszcz skrył ją przed wzrokiem obu mężczyzn, rzuciła się na korzenie drzewa i wybuchnęła płaczem, jak gdyby -serce miało jej pęknąć. Sierżant z ojcowską dumą patrzył za nią, dopóki nie zniknęła, po czym obrócił się do swego towarzysza z najmiłszym i najpoufalszym uśmiechem, na jaki pozwalały mu jego obyczaje w obcowaniu z ludźmi,

–Mą lekkość i żwawość matki, przyjacielu, a i trochę krzepoty ojca – powiedział. – Wydaje mi się, że matka jej nie była tak ładna, ale Dunhamowje, mężczyźni czy kobiety, zawsze mieli opinię przystojnych. No, Tropicielu, myślę, że nie prześlepiłeś okazji i pogadałeś szczerze z dziewczyną, Kobiety lubią otwartość w takich sprawach.

–Uważam, że nareszcie porozumieliśmy się z Mabel – odparł tamten odwracając twarz, ażeby uniknąć wzroku sierżanta.

–Tym lepiej. Niektórzy wyobrażają sobie, że odrobina wątpliwości i niepewności ożywia uczucia, ale ja należę do tych, co uważają, że im jaśniej przemawia język, tym łatwiej umysł pojmuje. Czy Mabel była zaskoczona?

–Obawiam się, że tak... że ją to zaskoczyło.

–No, no, zaskoczenie w miłości podobne jest do zasadzki na wojnie i również dozwolone, chociaż trudniej rozeznaczyć, kiedy kobieta jest zaskoczona, niż wówczas, gdy ma się do czynienia z wrogiem. Chyba nie uciekła od ciebie – prawda, mój zacny przyjacielu?

–Nie, sierżancie; Mabel nie próbowała uciekać; to jedno mogę powiedzieć z czystym sumieniem.

–Mam też nadzieję, że nie okazała nadmiernej skwapliwości! Jej matka co najmniej przez miesiąc była lękliwa i nieśmiała, wszelako szczerłość jest mimo wszystko największą zaletą w mężczyźnie czy kobiecie.

–Tak jest, tak jest, a i rozsądek także.

–Nie możesz spodziewać się zbyt wiele rozsądku od młodej, dwudziestoletniej istoty, ale to przyjdzie z doświadczeniem. Na pomyłkę u mnie czy u ciebie nie można by tak łatwo zamykać oczu, ale dziewczynie w wieku Mabel niepodobna się dziwić, jeżeli weźmie komara za wielbłąda.

Mięśnie twarzy słuchacza drgnęły, gdy sierżant tak wyjaśniał swoje poglądy,

aczkolwiek myśliwiec już w pewnej mierze odzyskał równowagę ducha, która stanowiła tak istotną część jego natury, a której zapewne nabrał wskutek długiego obcowania z Indianami. Podniósł i opuścił oczy, a w pewnej chwili po surowej twarzy przeleciał błysk, jak gdyby Tropiciel miał się roześmiać; jednakże to wesołe uczucie – o ile w ogóle istniało – roztopiło się szybko w wyrazie pokrewnym męce. Ta właśnie niezwykła mieszanina okrutnej, dojmującej udręki z wrodzoną, prostą pogodą najbardziej uderzyła Mabel, która w czasie przytoczonej wyżej rozmowy po wielokroć bliska była mniemania, że serce jej wielbiciela niezbyt jest tym wszystkim zranione, gdyż obrazy szczęścia i wesela jawiły się w umyśle, który swą przyrodzoną prostotą zbliżał się do dziecięcej naiwności. Jednakże wyraz ów szybko wypierały uczucia tak głębokie i bolesne, że zdawały się rozdzierać duszę tego człowieka.

–Prawdę powiadasz, sierżancie – odrzekł Tropiciel. – Pomyłka u kogoś takiego jak ty, to sprawa poważniejsza.

–Przekonasz się w końcu, że Mabel jest szczerą i uczciwą; daj jej tylko odrobinę czasu.

–Ach, sierżancie!

–Człowiek o twoich przymiotach wywarłby, wzruszyłby nawet skalę, gdyby miał dosyć czasu po temu.

–Sierżancie, jesteśmy starymi towarzyszami broni i jeden drugiemu wyświadczył nawzajem tyle dobrego, że możemy sobie pozwolić na szczerą. Co cię skłoniło do przypuszczenia, że takiej dziewczynie jak Mabel może spodobać się ktoś równie nieokrzesany jak ja?

–Co? A wiele przyczyn, i to dobrych przyczyn, mój przyjacielu. Może właśnie te przysługi, któreśmy sobie wyświadczyli, i owe wspólne walki, o których wspominasz. Co więcej, jesteś moim niezawodnym, wypróbowanym druhem.

–Wszystko to pięknie brzmi, dopóki chodzi o nas, lecz w niczym nie dotyczy twojej nadobnej córki. Może ona uważać, że właśnie owe walki zniszczyły tę odrobinę gładkości, jaką mogłem niegdyś posiadać, a wcale nie jestem pewny, czy to, że ktoś jest starym przyjacielem ojca, może obudzić szczególne uczucie w sercu dziewczyny. Mówię ci, że swój ciągnie do swego, a moje cechy bynajmniej nie są odpowiednie dla Mabel.

–To są te twoje stare skrupuły, wynikające ze skromności, Tropicielu, i wcale nie przydadzą ci blasku w oczach dziewczyny. Kobiety nie ufają mężczyznom, którzy nie ufają samym sobie, natomiast lubią tych, co nie lękają się niczego. Przyznaję, że skromność to rzecz podstawowa u rekruta lub u młodego oficerka, co właśnie zaciągnął się do wojska, albowiem nie pozwala mu łączyć podoficerów, zanim się

dowie, kogo wyłajać (powinien. Nie wiem, czy nie jest także właściwa u wikarego albo proboszcza, ale na diabła zda się, gdy opanuje prawdziwego żołnierza lub kochanka. Jeżeli chcesz zdobyć serce kobiety, miej ze skromnością jak najmniej do czynienia. Co zaś się tyczy twojej teorii, że swój ciągnie do swego, to w takich sprawach jest ona jak najmylniejsza. Gdyby swój ciągnął do swego, niewiasty miłowałyby niewiasty, mężczyźni zaś mężczyzn. Nie, nie, swój ciągnie do cudzego – (sierżant był jeno mędrcom obozowym) – i nie masz się czego lękać od Mabel. Weź choćby takiego porucznika Muira: chłop miał już podobno pięć żon, a nie znajdziesz w nim więcej skromności niż w kocie o dziewięciu ogonach.

–Porucznik Muir nigdy nie będzie mężem Mabel, choćby nie wiedzieć jak stroszył swoje piórka.

–To roztropna uwaga, Tropicielu, albowiem postanowiłem ciebie uczynić mym zięciem. Gdybym sam był oficerem, pan Muir mógłby mieć jakieś szansę, ale czas odgradził już moje dziecię ode mnie jednymi drzwiami i nie mam zamiaru dodawać do nich płótna oficerskiego namiotu. – Sierżancie, trzeba pozwolić Mabel, by się pokierowała własnym upodobaniem; młoda jest, lekko jej na sercu, a Boże broń, aby jakiegokolwiek moje życzenie zaciążyło chociażby piórkiem na myślach, które są teraz samą radością, czy też odjęło choć jedną nutkę szczęścia z jej uśmiechu.

–Czy pogadałeś szczerze z dziewczyną? – zapytał sierżant szybko i trochę ostro.

Tropiciel był nazbyt uczciwy, aby zapierać się prawdy tak oczywistej jak ta, której wymagała odpowiedź, a jednocześnie nadto honorowy, by zdradzić Mabel i wystawić "ją na złość człowieka, który umiał być srogi w gniewie.

–Otworzyliśmy sobie wzajem nasze serca – powiedział – i chociaż każdemu miło byłoby zajrzeć w serce Mabel, przecie nie znalazłem w nim nic takiego, co mogłoby natknąć mnie lepszym mniemaniem o sobie...

–Chyba nie ośmieliła się odmówić tobie – najlepszemu przyjacielowi jej ojca?

Tropiciel odwrócił twarz, ażeby ukryć ból, który – jak to sobie uświadamiał – musiał po niej przemknąć, za czym mówił dalej swoim spokojnym, męskim głosem.

–Mabel jest za dobra, by czegokolwiek odmawiać, czy powiedzieć szorstkie słowa choćby i psu. Nie postawiłem pytania w taki sposób, by spotkać się z bezpośrednią odmową.

–Alboż myślałeś, że moja córka rzuci się w twoje ramiona, jeszcze zanim ją spytasz? Nie byłaby dzieckiem swej matki, a chyba też i nie moim, gdyby zrobiła coś podobnego. Dunhamowie równie miłują szczerłość, jak majestat najjaśniejszego pana, ale nikomu się nie narzucają. Pozwól, bym rzecz załatwił za ciebie, a nie wyniknie stąd niepotrzebna zwłoka. Jeszcze dziś wieczorem pogadam z Mabel

posługując się twoim nazwiskiem jako głównym argumentem.

–Lepiej nie, sierżancie, lepiej nie. Zostaw tę sprawę mnie i Mabel, a myślę, że w końcu- wszystko będzie dobrze. Młode dziewczęta są jak płochliwe ptaki; nie bardzo lubią, ażeby je przynaglać czy ostro do nich przemawiać. Zostaw rzecz całą Mabel i mnie.

–Uczynię to pod jednym warunkiem, przyjacielu, a mianowicie: że mi przyrzekniesz na honor, iż przy pierwszej sposobności omówisz z nią rzecz jasno, bez żadnych obsłonek.

–Zapytam Mabel, jeżeli przyobiecasz mi nie mieszać się do tego. Owszem, pod takim warunkiem przyrzeknę spytać Mabel, czy wyjdzie za mnie – choćby miała mi się roześmiać w nos.

Sierżant Dunham z ochotą dał żadaną obietnicę, albowiem całkowicie wmówił był w siebie, że człowiek, którego tak szanował, musiał być mile widziany przez córkę. Sam pojął niegdyś za żonę kobietę o wiele młodszą od siebie i nie widział nic niestosownego w różnicy wieku między obojgiem przyszłych oblubieńców. Prócz tego Mabel była odeń o tyle bardziej wykształcona, że nie dostrzegał różnicy, która istniała pod tym względem pomiędzy nim a córką. Stąd wynikało, że sierżant Dunham nie miał dostatecznych danych, aby osądzić gusty Mabel bądź snuć domysły co do kierunku, jaki miały przyjąć owe uczucia, które częściej zależą od impulsów i namiętności niż od rozsądku. Mimo to pocziwe żołnierzysko nie tak bardzo myliło się w ocenie szans Tropicieła, jakby można przypuścić na pierwszy rzut oka. Ponieważ znał wszystkie wspaniałe zalety tego człowieka, jego rzetelność,, uczciwość, odwagę, poświęcenie i bezinteresowność, nie było przeto zgoła nierozsądne mniemać, iż podobne przymioty, winny wywrzeć głębokie wrażenie na każdym sercu niewieścim. Ojciec błędził głównie w tym, iż wyobrażał sobie, że córka jakby przecuciem wiedziona pozna to wszystko, czego on sam dowiadywał się przez całe lata wspólnego obcowania i przygód.

Kiedy Tropicieł ze swym przyjacielem począł schodzić ze wzgórza na brzeg jeziora, rozmowa bynajmniej się nie urwała. Sierżant próbował wyperswadować myśliwemu, że tylko brak pewności siebie przeszkodził mu w odniesieniu pełnego sukcesu u Mabel i że wystarczy wytrwać, ażeby zwyciężyć. Tropicieł z natury był zbyt skromny, a w toku niedawnej rozmowy nadto wyraźnie – chociaż tak delikatnie – odjęto mu wszelkie nadzieje, by mógł uwierzyć w to, co obecnie słyszał. Mimo wszystko jednak sierżant używał tyłu na pozór przekonujących argumentów, a myśliwemu było tak miło wyobrazać sobie, że Mabel może jeszcze należeć do niego, iż czytelnik nie powinien się dziwić, gdy mu powiemy, że temu prostodusznemu człowiekowi niedawne postępowanie dziewczyny nie objawiło się w takim świetle, w jakim sam skłonny był je oglądać. Co prawda nie wierzył we wszystko, co mówił sierżant, ale zaczął przypuszczać, że Mabel użyła takich, a nie innych słów jedynie przez

dziewiczą lekliwość i nieświadomość własnych uczuć.

–Kwatermistrz nie jest jej miły – odpowiedział Tropiciel na jakąś uwagę swego towarzysza. – Mabel będzie w nim zawsze widziała jedynie człowieka, który już miał cztery czy pięć żon.

–A to jest więcej, niżby mu się należało. Zgodzę się, że mężczyzna może mieć dwie żony bez obrazy dla moralności i przystojności, ale cztery, to już gorsza sprawa.

–Myślę, że nawet jedno małżeństwo to już jest poszlaka, jak to nazywa imć Cap – wtrącił Tropiciel śmiejąc się cicho, albowiem odzyskał już nieco pogody ducha.

–Owszem, przyjacielu, i to poszlaka wielce- doniosła. Gdyby nie to, że żoną twoją ma być Mabel, doradzałbym ci, byś pozostał kawalerem. Ale otóż i ona; teraz już ani mru-mru!

–Ach, sierżancie, boję się, że się mylisz!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ot, taka szczęśliwa,

Wiejska siedziba z przepięknym

widokiem.

MILTON

Mabel czekała na plaży i czótno wprędcie odbiło od ładu. Tropicieł przeprowadził je przez fale przybrzeżne z równą zręcznością jak poprzednio i chociaż na twarzy Mabel wystąpił rumieniec podniecenia, a serce znowu omal nie skoczyło jej do gardła, dotarli do burty „Chwistu” nie nabrawszy nawet kropelki wody.

Ontario jest podobne człowiekowi o gwałtownym usposobieniu, który raptownie wpada w gniew i równie szybko ostyga. Fale opadły już, a chociaż jak okiem sięgnąć kipiela kotłowała się wzdłuż brzegu, przecie jej zbiełałe piany pojawiały się i nikły wzorem kręgow, które wywołuje na wodzie rzucony do sadzawki kamień. Lina kotwiczna „Chwistu” ledwie była widoczna nad powierzchnią, a Gaspar już wciągał żagle, gotów wyruszyć w drogę, gdy tylko wypełni je oczekiwana bryza.

Słońce właśnie zachodziło, gdy zatrzepotał grot-żagiel, a dziób kutra poczał pruć wodę. Lekki powiew nadlatywał od południa; „Chwist” szedł wzdłuż południowego brzegu, gdyż chciano jak najprędzej dostać się znowu na wschód. Noc przeszła spokojnie, a śpiący zażyli głębokiego, niezamąconego spoczynku.

Pewne trudności wynikły w związku z dowodzeniem na.'statku, ale rzecz załatwiona została ostatecznie w drodze przyjaznego kompromisu. Ponieważ nieufność w stosunku do Gaspara bynajmniej nie przeminęła, Cap zachował ogólny nadzór, młodzieńcowi zaś pozwolono kierować kutrem, z tym, że stary marynarz miał prawo kontroli i interwencji w każdej chwili. Gaspar przystał na to, – gdyż nie chciał dłużej narażać Mabel na niebezpieczeństwo, a wiedział dobrze, iż teraz, kiedy gwałtowność żywiołu ustąpiła, „Montcalm” będzie ich szukał. Miał jednak tyle roztropności, że nie wyjawiał swych obaw, albowiem tak się składało, iż właśnie kroki, które uważał za najroztropniejsze dla wymknięcia się nieprzyjacielowi, mogły obudzić nowe podejrzenia w umysłach ludzi, posiadających władzę udaremnienia zamiarów młodzieńca. Innymi słowy, Gaspar był przekonany, że gdy tylko wicher ucichnie dworny młody Francuz, który dowodził nieprzyjacielskim okrętem, opuści swoje kotwiczowisko pod fortem. Niagary i wypłynie na jezioro, ażeby dowiedzieć się o losie „Chwistu”, i będzie się trzymał między obydwoma brzegami, co mu zapewni jak najrozleglejszy widok. Gasparowi wydawało się tedy najbardziej celowe płynąć blisko jednego albo drugiego brzegu, w ten sposób bowiem nie tylko mógł uniknąć

spotkania, ale miał szansę przemknąć się niepostrzeżenie, gdyż żagle i maszty „Chwistu” były niewidoczne na tle lądu. Wolał też brzeg południowy, jako że wiatr dął z tej strony, a zdaniem młodzieńca wróg najmniej mógł się spodziewać, aby obrali ów kierunek, gdyż tym sposobem musieliby przepłynąć w pobliżu nieprzyjacielskich osiedli oraz przez jedną z najsilniejszych placówek, jakie Francuzi posiadali w tej części świata.

Szczęściem Cap nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy, a umysł sierżanta nazbyt był zaprzątnięty szczegółami natury wojskowej, by wnikać w podobne subtelności, które rzecz jasna należały do innego rzemiosła. Jakoż nikt nie stawiał oporu i już przed świtem Gaspar najwyraźniej odzyskał bez przeszkód cały swój dawny autorytet i wydawał swobodnie rozkazy, które wykonywano posłusznie, bez wahania czy wykrętów.

Świt ściągnął wszystkich na pokład; jak to zazwyczaj bywa z podróżującymi po wodzie, zaczęto ciekawie śledzić widnokrąg, w miarę jak przedmioty wylaniały się z mroku, a widok nasycił światłem. Na wschód, zachód i północ nie było widać nic oprócz wody mieniącej się we wschodzącym słońcu; natomiast w kierunku południowym rozciągał się nieskończony pierścień borów, który okalał Ontario leśną zielenią. Nagle przed statkiem rozwarł się las i w luce ujrzano masywne mury warownej budowli, a wokół niej nasypy, bastiony, blokhauzy i palisady, które groźnie spoglądały z przylądka leżącego u ujścia szerokiej rzeki. W chwili gdy fort stał się widoczny, podniosła się mgła, i spostrzeżono biały sztandar francuski trzepocący się na wyniosłym drzewcu.

Na ów niemiły widok Cap wydał okrzyk i rzucił podejrzliwe spojrzenie na swego szwagra.

–Brudna serweta wisi w powietrzu, jakim Charles Cap! – mruknął. – A my tu ocieramy się o ląd, jak gdyby to były nasze żony i dzieci spotkane po powrocie z rejsu do Indii! Słuchaj no, Gasparze, czyżbyś chciał zabrać ładunek żab, że tak blisko się trzymasz tej Nowej Francji?

–Trzymam się blisko, panie, bo chcę niepostrzeżenie wyminąć nieprzyjacielski statek, gdyż myślę, że musi tu gdzieś być po zawietrznej.

–Tak, tak, to brzmi przekonywająco, i ufam, że rzecz ci się powiedzie. Mam nadzieję, że tutaj nie ma prądu dennego, co?

–Mam teraz brzeg po nawietrznej – odrzekł z uśmiechem Gaspar – a przyznasz pan, jak sędzę, że w silnym prądzie dennym łatwo jest zakotwiczyć; wszyscy zawdzięczamy życie owemu prądowi na tym jeziorze.

–Francuskie faramuszki! – burknął Cap, tak, aby Gaspar go nie usłyszał. – Jeżeli już

musi być prąd, to dajcie mi porządny, uczciwy, angielsko-jankesko-amerykański prąd, rzetelny i nawodny, a nie jakiś tam podstępny prądzik, co skrada się pod powierzchnią, gdzie nikt nie może go dojrzeć ni wyczuć! Gdyby tak można było wyłuskać prawdę, to pewnie nasze niedawne ocalenie okazałoby się jakąś z góry ukartowaną sztuczką.

–Mamy teraz przynajmniej doskonałą sposobność dokonać rozpoznania nieprzyjacielskiej placówki u Niagary, bo ten fort musi nią być, moim zdaniem – wtrącił sierżant. – Przepływając, wytężajmy wzrok i pamiętajmy, że jesteśmy nieledwie twarz w twarz z nieprzyjacielem.

Nie trzeba było nikomu powtarzać tej rady sierżanta, gdyż mijanie miejsca, gdzie przebywały ludzkie istoty, było samo w sobie tak nowe i interesujące, że przykuwało uwagę wpośród krajobrazu majestatycznej, ale pierwotnej przyrody. Wiatr był teraz dość mocny, aby popychać „Chwist” ze znaczną szybkością, toteż Gaspar przełożył ster, w chwili gdy statek zbliżył się do ujścia, i pełnym wiatrem wpłynął w ową wspaniałą cieśninę czy rzekę, jak ją nazywają. Z miejsca, gdzie brzeg się rozwierał, doleciał głuchy, daleki, potężny huk nabrzmiewający w powietrzu niby głębokie tony olbrzymich organów, aż chwilami zdawało się, że ziemia dygocze.

–To przypomina szum fal rozbijających się na jakimś długim morskim wybrzeżu! – zawołał Cap, gdy potężniejszy od innych grzmot przyplłynął do jego uszu.

–Tak, to są fale, które mamy w tych stronach – orzekł Tropiciel. – Me znajdziesz tam prądu dennego, mości Cap, bo cała woda, która uderza o skały, już nie powraca. Słyszysz w tej chwili ryk starej Niagary, gdy owa szlachetna rzeka wali się z góry.

–Nikt chyba nie będzie miał czelności twierdzić, że ta piękna szeroka rzeka spada z owych wzgórz?

–I owszem, i owszem, a wszystko iż braku schodów czy innej drogi, którą mogłaby się przedostać. Taka jest przyroda w tych stronach, choć pewnie bijecie nas na głowę u siebie na oceanie. Ach, Mabel, piękna to byłaby chwila, gdybyśmy mogli pójść brzegiem z dziesięć, piętnaście mil w górę rzeki i przyjrzeć się temu, co tam uczynił Bóg.

–Więc oglądałeś te słynne wodospady, Tropicielu? – zapytała z zaciekawieniem dziewczyna.

–Tak jest; i byłem wówczas świadkiem okropnej sceny. Kiedyś przebywaliśmy iz Wężem na zwiadach w okolicy tego fortu i mój przyjaciel napomknął mi, że podania jego plemienia mówią o wielkiej katarakcie, która ma być w tych stronach, i poprosił, byśmy nieco zoczyli z kierunku marszu, aby obejrzeć to dziwo. Wiele cudów opowiadali mi o tym miejscu żołnierze z sześćdziesiątego regimentu, który jest moim

macierzystym w przeciwieństwie do pięćdziesiątki piątki, chociaż z nią wiele ostatnio przebywałem; wszelako we wszystkich pułkach tyłu jest strasznych łgarzy, żem nawet w połowie nie wierzył w to, co mi gadano.

No i poszliśmy; ale choć mniemaliśmy, że kierować się będziemy uchem i usłyszymy ten straszny huk, który słyhać teraz, przecie spotkało nas rozczarowanie, albowiem wtedy natura nie przemawiała gromami jak dzisiaj. Tak w lesie bywa, panie Cap; są chwile, gdy Bóg zdaje się stąpać z całą mocą, a kiedy indziej znowu panuje wszędzie cisza, jak gdyby Jego duch spoczywał spokojnie na ziemi. Owóż tedy, natrafiliśmy nagle na rzeką nieco powyżej wodospadu, a pewien młody Delawar, który nam towarzyszył, znalazłszy czołno, zapragnął wpłynąć W prąd i dotrzeć do wysepki, która znajdowała się w samym środku owego kotłowiska. Tłumaczyliśmy mu, że to szaleństwo, a jakże; dowodziliśmy, że źle jest kusić los szukając niebezpieczeństwa bez potrzeby – ale młodzi Delawarowie są bardzo podobni do młodych żołnierzy: próżni i lekkomyślni. Wszystko, co mówiliśmy, nie mogło zmienić jego decyzji i chłopak postawił na swoim. Wydaje mi się, Mabel, że kiedy coś jest doprawdy wielkie i potężne, ma W sobie jakiś spokojny majestat, zgoła niepodobny do czczego niepokoju cechującego rzeczy pośledniejsze. I tak też było z owym nurtem. Zaledwie czołno w nim się znalazło, a już pomknęło w dół, jak gdyby leciało w powietrzu, i cała zręczność młodego Delawara nie mogła stawić oporu rzece. A przecie mężnie walczył o życie; wiosłował do końca niczym jeleń, który płynie, chcąc umknąć ogarom. Zrazu parł w poprzek prądu z taką szybkością, iż myśleliśmy, że zwycięży; jednak źle obliczył odległość i kiedy objawiła mu się prawda, obrócił dziób czołna w górę rzeki i począł się tak z nią zмагаć, że aż strach brał patrzeć. Współczułbym mu nawet, gdyby był Mingiem, Przez parę chwil czynił tak szaleńcze wysiłki, że nawet przemógł moc katarakty, ale natura ma swoje granice; jeden fałszywy ruch wiosła sprawił, że cofnął się, potem zaczęło go znosić wstecz stopa za stopą, cal za cal, aż wreszcie dotarł do miejsca gdzie rzeka wydaje się gładka i zielona, jakby złożona z milionów wodnych pasemek, łukiem wygiętych przez krawędź olbrzymiej skały. Wówczas to pomknął w tył niczym strzała i zniknął; tylko dziób czołna sterczał z wody akurat na tyle, że mogliśmy widzieć, co się z nim stało. W parę lat później spotkałem pewnego Mohawka, który śledził rzecz całą z dołu, i ten powiedział mi, że Delawar dalej wiosłował w powietrzu, nim zniknął w kurzawie pian wodospadu. – I cóż się stało z biedakiem? – spytała Mabel, w której wrodzona wymowność 'Tropiciela wzbudziła silne zainteresowanie.

–Odszedł niezawodnie do szczęśliwej krainy łowów swojego plemienia, bo chociaż próżny i lekkomyślny, był przecie także prawy i dzielny. Tak, zginął głupio, lecz Manitou czerwonoskórych równe ma miłosierdzie nad swoją trzódką, jak Bóg chrześcijan.

W tej chwili z blokhauzu opodal fortu dano ognia z działka i pocisk lekkiego kalibru przemknął ze świstem nad masztem kutra, jako przestroga, by nie podpływać bliżej. Gaspar, który stał przy sterze, odpłynął nieco dalej, uśmiechając się, jak gdyby

grubiaństwo owego powitania zgoła go nie rozgniewało. „Chwist” szedł właśnie z prądem i rychło oddalił się dostatecznie za zawietrzną, aby uniknąć groźby ponownego wystrzału, po czym spokojnie pożeglował wzdłuż brzegu. Kiedy rozwarła się przed nim rzeka, Gaspar upewnił się, że „Montcalm” nie stoi w niej na kotwicy, a majtek posłany na maszt wrócił z wieścią, że na horyzoncie nie widać żadnego statku. Utwierdzono się tedy w mniemaniu, że fortel Gaspara się udał, a dowódca francuski musiał ich przeoczyć sterując ku środkowi jeziora.

Przez cały dzień wiał wiatr z południa, „Chwist” płynął dalej o jakieś trzy mile od brzegu, robiąc sześć do ośmiu węzłów po zupełnie spokojnej wodzie. Jakkolwiek widok miał jedną cechę monotonii, a mianowicie nieprzerwaną linię lasów, nie był przecie pozbawiony rzeczy interesujących i miłych dla oka. Coraz to pojawiały się jakieś przylądki, a kuter, żeglując od jednego do drugiego, przecinał zalewy tak głębokie, że niemal zasługiwały na miano zatok. Nigdzie wszakże wzrok nie napotykał oznak cywilizacji; tu i ówdzie rzeki wlewały się do olbrzymiego zbiornika jeziora, lecz brzegi ich na przestrzeni wielu mil w głąb puszczy znaczyła ta sama linia drzew. Nawet spore zatoki, objęte lasem i połączone z Ontario jedynie wąskimi przesmykami, pojawiały się i znikaly nie ukazując żadnego śladu ludzkich siedzib.

Ze wszystkich osób przebywających na pokładzie Tropiciel patrzył na ów widok z najbardziej niezmaconym zachwytem. Sycił oczy nieskończonym pasmem borów i choć tak mu było dobrze znajdować się blisko Mabel, słuchać jej miłego głosu i przynajmniej w myśli dawać odzew na radosny śmiech dziewczyny, przecie dusza myśliwca nieraz owego dnia zatęskniła za wędrownkami popod wyniosłym sklepieniem jaworów, dębów i lip, gdyż jego życie zaszczerpiło mu przeświadczenie, że tylko tam znaleźć można rzetelne i trwałe szczęście.

Cap patrzył na to innym okiem; niejednokrotnie z niesmakiem stwierdzał, że brak tu latarni morskiej, dzwonnicy' czy redy pełnej okrętów. Zaklinał się, iż podobnego wybrzeża nie ma na całym świecie, a wzięwszy sierżanta na stronę zapewnił go z powagą, że ta kraina nigdy do niczego nie dojdzie, bo przystanie są zaniedbane, rzeki puste i bezużyteczne, a nawet wiatr ma zapach lasu, co źle świadczy o jego właściwościach.

Jednakże humory poszczególnych pasażerów „Chwistu” nie hamowały jego szybkości; gdy słońce zachodziło, kuter posunął się już o sto mil w kierunku Oswego, sierżant uważał bowiem za swój obowiązek wpłynąć w tę rzekę, aby otrzymać od majora Duncana wskazówki, których ten uważałby za stosowne udzielić. Mając to na widoku, Gaspar przez całą noc płynął wzdłuż brzegu, a choć nad ranem wiatr zaczął ustawać, przecie trwał dosyć długo, by ponieść kuter aż do cypla odległego o parę mil od fortu. Tu bryza przesunęła się lekko na północ, a „Chwist” odpłynął nieco od lądu, ażeby mieć dość miejsca na wypadek, gdyby zerwała się wieją albo wiatr począł znów dmuchać ze wschodu.

O brzasku statek miał ujście Oswego dobrze po zawietrznej w odległości jakichś dwóch mil i właśnie gdy w porcie padł poranny strzał z działa, Gaspar dał rozkaz, by poluzować szkoty i płynąć w kierunku przystani. W tej chwili okrzyk, który doleciał z forkasztelu, przyciągnął wszystkie spojrzenia ku miejscu znajdującemu się po wschodniej stronie ujścia i oto ujrzano, że tuż poza zasięgiem lekkich dział fortu, zwinąwszy żagle tak, by nieledwie stać w miejscu, szal, co jest wart. Pożeglował pod wiatr wprost na wyspy, minął je i wychynąwszy spomiędzy nich w kierunku wschodnim, odsądził się dobrze, nie mając żadnego statku w swoim warcie czy po zawietrznej. O wschodzie słońca kuter był znowu na wysokości pierwszych wysepek leżących u krańca jeziora, a nim się ściemniło, płynął już poprzez wąskie kanały, zmierzając ku tak długo poszukiwanej placówce. Atoli o dziewiątej Cap uparł się, by rzucić kotwicę, gdyż labirynt wysepek stał się tak powikłany i zdradliwy, że gdy tylko pojawiła się między nimi luka, marynarza zdejmował lęk, by „Chwist” nie znalazł się pod ostrzałem dział jakiegoś francuskiego fortu. Gaspar przystał na to z ochotą, miał bowiem stałą instrukcję, by tak podpływać do placówki, ażeby ludzie nie mogli sobie wyrobić dokładnego pojęcia o jej położeniu, gdyż pierwszy lepszy dezertier mógłby wówczas wydać małą załogę wrogowi.

„Chwist” zatrzymał się w niewielkiej, ustronnej zatoczce, gdzie trudno byłoby odnaleźć go przy świetle dziennym, w nocy zaś był wybornie ukryty, i wtedy wszyscy udali się na spoczynek z wyjątkiem jednego wartownika, który pozostał na pokładzie. Cap tak się utrudził w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, że zapadł w głęboki, długi sen, a zbudził się dopiero o świcie. Zaledwie jednak otworzył oczy, jego marynarski instynkt powiedział mu, że kuter płynie. Zerwał się więc i stwierdził, że „Chwist” znowu wymija wyspę za wyspą, a na pokładzie nie ma nikogo oprócz Gaspara i pilota, jeśli nie liczyć wartownika, nie wtrącającego się zgoła do poczynań, które ze wszech miar mógł uważać za równie prawidłowe jak konieczne.

–Co to znaczy, mości Western? – zapytał Cap z dostateczną dozą zaciekłości. – Czyżbyś nas wreszcie wiódł do Frontenac, śpiących tu pod pokładem niczym stado baranów?

–Postępuję zgodnie z rozkazem, proszę pana, ile że major Duncan przykazał mi nie podpływać do placówki, póki wszyscy nie znajdą się pod pokładem; nie chce on bowiem, by na tych wodach było więcej pilotów, niż to potrzebne królowi.

–Fiuu! Ładnie bym sobie dał radę nie mając nikogo na pokładzie pośród tych wszystkich krzaków i skał! Ba, żaden porządny marynarz nie potrafiłby przedostać się przez taki kanał.

–Zawsze uważałem – odrzekł z uśmiechem Gaspar – że lepiej by uczyniono pozostawiając kuter w mych rękach, póki bezpiecznie nie dopłyniemy do miejsca przeznaczenia.

–I tak bylibyśmy zrobili, ani słowa, gdyby nie pewna poszlaka. Owe poszlaki to sprawa poważna i roztropny człek nie może na nie zamykać oczu.

–No, proszę pana, mam nadzieję, że teraz już z nami koniec- Jeżeli wiatr wytrzyma, znajdziemy się za niecałą godzinę na miejscu, a wtedy będziecie bezpieczni od wszelkich „poszlaków”, jakie ja uknuć mogą...

–Hm!

Cap zmuszony był przyznać mu rację, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że Gaspar mówi szczerze, dał się bez trudności nakłonić do zgody. Zaiste nawet osobnikowi najbardziej przeczulonemu na punkcie „poszlak” niełatwo byłoby wyimaginaować sobie, że „Chwist” znajduje się w pobliżu portu od tak dawna istniejącego i tak dobrze znanego na pograniczu, jak Frontenac. Wysp mogło nie być dosłownie tysiąc, lecz w każdym razie były tak liczne i tak nieduże, iż urągały wszelkim obliczeniom, chociaż od czasu do czasu mijano jakąś większą od innych. Gaspar opuścił kanał, który można by nazwać głównym, i statek popychany mocnym wiatrem oraz sprzyjającym prądem torował sobie drogę przesmykami czasem tak wąskimi, że maszty o mało nie zaczepiały o drzewa; kiedy indziej znów przecinał niewielkie zatoczki i ponownie zagłębiał się między skały, ostępy i zarośla. Woda była tak przezroczysta, iż nie potrzebowano rzucać sondy, a ponieważ głębokość nigdzie się nie zmieniała, niebezpieczeństwo było bardzo niewielkie, choć Cap, pod wpływem morskich nawyków, ustawicznie się gorączkował, że osiadą na mieliźnie.

–Poddaję się, poddaję się, Tropicielu! – wykrzyknął na koniec stary marynarz, gdy mały stateczek wychynął cało z dwudziestego z owych wąskich przesmyków, którymi go tak śmiało przeprowadzono. – To już urąga samej istocie żeglarstwa, jego prawom i regułom.

–Nie, nie, Słona Wodo; to właśnie jest doskonałość w tej sztuce. Zauważyłeś pan, że Gaspar nigdy się nie zawaha, lecz niczym ogar, obdarzony dobrym węchem, wali naprzód z podniesioną głową, jak gdyby pochwyił w nozdrza silną woń. Życiem rękę, że chłopak doprowadzi nas w końcu do celu, a byłby to uczynił od samego początku, gdybyśmy mu pozwolili.

–Nie ma pilota, ani sondy, ani staw, ani boj czy latarni morskich, ani...

–Tropu – dokończył myśliwy. – To właśnie jest dla mnie największa zagadka w tej całej historii. Każdy wie, że trop nie zostaje na wodzie, a przecież oto widzimy, że Gaspar wali śmiało naprzód, jakby miał przed oczyma ślady mokasynów odcisnięte na liściach równie wyraźnie, jak widzi się słońce na niebie.

–Zdaje się, że nie ma tu nawet kompasu!

–Gotuj się do spuszczenia kliwra! – zawołał Gaspar, który tylko uśmiechnął się

słyszając uwagi Capa. – Spuszczaj! Ster na prawą burzę! Mocniej! Tak. Powoli – ostrożnie podplywaj! A teraz skacz na brzeg z cumą... Nie, stój; są tam już nasi ludzie, którzy czekają, żeby ją schwycić!

Wszystko to odbyło się tak szybko, że widz ledwie zdążył zauważyć poszczególne manewry; „Chwist” odpadł od wiatru, aż załopotał jego grot-żagiel, następnie posunął się odrobinę, kierowany już tylko sterem, i stanął przy skalistym nabrzeżu, gdzie go natychmiast przytrzymało tęgimi cumami. Jednym słowem, dotarli do placówki, a żołnierzy z pięćdziesiątego piątego powitali oczekujący koledzy z radością, jaką zwykle budzi przybycie luzującego oddziału.

Mabel zeskoczyła na ląd z nie tajonym zachwytem, a ojciec powiódł za nią swoich żołnierzy, zdradzając radość świadczącą, jak bardzo miał dosyć kutra. Placówka – którym to mianem obdarzali ją zazwyczaj żołnierze pięćdziesiątego piątego pułku – była istotnie miejscem mogącym obudzić najmilsze nadzieje w ludziach, od tak dawna stłoczonych na statku rozmiarów „Chwistu”. Żadna z wysp nie wznosiła się zbyt wysoko, acz wszystkie wynurzały się z wody na tyle, że pobyt na nich był najzupełniej zdrowy i bezpieczny. Każda była mniej lub więcej zadrzewiona, a w owych odległych czasach większość ich okrywał dziewiczy las. Ta, którą wojsko wybrało dla swoich celów, była niewielka, liczyła około dwudziestu akrów ziemi, a zawieruchy, zwykle w tej głuszy, odarły ją częściowo z drzew zapewne na długie stulecia przed okresem, o którym piszemy, toteż nieledwie połowę jej powierzchni stanowiła pokryta trawą polana.

Brzegi były wszędzie porośnięte zaroślami, które zachowano z wielką starannością, jako że mogły tworzyć zasłonę kryjącą ludzi oraz przedmioty znajdujące się wewnątrz ich kręgu. Za tą zasłoną, jak również za kilkoma kępami drzew i gęstwiny, wzniesiono około ośmiu niskich chat, które służyły jako kwatery dla oficera i ludzi, w razie potrzeby zaś jako magazyn, kuchnia, lazaret i tym podobne. Chaty te, zbudowane jak zwykle z kłoców drzewnych, pokryto korą przywiezioną tu z daleka, ażeby ślady roboty nie zwróciły niczyjej uwagi. Ponieważ zaś były zamieszkane już od kilku miesięcy, mogły tedy dostarczyć wszystkich wygód, jakich spodziewać się wolno w podobnych pomieszczeniach.

Natomiast na wschodnim skraju wyspy znajdował się niewielki, gęsto zadrzewiony półwysep, o podszyciu tak zwartym, że niemal niepodobna było przeniknąć go wzrokiem, dopóki liście pozostawały na gałęziach. W pobliżu wąskiej szyi łączącej ten cypel z resztą lądu wzniesiono mały blokhauz, poświęcając wiele wysiłku jego obronności. Kloce były odporne na kule, ociosane i spojone starannie, tak aby nie pozostawić żadnych słabych miejsc; miał on strzelnice, drzwi małe i masywne, a dach, jak i reszta budynku, składał się ciosanych belek obitych porządnie korą, ażeby nie dopuścić deszczu do wnętrza. Dolną izbę przeznaczono jak zwykle na zapasy i żywność, które istotnie tam złożono, pierwsze piętro – na pomieszczenia mieszkalne, a zarazem i miejsce obronne, zaś na niskim poddaszu,

podzielonym na parę izdebek, mogły się zmieścić posłania dla kilkunastu ludzi. Wszystkie te urządzenia, choć niezwykle proste i niekosztowne, wystarczały jednakże, aby uchronić żołnierzy od skutków zaskoczenia. Ponieważ cały budynek liczył znacznie mniej niż czterdzieści stóp wysokości, przeto szczyt jego przesłaniały wierzchołki drzew, a widoczny był jedynie dla tych, którzy znajdowali się na wyspie. W tę stronę otwierał się widok z górnych strzelnic, jakkolwiek nawet i tutaj zarośla mniej lub więcej przesłaniały dół owej drewnianej baszty.

Ponieważ przeznaczeniem budowli była jedynie obrona, postarano się więc umieścić blokhauz dostatecznie blisko wyrwy w skale wapiennej, tworzącej podłoże wyspy, aby móc spuszczać wiadro prosto do wody i zaopatrywać się w ów podstawowy napój na wypadek oblężenia. Ażeby to ułatwić, jednocześnie zaś mieć pod ostrzałem dół budynku, zbudowano jego wyższe kondygnacje w ten sposób, że były nadwieszane o kilka stóp poza przyziemie, jak to zwykle bywa w blokhauzach; otwory wycięte w balach, a mające pełnić rolę strzelnic, zatykano kłocami z drewna. Z jednej kondygnacji na drugą przechodziło się po drabinie. Jeżeli jeszcze dodamy, że takie blokhauzy miały służyć za twierdzę, do których mogły się wycofywać garnizony czy ludność w razie ataku, czytelnik uzyska właściwe pojęcie o budynku, który tu chcemy opisać.

Jednakże główną wojskową zaletę wyspy stanowiło samo jej położenie. Znajdowała się wśród dwudziestu innych, niełatwo więc było ją odszukać, a statki przepływające nawet zupełnie blisko mogły ją wziąć za fragment sąsiedniej. W samej rzeczy bowiem kanały między dookolnymi wysepkami były tak wąskie, że z trudnością dawało się rozróżnić, które części lądu są z sobą połączone, a które nie – nawet jeżeli stanęło się pośrodku, z wyraźnym zamiarem ustalenia prawdy. Zwłaszcza mała zatoczka, której Gaspar używał jako przystani, była tak osłonięta krzakami i zewsząd otoczona przez wysepki, że pewnego razu, kiedy spuszczone żagle ma kutrze, jego własni ludzie godzinami go poszukiwali wróciwszy z krótkiej wycieczki po przyległych kanałach, gdzie się udali na ryby. Krótko mówiąc, miejsce to nadawało się wyśmienicie do swego obecnego celu, a naturalne jego zalety ulepszono nader pomysłowo, w miarę jak oszczędność i skromne środki pogranicznego posterunku na to pozwalały.

Po przybyciu „Chwistu” zapanowało ogromne podniecenie. Załoga przebywająca na wyspie nie zdziałała dotąd nic godnego wzmianki, a znużona swym odosobnieniem, pałała ochotą powrotu do Oswego. Zaledwie sierżant i oficer, którego ten miał zmienić, uporali się z drobnymi ceremoniami towarzyszącymi przekazaniu dowództwa, a już poprzednik Dunhama wraz ze wszystkimi swoimi ludźmi pośpieszył na pokład „Chwistu”. Gasparowi, który byłby chętnie spędził dzień na wyspie, nakazano niezwłocznie ruszać z powrotem, gdyż wiatr obiecywał szybką przeprawę rzeką oraz jeziorem. Jednakże przed rozstaniem porucznik Muir, Cap i sierżant przeprowadzili poufną rozmowę ze zluzowanym oficerem i zapoznali go z podejrzeniami, które ciążyły na młodym marynarzu. Obiecawszy, że zachowa

należyta czujność, oficer wsiadł na statek i w niecałe trzy godziny od chwili przybycia kuter znów ruszył w drogę.

Mabel objęła w posiadanie jedną z chat i z kobiecą pomysłowością i zręcznością poczyniła wszelkie gospodarskie zabiegi, na jakie pozwalały okoliczności, w celu zapewnienia wygody nie tylko sobie, ale i ojcu. Ażeby zaoszczędzić roboty, w jednej z chat urządzono wspólną jadalnię, gdzie dowódcy mieli przyjmować posiłki, których przygotowanie zlecono żonie żołnierza. Ponieważ dzięki temu chata sierżanta, najlepsza na całej wyspie, uwolniona została od wszelkich pospolitych czynności związanych z prowadzeniem gospodarstwa, pozwoliło to Mabel popisać -się niewieścim gustem, tak że dziewczyna po raz pierwszy od przybycia na pogranicze, poczuła się dumna ze swej Siedziby.

Gdy tylko dopełniła owych doniosłych obowiązków, wyszła obejrzeć wyspę i ruszyła przed siebie ścieżką, która wiodła przez śliczną polankę, aż do jedynej cypla nie porośniętego gęstwiną. Tu Mabel przystanęła wpatrując się w przezroczystą wodę, która bez jednej zmarszczki rozpościerała się u jej stóp. Dziewczyna zadumała się nad swoją nową sytuacją, oddając się uczuciu miłego i głębokiego podniecenia, którym przyjmowało ją wspomnienie niedawnych przeżyć oraz myśl o tym wszystkim, co przyszłość osłaniała jeszcze tajemnicą.

–Pielenie wyglądasz w tym otoczeniu, panno Mabel – ozwał się głos Davy'ego Muira, który nagle stanął przy niej – i nie wiem doprawdy, czy z obojga nie ty jesteś piękniejsza.

–Nie powiem, mości Muir, że komplementy są mi niemiłe, bo może nie dałbyś temu wiary – odparła dowcipnie Mabel. – Natomiast wyznam, iż gdybyś pan zechciał pomówić ze mną na inny temat, uważałabym, że masz mnie za dość rozumną, by pojąć twoje słowa.

–Ba, piękna Mabel, umysł twój jest polerowany niczym lufa żołnierskiego muszkietu, a konwersacja aż nadto subtelna i mądra dla biedaka, który od czterech lat tkwi tutaj na granicy. Ale jak widzę, że żałujesz, moja panno, iż swoją piękną stopką dotknęłaś znowu ziemi.

–Nie inaczej myślałam dwie godziny temu, ale „Chwist” wygląda tak pięknie żeglując wśród tych szpalerów drzew, iż prawie żałuję, że nie jestem już na pokładzie.

Tu Mabel przerwała i pomachała chusteczką w odpowiedzi na pozdrowienie Gaspara, który nie odrywał oczu od jej postaci, dopóki białe żagle kutra tnie wyminęły cypla i nie zniknęły za zieloną kotarą listowia.

–Tak. Odpywają, a ja nie powiem: „niech szczęście im towarzyszy”; mimo to życzę im, by powrócili cało, gdyż bez nich może nam grozić spędzenie zimy na tej wyspie,

o ile nie trafimy do lochów zamku w Quebec. Ów Gaspar Eau-douce to kawał wagabundy, a w garnizonie otrzymali już o nim pewne wiadomości, których aż przykro słuchać. Twój zacny rodzic i nie mniej zacny wujaszek nie najlepsze mają o nim mniemanie.

–Przykro mi to słyszeć, mości Muir, i nie wątpię, że czas rozproszy ich nieufność.

–Gdyby mógł rozproszyć i moją, nadobna Mabel – odparł kwatermistrz przymilnym tonem – nie pozazdrościłbym nawet głównodowodzącemu. Sądzę, że gdybym miał się wycofać, miejsce moje zająłby sierżant.

–O ile mój ojciec godzien zająć pańskie miejsce – odparła dziewczyna ze złośliwą satysfakcją – to na pewno zdatność ta jest wzajemna, a pan. ze wszech miar godny znaleźć się na miejscu ojca.

–Tam do licha, moje dziecko! Nie chciałabyś chyba degradować mnie do rangi podoficera?

–Ależ nie, proszę pana; nie myślałam wcale o wojsku, kiedy pan mówił o wycofaniu się. Myśli moje dotyczyły raczej mej własnej osoby, przyszło mi bowiem do głowy, że wielce przypominasz mojego drogiego ojca swym doświadczeniem, mądrością oraz wszelkimi danymi na głowę rodziny.

–Jako oblubieniec, miła Mabel, nie jako rodzic czy patriarcha! Już widzę, jaka jesteś: miłujesz ciętą ripostę i aż się skrzysz od dowcipu. Lubię ironię w młodej niewieście, byleby to nie była ironia sekutnicy. Ten Tropiciel to nadzwyczajny człek, prawdę rzekłszy.

–O nim należy mówić jedynie prawdę albo nie zgoła. Tropiciel jest moim przyjacielem – moim bliskim przyjacielem i w mej obecności nikt nie powie o nim jednego złego słowa, któremu bym nie zaprzeczyła.

–Upewniam cię, panno Mabel, że nie powiem o nim nic złego, wszelako wątpię, czy da się o nim rzec wiele dobrego.

–Jest przynajmniej wybornym strzelcem – odparła Mabel z uśmiechem. – Temu pan nie możesz zaprzeczyć, mości Muir.

–A niechże ma wszelkie zalety pod tym względem, skoro tak sobie życzysz; jednakże ciemny jest jak Mohawk.

–Może nie umie po łacinie, ale zna lepiej od innych mowę Irokezów, a z owych dwóch języków drugi jest użyteczniejszy w tym zakątku świata.

–Gdyby nawet sam Lundie kazał mi rozstrzygnąć, czy bardziej admiruję twoją osobę

czy dowcip, o piękna, o kostyczna Mabel, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Podziw mój jest tak równo między nie podzielony, iż raz mi się wydaje, że jedno winno otrzymać palmę zwycięstwa, to znowu, że drugie! Ach., moja nieboszczka małżonka również była pod tym względem wzorem doskonałości!

–Czy ostatnia nieboszczka małżonka, proszę pana? – zapytała Mabel, patrząc niewinnie na swego towarzysza.

–Hola, hola! To jakieś plotki Tropicielea. Z pewnością ten człowiek usiłował ci wmówić, że miałem już więcej niż jedną żonę?

–W takim razie marnotrawiłby czas, proszę pana, gdyż każdy wie, że miałeś nieszczęście posiadać ich cztery.

–Tylko trzy, jakem Davy Muir! Czwarta to czysta plotka... albo raczej, nadobna Mabel, jest ona in petto, jak to mówią w Rzymie, co w rzeczach miłości znaczy: w sercu, moja miła.

–No, cieszę się, że nie jestem ową, czwartą osobą in petto czy gdziekolwiek indziej, bo nie chciałabym stać się ofiarą plotek.

–Nie ma obawy, urocza panno Mabel, bo gdybyś była czwartą, wszystkie inne poszłyby w zapomnienie, a twoja cudna uroda i zalety natychmiast podniosłyby cię do godności pierwszej. Nie ma obawy, byś miała być czwartą.

–W tym zapewnieniu znajduję, pociechę, mości Muir – odrzekła śmiejąc się Mabel – bez względu na to, co kryje się w innych pańskich zapewnieniach, bo wyznam, że wolałabym być nawet czwartorzędną pięknnością niż czwartą żoną.

To rzekłszy odeszła pozostawiając. kwatermistrza medytującego nad odniesionym sukcesem. Mabel zdecydowała się użyć tak szczerze swych środków obrony niewieściej częścią dlatego, że jej zalotnik stał się- ostatnimi czasy bardzo natarczywy i trzeba było dać mu dość ostrą odprawę – a częścią też- i ze względu na jego insynuacje wymierzone przeciwko Gasparowi oraz Tropicielowi. Jakkolwiek była dowcipna i bystra, przecie bynajmniej nie zuchwała z natury; jednakże tym razem doszła do wniosku, że sytuacja wymaga większej niż zwykle stanowczości. Rozstawszy się przeto ze swym towarzyszem, uznała, że wreszcie uwolniła się od hołdów równie niewczesnych, jak nieprzyjemnych.

Jednakże Bavy Muir zapatrywał się na to inaczej, przyzwyczajony do odmów i obdarzony cnotą wytrwałości, nie widział powodu, aby się wyrzec nadziei, aczkolwiek na poły groźna, na poły zadowolona z siebie mina, z jaką pokiwał głową za odchodzącą dziewczyną, mogła zdradzać zamiary równie złowieszcze, jak stanowcze. W tej właśnie chwili nadszedł Tropiciel i zbliżył się nie zauważony.

–Nie da rady, kwatermistrzu, nie da rady – ozwał się ze swym cichym śmiechem. – Młoda jest, energiczna i tylko chyba nogi mogą ją dogonić. Jak słyszę, uganasz się za nią, ale chyba nie nadążysz.

–A ja to samo słyszę o tobie, człowieku, aczkolwiek dowodziłoby to tak wielkiej dufności w siebie, iż niepodobna mi dać temu wiary.

–Obawiam się, że pan masz rację. Tak, tak, gdy sobie uświadomię, czym jestem, jak mało wiem, jak prostackie było moje życie, widzę, że nie wolno mi ani przez chwilę myśleć o kimś tak ukształconym, wesołym, delikatnym, pogodnym...

–Zapomniałeś dodać: gładkim! – przerwał mu szorstko Muir.

–Tak; niestety i gładkim – odrzekł potulnie i skromnie przewodnik. – Mogłem od razu wymienić gładkość wśród innych jej przymiotów, bo młody jelonek uczący się skakać nie milszy jest dla oczu myśliwca niż Mabel dla moich. Doprawdy lękam się, że wszelkie myśli, jakie sobie o niej snułem, czcze były i zarozumiałe.

–Jeżeli do tego wniosku doszedłeś samorzutnie i dzięki przyrodzonej skromności, mój przyjacielu, to obowiązek starego towarzysza broni nakazuje mi powiedzieć...

–Kwatermistrzu – przerwał mu tamten patrząc przenikliwie na swego rozmówcę. – Wiele przebywaliśmy pospołu za wałami fortu, lecz bardzo mało w lasach czy oko w oko z nieprzyjacielem.

–Fort czy namiot, wszystko, jak wiadomo, jest częścią tej samej kampanii, Tropicielu, a prócz tego obowiązki zatrzymują mnie w pobliżu magazynów wbrew moim inklinacjom, jak możesz się domyślić, zważywszy, że sam masz we krwi zapal do bitwy. Wszelako gdybyś słyszał, co Mabel mówiła o tobie, nie myślałbyś ani minuty dłużej o przypodobaniu się tej zuchwałej i hardej pannicy.

Tropiciel popatrzył uważnie na porucznika, albowiem chcąc nie chcąc czuł zaniepokojenie, jakie też mogło być zdanie Mabel. Miał jednak zbyt wiele wrodzonych i prawdziwych uczuć dżentelmena, by pytać, co ktoś mógł o nim powiedzieć. Atoli Muir nie dał się zbić z tropu powściągliwością i godnością Tropiciele, wiedząc bowiem, że ma do czynienia z człowiekiem nadzwyczaj rzetelnym i prostolinijnym, postanowił wykorzystać jego łatwowierność, aby się pozbyć rywala. Jakoż podjął znowu ów temat, gdy tylko zauważył, że w towarzyszysu dyskrecja przeważała nad zaniepokojeniem.

–Winienesz poznać jej zdanie, Tropicielu – ciągnął. – Uważam, że każdy powinien wiedzieć, co mówią o nim znajomi i przyjaciele, toteż chcąc ci udowodnić, jaki szacunek żywię dla twej osoby i uczuć, opowiem ci wszystko w możliwie krótkich słowach. Jak wiesz, Mabel umie patrzeć tymi swymi ślepkami złośliwie i nieprzyjemnie, kiedy chce kogoś zranić...

–Mnie oczy jej wydawały się zawsze poważne i miękkie, poruczniku, choć przyznam, że niekiedy się śmieją. Owszem, widywałem w nich śmiech, ale serdeczny i pełen prawdziwej życzliwości.

–Owóż tym razem, było tak: oczy jej śmiały się z całej mocy i pośród tej wesołości wykrzyknęła... ale mam nadzieję, że to cię nie urazi Tropicielu?

–Nie wiem, nie wiem. Opinia Mabel o mnie wydaje mi się ważniejsza od zdania wielu innych.

–W takim razie nic ci nie powiem, zachowam to w tajemnicy. Czemuż ktoś miałby powtarzać innemu, co o nim mówią przyjaciele, osobliwie gdy tak się składa, że mówią rzeczy niezbyt przyjemne? Nie dodam już ani słowa do tego, co powiedziałem.

–Me mogę pana przymusić, kwatermistrzu, jeżeli nie masz na to ochoty, a może i lepiej mi będzie nie znać opinii Mabel, skoro uważasz, że jest dla mnie niepomyślna. Ach, gdybyśmy mogli być tym, czym byśmy pragnęli, miast tym, czym jesteśmy, wielka by zaszła różnica w naszym usposobieniu, wiedzy i wyglądzie. Człek może być prostacki, nieokrzesany i ciemny, a przecie szczęśliwy, jeżeli o tym nie wie; lecz trudno jest jasno-dostrzegać swe własne niedostatki i chciałoby się jak najmniej o nich słyszeć;

–To jest rationale w tej sprawie, jak mówią Francuzi; tak też powiadałem Mabel, kiedy odbiegła i zostawiła mnie samego. Zauważyłeś, jak czmychnęła, gdy zobaczyła, że nadchodzisz?

–Bardzo to było widoczne – odrzekł Tropiciel wzdychając głęboko i ściskając lufę swej strzelby, jak gdyby palce chciały się wpić w żelazo.

–To było więcej niż widoczne; było jaskrawe – tak to należy określić, i w słowniku nie znalazłbyś lepszego słowa po całej godzinie szukania. Owóż trzeba ci wiedzieć, mój Tropicielu, boć przecie nie mogę ci odmówić satysfakcji usłyszenia tego, że owa dzierlatka czmychnęła tak, bo nie chciała wysłuchać, co miałem do powiedzenia na twoją obronę.

–A cóż to mogłeś powiedzieć na moją obronę, kwatermistrzu?

–No cóż, sam rozumiesz, mój Tropicielu, że kierowały mną okoliczności, toteż nie zapuszczałem się nieroztropnie w ogólniki, ale byłem gotów szczegóły odeprzeć szczegółami. Gdyby oświadczyła, że jesteś nieokrzesanym, półdzikim człowiekiem z pogranicza, mogłem jej być powiedzieć, że jest to skutek twojego nieokrzesanego, półdzikiego życia na pograniczu, i wszystkie jej zastrzeżenia musiałyby upaść, bo inaczej tkwiłoby w tym jakoweś nieporozumienie z Opatrznością.

–I powiedziałeś jej to, kwatermistrzu?

–Nie przysięgnę, czy akurat tymi słowami, ale ogólna myśl była taka, sam rozumiesz. Dziewczyna zniecierpliwiała się i nie chciała wysłuchać ani połowy tego, co miałem do powiedzenia. Umknęła, co sam widziałeś na własne oczy, jak gdyby miała wyrobione zdanie i nie życzyła sobie dłużej rozmawiać. Obawiam się, iż można uznać, że już wyciągnęła swe ostateczne wnioski.

–Lękam się, że tak jest w istocie i że jej ojciec pomylił się mimo wszystko. Tak, tak; sierżant popełnił gruby błąd.

–No cóż, człowieku, czemuż miałbyś lamentować i psuć wspaniałą reputację, którą przez tyle mozolnych lat sobie wyrabiałeś? Zarzuć na ramię tę strzelbę, którą tak dobrze umiesz się posługiwać, i odejdz w lasy, bo nie ma niewiasty wartej jednej minuty frasunku, jak to sam wiem z doświadczenia. Uwierz na słowo człowiekowi, który zna ową pleć i miał już dwie żony, że kobiety są jednak zgoła innymi stworzeniami, niż sobie wyobrażamy. Gdybyś naprawdę chciał upokorzyć Mabel, masz teraz tak wspaniałą okazję, że lepszej nie mógłbyś pragnąć żaden odpalony kochanek.

–Ostatnia rzecz, jakiej mógłbym pragnąć, to upokorzenie Mabel, poruczniku.

–No, jeszcze w końcu do tego dojdzie mimo wszystko, bo jużci leży w ludzkiej naturze chęć sprawienia przykrości tym, którzy nam przykrość sprawiają. Wszelako jeszcze nie miałeś lepszej niż teraz okazji pozyskania sobie miłości twych przyjaciół, to zaś jest niezawodnym sposobem wzbudzenia zazdrości u wrogów.

–Mabel nie jest mym wrogiem; kwatermistrzu, a gdyby nawet była, zgoła bym nie pragnął przysporzyć jej choćby jednej przykrej chwili.

–Tak mówisz, Tropicielu, tak mówisz i pewnie tak myślisz, ale rozum i natura są przeciw tobie, jak się o tym w końcu przekonasz. Słyszałeś przysłowie: „kto mnie kocha, kocha i mego psa”, co na odwrót oznacza: „kto mnie nie kocha, nie kocha i mego psa”. Owóż posłuchaj, co jest w twojej mocy uczynić: wiesz przecie, że znajdujemy się tu w niezwykle niebezpiecznym i niepewnym położeniu, nieledwie w paszczy lwa.

–Czyżbyś nazwał Francuzów lwem, a tę wyspę jego paszczą, poruczniku?

–Jedynie w przenośni, mój przyjacielu, boć ani Francuzi nie są lwami, ani ta wyspa paszczą, chyba że się okaże (czego bardzo się lękam) pyskiem osła.

Tu kwatermistrz wybuchnął szyderczym śmiechem, który nie świadczył bynajmniej o szacunku czy uznaniu dla roztropności, jaką wykazał jego przyjaciel Lundie, obierając to, a nie inne miejsce na teren swych operacji.

–Placówka jest wybrana najlepiej jak tylko można – rzekł Tropiciel obrzucając

wzrokiem okolicę niby człowiek, który podziwia obraz.

–Nie zaprzeczę, nie zaprzeczę. Lundie to wielki żołnierz na małą skalę, a jego ojciec był również wielkim lair-dem. Urodziłem się w ich włościach i od tak dawna przebywam z majorem, że nauczyłem się szanować wszystko, co mówi i czyni; to właśnie jest moja słabość, jak sam wiesz, Tropicielu. Owóż ta placówka może być placówką osła albo też Salomona, zależnie od punktu widzenia, ale jest wielce niebezpieczna, co zresztą widać po środkach ostrożności i zaleceniach Lundiego. Dzicy- szukają tego miejsca pośród Tysiąca Wysp i po lasach, o czym sam Lundie wie na podstawie pewnych informacji, największą tedy przysługą, jaką mógłbyś wyświadczyć pięćdziesiątemu piątemu pułkowi, byłoby odnalezienie ich śladów i sprowadzenia Indian na fałszywy trop. Nieszczęściem sierżant Dunham ubrdał sobie, że niebezpieczeństwa należy oczekiwać od strony źródeł rzeki, bo Frontenac leży powyżej nas; atoli doświadczenie liczy, że Indianie przychodzą z tego kierunku, który jest najbardziej sprzeczny z rozsądkiem, toteż należy spodziewać się ich od ujścia. Weź tedy czółno i popłyn wyspami w dół rzeki, ażebyśmy mogli dowiedzieć się, czy jakieś niebezpieczeństwo nie zbliża się z tej strony.

–Wielki Wąż czatuje w owej właśnie okolicy, a ponieważ zna dobrze placówkę, ostrzeże nas bez wątpienia, gdyby ktokolwiek chciał podejść nas stamtąd,

–Mimo wszystko jest on tylko Indianinem, Tropicielu, a ta sprawa wymaga wiedzy białego. Lundie będzie po wsze czasy wdzięczny człowiekowi, który przyczyni się do powodzenia tego małego przedsięwzięcia. Prawdę mówiąc, mój przyjacielu, jest on świadom, że w ogóle nie należało brać się do tego, ale ma w sobie zbyt wiele uporu starego lairda, by przyznać się do błędu, choćby tak widocznego jak słońce na niebie.

Kwatermistrz dalej ciągnął swoje wywody mające skłonić Tropicieła do bezzwłocznego opuszczenia wyspy a używał po temu pierwszych z brzegu argumentów, jakie mu się nasunęły – czasem przecząc samemu sobie, nierzadko zaś wysuwając jakiś powód, któremu w następnej chwili przeciwstawiał inny. Tropiciel choć tak prostoduszny, odkrył przecie te skazy na rozumowaniu porucznika, aczkolwiek daleki był od przypuszczenia, że wynikały one z chęci usunięcia z placu konkurenta do ręki Mabel. Nie podejrzewał utajonych pobudek Muira, ale bynajmniej nie był ślepy na jego wykrętne rozumowanie. W rezultacie rozstali się po długiej rozmowie, zgoła nie przekonani, zachowując wzajemną nieufność, aczkolwiek nieufność przewodnika – jak wszystko co miało związek a tym człowiekiem – nosiła piętno jego prawej, bezinteresownej i szczerzej natury.

Rozmowa, którą niedługo potem przeprowadził sierżant Dunham z porucznikiem, miała dalsze skutki. Po jej zakończeniu wydano poufne rozkazy żołnierzom, obsadzono blokhauz i chaty, a ktoś przyzwyczajony do wojskowych poczynań mógł wymiarkować, że w powietrzu wisi jakaś wyprawa. W samej rzeczy, właśnie gdy

słońce już zachodziło, sierżant, który był czymś bardzo zajęty w tak zwanej przystani, wszedł do swej chaty wraz z Tropicielem i Capem, a zasiadłszy za stołem, schludnie nakrytym przez Mabel, otworzył skarbonicę swych wiadomości.

–Możesz nam się tu przydać, moje dziecko – zaczął stary żołnierz – jak tego dowodzi ta czysto podana i smacznie przyrządzona wieczerza, a ufam, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, pokażesz, że pochodzisz od tych, co potrafią stanąć wrogowi do oczu.

–Me spodziewasz się chyba, ojcze, że odegram rolę Joanny d'Arc i poprowadzę ludzi do boju.

–Że czyją rolę odegrasz? Słyszałeś kiedy, Tropicielu, o tej osobie, o której wspomina Mabel?

–Skądże znowu, sierżancie! Ale cóż z tego? Jam ciemny i nieuczony, lecz zbyt wielką mi sprawia przyjemność słuchanie jej głosu i słów, bym mógł powstrzymać się od uśmiechu.

–Ja tamtą znam – oświadczył! zdecydowanie Cap. – W czasie ostatniej wojny wypłynęła z Morlaix na okręcie korsarskim i wcale nieźle sobie poczyniała.

Mabel zarumieniła się, widząc, że niebacznie uczyniła aluzję przekraczającą wiedzę ojca. Prócz tego wprawiła ją w zakłopotanie pewność siebie wuja, a może i prosta, szczerza powaga Tropicieła: niemniej jednak nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

–No, bo chyba nie żądasz ojcze, bym stanęła w szeregu z ludźmi i pomagała bronić wyspy?

–W tej stronie świata kobiety często robiły takie rzeczy, jak ci o tym zaświadczy nasz druh, Tropiciel. Ażebyś jednak nie zdziwiła się, gdy jutro rano po przebudzeniu nie ujrzysz nas tutaj, winienem powiedzieć ci od razu, że zamierzamy wyruszyć w drogę jeszcze tej nocy.

–„Zamierzamy”, ojcze? I zostawicie mnie i Jennie samotne na tej wyspie?

–Nie, córko, nie postąpimy bynajmniej tak nie po wojskowemu. Pozostawimy tu porucznika Muira, szwagra Capa, kaprala M'Naba i trzech ludzi, którzy stanowiąc będą załogę pod naszą nieobecność. Jennie też z tobą zostanie w tej chacie, a szwagier Cap zajmie moje miejsce.

–A pan Muir? – spytała Mabel nie wiedząc w oszołomieniu, co mówi, aczkolwiek przewidywała, że owe zarządzenia przyniosą jej sporo przykrości.

–No cóż, jeżeli ci to miłe, może on zalecać się do ciebie, kochliwy to bowiem

młodzian, a pozbywszy się już czterech żon, niecierpliwie pragnie udowodnić, jak bardzo czci ich pamięć biorąc sobie piątą.

–Kwatermistrz mówił mi – ozwał się naiwnie Tropiciel – że kiedy mężczyzna znękanym jest tyłoma stratami, nie masz mędrszego sposobu ukojenia bólu, niż zaoranie gruntu od nowa, ażeby nie pozostały żadne ślady tego, co wprzód tam było.

–Tak, w tym jest właśnie różnica pomiędzy Orką a bronowaniem – odparł mu sierżant z posępnym uśmiechem. – Ale niech tylko powie Mabel, o co mu chodzi, a skończą się jego zaloty. Wiem doskonale, że moja córka nigdy nie będzie żoną porucznika Muira.

Było to powiedziane w sposób równoznaczny z oświadczeniem, że córka sierżanta w żadnym razie nie powinna być żoną pomienionego osobnika. Mabel pokraśniała, zadrżała, uśmiechnęła się lekko i widać było, że jest jej nieswojo; jednakże wzięwszy się w karby powiedziała głosem tak wesołym, że w zupełności zamaskował jej wzburzenie:

–Ależ ojczy, może lepiej poczekać, aż pan Muir objawi życzenie, żeby twa córka wzięła go sobie lub raczej, żeby on wziął twą córkę; inaczej bowiem mógłby nam ktoś przypomnieć bajkę o kwaśnych winogronach.

–A cóż to za bajka? – spytał skwapliwie Tropiciel, któremu obce były zwykłe zasoby wiadomości białych ludzi. – Opowiedz nam ją tak ślicznie, jak to potrafisz; zapewne sierżant też nigdy jej nie słyszał.

Mabel powtórzyła znaną bajeczkę „ślicznie”, czyli tak, jak życzył sobie jej wielbiciel, a był to zarazem sposób przykucia wzroku myśliwca do twarzy dziewczyny i rozjaśnienia uśmiechem jego uczciwego oblicza.

–Tak, to do lisa podobne! – zawołał, kiedy skończyła. – I do Minga też, bo równie jest on przebiegły i okrutny; tak to bywa z obydwoma tymi gadami. Co zaś się tyczy winogron, to dość są kwaśne w naszych stronach nawet dla ludzi, którzy mogą się do nich dostać, chociaż znajdzie się takie miejsce i pory roku, gdzie jeszcze są kwaśniejsze dla tych, co dostać ich nie mogą. Ja na ten przykład sądzę, że mój skalp wydaje się Mingom ogromnie kwaśny.

–Z tymi kwaśnymi winogronami będzie odwrotnie, moje dziecko; to panu Muirowi wypadnie się uskarżać. Nigdy byś nie wyszła za tego człowieka, nieprawdaż, Mabel?

–Tego by nie zrobiła! – wtrącił Cap. – Człek, który właściwie jest tylko na połę żołnierzem... A ta historia z winogronami, to niezła okoliczność.

–Nie bardzo mi w głowie wychodzenie za kogokolwiek, drogi ojczy i wujaszku, a wolałabym mówić o tym jeszcze mniej, jeśli łaska. Gdybym jednakże w ogóle

zamyślała wyjść za mąż, sądzę, że nie wybrałabym człowieka, którego afektów kosztowały już trzy czy cztery żony.

Sierżant kiwnął głową do przewodnika, jak gdyby chciał powiedzieć: „Widzisz teraz, czego, się trzymać”, po czym dowiódł, że ma należyte względy dla uczuć swojej córki, zmieniając temat rozmowy.”

–Ani ty, szwagrze, ani Mabel – ciągnął – nie macie żadnej prawowitej władzy nad tą małą załogą, którą tu pozostawiam na wyspie, możecie jednak udzielać rad i wywierać swój wpływ. Mówiąc ściśle, dowódcą będzie kapral M'Nab, ja zaś usiłowałem wpoić mu poczucie owej godności, ażeby zbytnio nie ulegał wyższej randze porucznika Muira, który będąc ochotnikiem, nie ma prawa mieszać się do spraw służby. Chciałbym, szwagrze, abyś wspierał kaprala, bo jeśli kwatermistrz raz złamie przepisy obowiązujące na tej wyprawie, będzie sobie rościł pretensje do komenderowania mną równie dobrze jak M'Nabem.

–Tym bardziej, jeśli Mabel doprawdy zepchnie go na wodę pod twoją nieobecność, sierżancie. Ma się rozumieć, zostawisz cały pokład pod moją opieką? Na lądzie czy na morzu najgorsze zamieszanie wynika zawsze z nieporozumień pomiędzy głównodowodzącymi.

–W pewnym sensie tak zrobię, aczkolwiek ogólnie biorąc głównym dowódcą będzie kapral. Musi on dowodzić, natomiast ty możesz swobodnie udzielać rad, zwłaszcza we wszystkich sprawach dotyczących się łodzi, bo pozostawiam tu jedną, ażeby zapewnić wam odwrót, gdyby zaszła po temu potrzeba. Znam doskonale kaprala, to dzielny człek i dobry żołnierz, któremu można zaufać. Ale jest Szkotem i przeto może ulegać wpływom kwatermistrza, przed którym winniście oboje z Mabel mieć się na baczności.

–Lecz czemuż nas tu zostawiasz, ojcze? Przybyłam z tak daleka, ażeby być ci pomocną, dlaczego więc nie miałabym udać się jeszcze dalej?

–Dobra z ciebie dziewczyna, Mabel, 'krew z krwi Dunhamów, ale musisz tutaj pozostać. Odplyniemy z wyspy jutro przed brzaskiem, ażeby nas nie wypatrzyły jakieś wścibskie ślepie, gdy będziemy opuszczali naszą kryjówkę. Weźmiemy dwie największe łodzie, a wam zostawimy trzecią i jedno czółno z kory. Zamierzamy wpłynąć w kanał, którego używają Francuzi, i tam zaczekamy może cały tydzień, ażeby przechwycić łodzie wiozące do Frontenac zapasy, a w szczególności duży ładunek towarów dla Indian.

–Czy aby dobrze obejrzałeś swoje dokumenty, szwagrze! – zapytał troskliwie Cap. – Wiesz przecie, że zabór towarów na wodach jest piractwem, jeżeli statek nie posiada formalnego patentu zlecającego mu pełnienie służby w charakterze uzbrojonego krążownika – państwowego czy też prywatnego.

–Mam zaszczyt posiadać wydaną przez pułkownika nominację na starszego sierżanta pięćdziesiątego piątego regimentu – odparł tamten prostując się z godnością – a to wystarczy nawet królowi francuskiemu. Jeżeli zaś nie, mam pisemne rozkazy majora Duncana.

–Więc nie masz dokumentów okrętowych uprawniających do działania jako jednostka wojenna?

–Te muszą wystarczyć, bo innych nie posiadana. Dla interesów jego królewskiej mości w tych stronach jest rzeczą wielkiej wagi, by owe łodzie zostały pojmane i doprowadzone do Oswego. Wiozą one koce, świecidełka, strzelby, amunicję – krótko mówiąc to, czym Francuzi przekupują swoich przeklętych dzikich sprzymierzeńców, ażeby popełniali nikczemne czyny urągające naszej religii i jej nakazom, prawom ludzkości i wszystkiemu, co święte i drogie dla człowieka. Odcinając owe dostawy pokrzyżujemy im plany i zyskamy na czasie, ile że takich towarów niepodobna będzie już sprowadzić zza oceanu tej jesieni.

–Ale czy i najjaśniejszy pan nie posługuje się też Indianami, ojczy? – spytała Mabel z niejakim zaciekawieniem.

–Oczywiście, i ma prawo to czynić, niech mu Bóg błogosławi. Każdy rozumie, że wielka istnieje różnica między używaniem dzikich przez Anglików i przez Francuzów.

–Ależ ja nie mogę dopatrzeć się tu żadnej różnicy! Skoro jest źle ze strony Francuzów najmować dzikich, aby walczyli z ich nieprzyjaciółmi, to wydawałoby się, że jest to równie źle u Anglików. Chyba zgodzisz się z tym, Tropiciele?

–Rozsądnie mówisz, rozsądnie; toteż nigdy nie należałem do tych, którzy pomstowali na Francuzów za to, że robią to samo co my. Jednakże gorzej jest zadawać się z Mingami niż Delawarami. Gdyby pozostał ktokolwiek z tego plemienia, nie uważałbym za grzech wysłać go przeciw wrogom.

–A jednak oni także skalpują i mordują młodych i starych, kobiety i dzieci!

–Mają swoje przyrodzone cechy i nie należy ich za to winić; natura jest naturą, aczkolwiek różne plemiona w różny sposób ją przejawiają. Co do mnie, jestem, biały i usiłuję zachować uczucia ludzi białych.

–To dla mnie niezrozumiałe – odparła Mabel. – Wydawałoby się, że co jest sprawiedliwe u króla Jerzego, powinno być sprawiedliwe u króla Ludwika.

Ponieważ wszyscy obecni prócz Mabel byli snadź zadowoleni z obrotu, jaki przyjęła dyskusja, nikt nie uważał za konieczne ciągnąć jej dalej. Zaraz po zakończeniu wieczery sierżant odprawił gości i przeprowadził z córką długą, poufną rozmowę. Niezbyt był skłonny do folgowania tkliwym wzruszeniom, ale tym razem nowość

sytuacji zbudziła w nim uczucia, których nie przywykł doświadczać. Dopóki żołnierz czy marynarz działa pod bezpośrednim nadzorem zwierzchnika, nie wdaje się w rozmyślanie na temat grożącego niebezpieczeństwa; natomiast kiedy sam poczuje się odpowiedzialny za dowodzenie, wszelkie ryzyko towarzyszące otrzymanemu zadaniu poczyną kojarzyć się w jego mózgu z myślami o szansach sukcesu czy klęski. Jakkolwiek wówczas może mniej zastanawia się nad swoim osobistym bezpieczeństwem, przecie żywiej dostrzega zagrożenie i bardziej ulega wpływowi uczuć wywołanych przez, wątpliwości. Tak było teraz i z sierżantem Dunhamem, który miał uważać zwycięstwo za pewne, zgodnie ze swym dotychczasowym zwyczajem – zaczynał brać pod uwagę możliwość, że rozstaje się z córką na zawsze.

Nigdy jeszcze Mabel nie wydawała się tak śliczna jak tego wieczora. Może też nigdy nie była dla ojca tak ujmująca, albowiem zbudziła się w niej troska o niego, a czułość dziewczyny znalazła niezwykłą zachętę w serdeczności, która ocknęła się w twardym sercu starego żołnierza. Nigdy dotychczas nie czuła się w pełni swobodna z ojcem, gdyż znaczna wyższość jej wykształcenia tworzyła między nimi jakby przepaść, którą pogłębiała jeszcze wojskowa surowość obejścia sierżanta, nabyta dzięki długoletniemu obcowaniu z ludźmi, których można było utrzymać na wodzy jedynie bezwzględną dyscypliną. Tym razem wszakże rozmowa między ojcem i córką była bardziej poufała niż zazwyczaj, a Mabel z radością stwierdziła, że stopniowo stawała się ona coraz tkliwsza, do czego uczuciowa dziewczyna daremnie tęskniła od czasu swego przybycia.

–Więc mama była mniej więcej mojego wzrostu? – pytała Mabel trzymając oburącz dłoń ojca i zaglądając mu w twarz wilgotnymi oczami. – Myślałam, że wyższa.

–Tak bywa z dziećmi, które przyzwyczajają się myśleć z szacunkiem o rodzicach, aż wreszcie wyobrażają sobie, że są oni więksi i bardziej imponujący niż w rzeczywistości. Matka twoja tak cię przypominała wzrostem, że nie znaleźć dwóch podobniejszych do siebie kobiet.

–A jakie miała oczy?

–Też takie jak ty, moje dziecko; niebieskie, łagodne, powabne, choć nie tak roześmiane jak twoje.

–Moje już nigdy się nie zaśmieją, ojcie najdroższy, jeżeli nie będziesz uważał na siebie podczas tej wyprawy.

–Dziękuję ci, Mabel... hem... dziękuję ci, dziecko, ale muszę spełnić swój obowiązek. Tak bardzo chciałem znaleźć ci dobrego męża przed opuszczeniem Oswego, bo teraz byłoby mi lżej na sercu.

–Męża? A kogo, ojcie?

–Wiesz, kogo pragnę, abyś pokochała. Możesz spotkać wielu weselszych i przybranych w piękniejsze szaty, ale nikogo, kto miałby tak prawe serce i tęgą głowę.

–Nikogo?

–Ja nie znam takiego. Pod tym względem Tropiciel niewielu ma sobie równych.

–Ależ ja w ogóle nie muszę wychodzić za mąż. Jesteś samotny, więc mogę przy tobie pozostać, ażeby otoczyć cię opieką.

–Niech ci Bóg błogosławi, Mabel! Wiem, że tak byś zrobiła, i nie twierdzę, że to uczucie nie jest zacne, ale myślę, że znalazłoby się inne, jeszcze zacniejsze.

–Cóż może być zacniejsze od czci dla rodziców?

–Równie jest zacne szanować swego małżonka, drogie dziecko.

–Ale ja nie mam małżonka!

–Więc weź go sobie jak najrychlej, ażebyś miała kogo czcić. Nie będę żył wiecznie, Mabel; muszę niebawem odejść zgodnie z prawami natury, jeżeli nie polegnę na wojnie. Tyś młoda, możesz żyć jeszcze długo, i słuszne jest, byś miała męskiego opiekuna, który przeprowadzi cię bezpiecznie przez życie i zajmie się tobą na starość tak właśnie, jak teraz ty pragnęłabyś zająć się mną.

–I myślisz, ojcze – powiedziała Mabel bawiąc się jego palcami, które trzymała w swych drobnych dłoniach, i oglądając je, jak gdyby były czymś niezwykle interesującym, przy czym usta jej złożyły się w lekki uśmiech – i myślisz, że Tropiciel jest takim właśnie człowiekiem? Alboż za dziewięć czy dwanaście lat nie będzie on równie leciwy jak ty?

–Cóż z tego! Prowadził życie umiarkowane i pełne ruchu, a lata mniej się liczą niż zdrowie. Znasz kogoś innego, kto byłby odpowiedniejszy na opiekuna dla ciebie?

Bez względu na to, jakie mogły być jej nadzieje i pragnienia, Mabel nie знаła nikogo takiego; przynajmniej nikogo, kto wyraziłby podobne życzenie.

–Nie, ojcze; nie mówmy teraz o nikim innym, tylko o Tropicielu – odparła wymijająco. – Gdyby był młodszy, uważałabym za rzecz naturalniejszą myśleć o nim jako o mężu.

–Wszystko zależy od zdrowia, powtarzam ci, moje dziecko. Tropiciel jest młodszy od większości naszych oficerków.

–Z pewnością młodszy jest od jednego: od porucznika Muira.

Śmiech Mabel zabrzmiał wesoło i beztrosko, jak gdyby w tej chwili nie miała żadnych zmartwień.

–No pewnie! Mógłby być jego wnukiem, a i latami także jest młodszy. Niech Bóg broni, Mabel, byś kiedykolwiek została żoną oficera – przynajmniej poty, póki nie jesteś oficera córką!

–Nie będzie o to obawy, ojcze, jeżeli wyjdę za Tropicielea – odparła dziewczyna, patrząc figlarnie sierżantowi w oczy.

–Może i nie ma on patentu królewskiego, ale już teraz jest przyjacielem i kompanem generałów. Myślę, że mógłbym umrzeć szczęśliwy, Mabel, gdybyś została jego żoną.

–Ojcze!

–Smutno jest iść w bój mając na sercu brzemię myśli o córce pozbawionej opieki.

–Wszystko bym dała, by serce twoje uwolnić od brzemienia.

–Możesz to zrobić – rzekł sierżant spoglądając czule na córkę – choć nie chciałbym w tym celu nakładać z kolei ciężaru na twoje serduszko.

Głos jego był głęboki i drżący; nigdy dotychczas Mabel nie spotkała się z taką serdecznością ze strony sierżanta. Zwykła mu surowość przydawała obecnemu wzruszeniu szczególnej wagi, której może brakłoby w innych okolicznościach, toteż córka zapragnęła z całej duszy ulżyć ojcu.

–Ojcze – zawołała niemal spazmatycznie – wypowiedz się jasno!

–Nie, Mabel; może nie byłoby to właściwe. Twoje pragnienia mogą się bardzo różnić od moich,

–Nie mam żadnych pragnień... nie wiem, o co ci idzie... Czyżbyś chciał mówić o moim przyszłym zameściu?

–Gdybym mógł wiedzieć, że jesteś zaręczona z Tropicielem... że przyrzekłaś zostać jego żoną, myślę, iż umarłbym szczęśliwy, bez względu na to, jaki by mnie los spotkał. Jednakże nie będą od ciebie żądał zobowiązania, moje dziecko; nie myślę zmuszać cię do czegoś, czego mogłabyś potem żałować. Pocałuj mnie, Mabel, i idź się położyć.

Gdyby sierżant Dunham spróbował wymusić na Mabel obietnicę, której istotnie tak bardzo pragnął, natrafiłby na opór trudny do przewyciężenia; ponieważ jednak

dozwolił naturze iść swoim trybem, pozyskał sobie potężnego sprzymierzeńca, gdyż serdeczna, szlachetna Mabel gotowa była poczynić znacznie większe ustępstwa pod wpływem uczucia niż groźby. W tej wzruszającej chwili myślała tylko o swoim ojcu, który miał ją opuścić, być może na zawsze. Cała gorąca miłość do niego, podsycana prawdopodobnie przez wyobraźnię, choć nieco przytłumiona pełnym rezerwy wzajemnym stosunkiem w ciągu dwóch ostatnich tygodni – powróciła teraz z siłą wzmożoną dzięki czystemu, żywemu uczuciu. Ojciec wydawał się jej wszystkim i nie było ofiary, której by nie zrobiła, by go uczynić szczęśliwym. Jedna szybka, bolesna, nieledwie szalona myśl przemknęła przez mózg dziewczyny i jej decyzja zachwiała się; atoli gdy Mabel popróbowowała wyśledzić podstawy lubej nadziei, na której myśl ową opierała, nie znalazła nic konkretnego. Przyzwyczajona do tłumienia swych najgorętszych uczuć, jak na niewiastę przystało, obróciła myśl ku ojcu i dobrodziejstwom, które oczekiwały dziecko ulegające życzeniom rodziców.

–Ojciec – powiedziała cicho, z najwyższym spokojem – Bóg błogosławi posłusznej córce.

–Tak jest, Mabel: mówi nam o tym Pismo święte.

–Poślubię tego, kogo ty życzyć sobie będziesz.

–Nie, nie, Mabel; możesz sama dokonać wyboru...

–Nie mam wyboru; to znaczy nikt mnie nie prosił o wybór prócz Tropicielea i pana Muira; a żadna kobieta nie zawahałaby się między nimi. Nie, ojciec: poślubię tego, kogo ty wybierzesz.

–Znasz mój wybór, umiłowane dziecię; nikt nie uczyni cię tak szczęśliwą, jak nasz szlachetny przewodnik

–Więc dobrze; jeżeli on tego pragnie, jeżeli ponowi swą prośbę – boć chyba nie chciałbyś, abym się sama zaofiarowała, bądź żeby ktokolwiek dokonał tego za mnie... – tu krew rzuciła się do policzków Mabel, które pobladły były, kiedy pod wpływem szlachetnej i wzniosłej decyzji ów strumień życia odpłynął jej do serca. – Nikt nie powinien mówić z nim na ten temat; jeżeli jednak zwróci się do mnie znowu i jeśli – wiedząc, co prawa dziewczyna powiedzieć winna mężczyźnie, którego bierze sobie za męża – wyjawi życzenie, aby mnie pojąć za żonę, wówczas będę należała do niego.

–Niech Bóg ci błogosławi, Mabel! Niech Bóg na niebie pobłogosławi ci i wynagrodzi, jak na to zasługuje posłuszna i dobra córka!

–Tak, ojciec; bądź spokojny. Idź na tę wyprawę iz lekkim sercem i ufaj Bogu. O mnie teraz martwić się nie potrzebujesz. Na wiosnę – bo trzeba mi trochę czasu – na wiosnę wyjdę za Tropicielea, jeśli ten szlachetny myśliwy będzie tego wówczas

pragnął.

–Mabel, on cię miłuje tak, jak ja miłowałem twoją matkę. Widziałem go płaczącego jak dziecko, gdy mówił o swoim uczuciu do ciebie.

–Tak, wierzę w to; dość już widziałam, by się przekonać, że ma o mnie lepsze zdanie, niż na to zasłużyłam; a już z pewnością nie znaleźć człowieka, dla którego żywiłabym większy szacunek niżli dla Tropicieła; nawet ciebie nie szanuję bardziej, drogi ojcze.

–Tak właśnie być powinno, moje dziecko, i związek ten będzie szczęśliwy. Czy nie mógłbym powiedzieć tego Tropicielowi?

–Wolałabym nie, ojcze. Niechże to przyjdzie samo z siebie, w sposób naturalny. – Uśmiech, który rozjaśnił śliczną twarz Mabel, wydał się ojcu iście anielski, aczkolwiek ktoś bardziej doświadczony w wykrywaniu przelotnych wzruszeń objawiających się w ludzkiej twarzy mógłby wysledzić w nim coś wymuszonego i nienaturalnego. – Nie, nie; musimy pozwolić rzeczom, by poszły swoim biegiem. Masz moją solenną obietnicę, ojcze.

–To mi wystarczy, Mabel, to wystarczy. A teraz pocałuj mnie. Niech Bóg ci błogosławi i ma cię w swojej opiece. Jesteś dobrą córką!

Mabel padła w objęcia ojca – po raz pierwszy w życiu – i rozszlochała się na jego piersi jak małe dziecko. Serce surowego żołnierza stopniało i łzy obojga złączyły się z sobą. Jednakże sierżant Dunham niebawem drgnął, jak gdyby zawstydzony; odsunął łagodnie córkę, życząc jej dobrej nocy, po czym legł na sienniku. Mabel łkając podeszła do przygotowanego dla niej prostego posłania i w kilka minut później ciszy w chacie nie mącił już żaden odgłos oprócz ciężkiego oddechu starego żołnierza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Słoneczny zegar – stróż podwórza

(Nie szczędził ruin czasu zęb)

I obok zapomniana róża

Na znak, że kiedyś był tu klomb.

CAMPBELL

Kiedy Mabel zbudziła się, był nie tylko jasny dzień, ale słońce stało już wysoko na niebie. Spała spokojnie, bo sumienie miała czyste, a trudy sprawiły, że sen jej był smaczny, toteż żaden hałas uczyniony przez tych, co powstawali tak wcześnie, nie zakłócił jej spoczynku. Zeskoczyła z posłania, ubrała się szybko i wkrótce na otwartym powietrzu wdychała już poranne aromaty.

Po raz pierwszy uderzyło ją osobliwe piękno i głęboka pustka miejsca, w którym obecnie przebywała. Przepyszny jesienny dzień, tak pospolity w klimacie, o którym mówi się więcej złego niż dobrego, wywierał na człowieka wpływ ze wszech miar pobudzający i ożywczy. Było to dobrodziejstwem dla Mabel, myślącej z ciężkim sercem o niebezpieczeństwach grożących ojcu, którego zaczęła teraz kochać tak, jak kochają kobiety, gdy zrodzi się w nich zaufanie.

Wyspa wydawała się zupełnie opustoszała. Ubiegłego wieczora krzątania po przybyciu statku nadała owemu miejscu pozory ożywienia, które obecnie ze szczętem znikło; nasza bohaterka wypatrywała oczyma wszystko, co znajdowało się dokoła, zanim dostrzegła choć jedną ludzką istotę mogącą rozproszyć uczucie zupełnej pustki. Nareszcie ujrzała tych wszystkich, którzy pozostali na wyspie, skupionych wokół ogniska obozowego. Widok wuja, do którego tak już przywykła, uspokoił Mabel, toteż przyjrzała się pozostałym obecnym z zupełnie naturalnym zaciekawieniem. Oprócz Capa i kwatermistrza był tam jeszcze kapral, trzech żołnierze oraz kobieta, która gotowała strawę. Chaty stały milczące i opustoszałe, a niewysoki, lecz do baszty podobny wierzchołek blokhauzu, pełen malowniczego piękna, wznosił się ponad zarośla, w których był na poły ukryty. Słońce rzucało swą jasność na odsłonięte miejsca polany, a ponad głową Mabel sklepienie niebios zawisło w całej łagodnej wzniosłości błękitnej pustki. Nie było na nim ani jednej chmurki, dziewczyna, zaś pomyślała w duchu, że może to zwiastować pokój i bezpieczeństwo.

Widząc, że wszyscy zajęci są ową wielką sprawą natury ludzkiej, jaką jest śniadanie, Mabel poszła nie zauważona ku krańcowi wyspy, gdzie drzewa i zarośla skryły ją całkowicie przed wzrokiem pozostałych. Tu rozchyliła niższe gałęzie i przedostawszy

się nad samą wodę, przystanąła wpatrując się w ledwie dostrzegalny przypyływ i odpływ maleńkich fal obmywających brzeg, niby namacalne echo wzburzenia panującego jeszcze na jeziorze o pięćdziesiąt mil od tego miejsca. Widok naturalnej scenerii, która rozpościerała się przed nią, był nader łagodny i przyjemny, a nasza bohaterka, mając oko bystre do wszystkiego, co piękne w przyrodzie, rychło wybrała sobie najbardziej uderzające fragmenty krajobrazu. Spoglądała poprzez luki między wyspami, myśląc, że w życiu nie widziała nic równie ślicznego.

Tym zaprzątnięta Mabel uczuła nagle niepokój, wydawało jej się bowiem, że pośród gęstwiny porastającej brzeg wyspy, która znajdowała się wprost naprzeciw, dostrzegła ludzką postać. Odległość przez wodę wynosiła niespełna sto jardów, i choć dziewczyna mogła się mylić, jako że w chwili gdy ów kształt przemknął przed jej oczyma, była głęboko zamyślona – przecie nie sądziła, by wzrok ją omamił. Świadoma, że jej płeć nie stanowiłaby ochrony przeciwko kuli, gdyby ją dojrzał jakiś Irokez, dziewczyna cofnęła się instynktownie, starając się w miarę możliwości ukryć wśród liści; jednocześnie nie odrywała wzroku od przeciwległego brzegu i przez czas pewien daremnie czekała na pojawienie się nieznanego. Już miała porzucić swoje stanowisko w gęstwinie i pośpieszyć do wuja, ażeby wyjawic mu swoje podejrzenia, gdy wtem ujrzała gałązkę olszyny, którą ktoś wysunął z gąszczu krzaków na tamtej wyspie, machając w stronę Mabel znacząco i jak jej się wydało, przyjaźnie. Była to pełna napięcia i trudna chwila dla kogoś tak nie obeznanego z wojaczką na pograniczu, jak nasza bohaterka; mimo to Mabel uświadomiła sobie, że musi koniecznie zachować przytomność umysłu i działać spokojnie a roztropnie.

Jedną z właściwości niebezpieczeństw, na jakie wystawieni byli mieszkańcy pogranicza Ameryki, stanowił fakt, że wydobywały one na jaw moralne przymioty kobiet w stopniu, który one same uznałyby w innych warunkach za niemożliwy. Mabel wiedziała doskonale, że ludzie tameczni lubią snuć opowieści o przytomności umysłu, harcie ducha i odwadze, wykazywanych przez ich żony i siostry w najcięższych okolicznościach. To, co słyszała na ów temat, zbudziło w niej instynkt współzawodnictwa, toteż od razu uznała, iż oto nadeszła chwila, gdy będzie mogła wykazać, że jest nieodrodną córką sierżanta Dunhama. Ruch gałęzi wydawał się wskazywać na przyjazne zamiary, więc po chwil wahania ułamała również gałązkę, przymocowała ją do patyka wysunąwszy przez liście, poczęła nią wymachiwać, naśladując możliwie jak najdokładniej poruszenia tamtej.

Ta obustronna pantomima trwała kilka minut, po czym Mabel spostrzegła, że ktoś ostrożnie rozchyła krzaki naprzeciw, w szczelinie zaś ukazała się ludzka twarz. Jeden rzut oka wystarczył Mabel, by poznać, że to twarz indiańska, a także kobieca. Drugie, baczniejsze spojrzenie upewniło dziewczynę, że jest to oblicze Czerwcowej Rosy, małżonki Grota Strzały. W czasie wspólnej podróży Rosa zjednała sobie Mabel łagodnością obejścia, pełną pokory prostotą oraz obawą zmieszaną z czułością, z jaką odnosiła się do swego męża. Parę razy w ciągu wędrówki wydało się Mabel, że Tuskarora darzy ją samą niemiłymi dla niej względami; wtedy to widziała, iż żona

Indianina była tym zatroskana i dotknięta. Ponieważ jednak Mabel swą łagodnością i staraniem aż nadto wynagradzała wszelką przykrość, jaką w ten sposób mogła mimowolnie sprawić swej towarzyszce, Indianka wykazała wiele przywiązania do naszej bohaterki, która rozstała się z nią głęboko przekonana, iż w osobie Czerwcowej Rosy traci przyjaciółkę.

Zbędne byłoby próbować analizy rozmaitych dróg, jakimi ludzkie serce dochodzi do zaufania. Takie jednak uczucie zbudziła Indianka w sercu naszej bohaterki, która ulegając wrażeniu, że te niezwykle odwiedziny mają na celu jej własne dobro, skłonna była teraz nawiązać z nią bliższy kontakt. Nie wahała się przeto dłużej i wyszła z krzaków, czego nie pożałowała, widząc, iż Rosa naśladuje jej ufność i bez obawy wynurza się ze swego ukrycia. Obie dziewczyny – bo Czerwkowa Rosa, acz mężatka, była jeszcze młodsza od Mabel – wymieniły teraz otwarcie znaki przyjaźni, po czym Mabel skinęła na Indiankę, aby się przybliżyła, choć sama nie wiedziała, jakim sposobem można by tego dokonać.

Ale Czerwkowa Rosa nie zwlekała z udowodnieniem, że leży to w jej mocy, albowiem zniknąwszy na chwilę, ukazała się niebawem w czólnie z kory, którego dziób wysunęła na skraj gęstwiny, podczas gdy reszta kadłuba spoczywała nadal w małej, osłoniętej zatoczce. Mabel już miała dać znak Indiance, by przepравиła się na drugi brzeg, gdy wtem usłyszała swe imię, donośnie wywołane stentorowym głosem wuja. Pośpiesznym gestem dała znak Indiance, by się ukryła, po czym sama wyskoczyła z zarośli, pobiegła polanką ku miejscu, skąd głos dochodził, i stwierdziła, że wszyscy właśnie zasiedli do śniadania, przy czym Cap zdołał powściągnąć swój apetyt zaledwie na tyle, aby zawołać siostrzenicę. Przez głowę Mabel przemknęła myśl, iż jest to najodpowiedniejsza chwila na rozmowę, toteż pod pretekstem, że jeszcze nie jest gotowa do posiłku, poskoczyła na powrót ku gęstwinie i wprędce nawiązała ponownie kontakt z młodą Indianką.

Czerwkowa Rosa pojęła w lat jej zamiary i kilkoma bezgłośnymi uderzeniami wiosła wprowadziła czólnie między zarośla wyspy. W następnej chwili Mabel trzymała ją za rękę i poprzez lasek wiodła ku swojej chacie. Szczęściem znajdowała się ona w takim miejscu, gdzie była zasłonięta przed wzrokiem siedzących u ogniska, toteż obie dziewczyny dostały się do wnętrza niepostrzeżone. Mabel spiesznie wytłumaczyła, jak umiała, swemu gościowi, że sama musi odejść na chwilę, umieściła Rosę w swej własnej izbie, mając całkowitą pewność, że Indianka nie opuści jej bez zezwolenia, po czym podeszła do ogniska i z najwyższym opanowaniem, na jakie mogła się zdobyć, zajęła miejsce wśród pozostałych.

–Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi, Mabel – ozwał się jej wuj między jednym kęsem przypiekanego łososia a drugim; choć bowiem na odległym pograniczu kuchnia mogła być nader niewymyślna, potrawy były na ogół wyborne. – Dobra to reguła, bo zmusza maruderów do wysiłku.

–Nie jestem maruderem, wujaszku, bom już na nogach od godziny i zwiedzam wyspę.

–Niewiele z tego skorzystasz, panno Mabel – wtrącił Muir. – Nie ma tu nic ciekawego. Lundie, albo może lepiej mówić tutaj: pan major Lundie – ta uwaga wypowiedziana została ze względu na obecność kaprała i szeregowców, choć ci spożywali posiłek nieco na uboczu – nie pomnożył niczym wspaniałym posiadłości najjaśniejszego pana, obsadzając tę wyspę, która pod względem intrat i profitów może dorównać wyspie słynnego Sancho Pansy, owego Sancho, o którym pan, mości Cap, niezawodnie musiałeś często czytywać w wolnych chwilach, a osobliwie w czas ciszy morskiej lub beczynności.

–Znam ją, panie kwatermistrzu; wyspa Sancho – rafa koralowa naszej formacji, tak niebezpieczna dla żeglarza w ciemną noc i wicherę, że każdy grzesznik wolałby trzymać się od niej z daleka. Ta wyspa Sancho słynie z orze-

chów kokosowych i gorzkiej wody.

–Wobec tego nie bardzo słynie z posiłków, jakie tam można spożyć – odparł Muir powściągając, przez szacunek dla Mabel, uśmiech cisnący mu się na wargi. – Nie sądzę też, by warto było wybierać między tamtą a tą wyspą. Moim zdaniem, mości Cap, mamy tu bardzo lichą pozycję bojową i spodziewam się, że prędzej czy później zdarzy się

jakieś nieszczęście.

–Miejmy nadzieję, że nie stanie się przed wypełnieniem naszego zadania – zauważyła Mabel. – Nie mam ochoty uczyć się francuskiego.

–Będziemy mogli uważać się za szczęśliwych, jeżeli nie przyjdzie nam studiować języka Irokezów. Spierałem się z majorem Duncanem na temat obsadzenia tej pozycji, ale jak to mówią, na upór nie ma lekarstwa. Najpierwszym powodem, dla którego towarzyszyłem tej wyprawie, była chęć przypodobania się i przysłużenia pańskiej nadobnej siostrzenicy, mości Cap; drugim zaś był zamiar sporządzenia spisu zapasów, o które winienem się troszczyć z racji mych funkcji. Taki spis bowiem zapobiegnie wszelkim sporom na temat rozchodowania, w wypadku gdy te zasoby znikną za sprawą nieprzyjaciela.

–Czyżbyś pan uważał, że sytuacja jest aż tak poważna? – zapytał Cap, który z zaciekawienia przestał na chwilę gryźć kawałek dziczyzny (ile że przerzuca! się na przemian od ryby do mięsiwa i z powrotem). – Czyżby niebezpieczeństwo było tak bliskie?

–Tego nie powiem, ale i nie zaprzeczę. Na wojnie zawsze grozi niebezpieczeństwo, a jest ono większe na wysuniętych placówkach niż w głównym obozie. Nie byłoby tedy

żadną niespodzianką, gdyby nas lada chwila odwiedzili Francuzi.

–A cóż wtedy robić? Gdyby napadł nas nieprzyjaciel, kiepsko dalibyśmy sobie radę z obroną tego miejsca, mając sześciu mężczyzn i dwie kobiety; zwłaszcza że jak na Francuzów przystało, wróg nie omieszkałby przyjść w znacznej sile.

–Tego możemy być pewni: przyszedłby co najmniej z wielkimi siłami. Można by niezawodnie opracować jakiś plan obrony wyspy w myśl zasad sztuki wojennej, aczkolwiek prawdopodobnie zabrakłoby nam niezbędnych sił do przyzwoitego wykonania owego planu. Przede wszystkim należałoby wysłać na brzeg oddział z zadaniem nękania lądującego nieprzyjaciela; silna grupa winna by natychmiast zamknąć się w blokhauzie jak w cytadeli, stamtąd bowiem poszczególne oddziały oczekiwałyby pomocy w miarę posuwania się naprzód Francuzów. Wokół owej twierdzy trzeba by założyć warowny obóz, gdyż byłoby zaiste rzeczą wielce niewojskową pozwolić, by nieprzyjaciel podsunął się do stóp murów i podłożył pod nie miny. Potykacze trzymałyby w szachu konnicę, co zaś się tyczy artylerii, to warto by usypać reduty pod osłoną tamtych lasów. Silne oddziały bojowe przydałyby się nad wszelki wyraz przy opóźnieniu marszu nieprzyjaciela, a te chaty, gdyby je należycie umocnić i okopać, dałyby się przemienić w nader korzystne dla tego celu pozycje.

–Fiuuu! Kwatermistrzu! A któż to ma znaleźć ludzi, aby wykonać podobny plan?

–Król, bez wątpienia, mości Cap. To jego zatarg, jest zatem słuszne, aby ponosił cały ciężar.

–A nas jest ledwie sześciu! Piękne to gadanie, nie ma co! Pana można by posłać na brzeg, abyś bronił przeprawy, Mabel mogłaby nękać nieprzyjaciela przynajmniej własnym językiem, żona żołnierza odegrałaby rolę potykacza, który uwikłałby kawalerię, kapral winien by dowodzić warownym obozem, jego trzech ludzie obsadziliby owe pięć chat, ja zaś zająłbym blokhauz. No, no! Piękne pan roztaczasz obrazy, – poruczniku, i powinienes być malarzem, a nie żołnierzem!

–Bynajmniej. Przedstawiłem sytuację bardzo rzetelnie i ściśle. To, że nie mamy większych sił, ażeby przeprowadzić ów plan, jest winą ministrów najjaśniejszego pana, nie moją.

–Ale gdyby wróg naprawdę się pokazał – rzekła Mabel z zainteresowaniem, którego może by nie odczuwała, gdyby nie pamięć o gościu oczekującym w chacie – jak wówczas powinniśmy postąpić?

–Moją radą byłoby uczynić to, śliczna Mabel, co przysporzyło tyle zasłużonej sławy Ksenofontowi.

–Przypuszczam, że pan masz na myśli odwrót, choć tylko usiłuję odgadnąć

znaczenie tej aluzji.

–Domyśliłaś się sensu dzięki wrodzonemu rozsądkowi, moja panno. Świadom jestem, że twój czcigodny rodzic wskazał kapralowi pewne sposoby tudzież metody postępowania, dzięki którym w jego mniemaniu można utrzymać wyspę, jeżeli ją wykryją Francuzi. Wszelako zacny sierżant, choć to twój ojciec, a w rzeczy pełnienia obowiązków najlepszy człowiek, jaki kiedykolwiek dzierżył szponton, nie jest przecie wielkim lordem Stair ani też księciem Marlborough. Nie neguję mu zasług w jego dziedzinie, ale też nie mogę popadać w przesadę i zrównywać jego przymiotów – choćby najwybitniejszych – z zaletami ludzi, którzy stoją może odrobinę wyżej od niego. Decydując się na wydanie takich rozkazów, sierżant Dunham radził się swego serca, nie głowy; ale jeżeli fort padnie, wina obciąży tego, kto kazał go obsadzić, nie zaś człowieka, którego obowiązkiem było go bronić. Bez względu na to, jak wielka może być determinacja obrońcy, dobry dowódca nie powinien zaniedbać przygotowań do odwrotu na wypadek wylądowania Francuzów oraz ich sprzymierzeńców; toteż doradzałbym panu Capowi, będącemu admirałem naszej floty, aby miał w gotowości łódź, która pozwoli nam ewakuować się z wyspy, jeżeli zajdzie po temu potrzeba. Największa łódź, jaka nam została, posiada duży żagiel; jeśli przyholujemy ją tutaj i przywiążemy pod tymi krzakami, będziemy mieli dogodne miejsce do pośpiesznego załadunku, a jak sama widzisz, panno Mabel, przepłynąwszy stąd pięćdziesiąt jardów, znajdziemy się między tamtymi dwiema wyspami, ukryci przed wzrokiem ludzi, którzy mogliby stanąć tutaj.

–Wszystko o prawda, co pan mówisz, ale czy aby Francuzi nie mogą przybyć z tej właśnie strony? Skoro to jest tak dobre miejsce dla odwrotu, musi być równie dobre dla natarcia.

–Nie będą mieli tyle rozsądku, aby uczynić coś równie przemyślnego – odparł Muir rozglądając się ukradkiem i trochę nieswojo dokoła. – Francuzi to ryzykancki naród; zazwyczaj idą naprzód na chybił trafił, toteż jeżeli w ogóle przybędą, możemy spodziewać się ich z tamtej strony wyspy.

Rozmowa stawała się teraz nader bezładna, dotyczyła jednak głównie możliwości napadu i najlepszych środków stawienia mu oporu.

Mabel słuchała na ogół z niewielką uwagą, jakkolwiek dziwiła się nieco, że porucznik Muir, oficer uchodzący za odważnego, może jawnie zalecać rezygnację ze spełnienia obowiązku, który wydawał jej się podwójnie ważny, jako że opinia ojca zawisała od obrony wyspy. Myśli Mabel były jednakże tak zaprzątnięte jej gościem, że skorzystała z pierwszej sprzyjającej chwili, by odejść, i rychło znalazła się znowu w chacie. Starannie zapała drzwi i upewniwszy się, że prosta zasłona zaciągnięta jest na jedynym okienku, poprowadziła Czerwcową Rosę – albo Rosę, jak zwali ją poufale ci, którzy zwracali się do niej po angielsku – do zewnętrznej izdebki, czyniąc zarazem gesty znamionujące życzliwość i zaufanie.

–Cieszę się, że cię widzę, Roso – powiedziała swym miłym głosem uśmiechając się słodko. – Bardzo się cieszę! Co cię tu sprowadza i w jaki sposób odnalazłaś wyspę?

–Mówić wolniej – rzekła Rosa odwzajemniając się uśmiechem i ściskając drobną dłoń, którą trzymała w swojej, niewiele większej, ale stwardniałej od pracy. – Bardziej wolno, bo za szybko.

Mabel powtórzyła pytanie usiłując powściągnąć swą żywość; udało jej się przemówić tak wyraźnie, że została zrozumiana.

–Rosa przyjaciółka – odrzekła Indianka.

–Wierzę ci, Roso, wierzę ci z głębi duszy; ale co to ma za związek z twoimi odwiedzinami?

–Przyjaciółka przyjść do przyjaciółki – odpowiedziała Rosa znów uśmiechając się do niej.

–Musi być jakaś inna przyczyna, boć przecie nie narażałabyś się, na takie ryzyko, i to samotnie. Jesteś tu chyba sama, Roso?

–Rosa z tobą i nikogo innego. Rosa przyszła sama, wiosłowała czółno.

–Mam nadzieję, wierzę... nie: wiem, że tak jest. Nie podeszłabyś mnie.

–Co to „podeszłaś”?

–Nie zdradziłabyś mnie, nie wydałabyś Francuzom, Irokezom, Grotowi Strzały.

Rosa poważnie potrząsnęła głową.

–Nie sprzedalabyś im mojego skalpu?

W tej chwili Rosa opasała ramieniem smukłą kibić Mabel i przytuliła dziewczynę do serca z taką tkliwością i uczuciem, że bohaterce naszej łzy napłynęły do oczu. Indianka uczyniła ten gest pieśczośliwie i bardzo po kobiecemu, toteż musiał on obudzić wiarę w jej szczerłość u młodej i prostolinijnej dziewczyny. Mabel odwzajemniła uścisk, po czym odsunęła Rosę na długość ramienia, zajrzała jej uważnie w twarz i ponowiła pytanie.

–Jeżeli Rosa ma coś do powiedzenia swej przyjaciółce, niechże mówi jasno – rzekła. – Uszy moje są otwarte.

–Rosa boi, że Grot Strzały zabije.

–Ale Grot Strzały nigdy się o tym nie dowie! – Krew napłynęła Mabel do policzków,

gdy to mówiła, uświadomiła bowiem sobie, że namawia żonę do podstępu wobec męża. – To znaczy, Mabel mu nie powie.

–On zatopi tomahawk w głowie Rosy.

–Do tego nie wolno dopuścić, Roso droga; już raczej wolę, abyś nic więcej nie powiedziała, niż żebyś narażała się na coś podobnego.

–Blokhausz dobre miejsce do spania, dobre miejsce do mieszkania.

–Czy chcesz powiedzieć, że mogę się uratować przebywając w blokhausz? Ach, Grot Strzały z pewnością nie zrobi ci krzywdy za to, żeś mi o tym wspomniała. Nie może mi źle życzyć, bo nigdy nie uczyniłam mu nic złego.

–Grot Strzały nie życzy źle piękna blada twarz – odrzekła Rosa odwracając wzrok. Choć dalej mówiła miękkim, łagodnym głosem indiańskiej dziewczyny, przycichł on teraz, zabrzmiał melancholią i onieśmieniem. – Grot Strzały kocha blada dziewczyna.

Mabel zarumieniła się nie wiedzieć czemu, a pytanie jej powstrzymało na chwilę uczucie wrodzonej delikatności. Trzeba jednak było dowiedzieć się czegoś więcej, w dziewczynie bowiem zrodził się przejmujący niepokój. Toteż pytała dalej:

–Grot Strzały nie może mieć żadnego powodu, aby mnie kochać czy nienawidzić. Czy jest tu gdzieś w pobliżu?

–Mąż zawsze blisko żony, o tutaj – rzekła Rosa kładąc dłoń na sercu.

–Przezacna istota! Lecz powiedz mi, Roso, czy powinnam schronić się do blokhauszu już dzisiaj – lego rana – teraz?

–Blokhausz bardzo dobry; dobry dla kobiet. Blokhausz nie ma skalp.

–Obawiam się, że rozumiem cię aż nadto dobrze, Roso. Chcesz zobaczyć się z moim ojcem?

–On tu nie jest. Odjechał.

–Tego nie możesz wiedzieć; wszak zauważyłaś, że wyspa pełna jest jego żołnierzy.

–Niepełna; pojechali – tu Rosa podniosła cztery palce – tyle czerwonych kurt.

–A, Tropiciel? Nie chciałabyś zobaczyć się z Tropicielem? On może porozmawiać z tobą w języku Irokezów.

–Język pojechać razem z nim – rzekła śmiejąc się Rosa. – On trzyma język w

ustach.

Było coś tak miłego i zaraźliwego w dziewczęcym śmiechu młodej Indianki, że Mabel nie mogła pohamować wesołości, mimo że to, co się działo, budziło w niej poważne obawy.

–Widocznie wiesz albo uważasz, że wiesz o nas wszystko. Ale jeśli nawet nie ma Tropicieła, to Eau-douce umie po francusku. Przecie go znasz; czy mam pobiec po niego, aby pomówił z tobą?

–Eau-douce też odszedł, cały prócz serca; ono tutaj. – Rosa mówiąc to roześmiała się znowu, popatrzyła w różne strony, jak gdyby chcąc umknąć pomyłki, i położyła rękę na piersi Mabel.

Bohaterka nasza wielokrotnie słyszała o podziwu godnej mądrości Indian, o tym, że posiadają zdumiewającą zdolność dostrzegania wszystkiego, mimo że pozornie nie zwracają na nic uwagi; nie była jednak przygotowana na tak osobliwy obrót, jaki teraz przyjęła rozmowa. Chcąc zmienić temat, a jednocześnie powziąć wiadomość, czy wiszące nad nimi niebezpieczeństwo jest doprawdy tak wielkie, wstała z zydła i przybrała minę czułą i ufną postawę, gdyż miała nadzieję, że w ten sposób dowie się więcej tego, na czym jej istotnie zależało oraz uniknie aluzji tak dla niej kłopotliwych.

–Sama wiesz, jak wiele czy też jak mało powinnaś mi powiedzieć, Roso – rzekła – i ufam, że lubisz mnie na tyle, aby udzielić mi wiadomości, które powinnam usłyszeć. Mój wujaszek przebywa także na wyspie, ty zaś jesteś – lub winnaś być – jego przyjaciółką równie jak moją. Oboje będziemy pamiętali o twoim postępowaniu, kiedy wrócimy już do Oswego.

–Może nigdy nie wrócić, kto wie? – Było to powiedziane z powątpiewaniem, tonem kogoś, kto wysuwa hipotezę, choć zgoła nie uszczypliwie, czy też z chęcią wzbudzenia niepokoju.

–Nikt oprócz Boga nie wie, co się stanie. Życie nasze jest w Jego ręku. Mimo to sędzę, że masz być Jego narzędziem w naszym ocaleniu.

To przekraczało zdolność pojmwania Rosy i na twarzy Indianki odmalowało się zakłopotanie; najwyraźniej bowiem chciała w czymś być pomocną.

–Blokhausz bardzo dobry – powtórzyła, gdy wyraz niepewności zniknął z jej oblicza. Mówiąc to położyła silny nacisk na dwa ostatnie słowa.

–Rozumiem, Roso, i dzisiejszego wieczoru tam będę spała. Oczywiście mam powtórzyć wujowi to, coś mi powiedziała?

Czerwcowca Rosa drgnęła na to pytanie, dając znaki wyraźnego zmieszania.

–Nie, nie, nie, nie! – odparła szybko i z żywością, którą przejęła od kanadyjskich Francuzów. – Niedobrze mówić Słonej Wodzie. On dużo gadać i mieć długi język. Myśli lasy to wszystko woda; nic nie rozumie. Powie Grotowi Strzały i Rosa umrze.

–Jesteś niesprawiedliwa dla mego drogiego wuja, bo on najmniej byłby skłonny nas zdradzić.

–Nie rozumiesz. Słona Woda ma język, ale ani oczu, ani uszu, ani nosa – nic tylko język, język, język!

Aczkolwiek Mabel niezupełnie zgadzała się z tą opinią, widziała przecież, że Cap nie cieszy się zaufaniem młodej Indianki i że próżno byłoby oczekiwać jej zgody na dopuszczenie starego marynarza do rozmowy.

–Najwyraźniej wydaje ci się, że znasz doskonale nasze

położenie – ciągnęła Mabel. – Czy byłaś już przedtem na tej wyspie?

–Dopiero teraz.

–Skądże zatem wiesz, że prawdą jest to, co mówisz? A może mój ojciec, Tropiciel i Eau-douce znajdują się tutaj, w zasięgu mego głosu, gdyby mi się spodobało ich. zawezwać?

–Wszyscy odjechali – rzekła stanowczo Rosa uśmiechając się wesoło.

–Nie, tego nie możesz wiedzieć z całą pewnością, skoro nie byłaś na wyspie, aby się o tym przekonać.

–Mieć dobre oczy; widzi łódź z ludźmi, jak odpływa, widzi statek z Eau-douce.

–A zatem obserwowałaś nas od jakiegoś czasu. Jednak sądzę, że nie policzyłaś tych, co pozostali.

Rosa roześmiała się, – podniosła znowu cztery palce, po czym wysunęła oba kciuki. Następnie dotknąwszy palców: powtórzyła słowa: „czerwone kurty”, a dotykając kciuków dodała: „Słona Woda”, „kwaterymistrz”. Ponieważ wszystko to było zupełnie ściśle, Mabel poczęła żywić poważne wątpliwości, czy należy pozwolić odejść Indiance bez uzyskania dokładniejszych wyjaśnień. Jednakże nadużycie ufności, którą ta delikatna i czuła istota najwyraźniej pokładała w Mabel, było dla naszej bohaterki rzeczą tak wstrętną, że ledwie nasunęła jej się myśl o zawezwaniu wuja, odrzuciła ją jako niegodną i niesprawiedliwą wobec przyjaciółki.

W sukurs temu słusznemu postanowieniu przyszła pewność, że gdyby popróbowano wyrzucić na Rosie jakikolwiek przymus, ta nic by nie wyjawiała, lecz

poszukała ochrony w upartym milczeniu.

–Więc sądzisz, Roso – mówiła dalej Mabel, gdy owe myśli przemknęły jej przez głowę – że lepiej będzie, bym zamieszkała w blokhauzie?

–Dobre miejsce dla kobiety. Blokhauz nie ma skalp. Kloce grube.

–Mówisz tak pewnie, jak gdybyś była wewnątrz i wymierzyła jego ściany.

Rosa roześmiała się, widać było, że jest pewna swego, choć nie powiedziała ani słowa.

–Czy ktokolwiek prócz ciebie wie, jak odnaleźć tę wyspę? Czy któryś z Irokezów ją widział?

Rosa posmutniała i rozejrzała się ostrożnie, jak gdyby w obawie, czy ktoś nie podsłuchuje.

–Tuskarora być wszędzie: Oswego, tutaj, Frontenac, Mohawk – wszędzie. Jak zobaczyć Rosę – zabić.

–Ależ my myśleliśmy, że nikt nie wie o tej wyspie i że przebywając na niej nie mamy powodu lękać się wrogów.

–Irokezi mieć dużo oczu.

–Oczy nie zawsze wystarczają. To miejsce ukryte jest przed zwykłym wzrokiem i nawet niewielu naszych własnych ludzi wie, jak je odszukać.

–Jeden może powiedzieć; niektórzy Jengizi mówią po francusku.

Mabel poczuła nagły chłód w sercu. Wszystkie podejrzenia na Gaspara, które dotychczas odrzucała ze wzgardą, poczęły tłumnie cisnąć się do jej mózgu, uczucie zaś, które wywołały, było tak obezwładniające, iż przez chwilę myślała, że zemdleje. Otrząsnęła się jednak i przypomniawszy sobie dane ojcu przyrzeczenie, wstała i zaczęła kroczyć tam i z powrotem, myśląc, że przecież występki Gaspara nic jej nie obchodzą – aczkolwiek w najtajniejszym zakątku serca tkwiło gorące pragnienie, aby okazał się niewinny.

–Rozumiem, co masz na myśli, Roso – odezwała się wreszcie. – Chcesz powiedzieć, że ktoś zdradziecko dał znać twoim ludziom, gdzie i w jaki sposób odszukać wyspę.

Rosa zaśmiała się, albowiem w jej oczach podstęp wojenny stanowił raczej zasługę niż zbrodnię, ale sama była zbyt wierna swemu plemieniu, by mówić więcej, niż trzeba. Za cel postawiła sobie ocalenie Mabel, i tylko Mabel; nie widziała też

dostatecznych powodów, ażeby „wprowadzać momenty nie mające związku ze sprawą”, jak mówią adwokaci, i czynić cokolwiek innego.

–Błada twarz wie teraz – dodała. – Blokhauz dobry dla dziewczyny; mniejsza o mężczyzn i wojowników.

–Dla mnie to wcale nie mniejsza, bo jeden z tych mężczyzn jest moim wujem, którego kocham, inni zaś to moi rodacy i przyjaciele. Muszę powiedzieć im, co się stało.

–Więc Rosa być zabita – odparła młoda Indianka spokojnie, chociaż z wyraźnym smutkiem.

–Nie; nie dowiedzą się, że tu byłeś. Ale muszą się mieć na baczności; wszyscy możemy przejść do blokhauzu.

–Grot Strzały wie, wszystko widzi i Rosa zabita. Rosa przyjdź powiedzieć białej przyjaciółce, nie mężczyznom. Każdy wojownik pilnuje własny skalp. Rosa – kobieta i mówi kobiecie; nie mówi mężczyznom.

Mabel ogromnie się zgryzła słowami swej dzikiej przyjaciółki, gdyż było teraz oczywiste, że młoda Indianka nie życzy sobie udzielać dalszych informacji. Mabel nie wiedziała, jak dalece ludzie ci uważają za punkt honoru zachowanie tajemnicy, a przede wszystkim nie miała pojęcia, w jakim stopniu jej własna niedyskrecja może uwikłać Rosę i narazić jej życie na niebezpieczeństwo. "Wszystkie te myśli przebiegały jej przez głowę, a im bardziej zastanawiała się nad nimi, tym się stawały boleśniejsze. I Rosa także najwyraźniej traktowała sprawę poważnie, gdyż pozbierała różne drobiazgi, które upuściła biorąc Mabel za rękę, i zaczęła gotować się do odejścia. Nie mogło być mowy o jej zatrzymaniu, a rozstanie z Indianką po tym wszystkim, co uczyniła, ryzykując tak wiele, ażeby przysłużyć się Mabel, było odstręczające dla sprawiedliwej i dobrej natury naszej bohaterki.

–Roso – powiedziała żarliwie, obejmując tę delikatną, choć nieogłodzoną dziewczynę. – Jesteśmy przyjaciółkami. Ode mnie nie masz się czego obawiać, bo nikt się nie dowie o twych odwiedzinach. Gdybyś choć mogła dać mi jakiś znak tuż przed nadejściem niebezpieczeństwa – jakiś sygnał, który powiadomiłby mnie, kiedy mam pójść do blokhauzu i jak się chronić...

Rosa przystanęła, choć miała na serio zamiar odejść, po czym powiedziała spokojnie:

–Przynies Rosie gołębia.

–Gołębia? A gdzież ja ci znajdę gołębia?

–Następna chata; przynieś stary. Rosa idzie do czółna.

–Zdaje się, że cię rozumiem, Roso; ale czy nie byłoby lepiej, gdybym cię odprowadziła do zarośli, bo przecież możesz spotkać kogoś z mężczyzn.

–Wyjdź pierwsza. Policz mężczyzn, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć – tu Rosa podniosła palec i roześmiała się. – Wszyscy z drogi – dobrze; zostać jeden – odwołać go na bok. Potem śpiewaj i idź po gołęb.

Mabel z uśmiechem przyjęła ten pomysł dziewczyny, po czym jęła się przygotowywać do spełnienia jej żądań. Jednakże u drzwi przystanęła i obejrzała się błagalnie na Indiankę.

–Czy nie ma nadziei, byś mi coś więcej powiedziała? – spytała.

–Teraz ty wiesz wszystko, blokhaus dobry, gołęb powie, Grot Strzały zabije.

Te ostatnie słowa wystarczyły; Mabel nie mogła domagać się dalszych informacji, skoro sama jej towarzyszka oświadczyła, że karą za ich udzielenie mogła być śmierć z ręki męża. Mabel rozwarła drzwi, dała Rosie pożegnalny znak ręką i wyszła z chaty. Ażeby upewnić się, gdzie przebywa każdy z obecnych na wyspie, uciekła się do prostego sposobu podsunętego jej przez młodą Indiankę. Zamiast rozglądać się i rozpoznawać twarze oraz ubiory, policzyła tylko ludzi i stwierdziła, że trzech siedzą nadal przy ognisku, dwaj zaś poszli do łodzi, przy czym jednym z nich był pan Muir. Szóstym z kolei był wuj Cap, który spokojnie opatrywał rybackie przybory w niewielkiej odległości od ogniska. Kobieta właśnie w tej chwili wchodziła do swojej chaty – i to już byli wszyscy. Mabel udała teraz, że coś upuściła; nucąc piosenkę wróciła w pobliże chaty, z której właśnie wyszła, schyliła się, jakby chcąc podnieść z ziemi jakiś przedmiot, po czym pośpieszyła ku drugiej chacie, wskazanej przez Rosę.

Była to rudera, którą żołnierze przebywający tu poprzednio obrócili na coś w rodzaju szopy, gdzie trzymali żywy inwentarz. Między innymi było tam parę tuzinów gołębi, które raczyły się pszenicą przywiezioną z jakiejś splądrowanej fermy na brzegach Kanady. Mabel bez większych trudności pochwyciła jednego z nich, mimo że ptaki latały i trzepotały się po izbie, czyniąc rumor podobny do bicia bębnow; następnie ukryła go między swymi szmatkami i unosząc zdobycz podkradła się do swej własnej chaty. Była ona pusta; dziewczyna rzuciła z progu jedno spojrzenie do wnętrza, po czym skwapliwie pośpieszyła na brzeg. Nietrudno jej było przejść nie zauważoną, albowiem przesłaniały ją całkowicie drzewa i zarośla.

Przy czólnie zastała Rosę, która odebrała z jej rąk gołębia, wsadziła go do koszyka własnego wyrobu i powtórzywszy słowa: „Blokhaus dobry” wypłynęła spośród krzaków i przepравиła się przez wąski przesmyk równie bezgłośnie, jak przybyła. Gdy przyjaciółka jej znalazła się już na drugim brzegu, Mabel chwilę czekała na jakiś znak

pożegnania czy przyjaźni, nie otrzymała jednak żadnego. Wszystkie bez wyjątku przyległe wysepki były ciche, jak gdyby nikt nie zakłócił podniosłego spokoju przyrody; nigdzie też niepodobna było wykryć – tak się podówczas wydało Mabel – jakiegokolwiek oznaki czy objawu, które wskazywałyby na bliskość niebezpieczeństwa zapowiedzianego przez Rosę.

Ale gdy Mabel wracała od brzegu, uderzył ją drobny szczegół, który w zwykłych warunkach nie przyciągnąłby jej uwagi, teraz jednakże, kiedy w dziewczynie ocknęły się podejrzenia, nie mógł ujść jej niespokojnemu oku. Mały kawałek czerwonego sukna, jakiego używa się na bandery statków, trzepotał na jednej z niższych gałęzi niewielkiego drzewka, przywiązany w ten sposób, że mógł rozwijać się na wietrze albo też zwisać niby proporzec okrętu.

Teraz, gdy obawy Mabel były już rozbudzone, nawet sama Rosa nie potrafiłaby szybciej dokonać analizy faktów, które mogły zagrażać bezpieczeństwu załogi. Mabel od pierwszego rzutu oka zauważyła, że ów kawałek materiału jest widoczny z przyległej wyspy, a znajduje się tak blisko linii wiodącej od jej własnej chaty do czółna, iż bez wątpienia Rosa musiała przejść obok niego, jeżeli nie wprost pod nim; wreszcie, że może być sygnałem mającym przekazać tym, którzy prawdopodobnie byli zaczajeni w pobliżu, jakieś doniosłe wiadomości związane z przeprowadzeniem ataku. Zerwawszy z drzewa ów skrawek sukna, Mabel pośpieszyła dalej, nie bardzo wiedząc, czego teraz wymagał od niej obowiązek. Rosa mogła chcieć wywieść ją w pole, ale obojętność, wejrzenie, serdeczność i charakter Indianki – tak jak je Mabel poznała w czasie wspólnej wędrówki – wzbraniały podobnej myśli. A potem przypomniały się dziewczynie aluzje Indianki do zachwyty, jaki w Grocie Strzały wzbudziła uroda bladej twarzy, przyszło niejasne wspomnienie spojrzeń Tuskarory oraz bolesna świadomość, że niewiele żon mogłoby odnosić się życzliwie do kobiety, która odbiera im uczucie męża. Żaden z tych obrazów nie był wyraźny i przejrzysty; raczej, ledwie przemknęły one przez umysł naszej bohaterki. Przyśpieszyły tylko bicie jej serca jak również krok, nie pociągając za sobą szybkiej i jasnej decyzji, która zazwyczaj następowała u niej po zastanowieniu. Mabel właśnie śpieszyła ku chacie, w której mieszkała żona żołnierza, chciała bowiem bez zwłoki przenieść się wraz z tą kobietą do blokhauzu – choć nie zdołałaby nakłonić nikogo innego do pójścia za tym przykładem – gdy wtem jej niecierpliwie kroki powstrzymał głos Muira.

–Dokądże ci tak śpieszno, piękna panno Mabel? – zawołał kwatermistrz. – I czemuż tak się oddajesz samotności? Czcigodny sierżant wyśmieje moje maniery, jeśli się dowie, że jego córka spędza poranki w odosobnieniu i bez opieki, mimo że sam wie dobrze, iż moim gorącym pragnieniem jest być jej niewolnikiem i towarzyszem od początku do końca roku.

–Mości Muir, masz tu chyba pewien autorytet, prawda? – Mabel zatrzymała się nagle, by powiedzieć te słowa. – Człowieka twojej rangi kapral zapewne usłucha?

–Tego nie wiem, tego nie wiem! – dorzucił Muir ze zniecierpliwieniem i niepokojem, które kiedy indziej mogłyby zwrócić uwagę Mabel. – Rozkaz jest rozkazem, dyscyplina dyscypliną, a autorytet autorytetem. Twój zacny rodzic byłby srodze urażony, gdyby się dowiedział, że wtrącam swoje trzy grosze, ażeby uszczknąć, albo przywłaszczyć sobie wawrzyny, które on sam ma zdobyć. Nie mogę rozkazywać kapralowi nie rozkazując zarazem i sierżantowi. Najroztropniejszym dla mnie wyjściem jest pozostać w cieniu, jako prywatna osoba w tym całym przedsięwzięciu, i tak też sądzą wszyscy zainteresowani, od Lundiego w dół.

–Wiem to dobrze i może to być słuszne, ani bym też chciała dawać mojemu ojcu powód do narzekań; jednakże możesz pan wpłynąć na kaprała dla jego własnego dobra.

–Nie powiem... – odparł Muir ze swoją szkocką przebiegłością. – Byłoby o wiele pewniej obiecać, że wpłynę nań dla jego własnej szkody. Ludzie, nadobna panno Mabel, mają swoje osobliwości; wpływanie na bliźniego dla jego własnego dobra należy do najtrudniejszych zadań, jakie zna ludzka natura, gdy tymczasem rzecz przeciwna jest właśnie najłatwiejsza. Nie zapominaj o tym, moja droga, i zachowaj te słowa w pamięci dla twego zbudowania i nauki. Ale cóż to owijasz wokół swego smukłego paluszka, podobnie jak owijasz na nim męskie serca?

–To nie... ot, kawałek sukna, jakby chorągiewka... drobiazg, który nie jest godzien naszej uwagi w tak poważnej chwili. Jeżeli...

–Drobiazg? Nie jest to taki drobiazg, jak sobie imaginujesz, panno Mabel – rzekł Muir odbierając z jej rąk skrawek materiału i rozciągając go na całą długość, przy czym twarz kwatermistrza spoważniała, a oczy stały się czujne. – Chyba nie znalazłaś tego w swoim śniadaniu?

Mabel opowiedziała mu po prostu, gdzie i jak odkryła ów kawałek sukna. Kiedy mówiła, oczy kwatermistrza ani na chwilę nie pozostały w spokoju, ale przeskakiwały ze strzępka materiału na twarz naszej bohaterki, z niej zaś znów na materiał. Łatwo można było spostrzec, że w Muirze zbudziły się podejrzenia, nie zwlekał też z ujawnieniem, w jakim zmierzają kierunku.

–Nie znajdujemy się w takich stronach, gdzie nasze flagi i barwy można by rozpościerać na wietrze, panno Mabel! – powiedział potrząsając złowróźbnie głową.

–Takem też i myślała, proszę pana, toteż zabrałam tę chorągiewkę, bo może ona zdradzi wrogowi naszą tutaj obecność, nawet choćby zawieszono ją bez żadnego szczególnego zamiaru. Czy nie należałoby zawiadomić wuja o tej okoliczności?

–Nie widzę po temu potrzeby, śliczna Mabel, bo jak słusznie mówisz, jest to okoliczność, a okoliczności niekiedy trapią zacnego marynarza. Jak widzisz,

chorągiewka jest sporządzona z sukna używanego do tych celów jedynie na okrętach, gdyż nasze sztandary są z jedwabiu albo z malowanego płótna. Zdumiewająco jest podobna do proporca „Chwistu”. W tej chwili przypominam sobie nawet, iż zauważyłem, że odcięto odeń kawałek materiału.

Mabel uczuła, że serce w niej zamiera, lecz miała dość opanowania, by nie próbować odpowiedzi.

–Trzeba to zbadać – ciągnął Muir. – Mimo wszystko myślę, że warto naradzić się pokrótce z imć Capem, od którego nie masz wierniejszego poddanego w całym Imperium Brytyjskim.

–Ostrzeżenie to wydaje mi się tak poważne – odparła Mabel – że chcę przenieść się do blokhauzu i zabrać z sobą żonę żołnierza.

–Nie uważam, aby to było konieczne, panno Mabel. Jeśli naprawdę dojdzie do ataku, pierwszym celem napaści będzie blokhauz, a trzeba przyznać, że nie jest on dostatecznie wyposażony na wypadek oblężenia. Jeśli wolno mi coś radzić w tak delikatnej sytuacji, to zalecałbym, byś się schroniła do łodzi, która – co możesz teraz stwierdzić – jest umieszczona w sposób jak najkorzystniejszy dla odwrotu tym kanałem naprzeciw, którym płynąc, można się w kilka minut skryć za wysepkami. Na wodzie nie zostają ślady, jak to dobrze określa Tropiciel, a w tamtej stronie jest tyle różnych przesmyków, że ucieczka byłaby więcej niż prawdopodobna. Zawsze byłem zdania, że Lundie zawiele ryzykuje obsadzając placówkę tak wysuniętą i tak narażoną na niebezpieczeństwo.

–Teraz za późno już tego żałować, poruczniku, pozostało nam tylko myśleć o własnym bezpieczeństwie.

–I o honorze jego królewskiej mości, piękna panno Mabel. Jako żywo, w żadnej sytuacji nie wolno zapominać o chwale oręża najjaśniejszego pana i jego prześwietnym imieniu.

–W takim razie uważam, że lepiej uczynimy obracając nasze spojrzenie nie ku łodzi, lecz ku budowli, którą wzniesiono, aby tej chwały bronić – odparła Mabel z uśmiechem. – Tak tedy, mości Muir, jestem za schronieniem się do blokhauzu, gdzie można oczekiwać powrotu mego ojca i jego oddziału. Srodze by się strapił, widząc, żeśmy uciekli, podczas gdy on sam powrócił zwycięski, pełen ufności, iż byliśmy równie wierni naszym obowiązkom jak on swoim.

–Nie, nie, na miłość boską, nie zrozum mnie źle, panno Mabel – przerwał jej Muir z niejakim niepokojem. – Bynajmniej nie proponuję, ażeby ktokolwiek oprócz was, dwóch niewiast, chronił się do łodzi! Nasz obowiązek, jako mężczyzn, jest oczywiście całkiem jasny i od pierwszej chwili powziąłem decyzję bronięcia blokhauzu do

upadłego.

–I wyobrażałeś pan sobie, że dwie kobiety zdołają tak powiosłować tą ciężką łodzią, ażeby umknąć czółnom Indian?

–Ach, moja piękna panno, miłość rzadko bywa logiczna, a jej obawy tudzież skrupuły łącno myśl wypaczają! Widziałem jedynie twą słodką osobę zaopatrzoną w środek, mogący zapewnić jej bezpieczeństwo, a przeoczyłem brak możliwości posługiwania się nim! Nie będziesz jednak tak okrutną, śliczna istoto, by mi za grzech poczytywać gorącą troskę o ciebie.

Mabel miała już dość tej rozmowy; umysł jej był nadto zaprzątnięty tym, co się stało owego rana, oraz swoimi obawami, by mogła mieć ochotę wysłuchiwać dalszych miłosnych wynurzeń, które nawet w najweselszych i najbardziej płochych chwilach byłyby jej niemiłe. Pożegnała się szybko ze swym towarzyszem i już miała odbiec do chaty żołnierza, gdy Muir położył jej rękę na ramieniu.

–Jeszcze słówko, zanim odejdiesz, panno Mabel – powiedział. – Ta chorągiewka może mieć albo nie mieć określonego znaczenia. Jeżeli je ma, to czy nie byłoby lepiej teraz, kiedy już wiemy, że została wywieszona, umieścić ją na dawnym miejscu, samemu zaś czujnie wypatrywać odpowiedzi, która mogłaby zdemaskować spisek? Jeżeli natomiast tego znaczenia nie posiada, to i tak nic się nie stanie.

–Może to i dobra myśl, proszą pana, choć znowu, jeśli to wszystko jest przypadkowe, ta flaga mogłaby się przyczynić do odkrycia placówki.

Mabel nie powiedziała nie więcej i rychło zniknęła Muirowi z oczu biegnąc ku chacie, do której poprzednio zmierzała. Kwatermistrz przez dobrą minutę stał na tym samym miejscu i w tej samej postawie, w jakiej go zostawiła; zrazu patrzył za pomykającą szybko dziewczyną, a potem przeniósł wzrok na kawałek sukna, który trzymał przed sobą w sposób zdradzający wahanie. Atoli ten brak decyzji trwał nie dłużej niż minutę; kwatermistrz wprędce znalazł się pod drzewem, gdzie na powrót przymocował maleńką flagę do gałęzi, aczkolwiek nie wiedząc dokładnie, skąd Mabel ją zdjęła, zawiesił skrawek sukna na dębie w takim miejscu, z którego był jeszcze bardziej niż przedtem wystawiony na spojrzenia każdego, kto by przepływał rzekę, natomiast mniej widoczny od strony samej wyspy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

A gdy się każdy najadł w bród,

Każ schować ser, gdzie leżał wprzód

Zaś garnki, rondle – miły panie,

Każ zmyć i powieś je na ścianie.

COTTON

Wydawało się rzeczą dziwną Mabel Dunham, kiedy szła do swojej towarzyszki, że inni są tak spokojni, podczas gdy ona sama czuje na swoich barkach brzemie odpowiedzialności za życie albo śmierć wszystkich pozostałych. Wprawdzie z jej lękiem mieszała się nieufność do Rosy, gdy jednak dziewczyna przypomniła sobie serdeczność i naturalne obejście młodej Indianki oraz wszystkie objawy jej dobrej wiary i szczerości, które zauważyła obcując z nią blisko w czasie wspólnej wędrówki, odrzuciła tę myśl z niechęcią, jaką każda szlachetna natura odczuwa, gdy przyjdzie jej źle mniemać o innych. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie może należycie przestrzec swych towarzyszy, jeśli nie wtajemniczy ich w rozmowę, którą przeprowadziła z Rosą; toteż uznała, że musi postępować ostrożnie i z zastanowieniem, do którego nie przywykła, zwłaszcza że szło tu o sprawę tak wielkiej wagi.

Żonie żołnierza kazała poprzemnieść wszystkie niezbędne rzeczy do blokhauzu i przestrzegła ją, by w ciągu dnia nie oddalała się ani na chwilę. Mabel nie wyjaśniła, co nią powodowało. Oświadczyła jedynie, iż w trakcie przechadzki wykryła pewne oznaki, które natchnęły ją obawą, że nieprzyjaciel lepiej zna położenie wyspy, niż przedtem sądzono, oraz że przynajmniej one dwie dobrze uczynią, jeżeli będą gotowe każdej chwili szukać schronienia. Nietrudno jej przyszło obudzić niepokój w owej kobiecie, która, choć była dzielną Szkotką, chętnie nakłaniała ucha na wszystko, co potwierdzało jej lęk przed okrucieństwem Indian.

Gdy tylko Mabel uznała, iż jej towarzyszka jest dostatecznie nastraszona, by zachowywać ostrożność, napomknęła, że byłoby rzeczą nieroztropną dać poznać żołnierzom własne obawy. Miało to zapobiec dyskusjom i pytaniom, które mogłyby wprawić w zakłopotanie naszą bohaterkę, postanowiła bowiem innymi środkami skłonić do większej ostrożności wuja oraz kaprała i jego ludzi.

Niestety w szeregach armii brytyjskiej nie znalazłoby się człowieka mniej odpowiedniego do pełnienia obowiązków, jakich wymagała chwila, niż kapral M'Nab, któremu powierzono dowodzenie pod nieobecność sierżanta Dunhama. Z jednej

strony był to człek rezolutny, rzutki, dobrze znający wszystko, co składa się na życie żołnierza, i zaprawiony do wojny; z drugiej – odnosił się z wyższością do mieszkańców kolonii, był uparty we wszelkich sprawach związanych z wąskim zakresem swego rzemiosła, nader skłonny uważać Imperium Brytyjskie za ośrodek wszystkiego, co najwspanialsze na świecie, Szkocję zaś co najmniej za jądro najwyższej moralnej doskonałości owego Imperium. Krótko mówiąc, był ucieleśnieniem – wprawdzie na skalę odpowiednią do swojej rangi – przymiotów tak bardzo właściwych tym sługom Korony, których posyłano do kolonii, a którzy przypisywali je sobie przez porównanie z miejscowymi ludźmi. Innymi słowy, uważał Amerykanów za gatunek niższy od szczepu ojczystego, wszystkie zaś ich pojęcia, zwłaszcza o służbie wojskowej, za nie przemyślane i niedorzeczne. Trudno więc było znaleźć bardziej oporny przedmiot perswazji Mabel, a jednak dziewczyna czuła, iż winna bez zwłoki wprowadzić plan swój w życie.

–Ojciec mój powierzył panu wielce odpowiedzialne obowiązki dowódcy, mości kapralu – rzekła, gdy tylko udało jej się odwieść M'Naba na stronę – albowiem gdyby wyspa wpadła w ręce wroga, nie tylko my sami dostalibyśmy się do niewoli, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa oddział, który odpłynął, również by został ujęty.

–Nie trzeba tu wędrować aż ze Szkocji, aby znać fakty niezbędne do wyciągania podobnych wniosków – odparował sucho M'Nab.

–Nie wątpię, że pan to. rozumie równie dobrze jak ja, ale obawiam się, iż wy, starzy wojacy, przywykli do niebezpieczeństw i bitew, jesteście po trosze skłonni lekceważyć pewne środki ostrożności, które mogą okazać się niezbędne w tak osobliwej, jak nasza, sytuacji.

–Powiadają, że Szkocja nie jest podbitym krajem, moja panno, ale zaczynam myśleć, iż musi w tym tkwić jakiś błąd, skoro my, jej synowie, jesteśmy tak ospali, by dać się zaskoczyć, kiedy się tego najmniej spodziewamy.

–Nie, zacny mój przyjacielu, źle zrozumiałeś me słowa. Po pierwsze, nie myślę bynajmniej o Szkocji, lecz o tej wyspie, po wtóre zaś, daleka jestem od wątpienia o pańskiej czujności wówczas, kiedy uznajesz za stosowne ją zachować, ale wielce się lękam, że może nadarzyć się niebezpieczeństwo, na które wrodzona odwaga uczyni pana obojętnym.

–Odwaga moja musi niechybnie być lichej próby, jako że jest zaledwie odwagą szkocką; ojciec panienki natomiast

posiada odwagę Jankesa, toteż gdyby tu był pośród nas, ujrzelibyśmy niezawodnie zgoła inne przygotowania. No cóż; złe czasy nastały, skoro obcokrajowcy dostają stopnie oficerskie i noszą szpontony w oddziałach szkockich. Nie dziwota, że

przegrywa się bitwy, a całe kampanie biorą w łeb.

Mabel była bliska rozpacz, jednakże spokojna przestroga Rosy wycisnęła na jej umyśle zbyt żywe piętno, by teraz dać za wygraną. Zmieniła przeto metodę postępowania; nie porzuciła jeszcze nadziei, że uda jej się ściągnąć całą załogę do wnętrza blokhauzu, nie zdradzając jednocześnie źródła, z którego pochodziła wiadomość, iż trzeba mieć się na baczności.

–Przyznaję panu rację, kapralu – odrzekła – bo często słyszałam o bohaterach pańskiego kraju, którzy, jeśli wierzyć temu, co mi powiadano, należeli do najpierwszych w cywilizowanym świecie.

–Czytałaś panna historię Szkocji? – zapytał kapral, podnosząc wzrok na swą nadobną towarzyszkę po raz pierwszy z czymś w rodzaju uśmiechu na surowym, odstręczającym obliczu.

–Czytałam trochę, panie kapralu, ale słyszałam o wiele więcej. Dama, która mnie wychowywała, miała w swych żyłach krew szkocką i lubiła mówić na ten temat.

–Przysiągłbym, że pan sierżant nie zadał sobie trudu, aby rozwodzić się nad chwałą kraju, w którym pułk jego został sformowany.

–Ojciec mój ma wiele innych spraw na głowie, toteż ów niewielki zasób wiadomości, jaki posiadam, pochodzi od pomienionej damy.

–Nie zapomniała opowiedzieć pannie o Wallace?

–O nim nawet sporo czytałam.

–A Bruce i o bitwie pod Bannockburn?

–I o tym także, jak również o Culloden Muir. Ostatnia z owych bitew była naówczas jeszcze zupełnie

świeżym wydarzeniem, stoczono ją bowiem za pamięci naszej bohaterki, która jednakże miała o niej pojęcie tak mgliste, iż nie potrafiła ocenić, jakie wrażenie owa aluzja musiała wyrzeć na kapralu. Wiedziała, że odniesiono wówczas zwycięstwo, i często słyszała, jak goście jej opiekunki wspominali o tym z tryumfem; wyobrażała sobie przeto, że ich uczucia znajdą życzliwy oddźwięk w sercu każdego brytyjskiego żołnierza. Niestety jednak, owego nieszczęsnego dnia M'Nab bił się po stronie pretendenta, a głęboką bliznę zdobiącą jego oblicze pozostawiła szabla niemieckiego żołnierza walczącego w służbie Domu Hanowerskiego. Gdy kapral usłyszał słowa Mabel, wydało mu się, iż rana poczyną krwawić na nowo; pewne jest w każdym razie, że krew strumieniem rzuciła mu się do twarzy, jak gdyby chciała wytrysnąć z niej poprzez szramę.

–Hola! Hola! – wykrzyknął zaciekle. – Do kaduka z twoimi Cullodenami i Sheriffami, moja panno! Widać, że nic się na tym nie rozumiesz, toteż dasz dowód nie tylko rozumu, lecz i skromności, jeżeli mówić będziesz o własnej ojczyźnie i jej rozlicznych niepowodzeniach. Król Jerzy ma ani chybi wielu lojalnych poddanych w koloniach, lecz dużo wody upłynie, zanim się dowie, czy też usłyszy cokolwiek o nich dobrego.

Mabel zdumiało zacierzewienie kaprała, nie miała bowiem najmniejszego pojęcia, co go ubodło; mimo to jednak była zdecydowana nie ustępować.

–Zawsze słyszałam, że Szkoci odznaczają się dwiema wielkimi cnotami żołnierza, a mianowicie: odwagą i roztropnością – powiedziała – mam tedy przeświadczenie, że kapral M'Nab podtrzyma reputację swojego narodu.

–Zapytaj pani własnego ojca; zna on kaprała M'Naba i nie będzie się wzdragał wytknąć jego wad. Byliśmy razem w bitwie, że zaś jest mym przełożonym, ma więc niejako oficjalne prawo oceniać własnych podwładnych.

–Ojciec mój ma o panu dobre mniemanie, kapralu, inaczej bowiem nie pozostawiłby pod pańską pieczęcią tej wyspy oraz wszystkiego, co się na niej znajduje z rodzoną córką włącznie. Między innymi wiadomo mi, że w wielkiej mierze liczy na pańską rozwagę. W szczególności zaś ma nadzieję, że będziemy się trzymać blokhauzu.

–Jeżeli pragnie bronić honoru pięćdziesiątego piątego pułku spoza drewnianych bali, to winien był zatrzymać dowództwo przy sobie, bo mówiąc szczerze, przeciwne jest naturze i poglądom Szkota pozwolić się spędzić z pola, zanim jeszcze nastąpi atak. Jesteśmy ludźmi miecza i lubimy potykać się wręcz z nieprzyjacielem. Ta amerykańska moda walczenia, która zyskuje sobie takie uznanie, zrujnuje reputację armii jego królewskiej mości, jeżeli nawet nie zniweczy jej ducha.

–Żaden prawdziwy żołnierz nie gardzi ostrożnością. Ba, nawet sam major Duncan, którego nikt nie przewyższy odwagą, słynie z dbałości o własnych ludzi.

–Lundie ma swoje słabostki i szybko zapomina o pałaszu i otwartym polu, wdając się w owe strzelaniny po lasach. Ale moja panno, uwierz na słowo staremu żołnierzowi, który doczekał pięćdziesiątego piątego roku życia, kiedy ci mówi, że nie ma pewniejszego sposobu dodania ducha nieprzyjacielowi, niżli okazać, że się go obawiamy; a co więcej, nie masz w tej indiańskiej wojaczce takiego niebezpieczeństwa, którego imaginacja i fantazja twoich Amerykanów nie rozdmuchiwałaby do tego stopnia, że w końcu dopatrują się dzikiego za każdym krzakiem. My, Szkoci, pochodzimy z nagiego kraju i nie mamy potrzeby, a tym mniej chętki do szukania osłony, toteż zobaczysz, mościa panno...

Kapral wyskoczył w powietrze, runął na twarz i przetoczył się na wznak, a wszystko to stało się tak nagle, że Mabel ledwie usłyszała ostry trzask strzelby, z której kula

przewierciła jego ciało. Nasza bohaterka nie krzyknęła – nie zadrżała nawet, gdyż to, co się wydarzyło, było zbyt nagle, straszne i niespodziewane, by mogła pokazać po sobie podobną słabość; przeciwnie, postąpiła szybko naprzód, wiedzona naturalnym odruchem, który jej nakazywał nieść pomoc nieszczęśnikowi. W M'Nabie pozostało jeszcze dość życia, by mógł objawić pełną świadomość tego, co zaszło. Jego twarz miała straszliwy wyraz człowieka, którego śmierć zaskoczyła znienacka, a dziewczynie wydało się, gdy ochłonęła, że na obliczu kaprała maluje się także spóźniona skrucha upartego i zatwardziałego grzesznika.

–Uciekaj jak najszybciej do blokhauzu... – wyszeptał M'Nab, gdy Mabel pochyliła się, aby usłyszeć jego przedśmiertne słowa.

Dopiero wtedy nasza bohaterka uświadomiła sobie w pełni własne położenie oraz konieczność natychmiastowego działania. Rzuciła szybkie spojrzenie na ciało leżące u jej stóp, spostrzegła, że kapral już nie oddycha, i poczęła uciekać. Od blokhauzu dzieliło ją zaledwie kilka minut biegu, gdy jednak dopadała drzwi, zatrzasnęła je przed nią Jennie, żona żołnierza, która ogarnięta ślepym przerażeniem, myślała tylko o własnym bezpieczeństwie. Gdy Mabel poczęła wołać, by ją wpuściła, rozległ się huk wystrzałów z pięciu czy sześciu strzelb, a nowe przerażenie, jakie wznieciły w zamkniętej wewnątrz kobiecie, nie pozwoliło jej dość szybko podnieść tych samych sztab, które tak zręcznie umiała założyć. Jednakże po chwili Mabel poczuła, że drzwi niechętnie ustępują pod jej ustawicznym naporem i gdy tylko uchyliły się na tyle, aby przepuścić jej szczupłe ciało, wcisnęła się do środka.

Tymczasem serce dziewczyny przestało już miotać się w piersi, odzyskała też dość panowania nad sobą, by postępować przytomnie. Miast ulec konwulsyjnym wysiłkom swej towarzyszki, starającej się zawrzeć na powrót drzwi, przytrzymała je uchylone, dopóki nie upewniła się, że nie widać w pobliżu nikogo z załogi, kto by w tej chwili próbował dostać się do blokhauzu. Dopiero wówczas pozwoliła drzwi zamknąć.

Rozkazy jej i czyny stały się teraz spokojniejsze i bardziej rozsądne. Spuściła tylko jedną sztabę, a Jennie otrzymała polecenie, by każdej chwili była gotowa podnieść ją na pierwsze żądanie pochodzące od przyjaciela. Następnie Mabel weszła po drabinie do izby na piętrze, skąd mogła przez strzelnicę ogarnąć wzrokiem wyspę, tak jak na to pozwalały rosnące dokoła zarośla. Napomniawszy swą towarzyszkę, która została na dole, by zachowała spokój i równowagę ducha, poczęła starannie badać okolicę, w miarę jak to było możliwe z owego stanowiska.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu, nie mogła zrazu dostrzec na wyspie żywej duszy – czy to wroga, czy przyjaciela. Nie widać było ani Francuzów, ani Indian, aczkolwiek wąły obłoczek dymu, unoszący się na wietrze, powiedział jej, w którym kierunku szukać ich należy. Ze strzelb wypalono od strony wysepki, z której przybyła Rosa, lecz Mabel nie wiedziała, czy nieprzyjaciel jest tam jeszcze, czy wylądował już na ich

wyspie. Kiedy podeszła do drugiej strzelnicy, skąd widać było leżącego M'Naba, uczuła, że krew ścina jej się w żyłach, ujrzała bowiem wszystkich trzech żołnierzy rozciągniętych bez życia u boku kaprała. Za pierwszym alarmem zbiegli się oni w to miejsce i niemal jednocześnie padli od kul niewidzialnego wroga, którego tak lekceważył M'Nab.

Nigdzie nie było widać ani Capa, ani porucznika Muira. Mabel z bijącym sercem przepatrywała każdą lukę pomiędzy drzewami i nawet weszła na najwyższe pięterko, czyli poddasze blokhauzu, skąd mogła objąć wzrokiem całą wyspę, w miarę jak na to pozwalała gęstwina, ale i to nie dało lepszego wyniku. Spodziewała się ujrzeć ciało wuja rozciągnięte na trawie, podobnie jak trupy żołnierzy, lecz nigdzie nie mogła go dostrzec. Obróciwszy się w stronę, gdzie stała łódź, Mabel stwierdziła, że jest ona uwiązana przy brzegu, i wówczas przyszło jej na myśl, iż coś przeszkodziło Muirowi wycofać się w tym kierunku. Krótko mówiąc, na wyspie panowała iście grobowa cisza, a trupy żołnierzy czyniły widok również przerażającym jak niezwykajnym.

–Na miłość boską, mościa panno Mabel! – zawołała z dołu kobieta, bo chociaż strach jej był nazbyt nieokiełznany, by mogła zachować milczenie, przecież wyższa ogląda naszej bohaterki, bardziej jeszcze niż stopień jej ojca w pułku, nakazywała Jennie zwracać się do niej w ten sposób. – Powiedzże mi, czy który z naszych przyjaciół został przy życiu! Wydaje mi się, że słyszę coraz słabsze i słabsze jęki: boję się, że wszystkich naszych zarąbią.

Mabel przypomniała sobie w tej chwili, że jeden z żołnierzy był mężem tej kobiety, i zadrżała na myśl o bezpośrednich skutkach jej rozpacz, gdyby się nagle dowiedziała o jego śmierci. Owe jęki pozostawiały też odrobinę nadziei, choć Mabel obawiała się, czy nie wydaje ich wuj, którego nigdzie nie mogła dostrzec.

–Jesteśmy w ręku Boga, Jennie – odparła. – Musimy ufać w Opatrzność, nie zaniebując żadnego ze środków obrony, jakie nam dobrotliwie podsuwa. Uważaj na drzwi: pod żadnym pozorem nie otwieraj ich bez mego pozwolenia.

–Ach, powiedz mi, panno Mabel, czy widzisz gdzieś mojego Sandy'ego. Gdybym choć mogła dać znać, żem bezpieczna, kamień spadłby mu z serca, czy jeńcem jest, czy jeszcze wolnym!

Sandy był to mąż Jennie i właśnie leżał martwy na wprost strzelnicy, przez którą wyglądała nasza bohaterka.

–Nie mówi mi panienska, czy widzi gdzie Sandy'ego! – powtórzyła z dołu Jennie, zniecierpliwiona milczeniem Mabel.

–Jest paru naszych wokół ciała M'Naba – odparła Mabel, gdyż w jej mniemaniu powiedzenie jawnej nieprawdy w tak strasznych okolicznościach byłoby

świętokradztwem.

–A Sandy jest między nimi? – zapytała kobieta głosem przerażającym swą chrapliwością i siłą.

–Na pewno, bo widzą jednego, dwóch, trzech, czterech – wszystkich w szkarłatnych mundurach naszego regimentu,

–Sandy! – wykrzyknęła w zapamiętaniu Jennie. – Czemu się nie pilnujesz? Chodź tu natychmiast i podziel los swej żony w dobrej czy złej doli! Nie pora na twoją niemądrą dyscyplinę i czcze pojęcie honoru! Sandy! Sandy!

Mabel usłyszała, że sztaba się podnosi, a potem drzwi zaskrzypiały na zawiasach. Wyczekiwanie, by nie powiedzieć – zgroza, przykuło ją do strzelnicy i rychło ujrzała Jennie pędzącą przez zarośla w kierunku grupki zabitych. Kobięcie wystarczyła zaledwie chwila, by dotrzeć do fatalnego miejsca. Cios był tak nagły i tak niespodziewany, że w swym przerażeniu snadź nie pojęła całej jego wagi. Dzika, na wpół obłąkana myśl o jakimś omamieniu przemknęła jej przez głowę: wyobraziła sobie, iż owi ludzie igrają z jej strachem. Chwyciła męża za rękę: była jeszcze ciepła, a Jennie wydało się, że skryty uśmieszek błąka mu się na wargach.

–Czemu chcesz życie narażać, Sandy? – krzyknęła ciągnąc go za rękę. – Wszystkich was pomordują ci przekłęci Indianie, a wy nie chronicie się do blokhauzu, jak na rzetelnych żołnierzy przystało! Uciekaj stąd, uciekaj! Nie trać drogocennego czasu.

Z rozpaczliwym wysiłkiem szarpnęła ciało męża, tak że głowa obróciła się, i wówczas niewielka dziura w skroni, spowodowana wlotem kuli karabinowej oraz kilka kropel krwi sączących się po skórze, objawiły nieszczelnej, co znaczyło milczenie męża. Kiedy straszliwa prawda w całej swej rozciągłości rozjaśniła błyskawicą jej umysł, Jennie załamała ręce, wydała krzyk, który przeniknął ciało żołnierza. Krzyk ów, choć przeraźliwy, rozzierający, okropny był przecież łagodną melodią w porównaniu do tego, który rozległ się po nim tak szybko, iż oba dźwięki stopiły się z sobą. Straszne wycie wojenne wzbilo się z zarośli wyspy i blisko dwudziestu dzikich, budzących grozę farbą, którą byli pomalowani oraz innymi wymyślnymi ozdobami indiańskimi, rzuciło się zajadle naprzód, aby zdobyć upragnione skalpy. Na przedzie gnał Grot Strzały; jego to właśnie tomahawk rozplątał głowę nieprzytomnej Jennie, której dymiący skalp zawisł jako trofeum u pasa wodza w niecałe dwie minuty od chwili, gdy opuściła blokhauz. Towarzysze Grota byli równie czynni, toteż M'Nab i jego żołnierze nie wyglądali już na ludzi spokojnie drzemiących. Ich zwłoki, teraz ze szczętem zmasakrowane, rzucono pławiące się w posoce.

Wszystko to zabrało o wiele mniej czasu, niż go wymaga opis, i wszystkiego Mabel była świadkiem. Stała przykuta do miejsca, patrząc na ową straszliwą scenę, jakby

obezwładniona zakłębieniem; ani razu nie nasunęła jej się myśl o sobie czy własnym bezpieczeństwie. Zaledwie jednak spostrzegła, że miejsce, gdzie padli żołnierze, roi się od dzikich uniesionych tryumfem z tak udanego zaskoczenia, przyszło jej na myśl, że Jennie zostawiła drzwi blokhauzu otwarte. Serce zabiło jej gwałtownie, albowiem jedynie owa ochrona dzieliła ją od natychmiastowej śmierci. Poskoczyła więc ku drabinie, chcąc zejść i upewnić się, czy tak jest w istocie. Ale stopy jej nie zdążyły jeszcze dotknąć podłogi drugiego piętra, gdy usłyszała skrzypienie drzwi na zawiasach i przeleciało jej przez myśl, że jest zgubiona. Osunąwszy się na kolana, przerażona, lecz dzielna dziewczyna usiłowała przygotować się na śmierć i wznieść; swe myśli do Boga. Jednakże instynkt życia był nazbyt silny, by mogła się modlić, toteż choć wargi się poruszały, zmysły zachłannie łowiły wszelkie odgłosy dobiegające z dołu. Gdy usłyszała, że sztaby, które obracały się na sworzniach umocowanych pośrodku drzwi, zapadają w swoje uchwyty – i to nie jedna tylko, jak sama nakazała mając na względzie wpuszczenie wuja, gdyby się zjawił, lecz wszystkie trzy – zerwała się znowu, a wszelkie duchowe medytacje pierzchnęły w obliczu doczesności, i zdało się, że wszystkie władze umysłowe dziewczyny wtapiają się w zmysł słuchu.

W momencie tak straszliwym myśli nie próżnują. W pierwszej chwili przyszło dziewczynie do głowy, że może to wuj wszedł do blokhauzu, i już miała zejść po drabinie, by rzucić mu się w ramiona, gdy zatrzymała ją w miejscu obawa, że a nuż jest to jakiś Indianin, który zawarł drzwi, aby nie wpuścić intruzów i móc samemu plądrować do woli. Głęboka cisza panująca na dole nie kojarzyła się ze śmiałymi, niespokojnymi ruchami Capa i bardziej pachniała podstępem wroga. Jeżeli zaś był to przyjaciel, nie mógł być nim nikt inny, jak wuj lub kwatermistrz, gdyż naszej bohaterce nasunęła się w tej chwili okropna myśl, że cała załoga nagle stopniała do tych dwóch mężczyzn oraz niej samej, jeżeli oczywiście zostali oni przy życiu.

Ten wzgląd trzymał Mabel w szachu i przez pełne dwie minuty w budynku cicho było jak makiem zasiał. Dziewczyna stała u stóp górnej drabiny; wiodący na dół otwór w podłodze znajdował się po przeciwnej stronie izby. Oczy Mabel były w niego utkwione, bo teraz każdej chwili oczekiwała, że ujrzy potworny widok wynurzającej się twarzy dzikiego. Lęk ów wkrótce tak przybrał na sile, że poszukała wzrokiem jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Odwleczenie, choćby o moment, katastrofy, której obecnie oczekiwała, zdawało się być ulgą. W izbie stało kilka beczek; Mabel przycupnęła za dwiema z nich i przytknęła oko do szpary, przez którą mogła obserwować otwór w podłodze. Znowu uczyniła wysiłek, aby się pomodlić, lecz moment był nazbyt okropny, ażeby mogło to przynieść ulgę.

Wydało jej się, że słyszy cichy szelest, jak gdyby ktoś wstępował po drabinie z tak wielką ostrożnością, iż zdradzał go jej nadmiar. Potem rozległo się skrzypnięcie; musiał to być jeden ze szczebli drabiny, który wydał ten sam odgłos pod wątlym ciężarem Mabel, kiedy wchodziła na górę. Była to jedna z owych chwil, w których zawarte są odczucia całych lat zwyczajnego bytowania. Życie, śmierć, wieczność

oraz najwyższy fizyczny ból odcinały się teraz ostro w myślach Mabel od tła powszednich wydarzeń; można by ją w owym momencie wziąć za jej własny, piękny, blady wizerunek, tak była nieruchoma i z życia wyzuta. Jednakże, choć zewnętrznie taki przedstawiała widok, nigdy jeszcze w swym krótkim istnieniu Mabel nie słyszała wyraźniej, nie widziała jaśniej i nie czuła bardziej dojmująco.

Jak dotąd, nic nie ukazywało się w otworze, ale słuch dziewczyny wyostrzony do najwyższego stopnia przez gwałtowność wrażeń, mówił jej wyraźnie, że ktoś znajduje się o kilka cali od klapy w podłodze. W następnej chwili przybyło jeszcze świadectwo oczu, które ujrzały czarne indiańskie włosy wynurzające się z otworu tak wolno, iż poruszenia owej głowy można było porównać do ruchu minutowej wskazówki zegara; dalej ukazała się ciemna skóra i dzikie rysy, aż wreszcie cała śniada twarz wychynęła spod podłogi.

Ludzkie oblicze rzadko wygląda korzystnie, kiedy jest w części ukryte, toteż Mabel poczęły się roić nowe potworności, kiedy zrazu ujrzała czarne, rozbiegane oczy i dziki wyraz twarzy wynurzającej się cal po calu. Gdy jednak cała głowa znalazła się nad podłogą, powtórne, dokładniejsze spojrzenie przekonało naszą bohaterkę, iż widzi łagodną, stroskaną, a nawet ładną twarz Rosy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

...a choćbym był duchem,

Nie potem zesłan, aby cię przerazić,

Lecz dać nagrodę za wierność.

WORDSWORTH

Trudno by było rzec, kto ujawnił większe zadowolenie, kiedy Mabel zerwała się na równe nogi i wyskoczyła na środek izby: czy nasza bohaterka widząc, że przybywa do niej małżonka Grot Strzały, a nie on sam – czy też Rosa stwierdziwszy, iż posłuchano jej rady i że w blokhauzie znajduje się osoba, której z takim niepokojem i niemal bez nadziei tutaj szukała. Padły sobie w objęcia, a prosta, szczerza Indianka roześmiała się ze słodyczą i odsunęła swą przyjaciółkę na długość ramienia, jakby chcąc się upewnić o jej obecności.

–Blokhaus dobry – ozwała się. – Nie ma skalp.

–Dobry jest w samej rzeczy, Roso – odparła z drżeniem Mabel, zarazem przesłaniając dłonią oczy, jak gdyby chciała odepchnąć od siebie widok owych okropności, których dopiero co była świadkiem. – Powiedz mi, na miłość boską, czy wiesz, co się stało z mym drogim wujem! Rozglądam się na wszystkie strony, lecz nigdzie nie mogłam go dojrzeć.

–Me jest tu, w blokhauzie? – zapytała z zaciekawieniem Rosa.

–Ależ nie; jestem tutaj zupełnie sama, gdyż Jennie, ta kobieta, która była ze mną, wybiegła do męża i zginęła przez swoją nieostrożność.

–Rosa wie, Rosa widziała; bardzo źle, Grot Strzały nieczuły dla żadnej żony, nieczuły dla swojej własnej.

–Ach, Roso, przynajmniej twojemu życiu nic nie zagraża!

–Nie wiem; Grot Strzały zabije mnie, jak dowie się wszystko.

–Niech Bóg cię błogosławi i osłania, Roso! Z pewnością pobłogosławi i osłoni cię za tyle zacności. Powiedz mi, co czynić i czy mój biedny wuj jeszcze żyje?

–Nie wiem. Słona Woda ma łódź. Może poszedł na rzekę.

–Łódź stoi na brzegu, ale nigdzie nie widać ani mojego wuja, ani kwatermistrza.

–Nie zabici, bo Rosa by widziała. Ukryli się. Czerwony człowiek kryje się; nie wstyd dla bladej twarzy.

–Nie wstydu się dla nich obawiam, lecz tego, czy mieli odpowiednią sposobność. Atak wasz był strasznie nagły, Roso!

–Tuskarora – odparła tamta uśmiechając się z zachwytem na myśl o zręczności męża. – Grot Strzały wielki wojownik!

–Ty jesteś zbyt dobra i łagodna na taki rodzaj życia, Roso; chyba nie możesz się rozkoszować podobnymi scenami.

Po twarzy Rosy przemknęła chmura, a Mabel wydało się, że w zmarszczonych brwiach Indianki było coś z dzikiej ognistości wodza, kiedy jej odpowiedziała:

–Jengizi nadto chciwi; zabierać wszystkie łowiska, od rana do nocy ścigać Sześć Narodów; niedobry król, niedobrzy ludzie. Blade twarze bardzo złe.

Mabel wiedziała, że w owych czasach wiele było prawdy w tym powiedzeniu, jakkolwiek za dobre otrzymała wykształcenie, by nie rozumieć, iż zarówno w tym, jak i w tysiącnych innych przypadkach monarchę obciąża się winą za czyny, o których najprawdopodobniej nic mu nie wiadomo. Zbyt przeto odczuła słuszność owego zarzutu, ażeby nań odpowiedzieć, a myśli jej zupełnie naturalnie powróciły do położenia, w jakim się znajdowała.

–Ale co ja mam począć, Roso? – spytała. – Wszak twoi ludzie z pewnością uderzą niebawem na ten budynek.

–Blokhaus dobry, nie ma skalp.

–Lecz przecie rychło odkryją, że nie ma tu załogi, jeżeli już tego nie wiedzą. Sama mi mówiłaś, ile jest ludzi na wyspie, a niewątpliwie dowiedziałaś się od Grota Strzały.

–Grot Strzały wie – odrzekła Rosa podnosząc sześć palców, ażeby pokazać liczbę ludzi. – Wszyscy czerwoni ludzie wiedzą. Czterech już straciło skalpy, dwóch jeszcze ma.

–Nie mów tego, Roso, bo krew ścina mi się w żyłach na tę potworną myśl. Twoi ludzie nie mogą wiedzieć, że jestem sama w blokhausie; wyobrażają sobie zapewne, że wuj oraz kwatermistrz są ze mną, toteż mogą podłożyć ogień, aby ich stąd wykurzyć. Słyszałam, że ogień jest największym niebezpieczeństwem dla takich budowli.

–Nie spalą blokhaus – odrzekła spokojnie Rosa.

–Tego nie możesz wiedzieć, moja zacna Koso, ja zaś nie mam sposobu, aby ich nie dopuścić bliżej.

–Nie spalą blokhauz. Blokhauz dobry; nie ma skalp.

–Ale powiedz, dlaczego; lękam się, że go spalą.

–Blokhaus mokry – dużo deszczu – kloce zielone – nie pali łatwo. Czerwony człowiek wie to – mądra rzecz – i nie pali, żeby nie dać znać Jengizom, że Irokezi tu. Ojciec Wróci, nie widzi blokhauz, nic nie ma. Nie, nie; Indianin za chytry, niczego nie dotknie.

–Rozumiem cię, Roso, i ufam, że przepowiednie twoje się spełnią, lecz jeśli idzie o mego ojca, to gdyby Się wymknął... a może jest już zabity albo w niewoli.

–Nie tkną ojca – nie wiedzą, gdzie poszedł – na wodzie nie ma śladów – czerwony człowiek nie może tropić. Nie spali blokhauz – blokhauz dobry; nie ma skalp.

–Czy myślisz, że mogłabym tu bezpiecznie pozostać aż do powrotu ojca?

–Nie wiem; córka najlepiej wie, kiedy ojciec wróci.

Słyszając te słowa Mabel poczuła się nieswojo pod spojrzeniem ciemnych oczu Rosy, nasunęło jej się bowiem niemiłe przypuszczenie, że ta usiłuje wydobyć wiadomość, która mogłaby być przydatna jej współplemieńcom, a jednocześnie doprowadzić do Zgładzenia sierżanta i jego oddziału. Już miała udzielić wymijającej odpowiedzi, kiedy ciężkie uderzenie w zewnętrzne drzwi zwróciło nagle wszystkie jej myśli na bezpośrednie niebezpieczeństwo.

–Idę! – krzyknęła. – A może to wuj albo kwatermistrz? W takiej chwili nie mogę odmawiać wstępu nawet panu Muirowi,

–Dlaczego nie zobaczysz? Dostyc strzelnic; zrobione umyślnie.

Mabel zastosowała się do wskazówki i podszedłszy do jednej ze skierowanych w dół strzelnic, wyciętych w balach tej części budynku, która nadwieszona była ponad przyziemiem, wyjęła ostrożnie klocek, zazwyczaj zatykający niewielki otwór, i popatrzyła, co się dzieje u drzwi. Drgnięcie i zmiana wyrazu twarzy dziewczyny powiedziały jej towarzyszcze, że na dole są Indianie.

–Czerwony człowiek! – rzekła Rosa podnosząc palec na znak przestrogi, iż trzeba zachować ostrożność.

–Czterech. Straszliwie wyglądają z tą swoją farbą i krwawymi trofeami. Grot Strzały także tam jest.

Rosa odeszła do kąta, gdzie złożono kilka zapasowych strzelb i chwyciła jedną z nich, lecz imię męża snadź zatrzymało ją w miejscu. Trwało to jednak zaledwie chwilę, gdyż zaraz potem zbliżyła się do strzelnicy i już miała wysunąć lufę przez otwór, gdy naturalny odruch wstrętu nakazał Mabel pochwycić ją za ramię.

–Nie? nie, nie, Roso! – krzyknęła dziewczyna. – Choćby mi przyszło życie poświęcić, nie pozwolę ci strzelić do własnego męża.

–Me zrobię krzywdy Grot Strzały – odparła Rosa wzruszając lekko ramionami. – Nie zrobię krzywdy żaden czerwonoskóry. Nie strzelam do nich, tylko straszę.

Mabel zrozumiała teraz zamiary Rosy i nie przeciwstawiała im się dłużej. Indianka wysunęła lufę przez strzelnicę i uczyniwszy dosyć hałasu, by zwrócić na siebie uwagę, pociągnęła za cyngiel. Zaledwie padł strzał, Mabel poczęła wyrzucać swej przyjaciółce czyn, który miał się przysłużyć jej samej.

–Mówiłaś, że nie zamierzasz strzelać – powiedziała – a mogłaś ubić własnego męża!

–Wszyscy uciekli, zanim ja strzelić – odparła ze śmiechem Rosa, za czym śmiejąc się jeszcze serdeczniej, podeszła do innej strzelnicy, żeby śledzić poczynania swoich przyjaciół. – Widzisz? Ukryli się – każdy wojownik. Myślą, tu jest Słona Woda i kwatermistrz. Teraz bardzo ostrożni.

–Niebu niech będą dzięki! Więc chyba mogę ufać, że pozostanie mi trochę czasu, by skupić się na modlitwie, ażebym nie zginęła jak Jennie, myśląc tylko o życiu i rzeczach tego świata.

Rosa odłożyła strzelbę, podeszła i usiadła obok skrzyni, na którą Mabel osunęła się pod wpływem fizycznej reakcji, towarzyszącej zarówno radości, jak i zgryzocie. Patrzyła uparcie w twarz naszej bohaterki, której wydało się, że lica Indianki przybrały wyraz surowości zmieszanej z zatroskaniem.

–Grot Strzały wielki wojownik – powiedziała żona Tuskarory. – Wszystkie dziewczyny plemienia dużo na niego patrzą. Błada piękność także ma oczy.

–Roso! Cóż znaczą te słowa... to spojrzenie? Co chcesz powiedzieć?

–Dlaczego ty tak się boisz, że Rosa zastrzeli Grota Strzały?

–Alboż nie byłoby okropnie widzieć, jak żona morduje własnego męża? Nie, Roso, już raczej bym sama umarła!

–Bardzo pewna, że to wszystko?

–Wszystko, Roso, Bóg mi świadkiem! Chyba to wystarczy. Nie, nie! Dość było dziś

potworności, by jeszcze je zwiększyć podobnym czynem. Jakież inne pobudki możesz podejrzewać?

–Nie wiem. Biedna dziewczyna Tuskarora bardzo głupia. Grot Strzały wielki wódz, wszyscy na niego patrzą. Przez sen mówi o bladej piękności. Wielcy wodzowie lubią dużo żon.

–Czy u was wódz może mieć więcej niż jedną małżonkę?

–Tyle, ile mu się spodoba. Wielcy łowcy żenią się często. Teraz Grot Strzały ma tylko Rosę, ale za dużo patrzy, za dużo widzi, za dużo mówi o bladej dziewczynie.

Mabel świadoma była owego faktu, który wielce ją trapił w czasie podróży; ale odczuła jako wstrząs to, iż podobne słowa usłyszała z ust żony Grota. Wiedziała, że w takich sprawach obyczaje i poglądy stanowią wielką różnicę, ale oprócz bólu i przykrości, jakich jej przysparzało poczucie, że jest mimowolną rywalką czyjejś żony, odczuwała niepokój, iż zazdrość Indianki może być niepewną gwarancją własnego jej bezpieczeństwa w obecnym położeniu. Uspokoila się jednak, kiedy spojrzała uważniej na Rosę, choć bowiem w otwartym licu tej prostodusznej istoty nietrudno było wyśledzić ból wywołany przez zawiedzione uczucia, przecie żadna nieufność nie mogłaby sprawić, by powaga odmalowana na tej uczciwej twarzy przemieniła się w wyraz chytrłości czy nienawiści.

–Nie zdradzisz mnie, Roso – wyrzekła Mabel i ścisnęła jej rękę, wiedzona odruchem wielkodusznej ufności. – Nie wydasz takiej samej jak ty kobiety na pastwę tomahawków?

–Żaden tomahawk nie tknie ciebie. Grot Strzały nie pozwoli. Jeżeli Rosa musi mieć siostrę-żonę, chce mieć ciebie.

–Nie, Roso, religia moja, zarówno jak uczucia, wzbraniają mi tego; a gdybym w ogóle mogła zostać małżonką Indianina, nigdy nie zajęłabym w wigwamie miejsca, które do ciebie należy.

Rosa nic nie odpowiedziała, jednakże widać było, że jest zadowolona, a nawet wdzięczna. Wiedziała, iż niewiele, a może żadna ze znanych Grotowi Strzały dziewcząt indiańskich nie może jej dorównać osobistymi powabami, więc chociaż jej mężowi mogło spodobać się pojąć tuzin małżonek, nie było prócz Mabel takiej, której wpływu naprawdę by się obawiała. Powzięła jednak tak żywe zainteresowanie dla urody, ujmującego obejścia, dobroci i niewieściej łagodności naszej bohaterki, że kiedy pojawiła się zazdrość mogąca ostudzić owe uczucia, raczej przydała jeszcze więcej siły temu zainteresowaniu. Pod jej kapryśnym wpływem stało się ono jedną z najsilniejszych podnieć, jakie skłoniły Rosę, ażeby hazardować tak wiele dla ocalenia swojej mniemanej rywalki od skutków ataku, który miał nastąpić, jak o tym dobrze

wiedziała. Jednym słowem, Rosa z właściwą żonie przenikliwością odkryła uwielbienie, jakie Grot Strzały żywił dla Mabel, ale miast uczuć piekącą zazdrość, która mogła uczynić rywalkę kimś nienawistnym – jakby to się zdarzyło niewieście nie nawykłej do uległości wobec wyższych praw płci panów i władców – poczęła obserwować wygląd oraz charakter bladej piękności, nie natrafiwszy zaś na nic odstręczającego, a przeciwnie, widząc, że wszystko jest w niej miłe, powzięła dla Mabel podziw i afekt, które, chociaż z pewnością odmienne, niewiele były słabsze od tych, jakie odczuwał jej własny mąż.

Grot Strzały sam posłał swą żonę, aby przestrzegła Mabel o bliskim niebezpieczeństwie, ale nie wiedział, iż Rosa zakradła się na wyspę śladem napastników i teraz zabarykadowała się w małej cytadeli razem z osobą będącą przedmiotem troski obojga. Wprost przeciwnie, przypuszczał, że tak jak mu powiedziała żona, w blokhauzie, oprócz Mabel przebywają Cap i Muir oraz że to oni dokonali próby odparcia jego i towarzyszy.

–Rosa żałuje, że Lilia – tak bowiem w swej poetycznej mowie nazwała Indianka naszą bohaterkę – że Lilia nie będzie żoną Grota Strzały. Jego wigwam duży, a wielki wódz musi w nim mieć dość żon.

–Dzięki ci, Roso, za to wyróżnienie, które jednakże nie jest zgodne z poglądami białych kobiet – odparła Mabel uśmiechając się mimo przerażającej sytuacji, w jakiej się znajdowała – ale bardzo być może, i tak najpewniej będzie, że w ogóle nie wyjdę za mąż.

–Musisz mieć dobry mąż – rzekła Rosa. – Ożeń się z Eau-douce, jeżeli nie chcesz Grot Strzały.

–Roso! Nie jest to temat odpowiedni dla dziewczyny, która nie wie, czy będzie żyła jeszcze godzinę. Gdyby to było możliwe, chciałabym dostać jakiś znak, że kochany wuj jest zdrow i cały.

–Rosa pójdzie zobaczyć.

–Możesz to zrobić? Naprawdę? Czy to bezpieczne dla ciebie, żeby cię widziano na wyspie? Czy wojownicy wiedzą o twojej tu obecności i czy będą zadowoleni napotyając kobietę na swojej ścieżce wojennej?

Wszystkie owe pytania Mabel zadała jedno po drugim, lękając się, że odpowiedź może wypaść nie po jej myśli. Uważała za rzecz niezwykłą, iż Rosa także przybyła na wyspę, i choć wydawało się to nieprawdopodobne, przypuszczała, że Indianka potajemnie przypląnęła własnym czółnem za Irokezami, po czym wyprzedziła ich, ażeby przynieść wiadomość, która uratowała Mabel życie. W tym wszystkim dziewczyna myliła się jednak, jak to obecnie wynikało ze słów Kosy, która swoim

łamanym językiem ' zdołała zaznajomić ją z sytuacją.

Grot Strzały, aczkolwiek wódz, był źle widziany przez swoje plemię i chwilowo, choć w jak najlepszym porozumieniu, współdziałał z Irokezami. Posiadał wprawdzie wigwam, lecz rzadko w nim przebywał; udając przyjaźń dla Anglików" spędził ostentacyjnie lato w ich służbie, a w rzeczywistości służył Francuzom. Żona towarzyszyła mu w rozlicznych wędrówkach, jako że większość wypraw odbywali członem. Jednym słowem, obecność jej nie była tajemnicą, ponieważ mąż rzadko wyruszał bez niej. Bosa zdołała tyle na ten temat opowiedzieć Mabel, że ośmielona dziewczyna zapragnęła, aby jej przyjaciółka wyszła i upewniła się, jaki los spotkał wuja; jakoż wprędce uzgodniły między sobą, że Indianka opuści w tym celu blokhauz, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Przede wszystkim poczęły obserwować wyspę przez strzelnice tak gruntownie, jak na to pozwalało położenie, i stwierdziły, iż zdobywcy gotują się do uczty, dobrali się bowiem do prowiantów Anglików i splądrowali chaty. Większość zapasów znajdowała się w blokhauzie, lecz i na zewnątrz pozostało ich dosyć, by wynagrodzić Indianom atak, któremu towarzyszyło tak niewielkie ryzyko. Napastnicy usunęli już trupy, a Mabel dostrzegła, że broń zabitych ułożono w stos opodal miejsca wybranego na ucztę. Rosa napomknęła, że z pewnych wiadomych sobie oznak wnosi, iż nieboszczyków przeniesiono w gęstwinę, gdzie ich pogrzebano albo ukryto przed ludzkim wzrokiem. Natomiast żadne przedmioty, bardziej rzucające się w oczy na wyspie, nie zostały ruszone z miejsca, zwycięzcy pragnęli bowiem wciągnąć powracający oddziałek sierżanta w zasadzkę. Rosa wskazała swej towarzyszce siedzącego na drzewie Indianina, który jak oświadczyła, tkwił tam na czatach, ażeby w porę dać znać o każdej zbliżającej się łodzi, acz wyprawa wyruszyła bardzo niedawno i tylko jakiś nieprzewidziany wypadek mógł ją tak rychło Sprowadzić z powrotem.

Nieprzyjaciel nie zdawał się żywić zamiaru natychmiastowego zaatakowania blokhauzu; według Rosy wszystko raczej wskazywało, że Indianie zamyślają oblegać go aż do powrotu oddziału sierżanta, albowiem w przeciwnym razie oznaki natarcia byłyby ostrzeżeniem dla doświadczonego oczu Tropicielea. Jednakże łódź zabrano i przeciągnięto tam, gdzie czołna Indian ukryte były w zaroślach.

Rosa oznajmiła teraz, że zamierza wrócić do swoich przyjaciół, ponieważ chwila była szczególnie sposobna do opuszczenia blokhauzu. Kiedy schodziły po drabinie, Mabel uczuła nieufność, ale w następnej chwili zawstydzila się tego uczucia, jako niesprawiedliwego wobec towarzyszki i niegodnego jej samej, toteż gdy obie stanęły na dole, zaufanie wróciło jej w pełni. Z najwyższą ostrożnością wzięły się do podnoszenia sztab, a kiedy przyszło dźwignąć ostatnią, Rosa stanęła przy miejscu, gdzie miała się otworzyć szczelina. Podniosły sztabę z uchwytu, uchyliły drzwi ledwie na tyle, by ciało Rosy mogło się przez nie prześliznąć, po czym Indianka wymknęła się na zewnątrz.

Jednym konwulsyjnym ruchem Mabel na powrót zamknęła drzwi, a w chwili gdy sztaba zapadała na swoje miejsce, serce dziewczyny zabiło głośno. Teraz poczuła się bezpieczna i dwie pozostałe sztaby opuściła już znacznie spokojniej. Zabezpieczywszy drzwi, weszła na pierwsze piętro, jedynie stamtąd bowiem mogła obserwować, co się dzieje na zewnątrz.

Minęły długie, nieznośnie smutne godziny, podczas których Mabel nie miała żadnego znaku od Rosy. Słyszała ryki Indian, którzy pod wpływem rumu zbyli się wszelkiej ostrożności, od czasu do czasu spoglądając przez strzelnice na ich szaloną orgię, a o straszliwej obecności dzikich mówiły jej nieprzerwanie odgłosy i obrazy, które zmroziłyby krew w żyłach komuś, kto nie był tak niedawno świadkiem o wiele okropniej szych scen.

Okolo południa wydało się Mabel, iż dostrzega na wyspie białego człowieka, aczkolwiek jego strój i dziki wygląd sprawiły, że zrazu wzięła go za nowo przybyłego Indianina. Widok jego twarzy, choć była z natury śniada, ogorzała od wiatru i słońca, nie pozostawiał wątpliwości, że przypuszczenie Mabel jest słuszne, toteż przyszło jej na myśl, iż oto zjawił się człowiek jej rasy, ktoś, do kogo można odwołać się o pomoc w najwyższym niebezpieczeństwie. Niestety nie wiedziała, jak niewielki jest wpływ białych na dzikich sprzymierzeńców, kiedy ci pokosztują krwi, a także jak znikoma bywa chęć odwodzenia ich od okrucieństw.

Dzień wydał się Mabel miesiącem; jedyną jego częścią, która nie wlokła się powoli, były chwile spędzone na modlitwie. Mabel od czasu do czasu uciekała się do tego środka i za każdą próbą czuła, jak duch w niej krzepnie, umysł staje się spokojniejszy, a rezygnacja bardziej pełna. Pojęła rozumowanie Rosy i uznała za wysoce prawdopodobne, iż blokhaus nie będzie molestowany aż do powrotu ojca, ażeby tegoż wciągnąć w zasadzkę; toteż lęk przed bezpośrednim niebezpieczeństwem zmniejszył się znacznie. Jednakże przyszłość nie rokowała wielkich nadziei i Mabel poczęła już liczyć się z możliwością trafienia do niewoli. W takich chwilach Grot Strzały wraz ze swym obraźliwym uwielbieniem zajmował poczesne miejsce w tych rozważaniach, albowiem nasza bohaterka wiedziała dobrze, że Indianie zazwyczaj uprowadzają do wiosek tych brańców, których nie ubiją na miejscu, a to w celu przyjęcia ich między swoich, oraz że nieraz osoby jej płci spędzały resztę życia w wigwamach zwycięzców. Pod wpływem owych myśli Mabel osuwała się na kolana i pogrążała w modlitwie.

Przy świetle dziennym położenie naszej bohaterki było już dostatecznie groźne, a w miarę jak cienie wieczoru poczęły stopniowo gromadzić się nad wyspą, stało się wręcz przerażające. O tym czasie dzicy doprowadzili się do stanu furii, gdyż zagarnęli wszystkie zapasy rumu, jakie posiadali Anglicy, a ich ryki i gesty przywodziły na myśl ludzi opętanych przez złego ducha. Wszelkie wysiłki, jakie czynił francuski przywódca, aby ich pohamować, okazały się całkowicie bezowocne, wycofał się więc przezornie na sąsiednią wysepkę, gdzie miał swój biwak, tam

bowiem mógł pozostać w bezpiecznym oddaleniu od przyjaciół tak skłonnych do wybryków.

Jednakże zanim odpłynął, oficer ów, wystawiając na wielkie ryzyko własne życie, zdołał ugasić ogień i zabrać przybory służące do jego rozniecania. Przedsięwziął ów środek ostrożności z obawy, by Indianie nie spalili blokhauzu, gdyż zachowanie go było Francuzowi konieczne ze względu na jego plany. Chętnie byłby także usunął wszystką broń, to jednak okazało się niewykonalne, bo wojownicy nie rozstawali się ze swymi nożami i tomahawkami, z uporem ludzi, którzy uważają to sobie za punkt honoru, póki mają choć odrobinę rozeznania. Byłoby zaś bezcelowe zabrać im strzelby, a pozostawić ten właśnie oręż, którego używali w podobnych okazjach. Wygaszenie ognia okazało się krokiem najroztropniejszym, bo zaledwie oficer się odwrócił, jeden z wojowników istotnie zaproponował, aby podpalić blokhauz.

Grot Strzały również wycofał się z grona pijących, gdy tylko zauważył, że zaczynają tracić przytomność, i zajawszy dla siebie jedną z chat, rzucił się tam na słomę, szukając spoczynku, który był mu niezbędny po dwóch nocach czuwania i ustawicznej baczności. Dlatego też pośród Indian nie pozostał nikt, kto zatroszczyłby się o Mabel, gdyby nawet którykolwiek z nich wiedział o jej obecności, a propozycja pijanego wojownika przyjęta została rykami zachwytu przez ośmiu czy dziesięciu innych, tak samo jak on zamroczonych i równie brutalnych.

Był to straszny moment dla Mabel. Dzicy w swoim obecnym stanie nie zważaliby na wszystkie strzelby, jakie mogły znajdować się w blokhauzie, aczkolwiek zachowali niejasne wspomnienie, że przebywają w nim żywe istoty, co zresztą było dodatkowym bodźcem w ich przedsięwzięciu; jakoż poczęli zbliżać się do stóp budynku wyjąc i skacząc niczym demony. Jak dotąd wypity trunek podniecał ich, lecz nie obezwładniał.

Zaczęli od próby wyważenia drzwi, na które runęli całym ciężarem, lecz te, zbudowane solidnie z samych kłoców, oparły się ich wysiłkom. Gdyby stu ludzi rzuciło się na nie w podobnym zamiarze, byłoby to równie bezskuteczne. Tego jednak Mabel nie wiedziała i serce skakało jej do gardła, kiedy słyszała potężny łomot za każdym ponownym atakiem. Na koniec, gdy przekonała się, że drzwi stawiają napastnikom opór, jak gdyby były z kamienia, że ani drgną i nie ustępują, zdradzając fakt, iż nie są częścią ściany, zaledwie lekkim skrzypieniem ciężkich zawiasów – wówczas odwaga wróciła dziewczynie. Skorzystała z pierwszej chwili przerwy, by spojrzeć w dół przez strzelnicę, chcąc, o ile to możliwe, poznać rozmiary niebezpieczeństwa. Cisza, którą trudno było sobie wytłumaczyć, pobudziła jej ciekawość, albowiem dla ludzi świadomych bezpośredniego zagrożenia najbardziej niepokojąca jest niemożność wykrycia, skąd ono nadchodzi.

Mabel zauważyła, że paru Irokezów rozgrzebało żar ogniska, w którym znaleźli kilka węgielków, i teraz usiłowali rozniecić ogień. Zapał, z jakim się do tego przykładali,

żądza niszczenia, a także siła nawyku pozwalały im działać zgodnie i przemyślnie, póki mieli przed oczyma wspólny złowrogi cel. Biały człowiek porzuciłby wszelkie próby rozpalenia ogniska za pomocą węgla, które wydobyte z popiołu, przypominały zaledwie isierki, lecz owe dzieci puszczy miały rozmaite sposoby, nie znane cywilizacji. Za pomocą paru suchych liści, które tylko oni umieli odszukać, rozniecili wreszcie ogień, a wtedy kilka rzuconych nań cienkich patyczków podsycało płomienie.

Gdy Mabel pochyliła się nad strzelnicą, Indianie układali właśnie pod drzwiami stos chrustu. Przypatrując się dalej ich poczynaniom, ujrzała, że gałązki zajmują się ogniem, który skacze z jednej na drugą, aż wreszcie cały stos jął trzaskać i gorzeć, objęty jasnym płomieniem.

Indianie wydali okrzyk tryumfu i powrócili do swych towarzyszy, pewni, że dzieło zniszczenia już się rozpoczęło. Mabel patrzyła dalej, niezdolna oderwać się od strzelnicy, tak silna i pochłaniająca była ciekawość, którą budziły w niej postępy czynione przez ogień.

Gdy jednak chrust rozgorzał już cały, płomienie poczęły pięć się w górę, aż wreszcie błysnęły tak blisko oczu Mabel, że zmuszona była cofnąć się od otworu. Właśnie kiedy znalazła się po przeciwległej stronie izby, dokąd odbiegła w przerażeniu, rozwidlony język ognia wdarł się poprzez strzelnicę, którą pozostawiła otworem, i oświetlił surowe wnętrze, a w nim opuszczoną przez wszystkich dziewczynę. Nasza bohaterka pomyślała nie bez racji, że oto wybiła jej ostatnia godzina, albowiem drzwi – jedyna droga ucieczki – zagrodzone były z istic szatańską przebiegłością chrustem i płomieniami. Widząc to zwróciła się – jak mniemała po raz ostatni – z modlitwą do Stwórcy. Przymknęła oczy i na minutę duch z niej rzekłbyś uleciał, jednakże sprawy doczesne zbyt pochłaniały jej myśli, aby dać się ze szczętem zagłuszyć. Gdy więc mimowolnie otworzyła znów oczy, spostrzegła, że żagiew nie goreje już w izbie, aczkolwiek drzewo wokół małego otworu poczęło się żarzyć, a płomyki z wolna rozdmuchiwał wnikający od wnętrza prąd powietrza. W kącie stała kadź z wodą; Mabel, wiedzona raczej instynktem niż rozsądkiem, chwyciła jakieś naczynie, zaczerpnęła wody, drżącą dłonią wylała ją na drzewo i zdołała ugasić ogień w tym miejscu. Przez kilka minut dym nie pozwalał Mabel patrzeć, gdy jednak wreszcie spojrziała, serce zabiło jej silniej z radości i nadziei, spostrzegła bowiem, że ktoś rozrzucił stos palącego się chrustu i polał wodą kloce drzwi, które wprawdzie dymiły, ale już nie płonęły.

–Kto tam jest? – spytała Mabel, przytknąwszy usta do otworu strzelnicy. – Czyją przyjazną dłoń zesłała mi na ratunek miłosierna Opatrzność?

Na dole rozległ się odgłos lekkich kroków, a Mabel usłyszała, iż ktoś delikatnie popycha drzwi, tak że masywne kloce ledwie drgają w zawiasach.

–Kto tam chce wejść? Czy to ty, wuju kochany?

–Słona Woda nie tu. Święty Wawrzyniec, woda słodka – zabrzmiała odpowiedź. – Otwórz prędko, chcę wejść.

Krok Mabel nigdy nie był lżejszy, a ruchy szybsze i swobodniejsze niż wtedy, gdy gorączkowo, śpiesznie zbiegła po drabinie i podnosiła sztaby. Tym razem myślała tylko o ucieczce, więc otworzyła drzwi z pośpiechem, który wykluczał wszelką ostrożność. Pierwszym jej odruchem było wybiec na powietrze w ślepej nadziei wydostania się z blokhauzu, lecz Kosa udaremniła tę próbę i wszedłszy do wnętrza zawarła spokojnie drzwi, nim zauważyła, że Mabel usiłuje ją objąć.

–Niech. Bóg ci błogosławi, Roso! – wykrzyknęła z najwyższym zapalem nasza bohaterka. – Opatrzność mi cię zsyła, jako niego anioła-stróża!

–Me ścisnąć tak mocno – odparła Indianka. – Blade twarze wszystko płacze albo wszystko śmieje. Daj Rosie zamknąć drzwi.

Mabel opamiętała się nieco i w kilka minut później obie usiadły znowu w górnej izbie, trzymając się za ręce, i wszelka nieufność zniknęła bez śladu.

–A teraz powiedz mi, Roso – ozwała się Mabel, gdy już wymieniły gorące uściski – czyś widziała mojego biednego wuja albo słyszała coś o nim?

–Me wiem. Nikt go nie widzi, nikt go nie słyszy, nikt nie wie. Słona Woda pewnie na rzece, bo ja go nie znaleźć. Kwatermistrza też nie ma. Ja patrzę, patrzę i patrzę, ale nie widzę ani jeden, ani drugi, nigdzie.

–Bogu niech będzie chwała! Musieli ująć, chociaż nie wiemy jakim sposobem. Roso, zdawało mi się, że widziałam na wyspie Francuza.

–Tak, francuski kapitan przyszedł, ale potem też poszedł sobie. Na wyspie dużo Indian.

–Och, Roso, Roso, czyż nie ma sposobu, żeby uchronić mojego biednego ojca od dostania się w ręce wrogów?

–Nie wiem; myślę, że wojownicy w zasadzce, więc Jengizi muszą stracić skalp.

–Koso, ty, któraś tyle uczyniła dla córki, z pewnością nie odmówisz pomocy ojcu, prawda?

–Nie znam ojciec, nie kocham ojciec. Rosa pomaga swoim ludziom, pomaga Grotowi Strzały; mąż kocha skalp.

–Roso, to do ciebie niepodobne! Nie mogę, nie chcę wierzyć, że pragniesz, by naszych ludzi wymordowano!

Rosa spokojnie zwróciła na Mabel swe ciemne oczy i przez chwilę patrzyła surowo, ale niebawem wzrok jej przybrał wyraz melancholijnego współczucia.

–Lilia dziewczyna jengizka? – powiedziała tonem pytania.

–Oczywiście, i jako jengizka dziewczyna chciałabym uratować od rzezi swoich rodaków.

–Bardzo dobrze, jeżeli można. Rosa nie Jengizka, Rosa Tuskarora; ma męża Tuskarora, serce Tuskarora, czuje Tuskarora – cała jest Tuskarora. Lilia nie pobieglaby powiedzieć Francuzom, że jej ojciec wraca zwyciężyć?

–Zapewne nie – odparła Mabel przyciskając w oszołomieniu dłoń do czoła. – Zapewne nie, lecz przecie ty służysz mi, pomagasz, ba, ocaliłaś mnie, Roso! Czemuś to uczyniła, jeżeli czujesz tylko jak Tuskarora?

–Rosa nie czuje tylko jak Tuskarora; czuje jak dziewczyna, jak squaw. Kocha ładna Lilia i kładzie ją sobie na piersi.

Mabel rozpłynęła się we łzach i przycisnęła tę czułą istotę do serca. Minęła minuta, nim odzyskała głos, lecz wówczas udało jej się przemówić spokojniej i bardziej składnie.

–Niechże się dowiem najgorszego, Roso – powiedziała. – Dzisiejszego wieczora twoi ludzie uczują; cóż zamierzają uczynić jutro?

–Nie wiem. Boję się widzieć Grot Strzały, boję się pytać. Oni pewnie się schowają, aż Jengizi wrócą.

–Czy twoi ludzie nie myślą uderzyć na blokhauz? Widziałaś jak potrafią mu zagrozić, jeżeli zechcą.

–Za dużo rumu. Grot Strzały śpi albo nie śmie. Francuski kapitan odszedł albo nie śmie. Wszyscy teraz śpią.

–I myślisz, że przynajmniej na tę noc jestem bezpieczna?

–Za dużo rumu. Jeżeli Lilia jest jak Rosa, może dużo zrobić dla swoich.

–Jestem taka jak ty, Roso, jeśli chęć przysłużenia się własnym rodakom może stanowić o podobieństwie do kogoś równie dzielnego!

–Nie, nie, nie! – szepnęła Rosa. – Ty nie masz odwagi, a jeśli masz, Rosa ci nie

pozwole. Matka Rosy kiedyś w niewoli, wojownicy popili się; matka wszystkich pozabijała tomahawkami. Tak robią czerwonoskóre kobiety, kiedy ich ludzie w niebezpieczeństwie i chcą skalp.

–Prawdę powiadasz – odparła Mabel, wzdrygając się i mimowolnie puszczając rękę Rosy. – Tego uczynić nie mogę. Nie mam siły ani odwagi, ni chęci nurzać mych rąk we krwi.

–Tak myślałam; ty zostań, gdzie jesteś. Blokhauz dobry – nie ma skalp.

–Sądysz tedy, że jestem tu bezpieczna, przynajmniej do powrotu ojca i jego ludzi?

–Tak wiem. Nie śmia tknąć blokhauz rano. Posłuchaj! Teraz cisza; piją rum, aż głowa opada i śpią jak kłoda.

–Czy nie mogłabym uciec? Alboż nie ma na wyspie kilku czółen? Może zabiorę jedno i popłynę uwiadomić ojca o tym, co się stało?

–Umiesz wiosłować? – spytała Rosa rzucając ukradkiem spojrzenie na swoją towarzyszkę.

–Może nie tak dobrze jak ty, lecz na tyle, by zniknąć im z oczu przed świtem.

–I co wtedy? Nie możesz wiosłować sześć, osiem mil!

–Nie mam pojęcia; wiele bym uczyniła, ażeby przestrzec ojca i przezacnego Tropicielea, i wszystkich pozostałych o niebezpieczeństwie, jakie im grozi.

–Lubisz Tropicielea?

–Lubią go wszyscy, którzy go znają; i ty byś go też polubiła – nie: pokochała, gdybyś poznała jego serce.

–Wcale go nie lubię. Za dobra strzelba, za dobre oko; za dużo ustrzeżił Irokezów i braci Rosy. Musimy dostać jego skalp, jeżeli się da.

–A ja muszę go uratować, jeżeli zdołam, Roso. W tym względzie jesteśmy więc przeciwniczkami. Gdy tylko wszyscy posną, pójdę po czółno i odpłynę z wyspy.

–Nie można; Rosa nie pozwoli. Zawoła Grot Strzały.

–Roso! Nie zdradziłabyś chyba, nie wydałabyś mnie po tym wszystkim, coś dla mnie uczyniła.

–Właśnie tak – odparowała Rosa czyniąc gest pełen niechęci i mówiąc z zapalem oraz powagą, jakich Mabel nigdy dotychczas u niej nie widziała. – Zawołam Grot

Strzały wielkim głosem. Jeden krzyk żony zbudzi wojownika. Rosa nie pozwoli Lili pomagać wróg i nie pozwoli Indianom skrzywdzić Lilia.

–Rozumiem cię, pojmuję naturę i słuszność twych uczuć, a zresztą może i lepiej będzie, jeżeli tu pozostanę, bo najprawdopodobniej przeceniłam własne siły. Ale powiedz mi jedno: jeżeli wuj przybędzie w nocy i poprosi, by go tu wpuścić, pozwolisz otworzyć mu drzwi blokhausu, prawda?

–Pewnie; on tu jeniec, a Rosa woli jeniec niż skalp. Skalp dobry dla chwały, jeniec dobry dla serca. Ale Słona Woda tak dobrze się ukrył, że sam nie wie, gdzie jest.

Tu Rosa roześmiała się w swój dziewczęcy wesoły sposób, gdyż nazbyt była oswojona z gwałtownymi scenami, by mogły wyrzeć na niej głębokie wrażenie i wpłynąć na zmianę przyrodzonego usposobienia.

Wynikła teraz długa i ożywiona rozmowa, podczas której Mabel usiłowała wyrobić sobie jaśniejsze pojęcie o swej obecnej sytuacji, miała bowiem odrobinę nadziei, że uda jej się obrócić na własną korzyść niektóre z poznanych w ten sposób faktów. Rosa odpowiadała na wszelkie pytania prosto, lecz z ostrożnością, która wskazywała, że Indianka świetnie odróżnia to, co nieważne, od tego, co mogłoby wystawić na szwank bezpieczeństwo jej przyjaciół albo utrudnić ich przyszłe poczynania. Wiadomości, których udzieliła, można by streścić jak następuje:

Grot Strzały od dawna pozostawał w kontakcie z Francuzami, ale dopiero tym razem rzucił całkowicie maskę. Nie zamierzał już wkradać się w łaski Anglików, gdyż zauważył oznaki nieufności, zwłaszcza u Tropicielea; toteż z właściwą Indianom brawurą zapragnął obecnie raczej wystąpić jawnie niżeli taić swój podstęp. Poprowadził oddział wojowników do natarcia na wyspę, jakkolwiek nadzór nad nim sprawował rzeczony Francuz; Rosa uchyliła się jednak od odpowiedzi, czy to właśnie dzięki jej mężowi wykryte zostało położenie owego miejsca, które, jak mniemano, tak dobrze było utajone przed nieprzyjacielem. Na ten temat nie chciała nic powiedzieć, przyznała jednak, że razem z mężem obserwowali odpływający „Chwist” wtedy, gdy kuter dopędził ich i pojmał. Francuzi dopiero bardzo niedawno otrzymali informację o dokładnym położeniu placówki; Mabel ścisnęło się serce na myśl, że w słowach Indianki tkwiła ukryta aluzja, jakoby owa wiadomość pochodziła od białego, który pozostawał w służbie Duncana of Lundie. Jednakże Bosa raczej dała to do zrozumienia, niż powiedziała wyraźnie, i kiedy Mabel zdołała się zastanowić nad tym, co usłyszała, doszła do wniosku, iż może mieć nadzieję, że źle zrozumiała Indiankę, a Gaspar Western wyjdzie z tej sprawy oczyszczony od wszelkich uwłaczających zarzutów.

Rosa nie zawahała się wyznać, że przysłano ją na wyspę w celu ustalenia dokładnej liczby oraz poczynąń tych, którzy na niej pozostali, aczkolwiek zdradziła 'się także w swój naiwny sposób, iż głównie chęć przysłużenia się Mabel skłoniła ją do przybycia.

W wyniku tej relacji, jak również wiadomości otrzymanych z innych, źródeł, nieprzyjaciel dokładnie poznał siłą, jaką można było przeciwko niemu wystawić. Znał także liczbę ludzi, którzy wyruszyli z sierżantem Dunhamem, świadom był celu jego wyprawy, choć niewiadome mu było miejsce, gdzie sierżant spodziewał się spotkać łodzie francuskie.

Przyjemnie byłoby obserwować, jak każda z tych szczerych niewiast żarliwie pragnie dowiedzieć się czegoś, co mogłoby mieć wagę dla jej przyjaciół, a jednocześnie przez wrodzoną delikatność powstrzymuje się od nalegania na drugą, by ujawniła coś niewłaściwego; z jak subtelnym, niemal intuicyjnym wyczuciem każda unika powiedzenia czegokolwiek, co mogłoby okazać się szkodliwe dla jej ludzi. W sprawach dotyczących ich samych panowało między obiema kobietami zupełne zaufanie, w tym zaś, co odnosiło Elą do ich rodaków, zupełna wierność. Rosa gorąco pragnęła dowiedzieć się, dokąd wyruszył sierżant i kiedy ma powrócić, ale powstrzymała się od tego pytania z delikatnością, która przyniosłaby zaszczyt najwyższej kulturze. Nie zadała też ani razu pytania, które mogłoby pośrednio doprowadzić do ujawnienia tej tak upragnionej wiadomości; natomiast gdy Mabel samorzutnie dotykała spraw, które mogły rzucić niejako światło na ów przedmiot, Rosa słuchała pilnie, nieledwie z zapartym tchem. Tak przemijały niepostrzeżenie godziny, obie kobiety bowiem zbyt były podniecone, by myśleć o spoczynku. Jednak przed świtem natura upomniała się o swoje prawa; Rosa zdołała namówić Mabel, by położyła się na jednym z sienników przeznaczonych dla żołnierzy i dziewczyna wkrótce zapadła w głęboki sen. Rosa spoczęła przy niej i na całej wyspie zapanowała cisza tak niezmacona, jak gdyby do królestwa puszczy nigdy nie wtargnął człowiek. Gdy Mabel obudziła się, światło słoneczne wlewało się strumieniami przez strzelnicę i dziewczyna stwierdziła, że pora jest już dość późna. Rosa nadal leżała obok niej tak spokojnie, jak gdyby spoczywała – nie powiemy w puchu, albowiem wyższa cywilizacja naszych czasów wyklucza podobne porównanie – ale na francuskim materacu, pogrążona we śnie tak głębokim, jakby nigdy nie doświadczyła troski. Jednakże ruch, który uczyniła Mabel, wprędce przebudził istotę tak przyzwyczajoną do czujności i wtedy obie kobiety poczęły obserwować przez strzelnicę, co dzieje się na wyspie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Na cóżeś Stwórcy potrzebna, o Nocy?

Wszak On świat w ciągłym utrzymuje ruchu,

By jego piękno podziwiały oczy –

A ty je mrokiem zasnuwasz! W łóż puchu

Leniwe ciało, nie dając posłuchu

Oczom ni uszom – w rozkoszy snu tonie,

I z głębi Styksu, Ciebie, mroków ducha,

Zwie swą boginią – i w kornym pokłonie

Uwielbieniem wyróżnia w cór Natury gronie.

Królowa wróżek

Spokojowi ubiegłej nocy nie przeciwstawił się ruch' za dnia. Chociaż Mabel i Rosa podchodziły do wszystkich. strzelnic, nie mogły zrazu dostrzec żadnej oznaki, iż na wyspie przebywa oprócz nich jakakolwiek żywa istota. W miejscu, gdzie M'Nab i jego koledzy gotowali sobie posiłek, tlił się ogień, jak gdyby dym wijący się w górę miał stanowić przynętę dla nieobecnych, wszystko zaś wokół chat przywrócone zostało do porządku i ładu. Mabel mimowolnie drgnęła, kiedy jej oko wreszcie spoczęło na grupce złożonej z trzech mężczyzn, przybranych w szkarłatną barwę pięćdziesiątego piątego regimentu, siedzących w niedbałych pozach na trawie, jak gdyby gawędzili obojętnie, w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa, a krew zakrzepła jej w żyłach, gdy przypatrzywszy się uważnie, rozeznała bezkrwiste lica i szklane oczy trupów.

Zwłoki znajdowały się bardzo blisko blokhauzu, tak blisko zaiste, że można ich było nie zauważyć za pierwszym pośpiesznym spojrzeniem, a w ich postawach i gestach była jakaś kpiąca beztroska, od której wzdrygała się dusza, ciała sztywniały bowiem w różnych pozycjach, które miały przypominać życie. Jednakże choć owa grupa była potworna dla tych, co znajdowali się dość blisko, by wykryć przerażającą rozbieżność między jej prawdziwym a rzekomym charakterem, rozmieszczono ją przecie tale kunsztownie, że z odległości stu jardów mogła zmylić nie dość uważnego obserwatora.

Rosa przyjrząwszy się uważnie brzegom wyspy wskazała swej towarzysze czwartego żołnierza, który przywiązany plecami do młodego drzewka siedział

zwiesiwszy nogi nad wodą, w rękę zaś dzierżył wędką. Oskalpowane głowy przykryto czapkami, a ślady krwi zmyto starannie ze wszystkich twarzy.

Mabel zrobiło się słabo na ów widok, który nie tylko zadawał okropny gwałt wszelkim jej pojęciom o przystojności, ale sam w sobie był oburzający i sprzeczny z naturalnymi uczuciami. Cofnęła się, usiadła i przez kilka minut trwała z twarzą ukrytą w fartuszkach, póki ciche wołanie Rosy nie zaweźwało jej znów do strzelnicy. Indianka wskazała jej ciało Jennie, niby stojącej w drzwiach jednej z chat i wychylonej nieco, jak gdyby chciała przyjrzeć się grupce mężczyzn; z czepcem jej igrał wiatr, a ręka zaciśnięta była na miotle. Odległość była zbyt wielka, aby wyraźnie rozróżnić rysy, lecz Mabel wydało się, że szczękę odciągnięto do dołu, jak gdyby po to, aby wykrzywić usta czymś w rodzaju przerażającego uśmiechu.

–Roso! Roso! – wykrzyknęła dziewczyna. – To już przechodzi wszystko, com słyszała, czy też wyobrażała sobie o podstępach i fortelach twych ludzi.

–Tuskarora bardzo przebiegłi – powiedziała Rosa tonem, który wskazywał, że raczej pochwała, niż gani użytek zrobiony ze zwłok. – Teraz już nie czyni krzywdy żołnierzowi, a Irokezowi robi dobrze; najpierw zdjął skalp, potem ciałom kazał pracować. Jeszcze później je spali.

Te słowa powiedziały Mabel, jak wiele dzieli ją od przyjaciółki, toteż minęło kilka minut, zanim zdołała znów -do niej przemówić. Jednakże Rosa nie zwróciła uwagi na tę chwilową odrazę, zaczęła bowiem przygotowywać proste śniadanie, jak gdyby chcąc pokazać, że jest niewrażliwa na takie uczucia innych ludzi, które własne obyczaje każą jej odrzucać.

Mabel jadła niewiele, jej towarzyszka natomiast tak, jakby nie się nie stało. Potem znów miały dość czasu na rozmyślanie i dalszą obserwację wyspy. Nasza bohaterka, choć pożerana gorączkowym pragnieniem ciągłego trwania przy strzelnicach, najczęściej cofała się od nich z odrazą, aczkolwiek niepokój przymuszał ją do powrotu po kilku minutach na odgłos szeleszczących liści albo westchnienia wiatru. Było zaiste coś przejmującego w tym opustoszałym miejscu zaludnionym trupami, którym przydano rynsztunek żywych oraz postawę znamionującą beztroską wesołość i niewymyślnie uciechy. Wrażenia naszej bohaterki wielce były podobne do tych, jakich by doznała przypatrując się igraszkom demonów.

Przez cały nie kończący się dzień nie było widać ani jednego Indianina czy Francuza i noc zapadła nad ową straszliwą, ale milczącą maskaradą ze stałą, niezmienną regularnością, z jaką ziemia posłuszna jest swoim prawom, obojętna na mizernych aktorów i błahe sceny, rozgrywające się na jej łonie pośród codziennej ludzkiej krzątaniny. Noc ta przeszła o wiele spokojniej niż poprzednia, a Mabel zasnęła z wielką ufnością, ponieważ była już teraz przekonana, że los jej nie rozstrzygnie się przed powrotem ojca. Spodziewała go się jednak następnego dnia, toteż zaraz po

obudzeniu podbiegła skwapliwie do strzelnic, chcąc się przekonać, jaki jest stan pogody, wygląd nieba i sytuacja na wyspie.

Potworna grupa nadal siedziała na trawie, rybak wciąż pochylony był nad wodą, jak gdyby skupił całą uwagę na swej rozrywce, a zniekształcona twarz Jennie wзираła z chaty, skrzywiona potwornym grymasem. Natomiast pogoda się odmieniła; wiatr ostro dął od południa i choć powietrze było balsamiczne, czuło się w nim zapowiedź burzy.

–Coraz trudniej to znieść, Roso – powiedziała Mabel odchodząc od okienka. – Wolałabym już chyba ujrzeć wroga niż dłużej patrzeć na tę straszną grupę zabitych.

–Cicho! Nadchodzą. Rosa jakby słyszy taki krzyk jak wojownika, kiedy bierze skalp.

–Jak to? Przecież nie ma już rzezi – nie może jej więcej być!

–Słona Woda! – wykrzyknęła ze śmiechem Rosa wyglądając przez strzelnicę!

–Wujaszek kochany! Bogu dzięki, więc żyje! Och, Roso, Roso, chyba nie pozwolisz, aby tamci zrobili mu krzywdę?

–Rosa biedna squaw. Któryż wojownik zważa, co ona mówi? Grot Strzały prowadzi go tutaj.

Mabel już była przy strzelnicy; jakoż istotnie ujrzała Capa i kwatermistrza w rękach około dziesięciu Indian, którzy prowadzili ich do stóp blokhauzu, albowiem dzięki owej zdobyczy wróg wiedział już dobrze, iż w budynku nie ma żadnego mężczyzny. Mabel powstrzymała dech w piersiach, dopóki cała grupa nie ustawiła się tuż przed drzwiami; wówczas dziewczyna ku swojej radości spostrzegła, że pośród przybyłych jest także francuski oficer. Wywiązała się teraz cicha rozmowa, przy czym zarówno biały przywódca, jak i Grot Strzały przemawiali z powagą do swoich jeńców, następnie zaś kwatermistrz zawołał do Mabel głosem dosyć donośnym, by mogła go usłyszeć:

–Nadobna Mabel! Nadobna Mabel! Wyjrzyj przez którąś ze strzelnic i ulituj się naszej niedoli! Grozi nam śmierć natychmiastowa, jeżeli nie otworzysz drzwi zwycięzcom. Dajże się więc ubłagać, gdyż inaczej zdejmą nam skalpy nie później niż w pół godziny od tej chwili.

Mabel wydało się, że w owym wezwaniu jest jakby coś kpiącego i żartobliwego, a jego ton raczej umocnił, niż zachwiał jej decyzję utrzymania blokhauzu jak można najdłużej.

–Przemów do mnie, wuju – zawołała przykładając usta do otworu strzelnicy – i powiedz, co winnam uczynić!

–Bogu chwała! Bogu chwała! – wykrzyknął Cap. – Dźwięk twego słodkiego głosu, Magnesku, zrzuca mi ciężkie brzemię z serca, bo lękałem się, że podzieliłaś los biednej Jennie. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny czułem się, jakby mi złożono na piersi całą tonę balastu! Pytasz mnie, dziecię, co winnaś uczynić, a ja nie wiem, jak ci radzić, choć jesteś córką mej własnej siostry! Mogę w tej chwili tylko powiedzieć, moje biedactwo, że powinniśmy serdecznie przeklinać dzień, w którym ty czy ja zobaczyliśmy ten skrawek słodkiej wody!

–Ale, wuju, czy twoje życie naprawdę jest w niebezpieczeństwie? Czy myślisz, że powinnam otworzyć drzwi?

–Lina dobrze okręcona i zaciągnięta na dwa węzły trzyma krzepko; nie radziłbym nikomu, kto nie jest w rękach tych diabłów, odwiązywać czy odmykać cokolwiek po to, aby w nie wpaść. Co się tyczy kwatermistrza i mnie, to jesteśmy już obaj wiekowi i niewiele z nas pożytku dla ludzkości w ogóle, jakby powiedział zacny Tropiciel. Jeśli idzie o kwatermistrza, małą mu sprawi różnicę, czy zbilansuje w tym czy w następnym roku księgi płatnika; co do mnie zaś, no to gdybym był gdzieś przy morzu, wiedziałbym, co czynić, natomiast tutaj, w tej wodnej głuszy, mogę tylko powiedzieć, że jeślibym siedział za tym tu kawałkiem nadburcia, trzeba by wiele indiańskiej logiki, aby mnie zza niego wykurzyć!

–Nie słuchaj, śliczna Mabel, co prawi wujaszek – wtrącił Muir – albowiem nieszczęście snadź szybko miesza mu rozum i daleki jest od liczenia się z wszystkimi wymogami tej tak krytycznej chwili. Przyznać należy, że znaleźliśmy się w rękach osób nader względnych i szlachetnych, toteż nie ma wielkiej racji obawiać się nieprzyjemnych gwałtów. Ponieśliśmy wprawdzie straty w ludziach, lecz są to wypadki zwyczajne na wojnie, które nie mogą odmienić naszej opinii o nieprzyjacielu, nie wskazują bowiem zgoła, by jeńcom miała być wyrządzona jakowaś niesprawiedliwość. Ani imć Cap, ani ja, nie mamy z pewnością żadnego powodu, aby się skarżyć, odkąd oddaliśmy się w ręce pana Grota Strzały, który swymi cnotami i umiarem przywodzi na myśl Rzymianina lub Spartanina. Wszelako pamiętać musisz, że różne są obyczaje, i przeto skalpy nasze, jeżeli ich nie ocalisz kapitulując, mogą się stać słuszną ofiarą złożoną dla przebłagania cieniów zabitych, wrogów.

–Uczynię mądrzej, zostając w blokhauzie do chwili rozstrzygnięcia losu wyspy – odparła Mabel. – Nieprzyjaciół naszych nie może uspokoić ktoś taki jak ja, gdyż wiedzą, że nie jestem zdolna uczynić im krzywdy. Ja zaś wolę pozostać tutaj, bo jest to odpowiedniejsze dla mojej płci i wieku.

–Gdyby chodziło tylko o twoją wygodę, panno Mabel, wszyscy z radością przystalibyśmy na twe życzenie; wszelako ci panowie uważają, że blokhauz będzie im pomocny w operacjach wojennych i żywią usilne pragnienie zawładnięcia nim. Mówiąc szczerze, wyznam, że znalazłszy się z twoim wujem w nader osobliwym położeniu i chcąc uniknąć przykrych skutków, przejąłem władzę należną oficerowi

króla jegomości i ustnie złożyłem kapitulację, na mocy której zobowiązałem się oddać blokhauz i całą wyspę. Jest to wojenny los, któremu trzeba się poddać; otwórz więc niezwłocznie drzwi, nadobna panno Mabel, i powierz się pieczy tych, którzy wiedzą, jak należy traktować piękność i cnotę w nieszczęściu. W całej Szkocji nie znajdziesz dworaka uprzejmiejszego od tego wodza, ni lepiej obeznanego z nakazami przystojności.

–Nie wychodzić z blokhauzu – szepnęła Rosa, która stała obok Mabel obserwując bacznie to, co się stało. – Blokhauz dobry, nie ma skalp.

Nasza bohaterka byłaby już uległa, gdyby nie to napomnienie, zaczynało jej się bowiem wydawać, że najroztropniej będzie zjednać sobie nieprzyjaciela ustępstwami, niż go rozwścieczać oporem. Musiał on przecież wiedzieć, że skoro Muir i wuj znajdują się w jego mocy, w budynku nie ma żadnego mężczyzny; Mabel złąła się więc, że Irokezi wyważą drzwi lub toporami wyrąbią otwór w klocach, jeżeli, będzie uparcie odmawiała pokojowego wpuszczenia ich do wnętrza, zwłaszcza że nie mieli już powodu obawiać się strzelby. Jednakże zawahała się pod wpływem słów Rosy, a poważne ściśnięcie jej dłoni i błagalny wzrok towarzyszki umocniły zachwianą decyzję.

–Jeszcze nie w niewoli – szepnęła Rosa. – Niech wezmą jeńca, zanim dostaną jeńca. Dużo mówić; Rosa dać sobie z nimi radę.

Mabel zaczęła teraz przemawiać do Muira z większą stanowczością, jako że wuj był najwidoczniej skłonny uciszyć własne sumienie, trzymając język za zębami. Dziewczyna tedy wyraźnie oświadczyła, że nie ma zamiaru oddać blokhauzu.

–Zapominasz o kapitulacji, panno Mabel – odparł Muir. – Wchodzi tu w rachubę honor jednego ze sług jego królewskiej mości, a przezeń i honor samego najjaśniejszego pana. Chyba wiesz, jaką subtelnością i delikatnością odznacza się honor żołnierza?

–Wiem dosyć, mości Muir. aby zrozumieć, że w tej wyprawie nie panu zlecono dowodzenie i przeto nie masz pan prawa oddawać blokhauzu; co więcej, przypominam sobie, jak ojciec mawiał, że jeniec przejściowo traci całą swą władzę.

–Licha to sofistyka, piękna panno Mabel, i zdrada wobec króla, jak również dyshonor dla jego oficera, a ujma dla imienia. Nie będziesz obstawała przy swoim zamiarze, gdy znajdziesz chwilę czasu, by zastanowić się głębiej i wyciągnąć wnioski dotyczące się sytuacji tudzież okoliczności.

–Aha – wtrącił Cap. – To jest istotnie okoliczność!

–Nie zważaj, co wuj mówi! – wykrzyknęła Rosa, zajęta czymś w drugim końcu izby.
– Blokhauz dobry, nie ma skalp.

–Zostanę tu, gdzie jestem, panie Muir, dopóki nie otrzymam jakiejś wieści od ojca. Wróci on w ciągu najbliższych dziesięciu dni.

–Ach, panno Mabel, jego fortele nie zwiodą nieprzyjaciela, albowiem jakimś sposobem – który byłby niepojęty, gdyby nasze podejrzenia nie kierowały się aż nazbyt przekonująco ku pewnemu nieszczęsnemu młodzieńcowi – wróg zna wszystkie nasze poczynania i plany oraz dobrze wie, że nim słońce zajdzie, zacny sierżant wraz ze swymi ludźmi będzie już w jego mocy. Zgódź się, boć uległość wobec Opatrzności jest cnotą prawdziwie chrześcijańską.

–Mości Muir, widać mylnie oceniasz siłę tej forteczki i wyobrażasz sobie, że jest słabsza niż w rzeczywistości. Chciałbyś zobaczyć, jak potrafię się bronić, jeżeli będę miała po temu ochotę?

–Czemu nie? – odparł kwatermistrz z zaciekawieniem.

–Cóż tedy myślisz pan o tym? Spójrz na strzelnicę górnego piętra.

Zaledwie Mabel wyrzekła te słowa, wszystkie oczy skierowały się ku górze i ujrzały lufę strzelby, ostrożnie wysuniętą przez otwór. Rosa ponownie uciekła się do fortelu, który już raz okazał się tak skuteczny.

Rezultat nie zawiódł oczekiwań. Zaledwie Indianie spostrzegli śmiercionośną broń, uskoczyli na bok i w minutę skryli się co do jednego. Francuski oficer nie spuszczać oka z lufy, ażeby się upewnić, czy nie jest wymierzona prosto w niego, spokojnie zażył szczyptę tabaki. Ponieważ zaś ani Muir, ani Cap nie mieli się czego obawiać ze strony, z której niebezpieczeństwo zagrażało innym, stali więc dalej na miejscu.

–Bądźże rozsądna, miła panno Mabel, bądźże rozsądna! – wykrzyknął Muir. – Nie wywołuj niepotrzebnego konfliktu! – W imię wszystkich królów Albynu któż to się zamknął z tobą w tej drewnianej baszcie, że tyle ma zimnej krwi? Tkwią w tym jakieś czary, a my wszyscy możemy zapłacić za wyjaśnienie tajemnicy!

–A co pan byś myślał, mości Muir, o Tropicielu, jako załodze tak silnej placówki? – zawołała Mabel uciekając się do dwuznacznika nader usprawiedliwionego przez okoliczności. – I co sądzą pańscy francuscy oraz indiańscy towarzysze o celności strzelby Tropicieła?

–Bądźże łaskawsza dla nieszczęśliwych, śliczna Mabel, i nie mieszaj wrogów króla z jego sługami – oby niebiosy błogosławiły jemu i wszystkim jego monarszym następcom! Jeśli Tropiciel doprawdy jest w blokhauzie, niechaj przemówi, a my będziemy rokować z nim bezpośrednio. On wie, żeśmy mu przyjaciółmi, toteż nie mamy obaw, by nam wyrządził krzywdę, zwłaszcza zaś mnie, bo umysł wspaniałomyślny skłonny jest uznać rywalizację o pewne sprawy za mocną

podstawę wzajemnego szacunku i przyjaźni, ile że uwielbienie tej samej niewiasty dowodzi wspólnoty uczuć i gustów.

Ufności pokładanej w przyjaźni z Tropicielem nie podzielał wszakże nikt poza kwatermistrzem i Capem, gdyż nawet oficer francuski, który dotychczas dzielnie dotrzymywał pola, odskoczył na dźwięk straszliwego imienia. Ten człowiek o żelaznych nerwach, z dawna przywykły do niebezpieczeństw szczególnej wojny, w której brał udział, tak widać był niechętny myśli o wystawieniu się na cios Postrachu Zwierząt – który całym pograniczu cieszył się ustaloną sławą, równą tej, jaką Marlborough. otoczony był w Europie – że nie wzdragał się poszukać osłony, nalegając, by obaj jeńcy podążyli za nim. Mabel zbyt była rada z pozbycia się wrogów, by ubolewać nad odejściem przyjaciół, więc tylko przez strzelnicę przesłała Capowi pocałunek i wykrzyknęła doń kilka czułych słów, gdy z wolna i niechętnie odchodził.

Nieprzyjaciel poniechał snadź na razie wszelkich prób atakowania blokhauzu. Rosa, która poszła wyrzeć przez klapę w dachu, skąd roztaczał się najlepszy widok, doniosła, że wszyscy zasiedli do posiłku w oddalonej i zasłoniętej części wyspy. Muir i Cap spokojnie raczyli się podawanymi przysmakami, jak gdyby nie dążyła im żadna troska. Wiadomość ta przyniosła ogromną ulgę Mabel, która poczęła znów przemyśliwać nad sposobami ucieczki albo przynajmniej powiadomienia ojca o czyhającym nań niebezpieczeństwie. Sierżant miał wrócić tegoż popołudnia, dziewczyna wiedziała przeto, że każda zyskana czy. stracona chwila może rozstrzygnąć o jego losie.

Minęło kilka godzin. Wyspa znów była pogrążona w głębokiej ciszy, dzień miał się ku końcowi, a Mabel wciąż jeszcze nic nie postanowiła. Rosa przebywała na dole, przygotowując skromny posiłek. Mabel zaś weszła na dach, w którym była kłapa pozwalająca wydostać się na szczyt budynku. Stamtąd miała najlepszy widok na wszystko do- koła, chociaż i ten był ograniczony, gdyż mocno go przesłaniały konary drzew.

Niespokojna dziewczyna nie ośmieliła się pokazać, wiedząc dobrze, iż niepohamowane namiętności któregoś z dzikich mogą go skłonić do roztrzaskania kulą jej czaszki. Toteż wysunęła jedynie głowę z otworu; i tak w ciągu popołudnia dokonała tyluż obserwacji różnorodnych kanałów dokoła wyspy, co „Siostra Anna” okolic zamku Sinobrodego.

Słońce już zaszło; ponieważ nie było żadnej wieści o łodziach, Mabel znów weszła na dach, by rozejrzeć się po raz ostatni. Miała nadzieję, że oddział przyplynie, gdy już zapadną ciemności, co przynajmniej przeszkodzi Indianom urządzić zasadzką tak fatalną w skutkach, jak o innej porze, jej samej zaś pozwoli dać wyraźniejsze niż w dzień sygnały za pomocą ognia.

Oczy dziewczyny bacznie obiegły cały horyzont i właśnie miała skryć się na powrót w otworze, gdy jej uwagę zwrócił pewien przedmiot, uderzyło ją bowiem, iż przedtem go nie widziała. Wysepki leżały tak blisko siebie, że mogła objąć wzrokiem sześć lub osiem dzielących je kanałów czy przesmyków; i oto na jednym z najbardziej ocienionych, w znacznej mierze przesłonięte przez nadbrzeżne zarośla, znajdowało się coś, co przy powtórnym spojrzeniu rozpoznała jako czółno z kory. Nie było również wątpliwości, że siedzi w nim ludzka istota. Ufając, że jeśli to wróg, sygnał nie może nic zaszkodzić, jeśli zaś przyjaciel, może mieć dobre skutki, dziewczyna z zapalem jęła powiewać w stronę nieznanego niewielką chorągiewką przygotowaną dla ojca, bacząc zarazem, by nie dojrzano jej z wyspy.

Powtórzyła na próżno swój sygnał osiem czy dziesięć razy i już straciła nadzieję, by został zauważony, kiedy odwzajemniona jej znak poruszeniem wiosła, a człowiek w czólnie ukazał się na tyle, że rozpoznała w nim Chingachgooka. Oto więc nareszcie przybywał przyjaciel, i to taki, który mógł – a z całą pewnością chciał – udzielić jej pomocy.

Od tej chwili odżył w niej duch i odwaga. Mohikanin ją dojrzał, musiał ją też rozpoznać, ponieważ wiedział o obecności Mabel na wyspie, nie było więc wątpliwości, że gdy tylko ściemni się dostatecznie, przedsięwzięcie kroki konieczne do uwolnienia dziewczyny. Po wielkiej ostrożności, jaką zachowywał, widać było, iż świadom jest, że na wyspie przebywają wrogowie, Mabel zaś najzupełniej polegała na jego rozwadze i zręczności. Główne utrudnienie stanowiła obecnie Rosa, albowiem Mabel zbyt dobrze poznała jej wierność wobec swoich – acz umniejszoną przez sympatię dla niej samej – by mniemać, że Rosa dozwoli wrogowi Indianinowi wejść do blokhauzu albo jej samej wyjść w zamiarze udaremnienia planów Grota Strzały.

Pół godziny, które minęło od chwili wykrycia obecności Wielkiego Węża, należało do najcięższych w życiu Mabel Dunham. Widziała, iż środki spełnienia wszystkich jej życzeń są tak blisko, że wystarczy niejako sięgnąć ręką – a przecież się wymykają. Wiadomo jej było, jak stanowcza i opanowana jest Rosa pomimo swej łagodności i czułości niewieściej, toteż w końcu doszła z niechęcią do wniosku, że nie ma innego sposobu dopięcia swego, jak tylko wywieść w pole swą wypróbowaną towarzyszkę i opiekunkę.

Dla istoty tak szczerzej i bezpośrednio, obdarzonej tak czystym sercem i taką prostotą jak Mabel Dunham, podstęp w stosunku do przyjaciółki był czymś odpychającym, ale tu szło o życie ojca, Rosa nie miała ponieść żadnego szwanku, a prócz tego wchodziły w grę uczucia i zainteresowania, które bezpośrednio dotyczyły Mabel, a zdolne były przewyciężyć jeszcze większe skrupuły.

Gdy tylko zapadł zmrok, serce Mabel jęło bić ze wzmożoną gwałtownością; w ciągu jednej godziny co najmniej dwanaście razy zmieniała plany postępowania. Rosa wciąż stanowiła dla niej źródło największych kłopotów, gdy Mabel po pierwsze nie

bardzo wiedziała, jak ma się upewnić, kiedy Chingachgook stanie przed drzwiami – nie wątpiła bowiem, że rychło tam się zjawi – po wtóre zaś nie miała pojęcia, jak go wpuścić nie alarmując swej czujnej towarzyszki. Czas jednak nagiął. Mohikanin mógł przyjść i odejść, jeżeliby nie była gotowa na jego przyjęcie. Dla Delawara byłoby rzeczą nazbyt ryzykowną pozostawać długo na wyspie, toteż należało koniecznie wybrać jakąś linię postępowania, choćby nawet niewłaściwą. Rozważywszy tedy różne projekty, Mabel podeszła do swej towarzyszki i powiedziała z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć:

–Nie boisz się, Roso, iż teraz, kiedy twoi ludzie mniemają, że Tropiciel jest w blokhauzie, przyjdą i popróbują podłożyć ogień?

–Nie myślę taka rzecz. Nie spalą blokhauzu. Blokhauz dobry, nie ma skalp.

–Tego nie możemy wiedzieć. Ukryli się, bo mi uwierzyli, kiedy powiedziałam, że Tropiciel jest z nami.

–Wierzą strach. Strach szybko przychodzi, szybko odchodzi. Strach każe uciekać; rozum każe wrócić. Strach robi z wojownika głupca tak samo jak dziewczyna.

Tu Rosa roześmiała się, jak skłonne są czynić dziewczęta, kiedy ich młodzieńczej wyobraźni nastrocza się coś szczególnie zabawnego.

–Czuję się jakoś nieswojo; Roso, chciałabym, byś znowu weszła na dach i wyjrzała, aby się upewnić, czy nic przeciwko nam nie knują. Znasz lepiej ode mnie znaki, wskazujące, co zamierzają czynić twoi ludzie.

–Rosa pójdzie, bo Lilia chce, ale dobrze wie, że Indianie śpią; czekają na ojciec. Wojownik je, pije i śpi cały czas, jak nie walczy i nie jest na ścieżce wojennej. Wtedy nigdy nie śpi, nie je, nie pije – nigdy nie czuje. Teraz wojownik śpi.

–Daj Boże, aby tak było! Ale jednak idź na górę, Roso droga, i rozejrzyj się dobrze. Niebezpieczeństwo może przyjść, kiedy go się najmniej spodziewamy.

Rosa wstała i poczęła wchodzić na górę, lecz zatrzymała się oparłszy nogę na pierwszym szczeblu drabiny. Serce Mabel zabiło tak gwałtownie, iż złękła się, by Indianka nie dosłyszała jego uderzeń, wydało jej się bowiem, że przyjaciółce poczyna świtać w głowie, jakie są jej prawdziwe intencje. Miała częściowo słuszość, bo Indianka przystanęła, aby rozważyć, czy nie popełniła jakiejś nieostrożności. W pierwszej chwili przeleciało jej przez 'myśl podejrzenie, że Mabel chce uciekać, odrzuciła je wszakże, ponieważ blada twarz nie miała żadnego sposobu wydostania się z wyspy, blokhauz zaś był najbezpieczniejszym miejscem, jakie mogła znaleźć. Następną myślą było, że Mabel wykryła jakieś oznaki bliskiego powrotu ojca. Ale i to przypuszczenie trwało zaledwie chwilę, gdyż Rosa miała taką mniej więcej opinię o zdolności swej przyjaciółki do pojmowania podobnych oznak – które wymknęłyby się

jej własnej przenikliwości – jaką żywi wykwiwna dama o talentach swej pokojówki. Ponieważ nie nasuwało się jej nic więcej w tym rodzaju, Rosa zaczęła z wolna wchodzić po drabinie.

Właśnie kiedy dotarła na górne piętro, bohaterce naszej nastręczyła się szczęśliwa myśl, wyraziwszy ją zaś pośpiesznie, lecz w sposób naturalny, ułatwiła sobie znacznie, wykonanie swego planu.

–Zejdę na dół – powiedziała – i posłucham pod drzwiami, Roso, a ty wejdiesz na dach. W ten sposób będziemy jednocześnie czuwały na górze i na dole.

Aczkolwiek Rosa uznała to za zbyt ostrożność, wiedziała bowiem doskonale, iż nikt nie zdoła wejść do budynku bez pomocy z wewnątrz, a żadne poważne niebezpieczeństwo nie może im niespodziewanie zagrozić, przypisała tę propozycję niewiedzy i bojaźni Mabel, a ponieważ uczyniono ją w sposób szczerzy, przyjęta więc została bez nieufności. Dzięki temu nasza bohaterka mogła zejść do drzwi, gdy przyjaciółka jej wdrapała się na dach.

Dzieliła je teraz odległość zbyt duża, by mogły podtrzymywać rozmowę, toteż przez kilka minut jedna rozglądała się dokoła, w miarę jak na to pozwalały ciemności, druga zaś słuchała pod drzwiami z takim napięciem, jak gdyby Wszystkie jej zmysły przemieniły się w słuch.

Ze swego wyniosłego stanowiska Rosa nic nie wyśledziła, mrok bowiem przesłaniał wszystko. Natomiast niełatwo byłoby opisać wrażenia, jakich doświadczyła Mabel, kiedy wydało jej się, że wyczuwa lekki, ostrożny nacisk na drzwi.

Lękając się, że nie wszystko pójdzie po jej myśli, a pragnąc dać znak Chingachgookowi o swej bliskości, poczęła nucić zniżonym i drżącym głosem. W chwili owej panowała cisza tak głęboka, że niepewne, szczebiotliwe dźwięki dotarły aż na dach i Rosa natychmiast poczęła schodzić. Zaraz potem rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Mabel stropiła się, gdyż nie było czasu do stracenia. Nadzieja okazała się silniejsza od strachu; dziewczyna zaczęła podnosić sztaby drżącymi rękami. W chwili gdy jedna była podniesiona, Mabel usłyszała tupot mokasynów Rosy na piętrze. Kiedy zdejmowała drugą, postać Indianki ukazała się na połowie drabiny.

–Co ty robisz? – wykrzyknęła gniewnie Rosa. – Uciekasz? Szalona, wychodzić z blokhauzu; blokhauz dobry!

Obie chwyciły ostatnią sztabę, która byłaby już podniesiona, gdyby nie to, że zacięła się wskutek energicznego pchnięcia z zewnątrz. Wynikło krótkie szamotanie, choć obie kobiety niechętnie uciekały się do przemocy. Rosa wzięłaby zapewne górę, gdyby nie to, że ponowne i jeszcze silniejsze pchnięcie od strony zewnętrznej

przewyciężyło ową drobną przeszkodę, która przytrzymała sztabę, i drzwi rozwarły się. W wejściu ukazała się postać mężczyzny, zaś obie niewiasty wbiegły pędem po drabinie, jak gdyby na równi lękały się tego, co ma nastąpić.

Nieznajomy zabezpieczył drzwi i przepatrzywszy nader starannie dolną izbę, począł ostrożnie wchodzić po drabinie. Kiedy się ściemniło, Rosa pozamykała była strzelnicę pierwszego piętra i zapaliła świeczkę. Teraz przy mdłym świetle tej łojówki obie kobiety stały czekając, kim okaże się ich gość, którego ostrożne stąpanie po szczeblach drabiny było wyraźnie dosłyszalne choć bardzo powolne. Niełatwo byłoby orzec, którą z nich ogarnęło większe osłupienie, gdy 'w nieznanym wynurzającym się z otworu poznały Tropicielela.

–Bogu chwała! – krzyknęła Mabel, gdyż od razu przeleciało jej przez myśl, że z podobną załogą blokhauz będzie nie do zdobycia. – Och, Tropicielu! Co się stało z moim ojcem?

–Dotychczas jest bezpieczny i zwycięski, choć nie w ludzkiej to mocy powiedzieć, jaki jeszcze będzie koniec. Czyżby to żona Grota Strzały kryła się tam po kątach?

–Nie mów o niej z wyrzutem, Tropicielu; zawdzięczam jej to, że żyję i że obecnie bezpieczna. Mów, co się stało z oddziałem mojego ojca, skąd wzięłeś się tutaj, a ja opowiem ci o wszystkich okropnościach, jakie zdarzyły się na tej wyspie.

–Na to wystarczy kilka słów, Mabel, boć człowiekowi przyzwyczajonemu do diabelstw indiańskich nie trzeba wiele wyjaśniać. Co do wyprawy, to nie zawiodła naszych nadziei; Wielki Wąż był na czatach i dostarczył nam wszelkich wiadomości, jakich tylko serce mogło zapragnąć. Wciągnęliśmy w zasadzkę trzy łodzie, wyparliśmy z nich Francuzów, łodzie zdobyliśmy i zgodnie z rozkazem zatopili w najgłębszej części kanału. Dzikim z Górnej Kanady kiepsko się będzie wiodło tej zimy bez indiańskich towarów! Także prochu i kul nie będą mieli tyle, by zadowolić zajadłych myśliwców i ochotnych wojowników. Nie straciliśmy nikogo, nikt nie był nawet drażnięty, nie warto zaś mówić o stratach wroga. Krótko rzekłszy, była to akuratnie taka wyprawa, jaką lubi Lundie; dużo szkód u nieprzyjaciela, a mało u nas samych.

–Ach, Tropicielu, obawiam się, że kiedy major Duncan usłyszy całą naszą smutną historię, będzie miał powody do żalu, iż w ogóle przedsięwziął tę wyprawę.

–Wiem, o co ci idzie, wiem dobrze; ale zrozumiesz rzecz lepiej, jeśli od razu wszystko opowiem. Gdy tylko sierżant osiągnął zwycięstwo, wysłał mnie i Węża, aby cię powiadomić, jaki obrót przyjęły sprawy. Sam płynię z dwiema łodziami, które nie mogą tu przybyć przed ranem, bo są o wiele cięższe od mego czółna. Z Chingachgookiem rozstałem się dziś przed południem, postanowiliśmy bowiem, że on popłynie jednymi kanałami, ja zaś drugimi, by się upewnić, czy droga jest wolna.

Od tej pory nie widziałem wodza.

Mabel wyjaśniła teraz, jakim sposobem wypatrzyła Mohikanina, i czemu spodziewała się jego przybycia do blokhauzu.

–O nie on tego nie robi! Rzetelny zwiadowca nigdy nie zamknie się za murem czy kłocami, dopóki można przebywać na otwartym powietrzu i znaleźć sobie pożyteczne zajęcie. Ja sam też bym nie przyszedł, Mabel, ale obiecałem sierżantowi pokrzepić cię na duchu i dopilnować, aby nie stało ci się nic złego. Niestety! Z ciężkim sercem obserwowałem dziś z dala wyspę i gorzka to była chwila, kiedym pomyślał, że może i ty jesteś pośród zabitych!

–Jakież to szczęśny przypadek sprawił, żeś nie podpłynął do wyspy i nie wpadł w ręce wroga?

–Taki to był przypadek, Mabel, jakim posługuje się Opatrzność, aby oświecić ogary, gdzie mogą znaleźć jelenia, jelenia zaś – jak zmylić trop ogarom. Nie, nie! Te fortele i diabelskie sztuczki z trupami mogą zwieść żołnierzy z pięćdziesiątego piątego oraz królewskich oficerów, ale nie zdadzą się na nic, gdy idzie o ludzi, którzy całe życie spędzili w puszczy. Wypłynąłem z kanału naprzeciw owego rzekomego rybaka, lecz chociaż te gadziny usadziły nieszczęśnika nader kunsztownie, nie uczyniły tego dość zmyślnie, by wywieść w pole doświadczone oczy. Wędka trzymana była zbyt wysoko, boć przecie ludzie z pięćdziesiątego piątego nauczyli się już w Oswego łowić ryby, jeżeli nawet nie umieli tego przedtem; nadto ów człowiek siedział za spokojnie jak na kogoś, komu ryba nie chwyta. Zresztą nigdy nie podchodzimy na ślepo do placówki; raz przeleżałem całą noc przed pewnym fortem, bo pozmieniali tam posterunki i sposób pełnienia warty. Ani Wąż, ani ja nie dalibyśmy się nabrać na te niezdarne sztuczki, które najpewniej przeznaczone były dla Szkotów, ci bowiem są dość szczwani w niektórych rzeczach, ale wcale nie czarodzieje, jeśli idzie o indiańskie fortele.

–Czy sądzisz, że ojciec i jego ludzie mogą wpaść w pułapkę? – spytała spieszenie Mabel.

–Nie, jeśli tylko zdołam temu zapobiec. Mówisz mi, Mabel, że Wąż jest także na czatach, a zatem istnieje podwójna możliwość, że uda się nam uprzedzić sierżanta o niebezpieczeństwie, chociaż nie mamy żadnej pewności, którym kanałem przyplynie.

–Tropicielu – powiedziała uroczyście nasza bohaterka, albowiem przerażające sceny, jakich była świadkiem, przydały śmierci niezwyčajną grozę. – Tropicielu, wyznałeś mi swoją miłość i życzenie, abym została twą żoną, prawda?

–Ośmieliłem się o tym mówić, Mabel, a sierżant nawet twierdził ostatecznie, jakobyś mi była przychylna; jednakże nie należę do ludzi, którzy nękają przedmiot swojej

miłości.

–Posłuchaj mnie, Tropicielu: poważam cię, szanuję i czczę; uratuj mego ojca od strasznej śmierci, a będę mogła cię wielbić. Oto dłoń moja – uroczysta rękojmia, że ci dochowam wiary i będę twoją, kiedykolwiek zażadasz.

–Mech Bóg ci błogosławi, Mabel; nie zasłużyłem sobie na tyle szczęścia i lękam się, że nie umiałbym zeń korzystać, jak należy. Jednak nie trzeba było tego, aby mnie skłonić do usłużenia sierżantowi. Starzy z nas kamraci i wzajem życie sobie zawdzięczamy, choć boję się, że to, iż ktoś jest kolegą ojca, nie zawsze przemawia do serca córki.

–Nie trzeba ci innej rekomendacji niż twe własne czyny, twoja odwaga i wierność. Rozsądek mój pochwała wszystko, co czynisz i mówisz, Tropicielu, a serce pragnie, nie: musi podążyć za rozsądkiem.

–Oto szczęście, którego nie spodziewałem się tego wieczoru; atoli jesteśmy w ręku Boga, On zaś wie, jak ma nas ochraniać. Słodkie: to słowa, Mabel, ale nie były konieczne, aby mnie skłonić do uczynienia wszystkiego, co człowiek zrobić może w obecnych okolicznościach. A już z pewnością nie osłabią one moich wysiłków.

–Teraz się rozumiemy, Tropicielu – dodała Mabel głucho. – Nie traćmy ani jednej cennej chwili, która może mieć nieobliczalną wartość. Czy można by wsiąść do twego czółna i wypłynąć na spotkanie ojca?

–Tego bym nie doradzał. Nie wiem, którym kanałem sierżant przyplynie, a jest ich dwadzieścia. Możesz mieć pewność, że Wąż będzie krążył po nich wszystkich. Nie, nie! Moją radą jest pozostać tutaj. Kloce tego budynku są jeszcze świeże i niełatwo, podłożyć pod nie ogień, ja zaś potrafię utrzymać blokhauz – jeżeli go nie podpalą – przeciwko całemu plemieniu. Irokezi nie wykurzą mnie z tej fortecy, dopóki nie dopuścimy do niej płomienia. Sierżant obozuje teraz na jakiejś wyspie i nie przyplynie tutaj przed ranem. Jeżeli będziemy trzymać blokhauz, zdołamy ostrzec w porę twego ojca, choćby paląc ze strzelb; gdyby zaś postanowił zaatakować dzikich, jak tego należy się spodziewać po człeku jego usposobienia, posiadanie tego budynku może wiele zaważyć. Nie, nie: rozsądek mówi mi, żeby pozostać, jeżeli chcemy dopomóc sierżantowi, choć dla nas dwojga ucieczka nie byłaby zbyt trudna.

–Zostań! – szepnęła Mabel. – Na miłość boską, zostań, Tropicielu! Wszystko, wszystko byle uratować ojca!

–Tak, oto jest natura. Cieszę się, że to mówisz, Mabel, bo wyznaję, że chciałbym, by sierżant miał silne wsparcie. Tak jak rzeczy stoją, pozyskał już sobie uznanie, gdyby zaś jeszcze zdołał odeprzeć tych niegodziwców, a potem wycofać się z honorem, obróciwszy w perzynę chaty i blokhauz, Lundie z pewnością zapamiętałby to i

wynagrodził go odpowiednio. Tak, tak, Mabel, musimy nie tylko ratować życie sierżanta, ale i jego dobre imię.

–Nikt nie może winić ojca za to, że nas tu zaskoczono!

–Nie ma co mówić, nie ma co mówić, chwała wojenna to rzecz wysoce niepewna. Widywałem ja Delawarów pobitych na głowę, choć zasłużyli sobie na większe uznanie, niż kiedy odnieśli zwycięstwo. Człek błądzi, jeżeli za wszelką cenę upiera się, by osiągnąć powodzenie, a już zwłaszcza powodzenie na wojnie. Niewiele mi wiadomo

o tym, co myślą ludzie w osadach, lecz w naszych stronach nawet Indianie szacują wojownika według szczęścia. Dla żołnierza rzecz najważniejsza nie dostać nigdy po skórze; nie sędzę też, by ludzie poświęcali wiele czasu na rozważania, w jaki sposób wygrywa się, czy przegrywa bitwę. Co do mnie, gdy znajdę się w obliczu wroga, mam za zasadę dać mu, ile wlezie, a zachować jak największe umiarkowanie, kiedy jesteśmy górą. Bo co się tyczy umiarkowania po klęsce, niewiele trzeba o tym mówić, gdyż ciągi to jedna z najbardziej upokarzających rzeczy na świecie. Kapelani po garnizonach prawią kazania o pokorze, ale gdyby pokora czyniła człeka chrześcijaninem, żołnierze króla jegomości powinni by być świętymi, bo jak dotąd niewiele robili innego w tej wojnie krom odbierania nauczek od Francuzów, poczynając od Fortu du Quesne, a kończąc na Ty.

–Ojciec nie mógł przypuszczać, że położenie wyspy znane jest nieprzyjacielowi – ozwała się Mabel, wracając myślą do skutków, jakie ostatecznie wydarzenia mogły mieć dla sierżanta.

–To prawda, a nie pojmują też, jakim sposobem Francuzy mogły się zwiedzieć. Miejsce jest dobrze wybrane i nawet komuś, kto już tędy wędrował tam i z powrotem, niełatwo je odnaleźć. Obawiam się, że była w tym jakaś zdrada, tak, tak – musiała tu być zdrada.

–Och, Tropicielu, czy to możliwe?

–Nic łatwiejszego, Mabel, bo oszustwo przychodzi niektórym ludziom w sposób tak naturalny jak jedzenie. Gdy spotkam człowieka, który ma usta pełne pięknych słówek, przyglądam się bacznie jego postępowaniu, bo jeśli serce jest prawe i rzeczywiście ma dobre zamiary, na ogół pozwala przemawiać czynom, a nie językowi.

–Gaspar Western nie jest taki! – powiedziała gwałtownie Mabel. – Nie ma młodzieńca szerszego w obejściu ni mniej skłonnego obracać językiem po próżnicy.

–Gaspar Western! Językowi i sercu tego chłopaka nic niepodobna zarzucić, możesz mi wierzyć, Mabel, a to, co sobie myślą Lundie, kwatermistrz, sierżant i twój

wujaszek, jest równie błędne, jak gdyby mieli, że słońce świeci w nocy, gwiazdy zaś w dzień. Nie, nie: za uczciwość Eau-douce'a ręczyłbym własnym skalpem, a w razie potrzeby własną strzelbą.

–Dzięki ci, dzięki, Tropiciele – wykrzyknęła Mabel wyciągając rękę i ściskając żelazne palce swego towarzysza pod wpływem uczucia, z którego siły bynajmniej nie zdawała sobie sprawy. – Ty wszystek jesteś wielkodusznością i szlachetnością! Bóg ci to wynagrodzi!

–Ach, Mabel, obawiam się, że gdyby to było prawdą, nie powinien bym myśleć o takiej żonie jak ty; pozwoliłbym raczej, by o twą rękę ubiegał się jakiś szlachetnie urodzony pan z garnizonu, bo na to zasłużyłaś swoimi przymiotami,

–Dziś nie będziemy o tym mówili – odparła Mabel głosem tak przytłumionym, iż zdawało się, że więźnie jej w gardle. – Winniśmy w tej chwili mniej myśleć o sobie, a więcej o naszych przyjaciółach. Ale radują się z całej duszy, że wierzysz w niewinność Gaspara. A teraz pomówmy o czym innym: czy nie powinniśmy wypuścić Rosy?

–Myślałem o niej, bo nie byłoby bezpiecznie, gdybyśmy tu, w blokhauzie, zamykali oczy, a jej pozwolili, by swoje miała otwarte. Jeżeli umieścimy ją w górnej izbie i zdejmemy drabinę, będzie przynajmniej uwięziona.

–Nie mogę tak traktować kogoś, kto mi ocalił życie. Lepiej byłoby puścić ją wolno, bo pewnie nazbyt jest dla mnie życzliwa, aby uczynić coś, co mogłoby mi zaszkodzić.

–Nie znasz tej rasy, Mabel, nie znasz tej rasy! Wprawdzie ta kobieta nie jest pełnej krwi Mingo, ale obcuje z tymi szubrawcami i musiała nauczyć się ich sztuk. Co to?

–Jakby plusk wiosel... jakaś łódź przepływa przez kanał!

Tropiciel chcąc zapobiec ucieczce Rosy zamknął klapę otworu prowadzącego do dolnej izby, zdmuchnął świeczkę i szybko podszedł do strzelnicy, a Mabel z zapartym tchem wyjrzała ponad jego ramieniem. To wszystko zabrało im ze dwie minuty i zanim oczy zwiadowcy przywykły do mroku panującego na zewnątrz, dwie łodzie przemknęły już mimo i przybiły do brzegu o jakieś pięćdziesiąt jardów od blokhauzu, w miejscu gdzie znajdowało się dogodne lądowisko. W ciemności nie można było dojrzeć nic więcej; Tropiciel szepnął do Mabel, że nowo przybyli mogą być równie dobrze przyjaciółmi, jak wrogami, nie sądził bowiem, by sierżant mógł powrócić tak szybko.

Spostrzegli teraz grupę ludzi wysiadających z łodzi, a w chwilę później rozległy się trzy różne okrzyki po angielsku, co nie pozostawiało już żadnych wątpliwości, kim byli przybysze. Tropiciel poskoczył do klapy w podłodze, otworzył ją, opuścił się po drabinie i zaczął podnosić sztaby drzwi wejściowych ze skwapliwością, która

dowodziła, że uważa moment za nader krytyczny.

Mabel podążyła za nim, lecz raczej była mu przeszkodą niż pomocą. Zaledwie zdążyli podnieść pierwszą sztabę, rozległ się donośny huk wystrzałów. Oboje przystanęli w napięciu, z zapartym tchem, gdy wtem wycie wojenne zabrzmiało wśród dookolnej gęstwiny. Rozwarli wreszcie drzwi i wypadli z blokhauzu. Wszelkie ludzkie głosy zamilkły. Tropiciel nasłuchiwał chwilę i wydało mu się, że słyszy zdławione jęki w pobliżu; jednakże wiatr dął silnie, szelest liści mieszał się z jego szumem, więc myśliwiec nie był zgoła pewny, czy się, nie myli. Za to Mabel dała się ponieść wzburzeniu i poskoczyła w stronę łodzi.

–Tego nie rób, Mabel! – rzucił Tropiciel stanowczym, lecz przyciszonym głosem i chwycił ją za rękę. – Tego nie rób. Naraziłabyś się na pewną śmierć bez pożytku dla nikogo. Musimy wracać do blokhauzu!

–Ojciec! Mój biedny zamordowany ojciec! – wyszeptała w zapamiętaniu dziewczyna, acz nawet w tej strasznej chwili ostrożność nakazywała jej mówić cicho. – Tropicielu, jeśli mnie kochasz, puść mnie do ojca!

–Nie, Mabel. To osobliwe, że nikt się nie odzywa i nikt nie odpowiada ogniem od łodzi. A ja zostawiłem Postrach Zwierząt w blokhauzie! Tylko na co zdałaby się strzelba, skoro nie widać nikogo?

W tej chwili bystre oko Tropicielea, który trzymając krzepko Mabel ani na chwilę nie przestał wpatrywać się w mrok, rozeznało niewyraźnie pięć czy sześć skulonych cieniów, usiłujących przekraść się obok, najwyraźniej w zamiarze odcięcia im odwrotu do blokhauzu. Muskularny mieszkaniec puszczając podniósł Mabel z ziemi i niosąc ją jedną ręką, jak gdyby była dzieckiem, pobiegł co sił i zdołał dopaść budynku. Tupot goniących rozległ się tuż za nim. Tropiciel opuścił swój ciężar na ziemię, obrócił się, zatrzasnął drzwi i właśnie zdążył założyć pierwszą sztabę, kiedy gwałtowne pchnięcie w masywne kłocę drzewne omal nie wyważyło ich z zawias. Opuśczenie następnych sztab było już dziełem jednej chwili.

Mabel wbiegła teraz na piętro, a Tropiciel pozostał na straży u drzwi. Bohaterka nasza znajdowała się w tym stanie, kiedy ciało samo dokonuje wysiłku, jak gdyby nie kontrolowane przez umysł. Mechanicznie zapaliła znów Świecę w myśl życzenia swojego towarzysza i powróciła z nią na dół, gdzie czekał. Gdy tylko Tropiciel odebrał światło z jej rąk, przejrzał starannie cały budynek, aby upewnić się, czy nikt nie jest ukryty w forteczce. Wchodził kolejno na wszystkie piętra, sprawdzwszy wprzód, czy nie pozostawił za sobą żadnego wroga. W wyniku tych poszukiwań ustalił, że w blokhauzie nie przebywa nikt oprócz niego i Mabel, gdyż Rosa zdążyła przedtem umknąć. Kiedy już nie miał żadnych wątpliwości co do tego tak istotnego faktu, powrócił do Mabel, która znajdowała się w głównej izbie, postawił świecę, opatrzył panewkę swej broni i usiadł.

–Spełniły się nasze najgorsze obawy! – powiedziała Mabel, której wydawało się, że w ostatnich pięciu minutach, pełnych pośpiechu i podniecenia, zawarły się wrażenia całego życia. – Mój ukochany ojciec i wszyscy jego ludzie są pomordowani albo też wpadli w ręce wroga!

–Tego nie wiemy; ranek powie nam wszystko. Nie sędzę, by tak było, bo już słyszelibyśmy tych łajdaków, Mingów, wyrzaskujących swój tryumf dokoła blokhauzu. Jednego możemy być pewni; jeżeli wróg doprawdy jest górą, niedługo nas wezwie do poddania się. Rosa z pewnością wyjawiała wszystko o naszej sytuacji, a ponieważ Indianie dobrze wiedzą, iż blokhauzu nie sposób podpalić za dnia, możesz być pewna, że nie omieszkają popróbować tego pod osłoną ciemności.

–Zdaje mi się, że słychać jęk!

–Złudzenie, Mabel. Kiedy człowiek się zestracha – a już osobliwie niewiasta – często roją mu się niebывałe rzeczy. Znałem takich, co wierzyli, że w snach jest prawda.

–Nie, nie mylę się; z całą pewnością na dole jest ktoś, kto cierpi.

Tropiciel zmuszony był przyznać, że wyostrzony słuch Mabel nie mylił jej. Napomniął wszakże dziewczynę, by się opanowała, gdyż dzicy mają zwyczaj uciekać się do wszelkich podstępów, by dopiąć swego, jest tedy wielce prawdopodobne, że jęki są udane, ażeby wywabić ich oboje z blokhauzu albo przynajmniej skłonić do otworzenia drzwi.

–Nie, nie, nie! – powiedziała śpiesznie Mabel. – W tym głosie nie ma podstępu; to jęczy ktoś umęczony na ciele, a, może i na duchu. Brzmi to przerażająco naturalnie.

–No zaraz się dowiemy, czy jest tam jakiś przyjaciel. Zasłoń światło, Mabel, a ja przemówię do tego człowieka przez strzelnicę.

Rozwaga i doświadczenie Tropiciela nakazywały mu wielką ostrożność przy dokonywaniu nawet tak prostej czynności, gdyż myśliwiec wiedział, że ludzie niebaczni nieraz ginęli przez brak należytego zachowania środków bezpieczeństwa, które mogły się wydać przesadne komuś nieświadomemu rzeczy. Nie przyłożył więc ust do samej strzelnicy, ale przybliżył je tylko na tyle, by dać się słyszeć bez podnoszenia głosu; tę samą ostrożność zachował, kiedy przyszło mu nadstawić ucha na głos z zewnątrz.

–Kto tam jest na dole? – zapytał poczyniwszy owe przygotowania. – Czy ktoś cierpiący? Jeżeliś przyjacielem, mów śmiało; możesz liczyć na naszą pomoc.

–Tropicielu! – ozwał się okrzyk, a Mabel i myśliwy od razu rozpoznali głos sierżanta. – Tropicielu, na imię boskie, powiedz mi, co się stało z moją córką!

–Tatusiu, jestem tutaj nietknięta i bezpieczna! Obym to samo mogła usłyszeć o tobie!

Okrzyk dziękczynienia, który się teraz rozległ, był dla obojga wyraźnie dosłyszalny, lecz zarazem przeszedł w bolesny jęk.

–Spełniły się moje najgorsze przeczucia – powiedziała Mabel z rozpaczliwym spokojem. – Tropicielu, trzeba wnieść ojca do blokhauzu, choćbyśmy mieli się przy tym narazić na najgorsze.

–Taka jest natura i prawo boskie. Ale zachowaj spokój, Mabel, i staraj się nie tracić przytomności umysłu. Zrobimy dla sierżanta wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy. Proszę jedynie, byś zachowała zimną krew.

–Staram się, Tropicielu. Nigdy w życiu nie byłam spokojniejsza i bardziej opanowana niż w tej chwili. Ale pamiętaj, jak groźna może być każda minuta,; na miłość boską, nie traćmy, czasu!

Tropiciela uderzyła stanowczość Mabel, a może i trochę zwiódł go jej wymuszony spokój i opanowanie. W każdym razie nie uważał dalszych wyjaśnień za konieczne, lecz zszedł natychmiast na dół i począł podnosić sztaby. Czynił to ze zwykłą sobie ostrożnością, lecz kiedy powoli poruszył na zawiasach masywne kloce, uczuł taki napór na nie od zewnątrz, że omal nie zatrzasnął drzwi z powrotem. Atoli to, co ujrzawszy przez szparę, kazało mu odciągnąć je, a wówczas sierżant Dunham, który opierał się o drzwi całym ciałem, runął do wnętrza. Wystarczyła Tropicielowi jedna chwila, by wciągnąć nogi sierżanta do środka i zawrzeć drzwi na powrót. Teraz nie było już żadnych przeszkód, by zająć się wyłącznie rannym.

W czasie owej bolesnej sceny Mabel zachowała się z tą nadnaturalną energią, jaką objawiają osoby jej płci w krytycznej chwili. Przyniosła światło, zwilżyła wodą spieczoną wargi ojca, pomogła Tropicielowi przygotować dlań posłanie ze słomy oraz podłożyć mu pod głowę zawiniątko odzieży. Wszystko to czyniła w skupieniu, niemal bez słowa; nie uroniła też ani jednej łzy, dopóki nie usłyszała szeptu ojca, który błogosławił ją za ową czułość i troskliwość.

Przez cały ten czas Mabel zaledwie domyślała się stanu sierżanta; natomiast Tropiciel zwrócił większą uwagę na fizyczne niebezpieczeństwo grożące rannemu. Jak stwierdził, ciało Dunhama przeszła kula ze strzelby, a dostatecznie był obeznany z podobnymi ranami, aby mieć pewność, że możliwości utrzymania go przy życiu są znikome.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

O, pij łyżę moje, usiądź blisko...

Gdyby balsamem była moja krew,

Wierz mi, że oddałbym ci wszystko,

Byle rozmarszczyć kochaną brew.

MOORE

Od chwili gdy wniesiono światło, sierżant Dunham nieprzerwanie wodził wzrokiem za swoją piękną córką. Następnie przyjrzał się drzwiom blokhausu, by się upewnić, czy wytrzymają, rannego bowiem pozostawiono na dole, gdyż niepodobna było przenieść go na wyższe piętro. Potem znowu poszukał wzrokiem twarzy Mabel, bo kiedy życie szybko uchodzi z człowieka, uczucia odzyskują całą swą siłę i wówczas zaczynamy najwyżej cenić to, co mamy utracić na zawsze.

– Bogu niech będą dzięki, moje dziecko! Przynajmniej ty uszłaś ich morderczym strzelbom – wyrzekł sierżant z mocą, jak gdyby nie czuł żadnego bólu. – Opowiedz mi całą tę smutną historię, Tropicielu.

– Ach, sierżancie, smutna jest rzeczywiście, jak powiadasz. Fakt, iż była w tym zdrada, a położenie wyspy zostało ujawnione, jest teraz moim zdaniem równie pewny, jak to, że nadal trzymamy blokhaus. Ale...

– Major Duncan miał rację – przerwał Dunham kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Me w tym znaczeniu, jak myślisz, sierżancie; nie, nigdy nie w ten sposób! Tak przynajmniej uważam. Wiem, natura jest słaba – to znaczy ludzka natura – i nikt z nas nie powinien chępić się swoimi przymiotami, czy białą ma skórę, czy czerwoną; ale myślę, że na pograniczu nie znaleźć rzetelniejszego chłopaka od Gaspara Westerna.

– Mech Bóg da ci zdrowie, Tropicielu! – wybuchnęła Mabel z głębi serca, a strumień łez ujawnił wzruszenie równie wielorakie jak gwałtowne. – Ach, zacny Tropicielu! Dzielnym nie wolno nigdy opuszczać dzielnych w potrzebie, a uczciwi powinni wspierać uczciwych!

Oczy sierżanta utkwione były z niepokojem w córkę, która wreszcie ukryła twarz w fartuszek, nie chcąc pokazać łez. Wtedy ojciec obrócił pytający wzrok na surowe oblicze przewodnika. Wyrażało ono jak zwykle. otwartość, szczerłość i prawość; sierżant dał znak Tropicielowi, by mówił dalej.

–Wiesz, gdzie Wąż i ja rozstaliśmy się z tobą, sierżancie – ciągnął myśliwy -a nie potrzebuję wspominać) co Stało się przedtem Teraz już za późno ubolewać nad tym, co minęło, ale myślę, że gdybym był został przy łodziach, nie doszłoby do tego wszystkiego. Inni mogą być dobrymi przewodnikami – nie wątpię, że nimi są – ale natura obdarza niektórych i ci muszą być lepsi od reszty. Pewnie biedny Gilbert, który zajął moje miejsce, zapłacił za swoją pomyłkę?

–Padł u mojego boku – odparł sierżant cichym i smutnym głosem. – Wszyscy zapłaciliśmy za nasze pomyłki.

–Nie, nie, sierżancie; ani mi przez myśl nie przeszło ciebie potępiać", bo nikt nie dowodził lepiej swoimi ludźmi niż ty na tej wyprawie. Jeszczem nie widział zręczniej wykonanego oskrzydlenia, a sposób, w jaki poprowadziłeś swą łódź na ich haubicę, mógłby być lekcją dla samego Lundiego.

Oczy sierżanta rozbłysły, a na twarzy odmalowało mu się uczucie wojennego tryumfu; był on wszakże proporcjonalny do skromnej roli, jaką odgrywał Dunham.

–Nieźle to poszło, przyjacielu – powiedział. – Przedpiersie ich okopu wzięliśmy szturmem.

–Pięknie sobie poczynaleś, ale niestety pewnie się jeszcze okaże, że te szelmy odebrały swoją haubicę. No, trzymaj się, sierżancie, i staraj się zapomnieć wszystko, co niemile, a pamiętać tylko o przyjemnych stronach sprawy. To jest najlepsza filozofia, a jakże, i najlepsza religia. Jeżeli wróg odzyskał haubicę, to posiadał tylko to, co już przedtem do niego należało, my zaś nie mogliśmy nic na to poradzić. Nie dostali przecie w swoje ręce blokhauzu i chyba go nie dostaną, jeżeli nie podłożą ognia po ciemku. Owóż tedy, sierżancie, Rozstałem się z Wężem o jakieś dziesięć mil stąd w dół rzeki, bo uważaliśmy za rozropne nie podchodzić bez zwykłych środków ostrożności nawet do obozu przyjaciół. Nie wiem, co się stało z Chingachgookiem, ale jak twierdzi Mabel, jest on tu gdzieś w pobliżu, ja zaś nie wątpię, że nasz szlachetny Delawar spełnia swe obowiązki, choć go na razie nie widzimy. Zapamiętaj moje słowa, sierżancie: zanim to wszystko się skończy, Wąż da nam znak życia w jakiejś krytycznej chwili, i to w rozropny i godny sposób! Ach, mądry i zacny z niego wódz! Każdy biały mógłby pozazdrościć mu przymiotów, choć trzeba przyznać, że jego strzelba nie jest tak niezawodna jak Postrach Zwierząt. No, więc kiedy zbliżyłem się do wyspy, nie dostrzegłem dymu i zaraz miałem się na baczności, bom wiedział, że ludzie z pięćdziesiątego piątego nie są dosyć przebiegli, aby go ukryć, choć tyle im prawiono o niebezpieczeństwie, jakim to zagraża. Zachowałem więc większą ostrożność, aż wreszcie ujrzałem tego niby – rybaka, jakem już wspomniał Mabel, a wówczas wszystkie ich piekielne sztuczki objawiły mi się jasno jak na dłoni. Nie potrzebuję ci mówić, sierżancie, że moją pierwszą myślą było, co dzieje się z Mabel; stwierdziwszy zaś, że przebywa w blokhauzie, przyszedłem tu, by przy niej żyć lub umierać.

Sierżant obrócił na córkę radosne spojrzenie, a Mabel uczuła w sercu ucisk, którego nie spodziewała się w takiej chwili, gdyż wmawiała sobie, iż wszystkie jej troski skupią się szkoła stanu ojca. Ów wyciągnął do niej rękę, Mabel zaś pochwyciła ją i pocałowała. Potem uklękła obok i wybuchnęła płaczem, jak gdyby serce miało jej pęknąć.

–Mabel – powiedział spokojnie sierżant. – Wola boska musi się spełnić. Nie warto się łudzić nawzajem: godzina moja wybiła i jest mi pociechą to, że umieram jak żołnierz. Lundie odda mi sprawiedliwość, bo nasz zacny przyjaciel, Tropiciel, opowie mu, czego dokonaliśmy i jak do tego wszystkiego doszło. Nie zapomniałaś o naszej ostatniej rozmowie?

–Nie, ojcze; i moja godzina też pewnie wybiła! – wykrzyknęła Mabel, której wydało się w tej chwili, że śmierć przyniosłaby jej ulgę. – Nie mogę mieć żadnej nadziei, aby się stąd wydostać; Tropiciel uczyniłby lepiej, gdyby nas pozostawił i póki można wrócił do garnizonu ze smutną wieścią.

–Mabel! – powiedział Tropiciel z wyrzutem i wziął ją serdecznie za rękę. – Nie zasłużyłem sobie na coś podobnego. Wiem, że jestem dziki, nieokrzesany i szpetny...

–Tropicielu!

–No, no, zapomnijmy o tym. Nie chciałaś tego powiedzieć, nie mogłaś tego pomyśleć. Nie warto teraz mówić o ucieczce, boć przecie sierżanta nie można ruszyć z miejsca, a blokhauzu trzeba bronić za wszelką cenę. Może Lundie dowie się o naszej klęsce i przyśle odsiecz.

–Tropicielu... Mabel... – szepnął sierżant, który wił się z bólu, aż zimny pot wystąpił mu na czoło. – Chodźcie tu oboje. Ufam, że rozumiecie się nawzajem.

–Nie mów nic, ojcze; wszystko jest tak, jak sobie tego życzysz.

–Bogu dzięki! Daj mi rękę, Mabel... a ty ją weź, Tropicielu. Tylko w ten sposób mogę ci oddać dziewczynę. Wiem, że będziesz dla niej dobrym mężem... Nie czekajcie z powodu mojej śmierci; przed końcem jesieni przyjedzie do fortu kapelan... niechże od razu udzieli wam ślubu. Szwagier mój, jeśli wyżyje, będzie chciał wracać na okręt, a wówczas dziewczyna zostanie bez opieki. Mabel, twój przyszły mąż był moim przyjacielem; z pewnością będzie to dla ciebie niejaką pociechą.

–Zostaw to mnie, sierżancie – wtrącił Tropiciel. – Złóż całą sprawę w moje ręce jako twe ostatnie życzenie, a możesz mi wierzyć, że wszystko będzie, jak być powinno.

–Tak, pokładam w tobie ufność, mój wierny przyjacielu, i upoważniam cię, byś we wszystkim postąpił tak, jak sam mógłbym postąpić. Mabel... moje dziecko... daj mi

wody... nigdy nie pożałujesz tej nocy. Niech Bóg ci błogosławi, córeczko, i ma cię w swojej świętej opiece.

Ta tkliwość była niewymownie wzruszająca dla kogoś tak uczuciowego jak Mabel; dziewczynie wydało się w tej chwili, że przysły jej związek został uświęcony w sposób, którego żadna ceremonia kościelna nie mogłaby uczynić bardziej uroczystym. Mimo to ciężko jej było na sercu, jakby przytłoczyła je góra, i Mabel pomyślała, że szczęściem byłoby umrzeć.

Teraz sierżant pokrótce opowiedział przerywanym głosem, co zaszło od chwili, gdy rozstał się z Tropicielem i Delawarem. Nadleciał pomyślniejszy wiatr, więc miast rozbijać obóz na którejś z wysp, jak to było pierwotnie jego zamiarem, Dunham postanowił płynąć dalej i dotrzeć do placówki jeszcze tej nocy. Zbliżyliby się zapewne niepostrzeżenie i dałoby się uniknąć klęski przynajmniej częściowo, gdyby nie osiedli na mieliźnie cypla sąsiedniej wyspy. Hałas, jaki uczynili ludzie wysiadając z łodzi, niewątpliwie oznajmił o przybyciu oddziału wrogowi, który zdołał przygotować się na jego przyjęcie. Wylądowali wreszcie na wyspie nie podejrzewając wcale niebezpieczeństwa, aczkolwiek zdziwił ich fakt, że nie napotkali posterunku; broń pozostawili w łodzi, chcąc wprzód wyładować tornistry i zapasy. Otrzymali ogień z tak bliska, że mimo ciemności okazał się morderczy. Wszyscy padli na ziemię, choć dwaj czy trzej podnieśli się później i znikli. Pięciu żołnierzy zginęło na miejscu albo skonało w chwilę później, ale nieprzyjaciel z jakichś nie znanych przyczyn nie rzucił się jak zwykle po skalpy. Sierżant Dunham upadł był wraz z innymi i słyszał głos Mabel, gdy wybiegła z blokhauzu. Ten krzyk szalony poruszył w nim wszystkie ojcowskie uczucia, toteż zdołał doczołgać się aż do drzwi budynku, a potem podniósł się i oparł o nie, jak to już poprzednio opisaliśmy.

Po owych prostych wyjaśnieniach ranny zesłał tak, że musiał nieco odpocząć, a jego towarzysze usługiwali mu w milczeniu. Tropiciel skorzystał ze sposobności, by wyrzeć na zewnątrz przez strzelnicę i otwór w dachu oraz opatrzyć strzelby, których kilkanaście znajdowało się w blokhauzie, gdyż żołnierze wzięli na wyprawę swoje pułkowe muszkiety. Natomiast Mabel nie odstępowała ojca ani na chwilę, a kiedy słysząc jego oddech wywnioskowała, że zasnął, osunęła się na kolana i pogrążyła w modlitwie.

Następne pół godziny upłynęło wśród uroczystej ciszy. Kroki Tropicieła obutego w mokasyny zaledwie dawały się słyszeć z góry; od czasu do czasu dolatywał też stukot kolby opuszczanej na podłogę, myśliwiec bowiem sprawdzał broń, ażeby się upewnić, czy jest załadowana i czy podsypano proch na panewkach. Prócz tego nie było nic słyhać z wyjątkiem oddechu rannego. Mabel całym sercem rwała się do rozmowy z ojcem, którego miała niebawem utracić, ale nie chciała zakłócać jego spoczynku.

Jednakże Dunham nie spał; znajdował się w tym stanie, kiedy świat nagle traci

wszystkie powaby, wszystek swój sens i siłę, a nieznana przyszłość budzi w umyśle wątpliwości i objawia się w całej grozie. Jak na człowieka swego zawodu, sierżant prowadził życie bardzo moralne, ale niewiele się zastanawiał nad tą doniosłą sprawą. Gdyby zgiełk bitwy dźwięczał mu w uszach, zapal wojenny starego żołnierza byłby zapewne przetrwał do końca, ale tu, w ciszy nieomal opuszczonego blokhauzu, gdzie żaden dźwięk go nie podniecał, żaden zew nie podtrzymywał na duchu, gdzie nie dodawała mu bodźca nadzieja zwycięstwa – sprawy zaczynały ukazywać się w prawdziwym świetle. Dałby wszystko za religijną pociechę, ale nie wiedział, gdzie ma jej szukać. Myślał o Tropicielu, ale nie ufał jego wiedzy. Myślał o Mabel, ale przychodziło mu do głowy, że ojciec odwołujący się o taką pomoc do własnego dziecka odwraca porządek natury. Wówczas to uczuł pełną odpowiedzialność rodzicielską i jasno uświadomił sobie, w jakiej mierze dopełnił swego obowiązku wobec sieroty.

Gdy takie myśli przelatywały mu przez głowę, Mabel, która śledziła najdrobniejsze zmiany w jego oddechu, usłyszała ostrożne pukanie do drzwi. Sądząc, że może to być Chingachgook, wstała, podniosła dwie sztaby i trzymając rękę na trzeciej zapytała przybysza, kim jest. W odpowiedzi usłyszała głos wuja, który błagał, by go wpuściła natychmiast. Bez chwili wahania podniosła sztabę i Cap wszedł do blokhauzu. Zaledwie prześliznął się przez szparę, Mabel znów zatrzasnęła drzwi i zaryglowała je natychmiast, gdyż nabrała już doświadczenia w owych czynnościach.

Kiedy dzielny marynarz przekonał się, w jakim stanie jest szwagier, i zyskał pewność, że Mabel oraz on sam są bezpieczni, wrzucił się niemal do łez. Własne przybycie wyjaśnił opowiadając, iż strzeżono go niedbale, wróg bowiem przypuszczał, że obaj z kwatermistrem pospali się otumanieni rumem, którym ich uraczono, aby nie przeszkadzali w czasie spodziewanej rozprawy. Muira pozostawił śpiącego albo udającego, że śpi; natomiast sam w chwili rozpoczęcia ataku zbiegł w zarośla i znalazłszy czóło Tropicieła, zdołał dopiero teraz przedostać się do blokhauzu, gdzie przybył w zacnym zamiarze umknienia z wyspy wraz z siostrzenicą. Nie trzeba dodawać, iż zmienił swój plan, kiedy stwierdził, w jakim stanie jest sierżant, i nabrał przeświadczenia, że będzie tu na razie bezpieczny.

–Jeżeli przyjdzie najgorsze, Tropicielu – powiedział – trzeba nam będzie kapitulować, przez co zyskamy prawo do tego, by wróg nas oszczędził jako jeńców wojennych. Dzięki naszemu męstwu trzymaliśmy się przez jakiś czas, lecz teraz sami winniśmy opuścić banderę, aby zapewnić sobie korzystne warunki. Namawiałem już do tego pana Muira, kiedy nas wzięli ci, których nazywasz drapichrustami, i słusznie zresztą, bo nikczemniejsze drapichrusty nie chodzą po tej ziemi.

–Już ich pan poznałeś? – przerwał mu Tropiciel, który zawsze był gotów wtórować zarówno lżeniu Mingów, jak wychwalaniu własnych przyjaciół. – Gdybyś wpadł w ręce Delawarów, dopieroż byś zauważył różnicę!

–No, mnie się tam wydaje, że jeden wart drugiego; łajdaki od dzioba do rufy, wyłączając oczywiście naszego przyjaciela, Węża, który jak na Indianina, jest dżentelmenem. Owóż kiedy te dzikusy napadły na nas ubijając kaprala M'Naba i jego ludzi, jakby to były króliki, porucznik Muir i ja schroniliśmy się do jednej z jam, których tu pełno wśród skał, i tam siedzieliśmy niczym dwa antałki schowane w ładowni okrętu, aż wreszcie daliśmy za wygraną z braku żarcia. Jadło, można powiedzieć, jest fundamentem ludzkiej natury. Namawiałem kwatermistrza, by zaczął rokowania, boć przecie mogliśmy tam bronić się jeszcze przez kilka godzin, choć miejsce było kiepskie; on jednak odmówił z tej racji, że owe gałgany nie dotrzymają warunków, jeżeli któremuś stanie się co złego, więc nie ma celu z nimi paktować. Zgodziłem się poddać z dwóch względów: po pierwsze, właściwie można było uznać, iż już się poddaliśmy, boć ucieczka pod pokład zazwyczaj jest równoznaczna z poddaniem okrętu; a po wtóre, we własnym żołądku mieliśmy wroga, który przypuszczał o wiele groźniejsze ataki niż ten, co był na pokładzie. Głód to paskudna okoliczność, co przyzna każdy, który przeżył z nim czterdzieści osiem godzin!

–Wuju – powiedziała Mabel żalonym głosem. – Mój biedny tatuś jest bardzo ciężko ranny!

–Prawda, Magnesku, prawda; usiądę przy nim i będę go pocieszał, jak umiem. Czy sztaby dobrze założone? Bo w takiej chwili umysł winien być spokojny i wolny od obaw.

–Chyba nam nic nie grozi prócz tego ciężkiego ciosu Opatrzności.

–A zatem, Magnesku, idź na górę i spróbuj się opanować, Tropiciel zaś niech biegnie na dach i wyjrzy ze szczytu masztu. Może twój ojciec będzie sobie życzył powiedzieć mi coś w zaufaniu, więc lepiej zostawcie nas samych. To uroczysta chwila, a tacy niedoświadczeni ludzie jak ja nie zawsze lubią, aby słyszano, co mówią.

Jakkolwiek obraz wuja, który udziela pociechy religijnej u łoża konającego, nie nasunął się z pewnością nigdy wyobraźni Mabel, dziewczyna pomyślała, że owa prośba nie jest pozbawiona uzasadnienia, toteż zastosowała się do niej. Tropiciel wszedł już był na dach, by stamtąd poczynić obserwacje, więc obaj szwagrowie pozostali sami. Cap zasiadł u boku sierżanta i jął się poważnie zastanawiać nad ważnym obowiązkiem, który miał do spełnienia. Przez kilka minut trwało milczenie, a w ciągu owego krótkiego czasu marynarz przemyślał nad treścią zamierzonej przemowy.

–Muszę stwierdzić, sierżancie – zaczął nareszcie w swój osobliwy sposób – że w tej nieszczęsnej ekspedycji pokpiono gdzieś sprawę; a ponieważ obecnie wypada mówić prawdę i nic oprócz prawdy, uważam tedy za swój obowiązek powiedzieć to jasno. Krótko rzekłszy, nie może być w tej mierze dwóch zdań, bo chociaż ze mnie

marynarz, nie żołnierz, przecie dostrzegam kilka błędów, do których wykrycia nie trzeba posiadać wielkiej edukacji.

–Cóż chcesz, szwagrze? – odparł sierżant słabym głosem. – Co się stało, nie odstanie, i nic już na to nie poradzimy.

–Bardzo prawdziwie mówisz, ale nie jest za późno na skruchę. Jak mówi Pismo święte, nigdy nie jest na nią za późno, a zawszeni słyszał, że to rzecz cenna. Jeżeli masz coś ma sercu, stawiaj kawę na ławę, bo jak ci wiadomo, zwierzysz się przyjacielowi. Byłeś mężem mojej rodzonej siostry, a biedny Magnesek jest jej córką; przeto będę cię zawsze uważał za brata – żywego czy umarłego. Po tysiąckroć szkoda., żeś nie stanął na redzie z łodziami i nie wysłał czółna na zwiady, w takim wypadku bowiem twój oddział byłby ocalał i nie spadłaby na nas ta klęska. Cóż, sierżancie, każdy z nas jest śmiertelny i pewnie musisz stąd czerpać niejaką pociechę. Jeżeli nawet odejdziesz niebawem, wszyscy i tak podążymy za tobą. Tak, to musi być dla ciebie pociechą.

–Wiem o tym, szwagrze, i ufam, że jestem gotów na spotkanie losu żołnierza... ale ta biedna Mabel...

–Owszem, owszem, wielka to zgryzota, wiem dobrze; ale przecie i tak nie zabrałbyś z sobą córki, nawet gdybyś mógł, najlepiej tedy jak najmniej przejmować się rozstaniem. Mabel to dobra dziewczyna, zupełnie jak jej matka; a ponieważ ta była mą siostrą, muszę tedy dopilnować, aby jej córka dostała dobrego męża, jeżeli zachowamy życie i skalpy, bo przypuszczam, że nikt by się nie kwapił wchodzić do rodziny, która nie ma skalpów na głowach.

–Bracie, Mabel jest zaręczona; będzie żoną Tropicielea...

–No cóż, każdy ma własne zdanie i własny sposób patrzenia na sprawy, ale według mnie ten związek nie będzie wcale odpowiedni dla Mabel. Nie mam zastrzeżeń co do wieku Tropicielea; nie należę do tych, którzy uważają, że trzeba być wyrostkiem, by uszczęśliwić dziewczynę. Na ogół wolę na męża człowieka około pięćdziesiątki, ale między stronami nie może być żadnej okoliczności, która mogłaby uczynić je nieszczęśliwymi. Okoliczności płatają diabelne figle małżeństwu. Jako pierwszą przytoczę fakt, że Tropiciel nie ma tytułu wiadomości co moja siostrzeniczka. Mało ją widywałeś, sierżancie, i nie zdajesz sobie sprawy z jej wiedzy; ale niech no tylko pokaże ją w całej pełni – co czyni, gdy ją bliżej poznać – niewielu znajdziesz nauczycieli, którzy by przy niej utrzymali się na wodzie.

–Dobre z niej dziecko... kochane, dobre dziecko... – wyszeptał sierżant z oczami pełnymi łez. – To moje nieszczęście, że tak krótko byliśmy razem.

–Dobra jest rzeczywiście i wie za wiele jak dla biednego Tropicielea, który jest w

swojej dziedzinie człowiekiem rozsądnym i doświadczonym, ale nie większe ma pojęcie

o tym, jak się w życiu dorobić, niż ty o trygonometrii sferycznej.

–Ach, mój drogi, gdyby Tropiciel był z nami w łodziach, nie doszłoby do tej katastrofy!

–Bardzo możliwe, bo nawet najgorszy jego wróg przyzna, że to dobry przewodnik. Ale, sierżancie, aby tak prawdę rzec, nie najlepiej pokierowałeś ową wyprawą, nie najfortunniej. Powinieneś być zatrzymać się przed portem i wysłać szalupę na rozpoznanie, jakem ci już powiedział. Za to należy bić się w piersi, a wspominam o tym, bo w takich razach winno się mówić prawdę.

–Drogo płacę za moje błędy, a boję się, by na tym nie ucierpiała biedna Mabel. Zapewne jednak nie doszłoby do tego nieszczęścia, gdyby nie było zdrady. Obawiam się, że ten Gaspar Eau-douce nas podszedł.,

–Tak właśnie i ja sądzę, boć przecie to życie na słodkiej wodzie musi wcześniej czy później podkopać moralność każdego. Obgadaliśmy tę sprawę z porucznikiem Muirem siedząc tam, w owej dziurze, i obaj doszliśmy do wniosku, że tylko zdrada Gaspara mogła wpędzić nas wszystkich w te piekielne opał. No, sierżancie, lepiej uspokój się i myśl o czym innym, bo kiedy okręt ma zawinąć do obcego portu, roztropniej jest myśleć o kotwicowisku, niżli rozpamiętywać, co wydarzyło się podczas rejsu. Na to jest dziennik okrętowy, by w nim notować wszystkie te sprawy; a co tam się znajdzie, winno tworzyć kolumny cyfr, które przemawiać będą za nami lub przeciw nam. Cóż to, Tropicielu? Czyżby coś wisiało w powietrzu, że zbiegasz po drabinie niczym Indianin w poszukiwaniu skalpu?

Przewodnik podniósł palec, aby Capowi nakazać milczenie, po czym dał mu znak, by wszedł na pierwsze piętro i pozwolił Mabel zostać przy ojcu.

–Musimy być przezorni, a jednocześnie śmiali – powiedział zniżonym głosem Tropiciel. – Te gady biorą się teraz na serio do podpalenia blokhauzu, bo wiedzą, że już nic nie zyskają, pozostawiając go w całości. Słyszałem głos tego łotra, Grota Strzały, który namawiał ich, by swoje szaleństwo spełnili tej jeszcze nocy. Musimy mieć się na baczności, Słona Wodo, nie próżnować. Szczęściem jest w blokhauzie cztery czy pięć beczek z wodą, które przydadzą się w wypadku oblężenia. Wreszcie albo się grubo mylę, albo jeszcze skorzystamy na tym, że zacny Wąż przebywa na swobodzie.

Cap nie dał się prosić dwa razy i wkrótce znalazł się w górnej izbie wraz z Tropicielem, gdy tymczasem Mabel zajęła jego miejsce przy skromnym pościeliu ojca. Tropiciel zasłonił światło, aby nie narazić się na zdradziecką kulę, następnie zaś

otworzył strzelnicę oczekując wezwania z zewnątrz i przybliżył do niej twarz, gotów udzielić odpowiedzi. Ciszę przerwał nareszcie głos Muira.

–Mości Tropicielu! – zawołał Szkot. – Przyjaciel wzywa cię na rozmowę. Podejdź spokojnie do którejś ze strzelnic, bo nie masz się czego obawiać, póki rozmawiasz z oficerem pięćdziesiątego piątego regimentu.

–Czego sobie życzysz, kwatermistrzu? Znam pięćdziesiątkę piątkę i uważam ją za dzielny pułk, choć większą mam słabość do sześćdziesiątego, który jest moim ulubionym, a jeszcze większą do Delawarów. Czegóż jednak sobie życzysz, kwatermistrzu? Pilna to musi być sprawa, skoro sprowadza cię o tak późnej porze pod strzelnicę blokhausu, w którym, jak wiesz, jest Postrach Zwierząt.

–Och, pewien jestem, że nie zrobiłbyś krzywdy przyjacielowi, Tropicielu, i na tym w pełni polegam. Jesteś człowiekiem roztroptym i na pograniczu odwaga twoja zyskała sobie zbyt wielką sławę, abyś uważał lekkomyślność za niezbędną do wyrobienia sobie reputacji. Rozumiesz doskonale, że kiedy opór staje się niepodobieństwem, można zyskać sobie tyleż uznania poddając się bez wybryków, co broniąc się bezmyślnie na przekór regułom wojennym. Nieprzyjaciel jest dla nas za silny, mój dzielny kolego, toteż przychodzę doradzić ci, byś oddał blokhaus pod warunkiem, że będziesz traktowany jak jeniec wojenny.

–Dziękuję za tę radę, która jest tym lepsza, że nic nie kosztuje; jednakże nie sądzę, by do mych właściwości należało oddawanie podobnej placówki, póki mam pod dostatkiem jadła i wody.

–Ba, byłbym ostatnim, który by występował przeciwko tak odważnemu postanowieniu, gdybym widział sposoby wprowadzenia go w czyn. Pamiętaj jednak, Tropicielu, że pan Cap zginął.

–Ależ bynajmniej, bynajmniej! – zaryczał rzeczony osobnik przez drugą strzelnicę. – Tak bardzo jest od tego daleki, poruczniku, że wdrapał się aż na tę fortalicję, i póki można, nie ma zgoła zamiaru oddawać swojej czupryny w ręce takich balwierzy. Uważam ten blokhaus za okoliczność i nie myślę jej marnować.

–Jeśli to głos człowieka żyjącego – odrzekł Muir – to słyszę go z radością, bo wszyscyśmy myśleli, że pan Cap padł w tej ostatniej srogiej utarczce. Ale, mości Tropicielu, jeżeli nawet masz przyjemność przebywać w towarzystwie swojego druha Capa – a wiem z doświadczenia, że wielka to jest satysfakcja, gdyż spędziłem z nim dwa dni i jedną noc w jamie – przecie utraciliśmy sierżanta Dunhama, padł on bowiem razem ze wszystkimi dzielnymi ludźmi, którymi dowodził na tej ostatniej wyprawie. Lundie uparł się, choć postąpiłby roztroptniej i przyzwoiciej poruczając dowodzenie oficerowi. Dunham był mimo to dzielnym człowiekiem i trzeba oddać sprawiedliwość jego pamięci. Krótko mówiąc, wszyscy robiliśmy, cośmy mogli, a

więcej nie dałoby się powiedzieć ani o księciu Eugeniuszu, ani o księciu Marlborough czy nawet o samym wielkim harabim of Stair.

–Znowu się pan mylisz, kwatermistrzu, znowu się mylisz – odparł Tropiciel uciekając się do podstępu, aby stworzyć pozór, że ma większe siły w odwodzie. – Sierżant jest bezpieczny i także przebywa w blokhauzie, gdzie można powiedzieć zebrała się cała rodzina.

–No, to bardzo się z tego cieszę, bośmy już policzyli sierżanta między zabitych. Jeżeli i piękna Mabel jest nadal w blokhauzie, niechże na miłość boską uchodzi bez chwili zwłoki, bo nieprzyjaciel ma zamiar wystawić go na próbę ognia. Znasz potęgę owego straszego żywiołu i postępuj, jak przystało na roztropnego i doświadczonego wojownika, za którego cię powszechnie uważają, jeżeli oddasz pozycję, której obronić nie sposób, miast ściągać katastrofę na siebie i swych towarzyszy.

–Znam potęgę ognia, jak to nazywasz, kwatermistrzu, i o tej spóźnionej porze nie trzeba mi mówić, że można go używać do czegoś więcej niż gotowania obiadu. Z pewnością jednak słyszałeś też o potędze Postrachu Zwierząt, a ten kto spróbuje podłożyć wiązkę chrustu pod te kloce, powącha jego prochu. Co zaś się tyczy strzał z łuku, to nie zdołają one zapalić tego budynku, nie mamy bowiem na dachu gontów, ale porządne, masywne kłody i zieloną korę, prócz tego zaś w bród wody. A wreszcie dach jest płaski, jak ci wiadomo, i możemy po nim chodzić, nie ma więc z tej strony niebezpieczeństwa, dopóki starczy wody. Nikomu w drogę nie wchodzę, jeśli zostawia się mnie w spokoju, ale ten, kto spróbuje podpalić mi ten budynek nad głową, zobaczy, że ogień zażegnie mu się we krwi.

–Czcze to i romantyczne słowa, Tropicielu; sam nie będziesz przy nich obstawał, gdy zastanowisz się nad rzeczywistością. Chyba nie odmawiasz odwagi czy lojalności pięćdziesiątemu piątemu pułkowi, a przecie jestem pewien, iż rada wojenna zawyrokowałaby, że natychmiastowa kapitulacja jest tutaj rzeczą wskazaną. No, no, Tropicielu, lekkomyślność nie bardziej przypomina odwagę Wallace'a czy Bruce'a niż Albany pad Hudsonem – stary gród edynburski!

–Ponieważ każdy z nas ma, jak widać, wyrobione zdanie, dalsza rozmowa jest zbędna. Jeżeli przebywające przy tobie gady chcą brać się do swego piekielnego dzieła, niech zaczynają od razu. Mogą sobie palić drzewo – ja będę spalał proch. Gdybym był Indianinem uwiązanym do pala, pewnie bym się chełpił nie gorzej od nich, ponieważ jednak zarówno moje właściwości, jak i natura są białe, wolę raczej działać niż gadać. Powiedziałeś pan dosyć, jak na królewskiego oficera; a jeśli wszyscy spłonimy, nikt nie będzie miał o to żalu do pana!

–Tropicielu, chyba nie narazisz Mabel, na takie nieszczęście!

–Mabel Dunham jest przy boku swego rannego ojca, a Bóg zaopiekuje się dobrym dzieckiem. Nie spadnie jej włos z głowy, póki służyć mi będzie ręka i oko; a choć tak ufasz Mingom, mości Muir, ja w nich tej wiary nie pokładam. Masz tam przy sobie owego łajdaka, Tuskarorę, który jest dostatecznie chytry i podły, by zepsuć każde plemię, z jakim przestaje, aczkolwiek uważam, że i bez niego Mingowie to skończone lotry. Ale już dość się gadało; teraz niech każdy posłuży się własnymi środkami i umiejętnościami.

Podczas owej rozmowy Tropicielek trzymał się w ukryciu na wypadek, gdyby wymierzono zdradziecką kulę w strzelnicę. Teraz nakazał Capowi, by Wszedł na dach i tam był gotów na odparcie pierwszego ataku. Aczkolwiek marynarz nie zwlekał, znalazł już nie mniej niż dziesięć gorejących strzał wbitych w korę dachu, powietrze zaś wypełniło się wyciem i krzykami wrogów- W tej chwili wybuchła pośpieszna strzelanina, s kule zagrzechotały o kłody, na znak, że walka zaczęła się na serio.

Odgłosy te jednakże nie przeraziły zgoła Tropicieleki ni Capa. Mabel zaś nazbyt była zaprzątnięta swoim zmartwieniem, by odczuć niepokój. Miała też dosyć rozsądku, by zdawać sobie sprawę z wartości obronnej blokhauzu i w pełni doceniać całą jej wagę. Co się tyczy sierżanta, to ożywiły go te tak dobrze znane dźwięki i w owej chwili córka z bólem dostrzegła, że szkliste oczy ojca rozblęły, a krew napłynęła znów do policzków, gdy przysłuchiwał się wrzawie. Teraz to po raz pierwszy Mabel zauważyła, że zaczęła mówić nieco od rzeczy.

–Lekkie kompanie, zbiórka! – szeptał. – Grenadierzy do natarcia! Więc śmia nas atakować w formie? Czemu artyleria nie otwiera ognia?

W tej chwili rozdarł noc ciężki huk strzału działowego; usłyszano trzask drewna, gdy granat kruszył kłocę w górnej izbie, a cały blokhauz zatrzęsł się od siły uderzenia. Tropicielek o włos nie zginął od tego potężnego pocisku; kiedy ów jednak wybuchnął Mabel nie mogła pohamować krzyku, myślała bowiem, że wszystko, co żywe czy martwe na piętrze, zostało zniszczone. Przerażenie jej wzmógł jeszcze oszalały krzyk ojca: – Do ataku!

–Mabel – powiedział Tropicielek wychylając się przez otwór w podłodze. – To prawdziwa mingowska robota: więcej hałasu niż szkody. Łajdaki mają haubicę, którą zabraliśmy Francuzom, i dali z niej ognia do blokhauzu, ale na szczęście wystrzelili jedyny granat, jaki posiadaliśmy, więc chwilowo z tym koniec Zrobili trochę zamieszania na poddaszu, ale nikomu nic się nie stało. Wuj jest dalej na dachu, co do mnie zaś to przeszedłem już przez ogień zbyt wielu strzelb, aby się strachać czegoś takiego jak haubice – i to jeszcze w indiańskich rękach.

Mabel szeptem podziękowała Bogu i popróbowwała skupić całą uwagę na ojcu, który na próżno czynił wysiłki, aby się podnieść. W tych strasznych chwilach, jakie teraz nastąpiły, dziewczyna była tak zajęta rannym, że prawie nie zwracała uwagi na

wrzawę, która panowała dokoła. Tumult zaiste był tak potężny, że gdyby myśli Mabel nie zaprzętało co innego, mogłaby raczej postradać zmysły niż uczuć przestрах.

Cap zachowywał zimną krew wręcz wspaniale. Odczuwał wprawdzie głęboki i stale wzrastający respekt dla siły dzikich, a nawet dla majestatu słodkiej wody, ale jego obawa przed Indianami wynikała raczej z lęku przed oskałpowaniem i torturami, niż z niemęskiego strachu przed śmiercią. Ponieważ znajdował się na pokładzie – wprawdzie tylko domu, a nie okrętu – świadomy był, iż niebezpieczeństwo abordażu jest niewielkie, poruszał się więc z odwagą i takim narażeniem życia, że Tropiciel pierwszy zgromiłby go, gdyby o tym wiedział. Miał trzymać się w ukryciu, zgodnie z obyczajami wojny indiańskiej, uganiał się po całym dachu, chlustając wodą na prawo i lewo z takim spokojem i beztrząsą, jak gdyby stawał żagle podczas morskiej bitwy. Jego pojawienie się było jedną z przyczyn niezwykłego wrzasku u nieprzyjaciela, rozpuścili na niego języki, niczym sfera psów gończych na widok lisa. Zdawało się jednak, że Cap jest zaczarowany, bo chociaż kule świstały dokoła i parokrotnie rozdarły na nim odzież, żadna go nie drasnęła. Kiedy granat przebił ścianę blokhauzu, stary marynarz odrzucił wiadro, machnął kapeluszem i wzniósł trzykrotny okrzyk. Właśnie dokonywał owego heroicznego czynu, gdy niebezpieczny pocisk wybuchnął. To niezwykle zachowanie prawdopodobnie uratowało Capowi życie, bo od owego momentu Indianie przestali doń strzelać, a nawet miotać na blokhauz płonące strzały, gdyż jednocześnie jakby za powszechnym porozumieniem uznali, iż Słona Woda jest szaleńcem, a osobliwym przejawem wielkoduszności dzikich był fakt, że nigdy nie podnosili ręki na tych, którzy ich zdaniem byli obrani ze zdrowych zmysłów.

Tropiciel postępował zgoła odmiennie. Wszystko, co czynił, było najściślej obliczone i stanowiło wynik długoletniej praktyki i rozważli. Trzymał się jak najstaranniej z dala od strzelnic, a w miejscu, które wybrał na punkt obserwacyjny, nie zagrażało mu żadne niebezpieczeństwo. Ów słynny zwiadowca znany był z tego, że często brał udział w desperackich przedsięwzięciach; raz już stał przywiązany do pala, nieuleknie znosząc okrucieństwa i udręki, jakie mu zadawali przewrotni i drapieżni Indianie. Wzdłuż całej tej długiej granicy, gdziekolwiek ludzie przebywali i wiedli walkę, krążyły legendy o jego czynach, zimnej krwi i odwadze. Tym razem jednak ktoś nieświadomy dziejów i charakteru myśliwca mógłby pomyśleć, że najwyższa ostrożność i pilne starania, jakie czynił, aby się nie narażać, wynikały z niegodnych pobudek. Taki sędzia popełniłby jednak omyłkę; Tropiciel pamiętał o Mabel i o tym, co mogłoby spotkać biedną dziewczynę, gdyby jemu samemu przytrafiło się coś złego. To jednak raczej pobudzało jego umysł, niż odwodziło od ostrożności. Człowiekowi temu uczucie strachu było tak obce, że nie zastanawiał się zgoła nad tym, czego inni mogą się dopatrywać w jego postępowaniu. W chwilach niebezpieczeństwa poczynał sobie z mądrością węża, ale i prostotą dziecka.

Przez pierwsze dziesięć minut natarcia Tropiciel podnosił z podłogi kolbę swej broni jedynie wówczas, kiedy przechodził z miejsca na miejsce, gdyż wiedział doskonale,

że kule wroga na próżno uderzają w masywne kłocce blokhauzu, a ponieważ był przy zdobyciu haubicy, miał pewność, że Indianie nie posiadają innego pocisku poza tym, który znajdował się w lufie, kiedy zabrano działko. Nie było więc powodu obawiać się ognia napastników – chyba żeby jakaś zbląkana kula trafiła wprost w otwór strzelnicy. Raz czy dwa zdarzyło się to istotnie, ale pociski wpadły do wnętrza pod takim kątem, że nie mogły nikomu zrobić krzywdy, dopóki Indianie pozostawali w pobliżu blokhauzu: gdyby natomiast zaczęli strzelać z daleka, może jedna kula na sto trafiłaby prosto w otwór. Gdy jednak Tropiciel usłyszał tupot nóg obutych w mokasyny i szelest chrustu pod budynkiem, pojął, że próba podpalenia ścian została ponowiona. Odwołał tedy Capa z dachu, gdzie nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, i nakazał mu stanąć w gotowości z wiadrzem wody przy otworze, który znajdował się wprost nad zaatakowanym miejscem.

Człowiek mniej doświadczony od naszego bohatera pośpieszyłby się zapewne i odparciem tych niebezpiecznych zakusów i uciekł się przedwcześnie do środków obrony; Tropiciel jednak postąpił inaczej. Celem jego było nie tylko ugaszenie ognia, którego niezbyt się obawiał, ale i udzielenie wrogowi nauuczki mogącej utrzymać go na wodzy przez resztę nocy. Ażeby to uczynić, musiał zaczekać, aż światło pożogi umożliwi mu celowanie; wiedział dobrze, iż wtedy jego biegłość strzelecka pozwoli mu dokonać dzieła bez trudu. Jakoż dozwolił Irokezom przynieść naręcza suchego chrustu, złożyć je na stos pod ścianą blokhauzu, podpalić i bez przeszkód zawrócić do swych kryjówek. Capowi jedynie nakazał przetoczyć pod ścianę beczkę wody, ażeby była gotowa do użytku w stosownej chwili. Chwila ta jednak nadeszła zdaniem Tropicielea dopiero wtedy, gdy płomień rozświetlił dookolne zarośla, a bystre i wyćwiczone oko myśliwego zdążyło wypatrzeć kilku przyczajonych dzikich, którzy postępy czynione przez ogień śledzili z chłodną obojętnością ludzi, przywykłych do nieczułego patrzenia na nieszczęścia swych bliźnich. I wtedy dopiero Tropiciel przemówił.

–Gotów jesteś, przyjacielu? – zapytał. – Żar zaczyna wdzierać się przez szczeliny; a choć te zielone kłocce nie odznaczają się zapalczliwością porywczego człowieka, przecie mogą rozgorzeć, jeżeli zbyt długo je drażnić... Beczka gotowa? Uważaj pan, by ją przechylić pod odpowiednim kątem i nie marnować wody.

–Gotów – odparł Cap tak, jak marynarz ona okręcie odpowiada na podobne pytanie.

–Wobec tego czekaj na hasło. W krytycznej chwili nigdy nie trzeba się niecierpliwić, a w bitwie gorączkować. Czekaj pan na hasło.

Tropiciel udzielając tych wskazówek sam także czynił przygotowania, widział bowiem, że czas już działać. Podniósł z wolna Postrach Zwierząt, zmierzył się i wypalił. Wszystko razem trwało z pół minuty, a ledwie broń została cofnięta, oko strzelca znalazło się przy otworze.

–Jednego gada mniej – mruknął do siebie Tropiciel. – Widywałem już tego psubrata i wiem, co to za bezlitosny diabeł. No cóż; postępował zgodnie ze swą naturą i otrzymał odpowiednią zapłatę. Trzeba kropnąć jeszcze jednego łajdaka i na dziś wystarczy. W dzień możemy mieć pełne ręce roboty.

Przez ten czas gotował już drugą strzelbę, a gdy zamilkł, padł drugi Indianin. To istotnie wystarczyło, gdyż cała banda nie myśląc czekać, aby ta sama ręka pokarała ich po raz trzeci, porzuciła kryjówki w zaroślach wokół blokhauzu – gdzie żaden nie wiedział, czy jest widoczny, czy nie – i rozpięzchła się na wsze strony.

–A teraz lej pan wodę – rzekł Tropiciel. – Naznaczyłem tych łotrów; tej nocy nie będą już nam palili ognisk.

–Jazda – zawołał Cap i przechylił beczkę tak celnie, że od razu doszczętnie ugasił płomień.

Tak zakończyło się to osobliwe starcie, a reszta nocy przeszła spokojnie. Cap i Tropiciel czuwali na zmianę, choć trudno byłoby powiedzieć, czy któryś z nich spał. Sen nie był im niezbędny, obaj bowiem przywykli do długiego czuwania, a Tropiciel w pewnych chwilach zdawał się być obojętny na głód, pragnienie i trudy.

Mabel czuwała u posłania sierżanta; zaczynała teraz rozumieć, jak bardzo szczęście na tym świecie uzależnione jest od rzeczy urojonych. Dotychczas właściwie żyła bez ojca, gdyż ich wzajemne związki były natury raczej idealnej niż praktycznej; obecnie jednak, gdy miała go utracić, wydało jej się, że po jego śmierci świat opustoszeje, a ona sama już nigdy nie zazna szczęścia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wichr wyciem rzeził wśród nocnej szarugi,

Z niebios deszczowe polały się strugi –

Lecz jasne słońce na nowo już wstaje

I ptasim śpiewem rozbrzmiewają gaje.

WORDSWORTH

Kiedy się rozwidniło, Tropiciel i Cap znowu weszli na górę, ażeby zorientować się w sytuacji na wyspie. Dach blokhauzu zaopatrzony był w niskie blanki, które zapewniały niezłą ochronę tym, co usadowili się za nimi, a miały na celu ułatwić strzelanie z ukrycia. Skorzystawszy więc należycie z owych niewielkich osłon – niewielkich, jeśli idzie o wysokość, ale aż nadto wystarczających – obaj obserwatorzy zyskali wgląd na całą wyspę z wyjątkiem zarośli oraz na większość wiodących do niej kanałów.

Wicher dał jeszcze silnie z południa, a powierzchnia rzeki miejscami była zielonkawa i wzburzona, choć wiatr nie miał już dostatecznej mocy, aby zapienić wody. Kształt wysepki był prawie owalny, przy czym dłuższy jej bok biegł ze wschodu na zachód. Z uwagi na kierunek kanałów i wiatru statek mógłby przybliżyć się do obu dłuższych boków wyspy, mając wiatr nieomal prostopadle do burty. Cap od razu to zmiarkował i wyjaśnił swojemu towarzyszowi, jako że obaj pokładali nadzieję w możliwości przysłania odsieczki z Oswego. W tejże chwili, właśnie kiedy rozglądali się niespokojnie dokoła, stary marynarz wykrzyknął w swój dziarski, energiczny sposób:

–Żagiel na horyzoncie!

Tropiciel szybko obrócił się w stronę, w którą spoglądał jego towarzysz, i w samej rzeczy dostrzegł to, co okrzyk ów wywołało. Z tej wysokości mogli sięgnąć wzrokiem ponad kilkoma niskimi, przyległymi wysepkami, a oto poprzez zarośla okalające brzeg jednej z nich, która leżała na południowy zachód, ujrzeli płótno żagla. Nieznany statek szedł, jak to nazywają marynarze, pod sztormowymi żaglami, jednakże wiatr był tak silny, że białe zarysy kadłuba przesuwwały się przez luki w listowiu z szybkością pędzącego konia, przypominając obłok gnany po niebie.

–To nie może być Gaspar – powiedział zawiedziony Tropiciel, który w tym szybko posuwającym się statku nie rozpoznawał kutra swojego przyjaciela. – Nie, nie; chłopak się spóźnia, a to jest jakiś statek, który Francuzy przysyłają na pomoc swoim druhom, przeklętym Mingom.

–Tym razem źle sobie wykoncypowałeś, przyjacielu, choć to ci się nigdy nie zdarza – odparował Cap z pewnością siebie zgoła nie umniejszoną przez krytyczną sytuację, w jakiej się obaj znajdowali. – Czy mamy tu słodką wodą czy słoną, tamto w każdym razie jest grot-żagiel „Chwistu”, bo ma mniejszy wykrój niż inne. Prócz tego widać, że gafel został wzmocniony, nader zgrabnie to uczyniono, przyznaję, niemniej jednak jest wzmocniony.

–Wyznam, że nic z tego nie widzę – odrzekł Tropiciel, dla którego nawet same określenia użyte przez Capa były chińszczyzną.

–Nie? No, muszę powiedzieć, że to mnie dziwi, bom myślał, że twoje oczy potrafią dojrzeć wszystko. Dla mnie nic nie może być wyraźniejsze i na twoim miejscu, mój zacny przyjacielu, obawiałbym się, że wzrok zaczyna mi się psuć.

–Jeżeli to naprawdę Gaspar, nie będę miał żadnych obaw. Możemy utrzymać blokhauz przeciwko całemu plemieniu Mingów przez następne osiem czy dziewięć godzin, a skoro Eau-douce osłania nam odwrót, nie zwątpię w nic na świecie. Dałby Bóg, żeby chłopak nie podpłynął do brzegu i nie wpadł w zasadzkę jak sierżant.

–Tak, w tym tkwi niebezpieczeństwo. Powinno się mieć uzgodnione sygnały, kotwicowisko wytyczone bojami, przydałaby się nawet kwarantanna i lazaret, gdyby można zmusić tych Mingów do szanowania praw. Jeżeli, jak powiadasz, chłopak przybije gdzieś do tej wyspy, możemy uważać kuter za stracony. A zresztą, Tropicielu, czyż nie winniśmy uznać, że tenże Gaspar jest raczej potajemnym sprzymierzeńcem Francuzów niż naszych przyjacielem? Tak przecie uważa sierżant, i muszą powiedzieć, że cała ta sprawa zalatuje mi zdradą.

–Niedługo się dowiemy, niedługo się dowiemy, bo oto rzeczywiście kuter wypływa zza tamtej wyspy i rzecz rozstrzygnie się w ciągu pięciu minut. Wypadałoby jednak dać chłopakowi jakiś ostrzegawczy sygnał. Nie byłoby ładnie pozwolić, by wpadł w pułapkę niczego nie świadom.

Mimo to jednak niepokój i napięcie nie pozwoliło żadnemu z nich uczynić próby sygnalizowania. Niełatwo byłoby w istocie to zrobić, albowiem „Chwist” wzbijając pianę płynął przez kanał po zawietrznej z szybkością, która nie pozostawiała na to czasu. Na pokładzie nie było widać nikogo; nawet ster zdawał się pozostawiony sam sobie, aczkolwiek kurs statku był równie pewny, jak jego tempo – szybkie.

Cap stał w milczącym podziwieniu, spoglądając na tak niezwykle widowisko. Gdy jednak „Chwist” podsunął się bliżej, doświadczone oko marynarza wykryło, że ster jest poruszany za pomocą lin umocowanych do rumpla, choć człowiek, który sterował, był niewidoczny. Ponieważ statek miał dość wysokie nadburcie, tajemnica wyjaśniła się, nie było już bowiem wątpliwości, że ludzie leżą za nim, ażeby się zabezpieczyć od strzałów nieprzyjaciela. Ponieważ fakt ten wskazywał, iż oprócz

małej załogi nie ma nikogo na pokładzie, Tropiciel przyjął wyjaśnienia towarzysza złowróbnym kiwaniem głowy.

–To dowodzi, że Wąż nie dotarł do Oswego – powiedział – wobec czego nie powinniśmy oczekiwać pomocy z garnizonu. Mam nadzieję, że Lundiemu nie przyszło do głowy odebrać Gasparowi komendy, bo w takich opałach powinien on być panem siebie. My trzej winniśmy, panie Cap, mężnie sobie poczynać w tej walce: pan, jako marynarz, który potrafi nawiązać kontakt z kutrem; Gaspar, który znając jezioro, wie, co trzeba robić na wodzie, i ja, który nie najgorzej umiem dawać sobie radę z Mingami bez względu na to, co jestem wart poza tym. Powiadam więc, że powinniśmy po męsku stoczyć walkę w obronie Mabel.

–Powinniśmy tak zrobić i zrobimy! – odparł z zapalem Cap, który znów nabrał animuszu i ufności, że uda mu się zachować skalp. – Uważam przybycie „Chwistu” za jedną okoliczność, a szansę, że Odus jest uczciwy – za drugą. Ten Gaspar to chłopak roztropny, bo trzyma się z daleka, i widocznie chce wybadać, jaki jest stan rzeczy na wyspie, zanim poważy się przybić do brzegu.

–Mam już, mam! – wykrzyknął u uniesieniu Tropiciel. – Na pokładzie kutra leży czółno Węża; a zatem wódz dostał się na statek i ani chybi zdał wiernie relację o naszym położeniu, bo w przeciwieństwie do Minga, Delawar zawsze opowie ściśle albo będzie trzymał język za zębami.

–To czółno może należeć do kutra – powiedział z powątpiewaniem marynarz., – Kiedyśmy wyruszali, Eau-douce miał takie na pokładzie.

–Bardzo słusznie, mości Cap; lecz o ile pan poznajesz żagle i maszty po owych wykrojach i wzmocnieniach, to ja poznaję czółna i ścieżki dzięki mej pogranicznej wiedzy. Pan potrafisz zauważyć nowe płótno na żaglu, a ja umiem dostrzec nową korę na czólnie. To jest łódka Wielkiego Węża; ten szlachetny chłop ruszył do garnizonu, gdy tylko stwierdził, że blokhauz jest oblężony, natknął się na „Chwist”, opowiedział wszystko i przyprowadził tu kuter, aby zobaczyć, co można zrobić. Daj Boże, żeby Gaspar Western był nadal na pokładzie!

–Owszem, owszem, nie byłoby to od rzeczy, bo trzeba przyznać, że czy jest zdrajcą, czy człkiem prawym, umie dać sobie radę podczas wiei.

–I podczas spływu wodospadem! – dorzucił Tropiciel trącając łokciem w bok swego towarzysza i śmiejąc się po swojemu, cicho, ale serdecznie. – Oddamy chłopakowi, co mu jest należne, choćby nas miał oskalpować własną ręką.

„Chwist” był już bardzo blisko, więc Cap nic nie odpowiedział. Scena, która rozgrywała się właśnie, była tak osobliwa, że zasługuje na szczegółowy opis, który może dopomóc czytelnikowi do wyrobienia sobie dokładniejszego pojęcia o obrazie,

który pragniemy naszkicować.

Wieżą dęła nadal gwałtownie. Wiele pomniejszych drzew kłoniło swe korony, jak gdyby chciały opuścić je do samej ziemi, a szum wiatru między gałęziami przypominał dalekie dudnienie wozów. W powietrzu pełno było liści, które o tej późnej porze roku łatwo odrywały się od łodyżek i ulatywały z wyspy na wyspę niczym stada ptactwa. Z wyjątkiem owych odgłosów wszędzie panowała iście grobowa cisza. O obecności dzikich na wyspie można było wnosić z faktu, że ich czółna razem z łodziami pułkowymi stały zgrupowane w niewielkiej zatoczce wybranej na przystań. Prócz tego niepodobna było wyśledzić żadnej innej oznaki. Aczkolwiek zupełnie ich zaskoczyło przybycie kutra, nie przewidywali bowiem zgoła tak nagłego jego powrotu, nawyk zachowywania ostrożności na ścieżce wojennej był u Indian do tego stopnia powszechny i wrodzony, że na pierwszy alarm ukryli się co do jednego z instynktem i przebiegłością lisa umykającego do nory. Ten sam spokój panował w blokhauzie, bo chociaż Tropiciel i Cap mogli objąć wzrokiem kanał, przecie leżeli przezornie w ukryciu.

Niezwykły brak wszelkich oznak życia na pokładzie „Chwistu” był jeszcze bardziej godny uwagi. Kiedy Indianie spostrzegli, że statek porusza się, jak gdyby nikt nim nie kierował, ogarnęło ich uczucie grozy i nawet najśmielsi zaczęli wątpić w wynik wyprawy rozpoczętej tak pomyślnie. Sam Grot Strzały, choć przyzwyczajony do obcowania z białymi na obu brzegach jeziora, pomyślał, że jest coś złowróżbnego w ukazaniu się tego statku bez załogi i chętnie by w tej chwili znalazł się znów na lądzie stałym.

Tymczasem kuter posuwał się nieprzerwanie i szybko naprzód. Płynął środkiem kanału to pochylając się pod podmuchem, to prostując znowu – niby filozof, który ugiąwszy się pod nieszczęściami żywota powraca po ich przeminięciu do dawnej postawy – lecz nieprzerwanie piętrząc przed dziobem spienioną wodę. Jakkolwiek szedł pod skróconymi żaglami, szybkość miał znaczną, toteż nie upłynęło i dziesięć minut, od chwili gdy po raz pierwszy ujrzano jego maszty sunące w oddali między drzewami i zaroślami, a już statek znalazł się na wysokości blokhauzu. Kiedy podpłynął pod ich wyniosłe stanowisko, Cap i Tropiciel wyjrzeni, ażeby lepiej widzieć jego pokład, i wtedy ku radości obydwu Gaspar Eau-douce zerwał się tam na równe nogi i wydał trzykrotny, dziarski okrzyk. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, Cap wychylił się zza drewnianych blanków i odpowiedział mu także okrzykiem na to pozdrowienie. Szczęściem ocalała go taktyka nieprzyjaciela, który nadal leżał spokojnie, nie dając ani razu ognia. Tropiciel natomiast zwracał uwagę raczej na praktyczną stronę sytuacji, a całkowicie lekceważył jej cechy dramatyczne. Gdy tylko ujrzął swojego druha, Gaspara, zawołał doń co tchu w piersiach:

–Pomóż nam, chłopcze, to będziemy górą! Wygarnij im tam po krzakach, a wypłoszysz ich niczym stado kuropatw!

Tylko część owych słów dotarła do uszu Gaspara, gdyż reszta uleciała na skrzydłach wiatru. Kiedy Tropiciel to wyrzekł, „Chwist” już ich mijał, a w następnej chwili przesłoniły go drzewa lasku, w którym ukryty był blokhauz.

Upłynęły dwie minuty pełne niepokoju, lecz zaraz potem kuter znowu mignął między drzewami, gdyż Gaspar zrobił zwrot, przebrasował żagle i drugim halsem podpłynął od zawietrznej do wyspy. Jak już wyjaśniono, wiatr był dostatecznie pomyślny na taki manewr; kuter, mając teraz prąd po zawietrznej od dzioba, zmienił kurs w sposób, który wskazywał, że bez żadnych trudności wyjdzie znów na stronę nawietrzną wyspy. Całej tej ewolucji dokonano z największą łatwością, nie tykając zgoła Szkotów; żagle brasowały się same i tylko ster panował nad wspaniałym statkiem. Celem było tu najwyraźniej przeprowadzenie rozpoznania. Kiedy jednakże „Chwist” okrążył już całą wyspę i znalazł się z powrotem po nawietrznej, na tymże samym kanale, którym początkowo przypłynął, przełożono rumpel na zawietrzną i statek zrobił zwrot. Trzask ciasno zrefowanego grot-żagla wypełniającego się wiatrem rozległ się 'niczym strzał z działa, aż Cap zadrżał z obawy, by szwy nie puściły.

–Jego królewska mość daje dobre płótno, ani słowa – mruknął stary żeglarz. – A trzeba też przyznać, że chłopak manewruje statkiem jak rasowy marynarz! Niech mnie licho porwie, Tropicielu, jeżeli po tym wszystkim uwierzę, że ów pan Oduś nauczył się rzemiosła na tym kawałku słodkiej wody!

–Tak było, nie inaczej. Nigdy nie widział na oczy oceanu i do wszystkiego doszedł tu, na Ontario. Zawsze uważałem, że ma wrodzony dar do szkunerów i innych szlupów, i za to go odpowiednio ceniłem. Co zaś się tyczy zdrady, kłamstwa i wszelkich łotrowskich przywar, to Gaspar Western jest od nich równie wolny, jak najzacniejszy z Delawarów; a jeśli pan chcesz zobaczyć człowieka naprawdę uczciwego, musisz go szukać wśród tego właśnie plemienia.

–Idzie ostrzej na wiatr! – krzyknął zachwycony Cap gdy „Chwist” zbliżał się owym pierwotnym halsem. – Teraz zobaczymy, do czego chłopak zmierza, boć chyba nie myśli ganiać tam i z powrotem po tych przesmykach niczym panna tańcząca kontredansa!

Teraz „Chwist” zbliżył się na tyle, iż obaj obserwatorzy siedzący na blokhauzie przelękli się, że Gaspar zamierza podejść do brzegu, a dzicy w swych legowiskach pożerali kuter wzrokiem z owym tryumfem, z jakim przyczajony tygrys śledzi zbliżanie się nieświadomej niczego ofiary. Atoli Gaspar nie miał podobnego zamiaru; obeznany z brzegiem i głębokością wody dokoła całej wyspy, wiedział doskonale, że „Chwist” może bezkarnie podpłynąć tuż do brzegu, toteż nieulękłe zapuścił się tak blisko, że przepływając przez małą zatoczkę, zerwał uwiązane tam łodzie i poholował je na kanał. Ponieważ do obu łodzi sierżanta przywiązane były wszystkie czołna, więc dzięki temu śmiałemu i udanemu manewrowi dzicy zostali od razu pozbawieni

wszelkiej możliwości opuszczenia wyspy z wyjątkiem ucieczki wpraw, z którego to doniesłego faktu, od razu zdali sobie sprawę. Zerwali się z ziemi jak jeden mąż i napełnili powietrze wyciem, otwierając zarazem ogień, który nikomu nie szkodził. Kiedy tak stali zapomniawszy o ostrożności, dwa strzały padły ze strony ich przeciwników. Pierwszy dano z dachu blokhausu i jakiś Irokez z przestrzelonym mózgiem runął martwy na miejscu. Drugi pochodził z „Chwistu”; wypalił Delawar, lecz jego kula, nie tak celna jak Tropiciele, okaleczyła tylko na zawsze któregoś z wrogów. Ludzie z „Chwistu” zakrzyknęli, a dzicy co do jednego, rzekłbyś, zapadli się znowu pod ziemię.

–To Wąż przemówił – rzekł Tropiciel po drugim wystrzale. – Znam huk jego strzelby nie gorzej od głosu Postrachu Zwierząt. Dobra to broń, choć nie zadaje niechybnej śmierci. No, skoro mamy Chingachgooka i Gaspara na wodzie, a sami siedzimy tutaj w blokhausie, mój przyjacielu, to źle by było, gdybyśmy nie nauczyli tych gałganów Mingów, jak należy prowadzić walkę.

Przez cały ten czas „Chwist” był w ruchu. Gdy dotarł do krańca wyspy, Gaspar puścił luzem swą zdobycz; łodzie zepchnięte wiatrem spłynęły i osiadły na piasku cypla, o pół mili po zawietrznej. Wówczas zawrócił i znowu jął dziobem pruć wodę drugiego przesmyku. Siedzący na szczycie blokhausu zauważyli teraz jakiś ruch na pokładzie „Chwistu” i oto ku ich ogromnej radości, właśnie gdy kuter znalazł się na wprost głównej zatoczki, gdzie była przyczajona większość nieprzyjaciół, odsłonięto haubicę, stanowiącą jego jedyne uzbrojenie, i wówczas ulewa kartaczy zaszumiała po zaroślach. Stado przepiórek nie wzbіłoby się szybciej, niż zerwali się Irokezi pod owym niespodziewanym gradem żelaza; wówczas drugi dziki padł od kuli z Postrachu Zwierząt, jeszcze jeden zaś pokuśtykał trafiony przez Chingachgooka. Jednakże Indianie natychmiast znaleźli sobie inne kryjówki i obie strony przygotowywały się do wznowienia walki. Atoli pojawienie się Rosy z białą flagą oraz francuskiego oficera i Muira powstrzymało wszystkich i stało się początkiem pertraktacji.

Rokowania, które nastąpiły, wszczęto tuż pod blokhausem, tak blisko, że niczym nie osłonięci posłowie znaleźli się od razu na łasce i niełasce broni Tropiciele. Gaspar zakotwiczył statek tuż na wprost, a haubica była nadal wycelowana w kierunku parlamentariuszy, toteż zarówno oblężeni, jak ich przyjaciele – z wyjątkiem człowieka stojącego z lontem przy działku- nie wahali się już pokazać w całej postaci. Jedynie Chingachgook pozostawał zaczajony w ukryciu, ale raczej z przyzwyczajenia niż z braku ufności.

–Odniosłeś tryumf, Tropicielu – zawołał kwatermistrz – i kapitan Sanglier sam przybywa złożyć kapitulację. Nie odmówisz chyba dzielnemu nieprzyjacielowi prawa do honorowego odwrotu, skoro walczył z tobą uczciwie na chwałę swego króla i kraju. Sam jesteś nazbyt wiernym poddanym, aby surowo karać czyjąś lojalność i wierność. Jestem upoważniony do zaproponowania w imieniu nieprzyjaciela

ewakuacji wyspy, wymiany jeńców i zwrotu skalpów. Niewiele więcej może on uczynić, zważywszy, że nie ma taborów ni artylerii.

Ponieważ rozmowę prowadzono głosem donośnym, zarówno ze względu na wiatr, jak i na odległość, więc wszystko, do mówiono, słyszane było przez załogi blokhausu i kutra.

–Co ty na to, Gasparze? – krzyknął Tropiciel. – Słyszałeś propozycję. Czy mamy puścić wolno tych hultajów, czy też naznaczyć ich tak, jak się naznacza owce w osiedlach, abyśmy ich później mogli rozpoznać?

–A co się stało z Mabel Dunham? – zapytał młodzieniec z marsem na swej przystojnej twarzy, widocznym nawet z blokhausu. – Jeżeli spadł jej choćby jeden włos z głowy, źle będzie z Irokezami!

–Nie, nie; jest bezpieczna na dole i dogląda konającego ojca, jak przystoi dziewczynie. Nie żywimy Urazy za ranę sierżanta, która jest skutkiem uczciwej walki; co zaś się tyczy Mabel...

–Jest ona tutaj! – rozległ się okrzyk samej dziewczyny, która widząc, co się święci, weszła na dach. – Jestem tu i w imię naszej świętej religii oraz tego Boga, którego wspólnie czcimy, wzywam was do zaprzestania rozlewu krwi! Dość jej już utoczono; jeżeli więc ci ludzie chcą odejść, Tropicielu – jeżeli chcą odejść w spokoju, Gasparze – to nie zatrzymujcie ani jednego z nich! Mój ojciec blisko już jest końca i lepiej by było, gdyby oddał ostatnie tchnienie w pokoju ze światem. Odejdźcie, odejdźcie, Francuzi i Indianie! Nie jesteśmy wam już wrogami; żadnego z was nie skrzywdzimy!

–Powoli, powoli, Magnesku – wtrącił Cap. – To może brzmi bardzo religijnie albo raczej jakbyś czytała poezję z książki, wszelako wcale nie tak, jak nakazuje zdrowy rozsądek. Wróg gotów jest do kapitulacji, Gaspar stoi na kotwicy z wycelowaną artylerią okrętową, a i bez wątpienia z odciążeniem na linie kotwicznej; oko i ręka Tropicielea są pewne jak zegarek, nam zaś mogą przypaść w udziale pieniądze zdobyte, nagrody za wzięcie jeńców i jeszcze chwała na dokładkę, jeżeli nie będziesz się wtrącać przez najbliższe pół godziny.

–No – odezwał się Tropiciel – ja tam przychyliam się do zdania Mabel. Istotnie, dość już rozlano krwi, by cele nasze osiągnąć i przysłużyć się królowi jegomości, co zaś się tyczy chwały, o jakiej pan mówisz, to przyda się ona raczej młodym chorążym czy rekrutom niż wstrzemięźliwym, gorliwym chrześcijanom. Jest chwała w czynieniu tego, co słuszne, a hańba w tym, co niesprawiedliwe, ja zaś uważam za niesprawiedliwe odbierać życie nawet Mingowi, jeśli nie służy to pożytecznym celom; natomiast zawsze sądzą, że należy iść za głosem rozsądku. A zatem, mości poruczniku Muir, posłuchajmy, co twoi przyjaciele, Francuzi i Indianie, mają do powiedzenia na swoją obronę.

–Moi przyjaciele?! – zawołał Muir drgnąwszy. – Chyba nie będziesz nazywał wrogów króla moimi przyjaciółmi, Tropicielu, dlatego tylko, że losy wojenne rzuciły mnie w ich ręce? Najwięksi wojownicy, zarówno starożytni, jak współcześni, bywali jeńcami; a imć Cap może zaświadczyć, czy nie czyniliśmy wszystkiego, co w ludzkiej mocy, ażeby ujść klęski.

–Owszem, owszem – odrzekł sucho Cap. – „Ujść” to jest właściwe słowo. Uszliśmy i schowaliśmy się tak starannie, że moglibyśmy tkwić w owej dziurze aż do tej chwili, gdyby nie trzeba było dopełnić zapasów w naszych spizarniach. Przy tamtej okazji, kwatermistrz, zaryłeś się pan w ziemię nie gorzej od lisa i w głowę zachodzę, skąd tak dobrze wiedziałeś, gdzie szukać tego miejsca. Najwytrawniejszy leń na okręcie nie potrafi zręczniejszym czmychnąć na rufę, gdy trzeba zwinąć kliwer, niż pan wówczas wśliznąłeś się do owej dziury.

–Alboż pan nie poszedłeś za mną? Są chwilę w życiu człowieka, kiedy rozsądek bierze górę nad instynktem...

–A ludzie włożą w doły – przerwał mu Cap z chełpliwym uśmiechem, któremu zawtórował Tropiciel. Nawet Gaspar, choć wciąż pełen troski o Mabel, nie mógł powściągnąć uśmiechu. – Podobno nikt nie może być marynarzem, jeżeli nie patrzy w górę; a tu się okazało, że nie może być żołnierzem ten, kto nie umie zajrzeć w dół!

Ów wybuch wesołości, acz nieprzyjemny dla Muira, przyczynił się znacznie do utrzymania pokojowego nastroju. Cap uważał, że powiedział coś wyborczego i to go skłoniło do ustępstw w najważniejszej sprawie, skoro pozyskał sobie u towarzyszy opinię dowcipnisa. Po krótkiej naradzie ustawiono wszystkich dzikich bez broni o sto jardów od blokhausu, pod wymierzonym działkiem „Chwistu”; Tropiciel zaś zszedł do drzwi i omówił warunki opuszczenia wyspy przez nieprzyjaciela. Zważywszy okoliczności, nie przynosiły one ujemnej żadnej ze stron. Indianie zmuszeni byli oddać całą broń z nożami i tomahawkami włącznie; ten środek ostrożności przedsięwzięty z uwagi, na fakt, że wróg był nadal czterokrotnie liczniejszy. Oficer francuski, monsieur Sanglier, jak go zazwyczaj nazywano i jak sam siebie nazywał, zaprotestował przeciwko temu, utrzymując, iż warunek ów przyniesie więcej hańby jego ludziom niż wszystko inne; ale Tropiciel, który był świadkiem niejednej masakry urządzonej przez Indian i wiedział, jak bezwartościowe są wszelkie rękojemie dzikich, jeżeli sprzeciwiają się ich interesom, był nieugięty.

Drugi warunek miał niemal równą wagę. Zmuszał on kapitana Sangliera do wydania wszystkich jeńców, których nieprzyjaciel trzymał pod dobrą strażą w tej samej jamie czy grocie, w której schronili się Cap i Muir. Kiedy przyprowadzono tych ludzi, okazało się, że czterej z nich są w ogóle nietknięci; w czasie ataku padli na ziemię tylko po to, aby ratować życie, co było zwykłym fortem w tego rodzaju wojaczce. Spośród reszty, dwóch odniosło takie lekkie obrażenia, że byli zdolni do służby. Ponieważ przynieśli swoje muszkiety, Tropiciel ucieszył się takim pomnożeniem

własnych sił, a zebrawszy w blokhauzie całą bron nieprzyjaciela, rozkazał owym ludziom obsadzić budynek i wystawić regularny posterunek u jego drzwi. Reszta żołnierzy zginęła, gdyż ciężej rannych natychmiast dobito, żeby zdobyć tak pożądane skalpy.

Gdy Gaspar zapoznał się z układem, a warunki przedwstępne wypełniono na tyle, że mógł już bezpiecznie się oddalić, odpłynął „Chwistem” i dotarłszy do cypla, gdzie łodzie osiadły u brzegu, wziął je znowu na hol i wprowadził w przesmyk od zawietrznej. Tu dzicy powiadali do nich natychmiast, a Gaspar po raz trzeci pohołował łodzie z wiatrem, po czym puścił je wolno na pełną milę od wyspy, Indianom pozostawiono tylko po jednym wiosle na łódź, gdyż młody marynarz wiedział dobrze, iż płynąc z wiatrem zdołają wylądować tegoż rana na brzegach Kanady.

Kiedy już pozbyto się reszty nieprzyjaciół, na wyspie pozostali jedynie: kapitan Sanglier, Grot Strzały i Rosa. Oficer francuski miał jeszcze podpisać pewne papiery wraz z porucznikiem Muirem, który w jego oczach posiadał wszelkie uprawnienia związane ze stopniem oficerskim, Grot Strzały zaś, z sobie wiadomych przyczyn, wolał nie odpływać razem ze swymi niedawnymi przyjaciółmi, Irokezami. Dla tych trojga zatrzymano czółno, by mogli wyruszyć w odpowiedniej chwili.

Tymczasem gdy „Chwist” holował łodzie, Tropiciele i Cap z pomocą paru innych wzięli się do przyrządzania posiłku, gdyż większość ludzi nie miała nic w ustach od dwudziestu czterech godzin. Przez krótki czas, który spędzili na owych czynnościach, zanim „Chwist” znowu przybił do brzegu, rozmawiano niewiele, acz Tropiciele znalazł chwilę, aby odwiedzić sierżanta, zamienić kilka przyjaznych słów z Mabel i dać wskazówki, które mogły przyczynić się do ulżenia konającemu. Co się tyczy Mabel, namówił ją, by nieco się pokrzepiła, a ponieważ nie było już potrzeby pełnić warty przed blokhauzem, zdjął więc posterunek, ażeby córka mogła bez przeszkód pielęgnować ojca. Dokonawszy owych drobnych czynności, bohater nasz powrócił do ogniska, wokół którego zebrali się wszyscy pozostali z Gasparem włącznie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Patrz, jeszcze troska fałduje mu lica

Jak morze, które burzy nawałnica,

Wstrząsnęła dreszczem... lecz oto znów

fale Słabną, igrając po wierzchu ospale.

DRYDEN

Ludzie przyzwyczajeni do tego rodzaju walki, jaką opisaliśmy, nie są skłonni zbyt ulegać wpływowi łagodnych uczuć, póki znajdują się w polu. Mimo to niejedno serce było przy Mabel w blokhauzie, podczas gdy rozgrywały się wydarzenia, które tu mamy opowiedzieć, a upragniony posiłek nie dostarczył nawet najbardziej zahartowanym spośród żołnierzy tej radości, jaką by odczuli, gdyby sierżant nie był tak bliski zgonu.

Kiedy Tropiciel powrócił z blokhauzu, wyszedł mu na spotkanie Muir, który odwiódł myśliwca na stronę, aby z nim porozmawiać w cztery oczy. W obejściu kwatermistrza była owa przesadna uprzejmość, która nieomal zawsze znamionuje brak szczerości; choć bowiem fizjonomika i frenologia są w najlepszym razie nader chromymi naukami i często mogą prowadzić do tyłuż błędnych, co prawidłowych wniosków, twierdzimy, że oprócz czynów nie ma nieomylniejszego świadectwa nierzetelności niż twarz, która się uśmiecha bez powodu, i język, który jest nad miarę gładki.

Muir miał wiele z tego sposobu bycia wraz z przymieszką pozornej szczerości, którą szczególnie podkreślały jego szkocka intonacja, szkocki akcent i szkockie wyrażenia. Wyniesienie swoje zawdzięczał długoletniemu zabieganiu o względy Lundiego i jego rodziny, jakkolwiek bowiem sam major był nazbyt przenikliwy, by dać się zwieść człowiekowi stojącemu odeń o tyle niżej pod względem rzeczywistych uzdolnień i osiągnięć, przecie wiele ludzi zwykło łaskawie traktować pochlebcę, choćby mu nie ufali i byli w pełni świadomi jego pobudek.

Tym razem współzawodniczyli z sobą w zręczności dwaj mężczyźni, z których jeden był skrajnym przeciwieństwem drugiego, jeżeli idzie o wszelkie zasadnicze cechy charakteru. Tropiciel był równie prosty jak kwatermistrz przebiegły, równie szczery jak tamten fałszywy i równie bezpośredni jak ów wykrętny. Obydwu cechowała zimna krewi rozważa; obaj byli odważni, choć w różny sposób i w różnym stopniu, Muir bowiem narażał swoją osobę jedynie dla efektu, a znów przewodnik zaliczał strach do naturalnych uczuć, którym wolno ulegać, lecz wtedy tylko, gdy może stąd wyniknąć coś dobrego.

–Najdroższy przyjacielu – zaczął Muir – boć po tym, jak postąpiłeś ostatnio, będziesz nam stokrotnie droższy niż kiedykolwiek dotąd. W tej potrzebie spisałeś się dzielnie. Wprawdzie nie zrobią cię oficerem, gdyż tego rodzaju wyniesienie niezbyt byłoby dla ciebie właściwe ani też, jak sądzę, nie stanowi przedmiotu twych pragnień; można wszakże powiedzieć, że dopełniłeś swej chwały jako przewodnik, doradca, wierny poddany i wyśmienity strzelec. Wątpię, czy sam głównodowodzący wyniesie z Ameryki taką sławę, jak ta, która tobie przypadnie w udziale; winienesz teraz spocząć na laurach i dogadzać sobie do końca życia. Ożeń się zaraz, człowieku, i zabiegaj o swoje szczęście, bo nie potrzeba ci już zabiegać o chwałę. Na Boga! Przygarnij tę Mabel Dunham do łona, a będziesz miał zarazem piękną żonkę i piękną reputację!

–Nowa to rada z pańskich ust, kwatermistrzu! Mówiono ani, że mam w tobie rywala.

–Bo miałeś, człowieku, i to nie byle jakiego, mogę cię zapewnić; takiego, który nigdy nie zalecał się nadaremnie a przecie czynił to już pięć razy. Lundie dokucza mi, że cztery, ale ani mu w głowie, że prawda przekracza nawet tę jego arytmetykę. Tak, tak; miałeś we mnie rywala, Tropicielu, ale już go nie masz. Serdecznie ci życzę powodzenia u Mabel, a jeśli zacny sierżant wyżyje, możesz z całą pewnością liczyć, że przemówię za tobą.

–Cenię sobie pańską życzliwość, kwatermistrzu, aczkolwiek niezbyt mi potrzeba wstawiennictwa u sierżanta Dunhama, który z dawien dawna jest moim przyjacielem. Moim zdaniem możemy tę sprawę uważać za przesądzoną o tyle, o ile jest coś pewnego w czasie wojny; bo skoro Mabel i jej ojciec zgadzają się, cały pięćdziesiąty piąty regiment nie mógłby już temu przeszkodzić. Ach, biedny ojciec zapewne nie dożyje tego, czego od tak dawna pragnął z głębi serca!

–Ale umierając znajdzie pociechę w świadomości, że tak się przecie stanie. O, wielka to ulga dla odchodzącej duszy, owa pewność, że ukochana istota, którą się pozostawia, zabezpieczona będzie po naszym zgonie! Wszystkie moje małżonki - wyrażały taki pogląd oddając ostatnie tchnienie.

–Bo wszystkie twoje żony, kwatermistrzu, musiały doznawać owej pociechy...

–No, no, człowieku! Nie myślałem, że z ciebie taki żartownisi Ale zabawne słówka nie bolą między starymi druhami. Jeżeli nawet nie mogę poślubić Mabel, nie będziesz miał nic przeciwko temu, abym ją szanował i mówił dobrze o niej, zarówno jak i o tobie przy każdej sposobności i w każdej kompanii. Ale, Tropicielu, zrozumiesz chyba snadnie, że biedakowi, który traci taką oblubienicę, będzie zapewne potrzeba pociechy?

–Bardzo to możliwe, kwatermistrzu, bardzo możliwe – odparł prostodusznie przewodnik. – Mnie samemu ciężko byłoby znieść stratę Mabel. Może ci być przykra

myśl. że się pobieramy, ale śmierć sierżanta zapewne odwlecze ślub, będziesz więc miał czas ochłonąć i przyjąć to bardziej po męsku.

–Zniosę to; tak, zniosę, choćby mi serce pękało! Ty zaś, Tropicielu, możesz mi pomóc dając mi coś do roboty. Sam rozumiesz, że ta wyprawa była bardzo osobliwej natury; bo oto ja, oficer królewski, jestem tu jakby ochotnikiem, gdy tymczasem zwykły podoficer sprawuje dowództwo. Poddawałem się temu z różnych przyczyn, choć krew się we mnie burzyła, tak bardzo chciałem dowodzić, kiedy walczyliście za honor kraju i prawa najjaśniejszego pana...

–Kwatermistrz – przerwał mu przewodnik. – Wpadłeś tak wcześnie w ręce wroga, że twoje sumienie winno się łatwo uspokoić; przyjmij więc moją radę i nie wspominaj o tym.

–Takie jest właśnie moje zdanie, Tropicielu; nikt z nas nie wspomni o tym. Sierżant Dunham jest liors de combat...

–Co, proszę? – spytał przewodnik.

–No, sierżant nie może dowodzić, a niepodobna pozostawić kaprała na czele takiego zwycięskiego oddziału, bo kwiat, który rozwinie się w ogrodzie, zwiędnie na ugorze. Zamierzam przeto żądać władzy należnej oficerowi. Ludzie nie ośmielą się wysuwać zastrzeżeń, w tobie zaś, mój drogi przyjacielu, który zdobyłeś taką chwałę oraz Mabel i masz świadomość, że spełniłeś swój obowiązek – co jest ze wszystkiego najcenniejsze – spodziewam się znaleźć raczej sprzymierzeńca niż przeciwnika mojego planu.

–Co się tyczy dowodzenia żołnierzami z pięćdziesiątego piątego, poruczniku, to myślę, że jest to twoje prawo i nikt ci go chyba nie odmówi, aczkolwiek byłeś jeńcem wojennym i są tacy, co mogliby występować przeciwko przekazaniu władzy jeńcowi uwolnionemu dzięki ich własnym czynom. Mimo to chyba nikt tutaj nie sprzeciwi się twoim życzeniom.

–Otóż właśnie, Tropicielu! A kiedy wezmę się do spisywania raportu o naszej udanej zasadzce na łodzie i obronie blokhauzu wraz z ogólnymi operacjami do kapitulacji włącznie – przekonasz się, że nie pominę twych czynów i zasług.

–Mniejsza o moje czyny i zasługi, kwatermistrzu. Lundie wie, jaki jestem w lesie i jaki w forcie, a generał wie jeszcze lepiej od niego. Nie troszcz się o mnie, spis swój raport i postaraj się tylko oddać sprawiedliwość ojcu Mabel, który przecież jest jeszcze w tej chwili dowodzącym.

Muir oświadczył, że to mu w pełni dogadza oraz że odda sprawiedliwość wszystkim, po czym obaj mężczyźni podeszli do grupy zebranej dookoła ogniska. Tutaj kwatermistrz, po raz pierwszy od opuszczenia Oswego, zaczął wykonywać władzę

należną jego randze. Wziął na stronę pozostałego przy życiu kaprała i wyraźnie mu zapowiedziawszy, że on, Muir, musi na przyszłość być traktowany jako oficer jego królewskiej mości, nakazał kapralowi, aby zapoznał swoich podwładnych z nowym stanem rzeczy. Owa zmiana dynastii odbyła się bez zwykłych, objawów rewolucji, wszyscy bowiem dobrze rozumieli, że porucznik może sobie rościć prawo do dowodzenia i nikt nie myślał kwestionować jego rozkazów. Uważano, że z przyczyn im tylko znanych Lundie i kwatermistrz pierwotnie ułożyli sprawy inaczej, teraz zaś Muir, także z wiadomych sobie powodów, uznał za stosowne rzecz zmienić. Rozumowanie to wystarczało żołnierzom, jakkolwiek rana sierżanta mogłaby być dostatecznym uzasadnieniem, gdyby takowe okazało się potrzebne.

Przez cały ten czas kapitan Sanglier zajmował się śniadaniem z rezygnacją filozofa, zimną krwią weterana, zręcznością i umiejętnością Francuza tudzież żarłocznością strusia. Oficer ów przebywał w koloniach od blisko trzydziestu lat; opuszczając Francję pełnił w swej armii mniej więcej takie same funkcje, jak Muir w pięćdziesiątym piątym pułku. Żelazne zdrowie, całkowita nieczułość, niejaka zręczność, nader sposobna w obcowaniu z dzikimi, oraz nieposkromiona odwaga sprawiły, że głównodowodzący od razu ujrzał w nim człowieka, którego można by z powodzeniem użyć do kierowania operacjami wojennymi indiańskich sojuszników. W tym charakterze Sanglier doszedł do tytularnej rangi kapitana, a awansując, przejął jednocześnie w znacznej mierze nawyki i poglądy swych sprzymierzeńców z ową łatwością oraz giętkością, która w Ameryce uważana jest za właściwą jego rodakom. Często dowodził grupami Irokezów podczas ich łupieżczych wypraw, a jego postępowanie dawało wtedy o tyle sprzeczne wyniki, że z jednej strony łagodziło okropności takiej wojny, z drugiej zaś wzmagalo je przez zastosowanie przemysłnych i ulepszonych metod człowieka cywilizowanego. Innymi słowy, planował przedsięwzięcia, które swą doniosłością oraz skutkami znacznie przekraczały zwykłe poczynania Indian, po czym interweniował, ażeby w pewnej mierze zmniejszyć zło, które sam wywołał. Krótko mówiąc, był to awanturnik postawiony przez okoliczności. W takiej sytuacji, w której nieczułość ludzi jemu podobnych mogłaby łatwo ujawnić się ze złym czy dobrym skutkiem; nie był też człowiekiem, który [naprzykrzałby się losowi jakimś niewczesnym wysubtelnieniem uczuć, czy igrał z jego łaskawością, niepotrzebnie go drażniąc jałowym okrucieństwem. Ponieważ jednak nazwisko kapitana łączono nieuchronnie z licznymi wybrykami popełnionymi przez jego ludzi, był tedy ogólnie uważany w prowincjach amerykańskich za nędznika, który rozkoszuje się przelewaniem krwi, a największą przyjemność znajduje w dręczeniu niewinnych i bezbronnych. Miano „Sanglier” – przezwisko, które sam sobie dobrał – albo też Krzemienne Serce, jak go zazwyczaj zwano na pograniczu, stało się takim samym postrachem kobiet i dzieci z tych stron, jak później imiona Butlera i Brandta.

Spotkanie Tropicielea z Sanglierem odznaczało się niejakim podobieństwem do owej słynnej rozmowy Wellingtona i Bluchera, którą tak często i tak obrazowo opisywano. Odbyło się przy ognisku; przez dobrą minutę obaj stali obserwując się wzajem z

powagą i w milczeniu. Jeden i drugi wiedział, że ma przed sobą potężnego nieprzyjaciela; jeden i drugi czuł, że chociaż winien traktować przeciwnika z męską wielkodusznością należną wojownikowi, przecie niewiele ma z nim wspólnego pod względem charakteru i interesów. Jeden służył dla pieniędzy i awansu; drugi dlatego, że życie rzuciło go w puszczę, a kraj ojczysty potrzebował jego ramienia i wiedzy. Żądza wyniesienia się nigdy nie zakłóciła spokoju Tropicielea; nie wiedział, co to ambitna myśl – tak jak zwykła przejawiać się ludzka ambicja – dopóki nie poznał Mabel. Od owej pory brak ufności w siebie, cześć dla Mabel i chęć zapewnienia jej w życiu sytuacji lepszej od tej, w której sam się obecnie znajdował, przysporzyły mu kilka przykrych chwil, ale bezpośredniość i prostota charakteru wrychle przyniosła mu ulgę, toteż niebawem doszedł do przekonania, że kobieta, która nie zawahałaby się wziąć go na męża, nie miałyby też zastrzeżeń przeciwko dzieleniu jego losu, choćby był najskromniejszy. Szanował Sangliera jako dzielnego żołnierza, a miał zbyt wiele owej wielkoduszności, która wynika z doświadczenia, by wierzyć choć w część tego, co mówiono na jego ujmę. Albowiem najbardziej ograniczeni i najmniej wyrozumiali we wszystkim bywają zwykle ci, którzy nic o danym przedmiocie nie wiedzą. Nie mógł jednakże pochwalać samolubstwa Francuza, jego zimnego wyrachowania, a już najmniej faktu, że ów zapomniał o swoich „białych” cechach przejmując tylko te, które były czysto „czerwonośkóre”.

Z drugiej znów strony Tropiciel był zagadką, dla Sangliera. Francuz nie mógł zrozumieć jego pobudek. Często słyszał o bezinteresowności, prawości i rzetelności Tropicielea; w kilku wypadkach doprowadziłyby one kapitana do popełnienia ciężkich błędów z tej samej przyczyny, z jakiej szczerzy i otwarty dyplomata podobno lepiej zachowuje sekret, niż ten, który jest milczący i przebiegły.

Kiedy obaj bohaterowie przyjrzeni się już sobie nawzajem, jak to powyżej opisano, monsieur Sanglier dotknął swej czapki, gdyż brutalność pogranicznego życia nie zatarła w nim ze szczerem kurtuazji, której nabrał w młodości, ani nie stłumiła owych pozorów bonhomie, snadź wrodzonych Francuzom.

–Monsieur le Thopiciel – powiedział głosem nader pewnym, ale z przyjaznym uśmiechem – un militaire szanuje le courage et la loyaute. Mówisz pan językiem lhokezów?

–Owszem, rozumiem mowę tych gadów i potrafię się nią posłużyć, kiedy trzeba – odparł ścisły i prawdomówny przewodnik – ale nie jest to ani język, ani plemię, które przypadłoby mi do gustu. Moim zdaniem, panie Krzemienne Serce, gdzie człowiek trafia na krew mingowską, tam trafia na łotra. No, często pana widywałem, choć tylko podczas bitwy, ale muszę powiedzieć, że zawsze w pierwszej linii. Zapewne znasz nasze kule z widzenia?

–Ale nigdy pańskiej; une balie z pana szlachetna bhoń byłaby śmiech. Na wyspa pan zabił moje najlepsze wojowniki.

–Może to być, może być, aczkolwiek mówiąc prawdę, i pewnie okazaliby się największymi łajdakami. Bez obrazy, panie Krzemienne Serce, ale przebywasz w diabło paskudnym towarzystwie.

–Tak jest – odparł Francuz, który myśląc tylko o tym, aby przemawiać z jak największą kurtuazją, a zarazem rozumiejąc z trudem, skłonny był mniemać, że powiedziano mu komplement. – Pan za dobhy. Ale un brave jest zawsze comme ca. Co to znaczy? Co ten jeune homme zhibił?

Ręka i wzrok kapitana Sanglier wskazywały Tropicielowi miejsce po przeciwnej stronie ogniska, gdzie właśnie w tej chwili dwaj żołnierze pochwycili brutalnie Gaspara i krępowali mu ręce pod kierunkiem Muira.

–Co to znaczy? – krzyknął przewodnik postępując naprzód i odpychając obu szeregowców z neodpartą siłą ramienia. – Kto ma odwagę czynić coś podobnego Gasparowi Eau-douce? Kto się ośmiela robić to pod moim okiem?

–Z mojego to rozkazu, Tropicielu – odparł kwatermistrz – a wydałem go na własną odpowiedzialność. Me poważysz się chyba podawać w wątpliwość prawowitości rozkazów wydanych królewskim żołnierzom przez królewskiego oficera?

–Podałbym w wątpliwość słowa króla, choćby mi sam powiedział, że Gaspar na to zasłużył. Czyż chłopak nie uratował dopiero co naszych skalpów, nie uchronił nas od klęski i nie zapewnił zwycięstwa? Nie, nie, poruczniku; jeżeli taki jest pierwszy użytek, który czynisz ze swej władzy, to ja jej w każdym razie nie będę respektował.

–To trochę pachnie niesubordynacją – odrzekł Muir – ale wiele możemy znieść od Tropicieła. Wprawdzie Gaspar pozornie usłużył nam w tej potrzebie, ale nie powinniśmy zamykać oczu na jego dawne sprawy. Alboż sam major Duncan nie oskarżył go wobec sierżanta Dunhama przed naszym odjazdem z fortu? Alboż nie dość widzieliśmy na własne oczy, by mieć pewność, że nas zdradzono? Czyż nie jest naturalne i niemal nieodzowne uważać, że zdrajcą był ten właśnie młodzieniec? Ach, Tropicielu! Nie wyjdiesz na wielkiego wodza ani męża stanu, jeżeli będziesz pokładał zbytnią wiarę w pozorach. Niech mnie Bóg skarże, jeśli nie myślę, iż gdyby dotrzeć do prawdy – jak sam często mawiasz – to okazałoby się, że hipokryzja jest jeszcze pospolitszą wadą niż nawet zazdrość, owa zakała ludzkiej natury!

Kapitan Sanglier wzruszył ramionami, a potem przeniósł baczne spojrzenie z Gaspara na kwatermistrza i znowu z kwatermistrza na Gaspara.

–Nie dbam o zazdrość czy hipokryzję, czy nawet o ludzką naturę – odrzekł Tropiciel. – Gaspar Eau-douce to mój przyjaciel. Gaspar Eau-douce to dzielny chłopak, uczciwy chłopak, lojalny chłopak i bez rozkazu samego Lundiego żaden żołnierz z pięćdziesiątki piątki nie podniesie na niego ręki, dopóki potrafię temu zapobiec.

Możesz pan mieć władzę nad swymi żołnierzami, ale nie masz żadnej nade mną czy nad Gasparem, mości Muir!

–Bon! – rzucił energicznie Sanglier gardłowo-nosowym głosem.

–Czyż nie chcesz usłuchać rozsądku, Tropicielu? Nie zapomniałeś chyba o naszych podejrzeniach i domysłach, a oto jest nowa okoliczność, która je wszystkie wzmacnia i pogłębia. Widzisz ten kawałek sukna; no i któż to je znalazł, jeśli nie Mabel Dunham, wiszące na gałęzi drzewa tu, na tej wyspie, akurat na godzinę przed atakiem wroga? Jeżeli zadasz sobie trud obejrzenia bandery „Chwistu”, stwierdzisz, że ten kawałek sukna z niej właśnie odcięto. Dowód rzeczowy nigdy nie był bardziej przekonujący.

–Ma foi, c'est un peu fort, ceci – wycedził przez zęby Sanglier.

–Nie gadaj mi pan o banderach i sygnałach, kiedy znam czyjeś serce – odpowiedział Tropiciel. – Gaspar ma wrodzoną uczciwość, a jest to dar zbyt rzadki, aby go lekceważyć niczym sumienie Minga. Nie, nie; ręce precz, bo inaczej zobaczymy, kto tu się lepiej bije: czy pan razem z twoimi ludźmi z pięćdziesiątego piątego, czy też Wąż i Postrach Zwierząt wraz z Gasparem i jego załogą. Przeceniasz swoje siły, poruczniku, równie jak nie doceniasz rzetelności Gaspara.

–Tres bon!

–No, Tropicielu, skoro trzeba mówić wyraźnie, to trzeba. Zarówno tu obecny kapitan Sanglier, jak dzielny Tuskarora, Grot Strzały, powiadomili mnie, że ten nieszczęsny chłopak jest zdrajcą. Po tym świadectwie nie możesz dłużej odmawiać mi prawa do ukarania go ani zaprzeczać, że jest to konieczne.

–Scelerai – mruknął Francuz.

–Kapitan Sanglier jest dzielnym żołnierzem i nie oczerni uczciwego marynarza – wtrącił Gaspar. – Czy jest tu jakiś zdrajca, kapitanie Krzemienne Serce?

–Właśnie – dorzucił Muir. – Niechże kapitan sam powie, skoro tego pragniesz, nieszczęsny młodzieńcze. Dowiedzmy się prawdy. Mam tylko nadzieję, że nie przyplacisz tego głową, kiedy sąd będzie rozpatrywał twoje występki. No, jakże tam, kapitanie; dostrzegasz między nami zdrajcę, czy nie?

–Oni – tak, panie, bien sur!

–Za dużo kłamstwa! – zakrzyknął grzmiącym głosem Grot Strzały i niepohamowanym ruchem trzepnął dłonią na odlew w pierś Muira. – Gdzie moi wojownicy? Gdzie jengizki skalp? Za dużo kłamstwa!

Muirowi nie brakło osobistej odwagi ani pewnego poczucia godności. Gwałtowny odruch Indianina, mający być tylko gestem, wziął on za cios, bo nagle zbudziło się w nim sumienie; cofnął się więc o krok i sięgnął ręką po muszkiet. Był trupio blady z wściekłości, a wyraz jego twarzy mówił o okrutnych zamiarach. Jednakże Grot Strzały był szybszy, potoczył wokoło dzikim wzrokiem, wepchnął rękę za przepaskę, wyrwał ukryty tam nóż i w mgnieniu oka zatopił go po rękojeść w ciele kwatermistrza. Kiedy ów runął do stóp Indianina wpatrując mu się w twarz szklanym wzrokiem człowieka zaskoczonego przez śmierć, Sanglier zażył szczyptę tabaki i rzekł spokojnym głosem:

–Voila l'affaire finie, mais – tu wzruszył ramionami – ce n'est qu'un scelerat de moins.

Czyn ów był zbyt nagły, by można mu było zapobiec, i kiedy Grot Strzały z okrzykiem skoczył w zarośla, biali byli nadto oszołomieni, by ruszyć za nim. Atoli Chingachgook lepiej panował nad sobą i ledwie krzaki zamknęły się za uciekającym Tuskarorą, już rozwarł je swym ciałem Delawar, który rzucił się za nim w pogoń.

Gaspar Western mówił płynnie po francusku, toteż uderzyły go słowa i zachowanie się Sangliera.

–Powiedz pan – rzekł po angielsku. – Czy to ja jestem zdrajcą?

–Le voila – odparł chłodno Francuz. – To nasz espion – nasz agent – nasz pszyjaciel – ma foi, c'etait un grand scelerat, voici.

To mówiąc Sanglier pochylił się nad trupem i wsunawszy rękę do kieszeni kwatermistrza wydobyl z niej sakiewkę. Kiedy wysypał jej zawartość na ziemię, kilka podwójnych luidorów potoczyło się w stronę szeregowców, którzy skwapliwie je pozbiali. Odrzuciwszy ze wzdrgardą sakiewkę ów żołnierz fortuny obrócił się ku sagankowi zupy, którą gotował z takim staraniem, a stwierdziwszy, że przypada mu do smaku, jął się posilać z wyrazem obojętności, której mógłby mu pozazdrościć najbardziej niewzruszony z indiańskich wojowników.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jedynym tutaj kwiatem amarantu

Jest cnota. Skarbem jedynym zaś prawda.

COWPER

Czytelnik winien teraz odmalować sobie wydarzenia, które nastąpiły po nagłej śmierci Muira. Podczas gdy żołnierze zajęci byli jego ciałem, które złożyli na uboczu i przykryli wojskowym płaszczem, Chingachgook w milczeniu powrócił na swoje miejsce przy ognisku, a zarówno Sanglier jak i Tropiciel zauważyli, że miał u pasa świeży, skrwawiony skalp. Nikt nie zadawał żadnych pytań; Francuz, chociaż zupełnie pewny, że Grot Strzały zginął, nie zdradzał ciekawości ani wzruszenia. Dalej jadł ze spokojem zupełnym, jak gdyby nic mu nie zakłóciło posiłku. Było w tym coś z dumy i ostentacyjnej obojętności wobec losu, przejętych od Indian, ale w głównej mierze wynikało to z praktyki stałego panowania nad sobą oraz wrodzonej odwagi.

Tropiciel doświadczał nieco odmiennych uczuć, chociaż zewnętrznie zachowywał się bardzo podobnie. Nie lubił Muira, którego gładka mowa i ugrzecznienie niezbyt odpowiadały szczerej i prostej naturze myśliwego; jednakże – choć był przyzwyczajony do podobnych scen – wstrząsnęła nim niespodziewana, gwałtowna śmierć kwatermistrza, a zaskoczyło ujawnienie jego zdrady. Chcąc się dowiedzieć o jej rozmiarach jął wypytywać na ten temat kapitana, gdy tylko usunięto ciało. Ów, nie mając już teraz żadnych szczególnych powodów do zachowywania tajemnicy, wyjawiał podczas śniadania następujące okoliczności, które mogą naświetlić pewne pomniejsze wydarzenia naszej opowieści.

Wkrótce po przybyciu pięćdziesiątego piątego pułku nad granicę Muir zaofiarował nieprzyjacielowi swoje usługi. Przechwalał się przy tym bliskimi stosunkami z Lundiem, dzięki którym mógł dostarczać ściślejszych i ważniejszych informacji niż ktokolwiek inny. Warunki jego przyjęto i monsieur Sanglier Spotkał się z nim kilkakrotnie w pobliżu fortu Oswego, a raz nawet spędził całą noc, ukryty w garnizonie. Jednakże zwykłym łącznikiem między nimi był Grot Strzały; anonimowy list do majora Duncana został pierwotnie napisany przez Muira, przekazany do Frontenac, tam skopiowany i odesłany z powrotem za pośrednictwem Tuskarory, który właśnie wracał po wykonaniu tego zadania, kiedy pochwycił go „Chwist”. Nie trzeba dodawać, że -miano poświęcić Gaspara dla zamaskowania zdrady kwatermistrza i że to Muir ujawnił wrogowi położenie wyspy. Dodatkowe wynagrodzenie – owe pieniądze znalezione w jego sakiewce – skłoniło Muira do towarzyszenia wyprawie sierżanta Otumania w tym celu, ażeby dać wrogowi znak do natarcia. Słabość Muira do płci pięknej była jego cechą wrodzoną i zapewne poślubiłby Mabel czy jakąkolwiek inną kobietę, która oddałaby mu swą rękę; ale jego

uwielbienie dla córki sierżanta było w znacznym stopniu udane po to, aby mieć pretekst do wyjazdu wraz z oddziałem, a jednocześnie uniknąć zarówno współodpowiedzialności za klęskę, jak i ryzyka wynikającego z faktu, że nie miał żadnego innego przekonywającego powodu, by uczestniczyć w wyprawie. Kapitan Sanglier był o tym w znacznej mierze poinformowany – zwłaszcza o sprawie Mabel – toteż nie omieszkał wtajemniczyć we wszystko swoich słuchaczy, często śmiejąc się sarkastycznie, kiedy ujawniał przeróżne poczynania nieszczęsnego kwatermistrza.

–Touchez-la! – powiedział niewzruszony partyzant po zakończeniu owych wyjaśnień i wyciągnął do Tropicieła muskularną rękę. – Pan jest honnete, a to beaucoup. Bierze się szpieg tak jak medicine: dla doha sphawy, mais je les deieste! Touchez-la.

–Dam panu rękę, i owszem, kapitanie, bo jesteś uczciwym, szczerym i dzielnym przeciwnikiem – odrzekł Tropiciel. – Ale ciało kwatermistrza przenigdy nie pokala angielskiej ziemi. Zamierzałem odwieźć je do Lundiego, aby mógł nad nim pograć na kobzach, lecz teraz złoży się je na tym miejscu, gdzie Muir popełnił swoje łotrństwo; będzie miał własną zradę za nagrobek. Kapitanie Krzemienne Serce, wiem, że to obcowanie ze zdrajcami należy do zwykłych obowiązków żołnierza, ale nie w smak mi ono i wolę już, że to pan, a nie ja, ma tą sprawę na sumieniu. Cóż to za wstrętny grzesznik! Knować tak na prawo i lewo przeciwko ojczyźnie, przyjaciołom i Bogu! Gasparze, mój chłopcze, chciałbym zamienić z tobą słówko na stronie.

Tropiciel odprowadził młodzieńca na bok i ściskając mu rękę powiedział ze łzami w oczach:

–Znasz mnie, Eau-douce, i ja znam ciebie. Ta wiadomość w niczym nie zmieniła mojego zdania o tobie. Nigdy nie dawałem wiary ich bajaniom, choć przyznam, że w pewnej chwili rzecz wyglądała poważnie. Tak, wyglądała poważnie, a wtedy i mnie nie było wesoło. Alem cię nie podejrzewał ani przez minutę, bo wiem, że to do ciebie niepodobne; wyznam tylko, że nie podejrzewałem także i kwatermistrza.

–I taki człowiek miał patent na oficera królewskiego, Tropicielu.

–Nie to jest najważniejsze, Gasparze, nie to. Miał on patent od Boga, by czynić dobrze i postępować uczciwie ze swoimi bliźnimi, a nie dopełnił obowiązku.

–Pomyśleć, że udawał miłość do kogoś takiego jak Mabel, choć jej nie kochał!

–To było obrzydliwe, z pewnością; chyba musiał mieć w żyłach krew Mingów. Mężczyzna, który postępuje nierzetelnie z niewiastą, musi być kundlem, chłopcze, boć Pan uczynił je słabymi po to, abyśmy mogli zaskarbić sobie ich miłość dobrocią i wierną służbą. Biedny sierżant spoczywa oto na łożu śmierci; dał mi swą córkę za żonę, a Mabel droga przystała na to, więc teraz muszę dbać o dobro dwojga, opiekować się dwiema istotami, dwa rozweselać serca. Ach, Gasparze! Czasami

myślę, że nie wart tego słodkiego dziecka.

Gasparowi nieledwie zabrakło tchu, kiedy usłyszał tę wiadomość, i choć udało mu się powściągnąć wszelkie inne zewnętrzne oznaki wzburzenia, policzki jego powlekły się niemal śmiertelną bladością. Mimo to zdołał odpowiedzieć głosem nie tylko stanowczym, ale i energicznym:

–Nie mów tego, Tropicielu. Wart jesteś królowej.

–Tak, tak, chłopcze, zgodnie z twoim pojęciem o mnie; to znaczy, sprostam na pograniczu każdemu, gdy przyjdzie bić jelenia czy nawet Minga w razie potrzeby i umiem nieomylnym okiem odnaleźć ścieżkę w kniei i czytać w gwiazdach, gdy inni ich nie rozumieją. Niewątpliwie, niewątpliwie, Mabel będzie miała w bród dziczyzny, ryb i w bród gołębi; ale czy będzie miała w bród wiedzy, myśli i miłej rozmowy, gdy życie zacznie się odrobinę dłużyć, a każdego z nas przyjdzie ocenić według prawdziwej wartości?

–Gdyby przyszło oceniać ciebie wedle prawdziwej wartości, Tropicielu, to największa dama w całym kraju byłaby przy tobie szczęśliwa. Nie masz się czego obawiać w tym względzie.

–Gasparze, przypuszczam, że tak myślisz, nie: wiem, że tak myślisz, bo jest rzeczą naturalną i zgodną z uczuciem przyjaźni, by ludzie patrzyli zbyt łaskawym okiem na tych, których miłują. Tak, tak; gdybym miał żenić się z tobą, mój chłopcze, nie martwiłbym się o to, czy odnosisz się do mnie życzliwie, boś zawsze był skłonny widzieć mnie i wszystko, co czynię, w dodatnim świetle. Ale młoda dziewczyna musi jednak woleć człowieka bliższego jej wiekiem i upodobaniami, niż takiego, który mógłby być jej ojcem, a swoim nieokrziesaniem może ją odstraszyć. Dziwię się, Gasparze, iż Mabel wybrała mnie, a nie upodobała sobie ciebie.

–Mnie, Tropicielu? – odparł młodzieniec, który usiłował mówić swobodnym tonem, by się nie zdradzić. – A cóż we mnie mogłoby podobać się takiej dziewczynie jak Mabel Dunham? Mam wszystko to, co uważasz za wady u siebie, a nie posiadam zgoła tej doskonałości, która sprawia, że szanują cię nawet generałowie.

–To wszystko przypadek, mówmy sobie, co chcemy. Wszak przeprowadzałem przez puszcę niejedną kobietę i przebywałem z nimi w garnizonie, a nigdy nie czułem skłonności do żadnej, póki nie zobaczyłem Mabel Dunham. Co prawda, biedny sierżant pierwszy skierował moje myśli ku córce, ale gdyśmy się już trochę poznali, nie trzeba mnie było namawiać, abym o niej myślał w dzień i w nocy. Twardy jestem, Gasparze, tak, bardzo twardy i dość mocny, jak to wam wszystkim wiadomo, a przecież chyba załamałbym się zupełnie, gdybym miał teraz utracić Mabel.

–Nie będziemy więcej o tym mówili, Tropicielu – rzekł Gaspar odwzajemniając mu

uścisk dłoni i zwracając do ogniska powoli jak człowiek, który nie dba, dokąd idzie. – Jesteś wart Mabel, Mabel jest warta ciebie; miła ci ona i tyś jej miły, jej ojciec wybrał ciebie na męża dla córki – nikt przeto nie ma prawa się wtrącać. Co zaś się tyczy kwatermistrza, owo udawanie miłości dla Mabel jest jeszcze gorsze niż to, że zdradził króla.

Byli już blisko ogniska, toteż musieli zmienić temat rozmowy. Szczęściem w tej chwili Cap, który przebywał w blokhauzie u boku umierającego szwagra i nie miał pojęcia, co się stało od momentu kapitulacji, ukazał się, krocząc ku nim w melancholijnym zamyśleniu. Wiele z owej niewzruszonej pewności siebie, która nadawała jego minie i obejściu pozory czegoś w rodzaju pogardy dla otoczenia, zniknęło teraz bez śladu i stary marynarz wydawał się zadumany, a nawet jakby potulny.

–Ta śmierć, panowie – powiedział, gdy podszedł bliżej – to jednak smutna sprawa, nie ma co. Taki sierżant Dunham, pierwszorzędny żołnierz, szkoda gadać, ma właśnie podnieść kotwicę, a trzyma się łańcucha, jak gdyby za nic nie chciał wypuścić go z klauzy. Wszystko zaś dlatego, jak mi się zdaje, że tak kocha swoją córkę, Co do mnie, to kiedy przyjaciel już doprawdy musi wyruszyć w długi rejs, zawsze mu życzę pomyślnej i Szczęśliwej podróży.

–Chyba nie chciałbyś pan dobić sierżanta przed czasem? – zapytał z wyrzutem Tropicielel. – Życie jest słodkie nawet dla ludzi sędziwych i jeśli o to idzie, znałem takich, którzy cenili je wielce, kiedy powinno było mieć dla nich najmniejszą wartość.

Nic nie było dalsze od prawdziwych intencji Capa, niż myśl o przyśpieszeniu zgonu szwagra. Nie umiał sobie poradzić z udzieleniem pociechy umierającemu i pragnął jedynie wyrazić szczerą chęć, by sierżant uwolnił się już od zwątpienia i cierpień. Toteż nieco wzburzony, że słowom jego przypisano podobne znaczenie, odparował z właściwą sobie szorstkością, chociaż trapiła go świadomość, iż nie potrafi wyjaśnić swej myśli:

–Jesteś pan za stary i za rozsądny, Tropicielu, aby łapać człowieka za słowa, kiedy wygarnia, co mu zmartwienie dyktuje. Sierżant Dunham jest zarówno mym szwagrem, jak przyjacielem – to znaczy tak bliskim przyjacielem, jak może nim być żołnierz dla marynarza – i czczę go oraz szanuję odpowiednio. Co więcej, nie wątpię, iż przeżył życie jak mężczyźnie przystoi, a przecież nie może być nic złego w tym, że się komuś życzy, by znalazł sobie wygodną koję w niebiesiech. Cóż, my wszyscy, nawet najlepsi, jesteśmy śmiertelni, temu nie zaprzeczysz; powinno to być dla nas nauką, byśmy się nie pysznili siłą czy urodą. Gdzie jest kwatermistrz, Tropicielu? Wypadałoby, żeby poszedł pożegnać się z biednym sierżantem, który tylko trochę nas wyprzedza.

–Przez cały ten czas mówiłeś pan większą prawdę, niż sądzisz. Mogłeś jedynie

posunąć się jeszcze dalej i rzec, że nawet najgorsi z nas są śmiertelni, co byłoby nie mniej prawdziwe, a za to znacznie cenniejsze, niż mówić, że najlepsi są śmiertelni. Co zaś się tyczy pożegnania kwatermistrza z sierżantem, to jest ono niemożliwe, bo Muir już odszedł pierwszy, i to bez żadnego uprzedzenia zarówno dla siebie samego, jak i dla innych.

–Wyrażasz się mniej jasno niż zwykle, Tropicielu. Wiem, że w podobnych razach wszyscy winniśmy mieć podniosły nastrój, ale nie widzę potrzeby prawienia przypowieści.

–Jeżeli nawet słowa moje nie są jasne, myśl jest wyraźna. Krótko mówiąc, podczas gdy sierżant Dunham gotował się do tej długiej podróży powoli, jak na takiego sumiennego i uczciwego człeka przystało, kwatermistrz wyruszył przed nim w pośpiechu. I chociaż nie do mnie należy rozstrzygać z całą pewnością o tej sprawie, przecie sądzę, iż powędrują po tak odmiennych gościńcach, że nie spotkają się nigdy.

–Wyjaśnij, o co idzie, przyjacielu – powiedział oszołomiony marynarz rozglądając się za Muirem, którego nieobecność zaczęła w nim budzić podejrzenia. – Nie widzę nigdzie kwatermistrza, ale myślę, że nazbyt jest mężczyzną, aby uciekać teraz, gdy odnieśliśmy zwycięstwo. Rzecz wyglądałaby inaczej, gdybyśmy mieli walkę przed sobą, a nie za rufą.

–Pod tym płaszczem leży wszystko, co z kwatermistrza zostało – odparł przewodnik i pokrótce przedstawił okoliczności śmierci porucznika. – Tuskarora zadał cios jadowicie niczym grzechotnik, choć nie dał, jak on, ostrzeżenia – ciągnął Tropiciel. – Oglądałem wiele rozpaczliwych walk i nagłych wybuchów dzikiej wściekłości, a jeszcze dotąd nie widziałem, by dusza ludzka opuściła ciało równie niespodziewanie czy też w chwili mniej sprzyjającej nadziejom konającego. Przestał oddychać mając na ustach kłamstwo, a można też powiedzieć, że duch zeń uleciał w zapamiętaniu podłości.

Cap słuchał z rozdziawionymi ustami, a kiedy Tropiciel skończył, odchrząknął po trzykroć gwałtownie, jak człowiek, który nie jest pewien, czy zdoła złapać dech.

–Niepewne i niespokojne jest to wasze życie między dzikimi a słodką wodą, Tropicielu – powiedział wreszcie – i im prędzej je porzucę, tym lepsze będę miał o sobie mniemanie. Teraz, kiedy to słyszę, muszę powiedzieć, że gdy wróg nas zaatakował, ten człowiek pogonił do owej dziury w skałach jakby wiedziony instynktem, który wydał mi się zaskakujący u oficera; ale sam zbyt się śpieszyłem, by rzecz dokładniej roztrząsać. Boże kochany, Boże kochany! Więc powiadacie, że to był zdrajca, gotów zaprzedać swój kraj jakiemuś hultajowi Francuzowi?

–Gotów zaprzedać wszystko: kraj, duszę, ciało, Mabel i nasze skalpy; a założę się

też, że nie był wcale wybredny co do nabywcy. Tym razem płatnikiem byli rodacy tu obecnego kapitana Krzemienne Serce.

–To całkiem do nich podobne: zawsze chętnie kupią to, czego nie mogą wywojować, a skorzy są dać nogę, jeśli nie mogą uczynić ani jednego, ani drugiego.

Monsieur Sanglier z ironiczną powagą uchylił czapki kwitując ów komplement wyrazem uprzejmej pogardy, która jednakże chybiła celu, gdyż ten, przeciwko któremu ją wymierzono, był zgoła na to niewrażliwy. Ale Tropiciel miał za wiele wrodzonej uprzejmości i bezstronności, aby pozwolić owemu atakowi przejść niepostrzeżenie.

–No, no – wtrącił – moim zdaniem nie ma tak wielkiej różnicy pomiędzy Anglikiem a Francuzem. Owszem, różnią się mową i żyją pod innymi królami, ale jeden i drugi jest człowiekiem i we właściwej chwili czuje jak ludzka istota.

Kapitan Krzemienne Serce, jak go nazwał Tropiciel, skłonił się powtórnie, ale tym razem uczynił to z uśmiechem przyjaznym, nie ironicznym, czuł bowiem, że intencja była dobra, bez względu na sposób jej wyrażenia. Ponieważ zaś miał usposobienie nazbyt filozoficzne, by zważać na to, co może mówić czy myśleć taki człowiek jak Cap, więc dokończył śniadania nie odrywając się już od tej doniosłej czynności.

–Miałem tutaj interes głównie do kwatermistrza – ciągnął Cap napatrzywszy się milczącym gestom jeńca. – Sierżant musi być blisko końca, toteż myślałem, że zechce przedtem coś powiedzieć swojemu następcy. Okazuje się, że już za późno, bo jak powiadasz, Tropicielu, porucznik istotnie wyruszył przed.nim.

–Owszem, choć inną ścieżką. Co zaś się tyczy władzy, to chyba kapral ma teraz prawo dowodzić tym, co zostało z pięćdziesiątego piątego, acz mały to i znękany oddziałek, nie mówiąc już o tym, że zestrachany. Ale jeżeli przyjdzie coś zdziałać, najprawdopodobniej ja zostanę do tego wezwany. Myślę jednak, że trzeba nam tylko pochować naszych poległych, podpalić chaty i blokhauz, boć przynależą do terytorium nieprzyjacielskiego przez swoje położenie, jeśli nie z mocy prawa, toteż nie trzeba ich pozostawiać wrogowi. Jest wykluczone, byśmy ich jeszcze używali, bo teraz, kiedy Francuzi wiedzą, gdzie szukać wyspy, byłoby to czymś na kształt świadomego wkładania ręki w wilcze sidła. Tym zajmiemy się obaj z Wężem, bo mamy równą praktykę w odwrotach jak w natarciach.

–Wszystko to bardzo pięknie, przyjacielu, ale teraz pomyślmy o moim biednym szwagrze; choć jest żołnierzem, nie możemy pozwolić, by odszedł bez słowa pociechy i pożegnania. Nieszczęśliwa to była sprawa z lewego i prawego halsu, ale też pewnie można się było tego spodziewać, zważywszy czasy i rodzaj nawigacji. Musimy postarać się jak najlepiej dopomóc zacnemu człowiekowi, by odcumował, nie zrywając sobie lin. Bądź co bądź śmierć to okoliczność, panie Tropicielu, i to nader

powszechna, jeżeli wziąć pod uwagę, że wcześniej czy później wszyscy musimy jej ulec.

–Prawdę pan mówisz, a jakże; i z tej przyczyny uważam, że jest mądrze być zawsze gotowym. Często myślałem, Słona Wodo, że ten jest najszczęśliwszy, kto najmniej pozostawia, gdy przyjdzie wezwanie. A oto ja – myśliwy, zwiadowca, przewodnik – choć nie mam na świecie ni piędzi własnego gruntu, przecie posiadam więcej niż najpotężniejszy magnat z Albany. Mając nad głową niebo, które mi przypomina o ostatnich wielkich łowach, a pod stopami suche liście, kroczę po ziemi swobodnie, jak gdybym był jej panem i właścicielem, a czegoż więcej może serce zapragnąć? Nie powiem, że nie kocham niczego, co należy do świata, bo przecie miłuję pewne rzeczy, lecz mało ich poza Mabel Dunham, a jej i tak nie mogę zabrać ze sobą. Mam w górnym forcie kilka szczeniąt, które wysoko cenię, ale zbyt są hałaśliwe do wojaczki i przeto musimy przez pewien czas żyć z dala od siebie; prócz tego pewnie żał by mi było rozstawać się z Postrachem Zwierząt, ale nie widzę powodu, żeby nie można pochować nas w tym samym grobie, bo jesteśmy identycznego wzrostu, sześć stóp co do joty. Natomiast oprócz tego i fajki, podarowanej mi przez Węża, i kilku drobiazgów od podróżnych – które to rzeczy można wsadzić do mieszka i podłożyć mi pod głowę –

–Kubek w kubek jak ja – odrzekł marynarz, kiedy obaj zmierzali w stronę blokhauzu, zbyt zaprzątnięci własnymi rozważaniami, aby w tej chwili pamiętać o smutnym obowiązku, który ich wzywał. – Tak właśnie myślę i rozumiuję. Jakże często, kiedy okręt był bliski rozbicia, czułem ulgą, iż nie jestem jego właścicielem! „Jeśli zatonie – mówiłem sobie – no to cóż, stracę razem 1 nim życie, ale nie własność, a w tym jest wielka pociecha”. Doszedłem do przekonania, objając się po świecie od Przylądka Horn do Północnego – nie mówiąc już o tym tu skrawku słodkiej wody – że jeśli człowiek ma parę talarów i zamknie je na klucz w skrzyni, z całą pewnością zawrze w owej szkatule i własne serce. Dlatego też prawie wszystko, co posiadam, noszę w pasie owiniętym dokoła ciała, aby, jak to określam, mieć najważniejsze organa na swoim miejscu. Nie uważam człowieka pozbawionego serca za coś lepszego od ryby, która ma dziurę w skrzelałach.

–Nie wiem, jak to się dzieje, panie Cap, ale wierz mi na słowo, że człek bez sumienia jest lichą istotą, co może stwierdzić każdy, kto miał coś wspólnego z Mingami. Niewiele mnie obchodzą talary, lecz o ile znam ród ludzki, bardzo wierzę, że jeśli człowiek w istocie ma pełną ich skrzynię, można powiedzieć, iż zamknął w niej także i własne serce. Kiedyś, ma. czasów ostatniego pokoju, polowałem przez jedno lato i drugie i nabierałem tyle skór, że zauważyłem, iż moje właściwe uczucia ustępują miejsca tęsknocie za posiadaniem; i jeśli coś mnie trapi w moim małżeństwie z Mabel, to tylko myśl, że chcąc jej dogodzić, mogę nazbyt się rozmiłować w tych rzeczach.

–Jesteś filozofem, to jasne, Tropicielu; a myślę też, żeś chrześcijanin.

–Naraziłby mi się człowiek, który by temu zaprzeczył. Nie chrzcili mnie, co prawda, morawianie, tak jak wielu spośród Delawarów, ale wierny chrześcijaństwu i cechom białego człowieka. W moich oczach jest dla białego rzeczą równie niechwalebną nie być chrześcijaninem, jak dla czerwonoskórego nie wierzyć w istnienie krainy szczęśliwych łowów. Zaiste, uwzględnivszy różnicę tradycji i wierzeń na temat tego, co staje się z duszą po śmierci, uważam, że dobry Delawar jest dobrym chrześcijaninem, choćby nigdy nie widział morawianina na oczy; a jeśli idzie o naturę, dobry chrześcijanin jest także dobrym Delawarem. Często gadamy o tym z Wężem, bo ciągnie go do chrześcijaństwa...

–Doprawdy? – przerwał Cap. – A cóż on myśli czynić w kościele z tymi wszystkimi skalpami, które zdejmuje?

–Nie sądzi zbyt pochopnie, przyjacielu. Te rzeczy są tylko powierzchowne; wszystko zależy od wychowania i przyrodzonych właściwości. Rozejrzyj się pan po świecie i powiedz mi, dlaczego widzisz tu czerwonego wojownika, tam czarnego, a ówdzie znowu armie białych? To wszystko i jeszcze wiele podobnych rzeczy, które mógłbym wyliczyć, zostało uczynione dla jakichś specjalnych celów i nie naszą jest rzeczą zaprzeczać prawdzie i faktom. Nie, nie; każda rasa ma swoje właściwości i prawa, i tradycje, a nikt nie powinien potępiać drugiego dlatego tylko, że tego nie rozumie.

–Musiałeś wiele czytać, Tropicielu, skoro masz taki przejrzysty pogląd na świat – odparł Cap niepomału zdumiony tym prostym wyznaniem wiary swojego towarzysza. – Teraz wszystko jest dla mnie jasne jak słońce, aczkolwiek muszę powiedzieć, że nigdy dotąd nie spotkałem się z takimi zapatrywaniami. Do jakiej kongregacji należysz?

–Co, proszę?

–Jakiej sekty jesteś członkiem? Jaki jest twój kościół?

–Rozejrzyj się pan dokoła i sam osądź. Jestem teraz w kościele; jadam w kościele, piję w kościele, śpię w kościele. Ziemia jest świątynią Boga i ufam z całą pokorą, że służę Mu każdej godziny, każdego dnia bez przerwy. Nie, nie; nie wyprę się swej krwi i koloru skóry: urodziłem się chrześcijaninem i umrę w tej samej wierze. Morawianie mocno się do mnie brali, a i jeden z królewskich kapelanów też miał swoje do powiedzenia, chociaż to ludzie niezbyt gorliwi w tych sprawach. Pewien misjonarz przysłany z Rzymu wiele ze mną rozmawiał, gdym go prowadził przez lasy przed tą wojną – ale ja miałem dla nich wszystkich jedną odpowiedź: już jestem chrześcijaninem i nie chcę być morawianinem, ani anglikaninem, ani papistą. Nie, nie wyprą się swojej krwi i urodzenia.

–Myślą, że gdybyś pogadał z sierżantem, mogłoby mu to ułatwić przeprawę przez mielizny śmierci, Tropicielu. Nie ma przy nim nikogo poza biedną Mabel, a jak sam

wiesz, to bądź co bądź nie tylko jego córka, ale i przecie dziecko jeszcze.

–Mabel jest słaba ciałem, przyjacielu, lecz nie wiem, czy w rzeczach tej natury nie jest mocniejsza od wielu mężczyzn. Jednakże sierżant Dunham to mój przyjaciel, a twój szwagier; przeto teraz, gdy nie jesteśmy już pochłonięci walką, godzi się, byśmy obaj byli świadkami jego odejścia. Wielu widziałem umierających – tu Tropiciel, który miał zawsze skłonność do rozwodzenia się nad swymi doświadczeniami, stanął i przytrzymał towarzysza za guzik. – Wielu widziałem umierających i słyszałem, jak wydawali ostatnie tchnienie, bo kiedy skończy się zamęt i tumult bitwy, przystoi pamiętać o nieszczęśliwych, a niezwykła to rzecz wiedzieć, jak różnie zachowują się ludzie w tej uroczystej chwili. Jedni ruszają w drogę tak głupi i ciemni, jak gdyby Bóg nigdy nie obdarzył ich rozumem i świadomością; inni natomiast odchodzą z weselem, jakby pozbywali się ciężkiego brzemienia. Przypuszczam, że _w takich chwilach umysł widzi wszystko jasno, a dawne postęпки cisną się na pamięć.

–Z pewnością, Tropicielu. Sam coś niecoś z tego widziałem i ufam, że na tym skorzystał. Pamiętam, jak kiedyś myślałem, że już wybiła moja godzina, a wówczas przejrzałem cały swój dziennik okrętowy z pilnością, o którą bym siebie nie podejrzewał. Nie byłem wielkim grzesznikiem przyjacielu, to znaczy nie byłem nim na wielką skalę, choć żeby tak prawdę powiedzieć, można by nazbierać przeciw mnie sporo drobiazgów, jak zresztą przeciw każdemu. Ale nigdy nie dopuścił się piractwa czy zdrady stanu, podpalenia lub takich tam rzeczy. Co się tyczy kontrabandy i tym podobnych sprawek, no to cóż, jestem marynarzem i myślę, że wszystkie rzemiosła mają swoje słabe strony. Pewnie i twoje nie jest całkiem bez skazy, chociaż wydaje się tak honorowe i pożyteczne.

–Wielu zwiadowców i przewodników jest straszliwymi łajdakami, niektórzy zaś, wzorem naszego kwatermistrza, biorą pieniądze od obu stron. Ufam, że do nich nie należę, choć wszelkie zajęcia mają swoje pokusy. Trzy razy w życiu byłem wystawiony na ciężką próbę i raz odrobinę sobie pofolgowałem, choć nie była to sprawa, która mogłaby zakłócić spokój sumienia w ostatnich chwilach życia. Pierwszym razem znalazłem w lesie wiązkę skór, o których wiedziałem, że należą do pewnego Francuza polującego po naszej stronie granicy, gdzie nie miał prawa przebywać; dwadzieścia sześć najpiękniejszych bobrów, jakie kiedykolwiek ucieszyły ludzkie oko. No, sroga to była pokusa, bom uważał, że prawo byłoby właściwie za mną, choć to się działo w czasach pokoju. Ale potem pomyślałem sobie, że takie prawa nie zostały stworzone dla nas, myśliwych, i że na sprzedaży owych skór ten biedaczysko może budować wielkie nadzieje na następną zimę. Więc zostawiłem je tam, gdzie leżały. Większość naszych ludzi twierdziła, że źle zrobiłem, ale fakt, że spokojnie spał owej nocy, przekonał mnie, iż postąpiłem dobrze. Następną próbą przyszła, kiedy znalazłem jedyną w tych stronach strzelbę, na której można było bezpiecznie polegać, tak jak na Postrachu Zwierząt, a wiedziałem, że gdybym ją zabrał, czy choćby schował, mógłbym od razu stać się najpierwszym strzelcem w kraju. Byłem wówczas młody i zgoła nie tak doświadczony jak później, a młodość jest

ambitna i zażarta. Lecz Bogu dzięki, pokonałem to uczucie, a co nie mniej ważne, pokonałem też i mojego rywala w najuczciwszych zawodach strzeleckich, jakie oglądano kiedykolwiek w garnizonie. On strzelał z owej broni, ja zaś z Postrachu Zwierząt, i to przed samym generałem! – Tu Tropiciel roześmiał się; rzekłbyś, tryumf jeszcze mu błyszczał w oczach i gorzał w smagłej, opalonej twarzy. – No, a następny spór z diabłem, najcięższy ze wszystkich, zdarzył się wtedy, kiedym natrafił w puszczy na sześciu obozujących Mingów, którzy pospali się złożony na kupę strzelby i rożki z prochem tak, że mogłem je pozbierać nie budząc ani jednego z tych hultajów. Cóż by to była za gratka dla Węża! Wyprawiłby ich wszystkich po kolei na tamten świat własnym nożem i miałby sześć ich skalpów u pasa w czas nie dłuższy od tego, którego mi potrzeba, aby rzecz opowiedzieć. O, dzielny to wojownik, ten Chingachgook; równie uczciwy jak odważny, a równie dobry jak uczciwy!

–No, a cóż pan wtedy uczyniłeś, Tropicielu? – zapytał Cap, który zaczynał interesować się zakończeniem tej historii. – Najpewniej musiałeś wylądować albo bardzo szczęśliwie, albo też bardzo kiepsko.

–Szczęśliwie i nieszczęśliwie, jeżeli pan potrafisz to zrozumieć. Nieszczęśliwie, bo ciężkie przeżyłem chwile, ale jeżeli wszystko zważyć, wynik okazał się w końcu szczęśliwy. Nie tknąłem ani jednego włosa z ich głów, bo biały człowiek nie ma przyrodzonej skłonności do zdejmowania skalpów; nie zabrałem im też ani jednej strzelby. Nie ufałem sobie, bo wiedziałem, że Mingów nie noszę w sercu.

–Co się tyczy skalpów, myślę, że miałeś słuszość, przyjacielu, ale uzbrojenie i magazyny skonfiskowałyby każdy sąd morski w chrześcijańskim świecie.

–Tak pewnie by było, ale znowu Mingowie wyszliby z tego na sucho, bo biały człowiek nie umie atakować nie uzbrojonego czy też śpiącego wroga. Nie, nie; lepsze wystawiłem świadectwo sobie samemu, swojej rasie i swojej religii. Zaczekałem, aż się wyspali, a kiedy znów stanęli jak się patrzy na ścieżce wojennej, zacząłem się, podszedłem ich i pokropiłem łajdaków tak fundamentalnie – Tropiciel niekiedy przejmował od swych towarzyszy jakieś okrągłe słowo i używał go nieco dowolnie – że tylko jeden wrócił do swojej wioski, a i to wszedł do wigwamu kulejąc. Szczęściem okazało się, że wielki Delawar zatrzymał się po drodze tylko po to, aby pokrajać i wysuszyć trochę mięsa jelenia, i szedł już moim tropem; kiedy się zjawił, zaraz przywiesił! sobie na właściwym miejscu pięć skalpów owych szelmów. Jak tedy widać, nic nie straciło się na dobrym postępku, ani pod względem honoru, ani korzyści.

Cap mruknął potakująco, choć trzeba przyznać, że moralne rozróżnienia jego towarzysza nie wydawały mu się zbyt jasne. Obaj rozmawiając szli w stronę blokhauzu, po drodze zaś przystawali, kiedy nasuwał im się jakiś bardziej interesujący temat. Teraz jednakże znaleźli się już tak blisko, że zaprzestali rozmowy, jeden i drugi bowiem gotował się na ostatnie widzenie z sierżantem Dunhamem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zmarznięta ziemia, tyś na kształt zwierciadła

Mojego życia! Jednak pomnę, wiosną

Tonęłaś w kwiatach, a latem się kładła

Dumna woń lili, gdzie osty dziś rosną.

Dziś wiatry zimy twój płaszcz tak

wspaniały Podarły w strzępy i jak sen rozwiały.

SPENSER

Aczkolwiek wśród zgielku bitwy żołnierz może odnosić się obojętnie do niebezpieczeństwa, a nawet śmierci, przecie jeśli oddaje ducha później, w chwili spokojnej, pozwalającej na refleksję, ów przełom przynosi z sobą zwykły w tych razach zasób uroczystych myśli: żalu za przeszłością, zwątpienia i oczekiwania przyszłości. Niejeden człowiek skonał z bohaterskimi słowami na ustach, ale z brzemieniem i nieufnością w sercu; albowiem bez względu na różnice naszych religijnych wierzeń – czy będą to medytacje Chrystusa, dogmaty Mahometa, czy też wymyślne alegorie Wschodu – istnieje powszechne wszystkim ludziom przekonanie, że śmierć jest tylko progiem dzielącym nas od wyższego istnienia.

Sierżant Dunham był człowiekiem odważnym, ale odchodził do krainy, w której dzielność nie mogła mu się na nic przydać; w miarę jak czuł, że uwalnia się z objęć świata, myśli jego wędrowały w tym naturalnym kierunku. Albowiem o ile jest prawdą, iż śmierć równa ludzi, nic nie jest bardziej prawdziwe od faktu, że wszystkim narzuca to samo przekonanie o marności żywota.

Tropiciel, acz posiadał osobliwe nawyki i poglądy, był przecie człowiekiem myślącym, skłonny do przyjmowania zjawisk poważnie, a także z odcieniem filozoficzności, toteż scena rozgrywająca się w blokhauzie nie obudziła w nim zbyt nowych uczuć. Inaczej wszakże było z Capem; szorstki, uparty, pewny siebie i chępliwy marynarz nie przywykł traktować nawet samej śmierci z taką powagą, jakiej wymagała jej doniosłość. Jakoż na przekór wszystkiemu, co zaszło, i własnemu rzetelnemu szacunkowi dla szwagra, wszedł teraz do izby konającego pełen nieczułej bez troski będącej owocem długich nauk pobieranych w owej szkole, która chociaż udziela tak wielu lekcji na temat najwznioślejszych prawd, przecie na ogół daremnie upomina tych uczniów, co nie są zbyt skłonni z nich korzystać.

Pierwszym dowodem, iż Cap nie odczuwał powagi chwili tak dojmująco jak jego otoczenie, był fakt, że rozpoczął opowieść o wypadkach, które doprowadziły do śmierci Muira i Grota Strzały.

–Obaj w pośpiechu podnieśli kotwicę, szwagrze – zakończył. – Zyskujesz tedy pociechę w świadomości, że inni wyruszyli przed tobą w ów wielki rejs, i to ludzie, których nie masz szczególnych powodów miłować; gdybym ja znajdował się na twoim miejscu, byłoby to dla mnie źródłem ogromnej satysfakcji. Matka moja, Tropicielu, zawsze mawiała, że umierającym nie trzeba odbierać odwagi, ale należy im dodawać ducha na wszelkie właściwe i roztropne sposoby; ta zaś wiadomość sprawi ogromną ulgę biedakowi, jeśli żywi dla dzikich podobne jak ja uczucia.

Rosa usłyszawszy ową wiadomość wstała i bezszelestnie wysunęła się z blokhauzu. Dunham słuchał wpatrując się tępo w przestrzeń, bo więzy, które łączyły go ze światem, tak już się rozluźniły, że w gruncie rzeczy zapomniał o Grocie Strzały i zgoła nie dbał o Muira; natomiast słabym głosem zapytał o Gaspara. Niezwłocznie wezwano młodzieńca, który zjawił się niebawem. Sierżant spojrział nań łagodnie, a oczy jego wyrażały żal za krzywdę, którą mu w myśli wyrządził. W blokhauzie znajdowali się teraz: Tropiciel, Cap, Mabel, Gaspar i umierający. Z wyjątkiem córki, wszyscy stali dokoła Dunhama oczekując jego ostatniej chwili. Mabel klęczała u boku sierżanta to przyciskając zimną, zroszoną dłoń ojca do własnego czoła, to znów zwilżając jego spieczoną wargi.

–Sprawa twoja wprędce się rozstrzygnie, sierżancie – ozwał się Tropiciel. Wprawdzie nie można powiedzieć, by ta scena napawała go grozą, bywał bowiem zbyt często świadkiem zbliżania się i zwycięstwa śmierci, ale odczuwał w pełni różnicę, pomiędzy jej tryumfem wśród podniecenia bitwy, a nadejściem w spokoju rodzinnego koła. – Me wątpię, że spotkamy się na tamtym świecie. Grot Strzały ruszył już co prawda w swoją drogę, ale nie może to być droga prawego Indianina. Nie ujrysz go więcej, albowiem ścieżka jego nie jest ścieżką sprawiedliwych. Moim zdaniem w jego wypadku, jak również w wypadku porucznika Muira, sam rozum przeciwko temu przemawia. Spełniłeś w życiu swój obowiązek, a kiedy człek to uczyni, może wyruszyć w najdalszą drogę z lekkim sercem i żwawą stopą.

–Mam nadzieję, przyjacielu, usiłowałem spełnić swój obowiązek.

–Tak, tak – wtrącił Cap. – Intencja to połowa zwycięstwa. I chociaż lepiej byłbyś uczynił, gdybyś zatrzymał łódzie z dala od brzegu i wysłał czółno na rozpoznanie, bo wtedy może wszystko poszłoby inaczej, przecie nikt ani tu, ani nigdzie indziej nie wątpi, że chciałeś jak najlepiej; tak przynajmniej sądzę na podstawie wszystkiego, com widział na tym świecie, a czytał o tamtym.

–Tak było... Chciałem jak najlepiej.

–Ojczy! Ojczy mój ukochany!

–Magnesek jest oszołomiony tym ciosem, Tropicielu, i niewiele potrafi powiedzieć czy zrobić, ażeby pomóc ojcu przejść przez mielizny. Dlatego musimy tym usilniej się starać, by oddać mu przyjacielską usługę.

–Mówiłaś coś, Mabel? – zapytał Dunham szukając oczyma córki, był już bowiem zbyt słaby, aby obrócić się ku niej.

–Tak, ojczy; jeżeli pragniesz łaski i zbawienia, nie licz na nic, co sam uczyniłeś, ale ufaj całkowicie w błogosławione orędownictwo Syna Bożego!

–Kapelan powiadał nam coś podobnego, szwagrze... Kochane dziecko ma pewnie rację.

–Tak, taka jest nauka, nie ma gadania. Bóg będzie naszym sędzią; prowadzi On rachunek naszych postępów i podsumuje wszystko dnia ostatniego, a wówczas orzeknie, kto czynił dobrze, a kto źle. Myślę, że Mabel ma rację, ale nie potrzebujesz się trapić, bo obliczenia niechybnie przeprowadzono, jak należy.

–Wuju... Ojczy najdroższy... Wszystko to czczy złudzenia! Och, pokładajcie całą ufność w orędownictwo naszego Zbawiciela!

–Tak nam mawiali morawianie – szepnął Tropiciel do Capa. – Mabel z pewnością ma słuszność.

–Owszem, ma słuszność, przyjacielu, jeśli idzie o dystans, lecz błędzi co do kursu. Obawiam się, że dziewczyna zepchnie sierżanta na łaskę i niełaskę fal właśnie w chwili, kiedy wprowadziliśmy go na najlepsze wody i w najdogodniejszą część kanału.

–Zostaw pan to Mabel; lepiej się ona od nas wszystkich ma tym rozumie i nie może uczynić nic złego.

–Już to kiedyś słyzałem... – odezwał się wreszcie Dunham. – Ach, Mabel, dziwne to jest, by ojciec w takiej chwili wspierał się na własnym dziecku!

–Pokładaj zaufanie w Bogu; polegaj na Jego świętym i miłosiernym Synu. Módl się, tatusiu, módl się o Jego wszechmocne wsparcie.

–Nie przywykłem się modlić... Tropicielu... Gasparze... Możecie mi przypomnieć słowa?

Cap nie bardzo się znał na modlitwach, toteż nie umiał nic odpowiedzieć, Tropiciel modlił się często – co dzień, jeżeli nie co godzina – ale czynił to w myśli, ma własny,

prosty sposób, bez żadnej pomocy słów. W tej ciężkiej chwili był przeto równie bezradny jak marynarz i nie znalazł żadnej odpowiedzi. Co zaś się tyczy Gaspara Eau-douce, to chętnie popróbowaliby unieść choćby i całą górę, ażeby ulżyć Mabel, lecz tutaj wymagano odeń pomocy przekraczającej jego siły, toteż wzdragał się jej udzielić, wiedziony owym uczuciem zawstydzienia, aż nazbyt często ogarniającym młodych i silnych ludzi, gdy mają spełnić czyn, który milcząco ujawnia ich rzeczywistą słabość i zależność od wyższej siły.

–Tatusiu – powiedziała Mabel ocierając oczy i usiłując przywołać wyraz spokoju na twarz pobladłą i drżącą ze wzruszenia. – Ja będę modliła się z tobą za ciebie, za siebie samą, za nas wszystkich. Błaganie najśłabszych i najpokorniejszych nigdy nie pozostaje nie wysłuchane.

Było coś wzniosłego i głęboko wzruszającego w owym akcie dziecięcej miłości. Spokój i żarliwość, z jaką ta młoda istota przystępowała do swego obowiązku, zupełna niepamięć na dziewczęcą nieśmiałość i skromność, gdy przyszło wesprzeć ojca w owej krytycznej chwili, szlachetność pobudek, która kazała jej, z całym właściwym kobiecie oddaniem i lekceważeniem rzeczy błahych, skupić wszystkie siły na owym wielkim zadaniu, a wreszcie spokój, w który wtopił się cały jej ból – sprawiły, że w tym momencie wzbudziła w swych towarzyszach uczucie bliskie czci.

Mabel otrzymała religijne wychowanie wolne na równi od przesady jak i zbytnej dufności w siebie. Jej wiara w Boga była radosna i pełna nadziei, chociaż zarazem najpokorniejsza i najbardziej uległa. Od dzieciństwa przyzwyczajono dziewczynę zarówno do publicznych, jak i prywatnych modłów, toteż zadanie ułatwiły jej teraz dawne nauki, a język uwzniośliły i wzbogaciły piękne zdania. Kiedy uklękła przy posłaniu ojca, jej pełna czci postawa przygotowała widzów na to, co miało nastąpić, a gdy czułe serce podsunęło słowa, którym przyszła w sukurs pamięć – błaganie, jakie poczęła zanosić, wydały się godne aniołów. Jakkolwiek samych wyrażen nie zapożyczała w sposób niewolniczy, miały one w sobie proste dostojeństwo liturgii, do której Mabel przywykła, i były zapewne jak najgodniejsze Istoty, do której się zwracały. Wywarły też głębokie wrażenie na słuchaczach, albowiem jest faktem godnym uwagi, iż mimo szkodliwych skutków, jakie wywierają właściwe nawyki, jeśli im długo ulegać, prawdziwa wzniosłość i piękno tak bliskie są ludzkiej naturze, że zwykle znajdują echo w każdym sercu.

Kiedy jednak nasza bohaterka poczęła mówić o ojcu, który umierał, słowa jej stały się najbardziej przekonujące, bo wtedy właśnie zabrzmiały najżarliwiej i najnaturalniej. Piękno języka pozostało, ale wzmogła je prosta moc miłowania, same zaś wyrazy nabrały ciepła dzięki świętej gorliwości, sięgającej prawdziwych wyżyn wymowy. Moglibyśmy przytoczyć tutaj niektóre zdania, ale powstrzymujemy się od tego, gdyż mamy wątpliwości, czy byłoby właściwe poddawać tak święte sprawy zbyt szczegółowej analizie.

Owa niezwykła a uroczysta scena wywarła różne wrażenia na obecnych. Sam Dunham wrychle zasłuchał się w modlitwę i uczuł ulgę podobną do tej, jakiej mógłby doznać człowiek chwiejący się na skraju przepaści pod trudnym do udźwignięcia ciężarem, kiedy niespodziewanie stwierdza, że brzemień mu odjęto, by złożyć je na barki kogoś zdatniejszego. Cap był zaskoczony i onieśmielony, aczkolwiek jego wrażenia nie były nazbyt głębokie czy trwałe. Dziwił im się po trosze, wątpiąc, czy są tak męskie i bohaterskie, jakby powinny być, ale nazbyt poddawał się wpływowi, jaki wywiera prawda, pokora, uległość religijna i ludzka słabość, by myśleć o wysuwaniu swoich prostackich zastrzeżeń. Gaspar klęczał naprzeciw Mabel, ukrywszy twarz w dłoniach, i słuchał słów dziewczyny, żarliwie pragnąc dopomóc jej w modlitwach, aczkolwiek można by powątpiewać, czy myśli jego nie były w równej mierze zaprzątnięte miękkim, łagodnym głosem modlącej się, co samym tematem modlitwy.

Wrażenia, których doznał Tropiciel, były uderzające i widoczne; widoczne, bo stał wyprostowany naprzeciw Mabel, a gra jego twarzy zdradzała jak zwykle wszystko, co działo się w duszy. Opierał się na strzelbie, chwilami zaś żyłaste palce ścisnęły lufę z siłą, która zdawała się wgniatać stal; raz czy dwa razy, kiedy głos Mabel podniósł się pospołu z myślami, Tropiciel także wznosił oczy ku powale, jak gdyby spodziewał się dojrzeć tam widomy znak obecności groźnej Istoty, do której zwrócone były słowa. A potem jego myśli pobiegły ku ślicznej dziewczynie, która dawała upust swoim uczuciom modląc się żarliwie, ale spokojnie za konającego ojca. Policzki Mabel nie były już blade, ale gorzały świętym uniesieniem, a modre wzniesione oczy lśniły, przypominając obraz pędzla Guida Reni. W tych chwilach cały szlachetny i męski afekt Tropicielea jaśniał w jego szczerym obliczu, a spojrzenie utkwione w naszą bohaterkę było takie, jakim najczulszy rodzic ogarnąć może umiłowane dziecko.

Sierżant Dunham z wysiłkiem położył rękę na głowie Mabel, kiedy ta skończyła się modlić i ukryła twarz w kocu, którym był przykryty.

–Niech Bóg ci błogosławi, dziecko ukochane – wyszeptał półgłosem. – Oto prawdziwa pociecha; obym i ja umiał się modlić...

–Tatusiu, znasz Ojciec nasz; sam mnie uczyłeś tej modlitwy, gdy byłam jeszcze mała.

Uśmiech opromienił twarz sierżanta, który istotnie przypomniał sobie, że dopełnił przynajmniej tego rodzicielskiego obowiązku, a owa świadomość przysporzyła mu niepojętej radości w tej uroczystej chwili. Potem milczał czas jakiś, a wszyscy obecni pomyśleli, że pewnie rozmawia z Bogiem.

–Mabel, moje dziecko – wyrzekł wreszcie głosem, który jakby odzyskał siłę. – Mabel, opuszczam cię. Odchodzę, moje dziecko... Gdzie twoja ręka?

–Tu, najdroższy... tu są obie... och, weź je obydwie!

–Tropicielu – ciągnął sierżant, który macając ręką po drugiej stronie posłania, ujął przez pomyłkę dłoń klęczącego tam jeszcze Gaspara. – Weź ją... bądź jej ojcem... tak jak oboje pragniecie... Niech Bóg... Niech Bóg wam błogosławi...

W owej straszliwej chwili nikomu nie przyszło do głowy wyjaśniać brutalnie sierżantowi jego pomyłkę; w dwie minuty później skończył przytrzymując oburącz dłonie Gaspara i Mabel. Bohaterka nasza nie zdawała sobie sprawy ze zgonu ojca, dopóki nie oznajmił o nim krzyk wydany przez Capa. Wtedy podniósłszy głowę ujrzała oczy Gaspara utkwione w jej oczach i poczuła ciepły uścisk jego dłoni. Atoli w tej chwili górowało w dziewczynie tylko jedno uczucie, toteż cofnęła się i wybuchnęła płaczem, na wpół świadoma tego, co zaszło. Tropiciel wziął pod rękę Eau-douce'a i obaj wyszli z blokhauzu.

Przyjaciele bez słowa minęli ognisko, przeszli przez polanę i dotarli niemal do przeciwległego brzegu wyspy zachowując głębokie milczenie. Tu przystanęli i Tropiciel przemówił:

–Już po wszystkim, Gasparze – powiedział. – Już po wszystkim. Ach, Boże! Biedny sierżant zakończył swój marsz, i to z ręki jadowitego Minga! No cóż, nigdy nie wiemy, co nas czeka; jego los może być moim czy twoim jutro, albo pojutrze.

–A Mabel? Co będzie z Mabel, Tropicielu?

–Słyszałeś ostatnie słowa sierżanta: pozostawił dziecko pod moją opieką, Gasparze, i wielki nałożył na mnie obowiązek; tak, wielki!

–Obowiązek, w którym każdy chętnie by cię zastąpił, Tropicielu – odparł młodzieniec z gorzkim uśmiechem.

–Nieraz myślałem, że dostał się w niewłaściwe ręce. Nie jestem zarozumiały, Gasparze; chyba nie jestem zarozumiały, ale jeżeli Mabel Dunham chce zamknąć oczy na wszystkie moje niedoskonałości i całą ciemnotę, byłoby źle temu odmawiać, choćbym sam miał pewność, że jestem niewiele wart.

–Nikt ci nie będzie miał za złe, jeżeli ożenisz się z Mabel Dunham, tak jak nikt nie miałby ci za złe, gdybyś nosił na piersi drogocenny klejnot ofiarowany przez przyjaciela.

–A myślisz, że będą mieli to za złe Mabel? Miałem i na ten temat swoje skrupuły, bo nie wszyscy mogą być skłonni patrzeć na mnie tym samym okiem, co ty i córka sierżanta.

Gaspar Eau-douce drgnął, jak człowiek przeszyty nagłym fizycznym bólem, ale opanował się.

–A ludzie bywają tacy źli i zazdrośni – ciągnął Tropiciel – osobliwie w garnizonach. Czasem żałuję, Gasparze, że Mabel nie wybrała ciebie i żeś nie zakochał się w niej, bo często wydaje mi się, iż taki człowiek jak ty mógłby jednak uczynić ją szczęśliwszą niż ja.

–Nie będziemy o tym mówili – przerwał mu niecierpliwie Gaspar chrapliwym głosem. – Zostaniesz mężem Mabel i nie jest właściwe wymieniać tu kogo innego. Ja usłucham rady pana Capa, zobaczę, co potrafię zdziałać na słonej wodzie, i poprobuję wyjść tam na ludzi.

–Ty, Gasparze? Ty miałbyś porzucić jezioro, lasy i pogranicze? I to dla miast, dla marnego życia w osiedlach, dla trochę innego smaku wody? Alboż nie mamy lizawek, skoro ci soli potrzeba? Alboż człowiek nie powinien zadowalać się tym, co daje zadowolenie innym stworzeniom bożym? Liczyłem na ciebie, Gasparze, liczyłem na ciebie i myślałem, że jeśli mam wraz z Mabel zamieszkać we własnej chacie, kiedyś może i ty zechcesz wybrać sobie towarzyszkę i osiąść gdzieś w sąsiedztwie. O jakieś pięćdziesiąt mil na zachód od garnizonu jest piękne miejsce, które wybrałem sobie w myśli na pomieszkanie; a o trzydzieści mil bliżej znajduje się wyborna przystań, do której mógłbyś zawijać swym kutrem każdej wolnej chwili. Wyobrażałem sobie, że w jednym z tych miejsc zamieszkać ja z Mabel, w drugim zaś ty z żoną. Bylibyśmy od siebie oddaleni o jeden dzień zdrowych łowów, a jeśli Bóg życzy sobie, by któreś z Jego stworzeń znalazło szczęście na ziemi, żadne nie mogłoby być szczęśliwsze od nas czworga.

–Zapominasz, mój przyjacielu – odrzekł Gaspar ujmując go za rękę i przymuszając się do przyjaznego uśmiechu – że nie mam kogo miłować i hołubić, a bardzo wątpię, czy kiedykolwiek pokocham tak jak ciebie i Mabel.

–Dziękuję ci, chłopcze, dziękuję ci z całego serca, ale to, co nazywasz miłością dla Mabel, jest tylko przyjaźnią, czymś bardzo różnym od tego, co ja czuję. Teraz co noc, zamiast spać twardo jak dawniej, śnię o Mabel. Młode łanie igrają przede mną, lecz kiedy podnoszę Postrach Zwierząt chcąc zdobyć nieco mięsa, spoglądają w moją stronę, mnie się zaś widzi, że każda ma słodką twarz Mabel i jakby mówi mi z uśmiechem: „Zastrzel mnie, jeśli śmiesz!” A później wśród śpiewu ptaków słyszę jej miękki głos; nie dalej zaś jak ostatnim razem śniło mi się, że spływam Niagarą trzymając Mabel w objęciach, byle się z nią nie rozłączyć. Najgorsze chwile przeżyłem, kiedy diabeł czy może któryś mingowski czarodziej podsunął mi sen, że tracę Mabel przez jakieś niepojęte nieszczęście – zmienność czy gwałt...

–Och., Tropicielu! Jeżeli to było dla ciebie tak straszne we śnie, jakież musi być dla tego, kto to czuje na jawie, kto wie, że to prawda, prawda, prawda! Taka, że nie masz już nadziei, że nie zostało nic oprócz rozpacz!

Słowa te trysnęły z Gaspara niczym płyn z nagle rozbitego naczynia. Wyrzekł je

mimowolnie, prawie nieświadomie, ale z siłą prawdy i z uczuciem, które nie pozwalało wątpić o ich głębokiej szczerości. Tropiciel drgnął, wpatrzył się w swego przyjaciela jak osłupiały i wtedy to mimo całej jego prostoty objawiła mu się prawda. Każdemu wiadomo, jak cisną się potwierdzające dowody, gdy tylko umysł pochwyci bezpośrednią nitkę wiodącą do nie podejrzanego przedtem faktu; jak szybko płyną myśli w takich okolicznościach, a przesłanki zmierzają do właściwego wniosku. Bohater nasz był z natury tak ufny, prawy i tak skłonny mniemać, iż wszyscy przyjaciele życzą mu tego samego szczęścia, którego on im życzy, że aż do tej nieszczęsnej chwili nie zbudziło się nigdy w jego piersi przypuszczenie, iż Gaspar kocha Mabel. Teraz jednak nazbyt dobrze już znał miłosne wzruszenia, a wybuch uczuć jego towarzysza był nadto gwałtowny i naturalny, aby myśliwiec mógł mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości.

Pierwszym wrażeniem, które nastąpiło' po owym odkryciu, było głębokie upokorzenie i dojmujący ból. Uprzytomnił sobie, że Gaspar jest młody, obdarzony lepszym zewnętrznym wyglądem, nasunęły mu się wszelkie ogólne powody, dla których taki wielbiciel mógł być o wiele miłszy Mabel niż on. A potem przyszła do głosu szlachetna prawość umysłu, którą tak bardzo wyróżniał się ten człowiek, wsparł ją krytyczny pogląd na samego siebie oraz poszanowanie praw i uczuć innych ludzi, tak wrodzone jego naturze. Ujął pod rękę Gaspara i poprowadził go do przewróconego pnia, nieodpartym wysiłkiem swoich żelaznych mięśni zmusił młodzieńca, by usiadł, po czym sam zajął miejsce obok niego.

Kiedy uczucia Gaspara znalazły swoje ujście, gwałtowność ich zaniepokoiła go i zawstydziła. Dałby wszystko na świecie, żeby móc cofnąć ostatnie trzy minuty, ale był nadto szczery z natury i zbyt przyzwyczajony przez swego przyjaciela do otwartego postępowania, aby chociaż przelotnie pomyśleć o próbie dalszego ukrywania swych "wzruszeń czy unikania wyjaśnień, których, jak wiedział, Tropiciel od niego zażąda. Jakkolwiek cały drżał w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić, nie przyszło mu przez głowę uciekać się do wykrętów.

–Gasparze -zaczął Tropiciel tonem tak uroczystym, że dreszcz przeniknął wszystkie nerwy jego słuchacza. – To dla mnie niespodzianka. Żywisz dla Mabel cieplejsze uczucia, niżli sądziłem, więc jeśli nie omyliła mnie okrutnie moja próżność i zarozumiałstwo, współczuję ci, chłopcze, współczuję z całej duszy! Tak; chyba wiem, jak trzeba współczuć każdemu, kto oddał serce takiej istocie jak Mabel, jeżeli nie ma widoków, aby odwzajemniła mu skłonność. Tę sprawę trzeba wyjaśnić, Eau-douce, aby nie było między nami żadnych chmur, jak mówią Delawarowie.

–Cóż tu wyjaśniać, Tropicielu? Ja kocham Mabel Dunham. Mabel Dunham nie kocha mnie i woli ciebie na męża. Najmądrzejsza tedy rzecz, jaką mogę zrobić, to wyruszyć natychmiast na słoną wodę i starać się zapomnieć o was obojgu.

–O mnie zapomnieć, Gasparze? To byłaby kara, na którą nie zasłużyłem. Ale skądże

ty wiesz, że Mabel mnie woli? Skąd to wiesz, chłopcze? Mnie się to wydaje niepodobieństwem.

–Alboż nie ma wyjść za ciebie? A czyż Mabel wyszłaby za człowieka, którego nie kocha?

–Sierżant mocno ją do tego nakłaniał, a posłusznej córce mogło być trudno oprzeć się życzeniu umierającego ojca. Czy kiedykolwiek mówiłeś Mabel, że ją wolisz... że masz dla niej takie uczucie?

–Nigdy,.Tropicielu. Nie postąpiłbym tak nieuczciwie wobec ciebie.

–Wierzę ci, chłopcze, wierzę; i sądzę, że teraz chętnie wyruszyłbyś na słoną wodę, tak aby wszelki ślad po tobie zaginął. Ale to być nie może. Mabel dowie się wszystkiego i postąpi zgodnie ze swoją wolą, choćby mi serce miało pęknąć przy tej próbie. A zatem nigdy nie mówiliście z sobą na ten temat, Gasparze?

–Nic istotnego ani bezpośredniego. Mimo to muszę wyznać ci całą mą lekkomyślność, Tropicielu, bo to wyznanie winien jestem tak szlachetnemu przyjacielowi i będzie z tym koniec. Wiesz przecie, jak to młodzi rozumieją się i poznają wzajem swoje myśli na tysiąc drobnych sposobów, chociaż nie zawsze używają wyraźnych słów.

–Nic o tym nie wiem, Gasparze – odparł zgodnie z prawdą przewodnik, bo i zaiste jego zaloty nigdy nie spotykały się z ową słodką a drogocenną zachętą, która milcząco objawia sympatię złączoną z głębokim uczuciem. – Nic nie wiem o tym wszystkim. Mabel zawsze odnosiła się do mnie szczerze i mówiła to, co miała do powiedzenia w sposób najprostsz.

–Czy miałeś szczęście usłyszeć z jej ust, że cię miłuje, Tropicielu?

–Nie, przynajmniej nie tymi słowami. Mówiła, iż nie możemy i nie powinniśmy się pobrać, że nie jest mnie warta; ale wspomniała też, jako mnie czci i szanuje. Ale znów sierżant twierdził, że zawsze tak jest z młodymi i nieśmiałyimi dziewczynami, bo to samo robiła i mówiła w swoim czasie jej matka, a ja powinienem być rad, jeżeli zgodzi się wyjść za mnie na jakichkolwiek warunkach – dlatego też doszedłem do wniosku, że wszystko jest, jak należy.

Bylibyśmy niewiernymi kronikarzami, gdybyśmy nie przyznali, iż Gaspar, mimo całej przyjaźni dla swego zwycięskiego rywala, mimo że szczerze i uczciwie życzył mu szczęścia, uczuł w sercu wybuch niepohamowanej radości, kiedy usłyszał te słowa. Nie stało się tak dlatego, iżby ta okoliczność obudziła w nim jakąkolwiek nadzieję; ale dla chciwej, zachłannej, bezmiernej miłości młodzieńca była zadośćuczynieniem wiadomość, że niczyje uszy nie usłyszały owego słodkiego wyznania, którego mu poskąpiono.

–Powiedz mi coś jeszcze o tym sposobie rozmawiania bez słów – ciągnął Tropiciel, którego twarz przybrała wyraz powagi i który teraz wypytywał swojego towarzysza jak człowiek spodziewający się złych wieści w odpowiedzi. – Umiem tak rozmawiać i rozmawiałem z Chingachgookiem i jego synem, Unkasem, zanim ów zginął, ale nie wiedział, że młode dziewczęta też praktykują tę sztukę, a już zwłaszcza Mabel Dunham.

–To nic szczególnego, Tropicielu. Ot, spojrzenie, uśmiech, błysk oka, drżenie ręki, gdy Mabel mnie przypadkiem dotknęła; a że byłem na tyle słaby, iżem drżał nawet pod jej tchnieniem, czy wówczas gdy mnie musnęła swą suknią, zwiodły mnie więc próżne myśli. Nigdy nie rozmawiałem z nią wyraźnie, a teraz już to niepotrzebne, skoro nie ma żadnej nadziei.

–Gasparze – odrzekł Tropiciel z prostotą i godnością, która wykluczała dalsze uwagi na ten temat. – Pomówimy o pogrzebie sierżanta i o odjeździe z tej wyspy. Kiedy to uradzimy, będzie czas omówić sprawę Mabel. Musimy tę rzecz rozpatrzeć, bo przecież ojciec porучzył mi opiekę nad swoją córką.

Gaspar rad był ze zmiany tematu i przyjaciele rozstali się, ażeby dopełnić obowiązku przypadającego każdemu z nich zgodnie z jego umiejętnościami.

Tego popołudnia pogrzebano wszystkich poległych; sierżantowi Dunhamowi wykopano grób pośrodku polany, w cieniu olbrzymiego wiązu. Mabel spłakała się gorzko podczas obrządków, znajdując ulgę w tym folgowaniu swojemu żalowi. Noc minęła bez zmian, jak również i cały następny dzień, gdyż Gaspar oświadczył, że wieją jest zbyt ostra, by puszczać się na jezioro. To zatrzymało także i kapitana Sanglier, który wyruszył z wyspy dopiero rankiem trzeciego dnia po śmierci Dunhama, kiedy pogoda się poprawiła, a wiatr osłabł. Wówczas odpłynął, pożegnawszy się z Tropicielem, jak człowiek, który jest przekonany, iż po raz ostatni przebywał w towarzystwie wybitnego męża. Obaj rozstali się z szacunkiem, czując, że są wzajem dla siebie zagadką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

DZIEWIĄTY

Chciała, by ujrzał słodkie wargi

W uśmiechu szczęścia i rozkoszy –

Lecz wyraz oczu pełen skargi

Z jej ust i śmiech, i radość spłoszył.

LALLA ROOKH

Wydarzenia ostatnich kilku dni były nadto burzliwe i wymagały zbyt wiele męstwa od naszej bohaterki, by mogła bezradnie oddawać się boleści. Oplakiwała ojca, niekiedy wzdrygała się wspominając nagłą śmierć Jennie i wszystkie potworne sceny, których była świadkiem, ale ogółem biorąc otrząsnęła się już i nie poddawała owemu głębokiemu przygnębieniu, jakie zazwyczaj towarzyszy żałości. Być może przytłaczająca, tępa rozpacz, która zmiażdżyła nieszczęsną Rosę i pograżyła ją na blisko dwadzieścia cztery godziny w stanie odrętwienia, pomogła Mabel opanować własne uczucia, bo nasza bohaterka uważała się za powołaną do udzielenia pociechy młodej Indiance. Uczyniła to w ów spokojny, kojący i subtelny sposób, jaki właściwy bywa kobietom w podobnych okazjach.

Ranek trzeciego dnia oznaczono jako czas odpłynięcia „Chwistu”. Gaspar przysposobił wszystko, co potrzeba, załadowano bagaże, a Mabel z żalem pożegnała się czule z Rosą. Jednym słowem przygotowania były już ukończone i wszyscy opuścili wyspę z wyjątkiem Indianki, Tropicielea, Gaspara i naszej bohaterki. Rosa odeszła w gęstwinę, by się wypłakać, a reszta zmierzała ku miejscu, gdzie stały trzy czółna. Jedno z nich należało do Rosy, dwa miały przewieźć pozostałych na pokład „Chwistu”. Tropiciel szedł ma czele, gdy jednak zbliżył się do brzegu, miał postępować w kierunku łodzi, dał znak swym towarzyszom, by udali się za nim, i powiódł ich ku obalonemu drzewu, które leżało na skraju polany, niewidoczne dla osób znajdujących się na kutrze. Usiadł na pniu i gestem wskazał Mabel i Gasparowi miejsca obok siebie.

–Siądź tu, Mabel, a ty tu, Eau-douce – powiedział. – Jest pewna rzecz, która mocno mi ciąży, i teraz albo nigdy pora ją zrzucić. Siadaj, Mabel, i póki mam na to dość siły, pomóż mi ulżyć memu sercu, jeżeli nie sumieniu.

Milczenie, które teraz zaległo, trwało ze trzy minuty; młodzi zastanawiali się, co dalej nastąpi, gdyż myśl, że Tropiciel może mieć jakiś ciężar na sumieniu, wydawała

się obojgu nieprawdopodobna.

–Mabel – zaczął wreszcie nasz bohater – musimy jasno z sobą pomówić, zanim udamy się na kuter do twego wuja, który tam ostatnio przesypia każdą noc, bo utrzymuje, że jest to jedyne miejsce, gdzie człowiek może być pewny zachowania włosów ma głowie. Ach, Boże, cóż mi teraz po tych wszystkich pustactwach i krotocwilach! Usiłuję być pogodny i beztroski, ale siły człowiecze nie mogą nakazać wodzie, aby płynęła pod prąd. Jak ci wiadomo, Mabel, sierżant, zanim odszedł, ustalił z nami dwojgiem, że mamy być mężem i żoną, żyć razem i miłować się wzajemnie dopóty, dopóki spodoba się Bogu zachować nas na ziemi, a nawet i potem jeszcze.

Policzki Mabel odzyskały już były na świeżym, porannym powietrzu nieco swych dawnych rumieńców, ale po tych niespodziewanych słowach powlekły się znowu niemal tą samą bladością, jaką zabarwił je ból. Mimo to spojrzała łagodnie, choć poważnie na Tropicieła, a nawet popróbowwała przymusić się do uśmiechu.

–Prawda to, zacny przyjacielu – odrzekła. – Takie było życzenie mojego biednego ojca i pewna jestem, że choćbym całe życie poświęciła dogadzaniu ci we wszystkim, nie zdołam odplacić tego, coś dla nas uczynił.

–Obawiam się, Mabel, że męża i żonę powinny łączyć więzy silniejsze. Tyś nic dla mnie nie uczyniła, w każdym razie nic szczególnego, a jednak serce moje rwie się do ciebie; toteż sądzę, że takie uczucia muszą wynikać z czegoś innego niż ratowanie skalpów czy przeprowadzanie przez lasy.

Policzki Mabel okryły się znowu rumieńcem, a chociaż usilnie próbowała uśmiechnąć się, głos zadrżał jej nieco, kiedy odpowiadała:

–Czyż nie lepiej byłoby odłożyć na później tę rozmowę, Tropicielu? Nie jesteśmy tu sami, a podobno _nic nie jest tak niemiłe słuchającemu, jak sprawy rodzinne, które go nie obchodzą.

–Właśnie dlatego, że nie jesteśmy sami, a raczej dlatego, że jest z nami Gaspar, chcę mówić o tej sprawie. Sierżant uważał, że będę dla ciebie odpowiednim towarzyszem, i chociaż miałem co do tego wątpliwości – tak, liczne wątpliwości – ostatecznie wmówił mi to i rzeczy ułożyły się między nami tak, jak wiesz. Ale kiedy obiecywałeś ojcu, że mnie poślubisz, i oddawałeś mi swoją rękę z taką skromnością i wdziękiem, istniała pewna okoliczność – jak to nazywa twój wujaszek – o której nie wiedziałaś. Otóż uznałem za słuszne, aby ci teraz o niej powiedzieć, nim kłamka zapadnie. Często brałem sobie na obiad chudego jelenia, kiedy nie można było znaleźć lepszego; ale jest rzeczą naturalną nie wybierać najgorszego, skoro nadarza się najlepszy.

–Mówisz w sposób niezrozumiały, Tropicielu. Mam nadzieję, że będziesz wyrażał się

jaśniej, jeżeli ta rozmowa jest doprawdy konieczna.

–A więc, Mabel, myślałem sobie, że kiedy uległaś życzeniu sierżanta, nie była ci zapewne znana istota uczuć, jakie żywi dla ciebie Gaspar Western.

–Tropicielu! – Policzki Mabel pobladły śmiertelnie, a potem rozgorzały szkarłatem; zadrżała na całym ciele. Atoli Tropiciel był zbyt zaprzątnięty celem, do którego zmierzał, by zauważyć owo wzburzenie, Eau-douce zaś nie widział go także, albowiem właśnie ukrył twarz w dłoniach.

–Rozmawiałem z nim; a porównawszy jego marzenia z moimi marzeniami, uczucia z uczuciami i pragnienia z pragnieniami, lękam się, że on i ja nazbyt podobnie o tobie myślimy, abyśmy my dwoje mogli być z sobą szczęśliwi.

–Tropicielu, zapominasz... powinieneś pamiętać, iż jesteśmy zaręczeni! – rzuciła Mabel śpiesznie, głosem tak cichym, że trzeba było słuchaczom skupić całą uwagę, aby ułoić wyrazy. Przewodnik wręcz nie zrozumiał ostatniego słowa, zapytał więc po swojemu:

–Co, proszę?

–Zapominasz, że mamy się pobrać. Takie aluzje są niewłaściwe i przykre.

–Wszystko jest właściwe, co jest słuszne, a słuszne jest to, co prowadzi do sprawiedliwego i uczciwego załatwienia sprawy, chociaż na własnej skórze przekonuję się, że istotnie jest przykre. A zatem, Mabel, gdybyś wiedziała, że Eau-douee myśli o tobie w ten sposób, może nigdy nie zgodziłabyś się poślubić kogoś tak starego i szpetnego jak ja?

–Na co ta okropna próba, Tropicielu? Do czego to wszystko prowadzi? Gasparowi ani to w głowie; nie myśli i nie czuje nic podobnego.

–Mabel! – ten okrzyk wyrwał się z ust młodzieńca zdradzając nieokielzaną moc jego uczuć, choć Gaspar nie wyrzekł więcej ani słowa.

Mabel ukryła twarz w dłoniach, i oto oboje siedzieli jak para winowajców nagle schwytanych na popełnieniu jakiejś zbrodni, zagrażającej szczęściu wspólnego opiekuna. W owej chwili sam Gaspar był może skłonny wyprzeć się swego uczucia, gdyż za nic nie chciał sprawić bólu przyjacielowi. Mabel natomiast, zaskoczona wyraźnym stwierdzeniem faktu, który był raczej przedmiotem jej nieświadomych pragnień, czuła się przez chwilę jak ogłuszona i nie wiedziała, czy płakać, czy się radować. Mimo to przemówiła pierwsza, bo Eau-douce nie potrafił powiedzieć nic, co byłoby nieszczerze lub mogło zranić jego przyjaciela.

–Tropicielu – rzekła. – Mówisz tak jakoś dziko... – Po co o tym wszystkim

wspominasz?

–Cóż, Mabel, jeżeli mówię „dziko”, to dlatego, że jak wiesz, jestem na poły dzikus z natury i z obyczajów. – Po tych słowach usiłował zaśmiać się cicho, po swojemu, ale ów śmiech zabrzmiał dziwną, fałszywą nutą i wydało się, że go niemal dławi. – Tak, ja muszę być dziki, nie będę temu przeczył.

–Tropicielu najdroższy! Mój najlepszy, może jedyny przyjacielu! Niepodobna, byś myślał... nie myślisz, iż t o chciałam powiedzieć! – przerwała Mabel nieomal bez tchu, tak jej było śpieszno ulżyć dotkniętemu myśliwcowi. – Jeżeli odwaga, rzetelność, szlachetność duszy i postępowania, niezłomne zasady i sto innych najznamienitszych przymiotów mogą nakazać szacunek, cześć i miłość dla jakiegoś człowieka – to nie ma na świecie nikogo, kto by cię w tym względzie przewyższał!

–Jakież czułe, czarodziejskie głosy one mają, Gasparze! – powiedział przewodnik śmiejąc się teraz szczerze i swobodnie. – Tak, snadź" natura stworzyła je umyślnie po to, by nam sączyły w uszy swoje melodie, kiedy zamilknie muzyka puszczy. Ale musimy dojść do rzetelnego porozumienia. Zapytuję cię raz jeszcze, Mabel, czy gdybyś wiedziała, że Gaspar Western miłuje cię tak samo jak ja albo bardziej jeszcze – chociaż to chyba niemożliwe – że śniąc widzi twoją twarz odbitą w wodzie jeziora, a przez sen mówi do ciebie i o tobie; że wszystko, co piękne, dobre i zacne przywodzi mu na myśl Mabel Dunham; że uważa, iż nie znał szczęścia, póki nie poznał ciebie; że mógłby całować 'ziemię, po której stąpałaś; że zapomina o wszystkich radościach swojego rzemiosła po to, by myśleć o tobie, rozkoszować się twoją pięknnością i twoim głosem – czy wtedy też zgodziłabyś się wyjść za mnie?

Mabel nie mogłaby odpowiedzieć na to pytanie, nawet gdyby chciała, lecz choć ukryła twarz w dłoniach, szkarłat bujnej krwi widoczny był między palcami, którym zdawał się udzielać swej barwy. Jednakże przyszła do głosu natura, gdyż w pewnej przelotnej chwili zdumiona, nieomal przerażona dziewczyna rzuciła spod oka spojrzenie na Gaspara, „jak gdyby nie ufając temu, co Tropiciel mówił o jego uczuciach. Tym ukradkowym spojrzeniem odczytała całą prawdę i natychmiast przesłoniła twarz znowu, jak gdyby chciała skryć ją na zawsze.

–Zastanów się bez pośpiechu, Mabel – ciągnął przewodnik – bo to poważna sprawa brać sobie na małżonka jednego mężczyznę, gdy myśli i pragnienia dążą ku innemu. Omówiliśmy rzecz z Gasparem szczerze, jak starzy przyjaciele, i chociaż zawsze wiedziałem, że mamy podobny pogląd na wiele spraw, przecie dopiero teraz, kiedy otworzyliśmy sobie wzajem serca mówiąc o tobie, mogę uważać, że na każdą rzecz patrzymy tak samo. Bo Gaspar przyznał, że kiedy ujrzał cię po raz pierwszy, wydałaś mu się najśłodsza, najpowabniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał, a głos twój brzmiał w jego uszach jak szmer wody; że wyobrażał sobie, że żagle jego statku są twymi sukniami rozwianymi na wietrze, a we śnie słyszał twój śmiech i raz po raz zrywał się przerażony, gdyż zwidywało mu się, że ktoś chce cię wyrzucić za burtę

„Chwistu”, gdzie sobie obrałaś siedzibę. Ba, chłopak przyznał się nawet, iż często płacze na myśl, że masz z kim innym spędzić życie.

–Gasparze!

–To święta prawda, Mabel, i słuszne jest, abyś ją знаła. A teraz wstań i wybieraj między nami. Wierzę, że Eau-douce kocha cię tak samo jak ja; chciał mnie przekonać, że kocha cię więcej, ale z tym się nie zgodzę, bo rzecz jest niemożliwa. Jednakże przyznaję, iż kocha cię całą duszą i sercem, toteż ma prawo, aby go wysłuchano. Sierżant uczynił mnie twoim opiekunem, ale nie tyranem. Powiedziałem mu, że będę ci ojcem równie jak mężem, a chyba żaden czuły ojciec nie odmówiłby swojemu dziecku tego drobnego przywileju. Wstań zatem, Mabel, i wypowiedz swoje życzenia tak swobodnie, jak gdybym był samym sierżantem, mającym na względzie jedynie twoje dobro.

Mabel opuściła ręce, dźwignęła się z miejsca i stanęła oko w oko ze swymi dwoma wielbicielami. Twarz jej płonęła gorączkowym rumieńcem, świadczył on jednak raczej o podnieceniu niż wstydzie.

–Czego chcesz, Tropiciele? – spytała. – Czyż nie obiecałam już memu biednemu ojcu, że zrobię wszystko, czego sobie życzysz?

–A zatem życzę sobie tego: Oto tu stoję – leśny, nieuczony człowiek, chociaż niestety obdarzony ambicją przerastającą zasługi – i próbuję postąpić sprawiedliwie wobec stron obu. Po pierwsze uznajemy, że jeśli idzie o uczucie do ciebie, kochamy cię jednakowo, Gaspar uważa, że jego miłość musi być silniejsza, ale temu nie mogę uczciwie przytaknąć, bo nie wydaje mi się, by mogło to być prawdziwe; inaczej od razu przyznałbym to szczerze. A więc pod tym względem stoimy tu przed tobą na równych prawach. Ponieważ jestem starszy, więc pierwszy powiem to, co miałem rzec na swoją korzyść – choć tego niewiele – jak również i przeciw sobie. Sądzę, że na pograniczu nie ma człowieka, który mógłby przewyższać mnie jako myśliwego. Gdyby w naszej chacie miało kiedykolwiek zabraknąć mięsa jelenia lub niedźwiedzia, bądź nawet ptactwa czy ryby, stałoby się tak chyba za sprawą samej natury i Opatrzności, ale nie mojej winy. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że kobiecie, która będzie pod moją opieką, nigdy nie zabraknie pożywienia. Ale jestem okrutnie ciemny! Co prawda mówię kilkoma językami, ale zgoła nie najbieglejszy w moim własnym. Prócz tego starszy jestem od ciebie, Mabel, a okoliczność, że byłem tak długo kolegą sierżanta, nie może być wielką zaletą w twych oczach. Chciałbym też być przystojniejszy, ale każdy z nas jest taki, jakim go uczyniła natura, a ostatnią rzeczą, nad którą winien ubolewać mężczyzna – jest własny wygląd. Kiedy więc zważę wszystko: wiek, wygląd, obyczaje i wiedzę – sumienie mówi mi, że jestem zgoła dla ciebie nieodpowiedni, jeżeli nie wręcz niegodny; i tej jeszcze minuty wyrzekłbym się nadziei, gdyby w głębi mojego serca nie tkwiło coś, czego trudno się pozbyć.

–Tropicielu! Szlachetny, wspaniałomyślny człowieku! – wykrzyknęła nasza bohaterka chwytając jego dłoń i całując ją z najwyższą czcią. – niesprawiedliwy jesteś dla siebie... Zapominasz o moim ojcu i swojej obietnicy... i nie znasz jeszcze mnie!

–A oto jest Gaspar – ciągnął przewodnik nie dając się odwieść od swego zamiaru czułym słowom dziewczyny. – Z nim rzecz wygląda inaczej. Co się tyczy opieki i kochania, nie ma między nami wielkich różnic, bo chłopak jest oszczędny, zapobiegliwy i ostrożny. Prócz tego jest wcale uczony, zna mowę Francuzów, czytał wiele książek – a wiem, że i takie, które ty sama lubisz czytać – potrafi cię zawsze zrozumieć, czego pewnie nie mógłbym powiedzieć o sobie...

–Cóż stąd? – przerwała niecierpliwie Mabel. – Po co mówić o tym teraz... po co w ogóle o tym mówić?

–Dalej, potrafi objawiać swoje myśli w sposób, któremu niestety pewnie bym nigdy nie mógł dorównać. Jeżeli jest coś na tym świecie, co czyni moją mowę śmiałą i przekonywającą, to chyba tylko ty, Mabel; a jednak w naszych ostatnich rozmowach Gaspar przewyższał mnie i w tym względzie tak, że się wstydzilem za siebie. Mówił mi, jak bardzo jesteś prosta, rzetelna i dobra, jak gardzisz próżnością – bo chociaż jego zdaniem mogłabyś zostać żoną niejednego oficera, przecie przenosisz ponad to uczucie i wolisz być wierną sobie i własnej naturze, niż wyjść choćby za pułkownika. Rozgrzał mi krew zaiste, kiedy mówił, że jesteś piękna, a zdajesz się tego nie zauważać, że się poruszasz naturalnie i wdzięcznie niby młoda sarenka, a wcale o tym nie wiesz, że myśli twoje są prawe i uczciwe, serce zaś gorące i szlachetne...

–Gasparze! – przerwała Mabel i poddawszy się uczuciom, które tłumione tak długo, wybuchły z nieposkromioną mocą, padła w spragnione ramiona młodzieńca płacząc jak bezbronne dziecko. – Gasparze! Gasparze! Czemuż ukrywałeś to przede mną?

Odpowiedź Eau-douce'a nie była zbyt zrozumiała, a przyciszona rozmowa, która teraz wynikła, nie odznaczała się szczególną składnością. Ale język miłości pojmuje się łatwo. Jeżeli idzie o rachubę czasu, następna godzina minęła jak kilka minut zwykłego życia, a kiedy Mabel opamiętała się i przypomniała sobie o istnieniu innych, jej wuj przemierzał już pokład tam i na powrót z wielką niecierpliwością, nie posiadając się ze zdziwienia, że Gaspar tak marnuje pomyślny wiatr. Pierwsza myśl Mabel pobiegła ku człowiekowi, który zapewne musiał głęboko przeżyć ujawnienie jej prawdziwych uczuć.

–Och, Gasparze – wykrzyknęła z nagłym poczuciem winy. – Tropiciel!...

Eau-douce zadrżał nie z niemęskiej obawy, ale pod wpływem przykłej świadomości, że zadał ból swojemu przyjacielowi; potem rozejrzał się na wsze strony w nadziei, że go zobaczy. Jednakże Tropiciel wycofał się z taktem i delikatnością mogącą

przynieść zaszczyt wrażliwości i ogładzie dworaka. Przez kilka minut dwoje kochanków trwało w milczeniu, czekając na jego powrót i nie wiedząc, czego od nich wymaga przystojność w okolicznościach tak niezwykłych. Nareszcie ujrzeni swego przyjaciela zbliżającego się powoli, z miną pełną powagi, a nawet zadumy.

–Teraz rozumiem, coś miał na myśli, Gasparze, kiedy wspominałeś, że można mówić nie używając języka i słuchać bez pomocy uszu – powiedział podszedłszy do drzewa. – Owszem, rozumiem teraz; miła musi to być rozmowa, jeżeli można prowadzić ją z Mabel Dunham. Ach, mówiłem sierżantowi, że nie dla niej, że jestem za stary, za ciemny i za dziki, ale on się uparł!

Gaspar i Mabel siedzieli przypominając pierwszych rodziców człowieka, tak jak ich odmalował Milton, w chwili kiedy świadomość grzechu po raz pierwszy zaciążyła ołowianym brzemieniem na ich duszach. Żadne z nich nie przemówiło, nawet nie drgnęło, a obojgu wydało się w tej chwili, że mogliby się rozstać ze swoim odnalezionym szczęściem, byleby przywrócić przyjacielowi spokój ducha. Gaspar był błydy jak śmierć, natomiast dziewicza skromność Mabel sprawiła, że krew oblała jej policzki, których rumieniec rozgorzał tak szczodrze, że nawet w chwilach najbardziej beztroskiej radości nie czerwieniał się bardziej. Ponieważ uczucie, które u osób jej płci zawsze towarzyszy pewności, że miłość powróciła, opromieniło twarz dziewczyny ciepłem i tkliwością, była więc w tej chwili niezwykle piękna. Tropicieł przypatrywał się jej z uwagą, której nie usiłował ukryć, a potem roześmiał się we właściwy sobie sposób, z ową jakby dziką radością, z jaką ludzie nieukształtowani zwykli są wyrażać swój zachwyt. Za tę chwilę ulgi zapłacił jednak bólem, który odczuł, gdy nagle uświadomił sobie, że ta cudna, młoda istota jest dlań stracona na zawsze. Temu prostodusznemu człowiekowi trzeba było całej minuty, by przyjść do siebie po wstrząsie wywołanym przez ową świadomość; lecz potem odzyskał swą zwykłą godność obejścia i przemówił poważnie, prawie uroczyście:

–Zawsze wiedziałem, Mabel, iż ludzie mają swoje właściwości, ale zapomniałem, że do moich nie należy zdolność podobania się osobom młodym, pięknym i uczonym. Ufam, że ta pomyłka nie była zbyt ciężkim grzechem; jeśli zaś była, ciężko zostałem ukarany. Nie, Mabel, wiem, co byś chciała powiedzieć, ale to niepotrzebne; czuję to, więc jest tak, jak gdybym wszystko usłyszał. Gorzką przeżyłem godzinę, Mabel; bardzo gorzką godzinę, mój chłopcze.

–Godzinę? – powtórzyła jak echo Mabel, gdy po raz pierwszy użył tego słowa, a wiele mówiąca krew, która zaczęła dopływać jej do serca, rzuciła się znowu burzliwie do skroni. – Chyba nie godzinę, Tropiciele?

–Godzinę? – wykrzyknął w tej samej chwili Gaspar. – Nie, nie, mój zacny przyjacielu; odszedłeś od nas najwyżej dziesięć minut temu.

–No, może być i tak, choć mnie się wydawało, że minął cały dzień. Zaczynam jednak

myśleć, że szczęśliwi liczą czas na minuty, nieszczęśliwi zaś na miesiące. Ale nie mówmy o tym; już jest po wszystkim i więcej słów na ten temat nie przysporzy wam szczęścia, mnie natomiast może tylko uprzytomnić, co utraciłem, a pewnie też i jak bardzo na tę stratę zasługuję. Nie, nie, Mabel; nie trzeba mi przerywać. Przyznaję, że to słuszne, i twoje zaprzeczenia, choćby wynikające z najlepszych intencji, nie mogą zmienić mojego zdania. No, Gasparze, twoja ona teraz i acz ciężko o tym myśleć, wierzę, że uczynisz ją szczęśliwszą niż ja, bo większe masz po temu dane, jakkolwiek, o ile siebie znam, bardzo byłbym się starał tego samego dokazać. Powinienem być być mądrzejszy i nie wierzyć sierżantowi; trzeba mi było pokładać wiarę w to, co mi Mabel mówiła nad jeziorem, bo rozum i rozsądek mogły mi wskazać, że to prawda. Ale tak miło jest wierzyć w to, czego się pragnie, a ludzie tak łatwo wmawiają nam coś, co sami sobie wmawiamy. Lecz po cóż o tym mówić? Wprawdzie Mabel zdawała się zgadzać, ale to wynikało z chęci zadośćuczynienia ojcu i z lęku przed dzikimi...

–Tropicielu!

–Rozumiem cię, Mabel, i nie mam żalu, doprawdy. Niekiedy myślę, że chętnie bym zamieszkał gdzieś blisko was, aby móc patrzeć na wasze szczęście; ale chyba lepiej uczynię, jeżeli pożegnani się na dobre z pięćdziesiątym piątym i wrócę do sześćdziesiątego, który jest niejako mym macierzystym pułkiem. Może byłoby lepiej, gdybym odeń nigdy nie odchodził, chociaż w tych stronach bardzo potrzebowano mych usług, a od lat już przestawałem z niektórymi ludźmi z pięćdziesiątego piątego; choćby z sierżantem Dunhamem, kiedy był przydzielony do innego oddziału. Mimo to nie żałuję, Gasparze, że cię poznałem...

–A ja, Tropicielu? – przerwała mu gwałtownie Mabel. – Czyżbyś żałował, że mnie poznałeś? Gdybym miała tak myśleć, nigdy nie odnalazłabym spokoju!

–Ty, Mabel? – odparł przewodnik biorąc za rękę naszą bohaterkę i patrząc jej w oczy z prostotą i serdecznym uczuciem. – Jakżebym mógł żałować, że promień słońca oświetlił ponury, smutny dzień, że światło przedarło się w ciemność, choć trwało tak krótko? Nie pochlebiam sobie, abym w najbliższym czasie był zdolny maszerować tak beztrąsko czy spać tak smacznie jak dawniej; ale zawsze będę pamiętał, jak bliski byłem niezasłużonego szczęścia. Nie potępiana cię bynajmniej, Mabel; sam siebie winię, że byłem tyle próżny, by myśleć, iż zdołam podobać się takiej jak ty istocie, boć niewątpliwie powiedziałaś mi, jak to jest, kiedyśmy rozmawiali na wzgórzu, i powinienem był ci wtedy uwierzyć. Jest bowiem rzeczą naturalną, by młode dziewczęta lepiej znały swe własne myśli niżli ojcowie. Ach, już teraz wszystko skończone i nic nie zostaje innego, jak tylko pożegnać się z wami, abyście mogli odpłynąć, bo pan Cap pewnie musi się niecierpliwić i a nuż wróci na brzeg, by nas poszukać.

–Pożegnać się?! – wykrzyknęła Mabel.

–Pożegnać?! – powtórzył jak echo Gaspar. – Chyba nie myślisz nas opuścić, przyjacielu?

–Tak będzie najlepiej, Mabel, doprawdy najlepiej, Eau-douce, i najmądrzej. Mógłbym żyć i umierać z wami, gdybym poszedł za głosem uczucia, ale ponieważ idę za głosem rozsądku, więc tu się rozstaniemy. Wróćcie do Oswego i pobierzecie się zaraz po przyjeździe, wszystko to już ustalone z panem Capem, który tęskni do morza i wie, co ma nastąpić; ja zaś wrócę do puszczy i do mojego Stwórcy. Pójdę, Mabel – tu Tropiciel wstał i z powagą zbliżył się do naszej bohaterki. – Pocałuj mnie, Gaspar nie pożałuje mi jednego pocałunku, a potem się rozstaniemy.

–Och, Tropicielu! – zawołała Mabel padając w ramiona przewodnika i okrywając jego policzki pocałunkami z hojnością i żarem, których wcale nie objawiała, kiedy ją Gaspar tulił do łona. – Niech Bóg ci błogosławi, najdroższy przyjacielu! Powrócisz do nas jeszcze! Zobaczymy cię znowu! A na starość czy zechcesz osiąść wraz z nami, abym ci mogła być córką?

–Otóż to – odparł przewodnik, z trudnością chwytając oddech... – Postaram się myśleć o tobie w ten sposób. Bardziej jesteś dla mnie odpowiednia na córkę niżli na żonę. Żegnaj, Gasparze. A teraz chodźmy do łódki; pora już, byście znaleźli się na pokładzie.

Tropiciel powiódł ich ku brzegowi z powagą i spokojem. Kiedy dotarli do czółna, wziął znowu Mabel za ręce i odsunawszy ją od siebie popatrzył ze smutkiem w jej twarz, a nieproszone łzy pociekły mu po zoranych bruzdami policzkach.

–Pobłogosław mi, Tropicielu – powiedziała Mabel klękając ze czcią u jego stóp. – Pobłogosław mi przynajmniej, zanim się rozstaniemy.

Ów prosty, ale szlachetny człowiek uczynił, czego żądała, po czyni dopomógł jej wsiąść do czółna, odrywając się od niej z trudem, jak ktoś, kto szarpie mocną i niepożytą linę. Nim jednak odszedł, ujął Gaspara pod ramię i odprowadziwszy go na ubocze powiedział, co następuje:

–Masz dobre serce i wrodzoną łagodność, Gasparze, ale obaj jesteście szorstcy i dzicy w porównaniu z tą dobrą istotą. Dbaj o nią i nigdy nie pokazuj po sobie owej szorstkości męskiej natury. Z czasem zaczniesz rozumieć tę dziewczynę; oby Bóg, który rządzi na równi jeziorem i puszcza, który z uśmiechem spogląda na cnotę, a marszczy brew widząc występki, sprawił, abys był szczęśliwy i godny swego szczęścia!

Tropiciel dał swemu przyjacielowi znak, by odpłynął po czyni pozostał oparty na strzelbie, póki czółno nie dotarło do „Chwistu”. Mabel płakała, jakby serce miało jej pęknąć; ani na chwilę nie odrywała oczu od otwartego miejsca na polanie, gdzie

widać było Tropiciele. Wreszcie kuter minął cypel, który zasłonił im wyspę. Widziana po raz ostatni, muskularna postać owego niezwykłego człowieka trwała nadal w bezruchu, niby posąg wystawiony w tym pustkowiu na pamiątkę wydarzeń, które rozegrały się tu tak niedawno.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

O, niechaj zawsze moja pierś

Oddycha, luba, twym oddechem –

A czy mi życie da, czy śmierć

Najsłodszy przyjmę je uśmiechem.

MOORE

Tropicie! był przyzwyczajony do samotności, ale kiedy „Chwist” zniknął mu z oczu, poczuł się wręcz przytłoczony otaczającą go pustką. Nigdy dotychczas nie uświadamiał sobie własnego odosobnienia na świecie, bo dopiero ostatnio zaczął stopniowo przyzwyczajać się do uroków i wymagań życia wśród ludzi, a zwłaszcza do uczuć rodzinnych. Teraz wszystko znikło w jednej chwili i oto pozostał zarówno bez towarzyszy, jak i bez nadziei. Nawet Chingachgook go opuścił, wprowadzie tylko na pewien czas, ale Tropicielowi brakowało jego obecności w tym właśnie momencie, który można by nazwać najkrytyczniejszym w życiu naszego bohatera.

Przez długi czas po zniknięciu „Chwistu” stał wsparty na strzelbie w postawie opisanej w poprzednim rozdziale. Wydawało się, że ciało jego na zawsze zastygło w tej posturze, której iście kamienny bezruch mógł zachować tak długo jedynie człowiek przyzwyczajony do wystawiania swych mięśni na najsurowsze próby. Nareszcie odszedł z owego miejsca, wydawszy westchnienie, które zdawało się dobywać z samego dna serca.

Osobliwością tego niezwykłego człowieka było, że jego zmysły i ciało nigdy nie zawodziły, bez względu na to, jak bardzo mózg był zaprzątnięty czym innym. I tym razem owi potężni sprzymierzeńcy nie odmówili mu posłuszeństwa: choć myśli miał zajęte wyłącznie osobą Mabel, jej urodą, faktem, że wybrała Gaspara, jej łzami i jej odjazdem – przecie poszedł prosto w kierunku miejsca, gdzie nadal pozostawała Rosa, a była nim mogiła jej męża.

Rozmowa, którą Tropiciel przeprowadził z Indianką, toczyła się w narzeczu Tuskarorów, którym myśliwy płynnie władał; ponieważ jednak ów język jest zrozumiały jedynie dla ludzi bardzo uczonych, przetłumaczymy ją tutaj, zachowując o ile można tok myśli rozmówców, jak również wszelkie charakterystyczne zwroty.

Rosa opuściła włosy na twarz i zasiadłszy na kamieniu wyrzuconym przy kopaniu mogiły, trwała tak pochylona nad miejscem, w którym spoczywało ciało Grota Strzały.

Była pewna, że wszyscy opuścili już wyspę, a odgłos kroków obutego w mokasyny myśliwca był nazbyt cichy, by ją brutalnie wyprowadzić z błędu.

Przez parę minut Tropiciel stał wpatrując się z niemą uwagą w Indiankę. Widok jej bólu, świadomość, że poniosła niepowetowaną stratę, a wreszcie jej osamotnienie wywarły zbawienny wpływ na uczucia myśliwca, albowiem rozum powiedział mu, o ile głębsze są źródła żalości młodej małżonki, która została nagle i gwałtownie pozbawiona męża.

–Czerwcowo Boso – rzekł z powagą, ale i z serdecznością znamionującą siłę jego współczucia. – Nie jesteś osamotniona w swym żalu. Obróć się i pozwól spojrzeć na przyjaciela.

–Kosa już nie ma przyjaciół – odparła kobieta. – Grot Strzały odszedł do krainy szczęśliwych łowów i nie pozostał nikt, kto by zatroszczył się o Rosę. Tuskarorowie przepędziliby ją ze swoich wigwamów; Irokezi są nienawistni jej oczom, nie mogłaby więc na nich patrzeć. Pozwól Rosie umrzeć na grobie męża.

–Me; byłoby to wbrew rozsądkowi i słuszności. Czy wierzysz w Manitou, Roso?

–Manitou odwrócił twarz od Rosy, bo jest gniewny. Pozostawił ją samą, aby umarła.

–Posłuchaj tedy człowieka, który od dawna zna naturę czerwonoskórych, choć sam urodził się białym i ma cechy białych. Kiedy Manitou bladych twarzy chce obudzić dobro w ich, sercach, dotyka ich bólem, albowiem właśnie w smutku najrzetelniej wglądamy w siebie samych i najdalej sięgamy wzrokiem. Wielki Duch dobrze ci życzy, a zabrał wodza dlatego, aby nie sprowadził cię na manowce jego podstępny język i abyś nie nabrała cech Mingów, boć przecie już przebywałaś w ich towarzystwie.

–Grot Strzały był wielkim wodzem – odparła z dumą Indianka.

–Miał swoje zalety, ale miał też i wady. Lecz, Roso, nie jesteś opuszczona i nieprędko nią będziesz. Daj upust swemu bólowi zgodnie z naturą, a gdy nadejdzie właściwa pora, będę ci miał coś więcej do powiedzenia.

Tropiciel odszedł do swego czółna i odpłynął z wyspy. W ciągu dnia Rosa słyszała parokrotnie huk jego strzelby, a kiedy słońce zaczęło zachodzić, myśliwiec pojawił się znowu przynosząc jej upieczone ptaki o smaku i zapachu tak delikatnym, że mógłby skusić epikurejczyka.

Taki stan rzeczy trwał przez miesiąc; Rosa uparcie odmawiała porzucenia grobu męża, ale przyjmowała przyjazne podarki od swojego opiekuna. Od czasu do czasu spotykali się i gwarzyli, po czym Tropiciel badał stan uczuć Indianki; jednakże rozmowy te były krótkie i zgoła nieczęste. Rosa sypiała w jednej z chat, a układała

się na spoczynek w poczuciu bezpieczeństwa, świadoma, że czuwa nad nią przyjaciel, aczkolwiek Tropiciel niezmiennie udawał się wieczorem na jedną z przyległych wysp, gdzie zbudował sobie szałas.

Atoli po upływie miesiąca pora roku stała się już nadto spóźniona, by pobyt Rosy w tym miejscu mógł być przyjemny. Drzewa straciły liście, noce były zimne i wietrzne. Czas było odjeżdżać.

W owym momencie pojawił się Chingachgook. Przeprowadził długą, poufną rozmowę ze swoim przyjacielem. Rosa obserwowała ich i zauważyła, że jej opiekun jest strapiony. Podkradłszy się doń, usiłowała z instynktowną kobiecą łagodnością uśmierzyć jego smutek.

–Dziękuję ci, Roso, dziękuję! – odpowiedział. – Dobre masz intencje, ale to nie zda się na nic. Czas już opuścić to miejsce. Jutro ruszamy. Pojedziesz z nami, bo teraz trzeba ci słuchać rozsądku.

Rosa przystała na to z uległością indiańskiej kobiety, po czym odeszła, by resztę czasu spędzić przy grobie Grota Strzały. Niebaczna na godzinę i porę roku, młoda wdowa nie złożyła głowy na poduszce przez całą noc. Siedziała w pobliżu miejsca, w którym spoczywały szczątki męża, i modliła się po swojemu o pomyślność dla niego na owej nieskończonej ścieżce, na którą tak niedawno wstąpił, oraz o to, by połączyli się znowu w kramie sprawiedliwych.

Choć w oczach ludzi zepsutych i bezmyślnych mogłaby się wydawać upokorzona i poniżona, przecie miała obraz Boga w duszy usprawiedliwiającej swe boskie pochodzenie dążeniami i uczuciami, które zadziwiłyby tych, co udając, że czują więcej, w istocie czują mniej.

Rankiem wszyscy troje ruszyli w drogę; Tropiciel był skupiony i roztropny we wszystkim, co czynił, Wielki Wąż milczał i naśladował go, a Rosa okazywała pokorę i rezygnację, chociaż przepelniał ją smutek. Odplynęli dwoma czółnami, pozostawwszy na wyspie to, które należało do Indianki; Chingachgook płynął pierwszy, za nim zaś Tropiciel, a kierowali się w górę rzeki.

Przez dwa dni wiosłowali w kierunku zachodnim, a obie noce spędzili na wyspach. Szczęściem pogoda była przyjemna i kiedy dotarli do jeziora, stwierdzili, że jest gładkie i lśniące jak sadzawka. Nadeszło tak zwane indiańskie lato; w zasnutym oparami powietrzu drzemał istic czerwcowy spokój i łagodność.

Trzeciego dnia rano minęli ujście Oswego, do którego daremnie ich zapraszał fort i zwisający sennie sztandar. Nie spoglądając w bok, Chingachgook przeciął ciemne wody rzeki, za nim zaś w milczeniu wiosłował pilnie Tropiciel. Na wałach cisnęli się widzowie, lecz Lundie, który poznał swych starych druhów, zabronił ich nawoływać.

Było południe, kiedy Chingachgook wpłynął do małej zatoczki, gdzie jakby na redzie stał zakotwiczony „Chwist”. Na brzegu znajdowała się niewielka, stara poręba, a nad skrajem jeziora widniała chata z kłoców, snadź niedawno, choć prymitywnie, wyposażona we wszystko, czego potrzeba. Miejsce to robiło wrażenie pogranicznego dostatku i wygody, choć było, rzecz oczywista, dzikie i samotne. Na brzegu stał Gaspar i kiedy Tropiciele wylądował, on pierwszy uścisnął mu rękę. Powitanie było proste, ale bardzo serdeczne. Nie zadawali sobie żadnych pytań, Chingachgook bowiem udzielił już widać wszelkich niezbędnych wyjaśnień. Tropiciele nigdy nie ścisnął ręki swojego przyjaciela czulej niż tym razem; uśmiechnął się nawet przyjaźnie do Gaspara, mówiąc mu, jak dobrze i szczęśliwie teraz wygląda.

–Gdzież ona jest, Gasparze, gdzież ona? – wyszeptał wreszcie, bo zrazu jakby nie śmiało zadać owego pytania.

–Czeka na nas w domu, drogi przyjacielu. Jak widzisz, Rosa już tam pobiegła przed nami.

–Rosa może iść na spotkanie Mabel lżejszym krokiem, ale nie lżejszym sercem. A więc zastaliście w garnizonie kapelana i wszystko szybko się ułożyło?

–Pobraliśmy się w tydzień po rozstaniu z tobą, a pan Cap odjechał następnego dnia. Zapomniałeś spytać o swojego przyjaciela Słoną Wodę.

–Bynajmniej, bynajmniej; Wąż już mi wszystko opowiedział, a poza tym tak chętnie słucham o Mabel i jej szczęściu! Czy śmiała się, czy płakała po zakończeniu ceremonii?

–I jedno, i drugie, przyjacielu, ale...

–Taka, taka jest ich natura; łzawa i radosna zarazem. Ach, miłe są one nam, leśnym ludziom, i pewnie uważałbym za dobre wszystko, co Mabel robi. Czy sądzisz, Gasparze, że pomyślała o mnie owego radosnego dnia?

–Z całą pewnością, Tropicielu; myśli o tobie i mówi każdego dnia, nieomal każdej godzimy. Nikt ciebie tak nie kocha jak my.

–Wiem, że niewielu kocha mnie bardziej od ciebie, Gasparze. Chingachgook jest teraz może jedyną istotą, o której mogę to powiedzieć. No, nie warto dłużej zwlekać; co trzeba zrobić, zrobimy lepiej od razu. A zatem prowadź, Gasparze; spróbuję znowu spojrzeć na jej słodką twarzyczkę.

Gaspar poszedł przodem i rychło napotkali Mabel. Swego byłego narzeczonego powitała z silnym rumieńcem na twarzy, a drżała tak, że ledwo mogła utrzymać się na nogach; mimo to przyjęła go szczerze i serdecznie. Ktoś biegły w śledzeniu myśli ludzkich mógłby w czasie owej godziny, którą tam spędził Tropiciele, odnaleźć wierne

odbicie uczuć Mabel w sposobie jej odnoszenia się do Tropicielea i do własnego męża. Wobec Gaspara miała jeszcze odrobinę Owej rezerwy, jaka -na ogół cechuje nowożeńców, ale mówiła głosem cieplejszym niż zwykle, spojrzenie jej było tkliwe, a kiedy patrzyła na męża, rumieniec zabarwiający jej policzki zdradzał uczucie, którego czas nie złagodził jeszcze i nie przemienił w całkowity spokój. W stosunku do Tropicielea natomiast była poważna, szczerza, nawet smutna, ale głos jej nie drżał, oczu nie spuszczała, a jeśli się płoniła, to tylko ze wzruszenia wywołanego niepokojem.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy Tropiciel musiał ruszać w drogę. Chingachgook już odszedł do czólen i stał na skraju lasu, w miejscu, gdzie ścieżka wiodła w głąb ostępów. Tutaj spokojnie czekał na swego przyjaciela. Gdy tylko ów to spostrzegł, wstał z powagą i zaczął się żegnać.

–Niekiedy wydawało mi się, że mój własny los jest nieco ciężki – rzekł – ale los tej Indianki zawstydził mnie i przywiódł do opamiętania.

–Rosa tu zostaje i zamieszka ze mną – przerwała skwapliwie nasza bohaterka.

–Wiedziałem, że tak będzie. Jeżeli ktokolwiek może dźwignąć ją % tej rozpacz i sprawić, by znowu zapragnęła żyć, to tylko ty jedna, Mabel, aczkolwiek mam wątpliwości, czy uda się to nawet tobie. Ta biedna istota nie ma już plemienia ni męża, a trudno jest pogodzić się z obiema tymi stratami. Ach, co mnie zresztą do zgryzot czy małżeństw innych ludzi! Jak gdybym nie miał dość własnych trosk! Nie mów nic, Mabel, ani ty, Gasparze, pozwólcie mi odejść spokojnie, jak na mężczyznę przystało. Widziałem wasze szczęście, a to jest bardzo wiele; dzięki temu potrafię lepiej znieść własny smutek. Nie, Mabel; nie pocałuję cię już nigdy, nigdy więcej. Oto moja ręka, Gasparze, uściśnij ją, uściśnij mocno, chłopcze; nie obawiaj się jej zgnieść, bo to ręka mężczyzny. A teraz weź ją ty, Mabel. Nie, tego nie rób! – tu Tropiciel wyrwał jej dłoń, którą chciała ucałować i oblać łzami. – Tego nie rób!

–Tropicielu, kiedy zobaczymy się znowu? – spytała Mabel.

–Myślałem też o tym, myślałem, a jakże. Jeśliby kiedykolwiek przyszła taka chwila, abym mógł widzieć w tobie już tylko siostrę czy córkę – może lepiej powiedzieć: córkę, bo jesteś tak młoda, że mogłabyś nią być – to bądź pewna, że wrócę, albowiem lżej byłoby mi na sercu, gdybym mógł być świadkiem twojej radości. Ale jeśli nie potrafię... Żegnaj... żegnaj... sierżant się mylił... tak, sierżant się mylił!

Były to ostatnie słowa, jakie Tropiciel wypowiedział do Gaspara i Mabel. Odwrócił się, jak gdyby dławili go w gardle, i szybko znalazł się u boku swego przyjaciela. Kiedy ów go zobaczył, zarzucił na ramię swój tobołek i nie czekając zniknął między drzewami. Mabel, jej mąż i Rosa śledzili postać Tropicielea w nadziei, że prześle im pożegnalny gest czy choćby ukradkowe spojrzenie, on jednak nie obrócił się. Raz

czy dwa razy wydało im się, iż głowa jego drgnęła, rzekłbyś pod wpływem wewnętrznej rozterki, a ręką dał znak, jak gdyby wiedział, że go obserwują; ale krok, którego energii nie mogła osłabić żadna zgryzota, wrychle go odwiódł daleko, i myśliwiec zniknął w głębinach boru.

Ani Gaspar, ani jego żona nigdy już nie ujrzeli Tropicielea. Rok jeszcze pozostali nad brzegami Ontario, a potem usilne namowy Capa skłoniły ich, by wyjechali do Nowego Jorku, gdzie Gaspar został w końcu zamożnym i szanowanym kupcem. Po trzykroć w ciągu kilku lat Mabel otrzymała w podarku cenne futra, a serce jej powiedziało, od kogo pochodziły, choć żadne nazwisko nie towarzyszyło przesyłce. W późniejszych latach, gdy była już matką kilku chłopców, zdarzyła jej się sposobność wyjazdu w głąb kraju i wówczas znalazła się nad Mohawkim wraz ze swymi synami, z których najstarszy mógł już otoczyć ją opieką. Wtedy to zauważyła mężczyznę w dziwnym przybraniu, który śledził ją z oddalenia tak gorliwie, że postanowiła wywiedzieć się, kim jest. Powiedziano jej, że to najsłynniejszy myśliwy w tym Stanie – działo się to już po rewolucji – człowiek ogromnej czystości charakteru i osobliwych obyczajów, znany w tej stronie kraju pod mianem Skórzanej Pończochy. Niczego więcej nie zdołała pani Western ustalić, lecz z dala widziana postać nieznanego myśliwca i jego dziwne zachowanie sprawiły, że spędziła bezsenną noc, oraz rzuciły na jej lico cień melancholii, który przez wiele dni nie zniknął.

Co się tyczy Rosy, to podwójna strata męża i plemienia doprowadziła do skutku, który Tropiciel przewidział. Indianka zmarła w chatce Mabel na brzegach jeziora, a Gaspar przewiózł ciało na wyspę, gdzie je pogrzebał obok Grota Strzały.

Lundie pojął wreszcie za żonę swą dawną umiłowaną i wycofał się ze służby, jako sterany w bojach stary żołnierz. Nazwisko jego uświetniły już w naszych czasach czyny młodszego brata, który odziedziczył po nim tytuł, niebawem zaś uzyskał jeszcze wyższy dzięki męstwu, jakie wykazał na oceanie.

[\[1\] Ażeby czytelnik nie przypuszczał, że obracamy się tutaj w dziedzinie czystej fikcji, autor dodaje, iż mu wiadomo o długiej trzydziestodwufuntowej łodzi, którą z całkowitym bezpieczeństwem przeprowadzono przez tenże sam wodospad \(przyp. autora\).](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/